

Blake Charlton

Czaropis

Tom II

Przełożył Marek Pawelec

Copyright © by Blake Charlton All rights reserved

Projekt okładki Irina Pozniak

Ilustracja na okładce © Tibor Szendrei

Redaktor prowadzący Paweł Ziemkiewicz

Redakcja Anna PlaskońSokołowska

Korekta Agnieszka Ujma

Łamanie Alicja Rudnik

Warszawa

Prószyński Media Sp. z o.o. - Warszawa, ul. Rzymowskiego www.proszynski.pl

Druk i oprawa ABEDIK S.A. - Poznań, ul. Ługańska

Wracając do poematu: jeden smok, choćby ognisty, nie czyni wiosny ani zastępów; można też wymienić na jednego dobrego smoka coś, czego nie sprzedałoby się za ich mrowie. A smoki, prawdziwe smoki, istotne zarówno dla konstrukcji, jak i dla idei poematu lub opowieści, są rzeczywiście rzadkie.

J.R.R. Tolkien

Beowulf: Potwory i krytycy (tłum. Tadeusz Olszański)

Jest równocześnie podziemną skalą i nitką na wietrze, nie malowanym smokiem, a postacią prawdziwej onirycznej mocy, która z łatwością opiera się uprzedzeniom wzbudzonym przez samo wspomnienie słowa „smok”.

Seamus Heaney

Beowulf, wstęp do tłumaczenia

Francesca zorientowała się, że użyła zaimka nieokreślonego, dopiero w momencie, gdy jej pacjentka zaczęła konać.

Nie wiadomo, kto przyprowadził tę kobietę do szpitala. Wokół płuc miała napisaną nieznaną klątwę. Francesca wpuściła do jej klatki piersiowej kilka złotych zdań, mając nadzieję, że uda jej się odczarować złośliwy tekst i wyciągnąć przekleństwo z ust kobiety. Niestety klątwa napisana była stanowczym stylem, a jeden z przypadkowo użytych dwuznacznych zaimków przepchnął ją z płuc dziewczyny prosto do jej serca, zatrzymując je jednym złośliwym tekstem.

Z ust dziewczyny, wpadającej w ramiona śmierci, wyrwał się rozdzierający, bolesny krzyk.

Francesca rozejrzała się po solarium, były tu tylko białe ściany i okno wychodzące na Avel. Z korytarza dało się słyszeć podniesione glosy innych czarodziejów lekarzy. Wszyscy zajmowali się pacjentami, którzy ucierpieli podczas natarcia likantropów na mury miejskie. Zarówno szpital, jak i pobliskie sanktuarium pogrążone były w chaosie i Francesca pracowała sama.

Jej pierwsza reakcja - ulga, że nikt nie zobaczył błędu - zdjęła ją przerażeniem. Spojrzała na dziewczynę. Zielone tęczęwki jej oczu rozszerzyły się, eksponując czarne studnie źrenic. Żyły na szyi nie zdradzały już nawet słabego pulsu.

Francesca poczuła, jak drętwieją jej palce. To nie mogło się dziać naprawdę. Przecież nigdy nie popełniała błędów, nigdy nie używała zaimków nieokreślonych.

- Zostań ze mną, Deirdre - powiedziała do kobiety, która zanim wydała ostatnie tchnienie, zdążyła jeszcze wyszeptać swoje imię.

Brak reakcji.

Francesca nie widziała klątwy, napisano ją w nieznanym jej języku, jednak rzucona przez nią złota kontrklątwa uwidoczniła złośliwy tekst, magicznie pętający serce kobiety.

Konieczne było działanie inwazyjne.

Francesca była niespotykanie wysoką i szczupłą kobietą, miała długie włosy, a jej ciemnobrązowe oczy podkreślały bladość skóry. Miała na sobie czarną szatę maga z czerwoną stulą kleryka. Sugerując się wyglądem, analfabeta uznałby ją za trzydziestolatkę, jednak czarodziej wiedziałby, że ma dwa razy tyle.

Użyła run stworzonych w lewym przedramieniu do napisania kilku srebrzystych zdań, które po chwili rozjarzyły się na jej skórze. Prawą dłonią uwolniła czar, który ułożył się w krótkie, precyzyjne ostrze. Lewą ręką Francesca rozerwała bluzę pacjentki. Gładka oliwkowa skóra, drobny podbródek i kruczoczarne włosy Deirdre sprawiały, że wyglądała młodo, jednak kurze łapki obficie zebrane w kącikach oczu sugerowały dojrzałość.

Nagle pod nogami Franceski zatrzęsa się podłoga, nad jej głową zaskrzypiały drewniane krokwie - zastanowiła się, czy to kolejny atak likantropów, czy może lekkie trzęsienie ziemi. Gdzieś w oddali - w szpitalu lub przyległym do niego sanktuarium - rozległo się bolesne ludzkie wycie.

Francesca oparła lewą dłoń na ramieniu Deirdre. Była lekarzem, jednak zimno i wątpliwości przyprawiły ją o drżenie. Ukojenie znalazła dopiero w znanych i przećwiczonych tak wiele razy ruchach. Pewną ręką wykonała kilka cięć i uniosła do góry drobną pierś Deirdre, odsłaniając mięśnie i kości. Następne cięcie poprowadziła między piątym a szóstym zębem, od mostka aż do kręgosłupa. Z rany wypłynęła jasnoczerwona krew. Dobry znak. Krew ciemniejsza, płynąca wolniej, oznaczałaby śmierć.

Francesca rozsunęła żebra i zaimprovizowała czar, który miał utrzymać je nieruchomo.

Odległe wycie przybierało na sile.

- Zostań ze mną, Deirdre - rozkazała, wsuwając dłonie do piersi dziewczyny i odnajdując jej serce. Wstrzymała oddech i zaczęła skrupulatnie ściągać z organu złośliwe zdania.

Podłoga po raz kolejny się zatrzęsa. Do rozdzierającego wycia dołączył drugi, a potem trzeci głos. Francesca przygryzła wargę i odplątała ostatnie zdanie klątwy. Serce napełniło się krwią, ale nie podjęło pracy, więc zaczęła je rytmicznie ścisnąć. Już miała

zawołać o pomoc, gdy organ drgnął w niekontrolowany sposób. Francesca miała wrażenie, że trzyma worek pełen wijących się larw.

- Boże bogów - wyszeptała. Gdy serce przestawało tłoczyć krew, jego skurcze mogły przejść w chaotyczne spazmy.

Dalej rytmicznie ścisnęła serce, jednak jego ruchy słabły. Mięśnie zapadały w sen. Francesca nie ustawała jednak, nie mogła przestać.

Odległe wycie, do którego przyłączało się coraz więcej głosów, to wzbierało na sile, to słabło w upiornym chórze. Momentami słuchaczowi wydawać by się mogło dźwięczne, jednak w niczym nie przypominało hymnów śpiewanych przez Spirycjuszów podczas codziennych nabożeństw.

Przez szpital lub sanktuarium najwidoczniej przetaczał się jakiś nowy kryzys. Być może dotarły kolejne ofiary ataku likantropów. Może któryś z czarodziejów agresorów zdołał przebić mury Avel pomimo światła dziennego.

Francesca jednak nie zwracała na to uwagi. Jej dłonie zaczęły kostnieć z zimna. Nogi coraz bardziej jej drżały. Bezsilnie opadła na pacjentkę. Świat wokół rozpląnął się za zasłoną łez.

Serce dziewczyny znieruchomiało.

- Stwórcu, wybacz... - wyszeptała Francesca, wyciągając dłonie z klatki piersiowej zmarłej. - Przepraszam. Tak bardzo przepraszam... - Jej palce zaczęły boleśnie drętwieć.

Opuściła głowę i zamknęła oczy. Czas stanął w miejscu. Zawsze była dumna ze swojej zdolności prognozowania, z umiejętności spojrzenia w przyszłe losy pacjenta i przewidzenia szansy na wyleczenie lub potencjalnych zagrożeń. Jednak tym razem nie sprawdziła się - nie przewidziała śmierci Deirdre. Czuli się tak, jakby coś wyrwało ją z jej własnego ciała i wyrzuciło gdzieś poza tę przestrzeń, poza ten czas.

Przez chwilę miała wrażenie, jakby była kimś innym, jakby stała w drzwiach i patrzyła na leżącą, która właśnie zabiła jej pacjentkę. W tym dziwnym stanie oderwania czuła się równocześnie bezpieczna i kompletnie otępiała.

Po chwili wróciła do swojego ciała i zamrugała szybko, żeby pozbyć się napływających do oczu łez. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio zapłakała nad pacjentem, niezależnie od tego, czy był żywy czy martwy. Jednak do tej śmierci doprowadziła jej własna nieostrożność. Użyła niewłaściwego słowa, przeklętego zaimka nieokreślonego.

Poczuła, że nienawidzi samej siebie. Ze złością przygryzła wargę. A potem gniew zniknął równie nagle, jak się pojawił, i Francesca przypomniała sobie swój ostatni dzień w akademii kleryków w Port Mercy. Poprosiła wtedy swojego mentora o pożegnalną radę.

- Postaraj się zabić jak najmniej pacjentów - powiedział stareńki lekarz, uśmiechając się lekko. Młoda Francesca zareagowała wtedy nerwowym śmiechem.

Teraz, patrząc na pierwszą uśmierconą przez siebie pacjentkę, też nie umiała pohamować śmiechu. Postaraj się zabić jak najmniej pacjentów... Nagle te słowa stały się dla niej nedorzecznie śmieszne.

Powoli jednak przerażający śmiech ustawał i Francesca poczuła się pusta. Cały szpital pograżony był w wyciu. Odetchnęła głęboko. Potrzebowali jej inni pacjenci. Musiała udawać spokój do czasu, aż naprawdę go odzyska. Dzięki kilku zaimprovizowanym akapitom pochłaniającym pozbyła się krwi z rąk.

Podłoga po raz kolejny zadrżała.

- Czy on się uwolnił? - usłyszała czyjś szept. - Przestraszona obejrzała się w stronę drzwi, ale nikogo nie zobaczyła. - Czy on już się uwolnił? - Francesca rozejrzała się nerwowo. W solarium nie było nikogo. Za oknem widniały wyłącznie minarety i ulice Avel. Korytarz był pusty. - Niedługo tu będzie. - Szept przeszedł w cichy jęk. - Pomóż mi wstać.

Nagle Francesca zrozumiała, do kogo należy głos. Jej serce załopotало w piersi.

Spuściła wzrok na Deirdre - na istotę, którą błędnie wzięła za śmiertelniczkę.

- Jesteś awatarem? - wyszeptała Francesca.

- Członkinią Niebiańskiego Kanonu?

- Tak, jestem awatarem. Ale nie kanonistką - poprawiła Deirdre, naciągając zakrwawioną bluzę na piersi, które nagle cudownie stały się pozbawione blizn.

- O święta bogini, zapomniałam już, jakim szokiem jest powrót.

- Co się tu dzieje, na ogień piekielny? - zapytała Francesca, cofając się.

- Demon Taj fon umieścił we mnie część swojej duszy - wyjaśniła nieśmiertelna. - Nie pozwoli mi zginąć.

- Nie... - powtórzyła zdezorientowana Francesca

- nie pozwoli ci zginąć?

- Jestem zbuntowaną niewolnicą Tajfona - powiedziała kobieta, masując skronie. - Drań może kontrolować większość rzeczy, które robię, chyba że znajdę jakiś sposób, by się zabić. Biorąc pod uwagę narzucone mi ograniczenia, samobójstwo wymaga pewnej pomysłowości. Jednak jeśli już zdołam się zabić, po ożywieniu zyskuję mniej więcej pół godziny wolności.

- Uśmiechnęła się do Franceski. - Dzisiaj to ty byłaś moim kreatywnym sposobem na samobójstwo.

- Wystawiłaś mnie? - Lekarka poczuła falę ulgi. - Tej klątwy w twoich płucach nie dało się odczarować?

- Dało się. Przez lata udało się to kilku mistrzom kleryków - odpowiedziała kobieta, krzywiąc się i przyciskając dłoń do mostka. - Zawsze jestem nieszczęśliwa, gdy uratują mi życie. - W piersi Franceski znowu zagościła pustka. Porażka. A więc jednak zabiła pacjentkę. Pomimo że poświęciła większość swojego życia medycynie, wciąż nie była mistrzynią. Deirdre zamknęła oczy i uśmiechnęła się lekko. - Dobrze jest znowu być wolnym. To niemal upajające. - Zadrzała jakby z rozkoszy, ale po chwili otworzyła oczy, przyjmując poważny ton. - No dobrze, skoro przyszedłam po ciebie, on też to zrobi.

Francesca cofnęła się o krok. To wszystko było nierealne. Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Przepraszam, ale właśnie próbuję się ukarać za to, że cię zabiłam.

- Jesteś kleryczką Francescą DeVega? - spytała Deirdre.

- Och, byłam kleryczką aż do chwili, gdy kompletnie straciłam rozum.

- Popchnęłam cię za daleko? - Deirdre zmarszczyła brwi. - Wybacz mi. - Nie powinnam tyle gadać. Ale masz reputację dość... brawurowej.

Francesca znów się roześmiała.

- Do diabła z brawurą. Mogę powiedzieć przełożonemu, że jest aroganckim durniem, jeśli krzywdzi mojego pacjenta, ale teraz, gdy to moja niezdarna proza zabiła...

- Kleryczko - przerwała jej pacjentka - tobie miało się nie udać. Gdybyś nie zawiodła, ja nie byłabym wolna. Przepraszam, że cię do tego zmusiłam. W tej chwili jednak muszę cię uwolnić spod kontroli demona. Na lewej kostce masz cienki srebrny łańcuszek. Pokaż mi go.

- Co takiego? - Francesca zamrugwała szybko.

- Na lewej nodze masz łańcuszek - powtórzyła Deirdre. - Pokaż mi go.

- Pani awatar, z całym szacunkiem, ale nie posiadam żadnego potępionego przez boga bogów łańcuszka.

- Po prostu pokaż mi lewą stopę - poleciła kobieta.

- Już.

- Nie mówisz poważnie... Och zresztą, sama zobacz.

- Francesca wprawnym ruchem ściągnęła skórzany pantofel i wełnianą skarpetę, po czym podniosła nogę.

- Widzisz, pani, zaledwie kilka piegów, ale żadnego... CO TO JEST, NA OGIEŃ PIEKIELNY?!

Deirdre wyciągnęła rękę i odpięła z kostki Franceski srebrny łańcuszek.

- Nie jestem czarodziejką - powiedziała, trzymając łańcuszek na wyciągniętej dłoni. - Nie wiem, jak to możliwe, ale ten łańcuszek sprawia, że osoba, która go nosi, w ogóle go nie czuje. Tajfon używał go do zatrzymania cię w Avel. Gdybyś spróbowała opuścić miasto, straciłabyś przytomność. A może stałoby się coś dużo gorszego. Proszę, weź go.

- To nie może się dziać naprawdę. - Francesca patrzyła na łańcuszek z niedowierzaniem. - I... czego mógłbyś chcieć ode mnie demon? - Jej głos się załamał.

- Chce użyć twoich umiejętności lekarskich do wymuszenia konwersji potężnego czarodzieja - wyjaśniła Deirdre, krzywiąc się.

- Konwersji na co?

- Na sprawę demona. Wyjaśnię ci wszystko, gdy tylko znajdziemy się w bezpieczniejszym miejscu, ale teraz musimy się pośpieszyć. Weź łańcuszek. - Ręka Deirdre zaczęła drżeć. - Jeszcze nie odzyskałam pełni sił. Na lewej nodze mam łańcuszek pozbawiony magii.

Weź go i załóż na swoją kostkę. Jeśli złapią cię agenci demona, mogą uznać, że wciąż jesteś uwiązana.

- No dobrze. - Francesca wzięła łańcuszek z wyciągniętej dłoni Deirdre i schowała go do sakiewki przy pasie, po czym odnalazła identyczny na kostce pacjentki. Zdjęła go i zapięła sobie wokół lewej kostki. Przy okazji odkryła, że jej skóra stała się zgrubiała w punktach, w których musiał ocierać się o nią łańcuszek. Zobaczyła nawet kilka drobnych blizn, jakby metal ponacinał naskórek. Musiała nosić ten magiczny łańcuszek naprawdę długo. Może nawet od lat.

- Czy teraz potraktujesz mnie poważnie? - zapytała Deirdre, odchrząkując.

- Bardziej niż kogokolwiek innego - słabym głosem odpowiedziała Francesca.

- Na ulicy mam agenta, który zabierze ten łańcuszek i ukryje go... - Przerwała, gdy ponownie zatrzęsła się podłoga, a wycie przybrało na sile. - Niech to diabli! - zaklęła.

- Co się dzieje? - zapytała Francesca, widząc przed sobą pomarańczowe rozbłyski. Drżenie ziemi było tak silne, że aż zaskrzypiały krokwie pod sufitem. Wycie stało się jeszcze głośniejsze.

- Nigdy jeszcze nie dotarł tak blisko w tak krótkim czasie. - Poblądła Deirdre gestem przywołała Francescę. - Szybko, musisz mnie ponieść. Zaczęła się afazja. Moi ludzie spłoną w terenie. Musimy iść, zanim dotrze tu bestia.

- Zanim... co... kto dotrze? - Francesca nagle poczuła, że ma problemy z mówieniem. Myśli krążyły w jej głowie, ale nie potrafiła ich zwerbalizować. Pomarańczowe błyski tańczące przed jej oczami stawały się coraz jaśniejsze.

- Słyszysz, jak wyją? - zapytała Deirdre. - On dotyka ich umysłów. Mają myśli, lecz brak im słów. To właśnie jest afazja. Ty też zaczynasz ją odczuwać. Jeśli nie uciekniemy, zanim on przybędzie, możesz już nigdy nie wypowiedzieć ani jednego słowa.

- O... on? - wyjąkała Francesca. - Demon?

Do wycia dołączyły kolejne głosy, a ich skowyt to narastał, to gasł w upiornej kakofonii nawoływań i odpowiedzi.

- Nie Tajfon. Jego inny sługa. Ten, którego chciałam uwięzić łańcuszkiem. Moi ludzie na ulicach są już praktycznie martwi. Potwór jeszcze nigdy nie przemieszczał się tak szybko. Niech to diabli! Musimy uciec, zanim wtargnie do szpitala! - Z pewną trudnością Francesca zdołała podnieść Deirdre ze stołu. Kobieta objęła ją za szyję. Zawodzenie narastało w ekstatycznym crescendo, po czym nagle ucichło. Ziemią targnął kolejny wstrząs. - Bogini, miej nas w opiece - wyszeptala Deirdre, mocniej obejmując Francescę. - Już tu jest.

Shannon, nagle oprzytomniały, upuścił trzymany tekst.

Słowa spadły, roztrzaskując się o drewnianą podłogę.

Dziwne.

Zmarszczył brwi, patrząc na rozsypane złote runy, po czym ziewnął potężnie. Krzywiąc się, rozmasował sobie skronie. Czemu obudził się z czarem w rękach? I gdzie właściwie się znajdował?

Rozejrzał się i stwierdził, że stoi w okrągłym pokoju o białych ścianach, pod którymi ustawiono mnóstwo półek z książkami. Jasne światło wpadało przez zwieńczone łukiem okno, wychodzące na oświetlone słońcem miasto.

Bardzo dziwne.

Liczne budynki z piaskowca stały tak blisko siebie, że w wielu miejscach oddzielały je tylko wąskie alejki. Dostrzegł jedynie kilka szerszych brukowanych ulic. Wysokie mury z blankami dzieliły miasto na części. Wszystko było wilgotne od deszczu, który jeszcze przed chwilą rosił świat.

Widoczna z okna najbliższa dzielnica pełna była ogrodów - placów porośniętych kwitnącymi pnączami, otoczonymi przez palmy i cyprysy, dziedzińców z dorodnymi migdałowcami i drzewami pomarańczowymi. Dzielnice bardziej odległe zabudowane były rozpadającymi się budynkami; i budami. Najdalsza wyglądała częściowo jak świeże pogorzelsko. Całe miasto otoczone było potężnym murem z piaskowca, zwieńczonym pokrytymi mosiądzem strażniczymi wieżami. Za murem Shannon dostrzegł zieloną sawannę rozciągającą się pod intensywnie błękitnym niebem.

Wszystko to wskazywało na któreś z miast zachodniej Spirii. Tylko które? Zbyt małe na Dar. Za oknem nie było widać ani oceanu, ani wysokich gór, więc nie była to też Kara. Czyżby Avel? Pasowałyby i ogrody, i sawanna.

Tylko jak, na imię Stwórcy, znalazłby się w Avel? Shannon potarł oczy i spróbował się skupić. Myśli przemykały jednak przez jego umysł z dziwną, jakby oniryczną dynamiką. Ostatnie, co pamiętał, to życie pustelnika w Dolinie* Niebiańskiego Drzewa, setki kilometrów stąd, pośród górskiego pasma Szczytów. Szkolił tam swojego ucznia, ale zupełnie nie umiał sobie przypomnieć jego imienia. Bez wątpienia znał je, jednak wspomnienia zostały jakby wypalone z jego umysłu.

Gdzieś w oddali rozległo się wycie. Dźwięk wibrował, raz przybierając na sile, raz słabnąc. Nie przypominał jednak śpiewu. Może to jakaś recytacja? Shannon zmarszczył brwi. Znajdował się w wysokim spiryjskim budynku, a wkoło pobrzmiwała jakby religijna pieśń. Sanktuarium? Tak, musiał znajdować się w sanktuarium Avel lub w sąsiadującym z nim szpitalu. Tak czy inaczej był to budynek poświęcony władczyni miasta, kanonistce Cali.

Ale nie potrafił przypomnieć sobie, czym jest kanonista...

Musiał się wysilić, by odnaleźć właściwe wspomnienie: bóstwo mogło wlać część swojej duszy w człowieka, tworząc awatara. Jednak jeśli umieściło w człowieku całą swoją duszę, powstawał kanonista - półbóg potężniejszy od awatara, ale słabszy od swobodnie wyrażającego się bóstwa. Tylko Spiria miała kanonistów, ponieważ niebiańska bogini Celeste utrzymywała listę - kanon zawierający imiona wszystkich półbogów, którym pozwalała przebywać w Spirii. Zrobiła to, żeby... Shannon nie pamiętał, lecz wiedział, że miało to jakiś związek ze Spiryjską Wojną Domową. Czy on sam w niej walczył?

Kolejne ziewnięcie niemal wykręciło Shannonowi szczękę. Z wyczerpania nie potrafił jasno myśleć. Wszystko na pewno nabierze sensu, jeśli się prześpi. Odwrócił się, szukając jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się położyć, i ze zdziwieniem dostrzegł najpierw duże drzwi z sekwojowego drewna, a później stół. Na stole leżało kilka oprawionych w płótno książek. Okładka tomu na samej górze była poplamiona czerwonym atramentem. Na książce leżała kartka zapisana czarnym tuszem. Shannon nachylił się, żeby przeczytać tekst, jednak trudno było go odszyfrować. Na papierze rozciągał się czerwony kleks, poniżej drobnym pismem napisane były słowa: wspomnienia są w niej i kolejny kleks. Żadnej wielkiej litery, żadnych znaków przestankowych.

Shannon zamrugał szybko, jakby mogło to wyostrzyć jego percepcję, i ponownie przyjrzał się notatce.

Nagle go olśniło. Kleksów nie zrobiono czerwonym atramentem, tylko krwią.

Poczuł, jak przeszywa go dreszcz strachu. Przypomnił sobie o upuszczonym magicznym tekście i rozejrzał się po podłodze w poszukiwaniu sekwencji run. Zostały napisane w numenosie - magicznym języku wpływającym na światło oraz inne teksty magiczne. W oczach tych, którzy byli biegli w jego czytaniu, numenosowe runy lśniły złotym blaskiem.

Odległe wycie przybierało na sile.

Shannon oglądał rozsypany czar, a jego powieki stawały się z każdą chwilą coraz cięższe. Tekst rozpadł się na dwie kupki sekwencji run. Musiał trzymać dwa zdania, z których każde utworzyło własną grupę. Kawałki większego stosiku rozsypały się na kolejne, z których niektóre znikły pod drzwiami.

Najpierw Shannon pochylił się nad mniejszą kupką i poprzesuwał kawałki w linię. Przetłumaczone, ułożyły się w tekst: *nownie, iszp Widz ezyj pono žni iewa esz. Kolejne ziewnięcie. Potrząsnął głową i spróbował się skupić. Kropka po esz sugerowała, że ten fragment powinien znaleźć się na końcu zdania. Wielka litera przy Widz oznaczała, że to początek frazy. Widz zdawało się kawałkiem czegoś większego. Shannon połączył go z następnymi, które mogły być jego kontynuacją. Widzeżyj? Nie. Widznownie? Nie. Widziszpo... Znieruchomiał. Widziszpo... Dodał kolejny kawałek i wstawił spację: Widzisz ponownie... Znowu rozejrzał się po ścianach, popatrzył na okno, miasto za nim i błękitne niebo.*

- Stwórco, ocal mnie! - wyszeptał. - Co się stało?

Choć część jego wspomnień była ukryta, w tym momencie dotarło do niego, że przecież powinien być ślepy. Dziesięciolecia temu popatrzył na zakazany tekst, który zniszczył jego ziemski wzrok. Od tamtego dnia widział wyłącznie oczami swojego chowańca - papugi o imieniu Lazurowy. Teraz jednak podziwiał śmiertelny świat własnymi oczami. Jak to jest możliwe?

Ponownie zwrócił się do run i dodał do tłumaczenia fragmenty: *pon, iewa i žnie.*

Widzisz ponownie, ponieważ ni...

Palce drżały mu tak mocno, że nie potrafił podnieść pozostałych sekwencji. Ale to już nie miało znaczenia. Wiedział, jak brzmi zdanie. Ostatnie dwa fragmenty - *ezyj i esz* - leżały już we właściwej kolejności.

Widzisz ponownie, ponieważ nie żyjesz.

Nikodemus przykucnął w ciemnym korytarzu wysoko w sanktuarium Avel, nasłuchując kroków. Jeśli ten atak na bibliotekę Tajfona zostanie dobrze zgrany w czasie,

roztrzaska umysł demona na drobne kawałki niczym witrażowe okno. Nikodemus toczył potajemną wojnę z demonem już prawie dziesięć lat. Najwyższy czas wreszcie ją zakończyć.

Atak musiał zostać przeprowadzony perfekcyjnie. Musiał złapać wszystkich trzech bibliotekarzy jednocześnie, i to wtedy, gdy w ogóle się tego nie spodziewają. Dlatego kucał tu, w ciemności, i czekał na kroki. Jednak nadaremnie.

Sprawdził czary wytatuowane na piersiach i ramionach w formie kolorowych run - fioletowych i indy go. Sprawdził chwyt na toporach. Obejrzał się na swoich pięciu koboldzich uczniów. W ciemności widoczne były tylko czary na skórze ich nieładnie szerokich ramion. Jeszcze jeden z grupy pilnował ich pleców. Wszyscy trwali w całkowitym bezruchu.

Nadchodził odpowiedni czas.

Nagle podłoga zadrżała. Małe trzęsienie ziemi. Nic poważnego. Półbogini Cala, kanonistka miasta, wzniosła swoje sanktuarium i szpital za pomocą bożego czaru. Budynki były w stanie wytrzymać każde trzęsienie ziemi, jakie mogłoby nawiedzić zachodnią Spirię. Gdzieś z dołu dobiegło ludzkie wycie. Rozległ się stukot, jakby ktoś się przewrócił lub coś spadło z półki. Jednak wciąż żadnych kroków.

Nikodemus zamknął oczy i czekał. Ten moment był coraz bliżej.

Nie zawsze był taki skupiony. Dziesięć lat temu w Starhaven był niecierpliwym praktykantem magistra Shannona, kakografem dysczarującym, który zmieniał pisownię niemal każdego tekstu. Kiedy stwór Fellwroth zaczął mordować kakografów płci męskiej, Nikodemus odkrył, że Tajfon specjalnie doprowadził do jego urodzin, by odtworzyć cesarską linię krwi ludzi zdolnych do nauczenia się prążezyka, z którego rozwinęły się wszystkie żywe istoty. Tajfon ukradł Nikodemusowi zdolność poprawnego pisania i umieścił ją w szmaragdzie z Aarahest. Dysponując tym klejnotem, demon pragnął wyczarować smoka, który mógłby pokonać ocean i ożywić wzbudzającego strach boga Los. Dzięki pomocy awatara o imieniu Deirdre Nikodemus i Shannon pokonali Fellwrotha, jednak Tajfon porwał Deirdre i uciekł z zaklętym szmaragdem.

Nikodemus, Shannon i osłabiona bogini Boann uciekli do Doliny Niebiańskiego Drzewa. Dopiero tam Nikodemus odkrył, że potrafi bezbłędnie pisać w językach koboldów. Dzięki przekonaniu, że jego walka z Tajfonem stanowi element ich przepowiedni, grupa koboldów opuściła dolinę i podążyła za Nikodemusem, by zapolować na demona.

Nagle jeden z uczniów spał mięśnie. Koboldy dysponowały niezwykle czułym słuchem. Nikodemus nachylił się i również nadstawił uszu. Po chwili usłyszał odległy, ale miarowy stukot. Kroki. Ostatni z trzech bibliotekarzy zbliżał się do pułapki. Już prawie czas.

Kroki stawały się coraz głośniejsze, coraz bliższe. Wtem zatrzymały się i Nikodemus usłyszał typowy dla bibliotekarzy szept. Potem zabrzmiały ciche trzaski towarzyszące siadaniu na krześle.

Już czas.

Warknął polecenie ataku i zerwał się do biegu. W następnej chwili wpadł do prywatnej biblioteki Tajfona i cisnął toporek w stronę trzech mężczyzn siedzących przy stole pokrytym arkuszami papieru. Pokój był długi i wąski, jego ściany zastawione były regałami pełnymi książek. Kilka okien nad półkami wpuszczało do środka promienie słońca, rysujące w zakurzonej powietrzu jasne kolumny. Toporek Nikodemusa zawirował, przecinając kolumny blasku, po czym utkwiał w ramieniu bibliotekarza. Mężczyzna padł, nie zdążywszy wydobyć z siebie nawet jednego dźwięku. Jego sąsiad zerwał się z miejsca i z krzykiem wyciągnął z książki świecącą, srebrną prozę, rzucając ją w stronę Nikodemusa, który w ostatniej chwili uskoczył przed zaimprovizowanym atakiem.

Trzeci bibliotekarz wstał i cofnął się chwiejnym krokiem. Z pętli zawieszanej na jego szyi zwisało kilka buteleczek. Musiał być iksońskim hydromantą, magiem wody. Nikodemus rzucił w niego drugim toporkiem, ale towarzysz bibliotekarza strącił broń srebrzystym akapitem. Równocześnie ranny w ramię bibliotekarz podniósł się z podłogi. Jego lewa ręka zalana była krwią.

Podłoga zatrzęsała się gwałtowniej niż poprzednio. Z regałów wypadło kilka książek. Wstrząs wtórny. Cienie za plecami Nikodemusa poruszały się niczym żywe postacie. Gdzieś z dołu znowu rozległo się ludzkie wycie.

Nikodemus skupił się na bibliotekarzach. Wszyscy trzej zamaskowali się jako wyznawcy Cali - mieli na sobie białe lniane koszule i długie błękitne kamizele. Niczym jeden mąż spojrzeli w górę, na okna. Wiedzieli, że czary wytatuowane na Nikodemusie mogą działać tylko w ciemności. Uspokojeni, opuścili wzrok.

Jeden z nich z warknięciem rzucił srebrzystą chmurę ostrej prozy. Nikodemus odskoczył w lewo, unikając tnących słów, i usłyszał, jak wbijają się w oprawione w skórę księgi stojące na półkach za jego plecami. Coś szklanego roztrzaskało się o podłogę z jego prawej strony, po czym wybuchło z siłą dostateczną, by rzucić nim o regał.

Nikodemus w jakiś sposób zdołał utrzymać równowagę. Pobiegł dalej. Wycie przybrało na sile. Odwrócił się i zobaczył, jak mag wody bierze zamach, trzymając w dłoni kolejną fiolkę. Mężczyzna musiał nasycić roztwór wodnymi runami, przez co z pewnością stał się żrący, trujący lub wybuchowy. Jednak zanim zdołał rzucić lingwistyczną mieszanką w Nikodemusa, jedna z kolumn światła zgasła. Za chwilę w jej ślady poszła następna.

Zaniepokojeni bibliotekarze spojrzeli w stronę okien. Okazało się, że pięciu koboldzich studentów Nikodemusa, skrytych pod zginającymi światło podtekstami, wspięło się na regały. Słońce spaliło ich czary maskujące, odsłaniając ciemnoniebieską skórę i blond włosy, ale bibliotekarze byli zbyt zajęci odpieraniem ataku Nikodemusa, by zauważyć ich wspinaczkę. Kolejne trzy słupy światła zgasły, gdy koboldy przysłoniły okna tkaniną.

Mag wody zamachnął się, by rzucić swoją buteleczkę, ale Nikodemus oderwał z ramienia tatuaż i cisnął go szybkim ruchem. Runy w kolorze indygo przybladły w półmroku, ale tekstowy pocisk zachował dość spójności, by uderzyć w fiołkę hydromanty, wywołując wybuch, który zwałił z nóg wszystkich trzech bibliotekarzy.

Zgasła ostatnia smuga światła i pomieszczenie pogrążyło się w ciemności. Jeden z koboldów krzyknął triumfalnie. Nikodemus rozpoznał głos. To Żyła, jego najstarszy uczeń.

Jeden z bibliotekarzy rzucił kometę srebrzystych zdań w stronę okna, ale w ciemności źle wycelował i czar roztrzaskał się o sufit w kaskadzie skrzących się blado fragmentów zdań. W ciemności bibliotekarze nie mieli żadnych szans.

Nikodemus przez moment upajał się dziką satysfakcją, po czym przeredagował czary wytatuowane wokół keloidowej blizny na karku. Tajfon zostawił mu tę bliznę, umieszczając część umysłu Nikodemusa w szmaragdzie. Jeśli nic ich nie zasłaniało, blizna i szmaragd porozumiewały się ze sobą, próbując się połączyć. W Starhaven łączność między blizną a szmaragdem sprowadziła na niego prorocze koszmary i nieumyślnie zdradziła wrogom jego położenie. Od czasu ucieczki z akademii magów Nikodemus osłonił bliznę wytatuowanymi wokół niej zdaniem. Teraz po raz pierwszy od lat osłabił te bariery.

Nagle wiedział, że szmaragd znajduje się na drugim końcu biblioteki, tuż za metalowymi drzwiami prowadzącymi do gabinetu Tajfona. Przez szmaragd Nikodemus wyczuł, że demon rozłożył swój umysł w celu prowadzenia badań. Nikodemus wcześniej zaplanował tę wyprawę tak, by zbiegła się w czasie z atakiem likantropów i krótkim okresem wrażliwości Tajfona.

W bibliotece rozbłysło słabe światło. Nikodemus odwrócił się i zobaczył, że hydromanta aktywuje fiołkę z luceryną. Płyn rozjarzył się bladoniebieską barwą. Po chwili pojawiło się drugie światło - tym razem migotliwy płomień. Wyglądało na to, że czarodziej trafiony przez Nikodemusa toporkiem był trillinońskim piromantą. Pomimo odniesionej rany mag ognia zdołał rzucić kilka płonących zdań w nadziei, że wyprodukuje dostateczną ilość światła, by powstrzymać czary koboldów.

To jednak nie miało znaczenia. W fiołkę z luceryną uderzył jakiś ciemny obiekt - toporek lub księga - roztrzaskując szkło w drobny mak. Płyn rozbryzgał się po podłodze.

Kolejny pocisk zgasił płomień piromanty. Znow zapadła całkowita ciemność. Uczniowie Nikodemusa pośpiesznie zeszli z pólek. Ich skóra jarzyła się fioletowymi zdaniem.

Jeden z bibliotekarzy, wyznawca demona, chrapliwym głosem próbował wezwać pomoc. Pozostali dwaj zaczęli krzyczeć. Jeden błagał o życie. Młody kobold imieniem Jasp odpowiedział morderczym krzykiem bojowym.

Nikodemus odwrócił się i w jednej chwili wszystkie głosy umilkły. Wyznawcy demona zostali uciszeni za pomocą toporków lub zdań. Nikodemus ruszył przed siebie, w stronę szmaragdu. W końcu stanął przed dużymi metalowymi drzwiami gabinetu, w którym znajdował się demon i brakująca część jego istoty. Gdy tylko pokona tę barierę, dekada walki wreszcie dobiegnie końca. Uniósł dłoń i już miał otworzyć drzwi, gdy podłoga pod jego stopami znow gwałtownie zadrżała. Daleko w dole wiele głosów połączyło się w jeden nieprzerwany falujący chór. Przez ciało Nikodemusa przebiegł znajomy dreszcz. Zaklął i wsłuchał się ponownie w przerażającą kakofonię. Głosy przybrały na sile, coraz wyraźniej falując.

Czyli to prawda.

Skowoty oznaczały, że sanktuarium wstrząsała teraz siła znacznie groźniejsza od najpotężniejszego trzęsienia ziemi. Sawannowy Potwór powrócił.

Nikodemus zaklął. Uważał, że to niemożliwe. Atak likantropów powinien skupić na sobie uwagę bestii i kanonistki przez przynajmniej kilka godzin. Przyłożył dłoń do drzwi i wyczuł metrową warstwę ochronnych czarów. Przebicie się przez nie wymagało przynajmniej pół godziny pracy. To nie wyglądało dobrze. Bestia była zbyt blisko, a znajdując się wewnątrz sanktuarium, była zbyt potężna, by stanąć do walki przeciw niej.

Rozwścieczony i zawstydzony Nikodemus przepisał wytatuowane na karku wokół blizny zdania, przerywając łączność między dwiema częściami siebie. Niespodziewanie wyprawa zmieniła się w porażkę. Gdyby bestia złapała ich w sanktuarium, rozgniotłaby ich na miazgę. Budynek znow się zatrzęsł i wycie ucichło. Nikodemus odwrócił się i ruszył pędem przez bibliotekę.

- Żyła, Szum do mnie! - zawołał do uczniów. - Reszta za nami. Uciekamy!

Trzymając Deirdre w ramionach, Francesca pobiegła w górę wschodnimi schodami. Odzyskała zdolność mowy, choć jej wzrok wciąż rozpraszały pomarańczowe mroczki. Wspinając się na kolejne piętro, dopuściła do siebie palący strach i zmieszanie. W końcu jednak zmusiła się do rozluźnienia. Przyszła pora, by zdać się na najstarszą sztuczkę lekarzy: gdy nie dało się zachować wewnętrznego spokoju, należało przybrać jego maskę, tak jak aktor wkłada kostium i nakłada makijaż.

- Wiesz, pani - Francesca odezwała się tak spokojnie, jak tylko potrafiła - możliwe, że zmuszając mnie do tego biegu na dach, odkryłaś nowy sposób na poprawę sprawności lekarzy.

- Jak to? - Deirdre zmarszczyła brwi.

- Większość kleryków popełniwszy błąd, musi co najwyżej wziąć udział w pogrzebie.

- Deirdre sapnęła. - Ale jeśli każemy lekarzom dźwigać ich błędy po schodach na szóste piętro, być może wkroczymy w złotą erę nieśmiertelności. Umierać będą mogli tylko najdrobniejsi i najłżejsi.

- Chcesz przez to powiedzieć, magistra, że jestem gruba? - awatar sapnęła, tym razem z rozbawienia.

- Tak drobna istotka, jak ty? W życiu - zachnęła się Francesca. - Zmieściłabym dwie takie do sakiewki przy pasie. - Poprawiła chwyt wokół kobiety, skręcając w kolejny ciąg schodów.

- Teraz sugerujesz, że jestem za niska?

- Nie, pani. Nigdy nie ośmieliłabym się obrażać awatara.

- Jesteś nadmiernie śmiałą kobietą, magistra

- stwierdziła Deirdre. - W dodatku naśmiewasz się z wyższych od siebie, by wyłgać się z ciężkiej sytuacji. Gdybyśmy nie uciekały przed losem gorszym od śmierci, mogłabym cię polubić.

- Ja też mogłabym cię polubić, pani - odparła Francesca. - Zwłaszcza gdybyś nie była tak niska i gruba.

- Zaczynam żałować, że wciągnęłam cię w to wszystko - wyznała ze śmiechem Deirdre.

- A co dokładnie rozumiesz przez „to wszystko”? Zanim Deirdre zdążyła odpowiedzieć, klatka schodowa zaczęła rozbrzmiewać wyciem, po czym z dołu rozległy się odległe odgłosy wbiegania po schodach.

- Słyszysz te kroki? - Twarz awatar stężała. - To jeden z wyznawców bestii. Jeśli nas dogoni, będziesz musiała go zabić.

- Zabić? - spytała Francesca. - Nie mogę. Jestem kleryczką.

- Będziesz musiała go zabić, zanim on zabije nas

- wysyczała Deirdre. - A przynajmniej go ogłuszyć. Właściwie to już możesz zacząć szykować czar ogłuszający.

Deirdre ucichła, a kroki za nimi stawały się coraz głośniejsze. Chwilowe opanowanie Franceski zaczęło znikać. Spróbowała szybciej przebiegać nogami, jednocześnie komponując

w ramionach siatkowy czar ogłuszający. Większość swojego życia uczyła się pisać czary w sytuacjach zagrożenia śmiercią, tylko że zazwyczaj chodziło o śmierć pacjenta, a nie jej.

- Skończyłam - wydyszała, gdy dotarły na kolejne piętro.

Deirdre kiwnęła głową.

- Mam nadzieję, że zdołamy mu uciec. Ale bądź w gotowości.

- Czemu właściwie kierujemy się na dach? - zapytała Francesca, czując, że zaczynają ją boleć nogi. - Nie znam języka hierofantów. Nie zdołam użyć lotni.

- Nie sądziłam, że bestia dotrze tu aż tak szybko. Rozstawiłam swoich ludzi na ulicy, ale teraz weszli w afazję lub zostali wyznawcami potwora. Do czasu, aż poznam jego prawdziwe imię, nie odważę się na spotkanie z nim. Nie możemy też pozwolić, by odkrył, że zdjęłam z twojej nogi ten łańcuszek. Zdajemy się więc na plan awaryjny: musimy znaleźć nowego strażnika powietrza. W tej chwili jest w górze. Jest naszą jedyną nadzieją.

Francesca wskoczyła na kilka ostatnich stopni i wypadła z budynku. Szczelina między deszczowymi chmurami odsłoniła szeroki pas jaskrawo błękitnego spiryjskiego nieba. Podmuch wiatru niemal zerwał z ramion Franceski czerwoną klerycką stułę. Dach szpitala pokryty był płowym piaskowcem. Wznosiło się z niego pięć potężnych, siedmiometrowych minaretów. Jeszcze większe wrażenie robiły grube łańcuchy wznoszące się z pomieszczeń na szczytach wież. Pięły się niemal siedemdziesiąt metrów w górę, gdzie kończyły się przy potężnych lotniach.

- Co teraz? - spytała Francesca.

- Lotnia strażnika będzie się znajdowała najbliżej tego. - Deirdre wskazała środkowy minaret.

- Nie widzę już tych pomarańczowych błysków - powiedziała Francesca, ruszając w stronę wieży.

- Oddaliśmy się od drugiego niewolnika - potwierdziła Deirdre. - Im bliżej niego, tym silniejsza afazja i gorszy wzrok.

- Urocze - mruknęła Francesca, schylając się, by wejść do minaretu. W środku było pusto, tylko na ścianie wisiała metalowa drabina.

- Postaw mnie - poleciła Deirdre. - Czuję się już silniejsza.

Stając na ziemi, zachwiała się nieco, ale gdy chwyciła drabinę, bez trudu zaczęła wspinać się po grubych szczeblach.

- Czym właściwie jest ten drugi sługa demona, który nas ściga? - zapytała Francesca, również chwytając szczebel drabiny.

- Tak naprawdę nie mogę ci powiedzieć - odpowiedziała Deirdre, wspinając się. - Nie da się pomyśleć o tym, czym on naprawdę jest, bez specjalnego czaru rzuconego na umysł.

- Mówisz o poznaniu czwartorzędowym? - domyśliła się Francesca. - O myśleniu przez magiczny tekst?

- Tak sędzę. Słyszałam różne opowieści o tym słudze. Mieszkańcy miasta nazywają go Sawannowym Potworem.

- Co? - Francesca miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Sawannowy Potwór -< powtórzyła Deirdre. - No wiesz, stwór, który doprowadza do szaleństwa ludzi w głębokiej sawannie.

- Przecież to tylko bajeczka dla niegrzecznych dzieci!

- Oj. - Awatar wyglądała na wyraźnie usatysfakcjonowaną. - Wygląda na to, że babcie wiedzą coś, czego nie wie nasza wykształcona kleryczka.

- Trzeba więc było iść do jakiejś staruszki ze swoimi przekłętymi krwawiącymi płucami i idiotycznym gonieniem za potworami... - lekko zirytowana Francesca przerwała, gdy drabina zadrżała.

Deirdre przyspieszyła wspinaczkę. Francesca nie odezwała się już słowem, skupiając uwagę na naprzemiennym przestawianiu dłoni i powstrzymywaniu butów przed ślizganiem się po szczebelkach.

W końcu dotarły do ośmiokątnego pomieszczenia u szczytu minaretu. Osiem szerokich okien wychodziło na wznoszące się rampy. Przed każdym, oprócz dwóch okien, stały złożone lotnie. Z obu pustych miejsc do nieba wznosiły się grube łańcuchy. Pomieszczenie rozbrzmiewało echem stukotu i dzwonienia żelaznych ogni.

Deirdre podeszła do złożonydzi lotni. Francesca stała, dysząc ciężko. Nagle z dołu minaretu dobiegło wycie mężczyzny.

- To wyznawca bestii - powiedziała Deirdre, odwracając się. - Francesca zajrzała w głąb luki, z której przed chwilą się wyłoniły, i zobaczyła wspinającą się po drabinie ciemną postać. Mężczyzna, patrząc w górę, wykrzyknął chrapliwie i przyspieszy! wspinaczkę. Trzymał coś w dłoni. Nóż? - Cofnij się - rozkazała awatar. - Gdy tylko pojawi się jego głowa, rzuć na nią swój czar ogłuszający. - Francesca odsunęła się kilka kroków. Z gwałtownie bijącym sercem obejrzała złote zdania na przedramieniu, po czym podniosła wzrok. Deirdre znalazła kawał żelaznego łańcucha i ustawiła się w pozycji bojowej. Gdy krzyki mężczyzny przybrały na sile, Deirdre odezwała się głośno, lecz spokojnie: - Sawannowy Potwór tworzy wyznawców przez związanie czarem i zniszczenie większości ich umysłów. Biedak na

drabinie jest już praktycznie martwy. Gdy Sawannowy Potwór skończy atak, połyka ciała wyznawców, wchłania je do swojego albo...

U wylotu luki pojawiła się głowa mężczyzny. Miał ponad trzydzieści lat, był chudy i ubrany w długą kamizelę. W ręku trzymał coś w rodzaju prymitywnej maczugi. Z wrzaskiem wyskoczył na podłogę i od razu rzucił się na Deirdre. Uskoczyła, unikając jego maczugi, po czym zamachnęła się łańcuchem. Metal trafił mężczyznę w twarz, odrzucając go do tyłu.

- Aaaa! - krzyknęła Francesca, rzucając czar ogłuszający. Siatka złotych zdań owinęła się wokół głowy napastnika, powalając go na ziemię. Francesca usiadła ciężko na kamiennej podłodze, czując, że kręci jej się w głowie.

Deirdre roześmiała się triumfalnie.

- Chodź tu. Musimy użyć jednej z tych lotni, żeby się wydostać... - Przerwała, patrząc na ogłuszonego mężczyznę. - Chwileczkę, mam pomysł. - Kiwnęła głową, jakby z aprobatą dla własnych myśli. - Będzie idealny. Może wciąż jeszcze jesteśmy w stanie oszukać demona. Bestia pochłaniała już w przeszłości artefakty. Masz jeszcze ten łańcuszek, który zdjęłam z twojej kostki?

- Tak - potwierdziła Francesca hardym głosem, choć wcale nie czuła się pewnie. - Mam go w sakiewce przy pasie. - Trzęsły się jej dłonie.

- Chodź tu, szybko - popędziła ją Deirdre. - Musimy umieścić go w tym biedaku.

- Ale... nnie rozumiem - wyjąkała Francesca, wstając.

- Bestii zdarzało się już kraść i pochłaniać potężne obiekty, więc użyjemy tego, by go osłabić. Podejź tu. Łańcuszek musi się znaleźć w ciele tego człowieka. Nie może być na jego kostce, ręce ani w ubraniu. Musi się znaleźć w jego wnętrzu, by Sawannowy Potwór go nie zauważył. Możesz go rozciąć? Włozysz mu łańcuszek do żołądka, a potem go zaszyjesz.

Francesca trzymała w dłoni magiczną ozdobę, potrząsając głową.

- Prościej będzie tekstowo wprowadzić mu go do żołądka przez gardło - powiedziała.

- Więc zrób to - poleciła Deirdre. - Tylko szybko.

Francesca napisała na bicepsie kilka srebrzystych akapitów i połączyła je w długą, wąską i elastyczną tekstową rurkę. Następnie dopisała jeden akapit na czubku dla utrzymania łańcuszka.

- Obróć go na bok - rozkazała Francesca. - Odciągnij jego głowę do tyłu i przytrzymaj szczękę. - Deirdre wykonała polecenie. Kleryczka uklękła przy ogłuszonym mężczyźnie. Pograżając się w bezpiecznie wyćwiczonych działaniach, była skupiona i nareszcie spokojna. Kilkoma wprawnymi ruchami wsunęła czar najpierw do ust, a później w głąb gardzieli pacjenta. Oglądając jego szyję pod różnymi kątami, mogła widzieć swoją prozę, przebijającą

światłem przez jego skórę, i upewnić się, że nie dostała się do tchawicy i płuc. Gładko przeprowadziła czar przez przełyk, tak że skręcił w lewo i zwinął się we wnętrzu żołądka. Następnie z delikatnym uśmiechem przeredagowała zdanie u podstawy czaru, przez co akapit na czubku rozłożył się i uwolnił koniec łańcuszka. - Zrobione

- oświadczyła, wyciągając czar z ust pechowca. Upewniła się, że wciąż oddycha, a jego serce bije. Żadnych śladów kaszlu czy wymiotów. - Weszło idealnie.

W oddali znowu rozległo się wycie i Francescę ogarnął niepokój. Przed jej Oczami znowu pojawiły się pomarańczowe kropki. Musiała usiąść.

- Doskonale - stwierdziła Deirdre i wróciła do jednej ze złożonych lotni. - Teraz musimy się stąd jakoś wydostać. - Francesca spróbowała skupić się na swojej towarzysze. - Dobrze się czujesz? - zapytała Deirdre, nie patrząc na nią.

- Jasne, jestem zadowolona jak kot po polowaniu

- odpowiedziała Francesca najspokojniej jak potrafiła.

- Tylko moje oczy nie chcą... nie... - Nie potrafiła sobie przypomnieć słowa, które chciała wypowiedzieć.

Deirdre dopiero teraz obróciła się w jej stronę. Zakłęła, chwyciła rękę Franceski i zmusiła ją do przejścia przez pomieszczenie.

- Zachowaj spokój. Masz afazję. Bestia jest blisko. Chodź, musimy ci założyć uprząż. - Owinęła coś wokół jej ramion i talii.

- Ddobrze... - Francesca nie widziała już na tyle dobrze, by zobaczyć, co to takiego, ale czuła, że pachnie skórą.

Podłoga zadrżała i pomieszczenie wypełniło się bezsensownymi krzykami, a po chwili ich przeraźliwym echem. Francesca próbowała skupić wzrok na Deirdre, ale awatar wydawała się już zaledwie ciemną plamą. Pomarańczowe błyski były coraz intensywniejsze.

- Co wiesz o magii lotni? One zmieniają kształt, prawda? Mogą przybrać każdy kształt, jaki jest wymagany do lotu? - zapytała Deirdre, równocześnie zakładając sobie uprząż.

- Wiem tylko, że jest jakiś... żagiel czy rękaw zapisany... językiem hierofantów, który może przemieszczać powietrze. - Francesca potrząsnęła głową. - Rękaw pokryty czarami wiatru... Nazywają go... spadochron. Wydmuchuje powietrze i ciągnie... - Nagle krzyknęła.

Coś wylewało się z wylotu w podłodze. Próbowała skupić na tym wzrok, ale nie potrafiła. Miała wrażenie, jakby ślepią, patrząc na macki wykręcającej się nicości. Zatoczyła się do tyłu i w ostatniej chwili Deirdre chwyciła ją mocno za ramiona.

- Francesca! Musisz przestać krzyczeć.

Macki nicości zawirowwały wokół ich nóg.

- Ślepotą! W powietrzu... ślepe powietrze - wybełkotała Francesca, próbując się uwolnić, ale ręce Deirdre były jak zrobione z żelaza.

- Nie! To tylko złudzenie! - krzyknęła awatar. - To twoja reakcja na bliskość bestii. Wiąże czarem tę część twojego umysłu, która odpowiada za widzenie. - Jednak w oczach Franceski świat zatapiał się w nicości. - Chyba znalazłam spadochron. - Głos Deirdre przebił się przez wycie. - Czy to może być to?

Francesca poczuła w dłoniach coś szorstkiego i okrągłego.

- To tkanina. Hierofanci zapisują... swój język... tylko na tkaninie.

- Jak rzucić czar? - spytała Deirdre.

Francesca potrząsnęła głową.

- Potrzeba hierofanty... by przemieścić zdania w tkaninie... i rzucić czar na...

Bez ostrzeżenia Wokół Franceski echem odbił się głośny skowyt kobiety.

- Szlag! - zaklęła Deirdre. - Czekaj. - Stukot obcasów na kamieniu. Odgłos ciągnięcia czegoś dużego. A potem metaliczne dzwonięcie. W pierwszej chwili głośne, potem jakby słabło. Wycie ustało. Stłumione uderzenie. Znowu głośniejsza kakofonia: dwa wyjące głosy. Dłoń Deirdre znów dotykała ramienia Franceski.

- Chyba obudziłam go z twojego czaru ogłuszającego.

- Obudziłaś...? Kogo...? - Francesca traciła kontakt z rzeczywistością.

- Mężczyznę, w którym umieściliśmy łańcuszek

- wyjaśniła cierpliwie Deirdre. - Zrzuciłam go na wyznawczynię, która się tu wspinała.

Oboje spadli na dół minaretu. Może połamali parę kości, ale przynajmniej przestaną nas ścigać. - Urwała. - Słuchaj.

Wycie znowu przybrało na sile.

- Co robimy? - spytała nerwowo Francesca.

- Uciekniemy lotnią - odparła awatar. - Spadochron owinięty jest wstęgą z materiału z emblematem marszałka wiatru. Co się stanie, jeśli ją zerwę?

- Ani mi się waż! - krzyknęła Francesca, nagle przytomniejąc. - Rozerwanie magicznego manu... manu... strony uwalnia jej zdania. Nie wiesz...

- Ale to może aktywować spadochron?

Wystraszona i ślepa Francesca wyciągnęła ręce, próbując dotknąć Deirdre.

- To tnoże nas wyrzucić w...

Do wcześniejszych głosów dołączyły trzy kolejne.

- Nie mamy czasu! - krzyknęła Deirdre. - Jest ich zbyt wielu.

- Do diabła z tym! Nawet jeśli jest tam cały cholerny legion, musiałybyś być szalona, żeby... - krzyczała wzburzona Francesca.

I wtedy usłyszała głośny szept dartej tkaniny.

Shannon podbiegł do okna i wsunął dłoń w smugę słonecznego światła. Blask rozżarzył ciemną skórę na jego pomarszczonych palcach i drewnianą podłogę pod nim.

Był częściowo przezroczysty. Prawą dłonią chwycił za mały palec lewej ręki i pociągnął. Palec rozblysnął złotem. Kolejnym gwałtownym szarpnięciem rozwinął go. w cylindryczną chmurę wirującej prozy. Technicznie rzecz biorąc, nie był teraz Shannonem, tylko połyskliwym tekstem. Puścił złote słowa, które jak na sprężynach zaskoczyły z powrotem, tworząc lekko przezroczystą tkaninę. Przejechał dłonią po twarzy i wyczuł krótką brodę, wąsy, zakrzywiony nos i burzę białych dredów. Był czarem. Czarem napisanym specjalnie tak, by wyglądał jak Shannon, by wierzył, że jest Shannonem. Przycisnął dłoń do piersi. Nie musiał oddychać, a jednak jego klatka piersiowa poruszała się miarowo. Był duchem, tekstową kopią Shannona.

- Stwórcu, miej litość! - wyszeptał, a raczej próbował to zrobić, bo jego gardło splecione było ze złotych zdań numenosa, które wpływały na światło i tekst, ale nie werbalizowały się w świecie materialnym. - Stwórca - spróbował powiedzieć, ale znowu nie dobył najcichszego nawet dźwięku.

W jego umyśle pojawiły się pytania. Jak zginął jego autor? Czemu znajduje się w Avel? I co najważniejsze - jak ma przetrwać?

Tylko żywe mięśnie lub boskie ciało mogły produkować runy magiczne, a jako duch Shannon dysponował skończoną liczbą podczarów. Każde jego działanie wymagało zużycia pewnej ilości tekstu. Żeby móc go uzupełniać, duchy magów musiały przebywać w nekropoliach znajdujących się przy akademiach magów. Jeśli w ciągu kilku dni nie dostanie się do takiej nekropolii, jego duch się rozpadnie. Zginie. Znowu.

Coś tu było bardzo nie w porządku.

Odległe wycie przybrało na sile. Potem rozległ się łomot, jakby ktoś z trzaskiem zamknął drzwi. Musiał sprawdzić, co się tu dzieje. I to jak najszybciej.

Spojrzał na drzwi, przed którymi leżały pozostałe fragmenty zdania. Dziwne. Po rozbiciu tekst w numenosie zazwyczaj rozpadał się na kawałki. Podszedł do roztrzaskanego zdania. Jego autor napisał runy w splecionych grupach, co powstrzymało je przed rozpadem, ale też nadało kruchość całej konstrukcji.

Fragmenty upadły, rozdzielając się na wyraźne kupki. Duch Shannona podszedł do największej i zebrał runy w zdanie: Znajdź kleryczkę Francescę DeVega. Tylko ona... Dołączył pozostałe fragmenty...może pomóc ci znaleźć twojego mordercę.

Choć duch nie produkował śliny, przełknął odruchowo. A więc jego autor został zamordowany? Tylko kiedy? Jeśli duch znajdował się w ciele autora w chwili jego śmierci, stawał się niespójny. To z kolei oznaczało, że został usunięty z ciała jeszcze przed popełnieniem morderstwa. Jednak czy jego autor naprawdę został zabity? I kto napisał to numenosowe ostrzeżenie?

Pod stół spadł samotny fragment run. Podszedł do niego na czworakach i odczytał zdanie: Musisz ostrzec Nikodemusa!

Jęknął bezdźwięcznie, gdy jego umysł jak na zawołanie przywołał tysiąc ukrytych dotąd wspomnień o Nikodemusie Wealu. Przypomnił sobie kakograficznego chłopca w Starhaven, tajemnicze śmierci, polowanie na Fellwrotha i ukrywanie się przed nim, szmaragd, demona i... chorobę. To ostatnie wspomnienie było najbardziej wyraźne. Podczas zabawy w polowanie i ucieczkę Fellwroth użył szmaragdu, by rzucić na Shannona klątwę rakową, tworząc w ten sposób chorobę, która powoli zaczęła go zabijać. Gdy Nikodemus na krótką chwilę zdobył szmaragd, zdołał spowolnić rozwój raka. W: Dolinie Niebiańskiego Drzewa wydawało się, że Shannon wyzdrowieje. Jednak w miarę upływu czasu jego stan zdrowia zaczął się pogarszać.

Duch zamknął oczy, przypominając sobie życie w dolinie. Próbował pomóc Nikodemusowi zwalczyć jego ułomność, ale kakografia chłopaka postępowała. Jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że powinowactwo Nikodemusa do tatuowanego języka koboldów doprowadziło do tego, że odrzucił język magów. Zbyt przejęty swą rosnącą w tym kierunku mocą Nikodemus zapragnął ścigać Tajfona. Shannon sprzeciwiał się temu, co doprowadzało do ciągłych zażartych kłótni między nimi.

A teraz okazuje się, że Shannon nie zginął od klątwy rakowej, ale został zamordowany. Mówiłem chłopcu, że musi dłużej się uczyć, pomyślał i spróbował warknąć, ale znowu nie wydobył z siebie żadnego dźwięku.

Rozbolała go głowa. W jednej chwili czuł się tak, jakby Shannonktóryżył był zupełnie obcą osobą. W następnej miał wrażenie, jakby to on sam był Shannonemktóryżył: posiadał wszystkie jego wspomnienia, odczuwał wszystkie jego emocje. Czy to możliwe, że sam był swoim autorem? Może nie ciałem autora, ale jego umysłem?

Jednak teraz nie miał czasu na filozoficzne rozważania. Zamknął oczy i spróbował przypomnieć sobie moment, kiedy razem z Nikodemusem opuścił Dolinę Niebiańskiego

Drzewa. Jednak nic z tego nie wyszło, nie pamiętał tego zdarzenia. Wspomnień jednak nie zagrzebano, jak ostatnim razem. Po prostu je usunięto.

Duch rozejrzył się za kolejnymi fragmentami zdań. Blżej drzwi znalazł kupkę złotych run, które przetłumaczył na zdanie: Jeśli znajdą cię konstrukty, ukryj się w księgach. Jednak cokolwiek zrobisz, NIE...

Pisanie wielkimi literami było uznawane przez czarodziejów za odpowiednik krzyku i teraz to wykrzyczane „NIE” bardzo zaniepokoiło Shannona.

Co „NIE”?

Nigdzie w pobliżu nie dostrzegł więcej wykrzyczanych tekstów, ale gdy opuścił głowę, zauważył, że cztery fragmenty run wypadły pod drzwiami na korytarz.

Uważnie obejrzał drzwi. Lite sekwojowe drewno. Jako duch został napisany niemal w całości w numenosie, w związku z czym nie potrafił ich otworzyć. Eksperymentalnie przyłożył dłoń do drewna i jego palce zniknęły w fakturze.

Powoli przeszedł przez drzwi. Czuł ból w stopach, a po chwili w jego uszach zagnieździły się brzęczące owady. Jakiś fragment jego ucha środkowego - prawdopodobnie czar podrzędny wykrywający wibracje powietrza - musiał zostać napisany w magnusie, srebrzystym języku wpływającym na obiekty materialne, jednak niedziałającym na światło i teksty magiczne.

Brzęczenie ustało i duch znalazł się na korytarzu: drewniana podłoga, długie białe ściany i zwieńczone łukami strzeliste okna, za którymi w słońcu błyszczały czerwone dachówki i minarety z piaskowca. Rynnami płynęły strumienie deszczówki.

Stopy bolały go nadal i nagle zauważył, że na kilka centymetrów zatopił się w podłodze. Wystraszony, podniósł jedną nogę i zobaczył, że jej podeszwa błyszczy magnusem. Przejście przez drzwi musiało uszkodzić srebrzystą prozę. Zapadł się kolejne dwa centymetry i przewrócił na bok. Spodziewał się, że przeleci przez podłogę, jednak jego biodro uderzyło o drewniane panele, umożliwiając mu wyciągnięcie nóg z desek.

Nieco wstrząśnięty, obejrzał swoje biodro i odkrył, że ma w nim zwinięte dwa srebrzyste zdania. Przycisnął dłoń do podłogi i zobaczył magnusowe zdanie, które pędziło do jego dłoni, umożliwiając mu odepchnięcie się od podłoża.

Wreszcie duch zrozumiał: jego skromne zasoby magnusowego tekstu, które nadawały mu ciężar, rozkładały się tak, by mógł odpychać się od powierzchni, którą miał pod sobą.

Naruszona proza w jego stopach sprawiała wrażenie naprawionej. Gdy proces dobiegł końca, duch podniósł się i przykucnął. Teraz jego stopy działały tak jak należy. Właśnie miał

się podnieść, gdy dostrzegł sekwencje numerosowych run, które wysunęły się pod drzwiami: ZAJTEGOPO, OPUSZC, KOJUPRZED, ZMROKIEM.

Podniósł je. Kropka po ZMROKIEM znaczyła, że to słowo powinno znaleźć się na końcu zdania. Czyli ZAJTEGOPOOPUSZCKOJUPRZEDZMROKIEM? Dodał odstępy. ZAJ TEGO PO OPUSZC KOJU PRZED ZMROKIEM. Lepiej, ale wciąż nie to. Przyjrzał się uważnie słowom, marszcząc brwi.

Przełożył ZAJ i PO, po czym zmienił kolejność uzyskanych fragmentów, dodając poprzedni element i spacje w odpowiednich miejscach: Ale cokolwiek zrobisz, NIE OPUSZCZAJ TEGO POKOJU PRZED ZMROKIEM.

Wstał i rozejrzał się wokół. W korytarzu dmuchał tylko przeszywający przeciąg, jednak przez czerwone dachówki na zewnątrz przemknął długi cień. Spojrzał w niebo nad dachem i jego oczom ukazało się długie bezgłowe ciało - białe i płaskie jak świeżo wybielona płachta papieru. Słońce odbijało się od jego czterech stalowych szponów.

Francesca poczuła, że swędzą ją palce. Cokolwiek rozdarła Deirdre, musiała przy tym uwolnić nieznaną jej magiczny język. Wstrzymała oddech.

Nic się nie stało.

Na zewnątrz zaświstał wiatr.

- Może czary nie... - zaczęła Deirdre i dokładnie w tym momencie coś szarpnęło Francescę do góry z taką siłą, że jej podbródek boleśnie odbił się od piersi.

Francesca krzyknęła pierwsza, ale wrzask Deirdre, którą również poderwało, był o wiele głośniejszy. Coś ciągnęło je do góry z miażdżącą zołądek prędkością. Wszędzie wokół szalał lodowaty wiatr, który oczyścił wzrok Franceski, odsłaniając świat pełen koloru i ruchu.

W górze, na tle szafirowego nieba, rozpostarty był żółty spadochron pełen niewidocznego języka hierofantów. Z głębi półsferycznej czaszy wiał wściekły wiatr prosto w wiszące w skórzanych uprzężach kobiety. Pod nimi wznosiła się potężna ośmiokątna kopuła sanktuarium

Cali, kryjącego kamienną arkę z duszą półbogini. W promieniach słońca pobłyskiwały jeszcze mokre od deszczu czerwonawobrazowe dachówki sanktuarium.

Wokół świętej budowli rozciągało się miasto Avel - labirynt budynków z piaskowca, krętych uliczek i jasnych ogrodów. Potężne, wzmocnione tekstowo mury dzieliły miasto na dzielnice oraz ochraniały przed dziczą na zewnątrz. Na wschód od Avel ziemia opadała do niemal bezkresnej sawanny. Wiatr sprawiał, że wysokie trawy unosiły się i opadały niczym morskie fale. Na horyzoncie unosiły się odległe chmury burzowe wsparte na ledwie widocznej tęczy.

Nie przestając krzyżeć, Francesca odwróciła się na zachód, w stronę pofalowanych wzgórz. Cudowna Tama Kanonistki Cali zaczynała się w północnozachodniej części miasta i wyrastała na zewnątrz, zamykając głęboki kanion ograniczający Avel od zachodu. Po północnej stronie tamy rozciągał się zbiornik. Ciemne jezioro rozlewało się na sześć wijących się między wzgórzami odnóg. W oddali horyzont znaczyły Kasztanowe Góry.

Leciały w górę, aż dotarły do skupiska około dziesięciu lotni. Ciągący się za nimi łańcuch napiął się gwałtownie, zatrzymując wznoszenie. Francesca i Deirdre poczuły szarpnięcie, po czym zamasyżście rozhuśtały się w upjężach. Spadochron nad nimi złożył się w olbrzymią, prostokątną płaszczyznę lotni.

Gdy na chwilę się zatrzymały, zapadła cisza, ale teraz kobiety znowu podniosły krzyk. Rozmazany świat wirował przed ich oczami, jakby były na wielkiej karuzeli. Francesca krzyczała ze strachu i miała wrażenie, że nigdy nie przestanie, ale wrzask Deirdre w pewnej chwili przeszedł w pełen triumfu śmiech.

Wreszcie się zatrzymały. Wiatr nadal był silny i niektóre fragmenty tkaniny lotni chwilami trzaskały od jego podmuchów, ale poza tym w górze było zdumiewająco cicho.

- Powiedziałaś, pani, że jesteś półboginią - odezwała się Francesca - ale nie wspomniałaś, że jesteś kompletnie szalona!

- Kompletnie szalona, ale cholernie żywa i wolna - odpowiedziała jej Deirdre z uśmiechem jaśniejszym od każdej magii. Ponownie roześmiała się głośno.

- Pani, ten czar mógł rozbić nas na miazgę tak drobną, że przepłynęłaby przez najęstsze sito. - Francesca złapała swój powiewający na wietrze długi warkocz.

- Popatrz tam, na dach szpitala. - Deirdre wskazała w dół.

Wiatr poniosł je na wschód, unosiły się teraz daleko nad Avel. Podmuchy nadciągały od strony Kasztanowych Gór, obracając lotnię w zachodnim kierunku. Francesca potrzebowała chwili na odszukanie szpitala sanktuarium. Kiedy w końcu jej się to udało, zorientowała się, że jest tam mały obszar niewidzialny dla jej oczu. Tak jakby wokół dachu poruszała się chmura, która konsekwentnie coś przysłaniała.

- Widzę pustkę - powiedziała Francesca.

- Nie. - Deirdre pokręciła głową. - Widzisz Sawannowego Potwora. Przybył, by zabrać mnie z powrotem do demona.

Francesca chwyciła Deirdre za ramię.

- Z całym szacunkiem, moja pani awatar, ale czy nie nadszedł czas, żebyś wreszcie wyjaśniła mi, o co chodzi z tym demonem? Uważasz, że nadchodzi Wojna Dysjunkcji?

Kobieta znowu pokręciła głową.

- Wojna już się zaczęła. Demon imieniem Tajfon przekroczył ocean. Uwięził kanonistkę Calę i zmusił mnie, bym została jego regentką szpiegów i kierowała siatką jego informatorów. - Francesca otworzyła usta, ale Deirdre nie dopuściła jej do słowa. - Skoro Potwór jest tak blisko, demon w każdej chwili może osiąść mnie ponownie. - Teraz to ona złapała Francescę za rękę.

- Słuchaj, większość hierofantów w Avel sądzi, że służą Cali, choć tak naprawdę służą Tajfonowi. Gdy demon zorientuje się, że włączyłam cię do gry, wyśle wszystkich swoich agentów, by sprowadzić cię z powrotem. Nie wracaj do sanktuarium. Będziesz bezpieczna w mieście przez dzień lub dwa, zanim zaczną je przeszukiwać. Musisz znaleźć ukrywającego się w mieście człowieka i przekazać mu wiadomość. Kiedyś widywano go w dzielnicy Północnej Bramy, między wyznawcami, których zwą Kanikami. Słyszałaś o nich?

- Oczywiście - odparła Francesca. Kanicy należeli do najbiedniejszych mieszkańców Avel. Ich przedstawiciele leczyła znacznie częściej niż innych kleryków.

- Kanicy chronią tego człowieka. W ubiegłym roku znaleźliśmy ich i zabiliśmy kilku jego uczniów. Musisz go odszukać. To zbuntowany mag imieniem Nikodemus Weal. On...

- Przeklęty przez boga bogów Nikodemus Weal?!

- krzyknęła Francesca. - Kakograf, który może być antyZimorodkiem, Nawałnikiem Burzowym? Ten, który dziesięć lat temu wymordował innych kakografów w Starhaven?

- To nie prawda. - Deirdre się skrzywiła, gdy jej nogi gwałtownie drgnęły w uprzęży.

- Do diaska, wiedziałam, że za uśmiercenie cię na moim stole czeka mnie kara, ale to trochę za dużo.

Nie mogłabyś po prostu wyrwać mi języka, połamać żeber albo wymierzyć podobną, szybką pokutę?

- To nie pora na żarty.

- Poważnie chcesz, żebym znalazła najśłynniejszego kakografa od czasów Jamesa Berra? - spytała Francesca, wciąż nie dowierzając.

- Jamesa Berra? - Deirdre uniosła brwi.

- Był najśłynniejszym i najbardziej znienawidzonym kakografem do dnia, gdy Nikodemus dokonał tych wszystkich mordów w Starhaven.

- Musisz go odszukać - powiedziała stanowczo Deirdre, znowu się krzywiąc. Jej nogi ponownie drgnęły. - Powiedz mu, że demon wie. Powiedz mu, że zastawił pułapkę.

Nagle uścisk Deirdre osłabł, a jej oczy wywróciły się białkami do góry. Francesca przez chwilę myślała, że kobieta dostała jakiegoś ataku.

- Pułapkę? - zapytała Francesca. - Co masz na myśli? Jaka pułapka?

Deirdre jęknęła.

- Demon znowu próbuje mnie posiąść. Musimy się rozdzielić, zanim mu się to uda.

- Czemu?

- Bo gdy przejmie nade mną kontrolę, natychmiast złamię ci kark.

- No dobrze, przekonałaś mnie. Tylko jak, na płonące piekła, mamy się rozdzielić, skoro wisimy pod lotnią, której nie kontroluje żadna z nas?

Deirdre wskazała na pozostałe lotnie.

- Jeden z hierofantów.

Francesca spojrzała za jej dłonią. Pod każdą z lotni wisiały liny z uprzężami. Było ich około dziesięciu, ale tylko pod niecałą połową wisieli hierofanci w zielonych szatach. Z tego miejsca piloci wypatrywali pożarów traw lub migracji likantropów. Czterech lub pięciu pilotów unosiło się także nad murami miasta, pomagając wartownikom w wypatrywaniu zbliżających się agresorów.

Większość pilotów zdawała się zajmować swoim sprzętem, bez ustanku przesuując dłońmi pośród lin, ale jedna z lotni, czerwona i rozpromieniona słońcem, wyraźnie sunęła w ich stronę.

- Kiedy znajdziesz Nikodemusa - Deirdre znowu zwróciła się do Franceski - w żadnym wypadku go nie dotykaj, nawet na moment. Jest przeklęty.

- Krew i potępienie, wołałabym w ogóle go nie spotkać - westchnęła kleryczka. - Słuchaj, jeśli naprawdę mam to zrobić, muszę wiedzieć więcej o tym demonie i jego pułapce.

Awatar przycisnęła do policzka drżącą dłoń. Zdawała się tracić nad sobą kontrolę.

- Zrobiłam trochę... możesz uzyskać pomoc od... Nie wiem, czy przeżył... Nie jestem czarodziejką... - Jej ręce drżały coraz gwałtowniej. Miała problemy z mówieniem. - Tajfon próbuje przejąć kontrolę...

Nagle zagrzemiał głośny krzyk:

- Ahoj, do lotni w dole!

Francesca obróciła się i zobaczyła, że czerwona lotnia zbliżyła się do nich na jakieś dziesięć metrów. Pilotował ją niski mężczyzna owinięty grubymi zielonymi szatami. Jego głowę osłaniał turban, a twarz zakrywała chusta hierofanty. Kiedy na niego spojrzała, zsunął chustę, odsłaniając twarz. Był przystojny, miał jasnobrazową karnację i zadbane czarne zarost. Nawet z tej odległości Francesca rozpoznała w nim czarodzieja i poczuła, jak ścisną ją w gardle.

- Stwórco - wyszeptała. - Boże bogów, twoja zdolność do karania mnie za porażki rośnie z każdą chwilą. Czy naprawdę ze wszystkich ludzi musiał zesłać właśnie jego?

Wydawało się, że Deirdre nieco bardziej nad sobą panuje. Jej ręce przestały drżeć. Przyłożyła dłonie do ust i krzyknęła:

- Ahoj, strażniku powietrza! Jesteśmy w niebezpieczeństwie!

- Widzę - odpowiedział grzmiący głos. - Jak wzbiliście się do góry bez hierofanty?

- Nie żartuj, strażniku. Jestem oficerem kanonistki Cali. Sanktuarium i szpital zostały zaatakowane.

- Podaj dzisiejsze hasła. - Czerwona lotnia zbliżyła się bardziej.

- Granit, ogień, południe - odpowiedziała Deirdre i poczekała, aż mężczyzna kiwnie głową. - W imieniu Niebiańskiego Kanonu rozkazuję ci osobiście ewakuować moją pasażerkę do wiatrowego ogrodu. Nie pozwól jej wrócić do miasta, dopóki nie dowiesz się, że sanktuarium znowu jest bezpieczne. Nie ufaj żadnemu innemu magowi wiatru. Nie powtarzaj nikomu moich słów ani nie zdradzaj, że w ogóle ze mną rozmawiałeś.

Francesca chwyciła ramię awatara.

- Nie on! - powiedziała. - Każdy inny hierofanta, tylko nie on, proszę.

- On jest nowym strażnikiem powietrza. Dopiero tu przybył. - Deirdre odepchnęła jej rękę. - Tajfon sprowadził go tu, bo nie*zna sytuacji kanonistki. Stanowi zasłonę.

Francesca nie rozumiała, o czym mówiła jej rozmówczyni. Właśnie miała powiedzieć coś tak dosadnie, jak tylko potrafiła, gdy nagle szarpnięcie łańcucha ściągnęło ich lotnię półtora metra w dół.

- Co się dzieje? - Żołądek Franceski podskoczył jej do gardła. Spojrzała w dół na dach szpitala. Chmura ślepoty Sawannowego Potwora unosiła się teraz nad minaretem, do którego zakotwiczona była ich lotnia.

- On nas ściąga! - krzyknęła Deirdre.

- On was ściąga! - zawołał w tym samym momencie strażnik. - Nie mogę przejąć twojego pasażera, jeśli wieża ściąga was w dół.

Kolejne szarpnięcie obniżyło lotnię o trzy metry.

- Bestia odkryła, który łańcuch łączy się z naszą lotnią - rzuciła Deirdre.

Spadały z prędkością przyprawiającą o mdłości. Strażnik powietrza obniżył swoją lotnię, by dotrzymać im towarzystwa.

- Co się stanie, jeśli Sawannowy Potwór nas ściągnie? - zapytała Francesca.

- Bestia cię pochłonie, a demon na wieczność zrobi ze mnie niewolnicę, Nikodemus wejdzie w jego pułapkę, a bóg strachu Los się odrodzi.

- Możemy z nim walczyć?

- Nie ma mowy - awatar potrząsnęła głową. - Jestem zbyt blisko ponownej utraty kontroli nad sobą, poza tym nie znam imienia bestii. Musisz iść. Podam ci moją wiadomość dla Nikodemusa dotyczącą pułapki. Słuchasz mnie? - Francesca kiwnęła głową. - Powiedz mu, że są dwa smoki.

- Dwa CO? Ty...

- Demon powiedział - przerwała jej Deirdre - że twoim zadaniem będzie utrzymanie Nikodemusa przy życiu podczas jego wymuszonej konwersji. Myślę, że demon chce zranić Nico w taki sposób, że tylko ty zdołasz go wyleczyć.

- Aleja nie znam...

- Tajfon coś przede mną ukrywa. Przez lata, jako jego regentka szpiegów, kontrolowałam jego korespondencję. Dowiedziałam się z niej, że Tajfon zaczął przerabiać Sawannowego Potwora na pierwszego smoka, ale zużyła się moc szmaragdu. Bestia jest więc pół potworem, pół smokiem.

- Przeklęty przez boga bogów smok? Z łuskami, skrzydłami i ognistym oddechem?

- Wygląda w ten sposób tylko w pewnych warunkach - Deirdre potrząsnęła głową. - Smoki są bardziej potencjami lub siłami. A potwór jest teraz czymś groteskowym, czymś nie do pojęcia. - Deirdre zadrżała i w skupieniu zacisnęła powieki. - Słuchaj, w jednym z listów demona zostałaś wymieniona jako jedyna osoba, która może powstrzymać drugiego smoka przed zniszczeniem Nikodemusa. Nie wiem nic więcej. Jako regent szpiegów poleciłam swoim agentom, by w magiczny sposób zranili mnie podczas ataku likantropów. W ten sposób trafiłam do ciebie, do szpitala. Musiałam wprowadzić cię do gry.

- Co u diabła przez to rozumiesz? - Francesca nic z tego nie rozumiała.

- Zrywając ci z kostki łańcuszek, zerwałam jego kontrolę nad tobą. Teraz możesz opuścić miasto bez jego wiedzy. Musisz powstrzymać drugiego smoka.

- Ale czemu ja? - wychrypiała Francesca. - Co ja, na płonące niebiosa, wiem o demonach i smokach?

- Nie ma czasu na takie rozmowy. - Deirdre znowu potrząsnęła głową. - Leć!

- Gdzie mam lecieć, do diaska?

Zamiast odpowiadać, Deirdre odwróciła się w stronę strażnika powietrza i ryknęła:

- Pilot SPADA!

Francesca również się odwróciła, by sprawdzić, który z hierofantów odpadł ze swojej lotni, jednak gdy tylko to zrobiła, Deirdre sięgnęła do góry i bez najmniejszego wysiłku zerwała pasy uprzęży Franceski.

Kleryczka w ostatniej chwili z krzykiem złapała się Deirdre, ale nieśmiertelna kobieta chwyciła ją za ramiona i z nieludzką siłą pchnęła w dół.

Latawiec bojowy został napisany na dwuipółmetrowym pasie białego płótna żaglowego. Z przodu miał małą parę trójkątnych skrzydeł dziobowych, a z tyłu większą parę skrzydeł rufowych. Od czasu do czasu skrzydła machały, zapewniając napęd, jednak przez większość czasu konstruktor poruszał się jedynie za pomocą falowania. Choć czar unosił się w powietrzu, przypominał Shannonowi rekina płynącego przez morze.

Pierwotnie latawce bojowe zostały napisane do walki, ale od czasu Spiryjskiej Wojny Domowej ich jedyną oficjalną funkcją było strzeżenie świętych miejsc Spirii. Sądząc po prędkości, ten konkretny latawiec bojowy zidentyfikował ducha Shannona jako obcy czar zagrażający sanktuarium.

Gwałtowny zamach ogona rzucił latawcem przez okno korytarza. Z tkaniny rozłożyły się dwie łapy, z których każda zakończona była czterema szponami z zaostrzonych stalowych prostokątów. Shannon odskoczył do tyłu - jako duch, który właściwie nie ważył, poruszał się błyskawicznie. Szpony latawca bojowego uderzyły głośno o podłogę. Jeden z nich zaczepił o gołenń Shannona. Pomimo że był duchem, poczuł ostry ból nogi. Konstruktor przeleciał jeszcze trzy metry korytarzem i wylądował niezgrabnie. Siła uderzenia sprawiła, że zawinął się w płachtę płótna. Shannon spojrzał na swoją nogę - z rany wylatywały uszkodzone zdania. Chwycił rozpadający się język i przeredagował go z powrotem w swoje ciało. Zwykle stał przeszłaby przez niego, nie wyrządzając żadnej szkody. Najwyraźniej jednak stał się ofiarą ostrych, hierofanckich czarów.

Shannon podniósł wzrok. Zwinięty jeszcze przed chwilą latawiec zaczął wypełniać się powietrzem. Jego powiewające brzegi wyostrzyły się, gdy konstruktor odwrócił się w jego stronę. Shannon przykucnął. Latawiec bojowy dmuchnął w podłogę i skoczył, a Shannon rzucił się w lewo, zaledwie o centymetry unikając szponów. Tym razem konstruktor przewidział szybkość jego ruchów i z kolejnym podmuchem powietrza zawirował, by uderzyć ponownie. Shannon skoczył prosto do góry, tak wysoko, że jego głowa wbiła się w sufit. Na chwilę cały świat poczerniał, a potem jego głowa wyłoniła się z podłogi w korytarzu piętro wyżej. W oddali zobaczył dwie biegnące postacie w zielonych szatach. Spróbował zepchnąć się w dół, ale jego dłonie przeszły przez sufit. Przypominając sobie, że magnusowy tekst opierał się o to, co uznawał za podłoże, Shannon pomyślał o przejściu po suficie pod sobą. Jego dłonie natychmiast zyskały wsparcie. Po przepchnięciu głowy przez podłogę zobaczył latawiec bojowy sunący w jego stronę w błyskach tkaniny i stali. Instynktownie odepchnął się

od sufitu, znów o włos unikając latawca. Jednak tym razem nie sprawdził, gdzie skacze. Zamiast opaść na podłogę, poleciał w bok i przebił się przez zewnętrzną ścianę korytarza.

Jego uszy ponownie zabrzęczały, w dłoniach poczuł pieczenie. Znalazł się na zewnątrz - w świetle słońca zjeżdżał w dół mokrego od deszczu dachu. Chciał wbić palce w dachówki, żeby się zatrzymać, ale przeszły przez nie na wylot. Przebicie się przez ścianę uszkodziło jego magnusowe zdania. Gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył brzeg dachu gdzieś wysoko ponad wzniesionymi z piaskowca budynkami miasta. Nie wiedział, czy upadek z tak dużej wysokości, może go uszkodzić, skoro jest duchem, ale wołał się nie przekonywać.

Bez ostrzeżenia magnus w jego palcach odzyskał dość spójności, by go zatrzymać. Poczul szarpnięcie w ramieniu, które niemal rozerwało tworzące je akapity. Na skraju dachu świszczal porywisty wiatr.

Usłyszawszy zgrzyt stali na kamieniu, podniósł wzrok. Latawiec bojowy złożył się wpół i przysiadł na parapecie okna. Wiatr zmienił kierunek i Shannon ponownie usłyszał daleki skowyt. Przypomniał sobie numenosowy tekst, który przetłumaczył w bibliotece. Jeden z kawałków brzmiał: Jeśli znajdą cię konstrukty, ukryj się w księgach.

Musiał wrócić do biblioteki. I to szybko.

Latawiec bojowy zeskoczył z parapetu okna i na kilkanaście metrów wzbił się w powietrze. Obserwując go, Shannon dostrzegł, że powyżej lecą dwa kolejne latawce. Konstrukty krążyły wokół niego jak sępy nad padliną. Jeszcze wyżej unosiła się grupa jaskrawo zabarwionych lotni. Dwie z nich - żółta i czerwona - zaczęły się nagle opuszczać gwałtownymi szarpnięciami, a po chwili z żółtej ktoś wypadł. Potem jeden z bojowych latawców zanurkował ku Shannonowi niczym jastrzęb.

Mag gorączkowo wbijał palce w gonty, wspinając się z powrotem na dach. Wreszcie wybił się w powietrze i poleciał przez okno prosto na korytarz. Obejrzał się i nie dalej niż trzy metry za sobą zobaczył bojowy latawiec, który zwinął się w wąski rulon, by przelecieć przez okno, po czym znowu wysunął stalowe szpony. Shannon odwrócił się i zanurkował w drzwi biblioteki, przenikając przez nie. Znowu brzęczenie, znowu ból, aż wreszcie stanął na podłodze pomieszczenia, a raczej zapadł się w nią na kilka centymetrów. Usłyszał za sobą trzask. Odwrócił się i zobaczył biały arkusz wyłaniający się ze szczeliny pod drzwiami. Inne kawałki tkaniny przesuwaly się między deskami drzwi.

- Stwórcu! - zaklął cicho Shannon, gdy latawiec rozczłonkował się na paski.

Odwrócił się gwałtownie, szukając otwartej książki, w której mógłby się schronić. Jednak wszystkie były zamknięte. Jedyne odsłoniętym papierem w pokoju była spryskana

krwią notatka: wspomnienia są w niej. Kiedy patrzył na kartkę, ze stołu zerwał ją nagły podmuch. Shannon odwrócił się i zobaczył skradający się w jego stronę, w pełni ukształtowany latawiec bojowy. Uskoczył w prawo, ale jeden ze szponów zahaczył o jego ramię i rozerwał je, wywołując ostrą falę bólu. Shannon wylądował na podłodze. Latawiec próbował wykręcić, ale uderzył w pokryty księgami stół. Rozległ się trzask pękającego drewna, świst wiatru i łopot kartek.

Coś wylądowało tuż obok Shannona. Obrócił głowę i zobaczył otwarty kodeks, którego strony obracały się szybko, wzbijane podmuchem. Bojowcy latawiec rozciągnął się nad nim. Shannon desperacko wsunął rękę w przewracające się strony księgi. Papier uderzył w jego palce, rozbił je na złotą prozę, po czym pochłonał ją. Strony obracały się tak szybko, że rozwinęły jego rękę w chmurę run, wciągając ją na swoje karty.

Potem latawiec opadł na Shannona, przebijając szponami jego nogi. Próbował krzyknąć, ale strony gwałtownie wciągnęły go do księgi.

Nikodemus przykucnął w ciemnym korytarzu z trzema uczniami. Po jego prawej stronie kucał młody Jasp, a bracia Szum i Żużel przycupnęli po lewej. Nikt się nie odzywał. Nie było takiej potrzeby.

Uciekli z prywatnej biblioteki Tajfona. Dopiero gdy pokonywali schody, Nikodemus zorientował się, że wycie dochodzi nie z sanktuarium, ale z przylegającego do niego szpitala.

Sawannowy Potwór nie polował na Nikodemusa. Choć to była tylko kwestia czasu. Tak czy inaczej nie mogli zaryzykować próby zdobycia szmaragdu, bo na pewno ktoś wkrótce odkryje pozostawiony za nimi szlak trupów i odczarowanych latawców bojowych. A wówczas rozlegną się alarmy, przyciągając potwora. Nikodemus miał nadzieję, że wcześniej zdoła dowiedzieć się, co robi bestia. Rozstawił kilku członków swojej grupy przy oknach, z których mogli obserwować szpital.

Czekając, Nikodemus próbował nie myśleć o tym, jak blisko wrażliwego na atak Tajfona się znalazł. Spróbował wyobrazić sobie szmaragd, rozjarzony tak jasno, że wypalał jego wątpliwości i złość. Jednak zamiast tego zaczął myśleć o Jamesie Berrze, antycznym kakografie, który zamordował kilku czarodziejów. Podobnie jak on, Berr wywodził się z cesarskiej krwi i poznał prąjczyk. Zwykle gdy był sfrustrowany, Nikodemus myślał o swoim niesławnym dalekim kuzynie.

Dźwięki kroków kazały mu wrócić do rzeczywistości. To jeden z jego uczniów biegł korytarzem. Jego jasne włosy błyszczały nawet w cieniu. Gdy się zbliżył, Nikodemus dostrzegł bladą bliznę, która biegła po policzku ucznia niczym żyła srebra w skale. To właśnie ze względu na nią Nikodemus nadal koboldowi przydomek Żyła.

Koboldy nie chciały ujawniać ludziom swoich prawdziwych imion, więc Nikodemus zwykł nadawać im przydomki nawiązujące do ich wyglądu lub historii rodzinnej. Jasp pochodził z odłamu zwanego Jaspisowymi Koboldami, Krzem z Krzemowych Koboldów. Bracia Żużel i Szum nauczyli się walczyć w rodzinnej wojnie z Żelaznymi Koboldami. Gdy Nikodemus wyjaśnił im, że żużel i szumowiny stanowią bezużyteczne produkty uboczne wytapiania żelaza, obaj zdrowo się ubawili i bez protestów przyjęli swoje przydomki.

- Co widziałeś? - Nikodemus zwrócił się do Żyły w języku koboldów.

- Z dachu szpitala wzbija się lotnia, unosząc dwie osoby, a teraz potwór ściąga je w dół - odpowiedział kobold.

Nikodemus sapnął, próbując wyobrazić sobie, kogo ściagała bestia. Może Deirdre znowu udało się popełnić samobójstwo? Powinna jednak być zajęta atakiem likantropów. Niezależnie od przyczyny potwór wkrótce zdobędzie lotnię. Czas najwyższy, by uciec z sanktuarium i ukryć się w mieście.

- Dobrze - wyszeptał. - Zbierzmy pozostałych i chodźmy.

Wstał z klęczek i pobiegł w głąb korytarza, prowadząc studentów za sobą.

Słońce wciąż się wznosiło. Na zewnątrz sanktuarium czekało ich wiele jasnych godzin bezbronności, które będą musieli przeczekać, zanim wraz z zachodem słońca powróci bezpieczeństwo.

Iskra tekstowej świadomości, która uważała się za Shannona, rozpoznała kolejną iskry, która także się za niego uważała. Były do siebie przyciśnięte.

Teksty połączyły akapity i zrozumiały, że są dwiema stronami zamkniętej książki. Kilka badawczych ustępów odkryło inne inteligentne strony. Teraz proza zrozumiała, że stanowi tekstowy odpowiednik ludzkiego mózgu - w szczególności płatów czołowych mózgu magistra Agwu Shannona.

Teksty podejrzewały, że ich zdolność myślenia jest ograniczona brakiem połączenia z innymi tekstami, jednak dysponowały niewielką ilością wspomnień, więc nie miały co do tego pewności. Połączyły się z kolejnymi stronami. Każde połączenie wiązało się ze zmieszaniem, gdy dwa elementy Shannona pojmowały, że stanowią teraz jego większą całość. To tak, jakby raz za razem budzić się ze snu.

Potem połączyły się ze stroną odpowiadającą tylnej części mózgu, koordynującej równowagę. To wywołało silne zawroty głowy i dziwne odruchy. Nagle wszystkie strony zjednoczyły się w Shannonaducha, którego głowa zaczęła wystawać z leżącej na podłodze otwartej książki.

Niecałe półtora metra od niego ze stołu zwisał bezwładny latawiec bojowy. Nad nim stała kobieta, ubrana w obszerne zielone szaty. Przesuwała po latawcu palcami, jakby rysowała skomplikowane wzory. Na głowie miała turban, a jej usta i nos przesłaniała chusta. Duch zrozumiał, że kobieta jest hierofantką, magiem powietrza. Redagowała język latawca, prawdopodobnie badając, co poruszyło go do tego stopnia, że wleciał do biblioteki.

Shannon nie znał języka hierofantów, więc nie widział run, którymi posługiwała się kobieta. Wiedział, że ich język mógł przemieszczać się w tkaninie, jednak poza nią rozpląwał się w powietrzu. Brzeg latawca bojowego zadrżał lekko, po czym wyciągnął się w jego stronę.

Duch schował głowę z powrotem do księgi. Gdy jego umysł zaczął rozpadać się na poszczególne strony, rozpadł się cały świat. Sporo wysiłku wymagało od niego zachowanie połączenia między ustępami odpowiadającymi płatom czołowym. Czas zdawał się mijać i jednocześnie stać w miejscu. TVudno było cokolwiek pamiętać lub czuć jakiejś emocje, jednak logiczne myśli przychodziły mu bez problemu. Może to dobrze. Musiał logicznie podejść do tej sytuacji. Ktoś zostawił mu notatkę informującą, że został zamordowany. Duch musiał zostać oderwany od autora przed morderstwem, ponieważ pozostając w ciele w chwili śmierci, straciłby spójność.

Więc kiedy i gdzie zabito jego autora? Po opuszczeniu Doliny Niebiańskiego Drzewa? Czy został zamordowany przez jednego z Tajfonowych wyznawców demonów? Czy może zrobił to jeden z magów uważających Nikodemusa za Nawałnika Burzowego? W niemal ogłuszającym ataku wspomnień przypomniał sobie o przyrodniej siostrze Nikodemusa.

W Starhaven chłopak dowiedział się, że tajny Sojusz Boskich Heretyków zwalcza Tajfona i Fellwrotha. Od stuleci obie frakcje starannie selekcjonowały pary, próbując odtworzyć ród cesarski. Każda frakcja mordowała produkty programu zrodzone w ramach tej drugiej do czasu, aż Tajfon umieścił zdolność pisania Nikodemusa w szmaragdzie, czyniąc z chłopca upośledzonego praktykanta, którego nikt nie podejrzewał o cesarski rodowód. Jednak po urodzeniu Nikodemusa jego matka uciekła wyznawcom demonów. Jego przyrodnią siostrę urodziła już chroniona przez Sojusz. Ponieważ dziewczyna nie była upośledzona, mogła stać się Zimorodkiem - czarodziejem, który wedle przepowiedni miał powstrzymać Dysjunkcję. Niewątpliwie Sojusz przeszkolił ją do odszukania i wyeliminowania swojego odpowiednika po stronie Tajfona - musiała więc znaleźć i zabić Nikodemusa. W związku z tym Shannon mógł zostać zamordowany przez przyrodnią siostrę chłopaka lub jednego z jej agentów.

Zaczął zastanawiać się nad notatką pozostawioną na księdze. Krwawa plama, po niej słowa: wspomnienia są w niej i kolejna plama krwi. Żadnej kapitalizacji, żadnych znaków przestankowych. Czemu?

Numenosowa wiadomość poleciła mu odszukać kleryczkę Francescę DeVege. Tylko ona może ci pomóc znaleźć twojego mordercę, napisano. Shannon nie zebrał wszystkich rozsypanych numenosowych run. Być może było w nich więcej informacji.

Tylko czy te dwie notki były jakoś ze sobą powiązane? - Czy zdanie: wspomnienia są w niej oznaczało, że wspomnienia Shannona znajdują się w kleryczce Francesce? Może krew zasłoniła jeszcze jedno słowo? Może było tam napisane: Twoje wspomnienia są w niej?

To tłumaczyłoby brak kapitalizacji. A może zdanie było niedokończone? Może powinno brzmieć: Twoje wspomnienia są w niej ukryte czy coś podobnego? Musiał odszukać Francescę DeVege.

Nie potrafił stwierdzić, jak długo był ukryty w księdze - zastanawiał się, jaka część jego tekstowego umysłu odpowiedzialna była za poczucie czasu i czy mógłby w jakiś sposób się z nią połączyć. Jednak gdy spróbował wysłać badawcze zdania, zatrzymał je dziwny nacisk. Spróbował jeszcze dwukrotnie, zanim zrozumiał, że księga została zamknięta. Redagująca latawiec hierofantka musiała podnieść jego książkę.

Czy został uwięziony na półce na całe dziesięciolecie, aż ktoś zdejmie ten tom? Może spróbuje odszukać swoje nieliczne magnusowe ustępy i użyje ich do otwarcia okładki?

Gdy zastanawiał się nad możliwością ucieczki z książki, nagle nacisk utrzymujący go na jej stronach znikł i twarz ducha z oszalamiającą prędkością wypadła ze strony, na której otwarty był tom. Wyglądał z otwartej książki leżącej na podłodze. Przed nim rozciągał się ten sam korytarz, na którym napotkał latawiec bojowy. Przed nim stała hierofantka z biblioteki. Zapewne niosła tę książkę i właśnie ją upuściła.

Kobieta opuściła swoją chustę, a z jej ust dobył się potok niezrozumiałych słów. Miała szeroko otwarte z przerażenia oczy. Wstrząśnięta, podniosła dłonie do ust, ale zaraz w skupieniu zmarszczyła brwi, po czym wyemitowała kolejny ciąg bezsensownych dźwięków.

Shannon zaklął bezdźwięcznie. Na tę część mózgu kobiety, która odpowiedzialna była za jej mowę, najwidoczniej został nałożony potężny, nieznan mu czar.

Doznała afazji ekspresyjnej. Jej bełkot zrobił się głośniejszy, po czym zamilkł. Po chwili odpowiedział mu odległy chór głosów i kobieta ruszyła w ich stronę.

Shannon wysunął głowę z książki i przyglądał się, jak kobieta odchodzi. Wyobraził sobie, że księga jest jego podłożem i skupił swoje magnusowe zdania w podbródki. Użył go do niezdarne obrócenia kartki. Z nowo powstałej szczeliny w księdze wyłoniły się jego

palce, a potem cała prawa dłoń. W skupieniu użył trzech srebrzystych zdań w odtworzonej dłoni do obrócenia strony, z której po chwili wyłoniła się jego głowa. Świat na moment się przechylił, a potem cały tekst zaczął się ze sobą scalać i uwalniać z papieru. Kartki obracały się coraz szybciej, uwalniając akapit za akapitem, które kolejno splatały się w jego ciało. Ostatnia kartka wypchnęła go i przejechała jakiś metr po podłodze, zanim się zatrzymała.

Wycie w głębi korytarza przybrało na sile. Shannon ostrożnie wstał i wrócił do biblioteki. Jej drzwi były otwarte. W pomieszczeniu zobaczył bojowy latawiec, złożony obok sterty książek. Hierofantka musiała dezaktywować jego tekst. Wyrzwał przez okno, ale na niebie nie dostrzegł żadnych latawców bojowych. Chwilowo był bezpieczny. Odwrócił się i pobiegł za hierofantką z afazją.

Korytarz prowadził po szerokim łuku. Przez okna widział dachy kryte czerwoną dachówką, zdobione minarety z piaskowca i zabudowania miasta w dole. Co jakieś dziesięć metrów mijał poprzeczny korytarz, prowadzący do środka kopuły. Bełkot hierofantki wznosił się i opadał w obłąkańczym rytmie. Wyłaniając się zza rogu, Shannon dostrzegł kobietę, jak zrywa się do biegu. Pospieszył za nią, trzymając się w bezpiecznej odległości. Odpowiadające jej glosy brzmiały coraz wyraźniej. Kobieta przyspieszyła, więc zrobił to samo.

A potem nagle coś sprawiło, że się zatrzymał.

Zajrzał w głąb korytarza. Stał teraz po przeciwnej stronie kopuły sanktuarium. Przez okna nie docierało tu słoneczne światło. Korytarze prowadzące do centrum kopuły były niemal pograżone w ciemności. Ale czemu się zatrzymał? Czyżby coś usłyszał?

Podskoczył. Tak. Dźwięk był ledwie słyszalny. Shannon ruszył w jego stronę, w kierunku przeciwnym do tego, w którym biegła hierofantka.

Gdy znów to usłyszał, przez jego niematerialne ciało przebiegł dreszcz.

- Shannon... - Ledwie słyszalny szept. - Shannon... - Coś w tym głosie brzmiało znajomo. Shannon poczuł, że drży. Nagle poczuł przemożne pragnienie, by wrócić do stanu podzielonej świadomości, oderwanej od zdolności odczuwania uczuć takich jak strach. - Tutaj.

Shannon zrozumiał, że głos dobiega z jednego z korytarzy prowadzących do środka kopuły.

Dostrzegł kogoś w ciemności - przygarbioną postać, opartą o ścianę. Chudy staruszek? Siedzący na ramieniu postaci ptak zamachał skrzydłami.

- Krew i potępienie! - bezdźwięcznie zaklął Shannon, wycofując się powoli.

- Nie! - staruszek jęknął błagalnie. - Zostań, proszę... - Shannon się zatrzymał. W głosie obcego wyczuł desperację. - Znasz mnie. - Staruszek niepewnie podszedł w jego

stronę. - Znasz mnie. - Shannon zrobił kolejny krok do tyłu. Obcy miał rację, skądś go znał, ale... Brakowało mu wspomnień. Czekał, ale staruszek się nie ruszał. W końcu zrobił ostrożny krok w jego stronę. - Och... - powiedział tamten. - Och, jak za tobą tęskniłem... Proszę. Proszę, wróć.

Teraz, gdy zrobił jeszcze kilka niepewnych kroków i znalazł się bliżej światła, Shannon zauważył, że ptak siedzący na jego ramieniu to duża niebieska papuga z jaskrawożółtą skórą wokół dzioba i oczu. Staruszek miał śniadą cerę, haczykowany nos, srebrzyste dredy i zupełnie białe oczy.

- Shannon - wyszeptał staruszek i wyciągnął przed siebie rękę.

Duch, przepełniony niepewnością i strachem, ale też dziwną tęsknotą, wyciągnął dłoń i spróbował powiedzieć:

- Shannon.

Gdy Francesca poczuła, że odpada z lotni, spojrzała na Deirdre. Czas zwolnił i potrafiła dostrzec każdą plamkę w jej zielonych tęczęwkach, każde pasmo czarnych włosów powiewających przed jej płową twarzą. Usta nieśmiertelnej rozchyliły się, jakby chciała coś powiedzieć.

I wtedy czas skoczył do przodu i Francesca poleciała w dół jak kamień.

Lotnia strażnika powietrza w górze owinęła się wokół swojego pilota. Hierofanta poleciał w dół, jakby wystrzelono go z wielkiego łuku, i złapał Francescę w niezdarnym uchwycie. Świat zawirował jej przed oczami. Miała wrażenie, że sanktuarium znajduje się nad nią, a ona sama spada w bezgraniczny błękit. Potem lotnia owinęła się wokół niej, przyciskając ją mocno do strażnika powietrza. Jego twarz osłaniała chusta, ukrywając wszystko oprócz jasnobrązowych oczu.

Minęły już trzy lata...

Serce Franceski biło jak oszalałe, ale strach przed upadkiem mieszał się ze znajomymi zawrotami głowy.

Pilot nie spojrzał na nią, jego uwagę przyciągała zbliżająca się w zawrotnym tempie ziemia.

Dwa arkusze żaglowego płótna rozciągnęły się do przodu i na zewnątrz, tworząc wąskie skrzydła. Lekka korekta ich ustawienia skręciła je do poziomu, błyskawicznie nadając im sporą prędkość i posyłając na południe. W dole przemknęły wzniesione z piaskowca budynki Avel, a chwilę później zewnętrzne mury miasta.

Skrzydła rozpostarły się szerzej, zwiększając prędkość szybowania w stronę grani zwanej Nadzieją Traci wiatr a. Oddech Franceski zaczął zwalniać. Pilot był mistrzem w

swoim fachu. Powinna o tym wiedzieć od samego początku. Zorientowała się, że na jej twarzy zagościł szeroki, głupkowaty uśmiech. Przeżyją.

Spojrzała na wschód, na sawannę i oddalające się burzowe chmury. Trawę przecinały dwie drogi karawan, tworząc proste linie zbiegające się ze sobą w Avel.

Ulga, jaka na chwilę ją przepełniła, zniknęła, gdy Francesca zaczęła się zastanawiać, czy zostaną zmuszeni do wylądowania w sawannie. Do czasu przybycia do Avel nigdy nie widziała trawy podobnej do tej, która rosła w głębokiej sawannie. Wyrastała na ponad dwa metry, a jej łodygi były grube i składały się z segmentów podobnie jak łodygi bambusa. Ograniczała zasięg widzenia do zaledwie kilkunastu centymetrów i niemal uniemożliwiała poruszanie się. Grupa uzbrojona w kosy mogła wyciąć wąski tunel przez łodygi, jednak trawa szybko tępiła nawet najtrwalsze ostrze. Jeśli tylko zboczyło się z drogi, bardzo łatwo było się zgubić w oceanie trawy. Wśród strażników karawan krążyły historie o ludziach, którzy weszli w trawę na kilka kroków i stracili orientację. Biedacy wędrowali przez gąszcz całymi dniami, często nieświadomi tego, że na kilka metrów zbliżali się do drogi. Niemal zawsze ginęli z wyczerpania i pragnienia.

Dodatkowym zagrożeniem były rozprzestrzeniające się na dziesiątki kilometrów pożary traw, bezgłowe katabestie, przysłaniające słońce roje pszczół oraz sawannowe likantropy. Każde dziecko w zachodniej Spirii wiedziało o potężnych, inteligentnych likantropach, sunących przez ocean trawy niczym wilk przez pastwisko w poszukiwaniu zdobyczy. Ukryte w wysokim gąszczu likantropy czuły się bezpieczne przed hierofanckimi pilotami i bojowymi latawcami.

Co gorsze - likantropy mogły przybierać postać człowieka. Niektórzy Spiryjczycy wierzyli, że bestie przekształcały swoje ciała na kształt człowieka. Inni przypuszczali, że używały czarów, by sprawiać ludzkie pozory. Niezależnie od tego, jaka była prawda, wszyscy byli jednomyślni co do tego, że stwory oraz wybuchowe czary rzucane przez ich czarodziejów były najgroźniejsze w nocy.

Straż miejska Avel nieustannie zajęta była odpieraniem ataków likantropów. Bestie próbowały rozbijać mury swoimi czarami, a członkowie karawan, które przemierzały sawannę, wspominali o likantropach krzyczących jak ludzie zgubieni w trawie, które pożerały każdego, kto okazał się na tyle naiwny, by ruszyć im na pomoc. Inni opowiadali o ludziach mieszkających w obozowiskach na sawannie, którzy zapraszali nieostrożnych podróżników, by ogrzali się przy ognisku, po czym gdy tylko wędrowiec poczuł się bezpiecznie, zmieniali się w śmiertcionośne bestie.

I choć te historie mroziły krew w żyłach, bladły w porównaniu z opowieściami o Sawannowym Potworze - starożytnej bestii nawiedzającej równiny.

Niektórzy twierdzili, że jest zapomnianym bogiem, który zamieszkiwał kontynent, jeszcze zanim pojawiła się na nim ludzka cywilizacja. Inni opowiadali, że uosabia on dusze ludzi, którzy zmarli z pragnienia na sawannie. We wszystkich tych historiach pojawiały się zawsze potwornie zniekształcone ciała i koszmarnie wrzaski. Każdy, kto zobaczył bestię lub choć słyszał jej głos, tracił zmysły. Jednak choć większość spiryjskich dorosłych wiedziała, że likantropy stanowią realne zagrożenie, większość była przekonana, że Sawannowy Potwór jest tylko elementem miejscowego folkloru.

Francesca obejrzała się na dach szpitala i zadrżała. Szczyt minaretu wciąż zasłaniała chmura ślepoty.

- Trzymaj się - powiedział hierofanta. - W prądzie grani będzie szarpało.

Francesca zaczęła się zastanawiać, czego właściwie miałyby się trzymać, gdy otaczając ją płótno znikło. W przerażającej chwili nieważkości odwrócili się twarzami do góry. Potem czerwone płótno odskoczyło i z głośnym łopotem rozłożyło się w prostokątną lotnię. Francesca zawisała w uprząży wykonanej z obszernych zielonych szat hierofantów

Poczuła znajome swędzenie dłoni. Czarodziej musiał być biegły w języku magicznym, skoro widziała jego runy. Jako mag Francesca widziała tylko runy numenosa, magnusa i wspólnych języków. Język hierofantów był dla niej niewidzialny. Z drugiej strony czarodzieje mogli wyczuwać bliskość nieznanego języka dzięki pozawzrokowej reakcji synestezyjnej. Swędzenie dłoni było właśnie taką synestezyjną reakcją Franceski na hierofanckie czary przemieszczające się w otaczającej ją tkaninie.

Ich latawiec przeleciał nad Nadzieją Traciwiatra. Pilot przesunął dłonie wzdłuż tkanych lin rozciągających się od czaszy lotni do ich uprząży. Niewątpliwie rzucał w nie czary. Chwilę później lotnia zmieniła kształt i ostro skręciła. Powietrze drgało w licznych turbulencjach. Lecąc ciasnym kręgiem w prądzie wznoszącym, zaczęli odzyskiwać pułap utracony w trakcie spadku.

Wiatr był silny i zimny, ale nie wiał zbyt głośno. Francesca bez trudu usłyszała słowa hierofanty:

- Gdy znajdziemy się wystarczająco wysoko, przeredaguję lotnię w spadochron. Zdoła donieść nas do wiatrowego ogrodu, ale to wyczerpie jej tekst. Nie zdołam zabrać cię z powrotem bez pobrania nowego.

- Zrób to - odpowiedziała.

Dłonie pilota znieruchomiały na linach, znosząc lotnię z kursu. Spadali kilka metrów, zanim dokonał poprawek, które przywróciły ich na właściwy kurs. W zawirowaniach powietrza pilot dostrzegł nagle unoszący się na wietrze długi warkocz Franceski.

- Fran? - spojrzał na nią, nieco zaskoczony.

- Cyrus - odpowiedziała, patrząc prosto przed siebie. Wykonali kolejny krąg. Gdy przed oczami Franceski przesuwało się sanktuarium, dostrzegła poruszenie między lotniami. Do minaretu opadało właśnie żółte płótno unoszące Deirdre. Francesca patrzyła, jak lotnia znika w chmurze ślepoty Sawannowego Potwora. Znowu zadrżała. Wznoszący ich w górę podmuch pchnął ją na Cyrusa. Nie obejrzała się, ale kątem oka dostrzegła, że redaguje uprząż tak, by zwiększyć dzielącą ich odległość. - Myślałam, że wyruszyłeś w świat, by zostać kapitanem statku powietrznego - powiedziała po chwili niezręcznej ciszy.

- Owszem - potwierdził szorstko.

- Co więc tu robisz?

- Byłem pierwszym oficerem na krążowniku bazującym w Erram, ale zaoferowano mi awans na strażnika powietrza tutaj. Strażnik ma większą szansę zostać kapitanem.

- Ach tak... Dawno wróciłeś? - spytała po kolejnej chwili milczenia.

- Przed dwoma tygodniami.

Chciała zapytać, czemu nie powiadomił jej o swoim powrocie, ale zamiast tego z jej ust dobyło się pytanie:

- Ożeniłeś się z nią?

- Nie - odpowiedział na tyle cicho, że ledwie go usłyszała przez ogłuszający świst wiatru. Przesunął dłoń po lince uprząży. - Ty jesteś już pewnie pełnoprawną lekarką?

- Owszem - odparła. - Szkolenie było bardzo ciężkie.

- Nie wątpię.

- Czy mogę ci zadać dziwne pytanie?

- Ta rozmowa nie może chyba być już dziwniejsza - odpowiedział ze śmiechem.

- Gdy byliśmy razem... czy zauważyłeś kiedykolwiek jakiś łańcuszek na mojej nodze?

- Popatrzył na nią zdumiony. - Wokół lewej kostki - doprecyzowała. - Czy miałam tam cienki srebrny łańcuszek?

- Jasne. Pamiętam go.

- Pamiętasz? Na boga bogów, czemu nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

- A dlaczego miałbym ci o tym mówić? - Spojrzał jej w oczy, jakby próbował się upewnić, że żartuje.

- Czy rozmawialiśmy kiedyś na jego temat?

- Chyba jednak się myliłem. Ta rozmowa stała się jeszcze dziwniejsza.

- Po prostu mi odpowiedz - nalegała. - Kiedy pierwszy raz go zobaczyłeś? Rozmawialiśmy o tym?

- Z tego, co pamiętam, zapytałem cię o niego raz, gdy zaczęliśmy się spotykać - odpowiedział po chwili namysłu. - Ale nie odpowiedziałas mi.

Francesca poczuła, że robi się jej zimno. A więc została związana przez demona - albo inną siłę dysponującą potężnymi tekstami - niemal natychmiast po przybyciu do Avel.

- Co się tam dzieje? - zapytał Cyrus, gdy znaleźli się prawie na wysokości szczytów Kasztanowych Gór. Odetchnęła głęboko. Też chciałaby to wiedzieć. - Fran? Czy sanktuarium naprawdę jest atakowane przez obce bóstwo? - Nadal milczała. Czy mogła mu zaufać? - Jestem strażnikiem powietrza Avel. Muszę to wiedzieć.

- Dostałeś rozkaz wydany przez oficera kanonistki. - Francesca postanowiła grać na czas.

- I właśnie go wypełniam. - Przyjrzał się jej. - Ale czy wiesz, co się stało? - W milczeniu popatrzyła prosto przed siebie. Zrobili jeszcze dwa okrążenia. Nagle Cyrus wskazał na północ. - Widzisz to? - Miała wrażenie, że wskazuje puste niebo. - To nadlatujący statek powietrzny. Nie spodziewaliśmy się żadnego przez najbliższe dziesięć dni. - Francesca musiała wyteńczyć wzrok, by dostrzec białą kropkę na tle błękitu. - Fran, lepiej wszystko mi powiedz. To bardzo poważna sprawa.

Spojrzała na niego, ale jego złotobrazowe oczy skupiły się na odległym statku.

- Dlaczego?

- Ta jednostka porusza się zbyt szybko, by mogła być czymś innym niż okrętem bojowym.

Tekstowy Shannon dotknął czubków palców starca - wciąż żyjącego Shannona. Złote światło pomknęło w górę ramienia ducha, uzupełniając brakujący tekst. Zrozumiał, do jakiego stopnia każde z jego zdań stanowi odpowiednik właściwej części ciała jego autora. Zrozumiał, że nie jest swoim autorem ani nawet jego umysłem, ponieważ nie może istnieć umysł bez ciała. A jednak... równocześnie był swoim autorem i dziełem.

Duch zadrzał - tak niewymownie pragnął zjednoczyć się ze swoim wspinałym ciałem, tym kruchym ciałem, skażonym niekontrolowanym wzrostem. Obarczonym ciężarem choroby i lat. Śmierć była tak blisko.

- Czy nie powinniśmy być jednością? - zapytał, cofając rękę. Jednak to tylko jego usta poruszyły się w niemym dźwięku.

- Pisz do mnie w numenosie - powiedział jego autor.

Duch rzucił złote zdanie o treści: Co się z nami stało?

Sądziłem, że zostałeś zamordowany.

- Zamordowany?- spytał jego autor po przechwyceniu i przetłumaczeniu zdań. - Czemu miałbym zostać zamordowany?

Duch szybko napisał kolejne zdanie: Obudziłem się w bibliotece, trzymając numenosowe zdanie. Zgodnie z jego brzmieniem zostałem zabity. Powinienem odkryć mordercę i ostrzec Nikodemusa.

Jego autor się skrzywił.

- Zeszłego lata hierofanci Tajfona zaatakowali naszą kryjówkę w dzielnicy Północnej Bramy. Zabili kilku uczniów Nikodemusa. Ja również niemal padłem ich ofiarą. Ukradli mi ciebie. Myślałem, że zostałeś rozłożony... Straciłem już nadzieję. - Obejrzał się za siebie, w głąb korytarza. - Skryjmy się w cieniu, zanim ktoś mnie zobaczy.

Wchodząc głębiej w mrok, duch utkał kolejne pytanie: Kto napisał notatkę o twoim morderstwie?

- To teraz nie ma znaczenia. - Jego autor znów się skrzywił. - Najważniejsze, że cię znaleźliśmy. Chodź.

Z ciemności dobiegł odgłos bosych stóp idących po deskach. Potem rozległ się rozkazujący szept:

- Idziemy, magistrze. Bestia zajęła się już lotniami szpitala. Zdołasz biec?

Duch gwałtownie wciągnął powietrze. Głos napełnił go wspomnieniami o Starhaven i Niebiańskim Drzewie, o lekcjach i sporach oraz zawziętym młodzieńcu o oliwkowej skórze i zielonych oczach.

- Nikodemusie, zobacz, kogo znalazłem. - Głos staruszka drżał. Ducha do głębi poruszyła siła emocji jego autora.

Odgłosy kroków bosych stóp się wzmogły. W mrocznej głębi korytarza było bardzo niewiele światła, ale duch zauważył postać, która się w nim pojawiła. Był to starszy, bosi i ubrany wyłącznie w skórzane spodnie sięgające kolan mężczyzna. Włosy miał związane w koński ogon, a wzdłuż jego lewego boku biegła wąska blizna. Cień krył też inne, nieludzkie postacie.

- Cofnij się, magistrze! - Nikodemus krzyknął na widok ducha, odskakując w mrok. - Tajfon go przerobił.

- Nie martw się, Niko. - Shannonautor potrząsnął głową i wszedł głębiej w mrok. - Pamiętaj, o czym mówiliśmy. - Staruszek poszedł dalej, ale duch nie ruszył jego śladem. Był przekonany, że jego autor powinien wykazać większą radość i ulgę z ich połączenia. Gdy

jednak wreszcie zrozumiał, poczuł strach. Żal jego autora nie wynikał z tego, co się stało - on żałował czegoś, co dopiero się stanie. Nagle duch pojał, o czym jego autor „mówił” z Nikodemusem. Shannonautor przystanął i odwrócił się w stronę ducha. Staruszek zamknął oczy. - Nikodemusie - wyszeptał - zrób to szybko.

Duch odwrócił się, by uciec, ale Nikodemus był szybszy. Wskoczył z ciemności z wyszczerzonymi zębami i pięściami zaciśniętymi wokół niewidocznych tekstów bojowych...

Gdy lotnia wzniosła się na pułap przewyższający Kasztanowe Góry Cyrus przesunął dłonie po linach i tkanina podzieliła się na dwie części.

Połowa czerwonego płótna owinęła się wokół Cyrusa i Franceski, osłaniając ich od piersi do stóp. Wzdłuż osłony uformowały się krótkie boczne skrzydła. Pozostałe płótno wyduło się w półokrągłą czaszę spadochronu, który pociągnął ich w stronę gór.

W linkach napinających utworzyła się sztywna tekstowa tarcza, chroniąca Franceskę i Cyrusa przed podmuchem. Towarzyszący lotowi dźwięk może nie był na tyle głośny, by musieli krzyżeć, jednak miał dostateczną siłę, by zmusić do podniesienia głosu.

Z minuty na minutę odległa biała plamka, która według Cyrusa była okrętem wojennym, powiększała się. Cyrus odmówił odpowiedzi na pytania Franceski do czasu, aż jednostka zbliży się dostatecznie, by zdołał ją zidentyfikować.

Kleryczką obserwowała jezioro, nad którym przelatywali. Minęli już główny zbiornik i znajdowali się nad odnogami - sześcioma przypominającymi rzeki rozgałęzieniami wznajęcymi się w północne wzgórza. Francesca dostrzegła na wodzie kilka jednomasztowych łodzi rybackich. W różnych miejscach powykręcane szlaku odnogi rozszerzały się w szerokie zatoki. Unosiły się na nich małe pływające miasta, składające się z powiązanych ze sobą mieszkalnych łodzi. Były zakotwiczone na głębokiej wodzie, dzięki czemu nie mogły podryfować na tyle blisko brzegu, by stać się celem ataku likantropów.

Teraz, pod koniec pory deszczowej, rybacy docierali niemal do podnóża Kasztanowych Gór. W porze suchej, gdy Cala opróżniała zbiornik, nawadniając dno kanionu, powoli przemieszczali swoje wodne osady w stronę miasta. Gdy zbiornik wysychał, wszystkie osady łączyły się, tworząc małe błotniste miasteczko tuż przy Ruchomych Dokach. Niektórzy szukali pracy w dzielnicy Wodnej, inni ryzykowali jazdę wozem przez Kasztanowe Góry, by pracować z rybakami w przystani Coldlock.

- Fran - nalegał Cyrus - naprawdę muszę to wiedzieć. Co zaatakowało sanktuarium?

Spojrzeni na siebie w pełnej napięcia ciszy. Nie miała pojęcia, co tak naprawdę się tam zdarzyło. Nie wiedziała, czy powinna powiedzieć mu o tym, co widziała. Albo co sądziła, że widziała. Deirdre powiedziała wprawdzie, że Cyrusowi można zaufać, ale Francesca nie była

pewna, czy może ufać Deirdre. Przecież awatar nie znała Cyrusa tak dobrze, jak Francesca. Cała ta sytuacja była skazana na katastrofę. Wprawdzie jej praca polegała właśnie na radzeniu sobie z katastrofami, jednak godzinę temu zawiodła - zabiła swoją pacjentkę. Co gorsza, od lat nosiła na nodze demoniczny czar w formie łańcuszka i zupełnie nie była tego świadoma. Świat, który znała i rozumiała, w ciągu kilku chwil rozpadł się na kawałki. Wiedziała, że dlatego tym bardziej musi teraz nad sobą panować. Kilka razy odetchnęła głęboko i spróbowała się uśmiechnąć.

Cyrus zawsze nad wszystko stawiał obowiązek. Dopóki jej plany nie stały w kontrze do jego poczucia honoru, będzie doskonałym sojusznikiem. Jednak jak zareaguje, gdy dowie się, że Avel rządzi demon? Z tego, co wiedziała Francesca, Cyrus mógł być wyznawcą demonów. Musiała ważyć każde słowo.

- Francesca - powiedziała na tyle głośno, by przebić się przez świst wiatru.

- Co? - Chusta Cyrusa poruszyła się, jakby marszczył czoło.

- Francesca. Nie Fran.

- Zatem, Francesco, co się działo w sanktuarium?

- Kilka godzin temu likantropy zaatakowały karawanę przechodzącą przez Północną Bramę. Ranni zostali sprowadzeni do szpitala. Kobieta imieniem Deirdre powiedziała, że została trafiona czarem likantropów i że tylko ja mogę ją uratować. Kiedy do mnie trafiła, była już prawie martwa. Jej płuca ścisnął nieznany tekst. Próbowałam go odczarować, ale zmiądzzył jej serce. Umarła na moich rękach i... Kilka chwil później odżyła.

- Co takiego?

- Powróciła do życia. Jest awatarem, istotą, która dzieli swą duszę z bóstwem.

- Kanonistką?

- Nie, nie jest kanonistką - zaprzeczyła Francesca.

- Więc jak może przebywać w Avel? Celeste zniszczyłyby każde bóstwo niezapisane w Niebiańskim Kanonie. Może służy kanonistce Cali?

- Nie mam pojęcia.

- Na niebiosa, przecież musisz coś wiedzieć! - Słowo „coś” Cyrus wypowiedział tym samym protekcyjnym tonem, którego używał kiedyś w ich prywatnych kłótniach.

- Ależ tak, Cyrusie, masz rację. Coś wiem. Jestem po prostu zbyt głupia, by zdawać sobie z tego sprawę. Na szczęście może mi to uświadomić protekcyjny mężczyzna o inteligencji na poziomie narzędzia ogrodniczego - odpowiedziała ogniście, po czym dodała: - Ty pretensjonalny draniu!

- W ogóle się nie zmieniłaś. - Roześmiał się. - Wciąż tylko ognisty sarkazm lub łagodna empatia. Nic pomiędzy. I ten twój archaiczny język. Nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek poza tobą i moją babcią nazywał Stwórcę bogiem bogów.

- Zamknij się i słuchaj - wycodziła Francesca przez zaciśnięte zęby, po czym opowiedziała Cyrusowi o tym, jak zaniósła Deirdre na dach, podczas gdy inni w sanktuarium utracili zdolność mówienia i zaczęli wyć. Nie wspomniała o Tajfonie ani przekonaniu Deirdre, że to demon sprowadził Cyrusa do miasta jako zasłonę. Powtórzyła jedynie za awatarem, że przyczyną afazji w sanktuarium był Sawannowy Potwór.

- Sawannowy Potwór to bajka dla dzieci - odparł Cyrus.

- Klątwa afazji była dostatecznie rzeczywista, żeby nie wkładać jej między bajki. - Francesca pomyślała o tekście, który związał czarem serce Deirdre, i nagle zrozumiała, w jaki sposób nie dopuścić do tego, by poczucie obowiązku Cyrusa zagroziło im obojgu. - Wiesz... boję się, że klątwa mogła przenieść się na ciebie.

- Klątwa afazji? Czy ta, która zgmiotła serce awatara? - spytał Cyrus, oglądając się na nią.

- Obojętnie.

- Jeśli zachoruję lub dopadnie mnie afazja, oboje spadniemy..

- Mogłabym rzucić kontrklątwę, żeby sprawdzić, czy masz w swoim ciele jakiś obcy tekst.

- A co z tekstem, który piszę swoim sercem?

- Przeredaguję kontrklątwę tak, by na to nie reagowała. Daj mi rękę.

Francesca chwyciła go za nadgarstek lewą dłonią. Prawą rzuciła w magnusie przypominające igłę zdanie i wbiła je do jednej z żył Cyrusa.

Używając mięśni dłoni, w zaledwie kilka chwil napisała zwięzły tekst medyczny w magnusie i numenosie. Gdy był gotowy, użyła magnusowej igły, by wprowadzić go do krwioobiegu Cyrusa. Nie był biegły w językach magów, więc czar był dla niego niewidoczny, jednak Francesca mogła obserwować, jak srebrnozłota iskra wędruje w górę jego ręki aż do ramienia.

- Co dalej? - spytał.

- Nie ruszaj się - poleciła, obserwując, jak czar wpływa do jego klatki piersiowej i przemyka do obszaru pod prawym mięśniem. Tekst przeszedł przez prawą komorę serca i został przepompowany do płuca.

- Widzisz klątwę? - zapytał.

- Powiedziałaś, nie ruszaj się!

Patrzyła, jak czar przeciska się przez wąskie kapilary płuca, po czym nierównymi posunięciami wraca do środka klatki piersiowej. Spięła się. Gdy dotarł do lewej strony serca Cyrusa, ruchem dłoni posłała ku niemu falę numenosowych czarów sygnałowych. Jeden z nich trafił czar w sercu, rozkazując mu się rozwinąć. Z satysfakcją kiwnęła głową, gdy jej czar dyskretnie zbadał lewą komorę jego serca. Następnie używając mięśni ud, uformowała kilka szerokich arkuszy numenosowych czarów sygnałowych. Zginając nogę, zgmiotła arkusze w niestabilną kulę. Co kilka chwil fragment arkusza rozpadał się, wysyłając w losowych kierunkach pojedyncze teksty. Zgięła i rozprostowała nogi jeszcze pięciokrotnie, aż rozpadająca się kula wysłała wkoło kaskadę tekstów sygnałowych. Co kilka chwil jeden z nich trafiał tekst w sercu Cyrusa, rozkazując mu powstrzymanie się od wszelkich działań.

Przelatywali właśnie nad najwyższymi wzniesieniami podgórza, za którym wznosiły się ciemne Kasztanowe Góry. Strome wąwozy połączone były wąskimi przesmykami.

- Na płonące niebiosa, Fran, widzisz coś we mnie? - zapytał Cyrus.

- Nie widzę klątwy. Ale umieściłam w tobie czar, dzięki któremu będę mogła cię monitorować.

- Myślisz, że później grozi mi afazja?

- Najprawdopodobniej nic ci nie będzie, ale wolę uważać. Na razie trzymaj się blisko mnie. Ze względu na mnie. - Ścisnęła jego rękę.

Popatrzył na nią, po czym z powrotem zajął się spadochronem.

Francesca przyjrzała się czarowi w jego młodym, zdrowym sercu. Mogła zajrzeć w przyszłość i zobaczyć innych, starszych mężczyzn, którymi mógł stać się Cyrus - niektórzy z nich byli zdrowi i sprawni jak on teraz, inni osłabieni brakiem działania, jeszcze inni doszczętnie wyniszczeni chorobami.

- Wiesz coś, czego mi nie mówisz. - Cyrus przerwał ciszę.

- Owszem - odparła Francesca. - Ale to nie dotyczy twojego zdrowia - skłamała z pełną świadomością.

Niewidoczny tekst bojowy rozbił prawą rękę ducha w chmurę złotego tekstu. Nie poczuł bólu, tylko ostrą falę strachu. Za jego plecami Nikodemus coś wykrzyknął.

Duch uskoczył na lewo, wyobraził sobie, że ściana jest podłożem, i odbił się od niej, lecąc w głąb ciemnego korytarza. Wybuchający za nim tekst bojowy wypełnił powietrze odłamkami gipsu i kainieni. Większość przeleciała nieszkodliwie przez ducha, ale kilka rozerwało magnusowe zdania w jego stopach.

Po wylądowaniu w jasnym zewnętrznym korytarzu próbował uciec, ale uszkodzona proza w podszwach się rozwinęła. Pośliznął się i upadł, zapadając się po kolana w podłozie.

Desperacko wyszarpnął stopy z desek i spróbował naprawić zepsute podeszwy. Rozcięte akapity w kikucie prawej ręki krwawiły językiem.

Usłyszał odgłos kroków i podniósł wzrok. Stojący na skraju ciemności Nikodemus uniósł rękę i rzucił czymś w ducha. Niewątpliwie był to tekst napisany w tatuowanym języku, którego młodzieniec nauczył się od kobołdów. Duch drgnął, spodziewając się rozerwania zdań na kawałki.

Jednak nic się nie stało.

Nikodemus krzyknął ponownie i nagle duch zrozumiał, że jasne światło w korytarzu rozłożyło jego bojowy tekst - języki chtoniczne działały tylko w ciemności. Nie tracąc czasu, duch naprawił swoje stopy.

Jednak niezależnie od działania dziennego światła młodzieniec wciąż był kakografem i gdyby dotknął ducha, mógłby go zdysczarować w nicłość, więc duch z nieludzką prędkością pognął korytarzem. Wyskoczył w powietrze i odbijał się od ścian i sufitu, by uczynić z siebie trudniejszy cel dla magicznych tekstów bojowych, które mógłby rzucić Nikodemus. W pewnym momencie stanął i obejrzał się za siebie, jednak Nika nie było. Korzystając z chwili czasu, szybko przeredagował kikut swojej ręki, tak by przestał krwawić prozą. Ile tekstu mu zostało?

Marszcząc brwi, uświadomił sobie, że mógł z łatwością umknąć Nikodemusowi, spadając przez podłogę lub uskakując przez mur. Jeśli miał przetrwać, musiał zacząć myśleć tak jak duch. Zrozumiał też jeszcze jedno: jest w stanie zobaczyć każdy rzucony przez Nikodemusa tekst napisany w językach magów. Czy to możliwe, że młodzieniec nie użył żadnego z nich?

W głębi korytarza znów zabrzmiały kroki i po chwili zza zakrętu wyłonił się Nikodemus. Duch wyczekiwał, czy w jego rękę zobaczy złoty lub srebrny blask. Ale Niko po prostu się na niego rzucił. Duch uskoczył w lewo, wbijając się częściowo w grubą kamienną ścianę. Gdy napastnik spróbował go złapać, zanurzył się całkowicie, by po chwili wyłonić się z powrotem kilka kroków dalej.

Nikodemus patrzy! na niego, dysząc ciężko. Na jego ciele nie było śladu ani numenosa, ani magnusa. Nie zamierzał nawet próbować.

Za szybko opuściłeś dolinę! - powiedziałby duch, gdyby mógł wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

Gdy Nikodemus znowu rzucił się na niego, Shannon przeskoczył nad agresorem.

Niech Stwórca to spali, Niko! - zaklął bezgłośnie. - Za szybko opuściłeś dolinę! - Oderwał numenosowe zdanie z kikuta prawej ręki i przeredagował je na: ZA SZYBKO

ODSZEDLEŚ Z DOLINY! Odczekał, aż Niko się odwróci, po czym rzucił mu tekstem prosto w twarz.

Młodzieniec gwałtownie szarpnął głową w tył, po czym oderwał zdanie od policzka. Gdy tylko go dotknęło, jego tekst zaczął się zmieniać. W chwili gdy zakończył tłumaczenie, otrzymał zdanie: ZA SZLOPKO OD SZŁOŚ Z DOLNY!

Przez ducha przebiegł dreszcz. Kakografia Nikodemusa w numenosie drastycznie się nasiliła, był teraz praktycznie analfabetą w językach magów.

Nikodemus ponownie na niego skoczył i ponownie nie trafił. Gestem nadgarstka duch rzucił pytanie: Czemu opuściłeś dolinę?

Odpowiedzią było tylko kolejne uderzenie. Shannon uchylił się i rzucił kolejny wiersz: CZEMU? POWIEDZ MI, DO DIASKA!

Nikodemus znowu się zamachnął, a duch odskoczył. Już miał rzucić kolejne zdanie, gdy dostrzegł wyraz oczu młodzieńca. Było w nich ogromne cierpienie.

Zatrzymał się.

- Nie mogłem patrzeć, jak umierasz! - warknął Nikodemus. - Bo ty umierasz. To raki. Zabijają cię. Możesz umrzeć w każdej chwili. Musiałem spróbować zdobyć szmaragd, żeby cię uleczyć. Do diaska, musiałem!

Duch przełknął ślinę, choć fizycznie nie mógł tego zrobić. Już wcześniej zrozumiał, czemu Nikodemus próbował go rozłożyć. Jednak musiał to od niego usłyszeć. Napisał kolejne pytanie: Ale czemu próbujesz mnie rozłożyć, skoro jestem duchem?

Nikodemus znowu się zamachnął. Shannon uskoczył pod uderzeniem i powtórzył pytanie: Czemu próbujesz mnie rozłożyć? Potem dodał: Pozwól mi zjednoczyć się z moim autorem, zanim umrze!

- Nie wiesz, czym jesteś - odpowiedział Nikodemus, śmiejąc się gorzko. - Zabrali cię nam agenci Tajfona. Więził cię przez rok. Jeśli cię uwolnił, to znaczy, że używa cię przeciw nam. - Duch spiął się, czekając na kolejny atak, jednak Nikodemus tylko posłał mu ciężkie spojrzenie, wciąż dysząc z wysiłku. - Tajfon cię przepisał. Nie jesteś duchem magistra Shannona.

JESTEM duchem Shannona!, rzucił odpowiedź. Powinienem się z nim zjednoczyć! Proszę, zaufaj mi.

- Jesteś tylko jeszcze jedną bronią demona. - Nikodemus potrząsnął głową. - Jak Deirdre w Starhaven.

Przez ducha przeszedł dreszcz, kiedy zrozumiał. Tak naprawdę nie wiedział, czy demon go przepisał, czy nie. Nie czuł się zmieniony... Ale skąd miał mieć pewność? Demon był na tyle wprawny, że mógłby go przepisać, ukrywając wszelkie modyfikacje.

Nikodemus wyglądał, jakby miał uderzyć ponownie, gdy nagle coś przemknęło przez okno. W świetle słońca załśniło białe płótno, błysnęła stal i latawiec bojowy rzucił się na Nikodemusa. Młodzieniec uchylił się przed szponami i wbił ręce w brzuch konstrukt. Latawiec w jednej chwili zwisał bezwładnie - kakograficzny dotyk zdysczarował wszystkie jego zdania.

Jednak gdy Nikodemus odrzucał odczarowany latawiec, w oknie znów błysnęła biel. Kolejne bojowe latawce. Konstrukty reagowały na chtoniczne runy wytatuowane na skórze Nikodemusa. Uznały go za obcy czar, groźniejszy od Shannonatekstu.

Duch postanowił nie marnować tej okazji. Potężnym skokiem wzbił się w górę i przeleciał przez sufit. Znalazł się na podłodze korytarza piętro wyżej. Stało tu siedmioro odzianych w zielone szaty hierofantów. Wszyscy spuścili swoje chusty. Jeden rozwinął turban. Rozmawiali, a przynajmniej próbowali rozmawiać, bo ich usta były w stanie wyemitować tylko afazyjny bełkot. Niektórzy próbowali się porozumiewać gestami. Oczy rozszerzały im strach.

Duch zadrżał. Przez sanktuarium musiało przemieszczać się coś naprawdę potężnego, skoro było zdolne rozprzestrzenić klątwę afazji. Ruszył korytarzem w stronę słońca. Biegąc, z trwogą wyglądał przez okna, ale nie widział nic poza jasnoblękitnym niebem i splątanymi uliczkami miasta. Latawce bojowe go nie ścigały. Przeskoczył przez sufit na kolejne piętro i bez chwili wytchnienia biegł dalej.

I nagle poczuł, jak w jego piersi dzieje się coś niepokojącego - jakby nagle zabrakło kluczowego ustępu i tam, gdzie powinno znajdować się serce, była tylko pustka.

Zatrzymał się. Jego pierś unosila się i opadała gwałtownie, choć przecież nie musiał oddychać. Chciał zasłonić twarz, ale miał tylko jedną dłoń. Wszystko go bolało. W miejscu, w którym powinna znajdować się jego ręka, był tylko ból. Padł na kolana, pozwalając sobie zapaść się w podłogę. Jego umysł przepełniał strach. Jego teksty zostały znacząco wyczerpane. Jak długo zdoła przetrwać poza nekropolią?

Jednak najgorszy był fakt, że nie chciał go jego własny autor - nie ufał mu, a Nikodemus próbował go rozłożyć. Mógł nie być sobą. Mógł być narzędziem demona.

Pierś ducha zaczęła się trząść. Ból straconej ręki ustąpił, ale rozszerzyła się pustka w piersiach. Duch poczuł nagle bezbrzeżną tęsknotę za autorem. Z bolesną wyrazistością

przypomniał sobie, jak czuł się Shannon, gdy polityczne rozgrywki Astrophell odebrały mu żonę i syna, którzy dziś już nie żyli. Ten ból był podobny, ale jeszcze bardziej dojmujący.

Zwinął się w kulę, całkowicie zanurzając się w podłodze. Ból w dłoniach, stopach i uszach stał się miłą odmianą. Drżał na całym ciele. Pograżony w drewnie i kamieniu, wciągał długie, rozedrgane oddechy i całymi godzinami łkał bez łez.

W końcu poczuł emocjonalne wyczerpanie. Nie wiedział, na jak długo pograżył się we śnie, ale jego myśli zdążyły się oczyścić i spokojnie mógł rozważyć swoją sytuację. Musiał dowieść swojemu autorowi, że Tajfon go przepisał. Ale jak?

Tajfon wykradł go autorowi, a potem usunął część jego wspomnień. Notatki w bibliotece sugerowały: wspomnienia są w niej i kazały mu odszukać kleryczkę Francescę DeVege. Fałszywa notka o zamordowaniu Shannona była tajemnicza i niepokojąca.

Duch wspiął się na podłogę i zaczął wyglądać szpitala. Uczucie pustki w jego piersi powróciło - tym razem towarzyszył mu strach tak silny, że poczuł mdłości. Choć próbował o tym nie myśleć, jakaś jego część wiedziała, że istotą, która umieściła go w bibliotece, która napisała kłamstwo o zamordowaniu jego autora, mógł być sam demon Tajfon.

Francesca przyglądała się potężnym sekwojom porastającym zbocza Kasztanowych Gór. Ciemne pnie pięły się wysoko, a ich gęste korony były tak gęste, że niemal całkowicie blokowały dostęp światła, pograżając leśne poszycie w mroku.

Gdzieśdostrzegła porozrzucane umierające drzewa z martwą korą i zbrązowiałymi igłami. Francesca czytała o niewyjaśnionym umieraniu drzew na całym kontynencie. Druidzi z Dr al nazwali to zjawisko Cichą Śniecią i zastanawiali się, czy nie oznacza ona nadejścia Wojny Dysjunkcji, kiedy to demony miały przekroczyć ocean, by zniszczyć języki ludzi.

Miała właśnie zapytać Cyrusa, co sądzi na temat Cichej Śnieci, gdy ten przestał rzucać czary w linach osprzętu i obejrzał się na nią.

- Coś sobie właśnie pomyślałem - powiedział. - W wiatrowym ogrodzie pracuje jakaś setka hierofantów. Jeśli Avel jest w niebezpieczeństwie, marszałek może ich tam wysłać. - Urwał na chwilę, po czym podjął: - Koniec z tymi gramami. Co się stało w sanktuarium? Muszę wiedzieć wszystko, żebym wiedział, co powiedzieć marszałekowi wiatru.

Kleryczka potrząsnęła głową.

- Deirdre zabroniła ci ufać innym hierofantom.

- Ale czy możemy ufać Deirdre? - zapytał.

- Może nie, ale lepiej nie włączajmy kolejnych ludzi do grona osób, co do których nie mamy pewności.

- Ukrywasz coś przede mną.

- Niejedno - zgodziła się. - Wyjaśnię ci to, gdy wylądujemy. A teraz powiedz, czy ten statek powietrzny zbliżył się dostatecznie, byś mógł zdradzić mi, co cię tak martwi?

Cyrus spojrział na północ. Biała plamka na niebie przybrała postać długiej strzały.

- Owszem - odpowiedział po chwili. - To zły znak. Myślę, że to „Lanca Królowej”. Nie dam sobie uciąć głowy, dopóki nie będziemy bliżej, ale jestem prawie pewien. Przez półtora roku byłem na nim pierwszym oficerem.

- A czemu to takie złe?

- To Pustułka.

- Co takiego? - Francesca popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. Czuła się winna. Kiedy byli kochankami, od czasu do czasu wmykała się na dach szpitala i unosiła z jednego z rogów niebieską flagę. Jeśli Cyrus mógł urwać się ze swojego patrolu, lądował przy niej na spontaniczną randkę. Wskazywał jej różne statki powietrzne przylatujące i odlatujące z wiatrowego ogrodu, opowiadał o ich zaletach i wadach. Francesca zawsze była jednak zbyt zajęta swoimi studiami, by uważnie słuchać, a tym bardziej zapamiętać to, o czym mówił. Z drugiej strony Cyrus zawsze interesował się medycyną i jej szpitalnym życiem. Po pół roku, który spędzili razem, potrafił bez zająknięcia wyrecytować nazwy wszystkich kości w dłoni, podczas gdy ona wciąż nie odróżniała lofta od foka.

Sądząc po zwężonych oczach Cyrusa, przypomniał sobie, jak bardzo irytował go kiedyś jej brak zainteresowania.

- Pustułka to wyjątkowo niebezpieczny typ okrętu - wyjaśnił. - Krążowniki tej klasy mogą... A zresztą, i tak byś nie zrozumiała. Może inaczej: zwykle statki powietrzne pisane są na lnę. Większość krążowników napisana jest na bawełnie. A Pustułki pisane są tylko na iksońskim jedwabiu.

- Och! - krzyknęła Francesca, próbując odgadnąć koszt takiej ilości materiału.

- Przed Wojną Domową - kontynuował Cyrus - gdy Spiria wciąż była politeistyczna, każde bóstwo utrzymywało flotę - kilka eskadr lotni, jeden lub dwa niszczyciele, jakiś krążownik lub latawcowiec pełen latawców bojowych. Gdy Celeste i jej kanoniści wyruszyli na zjednoczenie Spirii, napisali pięć Pustułek. Politeiści nie mieli szans przeciwko jedwabnym statkom. Pustułki kolejno rozdarły ich floty na strzępy. Do końca wojny monoteiści stracili tylko dwie Pustułki.

- Uroczo - mruknęła Francesca, po czym zapytała: - Czyli Pustułka stanowi symbol monoteistycznej Spirii Celeste?

- Dokładnie. Z trzech takich wciąż na służbie tylko jeden lata w zachodniej flocie. Nazywa się „Lanca Królowej” i założę się, że mamy do czynienia właśnie z takim, który odbywa niezapowiedziany lot do wiatrowego ogrodu Lurrikary.

- I martwisz się, że może tu lecieć z demonstracją władzy Celeste nad Avel i kanonistką Całą?

- Dokładnie.

Francesca zaczęła się zastanawiać, czy przybycie okrętu miało związek z tym, co właśnie zdarzyło się w sanktuarium.

- Masz pojęcie, co to może znaczyć, Frań? - Cyrus wydawał się myśleć o tym samym.,

- Mogłabym mieć kilka pomysłów - odparła Francesca. - Mogę ci nawet o nich powiedzieć, pod warunkiem że wykażesz się choć papuzią bystrością i nauczysz się mówić do mnie „Francesca”.

- Francesca - powtórzył bezbarwnie Cyrus, zamykając oczy.

- Wyląduj na wieży ogrodu, to wszystko ci wyjaśnię.

Na szczęście nie spierał się i posłusznie skupił się na spadochronie.

Mniej więcej półtora kilometra przed nimi w potężnych Kasztanowych Górach sekwojowe lasy ustępowały sięgającej kolan nadmorskiej trawie i z wolna opadały do morza, tworząc zielony przesmyk przez góry, upstrzony potężnymi szarymi głazami. Wąwóz był szerszy od strony morza i zwężał się w głąb lądu.

Cyrus wyjaśnił kiedyś Francesce, że w trakcie pory deszczowej wąwóz działał jak lejek, zwiększając siłę oceanicznych wiatrów. W porze suchej ciepłe powietrze znad sawanny unosiło się ku niebu, wciągając chłodniejsze i cięższe powietrze znad oceanu. W efekcie tego przesmyk stanowił jedno z najbardziej wietrznych miejsc na całym kontynencie. Wykorzystując siłę wiatru, hierofanci Avel produkowali więcej hierofantycznych tekstów niż jakikolwiek inny wiatrowy ogród.

Kiedy wlatywali w przesmyk, Francesca zobaczyła około dwóch tuzinów wiatrowych pułapek - potężnych, zasilanych wiatrem konstrukcji tworzących wiatrowy ogród. Każda z nich została napisana na białym lnianym płótnie żaglowym i stanowiła olbrzymi cylindryczny latawiec. Widok tych wszystkich latawców skierowanych ku morzu przywiódł Francesce na myśl ławicę ryb z otwartymi pyskami pływających w strumieniu.

Cyrus przeleciał nad pułapką wiatrową zakotwiczoną do głazu. Miał około trzydziestu metrów długości i paszczę o średnicy jakichś dziesięciu. Jego ogon był nieznacznie skierowany w dół. Kiedy Francesca pierwszy raz to zobaczyła, nic nie zrozumiała. Nie spodziewała się, że cylindryczny latawiec będzie latał albo że może być skierowany do góry

w poziomo wiejącym wietrze. Jednak potem przypomniała sobie skrzynkowe latawce puszczane przez dzieci podczas Świąta Kolorów. Prosty latawiec skrzynkowy latał przechylony tak samo, jak pułapki wiatrowe. Tak naprawdę cała magia odbywała się w ich wnętrzu. Francesca spróbowała zajrzeć do środka pułapki, nad którą przelatowali, ale właśnie wtedy Cyrus złapał ją za rękę.

- Żeby dostać się do wieży, musimy podwoić powierzchnię żagla - wyjaśnił i dodał: - Trzymaj się!

Wysoka wieża ogrodu była wąskim budynkiem zbudowanym z piaskowca, sekwojowych masztów i wzmocnionego czarami materiału. Stała od morskiej strony przesmyku - od zawietrznej względem pułapek wiatrowych - i miała kształt grzbietowej płetwy rekina.

Cyrus dotknął tkaniny, która owijała ich nogi, a ta wystrzeliła do przodu, tworząc drugą czaszę. Nawet z podwojonym ciągiem wlecieli do przesmyku z połową wcześniejszej prędkości. Kiedy zbliżali się do opływowej wieży, Francesca dostrzegła ocean tworzący ciemnogramatową płaszczyznę ukrytą pod skłębionymi szarymi chmurami. Pionowa zawietrzna krawędź wieży mieściła serię lądowisk: prostokątnych, przypominających zagrody struktur zbudowanych z sekwojowych belek i żaglowego płótna. Cyrus dokonał szybkiej redakcji, sprowadzając ich bezpiecznie na jedną z platform.

Francesca wyplątała się z uprząży spadochronu. Nagle świst wiatru usta! i świat wydał się jej nienaturalnie cichy.

- Witaj, pilocie. - Aż podskoczyła, słysząc głos.

- Strażnik wieży pyta o twe imię i cel.

Francesca odwróciła się i zobaczyła niską hierofancką praktykantkę w zielonych szatach. Tkanina na głowie zasłaniała wszystko oprócz ciemnych oczu kobiety.

- Cyrus Alarcon, strażnik powietrza Avel - odpowiedział zapytany - w trakcie awaryjnej ewakuacji po możliwym ataku na sanktuarium. Dzisiejsze hasło: granit, ogień, południe. Przekaż wyrazy szacunku twojemu strażnikowi i poproś o zgodę na wejście do wieży ogrodu w celu spotkania z nim i marszałek wiatru.

- Zaczekajcie. - Praktykantka odwróciła się i wyszła przez zasłone ściany lądowiska. Francesca odetchnęła głęboko. Chłodne powietrze pachniało morzem. Wszędzie wokół rozlegało się trzaskanie lin i materiału. Towarzyszyły im wrzaski i klótnie mew.

Francesca rozcierała zmarznięte policzki. Po raz pierwszy doceniła ochronne właściwości nakryć głowy hierofantów. Spojrzała na szatę Cyrusa, a potem na jej właściciela. Podobnie jak większość hierofantów był szczupły - miał wąską talię i umięśnione ramiona

- i dość niski. Przy rekrutacji hierofanci zwracali dużą uwagę na wzrost, ponieważ w powietrzu dodatkowa waga stanowiła utrudnienie. Nie znaczyło to bynajmniej, że Cyrus był wyjątkowo niski - właściwie przy wzroście metr siedemdziesiąt był najwyższym pilotem, jakiego Francesca kiedykolwiek spotkała.

- Wylądowaliśmy. Jesteś mi winna wyjaśnienia - zwrócił się do niej, zbierając w ręce płótno spadochronu, które nagle popękało w niezliczonej ilości miejsc, po czym poskładało się samodzielnie w staranny prostokąt.

Patrząc na płótno, Francesca pomyślała o wysokim języku hierofantów - sarsayah - który potrafił skupiać energię tylko w tkaninie. W powietrzu sarsayahowe teksty rozpuszczały się w potężne podmuchy wiatru.

Runy sarsayahu mogły być produkowane wyłącznie przez serce, co znaczyło, że hierofanci bardzo powoli tworzyli teksty. Z tego powodu nosili obszerne szaty do przechowywania jego wielkich ilości. Przy każdym uderzeniu serca hierofanta rzucał do prawej komory kilka magicznych zdań. Skurcz serca wypychał krew ze zdaniem do płuc, a z każdym oddechem hierofanta wydychał kilka magicznych zdań. Żeby je łapać, niemal zawsze nosili na twarzach chusty.

Francesca nie potrafiła czytać sarsayah, więc nie widziała jego run. Cyrus mówił, że świecą bladobłękitnym światłem. Lata temu przyglądała mu się, gdy spał, i wyobrażała sobie, jak owinięta luźno wokół jego ust chusta wypełnia się słowami świecącymi niczym poranne niebo.

Spojrzała mu w oczy. Spod jego turbanu wysunął się pukiel czarnych włosów. Powiedział, że droga tutaj zużyje większość tekstu z lotni i jego szat. Biorąc pod uwagę fakt, że nie ufała Cyrusowi, pozostawało jedno pytanie: Ile jeszcze tekstu mu zostało? To, co zamierzała mu powiedzieć, musiało doprowadzić do konfrontacji, może nawet do aktu przemocy.

Francesca nie była sprawną czarodziejką, jej dar polegał na dopracowywaniu wyszukanych tekstów medycznych. Potrafiła jednak formować runy magów wszystkimi mięśniami ciała, podczas gdy Cyrus mógł formować hierofantyczne runy wyłącznie w swoim sercu. Gdyby doszło do starcia polegającego na improwizowaniu magicznego tekstu, bez trudu mogła go pokonać.

Zerknęła w dół, na kulę magnusowego tekstu w swoich udach. Wciąż emitowała kaskady czarów sygnałowych. Na wszelki wypadek zaczęła pisać mięśniami rąk złoty dysczar.

- To, co powiem, Cyrusie, może wydawać ci się naciągane. Jednak rzeczy, które widziałam w sanktuarium, skłaniają mnie do uwierzenia w konieczność sprawdzenia bardzo mrocznej możliwości. - Gdy nie odpowiedział, kontynuowała: - Deirdre twierdzi, że Wojna Dysjunkcji już się rozpoczęła.

- Proszę?

- To może brzmieć jak szaleństwo, ale wysłuchaj mnie. Demon imieniem Tajfon przekroczył ocean i przejął kontrolę nad Avel. Deirdre twierdzi, że jest jego regentką szpiegów. Wierzy, że prawie wszyscy hierofanci w mieście nieświadomie służą demonowi.

- Przecież to szaleństwo. - Cyrus się roześmiał. Wyglądał, jakby czekał, aż kleryczka sprostuje swoje słowa. Kiedy jednak odpowiedziała tylko surowym spojrzeniem, roześmiał się ponownie. - Istne wariactwo. Ta... Deirdre musi być szalona.

- Nić możemy jej ignorować - zastrzegła Francesca. - Ona zna twoje hasła.

- Owszem - zgodził się - i nie mogła ich poznać bez kontaktów na dworze kanonistki, ale... To po prostu niemożliwe.

Francesca przyjrzała się uważnie jego oczom.

- Deirdre uważa, że możesz być jedynym magiem wiatru niezwiązany jeszcze z demonem. Powiedziała, że Tajfon sprowadził cię z powrotem do miasta w charakterze jakiegoś zasłony. Nie jestem pewna, co to znaczy, ale ma to jakiś związek z faktem, że nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji kanonistki.

- To czyste szaleństwo - powtórzył Cyrus, zerkając w stronę zasłony, za którą zniknęła praktykantka.

- Jak dobrze znasz Avel w jego obecnym kształcie?

- spytała Francesca. - Wiesz, kim jest regent szpiegów?

- Tego nie wie nikt poza doradcami kanonistki.

- Znow popatrz na nią. - Cała mogła nawet nie wyznaczyć regenta szpiegów. A co do Avel, znam je dość dobrze. Przejąłem dowodzenie lotniami miasta.

W pobliżu jakaś mewa zbesztła drugą.

- Cyrusie, jesteś tu dopiero dwa tygodnie - zauważyła Francesca. - Deirdre znała hasła i wydała ci rozkaz. Zabroniła ci mówić komukolwiek o tym, co widziałeś. Twoim obowiązkiem jest jej posłuchać.

- Moim podstawowym obowiązkiem jest chronić miasto, Fran. Nie ma mowy, żeby demon...

- Na boga bogów, Cyrusie, Francesca! Ile razy mam ci to jeszcze powtarzać? Płonące nieba!

- Moja babcia zwykła mawiać „płonące nieba”. I „bóg bogów”, ale o tym już mówiłem. - Cyrus pociągnął nosem.

Francesca sapnęła z irytacją. Dorastała na granicy między Spirią i Verdant, w związku z czym miała dykcję i akcent, które niemal przez wszystkich uważane były za dość staromodne. Uwydatniało się to szczególnie wówczas, gdy była zdenerwowana. Cyrus zdawał sobie sprawę z tego, że jego uwaga ją zirytowała.

- Cyrusie - odpowiedziała bezbarwnym głosem - tu nie chodzi o nas.

- A kto powiedział, że ma chodzić o nas? - Jego głos zrobił się lodowaty.

- Przykro mi, że wszystko skończyło się w taki sposób. - Spojrzała mu w oczy.

- Czemu miałyby ci być przykro? Ja nie żałuję. Ty jesteś lekarką, ja jestem o krok od zostania kapitanem. Najwyraźniej podjęliśmy słuszne decyzje.

Przez chwilę milczała. Wydawał się mówić szczerze, ale... cóż, zawsze myślała, że inaczej traktował ich rozstanie. A może po prostu chciała tak myśleć?

- Oczywiście - odpowiedziała po chwili milczenia. - Oczywiście. Przepraszam. - Znow na chwilę umilkła. - Deirdre powiedziała mi także, że gdzieś w Avel lub w pobliżu znajduje się zbiegły mag. Nazywa się Nikodemus Weal.

Cyrus podszedł do rogu lądowiska i położył na ziemi starannie złożony spadochron.

- Nikodemus Weal? - spytał. - Szalony praktykant, który dziesięć lat temu zabił grupę magów w Starhaven? Ten, który nakręcił akademików na te wszystkie bzdury o przepowiedni?

Zadowolona z faktu, że Cyrus odłożył wreszcie czerwone płótno, Francesca podeszła do niego.

- Wiem, że to wydaje się szalone, ale nie możemy tego zignorować. Deirdre powiedziała, że Nikodemus może przebywać u Kaników w dzielnicy Północnej Bramy. Gdy przekonamy się, że w sanktuarium jest bezpiecznie, musisz mnie zabrać z powrotem do Avel, by zbadać tę sprawę.

- Francesca... - zaczął powoli. - Zgadza się, że ta sprawa wymaga zbadania. Ale nie przez ciebie czy mnie. Jesteś kleryczką, ja pilotem. Ty powinnaś leczyć, ja latać. Przedyskutuję tę sprawę z marszałek wiatru i strażnikiem wieży. W trójkę będziemy mogli uzyskać audiencję u kanonistki Cali. Z pewnością zostanie uruchomione stosowne śledztwo. v

Francesca poczuła, że jej dłonie robią się lodowate. Spojrzała na jego szatę. Być może traciła czas na tę rozmowę. Cyrus każdym oddechem powoli uzupełniał swoje zapasy tekstu.

- Cyrusie - odezwała się ostrożnie - twoja logika byłaby nienaganna, gdyby nie możliwość, że Avel i kanonistka kontrolowane są przez demona.

- To zbyt naciągane. - Potrząsnął głową. - Ale będę ostrożny, omawiając tę sprawę ze strażnikiem i marszałek.

Na twarzy Franceski pojawiły się rumieńce. Coraz trudniej było jej zapanować nad swoim głosem.

- A co, jeśli naprawdę służą demonowi?

- Posłuchaj, właśnie przeżyłaś bardzo wyczerpujące doświadczenie. Coś zaatakowało sanktuarium. Kobieta twierdząca, że jest awatarem, zrzuciła cię z lotni. Masz prawo nie myśleć jasno.

Francesca dokończyła numenosowy odczar, który pisała w bicepsie, i przesunęła go do zaciśniętej pięści.

- Dziękuję za troskę, ale myślę całkiem jasno. I nie mogę dopuścić do tego, że powiesz o tym strażnikowi wieży lub marszałek. To zbyt ryzykowne.

- To mój obowiązek. - Cyrus nie dawał za wygraną.

- Twoim obowiązkiem jest ochrona Avel. Jeśli demon...

- Nie możesz mnie powstrzymać - potrząsnął głową.

Francesca poczuła nagły strach. Musiała mu to uniemożliwić. Sięgnęła po swój najbardziej kategoriyczny ton.

- Powstrzymam cię, Cyrusie. Muszę cię powstrzymać.

- A więc dlatego nie chciałaś rozmawiać, gdy byliśmy w powietrzu? - złożył ręce na piersi. - Bo nie mogłaś rzucić na mnie magowego odczaru, który strąciłby nas oboje z nieba? Zawsze byłaś potężniejszą czarodziejką, ale musisz wiedzieć... - zaczął rozkładać ręce.

Francesca machnęła gwałtownie dłonią, rzucając w pierś Cyrusa przypominający się odczar. Jej proza owinęła się wokół niego. Potężne złote zdania przemknęły przez jego szaty, odczarowując wszelkie napotkane teksty. Zaimprovizowała szponiasty akapit w magnusie i rzuciła go na złożone czerwone płótno. Gdy akapit chwycił, pociągnęła mocno za powiązane zdanie i odciągnęła materiał poza zasięg Cyrusa.

- Nie utrudniaj tego bardziej niż... - Jej głos zgasł.

Patrzył na nią, nawet nie próbując pozbyć się odczaru ze swoich szat.

I wtedy zrozumiała swój błąd.

Cyrus spokojnie przyłożył dłoń do ściany lądowiska. Niemal natychmiast pas żaglowego płótna wyskoczył ze ściany i uderzył w udo Franceski, gdzie wplótł się w tkaninę. Obiema rękami uformowała język obronny i spróbowała się wyrwać, ale Cyrus nasycił jej strój hierofantycznym językiem i stały się sztywne, jakby były wykute w żelazie.

Próbowała jeszcze formować odczary w języku, zamierzając splunięciem rzucić je na rękawy, ale stula kleryka, którą nosiła na ramionach, zwinęła się w linę i owinęła się wokół jej czoła.

Potem świat rozpląnął się w bieli.

Mrużąc oczy od blasku słońca, Nikodemus obejrzał swoją grupkę fałszywych trędowatych.

Shannon stał obok niego, opierając się na lasce.

- Przypomnij mi, mój chłopcze - wyszeptał - czemu nie kwestionowałem twojego planu ucieczki na tyle gruntownie, by odkryć, że postanowiłeś zabić nas przebraniem?

Zarówno Shannon, jak i Nikodemus ubrani byli w gryzące szare szaty północriospiryjskich zakonników, którzy przysięgali opiekować się chorymi i żebrakami. Przed nimi na mokrych od deszczu kaflach przysiedli uczniowie Nikodemusa. Wszyscy aż po czubki nosów owinięci byli w brudne łachmany trędowatych.

Nikodemus patrzył na nich. Żyła czujnie rozgląda! się wokół, podczas gdy Żuzel i Szum spierali się ze sobą. Krzem i Jasp przykucnęli w bezruchu, jakby odpoczywali.

Koboldy traktowały ludzi z dużą nieufnością. Kiedy okoliczności zmuszały je do kontaktów z nimi, instynktownie starały się ukryć swoje ciała i tożsamości. Obecnie to pragnienie manifestowało się w ich spiętych postawach i trzymaniu się w grupie, jakby chcieli stworzyć mur odgradzający ich od reszty świata. Na szczęście ten język ciała wzmacniał tylko wrażenie, że faktycznie stanowią grupę odrzuconych przez społeczeństwo trędowatych.

Nikodemus poprawił swoje szare nakrycie głowy. Shannon miał rację: przekonujące przebranie nie równało się jeszcze bezpieczeństwu. Jednak wedle pierwotnego planu Nikodemusa do tej pory powinni już albo dysponować szmaragdem, albo nie żyć. Przy każdej z tych opcji ucieczka byłaby zbędna.

- Problem z planami ucieczki w przebraniu polega na tym - kontynuował Shannon - że często zmieniają się w plany samobójstwa w przebraniu.

- Przesadzasz, magistrze - mruknął Nikodemus. - Potwór ani demon nie oczekują, że ukryjemy się w świetle słońca.

- Czyżby? - Shannon poprawił chwyt na Lazurze. Musiał ukrywać swojego chowańca przez owinięcie go w kawał szmaty.

Stali na Dziedzińcu Mniejszego Błogosławieństwa, na północnym skraju kompleksu sanktuarium. Był to zwykły, ogólnodostępny plac. Dwa razy dziennie przychodzili tu biedacy z Avel, by otrzymać podpłomyki i śpiewać pieśni Cali. Oddając jej cześć, pozwalali, by czar

półbogini pobierał część siły ich ciał, przelewając ją do arki Cali. Bogatsi obywatele oddawali jej cześć tylko co drugi dzień na dziedzińcach ozdobionych fontannami i kwiatami.

Różne formy rytuału religijnego - czasem obejmującego pieśni, czasem modlitwy lub tylko cichą medytację - praktykowano w każdym większym mieście kontynentu ludzi. W ten sposób bóstwa zwiększały swoją moc.

Spośród pięciuset dusz zebranych wokół Nikodemusa większość była po prostu biedna, ale byli też tacy, którzy stracili kończyny, wzrok, rozum lub wszystko naraz. Nikt nie zwrócił uwagi na skupioną wokół niego grupę. Spirycjycy wierzyli, że trąd stanowi karę za grzechy. W czasach dostatku trędowatych unikano, w czasach głodu wyganiano ich na sawannę, gdzie zajmowały się nimi likantropy. Tylko iksończycy - których hydromanci potrafili leczyć swoimi wodnymi czarami - inaczej traktowali cierpiących na trąd.

Dzięki biegłemu posługiwaniu się prąjczykiem Nikodemus widział infekcję wywołującą trąd i wiedział, że chorzy na tę chorobę nie byli winni żadnych grzechów. Choć czuł niesmak z powodu sposobu, w jaki ich traktowano, nie miał oporów przed wykorzystaniem tego uprzedzenia na swoją korzyść. Nikt w Avel nie zatrzyma spojrzenia na jego owiniętych w łachmany studentach na tyle długo, żeby zauważyć, że mieli nieludzko szerokie klatki piersiowe i zbyt długie kończyny. A gdyby nawet ktoś to zauważył, z pewnością przypisałby te cechy skutkom choroby.

- Raid był porażką - przyznał Nikodemus. - Przepraszam, magistrze, nie miałem pojęcia, że bestia tak szybko powróci do sanktuarium. Jeszcze znajdziemy sposób na odzyskanie szmaragdu i wyleczenie cię.

- Nie był porażką. - Staruszek zmarszczył brwi i sapnął. - Zabiłeś trzech bibliotekarzy. Piromanta musiał być łącznikiem Tajfona z wyznawcami demonów w Trillinon. Podobnie hydromanta w Iksos. Tak naprawdę to właśnie ten hydromanta musiał dostarczać lucerynę do Avel.

- Ale byliśmy tak blisko, tuż obok podatnego na atak demona. Może mogliśmy przebić się przez drzwi, gdybyś był ze mną, zamiast stał na straży.

- Nie, mój chłopcze, lepiej było zostawić mnie na czatach. Jestem zbyt słaby; by się przez coś przebijać.

- Gdyby tylko Potwór nie wrócił tak szybko z ataku likantropów - burknął niezadowolony Nikodemus. - Szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. - Popatrzył na ośmiokątną kopułę z czerwonymi dachówkami i minaretami z piaskowca. Bestia wspięła się teraz do pomieszczeń kanonistki.

Nikodemus zaczął zastanawiać się nad zdolnością potwora do wywoływania afazji - było to niepokojąco podobne do jego własnej ułomności. Kakografia uniemożliwiała ludziom tworzenie pisanych słów, afazja zaś formowanie słów mówionych. Musiał być jakiś powód tego podobieństwa. Może to coś, co zaplanował Tajfon?

- Dobrze się czujesz, chłopcze? - Słowa Shapnona wyrwały go z zamyślenia.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Niko. - Myślałem

Sawannowym Potworze. Uważa się za cholernie sprytnego, ale w rzeczywistości to tylko kupa mięsa pretensjonalnej prozy.

- Zdaje się, że on sądzi to samo o tobie - roześmiał się Shannon.

- Muszę przyznać, że w murach sanktuarium jest niewiarygodnie potężny. Gdybym tylko zdołał go złapać w nocy poza miastem.

- Udało ci się to dwie suche pory temu, gdy walczyliście pod tamą.

- Tamto się nie liczy. Skąd miałem wiedzieć, że wypełni ten cholerny przepust roztworem luceryny?

- Była też noc w przystani Coldlock. Twój plan z łodzią rybacką.

Wbrew sobie Nikodemus zadrzał na to wspomnienie.

- To też się nie liczy - odparł. - Kto wiedział, że orki mogą podpływać tak blisko brzegu i że Sawannowy Potwór mógł z nimi robić... coś takiego?

- Wciąż miewam koszmary o pływaniu w tej wodzie - Shannon potarł skronie. - Pływające pod nami ciemne sylwetki i cała ta krew. Tyle krwi...

- Magistrze, twój duch, to znaczy, chciałem powiedzieć... - Czując narastającą złość, Nikodemus spróbował zmienić temat.

- Nie będziemy o tym rozmawiać.

- Ale Tajfon przetrzymywał tego ducha przez ponad rok. Demon z pewnością go przepisał. Musieliśmy spróbować go rozłożyć.

- Tak. - Shannon odwrócił się do niego z nieprzeniknionym wyrazem białych oczu. - Oczywiście. A gdybyś miał właściwe szkolenie magów lub po prostu posłuchał mnie w Dolinie Niebiańskiego Drzewa, zniszczyłbyś ducha, zamiast pozwolić mu uciec z powrotem do Tajfona.

- Nie mogliśmy zostać w dolinie, magistrze - zaoponował Niko. - Jak już mówiłem setki razy...

- Mówiłeś. Koniec tematu - uciął Shannon.

- Magistrze - powiedział Nikodemus, ale właśnie w tej chwili na dziedzińcu zapadła cisza i spojrzenia wszystkich oczu zwróciły się ku podwyższeniu na jego końcu. Pojawiła się

na nim procesja wyznawców Celeste niosących lektykę. Wyćwiczonymi ruchami postawili ją i złożyli jej drzwiczki, odsłaniając wysoki na około półtora metra topaz - fragment arki kanonistki Cali.

Jeden z wyznawców wygłosił krótką mowę, sławiąc niebiańską boginię Celeste i jej kanon półbogów. Potem wyznawcy zaintonowali pieśń modlitewną. Gdy śpiewali, Nikodemus utracił odrobinę siły, pochłoniętej przez boży czar Cali. Wysoki topaz rozjarzył się jaśniej, zyskując moc pobraną ód wszystkich zgromadzonych.

Nikodemus spędził dzieciństwo w akademii magów w Starhaven. Patron magów, Hakeem, rzadko wymagał od swoich wyznawców, by oddawali mu cześć. W związku z tym magowie prowadzili niemal ateistyczne życie, rzadko oddając swą siłę bóstwu i jeszcze rzadziej korzystając z jego ochrony.

Gdy Nikodemus przybył do Avel, wstrząsnęły nim praktyki, których Cala żądała od swoich wyznawców. Był oburzony faktem, że obywatele w większej potrzebie oddawali jej cześć dwukrotnie częściej niż bogacze. Głodni nie mieli wyboru, podpłomyki rozdawano im dopiero po ceremoniach. Jednak oburzenie Nikodemusa znikło, gdy jego towarzyszką, Boann - niemal zupełnie pozbawiona mocy rzeczna bogini - wyjaśniła mu, ile Cala robi dla swoich wyznawców. Tylko boży czar kanonistki utrzymywał w całości mury miasta pomimo licznych trzęsień ziemi, pożarów traw i ataków likantropów. To Cala utrzymywała wodę w zbiorniku podczas długiej pory suchej. Gdyby ludzie w Avel przestali modlić się o utrzymanie murów, bez wątpienia skończyliby w paszczach likantropów. Gdyby przestali modlić się o wytrzymałość tamy, umarliby z pragnienia.

Podobne układy między bóstwami a ludźmi istniały we wszystkich sześciu królestwach ludzi. Czy to biedni i bezradni ponosili największe koszty zapewniania mocy ich bóstwom? Niewątpliwie. Zawsze tak było i najprawdopodobniej na zawsze tak pozostanie. Jednak jak zauważyła Boann, nierówność rządów bóstw była drobiazgiem w porównaniu ze staraniami Tajfona, których celem było sprowadzenie przez ocean armii demonów.

Nikodemus zaczął uświadamiać sobie, pod jakim kloszem żył w akademii. Gdy zakończyła się modlitewna pieśń, a biedacy tradycyjnie ustawili się w kolejce po podpłomyki, poczuł się dziwnie pusty. Musiał ukryć swoich fałszywych trędowatych do zachodu słońca. Musiał stłumić złość i rozpacz Shannona z powodu utraty ducha oraz poradzić sobie z poczuciem rozpacz, które zabiłoby staruszką, zanim zrobi to kłątwa rakowa panosząca się w jego brzuchu. Musiał odzyskać szmaragd, by wyleczyć Shannona, musiał uwolnić Deirdre i pokonać Tajfona... I nie było żadnego ziemskiego bóstwa, do którego mógłby się zwrócić o pomoc w choćby jednym z tych zadań.

Wyprowadził więc swoją grupę z dziedzińca i pomodlił się cicho do tego bóstwa, które nie wtrącało się do świata, ponieważ samo był światem.

Pomodlił się do Stwórcy.

Deirdre odzyskiwała przytomność. Miała oczy pełne łez. Zawsze działało się tak po ponownym nawiedzeniu. Przynajmniej nauczyła się nie łkać.

Leżała na grubym dywanie, przykryta kocem, z głową na poduszce. Koło niej na niskim sześciokątnym stole stały dzbanek i mała metalowa filiżanka z gorącą, parującą jeszcze miętową herbatą. Wokół stolika rozłożono poduszki.

Starła zaschnięte ślady łez z policzków i usiadła. Duży pokój był jasny i przestronny. Za meblami ustawiono zdobione parawany z sekwojowego drewna. Przebijało przez nie popołudniowe słońce, podświetlając geometryczne wzory ich zdobień. Chłodny wiatr niósł zapach sekwoi i odległego oceanu.

Sawannowy Potwór przyniósł ją na szczyt sanktuarium, do pomieszczeń zajmowanych kiedyś przez kanonistkę, a obecnie przez Tajfona. Ostatnie, co pamiętała Deirdre, to moment, w którym Francesca spadła z lotni. Później było już tylko rozmazane niebo i ekstatyczny żar.

Gdy doszła do siebie, zauważyła przerwę między parawanami odsłaniającą szeroki balkon, a z niego widok na poplątane uliczki Avel i owiewaną wiatrem sawannę. Gdy ostrożnie wstała, odkryła, że ma na sobie niebieską bluzę z jedwabiu i białą kamizelę wyszywaną złotem. A więc Tajfon ponownie ubrał ją w szaty spiryjskiej szlachcianki, oficera dworu kanonistki...

Czasami ten strój sprawiał jej przyjemność: biała kamizela ładnie kontrastowała z jej ciemną karnacją. Częściej jednak irytowało ją to, że Tajfon stroił ją niczym lalkę. Demon wprowadził swoich wyznawców do dworu Cali i zmusił ją do udzielania im pomocy w odgrywaniu politycznych gier szlachty - gier, którymi Deirdre zajmowała się dla Boann, gdy była jeszcze dralijską szlachcianką w mieście na wyżynach.

W ciągu ostatniej dekady Tajfon zmusił ją, by została jego regentem szpiegów i odtworzyła sieć jego wyznawców demonów, zniszczoną przez Fellwrotha, który uzurpował sobie kontrolę, demona nad Dysjunkcją. Obecnie większość wpływowych obywateli Avel - dowódców wojskowych, kupców, bankierów, a nawet kapłanów - była zaprzysiężona Tajfonowi. Bez ich pomocy nigdy nie udałoby mu się zniewolić Cali. Demon zmusił Deirdre, by wykorzystwała swoje obycie w polityce do zmanipulowania podatnych osobistości Avel, a siłę do zamordowania tych, którzy stawiali opór.

Deirdre całymi latami obmyślała plan ucieczki od demona i w końcu wprowadziła go w czyn. Zdołała przekonać go, że udało mu się ją skonwertować, że stała się zwolenniczką Dysjunkcji. W związku z tym przestał przeszukiwać jej wspomnienia, co mógł robić, tylko będąc fizycznie blisko niej. Poza tym zawsze później była niezdolna do działania przez dwa, trzy dni, co nie wpływało korzystnie na pełnioną przez nią funkcję. Minęły dwa lata, od kiedy ostatni raz odczytała jej myśli. Ale czy teraz, skoro została uwolniona, mogła nadal go oszukiwać? Czy zdoła powstrzymać go przed czytaniem w jej umyśle?

Pomodliła się o siłę i szansę na ponowne spotkanie z Boann. Gdy skończyła, zacisnęła dłonie w pięści i wyszła na balkon. Od zachodu znad oceanu olbrzymimi kolumnami deszczu nadciągały chmury, ale znad nich wyglądał czysty błękit nieba.

Wędrując wzdłuż balkonu, znalazła Tajfona w alabastrowo białym cieple - ponad dwa metry samych mięśni. Z jego głowy zwisała grzywa jedwabistych czerwonych włosów. Z pleców wyrastały mu skrzydła porośnięte czerwonymi i czarnymi piórami. Był odwrócony od Deirdre. Blisko niego dostrzegła duży sześcian ślepoty. Nie była to jednak kostka czerni - czerń była kolorem i oczy Deirdre mogły ją identyfikować. Kiedy patrzyła na tę kostkę, nie widziała zupełnie nic.

Kostka była odzwierciedleniem sposobu, w jaki rejestrowała Sawannowego Potwora. Deirdre była opornana większość działań wywieranych przez stwora na umysł. Będąc tak blisko, każdy inny pogrążyłby się w afazji i delirium.

- Demonie, powróciłam - oznajmiła Deirdre.

Odwrócił się. Jego oczy błyszczały czarnym onyksem, alerysy miał takie jak zawsze - zadarty nos, wąskie wargi, wysoko osadzone kości policzkowe. Rysujący się na jego twarzy wyraz wyniosłego rozbawienia przepelnił Deirdre bezgraniczną nienawiścią. Musiała użyć całej siły woli, by nie pokazać po sobie emocji.

- Wróciła moja córka marnotrawna - Tajfon odezwał się swym grzmiącym głosem. - Było warto? Myślałem, że dałaś sobie spokój z tymi dziecinnymi samobójstwami. Minęły całe lata.

- Tym razem było inaczej. - Ukłoniła się. - Zrobiłam to dla Dysjunkcji.

Trudno było to dostrzec, ale Deirdre miała wrażenie, że demon uniósł brwi.

- Przekonaj mnie, córko. Czemu musiałaś uciekać spod mojej władzy, by przyspieszyć Dysjunkcję?

- Musiałam ochronić nasze dzieło przed tą lekkomyślną bestią, którą przygarnąłeś. - Popatrzyła w stronę Sawannowego Potwora. Nie było to łatwe, odruchowo chciała uciec przed ślepotą.

- Poleciałem ci, córko, nie przeciwstawiać się... - Na krótką chwilę, gdy demon wymawiał prawdziwe imię Sawannowego Potwora, Deirdre ogłuchła. Aby lepiej kontrolować bestię, Tajfon zmodyfikował umysł Sawannowego Potwora, tak że miał mniejszy wpływ na osoby wymawiające lub choćby myślące o jego prawdziwym imieniu. W efekcie bestia ogłuszała każdego, kto słyszał dźwięki jej prawdziwego imienia, i oślebiała każdego, kto widział składające się na nie litery. Po chwili słuch Deirdre powrócił. - Jeśli dalej będziesz mi się opierać, wprowadzę w ciebie większy fragment mojej duszy - ostrzegł Tajfon. - Czy nie dowiodłem, że nie jesteś już w stanie opierać się Dysjunkcji? Nie możesz powstrzymać się przed służeniem naszej sprawie.

- Jestem o tym przekonana, mój panie - odparła Deirdre. - Zrobię wszystko, by przysłużyć się naszej sprawie i nawrócić moją ukochaną Boann na Dysjunkcję. Musisz uwierzyć... - Jej głos ucichł, a ona sama zatoczyła się nieco na lewą stronę. Coś takiego zdarzało się już wcześniej. Idąc, Sawannowy Potwór wprawiał podłogę w wibracje jak podczas trzęsienia ziemi. Aby jednak uniemożliwić wyczuwanie wibracji, bestia czasowo paraliżowała nerwy w nogach. Deirdre przekonała się, że te same nerwy odpowiadały za wyczuwanie kąta ustawienia jej stawów, więc kiedy były nieaktywne, trudno było jej utrzymać równowagę bez patrzenia pod nogi. Gdy udało jej się wyprostować, okazało się, że znowu ogłuchła. Sawannowy Potwór mówił. - Taj fonie - odezwała się Deirdre, choć nie słyszała własnych słów. - Muszę... Muszę ci powiedzieć...

- Znowu zatoczyła się na lewo, a potem nagle odzyskała i słuch, i równowagę.

- Co zrobiłaś, gdy się uwolniłaś? - Tajfon teraz już wyraźnie marszczył brwi.

- Bestia nie jest z tobą szczerą, prawda? - Uśmiechnęła się.

- Co zrobiłaś? - Zmarszczki na jego czole się pogłębiły.

- Kiedy to wyjaśnię, będziesz chciał wynagrodzić moje poświęcenie. - Skłoniła się. - I ochronić mnie przed zemstą Sawannowego Potwora. - Demon tylko na nią patrzył. - Wiesz, że od dawna pragnęłam się dowiedzieć, jaką rolę w twoich planach dotyczących Dysjunkcji odgrywa Cicha Śnieć - parła dalej Deirdre.

- Jak mogę służyć naszej sprawie, nie wiedząc, jak nazwałeś nasze najpotężniejsze narzędzie? Może teraz, gdy ochroniłam Dysjunkcję przed bestią, nagrodzisz mnie informacją o Cichej Śnieci?

Tym razem Deirdre była przygotowana na odpowiedź bestii - rozstawiła szeroko nogi, by utrzymać równowagę, i odczekała, aż po chwili ciszy znowu odzyska słuch. Potem popatrzyła na Tajfona, który przemówił do niej:

- Zapędziłaś... - Potwór ponownie ogłuszył ją na czas wypowiedzania jego imienia - ...do obrony. - Demon postąpił w jej stronę. - Powiedz, co dokładnie zrobiłaś?

- Wprowadziłam Francescę do gry - odpowiedziała z uśmiechem.

- Nie wydałem takiego rozkazu - zimno oświadczył demon. - Nie zamierzam jeszcze ranić Nikodemusa.

- Proszę o wybaczenie - uśmiech Deirdre stał się jeszcze szerszy - ale było to konieczne, by... by... - Bestia sprawiła, że przestała słyszeć własny głos, ale mówiła nadal: - Musiałam wprowadzić ją do gry, by ochronić ją i wszystko to, dla czego pracujemy. Jako twój regent szpiegów dowiedziałam się, że Sawannowy Potwór tobą manipuluje. Postanowił porwać ją dla siebie.

Zamilkła, ale wciąż była głucha. Tajfon wskazał w stronę Sawannowego Potwora.

- Wprowadziłaś Francescę do gry, by ochronić ją przed Sawannowym Potworem? - Wreszcie odzyskała słuch. Demon przyglądał się jej uważnie.

- Francesca wkrótce znajdzie Nikodemusa - przytaknęła. - Może utrzymać go przy życiu po tym, jak go zranisz. Nie mogłam powiedzieć ci o moich planach, ponieważ bestia wykradłaby lub zabiła Francescę, zanim moja petycja dotarłaby do twoich uszu.

- Czyli zaplanowałaś przeprowadzenie tego podczas rajdu Nikodemusa? - Obserwował ją uważnie.

- Rajdu?

- Nikodemus wprowadził swoich uczniów do sanktuarium, gdy likantropy zaatakowały Północną Bramę.

Chłopak i jego koboldy utorowali sobie drogę do mojej prywatnej biblioteki.

- Przepraszam, mój panie, ale nie rozumiem. Co właściwie się stało?

Demon prychnął.

- Lepiej, żeby to zaskoczenie, które maluje się na twojej twarzy, było szczere. Inaczej nigdy więcej ci nie zaufam.

- Jest nie tylko szczere, ale i bardzo głębokie - odparła Deirdre. - O czyip mówisz, mój panie?

Tajfon opisał, jak Nikodemus wdarł się do jego prywatnej biblioteki, niemal go dosięgając w czasie, gdy jego umysł był częściowo rozłożony.

- Właściwie powinienem ci podziękować, moja córko. Sprowadzając... - W uszach Deirdre znów na chwilę zagościła pustka -...do sanktuarium, zmusiłaś Nikodemusa do rezygnacji z ataku. Choć chłopak odkryłby małą niespodziankę, gdyby udało mu się do mnie dotrzeć.

Gdy Deirdre wreszcie zrozumiała, poczuła, jak zalewa ją fala rozpaczy. Czyżby nieświadomie powstrzymała Nikodemusa przed uwolnieniem jej?

- Nie wiedziałam, mój panie...

- Oczywiście, że nie wiedziałaś, córko. Ale nie o tym mówimy. Mówimy o Francesce. Powtórz mi wszystko, co ci powiedziała.

Deirdre odetchnęła głęboko. Niezależnie od tego, czy zepsuła plan Nikodemusa, czy nie, musiała kontynuować realizację własnego.

- Uniżenie wycofam się z posłuszeństwa, mój panie, chyba że zdradzisz mi prawdziwe imię bestii, bym mogła ochronić się przed manipulacją z jej strony. Ponadto pokornie proszę o objaśnienie Cichej Śnieci, bym mogła lepiej poznać plany Dysjunkcji.

- Pokornie? - Demon roześmiał się, krzyżując ręce.

- Mógłbym przecież wydrzeć te wspomnienia z twojego umysłu.

- To zajęłoby cały dzień i uczyniłoby mnie niezdolną do służby na jeszcze dłużej. Nie możesz sobie na to pozwolić. Moi agenci znaleźli dowody na to, że Sawannowy Potwór znowu kradnie ci potężne przedmioty. Pamiętasz lornijski naszyjnik, który połknął dwa lata temu? Albo iksońską urnę, która znikła rok wcześniej? Tylko że tym razem pazerność bestii skupiła się na Francesce. - Choć w przeszłości rzeczywiście się zdarzało, że Sawannowy Potwór okradał demona, tym razem Deirdre kłamała. Wiedziała, że stwór nie miał żadnych planów związanych z uzdrowicielką. Aby skłonić Tajfona do uwierzenia jej, musiała sfabrykować dowody. - Dowiedziałam się, że Sawannowy Potwór usunął łańcuszek, który umieściłeś na kostce Franceski - powiedziała przekonującym głosem.

- Zrobił to, by pobrać z niej moc i ukryć ją przed tobą, a później ją pochłonąć. Nie mogłam ujawnić ci moich podejrzeń, mój panie, dopóki nie dowiedziałam się, gdzie bestia ukryła artefakt. Potrzebowałam dowodów. Moi agenci dowiedzieli się, że potwór ukrywa łańcuszek w ciele jednego ze swoich wyznawców. W jednym z ciał, które... wybac mi, panie, ale nie wiem, jak je pochłania. Może połyka? Albo magicznie konserwuje? Cokolwiek z nimi robi, przedmiot znajduje się w jednym z nich. - Tajfon znieruchomiał. Przypominał alabastrową rzeźbę. Deirdre wiedziała, że wysyła teraz swój umysł w poszukiwaniu magicznego łańcuszka. Nagle kobieta zatoczyła się kilka kroków do tyłu i znowu ogłuchła. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła zbliżający się do niej sześcian ślepoty. - Nie waż się mnie dotykać - powiedziała, nie słysząc własnych słów. Może nie dysponowała zdolnością Sawannowego Potwora do manipulacji umysłami, ale wciąż była awatarem Tajfona. Mogła przywołać dość siły, by gołymi dłońmi zmiażdżyć blok marmuru. - Przysięgam na imię Stwórcy, złamię ci...

- Cisza, oboje! - ryknął Tajfon, ponownie ozywając. Sześcian ślepoty zatrzymał się i demon z przerażającą prędkością w niego wparował. Przez chwilę Deirdre miała wrażenie, że została sama na balkonie. Cofnęła się o kolejny krok, powstrzymując chęć ucieczki. Po chwili Tajfon wyłonił się z bryły ślepoty. Obie ręce miał aż po łokcie pokryte ciemną, krzepnącą krwią. W jego prawej dłoni, między potężnym kciukiem i palcem wskazującym, lśnił drobny srebrny łańcuszek. Deirdre się uśmiechnęła. - Córko - Tajfon obrócił ku niej swą potwornie białą twarz - wyjaśnij mi wszystko, co zrobiłaś z Francescą, albo wyrwę to z twojego umysłu.

- Nie będę w pełni współpracować, mój panie, jeśli nie poznam prawdziwego imienia Sawannowego Potwora i nie dowiem się czegoś o Cichej Śnieci. Jestem czempionem Dysjunkcji, on nie.

- Jesteś moją regentką szpiegów - odpowiedział surowo demon. - Mam prawo wiedzieć.

- A ponieważ tak będzie lepiej dla Dysjunkcji - kontynuowała Deirdre, kłaniając się sztywno - mam prawo się opierać. Jeśli wykradniesz wspomnienia z mojej głowy, zaszkodziś naszej sprawie w chwili, gdy nie możemy sobie na to pozwolić. - Kiwnęła w stronę Sawannowego Potwora. - Ten stwór manipuluje tobą, by...

- Cisza - warknął demon i zwrócił się do bestii. Deirdre nie usłyszała tego, co zostało powiedziane, ale sądząc po wyrazie twarzy demona, żądał wyjaśnień. Uśmiechnęła się. Sawannowy Potwór mógł być na wpół ukończonym smokiem, ale nie był zbyt rozmowny. Jako awatar demona Deirdre mogła do pewnego stopnia wyczuwać jego emocje: teraz gwałtownie narastała w nim podejrzliwość. I słusznie. Potwór w przeszłości dowodził swojej pazerności i złodziejskiej natury. Co ważniejsze, Tajfon znalazł łańcuszek w brzuchu jednego z pochłoniętych przez niego wyznawców. Demon nie wiedział, że to ona go tam umieściła i że nie byłoby to możliwe bez pomocy Franceski. Nagle wyczuła w demonie wybuch złości. Bestia nie potrafiła wytłumaczyć się z artefaktu. Najprawdopodobniej Tajfon właśnie jej czymś groził. Wreszcie skończyli rozmawiać. Demon odwrócił się i podszedł do Deirdre.

- Później jeszcze z nim porozmawiam - powiedział. - Ma sporo do wyjaśnienia. A na razie chodź ze mną, córko. Zajrzemy do twojego umysłu, by sprawdzić, czy mówisz prawdę o swoich intencjach. Jeśli okażesz się wierną służką Dysjunkcji, polecę kanonistce Cali, by opowiedziała ci o Cichej Śnieci. - Deirdre ponownie skłoniła się i wymamrotała podziękowanie. - W każdym razie chcę, by Francesca niezwłocznie została sprowadzona z powrotem. Wyślij naszych najlepszych agentów, by ją odnaleźli. Nie jestem gotów na zranienie Nikodemusa.

- Tak, Tajfonie - odpowiedziała.

- Chodźmy. - Kiwnął głową i ruszył przed siebie.

- Tak, panie. - Deirdre ponownie się ukloniła. Nadeszła pora na najbardziej niebezpieczną część jej planu. Obejrzała się na sześcian ślepoty. Bestia stała blisko balkonu. Aż do tej pory była przez nią ignorowana.

Stykali się jedynie wtedy, gdy po każdej jej śmierci i odrodzeniu Tajfon wysyłał półsmoka, by ponownie ją osiąść. Teraz jednak stwór wiedział, że stała się jego śmiertelnym wrogiem. Jego pierwszy atak zostanie wymierzony przeciwko niej. To niewątpliwie będzie niebezpieczne, jednak później bestia uderzy w Nikodemusa albo - co gorsza - we Francescę.

Deirdre musiała w jakiś sposób ograniczyć moc stwora. Zazwyczaj gdy znajdowała się w niej dusza Tajfona, nie mogła zrobić nic, by zaszkodzić lub nawet przeszkodzić półsmokowi, jednak teraz demon był rozwścieczony, a to zapewniało jej pewną swobodę w działaniu.

Zrobiła kilka kroków śladem Tajfona, po czym nagle odwróciła się i ruszyła pędem na Sawannowego Potwora. Ślepotą pognąła jej na spotkanie. Po kilku krokach znalazła się w bryle. Straciła słuch. Choć nie czuła już swoich kończyn, spróbowała wyrzucić ręce przed siebie. Dopiero gwałtowny ból zasugerował, że w coś uderzyła. Nie wiedziała w co, jednak była świadoma, że przestała przemieszczać się do przodu. Na ślepo, bez czucia, próbowała objąć przeciwnika rękami. Przesunęła dłonie, jakby chciała unieść...

I nagle w jej uszy uderzyła potężna fala dźwięku: to Tajfon rozkazywał jej przestać. Błysk oczu. Spóstrzegła, że trzyma nad głową jakiś potężny obiekt. Przed nią zwisało coś długiego i szarego, przypominającego niemożliwie długą rękę zawierającą dwadzieścia albo trzydzieści stawów łokciowych. Tuż obok rozciągała się balustrada balkonu, a za nią dach z czerwonymi dachówkami oraz kopuły sanktuarium. Deirdre ponownie straciła wzrok.

Pochyliła się i używając całej siły, pchnęła bestię. Dyszała z wysiłku. Zmysły niemal boleśnie do niej wróciły. Coś potężnego i twardego owinęło się wokół jej prawej ręki i uniosło ją w powietrze, jakby była małym, lekkim dzieckiem.

Złapał ją Tajfon - nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Jednak z jej ust wyrwał się triumfalny okrzyk, gdy kostka ślepoty poleciała w dół, zjeżdżając po kopule.

Jakaś siła zmusiła ją do spojrzenia w wykrzywioną w złości twarz demona.

- Nie możesz dłużej opierać się Dysjunkcji - wysyczał. - Ci, którzy się nam opierają, stają się nami.

Deirdre poczuła się tak, jakby jej krew zamarzała w kryształach lodu. Jakaś jej część wiedziała - choć nie rozumiała, jak i dlaczego - że demon mówi prawdę.

Pełniąc straż przy wylocie z uliczki, Nikodemus zobaczył, jak Sawannowy Potwór spada z kopuły.

- Co się dzieje, Niko? - zapytał stojący głębiej Shannon. Staruszek i przebrani uczniowie Nikodemusa przykucnęli w błocie uliczki dzielnicy Wodnej. Przemykali się od jednej zaniedbanej budowli do drugiej w nadziei, że nikt nie zwróci na nich uwagi.

Nikodemus pobiegł do Shannona. Koboldy za staruszką rozproszyły się, czując się pewnie w cieniu. Żyła i Krzem szeptali między sobą, a pozostała trójka grała w kości. Nikodemus poczuł ukłucie w sercu. Niemal dziesięć lat temu wyprowadził z gór Szczytów piętnastu koboldów, by zapolować na Tajfona. Tylko ta piątka wyszła cało z ataków likantropów i wyznawców demonów.

- Potwór spadł właśnie z kopuły pomieszczeń kanonistki - wyjaśnił Shannonowi.

- Starcie między Całą i stworem? - zapytał staruszek.

- Możliwe. Albo demon go za coś ukarał. W każdym razie sytuacja wygląda nie najlepiej. Powinniśmy zniknąć ze światła.

Staruszek poprawił swój szary strój.

- Sam mógłbym ci to powiedzieć. Ale gdzie mamy pójść? Pod Ruchome Doki?

- Zbiornik jest pełny - odpowiedział Nikodemus, kręcąc głową.

- Kupiec Dał?

- Nie po tym, co ostatnio stało się z magazynem.

- Czyli gang Starej Fatimy?

- Nadal oferuje nagrodę za moją głowę.

- Coś ty jej powiedział tamtej nocy w sypialni? - prychnął Shannon.

Nikodemus skrzywił się tylko i zapytał:

- A co z bandą Guya Ognia?

- Pamiętasz, co Żyła zrobił z lewą ręką jego brata?

- To nie była jego wina. Powinien mieć dość rozumu, żeby nie łapać kobolda z zaskoczenia. Poza tym Guy nawet nie lubi swojego brata.

- Tak czy inaczej ta opcja odpada - westchnął Shannon. - Zostają nam chłopaki z opuszczonej wartowni.

- To faktycznie może być nasza jedyna opcja. - Nikodemus spojrzał na kopułę. - Co powiesz na ukrycie się na pogorzeliisku?

- Kto teraz rządzi tym terenem? - spytał Shannon.

- Wciąż stary pies. - Nikodemus się obejrzał.

- Prędzej zjem kawałek szkła - burknął Shannon.

- Stary pies nie jest taki zły, magistrze - zapewnił Niko, ale mag zmrużył tylko niewidzące oczy. - No dobrze, może jest - dodał, wzdychając.

Francesca otworzyła oczy, czując, że coś twardego wbija jej się pod pachy.

Minęła chwila, zanim przypomniała sobie próbę odczarowania Cyrusa i jego kontratak ze ściany lądowiska za pomocą tkaniny. Musiała stracić przytomność po tym, jak ocenzurował jej umysł. Wyprostowała się i ból w pachach ustąpił. To szaty - wciąż usztywnione hierofanckimi czarami - nie pozwoliły jej upaść na podłogę. f

Cyrus stał przed nią i spokojnie poprawiał swój strój. - Może to zwykłe nieporozumienie - powiedział opanowanym głosem. - Oboje chcemy przecież tego samego. Ja przysięgałem Celeste służyć Avel. Ty jako uzdrowicielka również chcesz służyć obywatelom miasta. Jednak moim obowiązkiem jest zgłaszać każde zagrożenie. Gdy porozmawiamy ze strażnikiem wieży i marszałek, przekonasz się, że są godni zaufania. Ale do tego czasu pozostaniesz ocenzurowana. - Nagły impuls zmusił Francescę do spojrzenia na swoją nogę.

Nie było w niej stworzonej wcześniej kuli rozpadającego się tekstu. - Próba pisania czarów wywołała tylko zawroty głowy - dodał Cyrus. Francesca zaczerwieniła się ze złości. Jak mogła zapomnieć, że płócienne ściany lądowiska są pełne tekstu?

- Popelniasz błąd, Cyrusie - powiedziała najspokojniej, jak mogła. - To bardzo niebezpieczne. Musisz cofnąć swoją cenzurę.<

- Nie, Francesco, nie zrobię tego. - Skończył poprawiać ubranie, puścił swoją chustę i zaczął rozwijać turban. Wielokrotnie obserwowała już ten rytuał. Oboje zamilkli. Jego gęste czarne włosy były krótsze, niż zapamiętała, ale wciąż opadały z głowy w luźnych lokach. Miał śniadą cerę i orli nos. Jego silne szczęki podkreślała przystrzyżona kruczoczarna broda. - Nie znam cię już - powiedział. - Nie mogę ci ufać jak kiedyś. Stawka jest zbyt wysoka.

- Chcesz powiedzieć, że wciąż mi nie wybaczyłeś?

- spytała...?...

- Może. Ale nie o to chodzi.

- Czyżby?

- Myślisz, że zachowuję się irracjonalnie? - zapytał, marszcząc brwi.

- Pokładasz zbyt wielką ufność w swoim zakonie - odparła. - Hierofanci Avel mogli zostać skonwertowani.

- Przez demona, który przekroczył ocean? Francesco, przecież to szaleństwo. - Podszedł bliżej. - Nie możesz ufać tej kobiecie.

- Deirdre umarła na moim stole, a potem ożyła.

- Francesca próbowała dotknąć własnej twarzy, ale jej ręka wciąż była uwięziona przez sztywne szaty. - To nie jest kobieta, tylko nieśmiertelny awatar. W Avel dzieje się coś straszego i musimy być mądrzy.

- A ja nie jestem?

- Jesteś lojalnym żołnierzem.

Przemknął po nich cień lotni schodzącej właśnie na inne lądowisko.

- Więc hierofanci wciąż są dla ciebie właśnie tym? - zapytał, splatając ręce. - Lojalnymi, bezmyślnymi'spiryjskimi żołnierzami? Nie autorami jak wysocy magowie?

- Zbyt poważnie traktujesz swoje obowiązki i hierarchię - zauważyła.

- Jak ty to robisz, Fran? - sapnął. - Łapię cię, gdy spadasz z lotni. Zabieram cię i ratuję przed jakąś piekielną klątwą afazji. Nawet więzę cię i cenzoruję, a ty wciąż traktujesz mnie tak protekcyjnie. Czy naprawdę nie dociera do ciebie, że tym razem nie kontrolujesz sytuacji?

Cyrus zaczął szybciej oddychać i Francesca poczuła ponurą satysfakcję - im bardziej go rozzłości, tym lepiej dla niej.

- Wcale nie chcę traktować cię protekcyjnie, Cyrusie - powiedziała, potrząsając głową. Poczula, jak sztywny kołnierz ociera się o jej szyję. - Masz rację, nie mogę ufać Deirdre. Ale nie mogę też ufać strażnikowi wieży i marszałek wiatru. Tak naprawdę nie mogę ufać nikomu.

- Przykro mi, Francesca, ale tym razem będziesz musiała zaufać mnie. - Zaciśnął dłonie w pięści. Jesteś ocenzurowana i nie możesz mi rozkazywać.

- Mogę. - Starła się mówić spokojnie. - Po prostu nie wiesz, co jest właściwe.

- Na święty krwawy kanon! Dość tego! Nie zamierzam dłużej z tobą rozmawiać - warknął, po czym skrzywił się i dotknął swojej piersi. - Jesteś niemożliwa. - Znow się skrzywił, a potem potrząsnął lewą ręką. Na jego czole pojawiły się drobne kropelki potu.

- Zaczyna się, Cyrusie. Grozi ci niebezpieczeństwo

- ostrzegła Francesca. - Musisz posłuchać...

- Do diaska, nie zamierzam tracić więcej czasu! - Odwrócił się i ruszył w stronę zasłony wyjścia. - Wrócę za... - Po kilku krokach ponownie uniósł dłonie do piersi i stęknął.

- Czujesz miazdzący ból pod mostkiem - rzekła.

- Przemieszcza się do lewego ramienia, promieniując nawet do szczęki. - Popatrzył na nią. Jego twarz wykrzywił ból. - Twoje serce bije jak oszalałe. Pocisz się. Może nawet czujesz w ustach metaliczny smak.

- Kiedy to zrobiłaś? - Przełknął ślinę. - Wtedy gdy szukałaś w moim ciele klątwy? -
Kiwnęła głową. - Umieściłaś czar w moim mózgu?

- Nie, umieściłam czar w twoim sercu.

- Co będzie dalej?

- Z każdym uderzeniem twoje serce pompuje krew do tętnicy głównej i reszty ciała. U jej podstawy znajdują się dwie małe tętnice biegnące do tyłu, które zasilają twoje serce w krew, tak zwane tętnice wieńcowe. Wokół lewej owinięte jest krótkie magnusowe zdanie. Zaciska się, blokując dopływ krwi do serca. Zmniejsza się tym samym twoja zdolność ania.

- Płonące niebiosa! Jak mogłaś... - Stęknął. - Jesteś lekarką. Przysięgałaś nigdy...

- Nigdy nie skrzywdzić pacjenta - dokończyła Francesca jednobarwnym głosem. - Ale ty, Cyrusie, nie jesteś moim pacjentem. Jesteś prześladowcą, który mnie uwięził i zagroził ujawnieniem informacji, które mogą zaszkodzić całemu Avel. Moja przysięga lekarska skłania mnie do powstrzymania cię na wszelkie dostępne mi sposoby. Teraz jednak zachowaj spokój, twoje serce potrzebuje krwi. Zwolnij tętno i przestań ać, a ból się zmniejszy.

- A co będzie, jeśli rozkażę innemu hierofancie, żeby to odczarował? - Wziął głęboki oddech.

- Cóż, lepiej, żeby potrafił zrobić to precyzyjnie.

- Francesca pociągnęła nosem. - Masz ostre słowa przy samym sercu. Gdyby któreś się zabłąkało...

Cyrus zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Niech Celeste i każdy półbóg w jej kanonie ześlą cię do płonącego piekła, Francesca.
- Jego głos był cichy i chrapliwy.

- Nie mogłam zaufać...

- Zawsze musiałaś wygrywać - wyszeptał i zacisnął oczy. - W ogóle się nie zmieniłaś.

- Cyrus... - Francesca poczuła wyrzuty sumienia.

- Przykro mi.

- Wcale nie. - Znowu przycisnął dłoń do piersi. - Dobrze, Fran, wygrałaś. Znowu wygrałaś. Co teraz poleciłaś zrobić czarowi?

- Rzucalam czary sygnałowe - odpowiedziała spokojnie. - Co kilka chwil któryś trafia! na czar w twoim sercu i polecał mu się nie zaciskać. Jednak skoro mnie ocenzurowałaś...

- Zabezpieczenie. - Z drzeniem wypuścił powietrze i roześmiał się bynajmniej bez cienia radości. - Napisałaś zabezpieczenie.

- Raczej coś w rodzaju kary. To czar, którego my, klerycy, używamy w wyjątkowych okolicznościach. Czasami zwracają się do nas bandyci albo zbuntowani czarodzieje. Chcą,

żebyśmy leczyli ich rannych. Przed leczeniem rzucamy więc sentencję śmierci do tętnicy wieńcowej dowódcy. Jeśli któryś z bandytów nas ocenzuruje lub zabije, ich dowódca ginie.

- Nazywasz ten czar sentencją śmierci?

- Usuń cenzurę, a ja cię uratuję.

Podszedł bliżej i dotknął stulecia owiniętej wokół głowy Franceski. Czerwony jedwab opadł na jej ramiona. Jej strój z powrotem zmienił się w luźną tkaninę. Poczuli dreszcz, gdy ponownie odzyskała dostęp do magii. Gdy doszła do siebie, wysłała falę czarów sygnałowych do piersi Cyrusa. Jeden z nich trafił w zdanie zaciskające jego tętnicę wieńcową, nakazując mu rozluźnienie się.

- Zdziałało? - zapytał Cyrus.

- Nie będziesz miał problemu tak długo, jak długo będę w pobliżu. I jak długo pozostanę nieocenzurowana - potwierdziła.

Przycisnął dłoń do czoła. Wyglądał na wyczerpanego.

- A jeśli powiem strażnikowi wieży o Deirdre?

- Nie zrobisz tego.

- Jak, na wszystkie piekła, ma to działać, Fran?

- zapytał. - Będziesz trzymała moje związane czarem serce jako zakładnika i zabijesz mnie, gdy tylko zrobię coś, co ci się nie spodoba?

- Przysięgałeś chronić Avel. - Poprawiła swoją stulę.

- Jak ja przysięgałam dbać o zdrowie jego mieszkańców. Oboje musimy odkryć, co zagraża miastu. To nasz obowiązek. Ale musimy to zrobić dyskretnie. Miałam nadzieję, że nie będę musiała uciekać się do przemocy, że dam radę cię przekonać. Jednak ty cały czas ze mną walczyłeś, więc zdanie zostanie na twojej tętnicy i od teraz to ja będę podejmować decyzje.

- Sentencja śmierci - mruknął mężczyzna, pocierając skronie, po czym roześmiał się gorzko. Spojrzał na Franceskę w oczy. - Doprawdy nie wiem, co boli mnie bardziej: to, że udało ci się nade mną zapanować, kradnąc mi serce, czy ta cholernie głupia gra słów.

Cyrus kończył właśnie usuwać czary z szat Franceski, gdy powróciła hierofancka praktykantka. Przekazała, że ma się zgłosić do strażnika i marszałek na pokładzie startowym, i oddaliła się pospiesznie.

- Nie zamierzam kłamać - zastrzegł Cyrus.

- Więc nie kłam - odpowiedziała Francesca. - Po prostu pomiń to, co groźne. Leciałeś nad Avel, gdy zobaczyłeś, jak wypadam z lotni. Po złapaniu mnie dowiedziałeś się, że sanktuarium może być w niebezpieczeństwie, i przyleciałeś tu, by ostrzec marszałek wiatru.

- Chcesz, żebym został bajkopisarzem? - zapytał z przekorą, krzyżując ręce na piersi.

- A potrafisz zapewnić spokój inną formą sztuki? Co powiesz na taniec? Będziesz stepował wokół strażnika, podczas gdy ja zacznę wywijać piruety wokół marszałek? A może wyrzeźbisz popiersie...

- Nie bądź złośliwa - przerwał jej Cyrus. - Dobrze już. Powiem im tylko to, co muszą wiedzieć. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Przynajmniej na razie.

- Dobrze - odparła Francesca. - Do czasu, aż sprawdzimy, co naprawdę się dzieje, twoim obowiązkiem jest zachowanie ostrożności.

- Nie mów mi o moich obowiązkach, magistra. - Odwrócił się w stronę zasłony. - Chodźmy, miejmy to już za sobą.

- Chodźmy. - Ruszyła za nim i po kilku krokach dostrzegła drabinkę sznurową oraz wysoką ścianę wieży wiatrowego ogrodu. Szesnaście metrów niżej w nieustającym wietrze falowała sięgająca kolan trawa. Cyrus wspinał się po drabinie ze zwinnością wiewiórki. Francesca przywierała do szczebli przy każdym podmuchu wiatru, tracąc odległość. W końcu dotarła do niego na tyle blisko, by dotknąć jego pięt. Wspięli się jeszcze kolejne siedem metrów, aż do wąskiej półki prowadzącej do ciemnego korytarza. Cyrus pomógł jej zejść z drabiny, a potem odciągnął, by umożliwić przejście trzem hierofantom. Każdy z nich miał przymocowany do pleców duży pakiet tkaniny. Francesca nie zauważyła ich wcześniej, choć musieli niecierpliwie wspinać się tuż za nią.

Cyrus poprowadził ją za trzema hierofantami w głąb korytarza. W końcu dotarli do długiego wąskiego pomieszczenia rozciągającego się na wiele pięter w górę. Wysoko nad nimi lśniło błękitem niebo, od strony morza upstrzone chmurami. Ten widok przypominał coś, co można było zobaczyć na dnie głębokiego górskiego wąwozu. Jednak tutaj ściany nie były ze skał, ale z niezliczonych pięter rusztowań. Na niektórych zamontowano złożone kołowroty z łańcuchami. Mniej więcej połowę rusztowań wypełniało żaglowe płótno.

Francesca przyglądała się, jak jeden z hierofantów wspina się na rusztowania, po czym ściąga swój pakiet z pleców. Następnie podał go jakiemuś mężczyźnie, odebrał drugi w zamian i zaczął wspinać się po długich schodach.

Nagle Francesca zrozumiała, co widzi. Wieża ogrodu stanowiła magazyn. Zwykle płótno żaglowe przewożono statkami z Dar i Oueensport i rozładowywano w Coldlock. Stamtąd drogą powietrzną dostarczano je do ogrodu wiatrowego, z wieży do pułapek wiatrowych, w których z kolei nasycano je językiem hierofantów.

Mężczyźni, których obserwowała, wrócili właśnie z partią nasyconej tkaniny i mieli polecieć do pułapek z czystym materiałem. Przyglądała się jednemu z ogniw długiego

łańcucha produkcji literackiej, zaopatrującej hierofantów z Dagi, Oueensport i Erram w dostateczną ilość języka, by utrzymać w powietrzu ich statki powietrzne, a statkom kupieckim zapewnić żeglugę szybszą nawet od legendarnych iksońskich katamaranów.

Gdyby hierofanci nie zdołali wyprodukować dość tkaniny, handlowa potęga ich królestw upadłaby. Co gorsza, spiryjskie armie i floty utraciłyby wsparcie ze strony morskiej i powietrznej. Podobnie jak wszyscy literaci - magowie, piromanci i tak dalej - hierofanci przysięgli nigdy nie brać bezpośredniego udziału w wojnach sześciu ludzkich królestw. Jednak ta przysięga nie powstrzymywała ich przed zapewnianiem zwiadu, łączności i ograniczonego transportu dla sił spiryjskich. Bez tej przewagi, jak i bez złota przywożonego przez statki kupieckie z hierofanckimi żaglami wschodnie wybrzeże Spirii ponownie stałoby się drogą dla armii odwiecznych wrogów: Lor nu i Vardant, po raz kolejny skaczących sobie do gardeł.

Myśląc o tym wszystkim, Francesca szła za Cyrusem podziemiami magazynu w stronę wąskich schodów. Wspinając się po nich, dwukrotnie zobaczyła odchodzące w bok korytarze. Jeden prowadził do dormitorium. Wszystko tam było strasznie ciasne - strome stopnie i niskie sufity. Przypominało jej to mieszkanie w kadłubie statku, co do pewnego stopnia miało sens, biorąc pod uwagę, że połowa hierofantów służyła na spiryjskich statkach kupieckich. Wielu hierofantów pici męskiej wybierało służbę na żaglowcach, ponieważ ich ponadprzeciętna masa nie była tam takim problemem, jak na pokładach statków powietrznych.

- Pozwól, że ja będę mówił - ostrzegł ją Cyrus, gdy wreszcie zbliżyli się do szczytu wieży. - Jeśli będziesz musiała się odezwać, nie popisuj się. I zawsze okazuj taki sam szacunek strażnikowi i marszałek.

Wydostali się na zewnątrz. Po jasnym niebie szybko przemykały długie białe chmury. Wiał silny wiatr, raz po raz niosąc ze sobą fale mżystego deszczu.

Stali na drewnianym pokładzie startowym, szerokim na jakieś siedem i długim na dziesięć metrów. Deski wciąż były mokre od deszczu.

Od zawietrznej wieża zwęzła się niczym płetwa rekina, tworząc rząd mniejszych pokładów, przeznaczonych do dokowania nadlatujących statków i pułapek wiatrowych. Od wschodu przesmyk rozciągał się w głąb lądu. Ich oczom ukazały się szeroko otwarte paszcze pułapek. Francesca skupiła uwagę na tej, która była najbliżej. Wewnątrz pułapki znajdowały się setki promieniowych żagli wirujących jak skrzydła wiatraka wokół centralnego punktu. W samym środku konstrukcji zawieszony był hierofanta. Liczne żagle skupiały energię obrotu, przekazując ją do serca hierofanty i przyspieszając jego anie. Każde uderzenie

wspomagane serce produkowało setki tysięcy razy więcej run, niż zdołaby wyprodukować bez pomocy.

To właśnie stanowiło klucz do potęgi hierofantów. Ich język produkowany był wyłącznie w mięśniu sercowym, ograniczał się do tkaniny i rzucony, rozpuszczał się w wiatr. Jednak dzięki mocom natury zdołali przekształcić wiatr w słowa. Z grupy unoszących się na lotniach pustelników ze zboczy Góry Iglic hierofanci urosli do pozycji lingwistycznego pnia potężnego królestwa.

- Strażniku! - krzyknął męski głos. - Francesca spojrzała w kierunku, z którego dochodził, i zobaczyła dwoje hierofantów stojących pod małym drewnianym daszkiem na zawietrznej stronie pawilonu. Oboje byli średniego jak na hierofantów wzrostu, co oznaczało, że mieli około półtora metra. Pierwszym był mężczyzna o jasnej skórze i krótkich siwych włosach, nieco przeredzonych z przodu. Obok niego stała chuda, śniada kobieta o gęstych czarnosrebrnych włosach przyciętych tuż przy skórze. Była odwrócona w stronę wiatrowego ogrodu, udając, że uważnie go studiuje. Żadne z nich nie miało turbanu ani chusty. Biorąc pod uwagę ich rangi, oboje musieli być potężnymi czarodziejami, więc starzeli się bardzo powoli. Choć mężczyzna wyglądał na jakieś czterdzieści kilka lat, a kobieta na nieco powyżej pięćdziesiątki, Francesca domyślała się, że każde z nich ma w rzeczywistości dobrze powyżej setki. - Cyrus! - zawołał mężczyzna i gestem polecił im, by się zbliżyli. - Jakie wieści o ataku?

- Strażniku Treto - powiedział Cyrus, kłaniając się hierofantom. - Marszałek Oria. - Kobieta odwróciła się od przesmyku tylko na chwilę, by ukłonić się przybyłym.

Cyrus odchrząknął.

- Przepraszam za tak nagłą wizytę, ale w Avel doszło do nieoczekiwanego zdarzenia.

- Mów dalej - polecił strażnik wieży.,

- To magistra Francesca DeVega, kleryczka ze szpitala naszej kanonistki - Cyrus przedstawił swoją towarzyszkę, posyłając jej wymowne spojrzenie. - Leciałem nad Avel, koordynując patrole, gdy magistra dokonała awaryjnego ślepego skoku. Gdy ją złapałem i dowiedziałem się, że szpital został zaatakowany klątwą, natychmiast przybyłem tutaj, by ostrzec wiatrowy ogród.

- Jakże zostawiłeś rozkazy? - spytał strażnik wieży mrużąc oczy.

Chmura przesłoniła słońce i wokół pociemniało.

- Piloci otrzymali rozkazy patrolowe - powiedział Cyrus. - Likantropy przeprowadziły atak na karawanę przy Północnej Bramie. Wypatrywaliśmy śladów drugiego ataku.

- Ale jakie rozkazy wydałeś w związku z klątwą w sanktuarium? - Strażnik zmarszczył brwi. A

- Żadnych, panie.

- Nie martwisz się o swoje miasto? Co...

Nie odwracając się od przesmyku, marszałek położyła dłoń na ramieniu strażnika i ten zamilkł.

- Magistra DeVega - odezwała się silnym głosem - czemu sądzisz, że to był atak?

- Pani - Francesca odchrząknęła - wśród wszystkich czarodziejów w szpitalu rozprzestrzeniła się afazja.

- Znasz niebezpieczeństwo związane z otwarciem spadochronu? - Marszałek popatrzyła na Francescę.

- Uznałam je za ledwie groźne wobec katastrofalnego ryzyka pozostania na miejscu. - Francesca spojrzała w oczy kobiety.

Marszałek patrzyła na nią przez chwilę, po czym przeniosła spojrzenie na przesmyk.

Strażnik nie spuszczał wzroku z Cyrusa.

- Ale czemu opuściłeś swoje miasto, strażniku powietrza Avel?

Cyrus otworzył usta do odpowiedzi, ale marszałek ubiegła go poleceniem:

- Nie odpowiadaj na to pytanie, strażniku powietrza. Avel istnieje, by wspierać wiatrowy ogród, nie na odwrót. - Strażnik wieży zacisnął wargi. - Atak na Avel stanowi zagrożenie dla jego mieszkańców - kontynuowała marszałek. - Atak na nasz wiatrowy ogród zagraża całej Spirii. - W tym momencie na pokład weszło dwóch hierofantów. Obaj mieli na plecach pakiety białego płótna i nieśli złożoną tkaninę ufarbowaną na pomarańczowo. Podbiegli do pawilonu. - Ty do trzeciej konstrukcji - poleciła marszałek, wskazując na jedną z pobliskich pułapek wiatrowych. Następnie wskazała dalej, w głąb wąwozu. - Ty do ósmej. I powiedz Julii, żeby zesłała o trzy metry, podbiera wiatr numerowi dwanaście.

- Tak, pani - odparli zgodnie obaj hierofanci i rzucili pomarańczową tkaninę na wiatr. Jaskrawo ufarbowane płótno rozłożyło się w szerokie półksiężyce, łapiąc podmuch i unosząc pilotów w powietrze z dala od wieży. Ich lotnie zmieniły kształt, sprawiając, że każdy poleciał do wyznaczonych im pułapek wiatrowych.

Francesca uświadomiła sobie, że w zachwycie wstrzymuje oddech. Nawet obserwując to z pokładu startowego, doznała oszłamiającego poczucia prędkości i niezwyklej wręcz kontroli.

Marszałek Oria obejrzała się na strażnika wieży.

- Wyciągnij z mesy drugą wachtę. Uzbrój pilotów i utwórz dwa skrzydła. Podejmij dowodzenie nad pierwszym i ustaw patrol nad północnym skrajem przesmyku. Jeśli uznasz, że wiatrowemu ogrodowi grozi niebezpieczeństwo, ustaw flagę sygnałową z poleceniem zadokowania wszystkich pułapek. Wypuszczę w górę wszystkie lotnie. Będziesz dowodził ewentualną obroną. Zrozumiano? - Strażnik wieży skłonił się tylko. - Wyznacz na dowódcę skrzydła drugiej grupy swojego najbardziej zaufanego autora - mówiła dalej marszałek. - Niech krążą nad Avel, szukając oznak konfliktu lub niepokojów. Mają przekazywać ci raporty flagami. Jeśli uznają, że jest bezpiecznie, niech połączą się z siłami miasta i spuszcza na dół jednego pilota z doświadczeniem bojowym. Jakies pytania?

- "Lanca Królowej", pani? - zapytał strażnik wieży z miną niezdradzającą emocji. Marszałek znów obejrzała się w stronę przesmyku.

- Niech zostanie w powietrzu do czasu, aż dowiemy się, co się dzieje w Avel. Nie pozwolę jej zadokować bez ciebie. Wróciła spojrzeniem do strażnika i dodała: - Nie martw się, okażę należny szacunek twojemu stanowisku. - W jej tonie nie było ani śladu ciepła.

- Proszę o zgodę na rozmowę ze strażnikiem powietrza Avel.

- Udzielam zgody - odparła. - Ale zaraz potem startujesz.

- Tak, pani.

- Możesz odejść - rzuciła, po czym odwróciła się z powrotem w stronę przesmyku. - Magistra DeVega, dołączysz do mnie.

- Tak, pani - z przejęciem potwierdziła Francesca, zerkając na Cyrusa. Stał nieruchomo jak głaz ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Cyrus - polecił strażnik wieży - pójdziesz ze mną do mesy.

Cyrus obejrzał się na Francescę, przyłożył dłoń do piersi i posłał jej surowe spojrzenie.

Rzuciła czar w jego pierś.

- Przez kwadrans nic ci nie będzie - wyszeptwała.

- Wcześniej nie zacznie się kurczyć. Tylko nie waż się mnie tu zostawiać!

Mężczyzna sapnął, po czym oddalił się ze strażnikiem wieży.

Aż nadto świadoma stumetrowej otchłani znajdującej się za krawędzią pokładu startowego, Francesca ostrożnie podeszła do marszałek.

- Pani Orio? - Dopiero kiedy stanęła blisko niej, uświadomiła sobie, że jest od niej wyższa o ponad głowę. Na marszałek najwidoczniej nie robiło to jednak wrażenia.

- Wybacz mi ignorancję, magistra. Przez ostatnie trzydzieści lat nie robiłam wiele poza lataniem na przerośniętych latawcach. - Wskazała pułapki wiatrowe.

- Ale jeśli dobrze pamiętam, jako mag nie jesteś poddaną żadnej korony?

- Owszem - potwierdziła Francesca.

- A więc reprezentujesz tylko zakon magów?

- W moim przypadku to odrobinę bardziej skomplikowane, pani. Po opanowaniu obu języków magów przeszłam szkolenie w akademii kleryków w Port Mercy. Tam poznałam tajniki pisania tekstów medycznych. Efektem było wystąpienie z zakonu magów i wstąpienie do zakonu kleryków. Klerycy, w przeciwieństwie do magów, nie interesują się językiem, bogami ani polityką. Naszym zadaniem jest wyłącznie leczenie chorób.

- Godne podziwu, kleryczko. - Marszałek kiwała głową. - Godne podziwu. Jednak jako kobieta na stanowisku uczciwie cię proszę, byś mnie nie zwodziła.

- Nigdy bym się nie ośmieliła, pani.

- Wspaniale. - Kobieta zerknęła na nią, po czym niespodziewanie uśmiechnęła się ciepło. - Czy możesz mi powiedzieć, czemu na pokładzie tego okrętu znajdują się dwie czarne szaty?

- Jakiego okrętu? - Francesca zmarszczyła brwi.

Marszałek podniosła wzrok na przysłaniającą słońce chmurę. Kiedy Francesca podążyła za jej spojrzeniem, drgnęła i zaklęła siarczyście w duchu.

Dopiero teraz dostrzegła, że słońca nie zasłania chmura, ale długi, zwiny statek powietrzny zawieszony w idealnym bezruchu na potężnym wietrze. Jego wąskie foki sterczały do przodu niczym ostre pióro szabli. Kanciaste żagle boczne i rufowe dokonywały nieustannych drobnych poprawek, co chwilę uwzględniając zmiany wiatru. Dzięki temu jednostka nieruchomo unosiła się w powietrzu. Sprawiała wrażenie olbrzymiego drapieżnika gotowego do morderczego nurkowania.

Okręt dnosił się nie więcej niż dziesięć metrów nad nimi i Francesca poczuła nagłą potrzebę schylenia się. Sześciokątny kadłub sprawiał wrażenie delikatnego, bardziej przypominał włókno szklane niż stępkę jednostki bojowej. Zbudowany był z sześciu jedwabnych taśm długich na dwadzieścia metrów. Jedna pełniła rolę pokładu, pozostałe były rozdzielone sześciokątną ramą z cienkich prętów, prawdopodobnie także z zaczarowanego jedwabiu. Dzięki przestrzeniom między pasami jedwabiu Francesca mogła spoglądać przez kadłub na niebo w górę.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy zrozumiała, że widzi także poruszające się po okręcie w dużym tempie postacie w zielonych szatach. Dwie przemieszczały się w kadłubie, trzecia wyszła na boczne skrzydło, jakby było solidne niczym zbocze góry. Postać usiadła i zaczęła przesuwając dłońmi po materiale, niewątpliwie redagując tekst skrzydła.

Dopiero wtedy Francesca zrozumiała, że hierofantyczny statek powietrzny był tak naprawdę gigantycznym latającym manuskrytem. A potem dostrzegła dwie postacie w czarnych szatach. Mężczyzna i kobieta stali w obrębie kadłuba. Choć znajdowali się dziesięć metrów wyżej, Francesca nie miała wątpliwości, że magowie patrzą prosto na nią.

- Nie mam pojęcia, kim o fii są, pani - wydusiła z siebie Francesca.

- To dziwne - odpowiedziała marszałek. - Dwoje magów na krążowniku klasy Pustułki.

- Z powodu magów, którzy wspierali Celeste w przeszłości?

Marszałek uniosła brwi w udawanym zdziwieniu.

- Nie przyszło mi to do głowy, magistra, ale skoro o tym mówisz... - powiedziała z ironią. - To rzeczywiście osobliwe. Dwoje magów na Pustułce przybywa tego samego dnia, gdy w Avel z lotni spada mag, ponieważ w sanktuarium rozprzestrzenia się nieznana klątwa.

- Sprowadź tych dwoje tu, na dół, pani, a zaświadczą, że nie mam żadnych politycznych powiązań z zakonem magów. Ta czerwona stuła na moich ramionach

- podniosła końce swego znaku kleryczki - oddzieliła mnie od pozostałych czarnych szat.

- Sprawiasz wrażenie osoby, która radzi sobie ze słowami lepiej, niż zamierza przyznać, magistra.

- Marszałek popatrzyła na nią taksująco... Nie miałabym do siebie pretensji, gdybyś mnie zwiodła. Ponadto wydajesz się osobą nieświadomą odgrywanej roli. Powiem ci więc, że moja lojalność względem Celeste jest teraz równie silna jak w dniu, w którym wstąpiłam do floty monoteistów.

- M... moja pani, ja nie... - Francesca zaczęła się jąkać.

- Wierzę ci, magistra. - Kobieta uniosła dłoń. - Nie zaprzeczaj. Po prostu pamiętaj o tym, co powiedziałam. - Chwyciła taśmę materiału wiszącą przy jednej z belek pawilonu i nagle z jego szczytu rozwinęła się jaskrawa, żółtozielona flaga.

Chwilę później wiatr przyniósł odległy krzyk. Francesca spojrzała na okręt. Wszyscy hierofanci przemieszczający się po jego takielunku patrzyli teraz na flagę. Człowiek w zielonej szacie, który redagował skrzydło, zszedł z niego i zaczął spadać. Francesca, widząc to, odruchowo wciągnęła powietrze, ale po chwili dostrzegła wąski pasek zielonej tkaniny ciągnący się z szat hierofanty, który spowalniał upadek. Skrzydła okrętu w górze zmieniły kształt, jakby dostosowując się do momentu obrotowego jednostki. Hierofanta zawisł tuż nad deskami pokładu na dość długo, by ściągnąć ze stóp jedwabne pantofle.

- Pani, czy mogę wyznać coś szczerze? - spytała, nie odrywając wzroku od mężczyzny.

- Możesz.

- Jako dowódca wydajesz się bardzo groźna. Myślę, że na twój rozkaz stanęłabym w szranki z niejednym likantropem.

- Nie nauczyłaś się jeszcze, magistra, że żaden dowódca wart tego miana nie jest podatny na pochlebstwa? - Marszałek spojrzała na nią.

- W takim razie to dobrze, że mną nie dowodzisz. Możesz skorzystać z luksusu wysłuchiwania pochlebstw.

- Słusznie - zgodziła się marszałek, przez chwilę uważnie studiując twarz lekarki.

Bosy hierofanta opadł na deski, opuścił chustę i rozwinął turban, po czym podbiegi truchtem do pawilonu i uklonił się.

- Marszałek Orią. - Był niskim, szczupłym mężczyzną o kasztanowej skórze, na której wiek rysował pierwsze zmarszczki. Miał duże, brązowe oczy i ogoloną do lśniącej skóry głowę. Francesca uznała, że miał jakieś osiemdziesiąt, maksymalnie dziewięćdziesiąt lat.

- Nie prosz o pozwolenie na dokowanie „Lancy Królowej”, kapitanie Izemie. - Marszałek wyraźnie się rozluźniła. - Dotarły do mnie niepokojące wieści z Avel i chcę, żebyście pozostali w powietrzu do momentu, aż dowiemy się, co się dzieje.

- Niech tak będzie. - Kapitan skłonił ogoloną głowę. - Z przyjemnością zrobimy wszystko, czego od nas zażadasz.

- Mam nadzieję, że nie będą konieczne żadne szczególne działania - odparła marszałek. - A tymczasem wyjaśnij mi, proszę, dwie czarne szaty na pokładzie twego okrętu.

- Pani, szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że to ty wyjaśnisz mi ich obecność - roześmiał się kapitan.

- Dokowaliśmy w Lurrikarze, gdy dotarły do nas rozkazy z Oueensport, by przewieźć dwójkę dygnitarzy w czarnych szatach z Kary do Avel. Przez cały lot, wybac magistra - zwrócił się do Franceski - stanowili doskonały przykład akademików: cisi, uprzejmi i nieznośnie powściągliwi. Ani ja, ani moja załoga nie mamy zielonego pojęcia, czemu dostąpili zaszczytu lotu na „Lancy Królowej”.

- Nie lubię intryg w moim ogrodzie, kapitanie

- z westchnieniem odpowiedziała marszałek.

- W takim razie będę się modlił do nieba i świętego kanonu, bym mógł szybko ich odwieźć - oświadczył i skłonił się nisko.

Nagle przy boku Franceski ponownie stanął Cyrus.

- Pani marszałek - odezwał się - strażnik wieży zgłasza, że oba skrzydła za chwilę wystartują.

Kapitan Izem podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Och, pani, wygląda na to, że jeden z miejscowych głupków ubrał się jak hierofanta i wtargnął do twojej wieży. Spójrz tylko na tego biedaka, jest zbyt wielki i ciężki, by móc pilotować.

Nagle Francesca stała się boleśnie świadoma tego, że jest o głowę wyższa od pozostałych. Rzadko zwracała uwagę na swoje ciało, jeszcze rzadziej była z niego niezadowolona, jednak w tej chwili poczuła się jak prawdziwa olbrzymka.

Cyrus się uśmiechnął, ale dalej patrzył przed siebie.

- Znacie się? - marszałek popatrzyła na obu mężczyzn.

- Wybacz mi poufałość na twoim pokładzie, pani - ze śmiechem powiedział Izem. - Masz szczęście, posiadając tu hierofantę na miarę strażnika powietrza Alarcona. Przez rok świetnego latania był moim pierwszym oficerem. Nie widziałem lepszego pilota lotni lub statku powietrznego od czasu oblężenia Erram. Możesz mi wierzyć, że umiejętnościami równoważy swoje rozmiary ciężar.

Oria sapnęła w sposób sugerujący równocześnie irytację i rozbawienie.

- Możesz mówić, strażniku powietrza - zwróciła się do Cyrusa.

- Dobrze pana widzieć, kapitanie - powiedział z uśmiechem Cyrus do swojego byłego dowódcy. - Czy skoro nie masz mnie na pokładzie i nie poprawiam twoich podczarów fastrygujących, zdołałeś utrzymać „Lancę” z dala od morza?

- Słona woda płami jedwab. - Kapitan lekceważąco machnął ręką.

Na pokład startowy weszły dwa tuziny hierofantów. Wszyscy mieli owinięte osłonami głowy i trzymali duże ilości ciasno złożonych, jaskrawo ufarbowanych lotni. W ich zielonych szatach połyskiwały krótkie stalowe ostrza. Bez chwili wahania podbiegli do brzegu pokładu i rzucili się w swoje lotnie. Z trzaskiem rozkładanego materiału kolejno wzbijali się w powietrze, w okamgnieniu unosząc się w przestworza, gdzie dzielili się na dwie zgrabne formacje.

Marszałek przyglądała im się uważnie. Gdy jedna z formacji znikła za górskim grzbieciem, obejrzała się na swoich towarzyszy.

- Magistra, wybacz mnie i kapitanowi - powiedziała do Franceski i spojrzała na Cyrusa. - Zajmij się swoim gościem, strażniku powietrza. Możesz odejść.

Cyrus uklonił się i gestem zaprosił Francescę, by ruszyła przed nim. Kleryczka również się ukloniła, po czym ruszyła w stronę drzwi prowadzących do wnętrza wieży. Idąc,

zauważyła, że niebo nad morzem spowijają ciemne chmury - za godzinę nadejdzie kolejna burza.

- Coś się dzieje - wyszeptał Cyrus, łapiąc ją za rękę, gdy tylko weszli z powrotem do wnętrza. - Coś poważnego.

- Co masz na myśli? - spytała.

- Nie rozumiem tego do końca, ale mamy do czynienia z rozgrywką jakichś strasznych sił.

- Więc teraz wreszcie mi wierzysz? - spytała. - Możemy zająć się śledztwem w Avel bez informowania o tym całego świata?

- Sprawa dotyczy nie tylko Avel. Coś złego dzieje się w całym królestwie. Wygląda na to, że Deirdre nie kłamała, mówiąc, że jest regentem szpiegów Avel.

- Co masz na myśli?

- Nadchodzi rozłam - powiedział Cyrus, patrząc na pokład startowy za nią. - Marszałkowie wiatru mianowani są przez Dwór Niebiański z zadaniem dostarczania tekstu dla całego zakonu. Strażnicy mianowani są przez lokalnych kanonistów. Oni winni są służbę miastu.

- A w naturalny sposób dochodzi do napięć między miastami a królestwem - stwierdziła Francesca, wydymając wargi.

- To coś więcej niż napięcia. Widziałas, jak marszałek i strażnik kłócili się przy nas. Było znacznie gorzej, gdy zostaliśmy sami. On uważa, że afazja była atakiem Celeste na Całę. Najwyraźniej na pokładzie „Lancy Królowej” znajduje się dwoje magów. Lata temu frakcja magów brała udział w naszej wojnie domowej. Nie pamiętam ich nazwy, ale...

- Frakcja kontrprzepowiedni - podsunęła. - Wspierali monoteizm Celeste. Chcieli zjednoczonej Spirii, która mogłaby przeciwstawić się Lor nowi i Verdant. Jednak działali jako buntownicy, bez zgody akademii.

- Jakby to miało jakieś znaczenie dla hierofantów. - Cyrus pociągnął nosem. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak to wszystko wygląda? Afazja, twoja ślepa ucieczka z Avel, Pustułka z dwoma magami.

- Tak, tak - odparła. - Marszałek miała podobne podejrzenia. Uważa, że to rodzaj testu. Coś przygotowanego przez Celeste, by sprawdzić jej wierność. Próbowwała mnie zapewnić, że jest...

- O to właśnie chodzi! - przerwał jej Cyrus. - Strażnik wieży zinterpretował to tak samo, ale powtarzał w kółko, że Avel produkuje więcej magicznej tkaniny niż jakikolwiek wiatrowy ogród. Uważa, że powinni zamknąć ogród, wstrzymać kilka następnych dostaw i

zobaczyć, jak sobie bez nich poradzą Queensport i Erram. Sądzi - dotknął jej ramienia - że Cala to najpotężniejsza półbogini w kanonie i że gdyby łaskawie nie poddała się Celeste podczas oblężenia Avel, kraj nadal byłby politeistyczny. Stojemy na linii ognia między strażnikiem a marszałek, miastem a królestwem, kanonistką i wysoką boginią. Rozumiesz to, Fran? Wyobrazasz sobie, do czego doszłoby w całym kraju, gdyby tutaj wybuchła agresja?

Francesca nerwowo spojrzała na niebo. „Lanca Królowej” opadła na wietrze i unosiła się teraz tuż nad pokładem startowym. Wyglądała niczym olbrzymie doskonale wyważone ostrze.

- Boże bogów, chroń nas - wyszeptała. - Rozumiem.

Odosobniona Sala Ambasadorów znajdowała się na trzecim piętrze szerokiego budynku przylegającego do kopuły sanktuarium. Jej wewnętrzne ściany zdobiły mozaiki w zielone i białe wzory geometryczne. Podłogę pokrywały proste kafelki z terakoty, ale wysokie łukowe sklepienie z sekwojowego drewna udekorowano setką tysięcy maleńkich kopulek. Cały sufit wsparty był na długich kolumnach z piaskowca, przez co obszerne pomieszczenie przypominało las. Kolumny biegnące pod zewnętrznymi ścianami wspierały półkoliste zielonobiałe luki.

Na końcu sali stał wysoki tron z sekwojowego drewna. Tuż za nim ustawiono zdobiony cedrowy parawan, oddzielający salę od czarnego wnętrza kopuły, w której spoczywała arka kanonistki.

Deirdre oglądała to wszystko, przypominając sobie, jak Tajfon badał powierzchniowe aspekty jej umysłu, by odkryć, czy poświęciła się Dysjunkcji. Wypełniła swoje serce pragnieniem odzyskania Boann, ocalenia jej przed nadchodzącym chaosem. W głębi duszy wiedziała, że aby ocalić ukochaną, będzie musiała wyzbyć się wszelkich obiekcji moralnych, wszelkich planów. Tajfon interpretował tę miłość jako pragnienie nawrócenia Boann na sprawę Dysjunkcji.

Dopilnowała, by ją odkrył. Była to dźwignia, którą zdążyła wbudować w swoją duszę podczas długich lat jej zniewolenia - mechanizm, dzięki któremu demon wierzy! teraz jej słowom. Gdy upewnił się, że jej uczucia nie uległy zmianie, wysłał ją, by czekała w Sali Ambasadorów, podczas gdy sam zajął się odzyskaniem Sawannowego Potwora.

Deirdre stała przed zachodnią ścianą sali, wyglądając przez łukowate okno na burzowe chmury nadciągające od strony Kasztanowych Gór. Pomimo ogrzewających ją promieni słonecznych zadrzała, uświadamiając sobie, że w pewien sposób demon naprawdę ją skonwertował. Ale zrobiłaby wszystko, by ocalić Boann.

Potrząsnęła głową, odganiając złe myśli. Jej spojrzenie padło na Lśniącą Dzielnicę - bogatą część miasta rozciągającą się między sanktuarium a skrajem kanionu. To tam - w pięknych willach z ogrodami i wieżami, wyłożonymi lśniącym mosiądzem - mieszkała szlachta i najbogatsi obywatele Avel.

Najokazalsze z nich bieły wzdłuż skraju kanionu, umożliwiając bogaczom obserwację jego szerokiego dna z rozległymi polami zbóż, soczewicy i cieciorki. Wzgórza z południowej i zachodniej strony opadały do dna kanionu, przechodząc w sawannę. Miejsca, w których zbocza kanionu sięgały wysoko, służyły Avel do ochrony przed likantropami. Wylot kanionu zamykał szeroki mur z piaskowca, chroniąc cenne plony. Na drugim końcu kanionu, na północ od sanktuarium, wznosiła się Tama Kanonistki Cali - potężna, imponująca struktura wzniesiona z jednolitej bryły piaskowca. Sprawiała wrażenie, jakby wyrosła tam naturalnie, a nie została zbudowana. Deirdre ze swojej pozycji widziała tylko górną część struktury. Z tej odległości skała zdawała się stopniowo przechodzić od jasnobrązowej u szczytu do rdzawoczerwonej poniżej. Gdyby podeszła bliżej, dostrzegłaby w kamieniu tysiące warstw mieniających się kolorami od białego do czerwonego niczym krew.

- Na całym kontynencie nie ma drugiej takiej struktury - odezwał się cichy głos za plecami Deirdre. Odwróciła się i zobaczyła wysoką kobietę, której oczy odzwierciedlały wszystkie barwy piaskowca: płową, brązową, białą i ciemnoszarą. Choć widywała już oczy kanonistki, wciąż robiły na niej duże wrażenie. Wydawały się prawie owadzie. Wyraźne rysy półbogini - duży, kształtny nos i szerokie wargi - były piękne i dumne. Odślōnięta skóra miała czerwono-brązowy odcień i wyraźnie szorstką strukturę.

Deirdre przelknęła ślinę. Cała była pół kobietą, pół boginią, brutalnie pojmaną w niewolę przez Tajfona. Demon często pozostawiał ją unieruchomioną niczym rzeźbę, czasem na wiele dni.

- Pani. - Deirdre się skłoniła. - To zaszczyt. - Cała również się skłoniła. Miała na sobie luźne szaty z jasnobłękitnego jedwabiu i śnieżnobiały kaptur. Cienka tkanina bardziej podkreślała, niż ukrywała jej posągowe ciało. Szerokie ramiona górowały nad złożonymi rękami, jej talia zwężała się lekko, po czym przechodziła w szeroką krzywiznę bioder. Jedwab zwisał luźno do bosych stóp. Jednak gdy kanonistka postąpiła do przodu, pod tkaniną uwidoczniło się muskularne udo. - Tajfon pragnie, byś udzieliła mi informacji o Cichej Śnieci - powiedziała Deirdre. - Miałam nadzieję, że mogłybyśmy również omówić sposób, w jaki mogłabym lepiej służyć tobie i miastu.

Przez dłuższą chwilę kanonistka nie odpowiadała. Jej wzrok utkwiony był gdzieś za Deirdre.

- Każdy piaskowiec występujący w zachodniej Spirii jest porowaty - odezwała się w końcu. - Niewielu ludzi zadaje to z pozoru oczywiste pytanie: czemu użyłam porowatej skały do zatrzymania wody?

Deirdre zastanawiała się przez chwilę, co ma powiedzieć. Nie była pewna, czy te słowa miały jakieś ukryte znaczenie.

- Czemu użyłaś porowatej skały, kanonistko? - spytała w końcu.

- W moim mieście żyje około czterdziestu tysięcy dusz. - Półbogini zdawała się nie słyszeć pytania. - Wszystkie oddają mi część swojej siły, by utrzymać w całości tamę i mury. Lepiej czułabym się z trzydziestoma pięcioma tysiącami poddanych, miałabym mniej gęb do wykar mienia. Jednak czasy są łaskawe. Plaga i biegunki trzymają się z dala, częściowo dzięki dostawom hydromackich leków z Iksos. Co ważniejsze, niemal od dwudziestu lat deszcze przychodzą regularnie. Żadne wojny nie absorbowały uwagi naszych młodych mężczyzn, nie okaleczały ich ani nie wyniszczały chorobami wenerycznymi. Dwa domy bankowe z Oueensport wybudowały biura w dzielnicy Cyprysów. Trudno było powstrzymać rzemieślników, pieśniarzy i prostytutki przed migrowaniem tutaj. Nie przejmują się suszami i likantropami. - Deirdre zacisnęła wargi, wyraźnie zmieszana. Co kanonistka próbowała jej powiedzieć? - Były już takie czasy - kontynuowała Cala - dekady przed wojną domową, wspaniałe lata, kiedy nawet Kanicy byli najedzeni. Tyle życia, niczym woda zbierająca się i podnosząca za zaporą. Czasami zastanawiałam się, czy może być inaczej. Kiedy Celeste przywiodła z Kary swoją armadę, doszło do krótkiej bitwy powietrznej. Niektórzy nazywają ją oblężeniem, ale w niczym nie przypominało to kampanii na wschodzie. Mimo wszystko było przerażające: walczące ze sobą statki powietrzne, piloci skaczący z pociętych żagli, latawce bojowe krążące niczym rekiny i płatające zbłąkanych pilotów na strzępy, zanim zdążyli dotrzeć na ziemię. Ciała spadały deszczem na miasto i sawannę. - Półbogini spojrzała na Deirdre.

- Celeste wprowadziła powstańców do dzielnicy Palm i Północnej Bramy. Kiedy zaczęły się walki, likantropy wybiły dziury w zewnętrznych murach. Wilki załamywały dzielnicę Wodną, dzielnicę Palm i Północną Bramę. Mimo wszystko wciąż mogliśmy walczyć. Mogliśmy odeprzeć Celeste. Wykrwawiłoby to nas obie, lecz Avel pozostałoby wolnym miastem. Postanowiłam jednak uniknąć wykrwawiania. Dopiero gdy poddałam się Celeste, zamknęły się pory w zewnętrznych murach.

Deirdre zeszywniała. Miała nadzieję dotrzeć do Cali i zaoferować jej przymierze przeciwko Tajfonowi. Ale może nie było to najlepszym posunięciem.

- Pani - odezwała się nieśmiało - sugerujesz powiązanie między porowatym piaskowcem a miastem, lecz obawiam się... Obawiam się, że nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

- To tylko historia, nie ma w tym żadnych podtekstów - stwierdziła półbogini, potrząsając głową. - W tamtych czasach byłam dwiema istotami: świecką królową imieniem Miranda i swobodnie wyrażającą się boginią Całą. W ramach monoteizmu Celeste musiałam stać się jedną kanonistką - Całą związaną z Mirandą. Jesteśmy teraz jedną kobietą, zapewne bardziej Całą niż Mirandą, co jest straszne dla każdej z nas. - Spojrzała na swoje ciało. - Jednak niewola jest czasem konieczna.

Deirdre powstrzymała chęć zagryzienia warg.

- Twoje poświęcenie nie zostanie zapomniane - powiedziała.

- Już zostało. - Kanonistka uśmiechnęła się cierpko. - Po wojnie domowej Avel zostało zredukowane do roli kolonii tekstowej, której zadaniem jest eksportowanie większości języka z naszego wiatrowego ogrodu na potrzeby Celeste. - Urwała na chwilę. - Ale teraz z Daru dociekają do nas dobrze strzeżone karawany wiozące zboże i jedwab. Flota królowej zbudowała port w zatoce Coldlock, by wywozić nasze płótno żaglowe, ale dzięki temu możemy sprowadzać przez Kasztanowe Góry i Północną Bramę wozy z suszonym łososiem. Mamy więc teraz dość jedzenia, znacznie więcej niż w czasach politeizmu.

- Ale przecież w życiu chodzi nie tylko o przetrwanie - ostrożnie zasugerowała Deirdre. - Tajfon obiecał, że jako jego kapitanowie pomożemy dać zaczątek nowej erze.

- Niektórzy porównują moją tamę do Muru Richarda na wyżynach Lor nu. - Cała popatrzyła tęsknie na swoją tamę. - To nie jest sprawiedliwe porównanie. Mur Richarda jest barierą, która zatrzymuje leśne likantropy w Lesie Tulgety. Tak naprawdę nie różni się zbyt wiele od naszych miejskich murów. - Półbogini poprawiła swój kaptur. - Tymczasem moja tama jest nie tylko zaporą, ale i nawilżaczem. Dzięki swym bożym czarom mogę kontrolować pory w piaskowcu, określając, ile wody przecieka do pól na dnie kanionu. Oczywiście zboże z Daru i ryby z Coldlock stanowią świetne uzupełnienie, ale bez tych pól umarlibyśmy z głodu. Aby utrzymać miasto przy życiu, musimy wypuszczać pewne rzeczy, a inne wprowadzać. - Nagle spojrzała na Deirdre i zapytała: - Co wiesz o prajęzyku?

- Niewiele - przyznała Deirdre. - Wiem, że daje podstawy wszystkiemu, co żyje, i że z niego wywodzą się wszystkie inne języki.

- A podstawy życia, co o nich wiesz?

- Właściwie nic.

- Ja też nic nie wiedziałam do czasu, aż do Avel przybył Tajfon. - Półbogini w zamyśleniu pokiwała głową. Odwróciła się od Deirdre i ruszyła w stronę sekwojowego tronu.

- Życie można podzielić na odrębne małe jednostki, ale ich wielkość zawsze będzie ograniczona. Prajęzyk najczęściej może funkcjonować tylko w tych jednostkach. Każda z nich przypomina miastę). Trucizny należy wyrzucać na zewnątrz, a pokarm wprowadzać do środka. W przypadku Avel w środku musimy utrzymywać wodę, a likantropów trzymać na zewnątrz - wskazała za siebie, w stronę tamy. - Nasza cywilizacja jest więźniem sawanny. Bez porowatej tamy, bez umożliwiających przenikanie wody ścian, nasza drobna komórka wyschłaby i zginęła. Te bariery muszą być w nieustannym ruchu. Gdy monoteizm zjednoczył kraj, musiałam je zmienić.

Deirdre przełknęła ślinę. Wreszcie zaczęła rozumieć, do czego zmierza Cala.

- A teraz, po przybyciu Tajfona, stałaś się przepuszczalna dla Dysjunkcji?

- Owszem. - Bogini podeszła do tronu i usiadła. - Martwię się, że ty, regentka szpiegów, jesteś duchem skupionym na obaleniu ścian.

- Ależ pani, nigdy nie zaszkodziłabym Dysjunkcji...

- Deirdre - przerwała jej półbogini - rządzenie Dysjunkcją to problem Tajfona. - Na moment urwała. - Dla niego obie jesteśmy lojalne. - Znowu zawiesiła głos. - Mówię ci o mieście, ponieważ to ja jestem miastem. - Deirdre się ukloniła. - Musisz zrozumieć tę analogię. Dusza nie różni się od miasta. Każda osoba musi zdecydować, co chce odrzucić, a co wpuścić. Jeśli wybierze źle, przepadnie. Rozumiesz?

Deirdre przyjrzała się uważnie twarzy półbogini. Malowało się na niej tylko spokojne zainteresowanie.

- Tak, pani, rozumiem - odparła, choć nie było to prawdą.

- To dobrze - powiedziała Cala. - Jako regentka szpiegów Tajfona dokonałaś wielkiego dzieła. W ciągu dekady zmieniliście władze miasta na takie, które służą demonom.

- Pani, ja...

- Nie przerywaj. Nie oskarżam cię o to, po prostu stwierdzam fakt. Tajfon pilnował separacji kanonistki i regenta szpiegów. Jeśli twoja władza wzrośnie, to i ja, i to miasto staniemy się od ciebie zależne. Musisz więc doradzić nam, co powinniśmy wpuścić, a co odrzucić. - Deirdre pokornie kiwnęła głową, niepewna, co odpowiedzieć. - Deirdre, moja pani - zwróciła się do niej Cala - czy powinnam stać się przenikalna dla ciebie i sił, które reprezentujesz?

To pytanie wstrząsnęło Deirdre. Tytuł „pani” w ustach bogini oznaczał uznanie ją za równą. Czy usłyszała ofertę sojuszu? Czy Cala wiedziała, że Deirdre opiera się Tajfonowi,

czy naprawdę widziała w niej tylko nowego czempiona demona, zastępcę Sawannowego Potwora? Bacznie przyglądała się twarzy kanonistki, szukając jakichkolwiek sygnałów. Przez moment miała wrażenie, że dostrzegła błysk zrozumienia w wielobarwnych oczach. Jednak ryzyko było zbyt wielkie. Nie mogła narazić swoich planów.

- Oddaję się w twoją służbę, pani. Pozwól mi poruszać się po mieście, a na zawsze otrzymasz moją wierność i... - na chwilę zawiesiła głos - pomoc w rozkwitaniu w każdym otoczeniu.

Kanonistka zajrzała jej głęboko w oczy. Czyjej twarz wyrażała pełną zgodę, czy raczej niewypowiedziany cel? Deirdre nie miała pewności. W końcu jednak Cala kiwnęła głową.

- Dobrze. Porozmawiajmy zatem o wiedzy, którą pragniesz osiąść. Zacznijmy od Sawannowego Potwora. Jego imię - a przynajmniej to, co uważa za swoje imię - to „Ja Amber”.

- Ja Amber - powtórzyła Deirdre. Teraz, gdy powtórzy je głośno lub choćby w myślach, potwór będzie w mniejszym stopniu mógł wpłynąć na jej umysł. - Skąd pochodzi to imię? Spiria? Verdant?

- Nie wiem - odparła Cala. - Wydaje mi się, że on sam też tego nie wie. - Sala wokół nich pociemniała. Najwyraźniej do miasta dotarły burzowe chmury. Wkrótce spadnie deszcz. - Drugą kwestię nieco trudniej wyjaśnić - kontynuowała Cala. - Muszę przyznać, że sama nie w pełni ją rozumiem.

- Będę uważnie słuchać - obiecała Deirdre.

- Każdą żywą istotę tworzy unikalny tekst w prajęzyku. - Bogini odchyliła się na oparcie tronu. - Ponieważ świat otaczający żywe istoty nieustannie się zmienia, życie także musi się zmieniać, jego teksty się zmieniają. Jest to tajemniczy proces, ale wiem, że teksty prajęzyka muszą się kopiować i mieszać z innymi tekstami. - Deirdre w skupieniu kiwała głową. - Cicha Śnieć jest wynikiem prób, które podejmuje Dysjunkcja, by zmienić funkcjonowanie prajęzyka, a wraz z nim wszystkich innych języków na świecie.

- W jaki sposób zmienić? - spytała.

- Ma to związek z różnicami między bóstwami a ludźmi. - Cala głęboko wciągnęła oddech. - Oba typy istot są ożywionym językiem, tyle że ludzie zbudowani są z prajęzyka, a bóstwa nie.

- A z jakiego języka zbudowane są bóstwa?

- yciem tylko, że każde bóstwo zostało napisane w unikalnym boskim języku o wyjątkowych właściwościach. - Kanonistka potrząsnęła głową. - Nasze boskie teksty przechowywane są w arkach, tak jak wasz prajęzyk przechowywany jest w ciałach. -

Dotknęła palcami swojego policzka. - Mój boski język wpływa na piaskowiec i przechowywany jest w arce znajdującej się w kopule.

- Jeśli wolno mi spytać - Deirdre starała się zachować spokój w głosie - w jaki sposób Tajfon zamierza zmienić prajęzyk?

- Używa szmaragdu, w którym zawiera się zdolność pisania Nikodemusa, starając się uczynić prajęzyk bardziej podobnym do języków boskich.

- Ale jak?

Półbogini milczała chwilę, poprawiając się na tronie.

- Zmienia prajęzyk tak, by nie dało się w nim popełnić błędu?

Francesca szła za Cyrusem przez korytarze aż do wąskiego pokoju z długim stołem i licznymi krzesłami. Na jednej ze ścian migotały dwie świece. W ciepłym powietrzu unosił się delikatny dym pachnący cirewnem.

- To mesa pilotów - wyjaśnił Cyrus, stając obok Franceski. - Głodna?

- Jak wilk - odparła. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam.

Odsunął dla niej krzesło, a sam ruszył do drzwi prowadzących do spiżarni. Francesca usiadła. Jej nogi i pośladki powoli opuszczały ból, z którego istnienia nie zdawała sobie do tej pory sprawy. Odkąd przed wschodem słońca wstała, aż do tej chwili nie miała czasu usiąść.

- Wydawałaś taki dźwięk zawsze, gdy wracałaś wieczorem ze szpitala - zawołał Cyrus z kuchni.

Francesca nie zdawała sobie sprawy z tego, że wydała jakiś dźwięk. Ale chyba rzeczywiście jęknęła cicho.

- Możemy tu rozmawiać? - spytała, rozmasowując sobie kark.

Cyrus wrócił ze spiżarni, niosąc cynowy dzban i tacę. Przyglądała się uważnie, jak stawia na stole jedzenie: spiryjskie podplomyki i cienko pokrojony żółty ser. Po chwili przyniósł dwa gliniane kubki i nalał do nich wody

- Jeśli będziemy mówić cicho, to miejsce będzie równie bezpieczne, jak każde inne w wieży.

- Więc zgadzasz się z tym, że jesteśmy owieczkami, które wpadły między likantropy?
- zapytała. Owinęła podplomyk wokół plastra sera i ugryzła łąpczywie. Podplomyk był trochę czerstwy, ale ser miał głęboki, bogaty smak, co wzmogło tylko apetyt Franceski.

- Nie wpadliśmy, Fran. Zostaliśmy wepchnięci.

- Myślisz, że Deirdre nas wystawiła? - Ugryzła kolejny kęs.

- Może. - Cyrus napił się wody. - A może zrobił to ktoś inny.

- Ktoś zadał sobie cholernie dużo trudu, by ostrzec świeżo przeszkoloną kleryczkę i hierofanty średniej rangi o możliwym buncie politeistów - powiedziała, gdy już przełknęła kolejną porcję.

- Nie podchodź do tego z takim akademickim zadęciem, Fran - odpowiedział mężczyzna zmęczonym głosem. - Powiedz wprost, i

- Dobrze - zgodziła się i pochłonęła następny kęs podpłomyka. - Cholerna Druga Spiryjska Wojna Domowa! To wszystko nie ma sensu. Kto zadałby sobie tyle wysiłku? I co właściwie mamy z tym zrobić?

- Nie wiem. - Cyrus uniósł swoją chustę tak, że teraz zwisała luźno. - Ale Deirdre miała rację co do mojej ignorancji w sprawach wydarzeń w Avel. Możesz więc usunąć już z mojego serca tę piekielną sentencję. - Postukał się w piersi. - Oboje w tym siedzimy.

- Doprawdy? - zapytała Francesca, po czym dokończyła serowego podpłomyka i zwinęła sobie kolejnego. Ugryzła i żując, studiowała brązowe oczy Cyrusa. Odpowiedział hardym spojrzeniem i momentalnie pożałowała, że uniósł swoją chustę. Widziała tylko oczy

- nie potrafiła wyczuć, czy marszczy brwi, uśmiecha się ciepło czy może pogardliwie.

- Jestem hierofantą i Spiryjczykiem - odpowiedział.

- Uważasz, że mógłbym nie próbować powstrzymać wybuchu Drugiej Spiryjskiej Wojny Domowej? Zostałem złapany w samym środku tego wszystkiego, tak samo jak ty.

Francesca nie wątpiła, że mówi szczerze, a jednak... musiało być coś jeszcze.

- Tak samo jak ja?

- Deirdre powiedziała ci, że Tajfon sprowadził mnie do Avel jako zasłonę, tak? Bo nic nie wiem o sytuacji w mieście? - Francesca kiwnęła głową. - Chodziło jej o to, że nic nie wiem o szykującym się buncie. Otrzymałem stanowisko strażnika powietrza dzięki łasce kanonistki Cali, ale przez ostatnie trzy lata służyłem pod rozkazami kapitanów wyznaczanych przez Dwór Niebiański. Nigdzie - ani w Sharptree, ani na żadnym ze statków - nie słyszałem plotek o buncie Cali. Po co więc sprowadzać tu hierofantę o rojalistycznym rodowodzie i bez żadnych powiązań z szykującymi się działaniami? W jaki sposób ktoś taki może być zasłoną?

- Jesteś lojalnym monarchistą, którego zadaniem ma być uśmierzenie podejrzeń monoteistów - powiedziała Francesca. Upiła kilka łyków wody, była chłodna i doskonale gasiła pragnienie. - Jesteś polityczną zasłoną dymną.

- Dokładnie - potwierdził, łagodnie dotykając jej ręki. - Odsunęła się od niego dyskretnie. Spojrzał na swoją dłoń i cofnął ją. - Ale jeśli zacznę podejrzewać bunt, stanę się ciężarem dla lojalistów. Jeśli nie będę ostrożny, mogę skończyć jako pierwsza ofiara tej wojny.

- Uroczy - prychnęła Francesca i odłożyła swojego podpłomyka. - Niech zgadnę, teraz chcesz popędzić do swoich lojalistycznych przełożonych i zgłosić im swoje podejrzenia?

- Nie mogę wnosić takich oskarżeń, nie mając dowodu. - Potrząsnął głową. - Moim obowiązkiem jest odkryć, co się tu dzieje, i zgłosić to do Niebiańskiego Dworu, żeby...

Nagle Francesca przerwała mu wybuchem śmiechu.

- To twoja najlepsza szansa na zostanie kapitanem.

- Słucham? - Cyrus zamrugał szybko, patrząc na nią.

- Wielokrotnie się skarżyłeś, jak trudno jest zostać kapitanem. Biadoliłeś, że jest tak mało statków, a ich kapitanowie żyją bardzo długo. Bez powiązań w Niebiańskim Dworze albo doskonałej reputacji potencjalny kapitan musi czekać na objęcie statku jakieś pół wieku. Ale gdybyś dostarczył Niebiańskiemu Dworowi dowód na to, że szykuje się rebelia, twoje nazwisko znalazłoby się na samej górze listy oczekujących.

- Tak, mi również przyszło to do głowy - odparł Cyrus. Ale nie jest to dla mnie najważniejsze.

- Och tak, oczywiście. - Francesca znów się roześmiała. - Najważniejsze jest dla ciebie zrobić to, co należy. Ale to nie dlatego nagle zapragnąłeś współpracować, prawda? Na płonące niebiosa, Cyrus, związałam czarem twoje serce! Co jeszcze mogłoby skłonić cię do współpracy, jeśli nie twój osobisty interes?

- Nadzieja na to, że współpracując z tobą, wkurzę cię jeszcze bardziej - odpowiedział bezbarwnym tonem.

- Wiedziałałam! - Francesca roześmiała się z nieskrywaną satysfakcją.

- Więc zgadzasz się, że jesteśmy w tym razem? Czy...

Francesca nagle złapała go za rękę.

- Cicho - wyszeptała. - Nie mów nic przez chwilę.

- O co chodzi? - spytał, nie rozumiejąc jej reakcji. Poczula, jak jego mięśnie napinają się pod szatą.

- Nie jestem... - zająknęła się. - Chyba widziałam...

- Nie potrafiła sprecyzować, co właściwie zobaczyła. Delikatny złocisty blask? Był zbyt słaby, by mógł być czarem, chyba że... Wstała i zwróciła się w stronę drzwi. Stali w ciemnym korytarzu - mężczyzna i kobieta, oboje w czerni magów. Zbliżyli się w całkowitej ciszy. Francesca nie zarejestrowała najmniejszego ruchu. Jednak nie lśnił wokół nich żaden ślad magicznych tekstów - gdyby chcieli ich szpiegować, ukryliby się za pomocą podtekstu. - Magistra, magister - przywitała ich sztywno, słysząc, jak krzesło, na którym siedział Cyrus, zazgrzytało po podłodze.

- Kleryczka Francesca DeVega? - zapytała kobieta. - Tak.

- Dotarły wieści z miasta - poinformowała ją.

- Afazja minęła. Nikt nie wie, skąd się wzięła ani co ją spowodowało. Przylecieliśmy na „Lancy Królowej”, która właśnie zadokowała. Czy możemy do was dołączyć?

- Oczywiście - odparła Francesca neutralnym tonem.

Goście weszli do mesy równym krokiem. Kobieta była wysoka i szczupła, miała oliwkową skórę i delikatne rysy twarzy. W słabym świetle jej sięgające pasa włosy świeciły śnieżną bielą. Związane w luźny koński ogon utrzymywane były przez srebrne obręcze ozdobione turkusami - tradycyjną ozdobę szlachcianek z Verdant.

Mężczyzna był wyższy i urzekająco przystojny. Miał duże oczy, mocno zarysowane kości policzkowe, skórę o odcieniu palonej kawy i kaskadę krótkich dredów.

Francesca zauważyła, że kiedy szli, kobieta trzymała rękę na ramieniu mężczyzny. Nie tylko jej włosy lśniły bielą - również jej oczy były jednolicie białe. Mężczyzna prowadził ją, ponieważ nie widziała.

Podczas nauki w Astrophell Francesca spotkała kilku magów, którzy przeczytali tak dużo magicznego tekstu, że ich oczy zaszyły bielmem. Stali się ślepi na świat materii, jednak zyskali zwiększoną wrażliwość na tekst magiczny. Większość z nich była bardzo stara: mieli po kilkaset lat i czas odcisnął na nich widoczne piętno. Jednak ta kobieta była wyprostowana i poruszała się z niezwykłą swobodą, miała jedynie lekko pomarszczone policzki.

Przyglądając się jej szacie, Francesca odkryła emblemat - srebrną ośmioramienną gwiazdę na czerwonym polu. Taki symbol mógł nosić tylko dziekan Astrophell. To tłumaczyłoby sprzeczności w jej wyglądzie - musiała być jedną z najpotężniejszych żyjących magów, w związku z czym starzała się bardzo powoli.

- Proszę, usiądźmy - powiedziała kobieta. PO omacku znalazła krzesło i usiadła na nim. - Francesca i Cyrus również usiedli. - Jestem magistra Vivian Niyol, zastępca wicekanclerza Astrophell. To mistrz lingwista magister Lotannu Akoma. - Wskazała na mężczyznę, który stał teraz za nią, trzymając dłoń na jej ramieniu. Skłonił się sztywno najpierw Francesce, a potem Cyrusowi. - Przybyliśmy z Trillinon z pewną misją. Ponieważ jesteś lekarką, chciałabym poprosić cię o pomoc.

- Przebyłaś całą tę drogę, by zasięgnąć porady medycznej? - zapytała Francesca, udając, że nie rozumie intencji kobiety. - Nie wiedziałam, że moja reputacja dotarła aż do...

- Nie, nie przyleciałam do ciebie z drugiego końca kontynentu z bólem korzonków - z uśmiechem przerwała jej magistra.

- Może więc chodzi o twojego towarzysza? - drażyła Francesca. - Ma tak kwaśny wyraz twarzy, że podejrzewam jakieś problemy gastryczne. Może zatwardzenie?

Ciemnoskóry mężczyzna patrzył na nią uważnie, zachowując powagę.

- Och, naprawdę jesteś przezabawna - stwierdziła kobieta, a na jej twarzy zagościł jeszcze szerszy uśmiech. - Proszę, mów mi Vivian. Nie jesteś już związana z akademią magów, więc możemy odpuścić sobie formalności.

- Cieszę się, Vivian - odparła Francesca. - Nie chciałabym przypominać ci, że jako kleryk nie muszę być ci posłuszna. I proszę, mów mi Francesca.

- To taktowne z twojej strony, Francesco. - Staruszka kiwnęła głową. - nie obawiaj się, nie mam zamiaru ci rozkazywać. Jestem głęboko przekonana, że mamy na tyle zbieżne cele, by nasze relacje przybrały formę... współpracy.

- Nie sądziłam, że mag twojej rangi może być przyzwyczajony do współpracy - odcięła się Francesca.

- Jestem pod tym względem doprawdy okropna, moja droga. Wszyscy wokół mnie bez śladu sprzeciwu natychmiast wykonują moje polecenia, a już w szczególności młody Lotannu. Jest pokorny jak cielę.

Stojący za nią mężczyzna prychnął.

- Cóż, mogę to zrekompensować, podwajając trudności. - Francesca uśmiechnęła się lekko.

- Mam nadzieję, że nie poczujesz się dotknięta moimi słowami, ale zauważyłam coś dziwnego w twoim sposobie mówienia. Nie chodzi o akcent, choć powiedziałabym, że zostałam wychowana w Verdant. Jednak słyszę coś dziwnego...

- Urodziłam się w Spalonych Wzgórzach, na granicy między Spirią i Verdant - sprostowała Francesca.

- To mało zaludnione ziemie, a tamtejsi ludzie do dziś mówią tak jak ich przodkowie. - Posłała twarde, wymowne spojrzenie Cyrusowi.

- Jak przodkowie - powtórzyła magini. - Oczywiście, rozumiem. Choć przyznam, że to zaskakujące. Ja urodziłam się w czasach, gdy wszyscy tak mówili, jednak po drodze straciłam zdolność stosowania tego akcentu, lyjej nie straciłaś, choć jesteś znacznie młodsza ode mnie. Dziwne, prawda?

- Dziwne - zgodziła się Francesca. - A skoro już mowa o dziwnych rzeczach, czemu nie masz chowańca, którego oczami mogłabyś patrzeć na świat?

- Mam drogiego przyjaciela - westchnęła Vivian.

- To stary kojot o srebrnym futrze. Ma na imię Ista. Niestety nie mogłam jej zabrać na statek powietrzny. A z powodów, które wkrótce zrozumiesz, nie mogłam też zabrać jej na moją misję do Avel. I znowu wracamy do punktu wyjścia, czyli mojej prośby o pomoc.

- Proszę o wybaczenie, magistra - Cyrus odchrząknął. - Jestem Cyrus Alafcon, strażnik powietrza Avel. Zanim poprosisz o naszą pomoc, czy możesz nam wyjaśnić, na czym polega twoje zadanie w Avel?

- Waszą pomoc? - Staruszka uniosła jedną z białych brwi. - Mówiłam tylko do kleryczki.

- Ja... przypuszczałem, że... - Cyrusowi wyraźnie brakło słów. Francesca zauważyła, że nerwowo wykręca palce.

- Ale z przyjemnością skorzystam również z twojej pomocy, magistrze hierofanto - spokojnie oświadczyła Vivian.

- W takim razie mam nadzieję, że zaspokoisz moją ciekawość. - Cyrus wyprostował się na krześle.

- Och, minęło mnóstwo czasu, od kiedy młody człowiek prosił mnie o zaspokojenie. - Vivian szerzej otworzyła niewidzące oczy. - Nawet nie wiem, co powiedzieć. - Zasłoniła twarz drobną dłonią. - Słyszałeś to, Lotannu? Jak myślisz, zaspokoić tego młodzieńca?

- Vivian - Lotannu odezwał się śmiertelnie poważnym tonem - straszysz tubylców.

- Nie jesteśmy... - zaczęła Francesca, rumieniąc się, ale umilkła, gdy zobaczyła minę Cyrusa.

Jeszcze kilka chwil wcześniej, widząc płonąca twarz Cyrusa, a przynajmniej te jej fragmenty, których nie zasłaniała chusta, roześmiałyby się na całe gardło, jednak teraz, ze względu na towarzystwo, poczuła zakłopotanie i współczucie.

- Wybacz, jeśli wprawiłam cię w zakłopotanie, Francesco - swobodnie rzuciła Vivian. Wciąż się uśmiechała, była zadowolona jak kot, który wychłęptał całą miskę ciepłego mleka. Zakłopotanie Franceski ustąpiło miejsca złości. Przegrywała w tej słownej szermierce i starucha doskonale o tym wiedziała. Umysł Franceski pracował na najwyższych obrotach, szukając jakiejś ciętej riposty. Jednak ponieważ nic nie przychodziło jej do głowy, w końcu powiedziała tylko:

- Ja również jestem ciekawa twojego zadania.

- Dobrze. - Vivian kiwnęła głową. - Lotannu i ja przybyliśmy tu za zgodą Niebiańskiego Dworu. Naszym zadaniem jest rozwiązanie pewnej zagadki, a raczej znalezienie pewnej zaginionej osoby.

- Cóż to za osoba? - Francesca zacisnęła dłonie w pięści.

- Zbuntowany mag - padła odpowiedź. - Może słyszałaś o nim podczas swojego szkolenia. Był wtedy dwudziestopięcioletnim młodzieńcem. Nazywa się Nikodemus Weal.

Francesca musiała użyć całej siły woli, żeby jej twarz nie zdradziła emocji. Cyrus wyraźnie drgnął, co nie uszło uwagi Lotannu.

- Jesteś zaskoczony, Cyrusie Alarconie? - zapytał.

- Oczywiście - odpowiedział strażnik powietrza.

- Wśród hierofantów krążyła historia, jakoby Weal miał być przepowiadany przez magów zbawcą. Potem jednak wymordował swoich towarzyszy. Niektórzy twierdzili, że magowie znaleźli w tej zbrodni dowody udziału demonów, krążyły głosy o istocie w całości zbudowanej z metalu. Ale sądziłem, że to wszystko to tylko plotki.

- A ty nie jesteś zaskoczona, Francesco? - zapytała Vivian.

- Uzdrowiciel musi umieć ukrywać zaskoczenie

- odpowiedziała. - Pacjentom nie służy, gdy ich rany wywołują wstrząs lekarza.

- Rozumiem - stwierdziła Vivian.

- Czemu sądzicie, że Weal jest w Avel? - zapytał Cyrus.

- Nie mogę wdawać się w szczegóły - odpowiedziała starszka. - Mogę natomiast powiedzieć, że musimy zachować dyskrecję. Jeśli rozniesie się wieść, że dwoje wielkich magów poluje na buntownika, ten najprawdopodobniej ucieknie. Dlatego muszę was poprosić o zachowanie tajemnicy.

- Oczywiście - zgodził się Cyrus.

- Kiedy dotrzemy na miejsce, zmienimy stroje. - Vivian przechyliła głowę na bok. - Będę odgrywała rolę bogatego kupca z Verdant, szukającego w Avel partnerów handlowych. Lotannu będzie moim rachmistrzem. Dlatego nie mogłam zabrać chowańca: kupiec nie powinien podróżować z oswojonym kojotem. Chętnie skorzystalibyśmy z waszej pomocy, jednak nie to jest głównym powodem, dla którego mam nadzieję z tobą współpracować, Francesco. Dowiedziałam się od marszałek, że byłaś dziś świadkiem klątwy afazji rozprzestrzeniającej się w sanktuarium. Czy to prawda?

- Owszem - odparła.

- Chcę usłyszeć wszystko, co pamiętasz. Wierzę, że to, co widziałaś, to pierwszy objaw czegoś, co może rozprzestrzenić się na skalę zarazy.

- Zaraza afazji? - Francesca zmarszczyła brwi. - Przecież afazja nie jest wywoływana infekcją.

- Owszem, zazwyczaj nie. - Vivian głęboko nabrała powietrza. - Mój przyjaciel Lotannu to nasz główny ekspert w dziedzinie interakcji tekstu magicznego z umysłem. Choć

wciąż jest magiem, przez kilka lat studiował z klerykami. - Urwała na chwilę, po czym podjęła: - Klątwy, o których wiadomo, że wywołują afazję, nie przenoszą się z umysłu do umysłu. Przynajmniej ludzkie klątwy...

- Myślisz, że klątwa, którą widziałam, nie została napisana przez człowieka? - zapytała Francesca, myśląc o tym, co Deirdre powiedziała jej o Sawannowym Potworze.

Vivian powoli skinęła głową.

- Zanim odpowiem, proszę, nie zapominaj o powadze sytuacji: gdyby klątwa afazji stała się zakaźna, mogłaby rozprzestrzenić się na całe Avel i jego wiatrowy ogród. Przez hierofantyczne lotnie i statki kupieckie klątwa rozpełzłaby się na cały kontynent. W ciągu roku afazją mógłby zostać dotknięty każdy czarodziej. Na co ci to wygląda?

- Na Dysjunkcję niszczącą ludzki język - westchnął Cyrus.

- Francesco, proszę, weź moją dłoń. - Vivian wyciągnęła rękę. - Trudno będzie ci uwierzyć w to, co powiem, więc chcę, żebyś czuła, że jestem szczerą.

- Francesca ostrożnie położyła dłoń na dłoni Vivian. Kostki staruszki były gładkie, a delikatną skórę znaczyły wątrobowe plamy. - Istnieje prawdopodobieństwo, że klątwa afazji nie została napisana przez człowieka - powoli powiedziała Vivian. - Być może napisał ją smok.

Francesca słuchała staruszki i czuła, że kręci jej się w głowie.

Vivian zaczęła opowiadać, jak dziesięć lat temu Trillinon został zaatakowany przez smoka. Magowie i piromanci zranili bestię na tyle dotkliwie, by powstrzymać jej atak, ale ta, zanim umarła, wzięła odwet na miasto, wzbudzając katastrofalny pożar. Magowie zbadali szczątki gada i odkryli, że stwór był czymś więcej niż tylko olbrzymią latającą jaszczurką: dysponował potężnym tekstem mogącym zmieniać sposób myślenia pobliskich ludzi. Choć Vivian przybyła do Avel w poszukiwaniu Nikodemusa Weala, wieść o afazji wywołała podejrzenie, że w mieście może znajdować się rozwijający się smok.

Francesca słuchała z uwagą. Trudno było jej powstrzymać emocje, zwłaszcza gdy przypomniła sobie ostrzeżenie Deirdre dotyczące dwóch smoków.

- Zatem czy pomożecie mi zbadać klątwę afazji? - spytała Vivian, kończąc swoją opowieść.

Francesca i Cyrus zerknęli na siebie, po czym bez entuzjazmu skinęli głowami.

- Tego wieczoru wielu hierofantów zakończy swój przydział do wiatrowego ogrodu i polecą z powrotem do Avel - wyjaśniła staruszka. - Wszyscy mieli wrócić do miasta razem ze zwalnianymi pilotami. Do tego czasu marszałek wiatru udostępniła nam pokoje gościnne, gdybyście chcieli odpocząć.

Francesca z radością przyjęła możliwość skorzystania z fihwili prywatności. Cyrus poprowadził ją przez wąskie korytarze do kolejnego długiego, wąskiego pokoju, pełnego łóżek. Francesca padła na jedno z nich, a on usiadł na sąsiednim.

- Co się tu, na diabła, dzieje, Cyrus? - spytała. - Jeszcze rano zszywałam rany i wycinałam ropiejące wyrostki. Potem zabiłam pacjentkę, która kolejno ożyła. Nie, chwileczkę, ona nie była zwykłą pacjentką, była awatarem. Przybyła, żeby powiedzieć mi, że zaczęła się Wojna Dysjunkcji i całym Avel zawładnął demon. A do tego Sawannowy Potwór jest prawdziwy i właśnie przedziera się przez sanktuarium. Stoimy w obliczu zagrożenia drugą wojną domową, a Sawannowy Potwór, który przy okazji jest półsmokiem, być może jest autorem zakaźnej klątwy afazji. A to tylko jeden z dwóch smoków. Kto może znaleźć drugiego? Oczywiście tylko ja! - Francesca przerwała, żeby złapać oddech, po czym wróciła do swojej wyliczanki. - Och, a przy okazji, może chciałbyś wiedzieć, Cyrusie, że smoki - a to niespodzianka - nie zawsze są ziejącymi ogniem potworami z bajek. Czasami są to niejasno zdefiniowane ucieleśnienia wszystkiego, co potężne, zabójcze, niemożliwe do ogarnięcia rozumem, a przy tym, na boga bogów, śmiertelnie zabójcze.

Cyrus słuchał jej, spokojnie rozwijając swój turban. Zdarzało mu się już wysłuchiwać podobnych tyrad.

- Ja też nie spodziewałem się takiego dnia, gdy rano wstawałem z łóżka.

- Musiałeś wrócić do Avel?

- Co masz na myśli?? - popatrzył na nią czujnie.

- Musiałeś tu wrócić, żeby mieć większą szansę na zostanie kapitanem?

- Chyba nie. - Poprawił swoją chustę. - Strażnik powietrza Roundtower niedawno został mianowany marszałkiem. Mogłem zająć miejsce po nim, zamiast wracać tutaj.

- W takim razie czemu Avel?

- Nie z twojego powodu, jeśli o tym myślisz.

- Czemu miałabym tak myśleć? - zachnęła się.

- Roundtower to tylko góry i wojskowi. - Odwrócił wzrok. - Gorącokrwisci lansjerzy i garnizonowi oficerowie. Jedyne rozrywki to prostytutki i bójki w tawernach. A ja, jak raczyłaś wspomnieć, musiałbym czekać całe dziesięciolecie na awans na kapitana. Wybrałem więc wygodniejsze życie w porządnym mieście, jakim jest Avel. Zresztą wiatry przy Roundtower potrafią być bardzo groźne. Latanie nad tymi wszystkimi graniami jest trudne nawet dla weterana. Szkolenie nowych pilotów w górach? - Potrząsnął głową. - To ciężki kawałek chleba. - Francesca sapnęła z niedowierzaniem. - Myślisz, że oszukiwałbym samego siebie? - spytał Cyrus, patrząc jej w oczy. Kleryczka tylko kiwnęła głową. - zamierzasz

powiedzieć mi to w sposób pełen współczucia i niemal nieprzyzwoity. - Kolejne przytaknięcie. - Na boga bogów, Cyrus! - krzyknął nosowym głosem, przedrzeźniając ją. - Masz w sobie tyle świństw, że zawstydziłbyś każde prosię w Lornie. - Dla bardziej teatralnego efektu wyrzucił ręce do góry i westchnął dramatycznie.

- Wyjąłeś mi te pełne współczucia i niemal nieprzyzwoite słowa z ust - przyznała Francesca, marszcząc brwi.

Cyrus roześmiał się cicho, po czym dodał:

- Chyba jednak wybrałem to miejsce ze względu na sentyment. Byłem tu naprawdę szczęśliwy.

- Opuściłeś Avel z konkretnego powodu. Nie udało się? - Nie odpowiedział. - Jak miała na imię?

- Silvia. Była ze mną w Sharptree. To też się nie udało.

- wyciąż tam jest?

- Jest strażnikiem statków w służbie kupców morskich. Pływa głównie na szlaku handlowym z Chandralu do Trillinon.

- Brzmi nieźle - przyznała Francesca.

- Tak, słyszałem, że to miła trasa. Podobno większość czasu na łodzi spędza z dowódcą skrzydła iksońskich sił ekspedycyjnych.

- Przykro mi, Cy.

- Niepotrzebnie. Cieszę się z jej szczęścia. - Urwał na chwilę. - A ty? Miałaś jakiegoś kochanka?

- Kleryka, z przeszkoleniem hydromanty - przyznała. - Schodziliśmy się i rozchodziliśmy. Aktualnie odpoczywamy od siebie. Wrócił do Port Mercy na kolejne szkolenie tuż przed rozpoczęciem pory deszczowej. Czasem za nim tęsknię, ale niezbyt często. Jestem za bardzo zapracowana, żeby o tym myśleć.

- To akurat nic nowego.

- Nic nowego - zgodziła się, siadając. Naprawdę mi przykro.

- Nie warto, Fran. Nie wróciłem tu w nadziei na wskrzeszenie naszej przeszłości. Byliśmy szczęśliwi razem może przez rok, potem musieliśmy dokonywać trudnych wyborów.

- To był dobry rok - powiedziała. - W większości.

- W większości - zgodził się. - Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że cię spotkam.

- I nie powinieneś być. - Francesca potarła kark. - Szansa na to, że w taki sposób na siebie wpadniemy, była prawie zerowa.

- Deirdre wiedziała, kim jestem? - spytał.

- Owszem, ale chyba nie była świadoma naszej przeszłości.

Przesunął dłonią po swoich czarnych lokach.

- Mam wrażenie, że to wszystko jest ze sobą jakoś powiązane: Deirdre, Sawannowy Potwór, „Lanca Królowej”, nadciągająca rebelia, ty i ja... Ale nie wiem jak.

- Tak jakbyśmy widzieli wszystkie muchy złapane w pajęczą sieć, ale nie widzielibyśmy samej pajęczyny

- Ani pająka.

- Ani pająka. - Francesca z powrotem położyła się na łóżku. Ciszę, jaka na chwilę między nimi zapadła, wypełniał szum wiatru i trzask lin. Dźwięki brzmiały jednak przyjaźnie.

- Myślisz, że Deirdre mówi prawdę o Tajfonie? - odezwała się w końcu.

- Jeszcze godzinę temu powiedziałbym, że to niemożliwe. Ale teraz... teraz chyba wszystko jest możliwe. Tylko utkanie tej sieci przez demona nie byłoby logiczne. Jeśli Cała jest jego niewolnicą i dąży do kolejnej wojny domowej, powinien zrobić wszystko, by ukryć bunt i samego siebie.

- Powiemy Vivian?

- Na piekłą, nie! Nie widzisz, że ona knuje coś więcej, niż nam powiedziała?

- Owszem. - Francesca przycisnęła dłonie do oczu.

- A ta stara ropucha po mistrzowsku potrafi wmanewrować kogoś w jego własną grę. Pewnie tak właśnie została zastępczynią wicekanclerza.

- Zarumieniłem się po tym komentarzu o zaspokojeniu? - zapytał Cyrus, prychając.

- I po mojej koślawej odpowiedzi - powiedziała.

- Nie znoszę przegrywać.

- Nie bierz tego do siebie - poradził. - Co teraz zrobimy?

- Sen pomaga na wszystko. Oboje jesteśmy wyczerpani i nie możemy nic zrobić, dopóki nie wrócimy do Ayele. - Francesca potarła policzki. - Boże bogów, zabiłam dzisiaj pacjentkę... - Przeważenie i wstyd ukrywały się pod grubą warstwą zmęczenia.

- Deirdre wystawiła cię tak, żebyś nie mogła jej uratować. - Cyrus również się położył.

- Była już ratowana. Mistrz lekarski mógłby to zrobić.

- Nie jesteś mistrzynią. Nie masz jeszcze nawet sześćdziesiątki.

- Niektórzy moi rówieśnicy są już mistrzami. - Jęknęła Francesca. - Ja też powinnam.

- Wciąż jesteś dla siebie tak ostra, magistra?

- Zamknij się, strażniku powietrza - rzuciła i przekreśliła się na bok. - Nie chciałbyś być już kapitanem?

- Co zrobimy po powrocie do miasta? - zapytał Cyrus, ignorując przytyk.

- Znajdziemy jedyną muchę, która została opleciona przez tę sieć jeszcze ciaśniej niż my.

- Nikodemus Weal - Cyrus zaśmiał się gorzko. - Podobno jest kakografem. - Na zewnątrz wiatr przybrał na sile i rozległ się stukot deszczu uderzającego o dach.

- Mmmhmmm... - potwierdziła Francesca, zapadając w sen. Szkolenie kleryka nauczyło ją szybkiego zasypiania.

- Kakografowie to magowie, którzy piszą od tyłu? Czy zapamiętują na opak?

- Nie. No, może niektórzy z nich. Ale przeważnie zmieniają w dysczar każdy tekst, którego dotkną, przestawiając kolejność liter. Mogą myśleć o magicznych słowach, ale nie potrafią zapamiętać ich prawidłowej pisowni.

- Czyli kakografia to coś w rodzaju afazji? - łóżko Cyrusa zatrzeszczało.

- Pewnie tak... - Nogi Franceski podskoczyły lekko, jak dzieje się często przed samym zaśnięciem. - Czy ty do czegoś zmierzasz, Cyrusie?

- Nie jestem pewien - odparł. - Po prostu... może Vivian się myliła, podejrzewając, że afazja ma jakiś związek ze smokiem. Może ma związek z tym zbuntowanym kakografem?

- Porozmawiamy o tym... później - wymamrotała.

- Jesteś pewna, że kakografia nie ma związku z robieniem wszystkiego na odwrot?

- Mmmhmmm...

Cyrus mówi! coś jeszcze, ale już go nie zrozumiała. Deszcz coraz głośniejsze uderzał o dach, a Francesca poczuła, jak odpływa do krainy snu.

Vivian czekała w ciszy, nasłuchując, aż kroki kleryczki i hierofanty ucichną. Lotannu zabrał dłoń z jej ramienia i sądząc po odgłosach, podszedł do drzwi.

- Poszli? - wyszeptęła, a kąciki jej ust wykrzywiły się w uśmiechu.

Zamiast odpowiedzi usłyszała śmiech stłumiony do parsknięcia, a potem głęboki rechot Lotannu.

Wtedy i ona roześmiała się w głos.

- Płonące niebiosa, Viv! - Lotannu stłumił okrzyk.

- Naprawdę chciałaś mi to utrudnić! Pokorny jak cielę? Młody Lotannu? Skąd to wytrzasnęłaś, na piekło?

- Stwórco, ulituj się - odpowiedziała, ciągle trzęsąc się ze śmiechu. - Oddałabym wszystko, by zobaczyć twarz hierofanty, gdy zaczęłam z nim flirtować.

- Biedny drań! - z parsknięciem rzucił Lotannu.

- Sprawiałaś, że zaczerwienił się jak zadek pawiana.

Vivian znowu wybuchła śmiechem. W końcu musiała przyłożyć dłoń do piersi, by spowolnić oddech.

- Cfcy tu nie jest wspaniale? Z dała od tych wszystkich frakcji, jak za młodych lat.

- Tak, zupełnie jak za moich młodych lat - odparł z przekorą. - Obawiam się, że zapisy historyczne nie sięgają na tyle daleko, by wiedzieć, jak wyglądał świat, kiedy ty byłaś młoda.

- Nie zaczynaj - zachichotała. - Już prawie zapomniałam, jak to jest zrobić coś bez potrzeby uzyskania zgody Długiej Rady albo wyklócania się godzinami o to, jakie będą konsekwencje dla przyszłego Zimorodka.

Usłyszała, jak pobliskie krzesło skrzypi pod ciężarem siadającego Lotannu.

- Na płonące piekła, głowa zaczyna mnie boleć na samo wspomnienie Zimorodka. Dzięki Stwórcy, że wszyscy ci oszalali na punkcie przepowiedni akademicy ugrzęźli w Ogun, a Długa Rada nie ma pojęcia o rozmowie, którą właśnie odbyliśmy.

- Co nie znaczy, że nigdy się o niej nie dowie. - Umilkła na chwilę. - Czy przyjrzałeś się miastu, gdy nad nim przelatywaliśmy?

Vivian nie do końca to rozumiała, ale Lotannu napisał czar, który umożliwił mu „widzenie” myśli czwartorzędowych innych czarodziejów.

- W sanktuarium znajdowały się trzy istoty myślące tekstem magicznym. Z tej odległości mogłem dostrzec tylko zarys ich myśli - odpowiedział.

Vivian potarła policzek, próbując wyobrazić sobie, jakie to wrażenie: widzieć myśl. Lotannu kiedyś jej to zademonstrował. Rzucił jej na głowę delikatną złotą siatkę. Dysponując hybrydowym umysłem - w połowie tworzonym przez mózg, a w połowie przez czar - zrozumiała. Widziała czwartorzędowe myśli powstające w umyśle Lotannu, jak rosną i rozwijają się podczas rozmowy, widziała, jak łączą się z jej myślami czwartorzędowymi w rozmowie i przekształcają w coś nowego. Jednak gdy tylko zdjął czar, wszystko przepadło. Tak jakby obudziła się ze snu i to, co było zrozumiałe w onirycznym świecie, okazało się nonsensem dla obudzonego umysłu.,

- Te istoty w sanktuarium z myślami czwartorzędowymi... - zaczęła zastanawiać się głośno. - Były tylko w sanktuarium? Nigdzie więcej w mieście?

- Niczego więcej nie widziałem.

- W takim razie musimy przyjąć, że jedna z nich to kanonistka.

- Oczywiście. Jeden ze wzorów był podobny do tego, co widziałem u innych pomniejszych bóstw.

- A pozostała dwójka myślących?

- Ich wzory myślowe nie przypominały niczego, co dotąd widziałem. Zaniepokoił mnie ten silniejszy. Bardzo szybkie, wewnętrznie powiązane myśli. Sprawiały wrażenie potęgi i... obrony.

- Tajfon - stwierdziła.

- W sanktuarium?

- To potwierdzałoby nasze podejrzania dotyczące Cali.

- Vivian pokiwała głową. - A co z trzecią istotą? - Lotannu milczał. - Czuję, że marszczysz czoło - dodała.

- Marszczę - przytaknął.

- Jeśli będę się marszczyć za ciebie, powiesz mi coś o trzecim umyśle?

- Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nie jestem pewien, czy był to jeden umysł, czy było ich wiele, połączonych tą samą ideą. Te myśli były rozproszone. Przypominało to oglądanie meduzy w oceanie. Czasem widzisz meduzę, a czasem wodę za nią.

- Niedokończony półsmok, którego obecność podejrzewają nasi szpiedzy. - Vivian w zamyśleniu kiwała głową.

- Tak myślisz? - zapytał.

- A co jeszcze mogłoby to być?

- Coś, czego nie przewidzieliśmy - zasugerował.

- Nie powinniśmy wysłać wiadomości do Długiej Rady?

- Nie - odparła stanowczo. - Jeśli separatyści dowiedzą się, że może tu być Nikodemus, przygnają galopem. A wtedy nasze mięso nie zostałoby właściwie ugotowane. Możesz sobie wyobrazić bunt hierofantów w czasie, gdy w Avel znajdują się separatystyczni magowie? Nawet jeśli uruchomimy plan awaryjny, separatyści i politeiści mogą się połączyć. Wtedy mag walczyłby z magiem, a hierofanta z hierofantą, do walki włączyłyby się pomniejsze bóstwa, a całe miasto zostałoby obrócone w stertę gruzu.

- Jednak jeśli półsmok jest zdolny do... - zaczął mężczyzna.

- Wówczas lepiej, jeśli poradzimy sobie z nim bez podsuwania frakcjom separatystów okazji do walki.

Lotannu odchrząknął w ten charakterystyczny sposób, jak zawsze, gdy chciał zasugerować jej, że powiedziała coś głupiego.

- A jeśli separatyści już są w Avel? Jeśli pogłoski o Lidze Starfall są prawdziwe?

- Musimy podjąć ryzyko - westchnęła. - Już o tym rozmawialiśmy.

- Wciąż mi się to nie jfodoba. - Zamyślił się na chwilę. - Myślisz, że Nikodemusa też znajdziemy w sanktuarium?

- To jego biegłość w posługiwaniu się prążykiem umożliwiła powstanie na wpół gotowego smoka. Na pewno nie jest daleko stąd.

- Cóż za elegancki zestaw dobrałaś: półsmok, demon i Nawałnik Burzowy, wszystko zapakowane w piaskowiec i kafelki z terakoty.

- Jesteś niemiły, bo nie zjedliśmy lunchu - zauważyła. - Kiedy jesteś głodny, zawsze robisz się złośliwy. Myślisz, że zdołamy wejść do sanktuarium i wyjść z niego żywi?

- Nie wątpię, że ty wyjdiesz. Bardziej martwiłbym się o swoje życie.*

- Nigdy nie będzie ci groziło większe niebezpieczeństwo niż mnie. - Westchnęła. - Musimy cię nakarmić.

- Lotannu tylko prychnął. To pierwszy raz, gdy czuję się naprawdę ślepa. - Vivian potarła oczy. - To znacznie trudniejsze niż...

- Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim Rada odkryje, że jesteśmy już w Avel? - przerwał jej.

- Jeśli nie ma tu separatystów, jakieś dwadzieścia dni.

- Wzruszyła ramionami. - Ale równie dobrze dziesięć. To nie ma znaczenia. Załatwimy nasze sprawy tutaj na długo przed tym. A może zrobi to dla nas Tajfon?

Lotannu odchrząknął w ten charakterystyczny sposób, jak zawsze, gdy chciał zasugerować jej, że powiedziała coś głupiego.

- A jeśli separatyści już są w Avel? Jeśli pogłoski o Lidze Starfall są prawdziwe?

- Musimy podjąć ryzyko - westchnęła. - Już o tym rozmawialiśmy.

- Wciąż mi się to nie podoba. - Zamyślił się na chwilę. - Myślisz, że Nikodemusa też znajdziemy w sanktuarium?

- To jego biegłość w posługiwaniu się prążykiem umożliwiła powstanie na wpół gotowego smoka. Na pewno nie jest daleko stąd.

- Cóż za elegancki zestaw dobrałaś: półsmok, demon i Nawałnik Burzowy, wszystko zapakowane w piaskowiec i kafelki z terakoty.

- Jesteś niemiły, bo nie zjedliśmy lunchu - zauważyła. - Kiedy jesteś głodny, zawsze robisz się złośliwy. Myślisz, że zdołamy wejść do sanktuarium i wyjść z niego żywi?

- Nie wątpię, że ty wyjdiesz. Bardziej martwiłbym się o swoje życie.*

- Nigdy nie będzie ci groziło większe niebezpieczeństwo niż mnie. - Westchnęła. - Musimy cię nakarmić.

- Lotannu tylko prychnął. To pierwszy raz, gdy czuję się naprawdę ślepa. - Vivian potarła oczy. - To znacznie trudniejsze niż...

- Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim Rada odkryje, że jesteśmy już w Avel? - przerwał jej.

- Jeśli nie ma tu separatystów, jakieś dwadzieścia dni.

- Wzruszyła ramionami. - Ale równie dobrze dziesięć. To nie ma znaczenia. Załatwimy nasze sprawy tutaj na długo przed tym. A może zrobi to dla nas Tajfon?

- Doprawdy?

Vivian rozciągnęła się na krześle. Nogi wciąż miała obolałe od czasu zejścia z tego piekielnego powietrznego statku.

- Przy odrobinie szczęścia demon zrobi coś pochopnego. Albo półsmok wyrwie się spod kontroli. Słyszałeś o afazji. Do tego jeszcze ta kleryczka. Przecież ją też powinna dotknąć. Coś musi z nią być nie tak.

- Tu masz rację - zgodził się Lotannu. - Ma cięty język. I jest całkiem ładna.

- Jej język może być istotny, ale jakie znaczenie ma jej uroda?

- Zapewne nie ma. Mężczyźni po prostu zauważają takie rzeczy - stwierdził i po chwili rozległ się dźwięk sunącej po stole tacy.

- Co jedli? - zapytała Vivian, nachylając się do przodu. - Wiem, że byłeś głodny.

- Podpłomyki i ser. - Roześmiał się. - Tacę masz przed nosem. Domyślasz się, jak kleryczka mogła uniknąć afazji?

Prawą ręką Vivian oderwała kawałek pieczywa.

- Coś nie zgadza się w jej ciele, świeci zbyt jasno. Nie jestem pewna, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa. Możliwe, że doprowadzi nas do Nikodemusa. - Wgryzła się w czerstwe pieczywo.

- Ajej kochaś?

- Hierofanta? Nie mam pojęcia. Myślę, że po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

- Skoro już wiemy, że akcja najprawdopodobniej rozegra się w sanktuarium, jaki będzie nasz następny krok? - spytał Lotannu. - Przygotujemy obronę w centralnej dzielnicy?

- To nie byłby zły pomysł. - Vivian kiwnęła głową.

- Potem będziemy musieli udać się do kanonistki i użyć kwiecistego języka, kłaniając się przy tym i płaszcząc tak nisko, jak zdołamy.

- Cholerny protokół. - Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Od początku będzie wobec ciebie podejrzliwa. Jaki to ma sens?

- Jeśli będziemy mieli szczęście - Vivian pogryzła i przełknęła kęs - demon od razu spróbuje nas zabić.

Duch jeszcze raz sprawdził zawartość sypialni Franceski DeVegi: dwa okna zasłonięte zdobionymi drewnianymi okiennicami, skrzynia z kilkoma kompletami ubrań, łóżko z ułożoną w stertę pościelą, małe biurko zastawione medycznymi księgami, rozwiniętymi zwojami i luźnymi kartkami. Najwyraźniej magistra DeVega większą wagę przykładła do nauki i snu niż do sprzątania.

Najświeższa notatka na biurku kleryczki miała datę z poprzedniego wieczoru. Miska do mycia i nocnik były puste i suche, nie wróciła więc do swojego pokoju od czasu, gdy praktykanci opróżnili je tego ranka.

Był to poważny problem.

Duch Shannona wędrował po losowo wybranych pomieszczeniach szpitala, aż przypadkiem usłyszał, jak jakiś zirytowany lekarz pyta o kleryczkę DeVegę. Nikt nie widział jej od czasu, gdy minęła tajemnicza afazja. Duch podążył za lekarzem do tego pokoju, jednak gdy mężczyzna zapukał do drzwi, przeszedł przez drewno, by skontrolować pomieszczenie. Niestety nie znalazł tu nic przydatnego.

Teraz, gdy ponownie badał pomieszczenie, w jego piersi znowu zagościło wrażenie pustki. Wyobraził sobie wyniszczoną twarz swojego autora, zwieszoną w agonii kąciki ust. Jego autor również musi za nim tęsknić. Jak mogłoby być inaczej?

Duch zamknął oczy i potarł je jedyną dłonią, którą posiadał. Jednak palce nie wywarły żadnego nacisku. Była tylko proza jego ręki.

Być może autor wcale za nim nie tęsknił. Może duch nadaremnie zachowywał się jak odrzucony kochanek, pogrążający się w fantazjach o nieodwzajemnionej miłości.

Nieobecnym gestem dotknął kikuta prawej ręki. Wstrząsnęło nim przesywające uczucie. Przypominało ból... choć tak naprawdę nie było do niego podobne. To, co wcześniej uważał za ból, teraz było pakietem tekstowej informacji o uszkodzeniu. Zmieniało się jego odczuwanie bólu, właściwie zmieniała się cała jego percepcja.

Poza ciałem autora umysł ducha robił to, co wszystkie inne umysły: dostosowywał się do otoczenia. Było to niepokojące. Istniały teraz dwie wersje Shannona: fizyczna i tekstowa. Co będzie, jeśli magiczny umysł ducha rozwinie się do tego stopnia, że nie będą mogli się zjednoczyć? Oczywiście zakładając, że duchowi uda się przekonać autora do przyjęcia go z powrotem.

Pustka w jego piersi zaczęła się rozrastać. Musiał kilka razy głęboko nabrać powietrza, by odzyskać równowagę. Powrócił do biurka Franceski i ponownie przestudiował notatki. Wszystkie napisano w żargonie medycznym i dotyczyły pacjentów.

Zauważył leżącą w dalszym rogu biurka otwartą księgę. Sądząc po tekście na jej kartach, był to dziennik kliniczny. Nachylił się nad nim. Dzięki skupieniu użył magnusowych zdań w palcach do wyciągnięcia z dziennika arkusza papieru. Odsłonił tym samym otwarty zwój. Na odkrytym papierze rozjarzył się złożony złoty akapit. Runy na jego początku tłumaczyły się na: Do: Kl. mgr Francesca DeVega.

Duch rozpoznał akapit lokalizacyjny. Magowie pracujący w stacjach kolaboris używali takich akapitów do wysyłania informacji na duże odległości. Każdy manuskrypt dostarczony do stacji kolaboris z tą instrukcją zostałby przesłany do magistry DeVegi.

Może sam też mógł wysłać jej wiadomość? Umówić się gdzieś na spotkanie? Ale jak dostarczyć ją do stacji kolaboris? I jak dostać się do niej, zanim się rozłoży?

Znowu popatrzył na biurko. Może gdyby znalazł...

Wyprostował się i odwrócił w stronę zamkniętych drzwi. TUŻ za nimi było słychać głosy. Wniknął w pobliską ścianę na tyle głęboko, by w pokoju pozostała tylko jego głowa. Utrzymał magnusową prozę w twarzy, żeby nie została wciągnięta w piaskowiec i zniszczona.

Chwilę później drzwi się otworzyły i do pokoju weszło dwóch mężczyzn ubranych w proste spiryjskie kamizele. Jeden miał przewieszoną przez ramię torbę. Szybko przeszukali pomieszczenie, porozumiewając się pojedynczymi mruknięciami. Duch usłyszał wprawdzie tylko kilka słów, ale było oczywiste, że oni także szukają magistry DeVegi.

Ich stroje nie sugerowały, że są czarodziejami, ale jeden z nich wyciągnął z torby poskładany materiał. Rozłożył go na łóżku i zaczął przesuwając dłonie po tkaninie i pościeli w charakterystycznych gestach czarodzieja edytującego tekst. Drugi mężczyzna przykucnął przy miednicy i wykonywał podobne ruchy na ręczniku zawieszonym tuż obok.

Duch nie widział hierofanckich zdań, ale mógłby się założyć o wszystko, że mężczyźni byli przebranymi hierofantami. Sądząc po precyzji ich gestów oraz ilości poświęconego czasu, tworzyli potężne i złożone teksty - najprawdopodobniej mające powiadomić ich, gdy kleryczka dotknie ręcznika lub położy się na łóżku.

Wychodząc, zatrzymali się w drzwiach i do ich rozmowy włączył się ktoś jeszcze. Duch ostrożnie wyłonił się ze ściany i zauważył, że trzecią osobą jest dziewczyna. Mężczyźni pytali ją o magistrę DeVegę, jednak dziewczyna nic nie wiedziała.

Podkradł się bliżej, ale po chwili gwałtownie odskoczył z powrotem w głąb ściany. Dziewczyna miała na sobie czarne szaty. Gdy, skryty bezpiecznie, przyjrzał się jej uważniej, zrozumiał, że była zbyt młoda, by być kimś więcej niż nowicjuską, więc nie musiał czuć się zagrożony.

Ponownie wysunął głowę. Nowicjuską weszła do pokoju, zjrzała na biurko DeVegi i wyszła.

Czas płynął powoli. Z zewnątrz dobiegały odgłosy padającego deszczu. Duch podszedł do biurka. Czemu właściwie w Avel znajdowała się nowicjuską? Nie było tu przecież akademii literackiej.

I nagle zrozumiał. Stacja kolaboris. Czasami akademie magów wysyłały najmłodszych uczniów do pomocy w pobliskich stacjach kolaboris. Dziewczyna musiała przyjść do pokoju Franceski, by sprawdzić, czy ma jakieś teksty, które należy dostarczyć do stacji. To wyjaśniałoby również, czemu przebrani hierofanci rzucili swoje czary na łóżko DeVegi, zamiast przygotować pułapkę w drzwiach: nie chcieli złapać każdego, kto przekracza! próg pokoju, a już na pewno nie zamierzali złapać nowicjuszki. Chcieli dostać tylko lokatorkę, a jedynie ona spała w tym łóżku.

Duch po raz kolejny spojrział na biurko, a w jego głowie pojawił się pewien pomysł. Poczucie pustki w piersiach osłabło. Realizacja jego planu wiązała się z ryzykiem, ale przynajmniej była jakaś nadzieja. Zresztą nie miał zbyt wiele innych możliwości.

Z uwagą skupił magnusową prozę w prawej dłoni i sięgnął do akapitu lokacyjnego.

Francesca śniła, że rozpoznała zapalenie wyrostka robaczkowego u młodej kobiety i postanowiła go usunąć. Jednak gdy wykonała nacięcia z prawej strony brzucha, nie odnalazła wyrostka, ale zstępujący fragment jelita grubego. Gdy poleciała asystentowi, by posłuchał bicia serca chorej, ten oznajmił, że uderzenia brzmią najgłośniejsze po prawej stronie klatki piersiowej. Dopiero wtedy Francesca z przerażeniem zrozumiała, że narządy wewnętrzne pacjentki są odwrócone stronami. Nigdy jeszcze nie widziała tego zjawiska, ale czytała o nim w tekstach medycznych. Niepewna, co ma zrobić, zaczęła niezdarnie szukać tnących zdań. Asystent, wysoki mężczyzna w czarnym turbanie i chuście, zasugerował, że pacjentka cierpi na kakografię, stąd odwrotne ułożenie jej narządów. „Kakografia to robienie wszystkiego na odwrot”, powiedział, widząc dezorientację Franceski. „Pacjentka ma wszystko odwrotnie. Zabijasz ją”. Zszokowana, zapytała go o nazwisko. „Nikodemus Weal”, przedstawił się mężczyzna.

Wyrwana ze snu, usiadła. Znajdowała się w obcym łóżku.

- Fran? - Podskoczyła, słysząc głos Cyrusa. Stał tuż obok jej posłania. Gdzieś z oddali dobiegały odgłosy trzeszczących lin i szum wiatru uderzającego o dach. Była w wieży ogrodu. - Zostały jakieś trzy godziny do zachodu - wyjaśnił Cyrus. - Pułapki wiatrowe wracają. Musimy iść na pokład, żeby wracający hierofanci nie odlecieli bez nas.

Potarła twarz i wstała. Po chwili szli ciemnym korytarzem do obstawionego rusztowaniami wnętrza wieży. Wzdłuż jej zachodniego krańca belki pełne były krzyczących i gestykujących hierofantów. Olbrzymie płachty białego płótna rozwijały się i składały w zgrabne stopy. Francesca poczuła, jak jej splecione w warkocz włosy porywają uderzające z różnych stron podmuchy wiatru.

- Co oni robią? - krzyknęła, gdy szli pomostem w stronę wschodniej ściany wieży.

- Dokują pułapki wiatrowe - wyjaśnił Cyrus. - Nie mogą latać po ciemku, mogłyby zostać ściągnięte przez likantropy.

- Naprawdę?

Roześmiał się.

- Gdybyśmy nie spędzili nocy zamknięci w tej potężnej wieży, likantropy rozerwałyby nas na strzępy.

- Czy to dlatego Avel wzniesiono tak daleko od przesmyku, choć jego zadaniem jest wspieranie tego wiatrowego ogrodu?

- Nie. - Cyrus przeszedł pod nisko umieszczoną belką. - Cała przeważnie potrafi powstrzymać likantropy. Problemem jest woda. Avel musiano zbudować przy tamie, żeby ją chronić. Pierwsze osiedle wzniesiono tutaj, w przesmyku. Ale likantropy ciągle niszczyły tamę i wypuszczały z niej wodę, a w porze suchej na sawannie nie ma żadnego innego źródła wody.

- O nie - westchnęła Francesca, gdy dotarli do schodów tak stromych, że równie dobrze mogłyby być drabiną. Cyrus natychmiast wskoczył do góry. Idąc niezgrabnie za nim, Francesca ponownie poczuła dyskomfort związany ze swoim wzrostem. W końcu jednak wyłoniła się na głównym pokładzie, który zdawał się zwisać tuż poniżej pokładu startowego. Zebrała się tam grupa hierofantów. Wszyscy byli młodzi, jeszcze przed czterdziestką. Trzymali w rękach złożone płótno i rozmawiali z podnieceniem.

- Normalnie pracują do zachodu słońca - wyjaśnił Cyrus, stając u jej boku. - Ale pilotowali lub pisali przez okrągłe pięćdziesiąt dni. To ciężka praca. Teraz dostaną wypłatę i zostaną wysłani z powrotem do Avel. - Jego chusta naciągnęła się na twarzy, jakby się uśmiechał. - Wiesz, to właśnie podstawa khluty Avel. Wszystkie te pieniądze wydawane są na dobre wino, miękkie łóżka, pracujące dziewczyny i bardów w tawernach.

- Więc na to za młodu wydawałeś swój żołd? Na pracujące dziewczyny? - Francesca spojrzała bacznie na swojego byłego kochanka, ale on tylko wzruszył ramionami.

Na pokładzie pojawiali się kolejni hierofanci, dołączając do towarzyszy. Cyrus odchylił się, jakby chciał zapytać ich o coś, ale nagle na pokładzie zapadła cisza. Francesca

odwróciła się i zobaczyła Lotannu wyprowadzającego z klatki schodowej Vivian. Była zaskoczona tym, że niewidoma staruszka zdołała pokonać tak strome schody. Gdy oboje wyszli na pokład i Lotannu przyprowadzi! Vivian do Franceski i Cyrusa, piloci podjęli przerwana rozmowę.

- Cyrus, czy wiesz, gdzie w Avel znajduje się stacja kolaboris? - zapytała Vivian, kłaniając się.

- W dzielnicy Kupieckiej, blisko Południowej Bramy.

- Musimy skontaktować się z magami w stacji i wyposażyć naszą małą ekspedycję. Czy możesz dopilnować, żebyśmy wylądowali w pobliżu?

- Oczywiście.

- Magistra, to może zaszkodzić twojemu przebraniu

- zasugerowała Francesca.

- Jak to?

- Ściany oddzielające poszczególne dzielnice Avel nasycone są bożym czarem kanonistki Cali - wyjaśniła. - Przez ich bramy nie przejdzie żywy żaden czarodziej.

- Czemu kanonistka miałaby ograniczyć przemieszczanie się jej czarodziejów? - Vivian zmrużyła niewidzące oczy.

- Jej czarodzieje mogą latać nad murami - odpowiedział Cyrus. Boży czar zatrzymuje czarodziejów likantropów, którzy zmodyfikowali się tekstowo, by wyglądać jak ludzie. A w przypadku przebicia zewnętrznych murów ogranicza wtargnięcie likantropów do jednej dzielnicy.

- Jak często likantropom y daje się pokonać mury?

- zapytał Lotannu, marszcząc brwi.

- Zdecydowanie zbyt często - westchnął Cyrus.

- Około dwudziestu bestii wdarło się do dzielnicy Północnej Bramy pod koniec zeszłorocznej pory suchej. Tylko niebiosy wiedzą, ilu mieszkańców zabili. Wznieśli pożar, zanim zostali uśmierceni przez hierofantów i straż miejską.

- W jaki sposób forsują mury? - zapytała Vivian.

- Myślałam, że nie dysponują machinami obłędnymi.

- Owszem - potwierdził Cyrus. - O ile wiemy, nie używają żadnych narzędzi. Za to mają wybuchowe teksty. Niektórzy uważają, że likantropy nie tylko potrafią wyglądać jak ludzie, ale naprawdę przekształcają swoje ciała w ludzkie, zwłaszcza w nocy. Miasto aż grzmi od przesądów dotyczących tego, kogo nie należy wpuszczać do domu po zmierzchu.

- W zeszłym roku sytuacja się pogorszyła - dodała Francesca. - Likantropy atakowały nawet za dnia, częściowo detonując teksty w cieniu. Tego ranka urządziły zasadzkę na karawanę przy Północnej Bramie.

- Jak więc możemy przemieszczać się po mieście, nie ujawniając naszych przebrań? - Bruzdy na czole Lotannu się pogłębiły.

- Na każdym wewnętrznym murze są miejsca z drabinami, które pozwalają obywatelom przechodzić nad murami z dzielnicy do dzielnicy, żeby nie musieli wędrować aż do bram - odpowiedziała Francesca.

- Strażnicy wciągają te drabiny po zachodzie słońca. Pokażę wam na mapie, gdzie ustawiane są drabiny, jeśli zdarzyłoby się, że utkniecie na noc w jakiejś dzielnicy.

- No cóż - westchnęła Vivian. - Dziękuję, magistra.

Francesca w odpowiedzi tylko skinęła głową. Zapadła cisza. Cyrus najwyraźniej nie czuł się dobrze w tym towarzystwie. Zaczął poprawiać swój turban i chustę. Vivian wydawała się nieporuszona tym niezręcznym milczeniem, a Lotannu od czasu do czasu nachylała się, by coś do niej wyszeptać, ale głównie w ciszy oglądała okolicę.

W końcu na pokład wyszła marszałek wiatru w towarzystwie dwóch hierofantów niosących dużą drewnianą skrzynię. Młodzi piloci ucichli i ustawili się w szeregu. Marszałek wygłosiła krótką mowę, chwalać ich ciężką pracę i przypominając, że nawet na przepustce reprezentują Niebiański Zakon Hierofantów. Następnie rozkazała przeprowadzić dystrybucję małych sakiewek pełnych brzęczących monet.

Bębnienie deszczu o pokład startowy zagłuszył grzmot. Cyrus zmarszczył brwi, przeprosił i pośpiesznie zszedł niżej. Wkrótce powrócił z przewieszonymi przez ramię kilkoma zwojami czarnej tkaniny. Wyciągnął z nich pasek materiału, który następnie przyciął się i splótł w skomplikowany kształt. Powtórzył tę operację kilkakrotnie, po czym wręczył magom uzyskaną w ten sposób odzież.

- Załóżcie to na głowy - polecił i pokazał Vivian, jak to zrobić. Okazało się, że tkanina splotła się w coś w rodzaju kapturów. - W każdym z nich są hierofantyczne teksty, które zamykają przestrzenie między nimi. Dzięki temu materiał jest wodoszczelny. Czary rozejdą się na wasze szaty i lot w tej ulewie stanie się w miarę znośny.

- Dziękuję - powiedziała Vivian i osłoniła się zgodnie z instrukcją.

Francesca poszła w jej ślady. Nagle hierofanci krzyknęli chórem. Wyglądało na to, że zakończono rozdzielanie wyplat i właśnie zaczęła isię ich przepustka.

- Przygotujcie się - rzucił Cyrus. - Podczas lotu powrotnego głodzi piloci mogą być dość... żywiołowi. - Trzech hierofantów podbiegło do brzegu pokładu i wspięło się w górę po

krótkich sznurowych drabinkach. Cyrus skierował czarne szaty w stronę jednego z nich. - Nie patrz w dół - krzyknął do ucha Franceski, chwytając za szczeble i podciągając się. Na otwartym pokładzie kleryczka poczuła uderzenie wiatru. Deszcz spływał po jej stroju, ale nie wsiąkał w materiał.

W pewnym momencie podszedł do niej niski mag wiatru i wcisnął jej w dłonie kawał jaskrawoczerwonego płótna.

- Nie jestem hierofantką... - próbowała protestować, ale tłum magów przepchnął ją dalej po mokrym pokładzie.

Gdzieś za jej plecami Cyrus wyklócał się z dwoma pilotami. Wyglądało na to, że rozkazuje im przewiezienie Vivian i Lotannu. Nie byli zadowoleni z konieczności wylądowania w dzielnicy Kupieckiej, ponieważ ich koledzy umawiali się na spotkania w tawernach w innej części miasta. Jednak jako strażnik powietrza Avel Cyrus mógł rozkazywać wszystkim hierofantom w mieście. W kilku surowych słowach przypomniał im, że mógł wyznaczyć ich do lotów patrolowych na cały czas trwania przepustki, ucinając tym samym protesty.

Francesca obejrzała się na Vivian i Lotanni. Stali obok przydzielonych im pilotów, trzymając grube kwadraty złożonej tkaniny. Nie dziwiła już jej swoboda, z jaką poruszała się staruszka. Kobieta musiała być niezwykle potężną czarodziejką, by w tak zaawansowanym wieku dysponować taką energią. Francesca poczuła ukłucie zazdrości - nigdy nie będzie tak potężna, jak Vivian, nigdy nie będzie wzbudzała takiego szacunku wśród magów.

Zazdrość, która wbijała szpilę w jej serce, była jednak dziwna, tak jakby w rzeczywistości została w niej odcisnięta przez kogoś innego. Francesca zauważyła, że od kiedy przybyła do Avel i nie udało jej się zdobyć przydziału do szpitala o wyższym prestiżu, czuła coś podobnego, gdy znajdowała się w towarzystwie bardziej uznanych czarodziejek.

W myślach zganiała się za małostkowość. Ze swoimi osiągnięciami powinna mieć większe poczucie własnej wartości. W końcu była lekarką.

- Czarne szaty! - zagrzemiał Cyrus. - Pobiegnijcie z pilotami i skacząc, rzućcie swoje tkaniny. Stań tuż za Francescą. - Piloci, przeredagujcie dwuosobową konfigurację do lotu z wiatrem. Trzymajcie się w ciasnej formacji. Żadnych popisów.

Młodszy piloci pobiegli sprintem do brzegu pokładu startowego i rzucili swoje lotnie wysoko w powietrze. Z okrzykiem radości chwyтали wiatr i żeglowali wysoko w górę, oddalając się od wieży.

Na myśl o skakaniu z drewnianego pokładu Francesca poczuła, jak ściska jej się żołądek.

- A co będzie, jeśli się poślizgniemy albo... - Zanim zdążyła skończyć, przed nią nie było już nikogo.

- Biegnij! - Cyrus chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Ale... - Na chwilę, gdy kilka kroków przed nią pojawił się skraj pokładu, ogarnęła ją panika. A potem skoczyła, wyrzucając ręce w górę, by puścić na wiatr płótno żaglowe. Otworzyła usta do krzyku, pewna, że za chwilę spadnie i roztrzaska się o ziemię, jednak zanim zdążyła wydobyć jakikolwiek dźwięk, świat zniknął w burzy tkaniny i powietrza. Jej szaty zeszywniały, a wokół piersi i nóg pojawiły się taśmy, unosząc ją w górę. Głęboko wciągnęła powietrze. Nad nimi rozciągał się szeroki baldachim z niebieskiego i czerwonego płótna. Wznosili się, odlatując od wieży ogrodu. Pojedyncze krople deszczu, które uderzały w jej oczy i nos, przyspieszone pędem powietrza kłuły jak drobne igły. Poczula jeszcze większą wdzięczność za wodoszczelne nakrycie głowy.

Nagle podmuch wiatru szarpnął nimi z taką siłą, że miała wrażenie, jakby żołądek osunął jej się do stóp.

- Trzymaj się! - krzyknął Cyrus. - Będzie rzucało!

Wszędzie wokół nich unosiły się inne lotnie z półksiężycowymi baldachimami w jaskrawych kolorach. Kilku pilotów lecących samodzielnie popisywało się podniebnymi ewolucjami albo podlatywało niebezpiecznie blisko do innych lotni, cały czas wykrzykując przy tym jak wrzaskliwe ptaki.

Gdy Francesca starała się uspokoić swój oddech, z tyłu dobiegi ją pełen zachwytu krzyk Vivian. Obejrzała się i zobaczyła kobietę i jej towarzysza lecących za nimi na dwóch dwuosobowych lotniach.

W dole rozciągał się górski przesmyk porośnięty trawą, której zieleń zaburzały gdzieś tam szare głązy. Bez unoszących się pułapek wiatrowych miejsce wydawało się całkiem zwyczajne. Wkrótce znalazli się nad ciemnymi lasami sekwojowymi. Francesca w końcu przestała się bać i zaczęła zachwycać się lotem. Unosili się z niewiarygodną prędkością, a jednocześnie wszystko działo się tak powoli - zupełnie jak we śnie.

Nagle krople deszczu stały się białe. W pierwszej chwili Francesca pomyślała, że to efekt jakiegoś hierofanckiego czaru, ale gdy się obejrzała, daleko na zachodzie dostrzegła w burzowych chmurach wielką dziurę, przez którą sączyły się promienie słońca.

- Och - szepnęła sama do siebie. - Jakie to piękne...

Wiedziała, że w porze deszczowej w zachodniej

Spirii powstają zapierające dech w piersiach układy chmur. Zdarzyło jej się zobaczyć kilka z okna szpitala, ale zawsze była zbyt zajęta pracą i przemykaniem między pacjentami, by się im uważniej przyglądać. Nigdy nie widziała nieba tak dokładnie, jak teraz.

W pewnej chwili podmuch wiatru rzucił ich lotnią o parę metrów. Francesca z trudem powstrzymała krzyk, w panice spojrzała na Cyrusa, ale on tylko patrzył w dół.

- Spójrz - powiedział, wskazując miejsce, gdzie drzewo przewróciło kilka osób.

W pierwszej chwili Francesca nie wiedziała, o czym mówi Cyrus, jednak potem...

- Święte przekłete płonące niebios! - zaklęła siarczyście.

Było ich dwóch - ich potężne cienie przemykały wzdłuż przewróconej sekwoi. Jakiś metr osiemdziesiąt długości, muskularne, porośnięte czarnym futrem. Po chwili zniknęli w głębi lasu.

- Podążają za nami - wyjaśnił Cyrus. - Czekają z nadzieją, że przy tej pogodzie któryś z pilotów straci zbyt dużo wiatru.

- Co to takiego? - zapytała Francesca.

- Nie wiesz? - Ttirban i chusta Cyrusa ukrywały wszystko oprócz oczu, zmrużonych, jakby w ironicznym rozbawieniu.

Ponownie spojrzała na sekwojowy las, ale nie dostrzegła już nic podejrzanego.

- Tak - odpowiedziała powoli przez wiatr. - Chyba wiem.

Cyrus posadził swój latawiec na Południowym Rynku. Przez większość dnia rynek pełen był targujących się sprzedawców i mieszkańców miasta. Teraz, dwie godziny przed zachodem słońca, były tu tylko puste stragany i rozrastające się kałuże.

Tuż przed tym, jak jego buty dotknęły kamieni, Cyrus przesłał czar rozkładający ze swoich szat do linek uprząży i czaszy. Tekst natychmiast zmodyfikował język w lotni, wymuszając przerwanie jednych szwów i utworzenie się innych. Tkanina złożyła się za nimi w zgrabny stosik.

Cyrus posadził ich łagodnie i z dużą wprawą. Większość hierofantów miała skłonność do zbyt szybkiego składania lotni. Jak choćby pilot lecący z Vivian, którego lotnia opadła na ziemię tak szybko, że i on, i staruszka wpadli do kałuży.

- Niech to diabli! - zaklęła Francesca i pobiegła w stronę Vivian. Cyrus ruszył za nią, ale nie spuszczał z oczu drugiego pilota, lecącego z Lotannu. Być może ucząc się na błędach kolegi, opóźnił czar rozkładający i wylądował delikatniej.

Francesca dobiegła do Vivian i już chciała zdiagnozować jej stan po upadku, ale staruszka tylko śmiała się w głos.

- Nic sobie nie złamałam - powiedziała radośnie. - Ucierpiała tylko moja duma.

Cyrus, nieco odprężony, podniósł swoją lotnię i przeniósł jej tekst do swoich szat, aż rozjarzyły się słabym błękitem. Potem rozkazał dwóm młodym pilotom, by polecili do sanktuarium i poinformowali dyżurującego dowódcę skrzydła, że powrócił do miasta z pilnymi rozkazami od marszałek wiatru. Do sanktuarium wróci następnego dnia. Po przekazaniu wiadomości piloci mogli rozpocząć swoją przepustkę.

Dzielnica Kupiecka była najbardziej wpływową z zewnętrznych dzielnic Avel. Jak w pozostałych rejonach, tak i tu głównym budulcem były piaskowiec i drewno sekwoi. Jednak w dzielnicy Kupieckiej każdy budynek miał przynajmniej trzy piętra i bogate arkady. Okna osłonięte były kamiennymi ekranami, a elewacje budynków zdobiły geometryczne mozaiki w zieleni i bieli.

Francesca, stojąc w towarzystwie magów, wskazywała właśnie najwyższy budynek - stację kolaboris. Akademia magów była jedynym towarzystwem magicznym na tyle potężnym, by zachować niezależność od wszystkich królestw. Było to możliwe dzięki bogactwu i wpływom politycznym gwarantowanym przez czary kolaboris, które niemal natychmiastowo przenosiły informacje z jednej magicznej stacji do drugiej.

Akademia w Starhaven, położona wysoko w górach Szczytach i dysponująca imponującą Iglicą Erazmową - pełniła funkcję zachodniej stacji przekaźnikowej dla transmisji kolaboris. Dużo niższe wieże odbierały czary przeznaczone dla Avel lub przekazywały je do Starhaven, skąd mogły być przesłane dalej - do dowolnego miejsca kontynentu.

Cyrus podszedł bliżej, by wyłowić jakieś słowa z rozmowy magów, którą zagłuszał deszcz, ale ci ruszyli właśnie w stronę stacji. Nieszczerólnie zadowolony, zmarszczył brwi i poszedł za nimi.

Gdy weszli pod arkady, magowie otrzepali szaty z deszczu i ściągnęli kaptury. Stało tam kilku mieszkańców miasta, którzy z wyraźnym przejęciem gapili się na czarodziejów. Cyrusowi nie podobało się, że jego towarzysze ściągają na siebie uwagę. W końcu dotarli do potężnych, wykonanych z sekwojowego drewna drzwi stacji. Lotannu użył masywnej, mosiężnej kołatki i chwilę później małe drzwi wbudowane w większe otworzyły się i stanął w nich chłopiec w czarnych szatach. Przywitał Vivian i Lotannu, wymawiając ich imiona.

Cała grupa weszła na dziedziniec ozdobiony jaskrawymi mozaikami. Była tu kwadratowa sadzawka i mnóstwo wiszących roślin. Cyrus zauważył trzy kruki ukryte pod kamiennym maswerkiem. Zdawało mu się, że ptaki im się przyglądają.

Przeszli przez dziedziniec i dotarli do kolejnych drzwi. Po obu ich stronach siedziały potężne gargulce. Miały muskularne człekokształtne ciała zwieńczone głowami lwów. Na ramionach każdego siedział stalowy kot z oczami z brązu. Jednemu brakowało lewego oka.

- Kto ozdabia gargulce bojowe? - zapytała Francesca, marszcząc brwi na widok kotów.

- Nie wiem. - Cyrus przyjrzał się potężnym figurom. Słyszał o kamiennych konstrukcjach wspinających się po całym Starhaven, Astrophell i Starfall. Jednak te dwa wydawały się zupełnie nieruchome.

Już chciał o nie zapytać, ale drzwi się otworzyły i weszli do sali oświetlonej jarzącą się prozą. Na ścianach zawieszono gobeliny, a marmurowa podłoga lśniła, jakby przed chwilą ją wypolerowano. Ciepłe powietrze pachniało aromatycznym dymem, najprawdopodobniej dzięki stojącemu na środku sali metalowemu piecykowi wypełnionemu trzaskającym węglem. Wokół piecyka stało trzech magów. Skłonili się przybyłym. Grupa Cyrusa odpowiedziała ukłonem.

Hierofanta domyślił się, że czarne szaty nosi personel stacji Avel. Pośrodku grupy stał niski, starszy mag z jasną cerą, gęstą białą brodą i siwym wieńcem włosów oplatającym lśniącą łysinę. Sądząc po plakietkach na jego rękawie, był kierownikiem stacji. Mężczyzna przedstawił się jako magister Robert DeGarn i z typowym akademickim ceremoniałem wygłosił kwieciste powitanie, po czym zaprosił Vivian i Lotannu do innego pomieszczenia.

Niedługo potem służący w czerwonej spiryjskiej kamizeli przyniósł na srebrnej tacy dzbanek miętowej herbaty. Z tego, jak przyglądał się nowo przybyłym, w szczególności Francesce, Cyrus wywnioskował, że rzadko miewają tu gości.

DeGarn napełnił herbatą dwie metalowe filiżanki i podał je Francesce i Cyrusowi, po czym wyszedł z sali.

- To dziwne - wyszeptała Francesca, trzymając filiżankę z parującym jeszcze naparem.

- Co? - spyta! stojący obok Cyrus.

- Ta taca, którą nios! służący. W miejscu, gdzie dotykał jej palcami, metal był wyszczerbiony.

- Może to bardzo stara taca? - zasugerował Cyrus, który tego nie zauważył. - A może cienka cyna?

- Zastanowił się chwilę. - Myślisz, że stacji brakuje pieniędzy?

- Możliwe, choć trudno mi to sobie wyobrazić - odparła w momencie, gdy »magister DeGarn wrócił.

- Miło mi gościć cię w naszej stacji, magistra

- zwrócił się do niej. - Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę z obecności magakelryka w szpitalu, ale biorąc pod uwagę, że jesteś kleryczką, nie wiedzieliśmy, czy powinniśmy wychodzić z propozycją nawiązania kontaktów.

Cyrus zmarszczył brwi, widząc, jak DeGarn uważnie studiuje twarz Franceski. Nazwisko i dworne maniery mężczyzny sugerowały, że pochodzi z zachodniego Lor nu.

- Jesteś bardzo uprzejmy, magistrze. - Francesca się uśmiechnęła. - Zawsze będziesz mile widziany w szpitalu. Niestety obowiązki kleryka nie zostawiają mi wiele czasu na życie towarzyskie.

Cyrus zerknął na Francescę. Jeszcze nigdy nie widział, by zachowywała się tak... taktownie. DeGarn kiwnął głową.

- Jeśli mogę spytać, magistra, gdzie zdobyłaś swój kaptur i laskę?

- W Astrophell - odparła. - Ale jeśli zastanawiasz się nad moim wiekowym akcentem, jest to pamiątka po dzieciństwie spędzonym na Spalonych Wzgórzach.

- Ach tak. - Mężczyzna się uśmiechnął. - Jak wspaniale, że szkoliłaś się w Astrophell. Sam studiowałem w Starfall, ale to nudny zaścianek w porównaniu z akademickim splendorem Astrophell, prawda?

- Ależ skąd, magistrze - odpowiedziała pospiesznie Francesca. - Znam najlepszych czarodziejów, którzy szkolili się w Starfall, nie wspominając o doskonałym poziomie prowadzonych tam badań.

- Jednak z pewnością nie może równać się z Astrophell, klejnotem, z którego kiedyś sprawowano rządy nad całym Imperium Neosolarnym.

- Ależ nie, absolutnie - zapewniła pospiesznie, po czym spojrzała na swoją filiżankę. - Bardzo dobra herbata, magistrze. To miło z twojej strony, że pomyślałaś o poczęstowaniu nas ciepłym napojem w tak zimny mokry wieczór.

- Miętowa herbata to jedna z wielu rzeczy, które pokochałem w Spirii - odpowiedział DeGarn, ponownie się kłaniając. - Zaparzyłem ją osobiście. Mam niewiele okazji, by oderwać się od obowiązków w stacji, ale herbatę zawsze staram się parzyć sam. Każdego ranka wschodzie słońca kupuję na naszym targu świeżą miętę i inne drobiazgi. - Kiwnął głową w stronę drzwi rynku za nimi. - To miły sposób, by utrzymywać kontakty z analfabetami.

Rozmowa toczyła się jeszcze chwilę, aż w końcu DeGarn uklonił się i odszedł.

- O co chodziło z tym Starfall i Astrophell? - zapytał Cyrus.

- Między tymi ośrodkami zawsze dochodziło do napięć - wyjaśniła Francesca, krzywiąc się. - Gdy kilka lat temu wzrosły wpływy frakcji kbntprzepowiedni, Starfall stało się punktem zbornym opozycji. Teraz animozje między nimi są silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

- Cieszę się, że sobie poszedł.

- Vivian i Lotannu przebierają się w stroje kupców z Verdant - powiedziała Francesca, sącząc herbatę.

- Mają zamieszkać w dzielnicy Świętej. Powiedziałam Vivian, że muszę odwiedzić pacjentów, a ty musisz się zająć swoimi obowiązkami. Poprosiła, żebyśmy odwiedzili ich wieczorem w gospodzie, by omówić plan śledztwa w sprawie klątwy afazji.

- Postanowiłaś sprzymierzyć się z magami? - Cyrus spojrział na Francescę, unosząc brwi.

- Nie bądź tępy - zachnęła się. - Powiemy im to, co chcemy, żeby wiedzieli. Mam pewien plan.

- Nie jestem tępy - prawie warknął. - Zaczynasz być tajemnicza. Myślałem, że współpracujemy ze sobą. Zamierzasz powiedzieć mi o tym planie, czy będziesz tylko raz po raz ścisnąć mnie za serce? - Postukał się w pierś.

- Myślałem, że nie lubisz kalamburów - rzuciła z uśmiechem.

Cyrus mimowolnie przypomniał sobie, jaką radość sprawiały mu kiedyś dołeczki w jej policzkach.

Po chwili wrócili Vivian i Lotannu - oboje ubrani w eleganckie szaty verdantyńskie. Kobieta miała na sobie długą szkarłatną spódnicę, luźną bluzkę z białej bawełny i gruby czarny szal. Na jej szyi i nadgarstkach srebrna biżuteria z turkusami. Lotannu był ubrany skromniej - w czarne wełniane spodnie, białą bawełnianą koszulę bez kołnierza i gruby czerwony płaszcz. Na głowie miał czarny kapelusz z szerokim rondem.

- Wyruszamy do kanonistki - oświadczyła Vivian, kładąc dłoń na ramieniu Lotannu. - Jestem wam wdzięczna za pomoc w zdobyciu informacji o klątwie afazji. Francesca zna lokalizację naszej gospody. Zobaczymy się wieczorem.

Praktykant wyprowadził grupę ze stacji. Przeszli przez dziedziniec, mijając gargulce, i wyszli z powrotem pod arkady. Wciąż padał ulewny deszcz, a niebo zasnuwane było ciemnymi burzowymi chmurami.

Cyrus ruszył za Francescę na północ. Kątem oka dostrzegł jeszcze, jak praktykant magów ogląda się na dwóch mężczyzn stojących pod osłoną arkad. Ubrani byli w niewyróżniające się spiryjskie stroje: luźne jasnobrązowe spodnie i koszule oraz ciemnobrązowe długie kamizele. Jeden patrzył na praktykanta, drugi obserwował odchodzącą Francescę. Odwrócił głowę, gdy poczuł na sobie wzrok Cyrusa.

Francesca zarzuciła kaptur i skierowała się w stronę ulicy prowadzącej na zachód przez dzielnicę Kupiecką. Nad ich głowami leciały trzy kruki, kracząc między sobą kłótnie.

Cyrus ponownie zerknął do tyłu. Drugą stroną ulicy, w pewnej odległości od nich szedł drugi z mężczyzn.

- Fran - szepnął - chyba jesteśmy...

- Śledzeni - przerwała mu. - Naprawdę myślałeś, że Vivian pozwoli nam swobodnie poruszać się po mieście?

- Pewnie uznali, że musimy mieć przyzwoitkę.

- Przyzwoitkę?

- No wiesz, kogoś, kto powstrzyma cię przed uwodzeniem mnie - wyjaśnił cierpko.

- Ech, naiwny biedaku - westchnęła pobłaźliwie. - Więc co robimy z tym ogonem?

- Rzucenie mu w twarz czaru ogłuszającego byłoby chyba odrobinę zbyt pretensjonalne - odpowiedział po chwili namysłu.

- Odrobinę - zgodziła się Francesca.

- Moglibyśmy spróbować przynęty. Zapłacić komuś, by na jakiś czas ubrał twoją stulę. Tylko skąd weźmiemy jeszcze jedną olbrzymkę.

- Daruj sobie przytyki do mojego wzrostu - westchnęła. - To nie było miłe, nawet gdy dzieliliśmy łóżko.

- Przepraszam - odparł Cyrus. - Zapomniałem.

- Przystaniesz?

- Przystanę.

- Dziękuję, Cyrusie, to naprawdę wielkoduszne z twojej strony.

- Proszę bardzo, wasza wysokość.

- Och, jest tak jak za starych dobrych czasów - rzuciła z ironią, ale Cyrus widział, że uśmiecha się pod kapturem. - Może zechcesz towarzyszyć mi podczas odwiedzin u pacjenta? Potem będziesz mógł unieść nas w powietrze czy coś w tym stylu.

- Tak - Cyrus się zamyślił. - Gdybym miał w tych szatach dość tekstu, by napisać czar uniesienia w powietrze najwyższej kobiety świata...

- Wystarczy nam lot na małej wysokości. - Pociągnęła nosem. - Biorąc pod uwagę, jak blisko z kami się trzymasz, nie powinieneś mieć z tym problemów.

Minął ich strażnik miejski w zielonobiałej pelerynie. Cyrus skłonił mu się, po czym podjął dyskusję:

- Czy podczas swoich medycznych szkoleń dowiedziałaś się o jakiejś chorobie, która czyniłaby kobietę tak niedorzecznie wysoką...

- Cyrusie - ponagliła go Francesca, gdy mijali dwóch mężczyzn zmagających się z wózkiem, który utknął w błocie - jeśli nie dokończysz swojego żalostnego dowcipu, nie będę się mogła uśmieć z jego nieporadności.

Deszcz nieco zelżał. Przechodzili obok eleganckiego budynku. Po suchym skrawku ziemi, osłoniętym przez wystającą krawędź dachu, skradał się szary kot.

- Może nie musimy robić nic wyszukanego, by pozbyć się ogona - powiedział Cyrus w zamyśleniu.- Kiedy w Avel odnotowano ostatni przypadek zarazy?

- Jakież dwa lata temu - odparła Francesca. - Ach! - krzyknęła, wpadając po kostki w błotnistą kałużę. Klnąc pod nosem, ściągnęła but i mówiła dalej: - Ludzie zapadają na zarazę zwykle wtedy, gdy w magazynach pojawiają się szczury. Już od dłuższego czasu mamy spokój z epidemią. Hydromanci potrafią pisać takie drobne teksty przenoszone w wodzie, które leczą...

- czy ten salon tytoniowy w pobliżu wciąż jest popularny? - przerwał jej Cyrus. - Jak się nazywał? Koło Karawany?

- Tak. - Kaptur na głowie Franceski poruszył się, jakby marszczyła czoło. - Jest w tej uliczce. Ale o zachodzie słońca strażnicy ściągną drabiny, a my musimy przejść jeszcze przez dwie dzielnice. Pamiętaj, że ja nie mogę przelatywać nad murami.

- To nie potrwa długo - obiecał. - Zaprowadź mnie do tego salonu i rób to, co ja.

- Jak chcesz - rzuciła sceptycznie, ale przyspieszyła kroku.

Kilka chwil później skręcili w uliczkę i dotarli do dwupiętrowego budynku. Drzwi były otwarte, ale wejście przysłaniała skórzana kurtyna. W oknach jarzyło się złote światło, a z prętk na piętrze zwisało koło z karawanowego wozu.

Cyrus odsunął skórzaną zasłonę i poprowadził Francescę do ciepłej sali pełnej bogatego aromatu fajkowego dymu. W lokalu było mnóstwo mężczyzn i kobiet. Wielu leżało na poduszkach, paląc tytoń w wyszukanych fajkach wodnych i popijając z mosiężnych kubków wino lub herbatę miętową. W rogu pomieszczenia młoda kobieta o oliwkowej skórze i brązowych włosach śpiewała popularną balladę o miłości. Akompaniował jej na gitarze starszy mężczyzna.

Francesca zdjęła kaptur i strząsnęła wodę z ubrania. Cyrus opuścił chustę. Stojący przy drzwiach mężczyzna - łysiejący, ubrany w niebieską kamizelę i z dużym nożem wetkniętym za pas - skinął im głową. Cyrus zauważył wąską bliznę z boku jego szczęki. Najpewniej był wynajętym ochroniarzem.

Po chwili podeszła do nich dostojna kobieta z gładką czarną skórą i poprowadziła ich w stronę wolnych siedzisk. Cyrus wręczył jej dwa srebrne suwereny spiryjskie i zamówił talerz najlepszej jagnięciny. Obiecał zapłacić więcej, jeśli dostaną ją szybko.

Gdy tylko kobieta odeszła, rozsiadł się wygodnie na poduszkach i powiedział cicho:

- Nie zwracaj uwagi na nasz ogon, gdy tu wejdzie.

- Już tu wszedł - odpowiedziała Francesca, dotykając włosów, by upewnić się, że kaptur nie zburzył jej fryzury. - Siedzi samotnie przy drzwiach. Nie zorientował się, że go zauważyłam.

- To dobrze - stwierdził Cyrus. - Głodna?

- Zawsze.

- Tutejsze jedzenie jest doskonałe, a przynajmniej zawsze było.

- Co ty właściwie planujesz? Chyba nie oczekujesz ode mnie, że zacznę krzyczeć: „Zaraza!”. To wywołałoby panikę. Komuś mogłaby stać się krzywda.

- Zawsze tak bardzo przejmujesz się zrobieniem tego, co właściwe. No chyba że ma to związek z moimi narządami, na przykład z sercem - zaakcentował ostatnie słowa.

- Nie jestem zainteresowana twoim sercem. - Francesca starała się brzmieć przekonująco.

- To dobrze - rzucił. - Jeśli nam się uda, zostanę kapitanem i na dobre zostawię cię w spokoju.

Te słowa zaskoczyły Francescę. Właśnie miała coś powiedzieć, gdy gospodyni wróciła, niosąc talerz soczewicy z baraniną. Soczewica była gorąca, a mięso miało posmak miodu, kminku i pieprzu kajeńskiego. Jedli w milczeniu i w kilka chwil opróżnili talerz.

- Wyśmienite - sapnęła kleryczką.

- Przygotuj się - szepnął Cyrus, po czym gestem przywołał gospodynię.

- Magistrze, magistra, czy mogę coś dla was zrobić? - spytała kobieta, podchodząc do nich.

- Wyrazy uznania za jagnięcinę. - Cyrus wręczył jej kolejną srebrną monetę. - Jednak mamy pewien problem. A właściwie niepokoiimy się o twój lokal. - Gospodyni uniosła brwi. - Jak na pewno poznajesz po czerwonej stule, moja towarzyszką jest kleryczką. Gdy weszliśmy, zauważyła, że mężczyzna siedzący przy drzwiach cierpi na zarazę.

- Zarazę? - Gospodyni spojrzała czujnie na Francescę. - Jesteś pewna?

- Tak - potwierdziła Francesca, podchwytyjąc zasady gry. - Ten człowiek ma z boku Śzyi coś, co nazywamy dymienicą. Nabrzmiały węzeł chłonny. Jest rumieniowy i obrzękły. To z całą pewnością zaraza dymienicowa.

Cyrus zmrużył oczy, słysząc fachowe medyczne nazewnictwo, ale uznał, że może ono wywrzeć wrażenie na kobiecie. Czasami najskuteczniejsze słowa wcale nie były magiczne.

- Moja koleżanka podeszła do niego na ulicy, ale ją zignorował - powiedział. - Nie sądzę, że złapał tę chorobę tutaj, ale obawiam się, że jeśli ktoś go tu zobaczy, mógłby...

- Ani słowa więcej. - Gospodyni uniosła rękę. - Zajmę się tym.

Cyrus skłonił się i kobieta odeszła. Francesca zaczęła coś jeszcze mówić, ale przyłożył jej palce do ust i wyszeptał, by wzięła swój kaptur.

Gospodyni podeszła do stojącego przy drzwiach ochroniarza. Przez chwilę rozmawiali, nachylając się do siebie, po czym oboje podeszli do mężczyzny siedzącego przy stoliku. Ten obserwował śpiewaczkę, wyraźnie unikając spoglądania w stronę Cyrusa i Franceski. Teraz podskoczył i szeroko otwartymi oczami patrzył to na gospodynię, to na bramkarza.

Cyrus pociągnął nosem. Magowie najwyraźniej zatrudnili amatora.

- Chodź - powiedział, podnosząc się z poduszek. - W kuchni jest drugie wyjście.

Francesca wstała i nagle rozległ się krzyk. Cyrus odwrócił się i zobaczył, że śledzący ich mężczyzna już nie siedzi. Ochroniarz jedną ręką trzymał go za fraki, a drugą dotykał już rękojeści sztyletu.

Pospiesznie wyszli z sali, przechodząc przez kuchnię. Kilku kucharzy po drodze rzuciło im zdziwione spojrzenia, ale nikt nic nie powiedział.

Gdy znaleźli się na dworze, odkryli, że deszcz praktycznie przestał padać. W okolicy kręciło się kilka kotów, zapewne czekających na resztki z kuchni. Gdzieś w górze odezwał się kruk.

- To było świetne! - roześmiała się podekscytowana Francesca.

- Dziękuję, magistra. - Cyrus się uklonił.

- Żałuję, że nie zaufałam ci w wieży.

- Nie tak bardzo, jak ja - mruknął. - Chodź, zbierajmy się z...

Umilkł, gdy położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nie bądź takim zrzedliwym staruszką - powiedziała. - Teraz ci ufam.

Ton jej głosu wskazywał, że się przekomarza, może próbuje flirtować. Cyrus uznał to za irytującą próbę manipulacji.

- Dobrze - odparł uprzejmie i odwrócił się. - A teraz chodźmy, zanim dogoni nas nasz ogon. - Ruszył przed siebie szybkim krokiem.

- Idziemy do dzielnicy Północnej Bramy - powiedziała Francesca, doganiając go. - Nikodemusa Weala widziano ostatnio wśród Kaników.

Deirdre osłoniła ramiona szalem. Stała pod tylną ścianą Sali Zarządców, obszernego pomieszczenia z niebieskobiałymi mozaikami i rzędami podkowiastych łuków. Brak połączanego sufitu Sali Ambasadorów rekompensował widok na dziedziniec z sadzawką, wokół której rosły mirty. Deszcz uderza! w taflę wody i liście, wzbudzając przyjemny szum.

Na dużym dywanie, wokół sześciokątnych stolików ułożono poduchy. Metalowe piecyki emitowały w zimne powietrze kojące fale ciepła.

Na poduszkach siedzieli urzędnicy i dygnitarze miejscy. Deirdre rozpoznała kapitanów milicji i zarządców zewnętrznych dzielnic. Nieznane jej twarze najprawdopodobniej należały do bogatych mieszkańców dzielnicy Palm i dzielnicy Kupieckiej. Dowódca Straży Miejskiej zdawał właśnie relację z porannego ataku likantropów i argumentował potrzebę wzmocnienia obrony miasta.

Deirdre miała się tu pokazać. Większość widziała w niej rozrzuconą dworkę lornijską, faworyzowaną przez Calę przez ostatnie dziesięć lat. Wielu było wyznawcami demonów i wiedziało o jej znaczeniu. Inni podejrzewali, że jest regentem szpiegów Cali. Tak czy inaczej, dla wszystkich stanowiła dowód na to, że obserwowały ich potężniejsze siły.

Teraz, gdy została zauważona, mogła już tylko stać i zastanawiać się nad tym, co usłyszała od Cali. Cicha Śnieć jest ograniczeniem błędów prąjczyka...

W pierwszej chwili to stwierdzenie nie miało sensu. Jeszcze w Starhaven Nikodemus powiedział jej, że błędy prąjczyka mogą wywoływać choroby, że Fellwroth tak właśnie wzbudził u Shannona klątwę rakową. Ale dlaczego uniemożliwienie powstawania błędów doprowadziło do śmierci drzew na całym kontynencie? Cala twierdziła, że błędy stanowią jeden ze sposobów, w jakie prąjczyk tworzy oryginalny tekst. Bez oryginalnych tekstów rośliny nie mogły dostosowywać się do zmieniających się warunków. Deirdre nie potrafiła tego zrozumieć. Zastanawiała się, czy może w jakiś sposób przekazać tę wiedzę Nikodemusowi. Być może on pojąłby sens jej odkrycia.

Nagle w progu stanął jakiś mężczyzna. Był w średnim wieku, miał krótkie brązowe włosy i gęstą brodę. Deirdre rozpoznała w nim Amalę Jaena, starszego urzędnika sanktuarium przydzielonego do rejestracji korespondencji dyplomatycznej kanonistki. Nerwowo rozglądał się po sali.

Dwóch naczelników dzielnic dyskutowało o tym, jak powinny zostać wydane fundusze miejskie z określonej puli. Deirdre cicho oddaliła się od nich, kierując się w stronę drzwi. Amal zauważył ją i opuścił salę. Podążyła za nim, doganiając go na osłoniętym przejściu. Deszcz padał z taką siłą, że mężczyzna musiał mówić nieco głośniej.

- Twoja lekarka wróciła dzisiaj do miasta, na Południowy Rynek. - Amal jak zwykle się jąkał. - Godzinę temu. Z dwoma czarnymi szatami.

- Magowie? - zapytała.

- Zostali wpuszczeni do stacji magów. Jakiś czas potem lekarka i hierofanta wyszli razem.

- Byli śledzeni?

- Rozkazałaś, by tego nie robić - potrząsnęła głową.

- Dobrze. A co z dwiema czarnymi szatami? Jakiś raport od agentów z wieży ogrodu?

- To dlatego przyszedłem. Raport z wieży ogrodu mówi, że czarne szaty przybyły na okręcie bojowym klasy Pustułka.

- Co takiego? - spytała, zaniepokojona.

- A czarne szaty, które weszły do stacji, nie wyszły z niej. To znaczy wyszły, ale przebrane za bogatych kupców verdantyńskich. Nasz agent przyszedł za nimi tutaj.

- Tu, do sanktuarium?

- Nie weszli z wiernymi. Poszli prosto do strażników kanonistki, którzy zabrali ich do Sali Ambasadorów.

- Kiedy? - Takiego obrotu spraw Deirdre się nie spodziewała. Magowie w Pustulce? To sugerowało współpracę między akademią a Niebiańskim Dworem.

Amal zerknął w głąb korytarza.

- Nie dalej niż kwadrans temu. Gdy tylko dostałem raport, zacząłem cię szukać.

- Ilekolwiek ci płacimy, przypomnij mi, żebym podwoiła tę stawkę - rzuciła, kładąc mężczyźnie rękę na ramieniu. - Czy kanonistka udzieliła dzisiaj audiencji jeszcze komuś?

- Według planu nie.

- Dobrze. Szukaj mnie tylko w przypadku czegoś pilnego. - Deirdre odwróciła się i poszła szybko do wąskiej klatki schodowej. Wbiegła na trzecie piętro i ruszyła korytarzem ozdobionym panelami w geometryczne wzory. Kilka kroków przed wejściem do Sali Ambasadorów zatrzymała się przy jednym z paneli. Wśród ornamentów ukryty był zaczep, po zwolnieniu którego fragment panelu odchylił się na zawiasach. Kobieta weszła na wąską galeryjkę.

Burzowe chmury przyćmiły światło dnia. Deszcz padał tak zaciekle, że przykrywał głowę i ramiona niczym mokry koc. Deirdre pobiegła galeryjką do niskiego otworu w kopule sanktuarium. Po wejściu do środka stanęła przed parawanem oddzielającym Salę Ambasadorów od ciemnego wnętrza kopuły. Gdzieś w tej ciemności stała arka Cali.

Wstrzymując oddech, szła ostrożnie wzdłuż ścianki, aż znalazła się za tronem z sekwojowego drewna. Kanonistka przemawiała właśnie szorstkim głosem. Deirdre stanęła blisko parawanu, by wyrzeć przez jedną z wąskich szczelin.

Przed tronem stali kobieta i mężczyzna - oboje ubrani jak verdantyńscy kupcy. Półbogini właśnie skończyła mówić i oddała głos kobiecie. Deirdre przysłuchiwała się rozmowie i z przerażeniem uświadomiła sobie, że to magowie z Astrophell - agenci przyrodniej siostry Nikodemusa, kobiety, która zostanie Zimorodkiem.

Akademia wielokrotnie zwracała się do Cali z prośbą o pozwolenie na poszukiwanie Nikodemusa w Avel. Tajfon twierdził, że może opóźnić to śledztwo przynajmniej o kolejny rok. Jednak ani demon, ani Deirdre nie spodziewali się, że śledczy magów zostaną przywiezieni do Avel niebiańskim okrętem bojowym. Korona spiryjska i Astrophell w jakiś sposób doszły do porozumienia i wymusiły na kanonistce zgodę na poszukiwanie.

Deirdre wiedziała, że czarne szaty skomplikują plany Tajfona, ale znacznie ważniejsze było to, że zagrożą Nikodemusowi i Francesce. Deirdre musiała wyeliminować magów, by zachować nadzieję na odzyskanie Boann. Pospiesznie ruszyła wzdłuż parawanu do wąskich spiralnych schodów.

Tajfon był w swoim prywatnym gabinecie, z częściowo rozłożonym umysłem, co ułatwiało mu prowadzenie badań. Od kiedy zaczęły padać deszcze, podjął pracę nad metaczarem, który miałby pomóc demonom przeżyć na nowym kontynencie.

Deirdre wpadła do prywatnej biblioteki Tajfona. Pospiesznie minęła strażników przy drzwiach i pracujących przy biurkach skrybów. Na końcu biblioteki otworzyła ciężkie drzwi i weszła do gabinetu demona.

Olbrzymie alabastrowe ciało Tajfona siedziało przed stołem. Rozmontował swoją głowę na coś, co przypominało kawałki onyksu i kości słoniowej. Wisiały w powietrzu nad otwartymi księgami i luźnymi kartkami. Pośród nich unosił się mały szmaragd w kształcie łyzy.

- Tajfonie! - krzyknęła Deirdre. - Demonie! - Nie słyszał. Jego prawa dłoń sunęła po otwartej karcie księgi, a lewa przesuwiała biały dysk umysłu nad kodeksem. Deirdre z całej siły uderzyła go pięścią w ramię. Nie zareagował od razu, ale po chwili odpowiedział potężnym uderzeniem z bekhendu. Odskoczyła i zdołała uchylić się przed jego ramieniem. Szybciej, niż się spodziewała, zebrał kilka zwisających odłamków głowy w jedno czarne oko i białe ucho. Pierwsze chwycił w dłoń, a drugie położył na stole. Gdy skierował oko na Deirdre, na chwilę znieruchomiał, po czym gestem polecił jej, by się zbliżyła. Kiedy to zrobiła, zaczął wybierać z powietrza pozostałe fragmenty głowy. Deirdre podniosła ze stołu

białe ucho i zrelacjonowała wszystko, co wiedziała o dwójce przebranych magów przybyłych na spotkanie z Całą. Zakończyła słowami:

- Natychmiast oboje wyeliminuję. Możemy to urządzić tak, by wyglądało na to, że ich transport musiał wylądować na sawannie i został zaatakowany przez likantropy. To nie...

Nagle rozległo się dziwne brzęczenie, przypominające dźwięk jakiegoś egzotycznego instrumentu. Po chwili Deirdre zrozumiała, że dobywa się on z demona. Zdołał zamontować dość gardła, by emitować dźwięk, ale nie dostatecznie dużo, by go zwerbalizować. Jego potężna biała dłoń wysunęła palec. Deirdre zmarszczyła brwi, czekając, aż demon odtworzy szczękę i wargi.

- Muszę się im przyjrzeć - zagrzmiał w końcu nosowym głosem. - Zabierz to na dół i skieruj na nich. - Podsunął jej otwartą dłoń, na której leżało onyksowe oko.

- Oczywiście. - Deirdre zabrała je, wybiegła z prywatnej biblioteki i popędziła po schodach. Gdy dotarła do parawanu za tronem, musiała opanować przyspieszony oddech. Przystawiła onyks do szczeliny.

Kobieta nadal przemawiała do Cali. Jej głos był spokojny, niemal wyzywający. Deirdre zagryzła wargę. Trzymała oko przy szczelinie, jednak po chwili uświadomiła sobie, że nie sprawdziła, czy źrenica skierowana jest do przodu. Nachyliła się i obróciła gałkę. Niechcący potrąciła przy tym parawan i głos po drugiej stronie nagle umilkł.

Deirdre znieruchomiała. Obawiała się, że zdradziła swoją obecność, lecz kanonistka zaczęła besztać kobietę. Deirdre ostrożnie wycofała się z mroku i pognała z powrotem do Tajfona, Zastała go z odtworzoną twarzą, wpatrującego się jednym czarnym okiem w kilka kawałków unoszących się nad niekompletnym czołem.

- Nie zaatakujemy w sanktuarium - zagrzmiał, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi.

- Ale w mieście przyciągniemy uwagę ludzi - zaprotestowała. - Nie zdołamy ukryć ich zabójstwa...

- Nie. - Tajfon wyciągnął otwartą dłoń.

- Tutaj możemy zabić ich dyskretnie. - Oddała mu oko. - Możesz...

- Ta kobieta nie jest tym, za kogo chce uchodzić - powiedział, wciskając oko do oczodołu. - To zadziała na naszą korzyść.

- Kim ona jest?

- Nie jestem jeszcze pewien, choć mam silne podejrzenia. Będziesz musiała zostawić tę sprawę mnie. - Odwrócił się z powrotem do ksiąg i zwojów rozłożonych na stole. - Jeśli mam rację, będę potrzebował tego metaczarzu znacznie szybciej, niż sądziłem.

- Ta kobieta przyspieszy Dysjunkcję? - zapytała Deirdre.

- Jeśli będziemy mieć szczęście. - Tajfon uśmiechnął się do niej. - Ale nie odważę się atakować tutaj, to byłoby zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne dla ciebie? Czym ona jest? Boginią w przebraniu?

- Pozwalasz sobie na zbyt wiele, córko. Nie zbliżaj się do nowo przybyłych. Ja się nimi zajmę. Ty zdwój wysiłki, by schwytać Nikodemusa. Do zachodu słońca musi się ukrywać gdzieś w mieście.

- Ale co z Francescą? - Deirdre oblizwała wargi.

- Nie twoja sprawa - odpowiedział Tajfon. Sięgnął w chmurę kamiennych obiektów unoszących się nad jego głową i wyciągnął z niej mały szmaragd w kształcie łyzy. - Czas ukończyć smoka. Idź, znajdź Nikodemusa. Jeśli nie mylę się co do kobiety rozmawiającej z Całą, nie będzie miało znaczenia, jeśli będziesz musiała zabić Francescę.

Vivian poprawiła swój kaptur. Razem z Lotannu wychodzili z sanktuarium. Przez szum deszczu docierały do niej dźwięki miasta: krzyki dzieci, trzaskające garnki, ryk osła. Najwyraźniej dotarli do skraju dzielnicy Świętej, gdzie mieszkali uprzywilejowani pracownicy sanktuarium.

Trzymała dłoń na ramieniu towarzysza prowadzącego ją do gospody, w której mieli spędzić noc.

- Co myślisz o naszej audiencji u półbogini, przyjacielu? - spytała cicho.

- Myślę, że niemal spełniło się twoje pragnienie

- odparł Lotannu. - Cała zdawała się być o włos od zaatakowania nas na miejscu.

- Szkoda, że tego nie zrobiła. - Vivian sapnęła.

- A co z naszym tajemniczym podglądaczem?

- Tym, który chował się za parawanem?

- Tak. Jakieś sugestie?

- To nie był Tajfon. - Lotannu zwolnił nieco. - Jego wzory myślowe zmieniły się drastycznie podczas audiencji, ale nie opuściły pozycji wysoko w górze kopuły.

- A co wiemy o nieznanym stworzeniu?

- Znikło bez śladu.

- Dobrze, bardzo dobrze. - Vivian pokiwała głową. - Wręcz doskonale.

- Czemu po prostu nie zaatakujesz demona? - zapytał Lotannu.

- Uciekłby.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

- Mogę być z tobą szczery? - spyta! nagle mężczyzna.

- Nie jeśli zamierzasz otwarcie krytykować mój plan.

- Zamierzam otwarcie krytykować twój plan.

- Drań - rzuciła spokojnie.

- Nawet jeśli go nie zaatakujesz, demon domyśli się, co planujemy, i ucieknie.

Będziemy potrzebowali kolejnych dziesięciu lat na odkrycie miejsca, w którym się zatrzyma.

Nie mamy tyle czasu. Akademia jest zbyt bliska schizmy.

- Niech zgadnę, uważasz, że powinniśmy uruchomić plan awaryjny.

- Zastanów się nad tym - powiedział z naciskiem Lotannu. - Moglibyśmy pójść do stacji kolaboris, wysłać wiadomość do naszych sojuszników w Karze i to wszystko skończyłoby się do jutra wieczór, bez szans na ucieczkę demona.

- Nie możemy zmarnować szansy na złapanie Nikodemusa, półsmoka i demona jednocześnie. Zresztą to zbyt niezgrabne.

- Wcale nie - zimno zaproponował Lotannu. Plan awaryjny był jego dziełem.

- Nie twierdzę, że pomysł jest niezgrabny. Jednak niezależnie od tego, jak dobrze zostanie zrealizowany, może doprowadzić do śmierci połowy mieszkańców miasta.

- A co będzie, jeśli w nocy demon naśle na nas wszystkich swoich magów wiatru?

Twoja elegancka misja spali na panewce.

- Nie marudź.

- Kiedy odczuwam taką potrzebę.

- Drogi przyjacielu, czy mówiłam ci już, jak bardzo cię kocham? - spytała ni stąd, ni zowąd.

- Mówisz to za każdym razem, gdy udajesz, że nie słyszałaś, co właśnie powiedziałem

- odparł.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

Cyrus szedł za Francescą labiryntem uliczek, aż wyszli na trzymetrowy pas błotnistej ziemi oddzielający budynki od muru dzielnicy. W błocie rozłożono deski, które ułatwiały dotarcie do dwóch drabin opartych o mur.

Hierofanta nigdy nie korzystał z takich drabin, zawsze przelatywał nad murami, teraz jednak nie mógł użyć doświadczenia, by przenieść ich oboje, więc wspinał się za kleryczką, kiwnął głową wartownikowi na szczycie muru, po czym zszedł po drugiej stronie do dzielnicy Cyprysowej.

Idąc brukowaną ulicą, Cyrus podziwiał dziedzińce, ogrody i cyprysy, od których wzięła się nazwa dzielnicy. Po drodze dwukrotnie minęli wartowników spacerujących w zielonobiałych pelerynach. Deszcz ustał i po ciemnych chmurach zostały tylko białe kłaczkę, a potem ledwo widoczne smugi.

Chwilę wcześniej burza niemal zmieniła dzień w noc. Teraz szli szeroką, jasno oświetloną ulicą z kałużami odbijającymi blade wieczorne niebo. Cyrus widywał już tak gwałtowne zmiany pogody w całej zachodniej Spirii, ale prędkość, z jaką chmury przetaczały się nad Avel, nadała temu zjawisku jeszcze bardziej dramatyczny wymiar.

Francesca zeszła z brukowanej ulicy i ponownie ruszyła wąskimi alejkami. Stopniowo zabudowa robiła się coraz mniej imponująca, dalej większość domów była już jednopiętrowa. Doszli do kolejnego muru i znowu musieli skorzystać z drabin.

Dotarli do dzielnicy Północnej Bramy. Drzwi drewnianych parterowych budynków osłaniały poszarpane skórzane zasłony. Po niestrzeżonych przez żadne służby ulicach ganiały ubłocone dzieci i psy.

Każda dzielnica musiała wystawić milicję, która wspomagała straż miejską. Bogatsze dzielnice płaciły za uzbrojenie swoich młodzieńców i opłacały najemników do ich szkolenia i wsparcia. Mury wokół Północnej Bramy były słabiej strzeżone, a ich ulice nie były patrolowane, przez co częściej dochodziło tam do przestępstw i wtargnięć likantropów.

Północna Brama zamieszkała była niemal wyłącznie przez Kaników. Byli niewielką grupą etniczną o większej liczebności wyłącznie w Avel, Dar i kilku ufortyfikowanych wioskach. Ich przodkowie byli pierwszymi, którzy osiedlili się na dzikich sawannach południowozachodniej Spirii. Gdy kontynent został zjednoczony przez Imperium Neosolarne, Kanicy trzymali się na uboczu. Wyznawali kult antycznej drzewnej bogini zamieszkującej w sekwoi wysokiej na niemal półtora kilometra. Po upadku imperium politeistyczna Kraina Spirii - wtedy sojusz nowych królów i lokalnych bóstw - rozprzestrzeniła się na zachodzie. Kanicy próbowali ustanowić niezależne państwo, ale spiryjczycy wybili armie Kaników, zabili ich boginię i spalili święte drzewo. Pokonani i pozbawieni bóstwa, Kanicy podzielili się, a ich liczebność znacznie spadła. Kiedy sytuacja na zachodniej granicy się uspokoiła, młoda Kraina Spirii skupiła wszystkie siły na przetrwaniu wycieczek verdantyńskich i lornijskich armii wędrujących w górę i w dół ich wschodniego wybrzeża. Kanicy zeszli na margines. Ich historia - w szczególności utrata bogini - doprowadziła do powstania filozofii głoszącej, że życie jest żalosne i nie pozwala uniknąć biedy oraz bólu. W najlepszym razie mogli liczyć na przetrwanie. Bardziej namacalnym objawem ich historii były nędźnie ubrane dzieci bawiące się bez żadnej kontroli w kałużach i błocie. Były delikatne i często chorowały, trudno też było odróżnić chłopców od dziewczynek - wszystkie miały krótkie zmierzwione włosy i nosiły tradycyjne luźne szare spodnie oraz takie same koszule.

Z dziećmi baraszkowały psy, specyficzna rasa hodowana przez Kaników i szkolona do walki z likantropami. Psy były w kłębie wysokie na ponad metr, miały gęste futro i

niepokojąco inteligentne spojrzenie. Gdy Francesca i Cyrus zbliżali się do dzieci, zwierzęta studiowały ich uważnie. W miejscu tym było też więcej kruków, wszystkie skrzeczały głośno i walczyły ze sobą. Po dachach przemykały zblakane koty, chude i zaniedbane.

Bieda tego miejsca zdawała się nie przeszkadzać Francesce. Szła ulicami, od czasu do czasu zbierając przyjazne pozdrowienia od dzieci. W odpowiedzi każdemu posyłała ciepły uśmiech i ukłon.

- Pacjenci? - zapytał Cyrus.

- Tak. Jestem jedną z nielicznych kleryków, którzy przychodzą do Północnej Bramy.

Weszli w uliczkę i minęli rosnący na małym placyku młody dąb sawannowy, którego gałęzie pełne były chorągiewek modlitewnych.

- Dokąd idziemy?

- Do kogoś, kto jest mi winien przysługę - odpowiedziała Francesca, omijając kałużę.

- Jeśli Nikodemus tu jest lub był, starzec Luro będzie o tym wiedział. Mówi się, że gdy był młodym strażnikiem karawany, dzięki szybkiemu myśleniu uratował całą swoją grupę przed Sawannowym Potworem. Aż do teraz uważałam to za bajkę. W każdym razie Luro wrócił do Avel jako bohater. Przez lata był kimś w rodzaju czempiona tej dzielnicy. Choć kiedy go ostatnio widziałam, chyba nie przejmował się już problemami innych. Co nie znaczy, że o nich nie wie.

- Cyrus w ciszy rozważał jej słowa. - Luro jest typowym starym Kanikiem - mówiła dalej Francesca.

- Nie ma za grosz zaufania do obcych. Musimy być... naprawdę przekonujący.

Obok nich z krzykiem przebiegła para dzieci i duży pies.

- Wśród Kaników zawsze jest mnóstwo dzieci i trochę starszków, a tak niewielu dorosłych - zauważył Cyrus.

Na rozgałęzieniu uliczki Francesca skrzyła w lewo.

- Większość młodych mężczyzn i kobiet najmuje się do pracy w karawanach jako woźnice, kucharze, kołodzieje, strażnicy i tak dalej - wyjaśniła. - Tam często atakowani są przez likantropy, padają ofiarą pożarów traw czy zwykłego pragnienia - Dodaj do tego fakt, że młodzi, którzy tu zostają, muszą służyć w dzielnicowej milicji i najprawdopodobniej zostaną zaatakowani przez likantropy.

- W takich miejscach człowiek docenia to, jak wygodne wiedzie życie - stwierdził Cyrus, krzywiąc się.

- Tak, to cholerna bogów prawda - zgodziła się Francesca, zatrzymując się. Stali przed budynkiem, który sprawiał wrażenie nieco solidniejszego od sąsiednich. - Ale nie mów

Kanikom o swoim współzuciu, Luro uzna je za protekcyjne. Właściwie najlepiej w ogóle nie mów. Z pewnością będzie czuł do ciebie antypatię. On nie lubi nikogo.

Cyrus kiwnął głową, a Francesca zastukała w ramę drzwi i krzyknęła:

- STARCU LURO!

- Krew i ogień, Fran! - Cyrus aż podskoczył.

- STARCU LURO!

Wewnątrz domu coś stuknęło, a potem skórzana zasłona przesunęła się o kilka centymetrów, odsłaniając fragment porośniętej zarostem twarzy. Brązowe oko zlustrowało Francescę z góry na dół. Potem zasłona odchyliła się, ukazując niskiego, pochylonego do przodu mężczyznę. Choć jego twarz była pobrużdżona zmarszczkami, na głowie wciąż miał gęsfką białą grzywę. Również z jego uszu i nosa wyrastały jasne włosy.

- To ty - zagrział starczy głos. - Wejdz, wejdz. Daria! - Po chwili oboje znaleźli się w ciepłym ciemnym pokoju. Jedyne umeblowanie stanowił tu stół i kilka krzeseł. W palenisku pod jedną ze ścian trzaskały płomienie małego ogniska. Kucą przy nim staruszka.
- Daria, zobacz, kto przyszedł cię odwiedzić.

Gdy wzrok Cyrusa przyzwyczaił się do ciemności, dostrzegł leżące przy ogniu cztery duże psy, a między nimi troje dzieci. Dwoje spało, opierając się o masywne boki psów jak o poduszki, a trzecie - dziewczynka - siedziało i głaskało jedno ze zwierząt po pysku. Gdy zobaczyła Francescę, wstała. Miała poważne, jak na swoje lata, spojrzenie - jakby właśnie stanęła przed bardzo poważnym dylematem moralnym.

- A któż to taki? - zapytała z uśmiechem Francesca, kucając.

Dopiero wtedy dziewczynka uśmiechnęła się i podbiegła do kleryczki, która złapała ją w ramiona i zakręciła wokół. Obie się roześmiały, po czym zaczęły rozmawiać.

Cyrus złożył ręce na piersi i przyglądał się Francesce. Jej słowa, wymawiane z dziecięcą radością, nie zdradzały ani śladu sceptycyzmu, a uśmiech rozświetlony blaskiem płomieni wydawał się szczery i naturalny.

- Hierofanta - usłyszał nagle niechętne burknięcie. Odwrócił się i zobaczył, że Luro lustruje go wzrokiem.

- Mistrzu Luro. - Cyrus się uklonił.

- Co ty tu robisz? - Staruszek podszedł bliżej.

- To twoja córka? - Cyrus spojrział na dziecko szczebioczące w ramionach Franceski.

- Prawnuczka.

Francesca stanęła między mężczyznami, przyciskając do biodra chichoczącą dziewczynkę.

- Jak możesz być tak głupiutka? - zapytała, dotykając palcem wskazującym czubka jej nosa.

Dziewczynka znów się roześmiała, ale gdy zauważyła Cyrusa, spoważniała i wtuliła twarz w ramię Franceski.

- Nic jej nie jest - staruszek zwrócił się do uzdrowicielki. - Normalnie je, biega po ulicach z innymi dziećmi. Zdrzemnęła się, gdy musieli wrócić z powodu deszczu.

- Cieszę się. - Francesca podrzuciła sobie dziewczynkę na biodrze. - Jest naprawdę urocza, ale nie przyszłam tu z jej powodu.

- Nie? - Staruszek zmrużył oczy.

- Czas, żebyśmy wyrównali zaległe rachunki - odparła. - Potrzebuję twojej pomocy. Tak jak twoi ludzie.

Starzec roześmiał się chrapliwie.

- To najdziwniejszy sposób, w jaki kazano mi zapłacić. Mówisz, żeby dać ci dość monet, by opłaciło się jej leczenie. Jeśli nie pozwalasz Kanikom płacić...

- Potrzebuję informacji - przerwała mu Francesca.

- Jakiego rodzaju informacji?

- Pierwsza część jest łatwa. Chcę, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz o Sawannowym Potworze. Słyszałam opowieści o tym, jak bohaterko wyszedłeś ze spotkania z bestią.

- Och tak, byłem wielkim bohaterem, prawdziwą legendą - zachichotał staruszek. - Większym niż jakaś tam kanonistka.

Dziewczynka, ciągle przytulona do Franceski, szepnęła jej coś do ucha.

- Dobrze, skarbie - powiedziała kleryczka. Postawiła małą na podłodze i dziewczynka wróciła do psów. - Widziałeś Sawannowego Potwora? - Francesca zwróciła się do Luro.

- Niezupełnie - odparł. - Gdy nasza karawana ustawiła się na noc w kręgu, zaczęło nas nękać jedno z plemion likantropów. Skradały się wokół, wyskakiwały z trawy, sprawdzały barykady między wozami. Nic, z czym nie poradziłyby sobie karawana. Przeważnie wzbudzały w naszych łucznikach płonne nadzieje na umieszczenie strzały w ich skórkach. A potem wilki zaczęły szaleć. Wiły się na ziemi i wrzeszczały. Niektóre atakowały towarzyszy, jeszcze inne polowały na niewidoczne stworzenia. Ze szczytu wozu karawany można patrzeć nad trawą. Widziałem zwykle falowanie traw wywoływane przez likantropy, ale było tam coś jeszcze, coś naprawdę dużego. Większego od katabestii. Kiedy szło, trzęsła się ziemia.

- Sawannowy Potwór? - zapytała Francesca.

- A co innego? - Mężczyzna wzruszył ramionami. Mieliliśmy na wozach trochę świec z Dar, więc wetknąłem sobie wosk do uszu i przekonałem większość strażników, by zrobili to samo. Ci, którzy tego nie zrobili, oszaleli. Zeskakiwali z wozów jak w amoku. Dorwały ich likantropy albo bestia - nikt dokładnie nie wie. Godzinę później wszyscy odeszli. Rano znaleźliśmy na drodze już tylko kości i strzępy futra likantropów.

- Więc to świece zrobiły z ciebie czempiona Północnej Bramy?

- Czempion... - Luro pociągnął nosem. - Ludzie lubią mi się zalić. To wszystko. A kiedyś byłem dość głupi, by ich wysłuchiwać.

- Czyli Sawannowy Potwór był wrogiem likantropów?

- Skąd miałbym to wiedzieć, na płonące piekła? - Starzec zmarszczył brwi. - Różne plemiona likantropów walczą ze sobą na okrągło. Niektórzy mówią, że Sawannowy Potwór to olbrzymi likantrop. Inni twierdzą, że to bóstwo likantropów. Są tacy, co opowiadają, że to duch stworzony z ludzkich dusz, które umarły z pragnienia. A prawdy nie zna nikt. I szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi. - Mężczyzna spojrział na Francescę, a potem przeniósł wzrok na Cyrusa. - Przyszliście tu wysłuchiwać historii o moich dzielnych czynach z młodości?

- Również po to. I dziękujemy - potwierdziła Francesca, kłaniając się. - Ale musimy zapytać o coś jeszcze.

- Wyduś to z siebie - ponaglił ją.

- Pod koniec zeszłorocznej pory deszczowej doszło do walk w Północnej Bramie. Część z twoich ludzi ukrywała człowieka zwanego Nikodemus Weal. Hierofanci go odkryli i doszło do krwawego starcia. Chciałabym, żebyś pomógł mi się dowiedzieć, co się z nim stało.

- Co się stało z kim? - Starzec opuścił brwi. - Jaki Nikolo? O czym ty mówisz?

- Nie udawaj durnia, Luro.

- Nie wiem nic o żadnym rozlewie krwi w tej dzielnicy. - Potrząsnął głową.

- Tyle kitu nie znajdę nawet wokół okna świątyni.

- Nie mogę ci pomóc, skoro nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Francesca tylko złożyła ręce.

- Nikodemus to zbuntowany... - zaczął Cyrus.

- Luro to wie - przerwała mu, unosząc rękę. - Tędy. - Gdyby nie wiedział, już dawno powiedziałby, jacy jesteśmy głupi, że próbujemy grzebać w jego dzielnicy.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz! - rzucił staruszek, po czym pociągnął nosem. - Nikt nie wie, co się dzieje w tej kloace.

Francesca odchrząknęła.

- Chcesz ściągnąć na swoich ludzi uwagę kanonistki?

- Nie zadawaj głupich pytań - zachnął się.

- Jeśli ja szukam Nikodemusa, jak myślisz, kto jeszcze może go szukać?

- Bawimy się w „zgadnij, co myśli uzdrowicielka”? - Kanik wyglądał na zirytowanego. - Krew i potępienie! Niczego nie wiem!

Na Francesce nie zrobiło to wrażenia.

- W szpitalu ktoś bliski kanonistce wspominał o Kanikach ukrywających Weala. Wiem, że troszczysz się o swój lud.

- Więc teraz próbujesz w ten sposób? - Starzec uniósł brwi. - Szlachetna uzdrowicielka przybyła uratować nasze śmierdzące skóry. To po co przytargałaś jego? - Gestem wskazał Cyrusa, a potem posłał mu paskudny uśmiech. - Nie podoba mi się, za dużo gada. - Cyrus już otworzył usta, by zaprotestować, ale Francesca uniosła rękę, by go powstrzymać. Luro prychnął i machnął ręką. - Widzisz? Tylko paple i robi wiatr. Starzec się roześmiał. - Tacy jak on mogą składać złote jaja dla reszty Spirii, ale dla Kaników nie robią nic a nic. Nie potrafią nawet utrzymać likantropów z dala od naszej dzielnicy.

- Hierofanta Cyrus Alarcon jest nowym strażnikiem powietrza Avel - przerwała mu Francesca ostrym tonem. - Przyprowadziłam go tu, żeby się przekonał, że twoi ludzie, ukrywając Nikodemusa Weala, nie zamierzali szkodzić miastu. Nie chce problemów. Jeśli hierofanta zginie pod jego rozkazami, on straci stanowisko. Zaświadczy, że nam pomogłeś. Myślisz, że byłabym na tyle głupia, by działać samodzielnie? Że zaryzykowałabym swoją pozycję w szpitalu, by znosić twoją wątpliwą gościnność? - Ostatnie słowa wypowiedziała niemal z pogardą.

- Gościnność! - Luro wykrzyknął radośnie. - Ha! No dobrze, uzdrowicielko, jeśli się nad tym zastanowić - a właśnie sobie przypomniałem, jak uparta potrafisz być - potrzebuję przysługi, a nie może mi pomóc nikt, kto byłby mniej irytujący niż ty. Proponuję kontrakt.

- To ty jesteś mi coś winien.

- Spłaciłem dług historią o Sawannowym Potworze. - Starzec pociągnął nosem. - Prosisz o coś dużego, więc licz się z wysoką ceną.

- Jaką ceną? - Francesca zapytała po chwili milczenia.

- Chwileczkę - rzucił mężczyzna, po czym podszedł do skrzyni. Po chwili wrócił z małym pakunkiem, owiniętym w kawałek brązowego lnu. Położył zawiniątko na stole. - Spójrz na to. - Francesca wzięła przedmiot i rozwinęła materiał. Był to cienki arkusz metalu, wielkości męskiej dłoni. W prawym górnym rogu miał wygrawerowaną małą koronę. Cyrusa

zatkąło. - Może z pół roku temu ktoś w tym mieście zaczął płacić zdesperowanym Kanikom za szmuglowanie tego do środka. Chcę, żebyś dowiedziała się kto.

Francesca zdawała się nieporuszona. Cyrus właśnie miał jej wyjaśnić, co trzyma w dłoniach, gdy się odezwała:

- Przemysł stali przez Avel? Nudzisz mnie, Luro. W Darze i Queensport jest mnóstwo szlachty, która sympatyzuje z separatystami z wyżyn. Cała Spiria świętowałaby, gdyby górale zdołali odłączyć się od Lornu. Od stuleci odbywa się regularny przemysł spiryjskiej broni i stali przez Avel na wyżyny.

- Ta stal nie jest przemykana do Lornu - wtrącił Cyrus. - Tylko w drugą stronę.

- Co masz na myśli? - Popatrzyła na niego.

- W lornijskich kuźniach mistrzowie kowalscy rzucają runy w metal. Zmieniają nimi te małe arkusze stali tak samo jak hierofanci modyfikują płótno. Mistrz kowalski może wziąć kilka arkuszy i przeredagować ich tekst, tak by przekształcić je w wyszukane metalowe maszyny, broń sieczną lub...

- Wiem, co potrafią mistrzowie kowalscy - warknęła Francesca.

- Jeśli ten arkusz jest prawdziwy i w pełni opisany, to zawiera bardzo niebezpieczną ilość tekstu.

- Skończcie z tym bełkotem - odezwał się Luro.

- Faktem jest, że przemykanie tych rzeczy do spiryjskiego miasta jest równie bezpieczne, jak spanie na sawannie w czasie pożaru. Myślisz, że Weal może narobić Kanikom kłopotów? Ha! Nawet największy pożar, jaki wzbudzi, będzie ledwie iskrą w ogniowej burzy, jeśli kanonistka dowie się, że przemycaliśmy coś takiego.

- Luro, ty mięczaku - rzuciła Francesca z uśmiechem. Wygląda na to, że ktoś tu wciąż jest czempionem Północnej Bramy.

- Nie wdzięcz się do mnie, uzdrowicielko.

- A więc ktoś przemyka lornijskie teksty do spiryjskiego miasta - zamyśliła się Francesca. - A ty chcesz, żebyśmy go powstrzymali.

- Do diabła z powstrzymaniem go. - Mężczyzna machnął ręką. - Po prostu niech nie wykorzystuje do przemysłu tego cholerstwa Kaników.

- Jeśli ty nie potrafisz się dowiedzieć, kto płaci za te arkusze, czemu sądzisz, że nam się to uda? - spytał Cyrus.

- To musi być ktoś z jednej z wewnętrznych dzielnic.

- Luro zmrużył jedno oko. - W zewnętrznych dzielnicach mam duże możliwości działania i znalazłbym go, gdyby tam był, ale drań działa poza moim zasięgiem. Nie ma innej

możliwości. Wykombinowałem sobie, że wasze frymuśne szatki pozwolą wam zadawać pytania w innych dzielnicach.

- Skąd to wzięłeś? - zapytała Francesca, podzrucając metalową płytkę.

- Wiem, co potrafią mistrzowie kowalscy - warknęła Francesca.

- Jeśli ten arkusz jest prawdziwy i w pełni opisany, to zawiera bardzo niebezpieczną ilość tekstu.

- Skończcie z tym bełkotem - odezwał się Luro.

- Faktem jest, że przemykanie tych rzeczy do spiryjskiego miasta jest równie bezpieczne, jak spanie na sawannie w czasie pożaru. Myślisz, że Weal może narobić Kanikom kłopotów? Ha! Nawet największy pożar, jaki wzbudzi, będzie ledwie iskrą w ogniowej bufzy, jeśli kanonistka dowie się, że przemycaliśmy coś takiego.

- Luro, ty mięczaku - rzuciła Francesca z uśmiechem. - Wygląda na to, że ktoś tu wciąż jest czempionem Północnej Bramy.

- Nie wdzięcz się do mnie, uzdrowicielko.

- A więc ktoś przemyca lornijskie teksty do spiryjskiego miasta - zamyśliła się Francesca. - A ty chcesz, żebyśmy go powstrzymali.

- Do diabła z powstrzymaniem go. - Mężczyzna machnął ręką. - Po prostu niech nie wykorzystuje do przemytu tego cholerstwa Kaników.

- Jeśli ty nie potrafisz się dowiedzieć, kto płaci za te arkusze, czemu sądzisz, że nam się to uda? - spytał Cyrus.

- To musi być ktoś z jednej z wewnętrznych dzielnic.

- Luro zmrużył jedno oko. - W zewnętrznych dzielnicach mam duże możliwości działania i znalazłbym go, gdyby tam był, ale drań działa poza moim zasięgiem. Nie ma innej możliwości. Wykombinowałem sobie, że wasze frymuśne szatki pozwolą wam zadawać pytania w innych dzielnicach.

- Skąd to wzięłeś? - zapytała Francesca, podzrucając metalową płytkę.

- Dotarły do mnie plotki, więc jeden z moich bratanków zaczął rozpytywać. Niedługo po rozpoczęciu tegorocznych deszczów ktoś zostawił to przed moim progiem.

- Anonimowo? - zapytał Cyrus.

- Jeśli pytasz, czy drań nie był dość głupi, by podać imię, które mógłbym przekazać kanonistce, to tak, anonimowo.

- Zabieram to ze sobą. - Francesca owinęła metal w materiał. - Umowa stoi, Luro. Zajmę się tym. Choć mam niepokojące przeczucie, że to może mieć jakiś związek z tym całym Wealem.

- Czyżby? - burknął staruszek.

- Tak. Teraz powinienes mi o nim opowiedzieć. Muszę go znaleźć, najlepiej jeszcze tej nocy.

Luro dumiał przez chwilę, patrząc to na Francescę, to na Cyrusa.

- To chłopaki z milicji. W sumie mogę ci powiedzieć, bo i tak ich nie lubię. Banda głupków i awanturników. Najlepiej gdyby skończyli na stryczkach, wszyscy by na tym zyskali.

- Chłopaki z milicji? - zapytał Cyrus.

- Świrnięte szczeniaki, które chciałyby, żeby Kanicy ustanowili własne królestwo czy coś w tym stylu. Nie ma mowy!

Cyrus nie słyszał o takiej grupie - jako hierofantę zawsze bardziej interesowało go to, co dzieje się na niebie nad Avel, niż na ziemi. Spojrzał więc na Francescę. Skrzywiła się i zapytała:

- Czemu chronią Nikodemusa Weala?

- Rozeszły się wieści, że burzy ludzi przeciwko kanonistce - odparł starzec. - Twierdzi, że została zepsuta przez demona czy coś równie idiotycznego. Chyba jest jednym z tych wariatów od Wojny Dysjunkcji, głoszącym kazania o tym, jak to Los z armią demonów przekroczą ocean.

- A milicja kupuje to, bo mogą tym usprawiedliwić oderwanie się od Cali. - Francesca pokiwała głową.

- Tak sędzę. Chowali go w różnych miejscach dzielnicy. Czasami najmują różne bandy - gang Starej Fatimy, gang Guya Ognia i tym podobne - żeby ukrywali ich przed strażą miejską. Opłacili też kupca Dala, żeby skrył ich w jednym ze swoich magazynów. Tam właśnie doszło do walki. Banda miechów wpadła tam w środku nocy. Mówi się, że ze sporej liczby spuszczone powietrze. - Posiał Cyrusowi złośliwy uśmiezek. - Ale Wealowi udało się zbiec. Chłopcy z milicji musieli ewakuować go do Esten albo Coldlock. Nie wyobrażam sobie, gdzie indziej mógłby się ukrywać, żeby likantropy nie dobrały mu się do tyłka.

- Wrócił? - zapytała Francesca.

Luro spojrzał na nią z ukosa.

- Ty... - Urwał. - Przypomnij mi, czemu tak ważne jest dla ciebie, by go znaleźć?

- To może mieć związek z twoim stalowym problemem, Luro. I wiesz coś o tym, widzę to w twoich oczach. Weal wróci! do miasta, prawda?

- Nie bądź głupia - warknął staruszek, ale potem zapyta!: - Powiesz mi, czemu tak bardzo chcesz go znaleźć?

- Ponieważ ja nie zaatakuję cholernego magazynu jak oficerowie kanonistki - odpowiedziała. - Mogę dotrzeć do sedna tej sprawy bez rozlewania krwi Kaników.

Popatrzył na nią uważnie.

- Zaufaj mi, Luro - poprosiła. - Czy kiedykolwiek zrobiłam coś złego komuś z twojego ludu?

- O co ci tak naprawdę chodzi? - naciskał starzec.

- Co może zyskać uzdrowicielka na złapaniu tego nieszczęśnika?

- W sanktuarium toczy się jakaś gra - odpowiedziała. - Jestem w niebezpieczeństwie. - To, co powiedziałam ci wcześniej o tym miechu - wskazała Cyrusa - jest prawdą. Zaręczy za ciebie i za twój lud. Ale on też został wplątany w tę intrygę. Zaufaj mi, Luro. Jeśli powiesz mi, jak znaleźć Nikodemusa Weala, uratujesz część swoich ludzi, ocalisz nam życie i pomożesz nam dotrzeć do sedna tego przemytu.

- To prawda? - burknął staruszek.

- Najszczęśliwsza.

Luro przez chwilę mrużył oczy, po czym sapnął:

- Dziś rano pojawiły się plotki, że Weal znowu pojawił się w mieście. Ludzie stali się nerwowi. Mówi się też o porannej awanturze w sanktuarium, w której Weal maczał palce. - Zastanowił się chwilę. - Może ty mi coś o tym powiesz?

- Powiedziałam ci już wszystko, co wiem. - Francesca potrząsnęła głową.

- Ja tu zdradzam wszystko ze szczegółami, a ty...

- Luro pociągnął nosem.

- Jesteś pewien, że Nikodemus jest teraz w mieście?

- drążyła kleryczka.

- Przyrzekniesz, że będziesz ostrożna?

- Przysięgam na imię Stwórcy.

- Strażnica najdalej na północ wysuniętej bramy na wschodnim murze dzielnicy jest zabita deskami. Milicja trzyma tam swój sprzęt i ukrywa Nikodemusa. Jeśli jest teraz w mieście, to właśnie tam.

- Dziękuję, Luro. - Francesca kiwnęła głową. - Będziemy ostrożni. - Zerknęła na Cyrusa i kiwnęła głową w stronę drzwi.

- Dobra rada - rzucił Luro. - Przebierz miecha z jego zielonej owijki. - Dźgnął kostropatym palcem szatę Cyrusa. - Inaczej milicja może chcieć przekonać się, jak będzie wyglądał nadziany pikami.

Po wyjściu na ulicę Cyrus nachylił się do Franceski i wyszeptał:

- W przebraniu czy bez, musielibyśmy oszaleć, żeby tak po prostu pognać do kryjówki zbuntowanej milicji.

- Więc tego nie róbmy - odpowiedziała i skręciła w boczną uliczkę.

Musiał się naprawdę starać, żeby za nią nadążyć.

- O czym ty mówisz?

Zatrzymała się przed szopą.

- Pomóż mi na to wejść.

- Fran, powiedz mi... - Urwał, gdy podskoczyła i chwyciła skraj dachu szopy. Objął rękami jej nogi i dźwignął, aż udało jej się wspiąć wyżej. Dopiero kiedy znikła mu z oczu, pomyślał, jak blisko była przez tę krótką chwilę.

- Chodź tu - zawołała z góry, a w tle dało się słyszeć krakanie i trzepot ptasich skrzydeł.

Cyrus przeredagował zdania w swojej szacie tak, by przeplotły się w krótką linię. Dopisał czar na jej końcu, a następnie zarzucił ją, owijając wokół rynny. Gdy upewnił się, że trzyma się stabilnie, wspiął się po linii na dach. Francesca przycupnęła na drugim końcu, wyglądając w uliczkę, z której przyszli.

- Na błękitne niebo Celeste, czemu ja za tobą idę? - wyszeptał, przykucając przy niej. - Czemu niesprawdzalny wartowni milicji?

- Ponieważ stary kłamał - odpowiedziała, wpatrując się w dom Luro. Krążyły nad nim cztery kruki, prawdopodobnie te same, które Francesca przepłoszyła z dachu.

- Kłamał, mówiąc o tym wszystkim? - zapytał Cyrus. - O lornijskim metalu też?

- Nie, nie. - Potrząsnęła głową. - Nie miał powodu, żeby kłamać w tej sprawie. Ale o Nikodemusie i wartowni nie powiedział nam prawdy.

- Wyjaśnij.

- Nie wątpię, że w szeregach milicji są zbuntowani Kanicy. Równie dobrze mógł powiedzieć, że w morzu są ryby. Niewykluczone też, że milicja Kaników faktycznie ukrywała Nikodemusa, gdy dopadli go hierofanci. I że narwańcy rzeczywiście gromadzą zapasy w opuszczonej wartowni. Ale nie mogą ukrywać w niej Nikodemusa.

- Czemu?

- Bo jest czarodziejem, Cyriisie. Nie może przejść przez bramę ani wejść do wartowni, bo boży czar Cali by go zabił.

- No tak... Racja.

- Postawię srebro przeciw miedzi, że Luro powiedział nam o wartowni, żeby się nas pozbyć. Nie zauważyłeś, jak zmieniło się jego zachowanie, gdy powiedziałam mu, że w

sanktuarium toczy się jakaś gra? Zaczął szybciej oddychać i odwracać wzrok. Zwęziły się jego źrenice. To wszystko sugeruje, że kłamał. Myślę, że Nikodemus jest teraz w mieście. Luro musiał nas okłamać, ponieważ... - Urwała, gdy zasłona w drzwiach domu starca została odsunięta, ukazując staruszka odzianego w pelerynę. Towarzyszyło mu dwoje dzieci oraz jeden z potężnych psów.

- Myślisz, że zamierza ostrzec tego, kto faktycznie ukrywa Nikodemusa? *- zapytał Cyrus.

- Tak. I lepiej chodźmy za... Niech to bóg bogów trzaśnie! - zaklęła Francesca, gdy Luro ruszył w jedną stronę, a dzieci w przeciwną. - Za kim mamy pójść?

- Myślisz, że jest na tyle przebiegły, że mógłby wysłać prawdziwą wiadomość przez dzieci, a sam robić za przynętę? - spytał Cyrus.

Francesca uniosła brew.

- Masz rację, pójdziemy za dziećmi.

Cyrus pospiesznie wrócił do swojej liny i zsunął się na dół. Francesca zrobiła to samo, zeskakując w błoto. Razem pobiegli uliczką, a potem skręcili w kolejną, prowadzącą równoległe do tej, którą szły dzieci. Pokonali jeszcze dwa ostre zakręty i wkroczyli na szeroką brukowaną ulicę. Wszędzie biegały grupy dzieci z psami, bawiąc się piłkami. Z lewej strony ulica przechodziła w brukowany plac pełen straganów, oświetlony przez pochodnie i płomienie małych lamp. Powietrze pachniało świeżo pieczonym chlebem i gotowanym mięsem. Cyrus rozpoznał nocny targ Północnej Bramy - miejsce, gdzie Kanicy zbierali się, by rozmawiać i jeść. Przejścia między stoiskami wypełniało sporo ludzi, głównie dorosłych, ale były też dzieci. Do tego wszędzie plątały się psy.

- Celeste w niebiosach - zawołał Cyrus. - Jak mamy tu znaleźć...

Francesca wskazała oddalającą się uliczką dwójkę dzieci z psem. Dyskretnie ruszyli za nimi. Mijane po drodze psy uważnie im się przyglądały, zerkali na nich też nieliczni dorośli. Cyrus próbował kroczyć godnie, jakby załatwiał jakąś urzędową sprawę. Niebo w górze ciemniało, z wołna przybierając barwę lawendy. Zostało im może pół godziny do zmierzchu.

Dzieci skręciły w kolejną uliczkę. Francesca zboczyła w inną, po czym skorzystała z prostopadłego przejścia prowadzącego do tej, w którą weszły dzieci. Między domami było zdecydowanie ciemniej. Po kilku metrach dzieci znowu skręciły.

Musieli przyspieszyć kroku, żeby za nimi nadążyć. Biegąc, Cyrus zauważył, że w powietrzu unosi się kwaśny, niemal siarkowy zapach. Po chwili ich oczom ukazały się budynki pozbawione części ścian.

- Ta okolica ucierpiała w pożarze podczas ostatniego ataku likantropów - wyjaśniła Francesca. - Słyszałam, że została opuszczona.

- Stój - zarządził nagle Cyrus.

Zatrzymali się gwałtownie przed rogiem, za który skręciły dzieci. Cyrus wyjrzał zza winkła. W pierwszej chwili niczego nie zobaczył. Po spalonych budynkach został las belek i kamiennych kominów. Jednak wciąż stała tu jedna struktura z piaskowca - świątynia, sądząc po kopule budynku. Część jej ścian zawałiła się, odsłaniając wypalone wnętrza. Zwęglone krokwie leżały na ziemi pod dziwnymi kątami. Cyrus dostrzegł, jak za jedną z nich znika postać dziecka.

Znowu ruszyli biegiem.

- Nie hałasuj - wyszeptała Francesca, gdy dotarli do spalonego budynku. - przygotuj teksty ochronne.

Cyrus kilkoma sprawnymi ruchami przeredagował obronny język w swoich szatach. Teraz, jeśli uderzy go coś ostrego, ochronne akapity splecą się i na chwilę uczynią materia! twardym jak stal.

- Pójdę pierwszy.

- Nie, ja jestem ubrana w czerń. - Francesca wskazała na swoje szaty..

Chciał zaprotestować, ale kleryczka już mijała próg budynku. Spojrzał w dół na niebieską prozę w swoich rękawach i pomyślał d nielicznych akcjach obronnych, z których mógł skorzystać, mając do dyspozycji tak niewiele tkaniny. Gdyby tylko miał lotnię...

Nie licząc ich przyspieszonych oddechów, w świątyni było cicho. Jednak nagle coś w pobliżu wydało dźwięk przypominający piasek wysypywany z worka.

A później Francesca zniknęła.

Nie została spowita przez mrok, Cyrus wciąż dostrzegał niewyraźne zarysy gruzu i belek. Po prostu zniknęła, jakby została wciągnięta do innego świata.

- Fran! - wyszeptał i wyciągnął rękę przed siebie, jednak gdy tylko jego dłoń zanurzyła się w ciemności, niebieskie zdania na rękawie zgasły. Wyszarpnął rękę jak oparzony i zdania z jego szaty zaczęły przelewać się w dół, uzupełniając braki w rękawie. - Święty kanon! - zaklął pod nosem. - Fran? - Cisza. - Francesca? - Wciąż nic.

Podniósł kawałek przypalonego drewna i rzucił je w ciemność przed sobą. Upadło na ziemię. Ponownie sięgnął w czerń i znowu zdania w rękawie zgasły. Wtedy zrozumiał.

To ciemność. Rzucono tu dysczar działający w ciemności, ale też coś więcej niż dysczar, coś, co... połknęło Francescę.

Cyrus odsunął się od cienia, stając w świetle zmierzchu. Była już prawie noc. Musiał znaleźć jakiś sposób na sprowadzenie światła do świątyni. Odwrócił się... i zamarł.

Po jego obu stronach stały dwa stwory podobne do ludzi, z umięśnionymi klatkami piersiowymi w kolorze granatu i blond włosami spiętymi w długie kucyki. Jeden miał jasną bliznę na policzku. Obaj uzbrojeni byli w toporki. Przykucnęli, jakby zafnierzali atakować.

Serce Cyrusa przyspieszyło, a pod jego turbanem pojawiły się krople potu. Jeden z potworów rozsunął wargi, odsłaniając czarne, trójkątne niczym ostrze piły zęby. Machnął toporkiem w powietrzu, każąc Cyrusowi wejść w mrok świątyni.

Cyrus miał świadomość, że gdy znajdzie się w cieniu, wszystkie jego teksty zostaną odczarowane. A wówczas straci nadzieję na uwolnienie Fran z pułapki. Ugiął nogi, szykując się do walki. I wtedy poczuł nagle ukłucie bólu w piersi.

Zrobiło mu się zimno z przerażenia. Jak mógł zapomnieć?! Bez czarów Franceski jego tętnica musiała się już zaciskać. Odruchowo podniósł rękę do piersi i zrozumiał, że największym zagrożeniem w tej chwili nie są ani dwa monstra czające się przed nim, ani mroczne czary za jego plecami, ale zdanie zaciskające się wokół jego związanego czarem serca.

Jeden z potworów skoczył do przodu, trafiając toporkiem w ramię Cyrusa. Akapity w jego szacie splotły się i zatrzymały ostrze równie pewnie, jak zbroja płytowa, ale siła ciosu sprawiła, że zatoczył się do tyłu. Wyciągnął kilka akapitów z ubrania i popatrzył na potwory z nadzieją, że uda mu się rzucić czar w ich ubrania, unieruchamiając napastników. Niestety przeciwnicy mieli na sobie tylko skórzane spodnie sięgające kolan. Na ich ciałach nie było ani jednej nitki. Cyrus warknął. Widocznie nauczyli się, by do walk z hierofantami nie zakładać żadnych tkanin.

Stwór po lewej uderzył zamachem z boku. Cyrus pochylił się, unikając ciosu, po czym sięgnął w stronę przeciwnika, jednak wtedy tępą stroną drugiego toporka uderzyła go w brzuch. Głowica nie miała tnącej krawędzi i nie aktywowała ochronnych akapitów. Cios pozbawił Cyrusa powietrza. Znowu zatoczył się do tyłu.

Widział, jak oba potwory zbliżają się, obserwując go złotymi oczami. Jeden wyemitował jakieś niezidentyfikowane dźwięki, a drugi mu odpowiedział.

Cyrus ruszył z impetem w stronę stwora po prawej, jednak ten cofnął się, a jego kompan wyprowadził w tym czasie uderzenie w biodro Cyrusa. Czary w jego szatach znowu go ochroniły, ale ponownie cofnął się kilka kroków. I wtedy zrozumiał. Stwory próbowały wepchnąć go do świątyni, w ciemność i czające się w niej czary.

Jeden z nich ruszył do przodu, wyprowadzając zamacłj znad głowy. Tym razem Cyrus wyszedł mu na spotkanie, powstrzymując ostrze uniesioną ręką. Choć stępione przez ochronne czary, uderzenie wywołało falę bólu. Stwór zatrzymał się na chwilę. Cyrus przeredagował kawałek ubrania, tak by tekst wylał się z tkaniny w postaci podmuchu wiatru. Wtedy coś uderzyło go w lewą nogę z dostateczną siłą, by stracił w niej czucie. Jednak był zbyt zajęty redagowaniem swojego miniaturowego spadochronu, by zwrócić na to uwagę. Zwinnie przeleciał łukiem, lądując na kamiennym kominie.

Nagle coś grzmotnęło tuż pod nim. Spojrzał w dół zobaczył drżący toporek wbity w belkę opierającą się o komin. Ktoś krzyknął. Głos należał do człowieka, mężczyzny. Cyrus się odwrócił. Zrujnowana świątynia była pusta. Stwory zniknęły.”Stęknął, czując kolejne szarpnięcie bólu w piersi. Miał kwadrans, może mniej, zanim sentencja śmierci Franceski całkowicie zdusi jego serce.

Na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Gorączkowo zaczął rozglądać się wkoło w poszukiwaniu źródła światła. Na północy, na odległym murze migotały pochodnie. Za daleko. Zginie, zanim zdola dolecieć tam i z powrotem. Na południu zobaczył ciemne budynki i puste uliczki. Gdzieś pomiędzy budynkami dostrzegł przerwę, a w niej pomarańczowy blask. Nocny targ.

Cyrus zebrał swoje szaty i niewiele myśląc, skoczył w górę. Latające pod ciemnym niebem kruki zakrakały, zaskoczone takim towarzystwem. Gdy lądował na bruku, kilkoro dzieci wykrzyknęło głośno.

Szybko przeredagował zaimprovizowany spadochron z powrotem w ubranie i pobiegł przed siebie. Nocny targ pełen był Kaników i kupców zachwalających miodowy chleb lub mięsne szaszłyki. Zaledwie kilka straganów rzemieślników wciąż było czynnych. Cyrus poczuł ulgę na widok stoiska pełnego lamp, z których kilka świeciło, by przyciągnąć uwagę przechodniów.

- Potrzebuję oleju do lamp, krzesiwa i stali - wyrzucił z siebie, grzebiąc w sakiewce. - Zapłacę, ale tylko jeśli się pospieszysz. Jeśli będziesz się ociągać, zarekwiruję wszystko w imieniu kanonistki.

Sprzedawczyni lamp - pulchna kobieta z okrągłą twarzą i siwiejącymi włosami - zaczęła się uwijać. Cyrus położył na ladzie trzy srebrne suwereny. Wiedział, że przepłaca, ale nie miał czasu na targowanie się. Kobieta zgarnęła monety i podała mu ciężką butelkę. Gdy wręczyła mu krzesiwo i kawałek karbowanej stali, uświadomił sobie, że jego serce powinno już umierać.

Wziął wszystko i oddali! się pospiesznie. Nad nocnym targiem zatoczyła krąg lotnia. Hierofantyczne czary sprawiły, że jej tkanina jarzyła się niczym prostokąt dziennego nieba pośrodku nocy. Pilot niewątpliwie patrolował zewnętrzne mury, wypatrując likantropów kryjących się w trawie, i z nudów zrobił sobie krótką przerwę w patrolu. Cyrus pomyślał, że będzie musiał porozmawiać z dowódcą skrzydła na temat dyscypliny. Jeśli przeżyje tę noc.

Pobiegł ulicą w stronę zrujnowanej świątyni. Znowu poczuł kilka bolesnych skurczów w piersi, ale nic, czego nie można by wyjaśnić wysiłkiem i niepokojem. Nagle uświadomił sobie, co zrobiła Francesca. Tylko jak to odczarowała? I kiedy? Skręcając w boczną uliczkę, przypomniał sobie, jak stanęli przed salonem tytoniowym. Pęłoczyła mu rękę na ramieniu i powiedziała, że teraz już mu ufa.

Na to wspomnienie mocniej ścisnął w dłoni butelkę z olejem. Był zirytowany, myśląc, że kobieta z nim flirtuje, podczas gdy ona faktycznie okazała mu zaufanie i odczarowała sentencję śmierci. Widocznie jednak nie zaufała mu dość, by zdradzić, że to zrobiła.

Ta świadomość wzbudziła w Cyrusie burzę sprzecznych emocji: frustrację z powodu gierki Franceski, ale też dziwne podniecenie. Przypomniał sobie jej dotyk, jej szczupłą talię, nieduże piersi, ciepło jej szyi.

Potrząsnął głową. Musi się skupić. Trzeba wyciągnąć Francescę z ciemności.

Gdy czerń zniknęła, Francesca odkryła, że wciąż znajduje się wewnątrz zrujnowanej świątyni. Nie ruszyła się ani odrobinę z miejsca, w którym związał ją jakiś obcy tekst. Pułapka ocenzurowała jej umysł, unieruchomiła ją, ogłuszyła i oślepiła. Gdy się otrząsnęła, musiała niechętnie wyrazić podziw dla czar. Potem jednak ogarnął ją niepokój. Najprawdopodobniej oślepiła, ponieważ podtekst zginał światło wokół niej, przez co stała się niewidoczna. Nie widząc jej, Cyrus również mógł wpaść w tę pułapkę.

Nagle usłyszała ciche, ale pełne emocji głosy. Wyteńczyła słuch, by wyłowić poszczególne słowa, i zewstrząsem odkryła, że rozmowy nie prowadzili ludzie. Głosy syczały i szczękały - brzmiały jak kilka widelców kłócących się ze sobą w garnku z gotującą się wodą.

Wtedy poczuła silniejszy strach. Może nie znalazła Nikodemusa Weala, ale Sawannowego Potwora? Może jej umysł zostanie za chwilę tekstowo zmiażdżony na afazyjną papkę?

- Magistra. - Podskoczyła, próbując zerwać wiążące ją czary. Ale nic się nie stało. Przestała się szarpać i skupiła na pozorowaniu spokoju. - Magistra - ponownie zabrzmiał głos: męski, cichy i opanowany. Znajdował się niepokojąco blisko, jakby mówiący nachylał się nad jej ramieniem. - Potrzebuję twojej pełnej uwagi.

- Doprawdy? - zapytała. - W takim razie szkoda, że jestem taka zajęta byciem związaną jak, nie przymierzając, przekłeta przez boga bogów kielbasa. Może wrócisz za godzinę, co?

Mężczyzna roześmiał się krótko.

- Jeśli to zrobię, czy zdołasz skomponować obronną prozę, która nie zawstydzi praktykanta?

- Zawsze się zastanawiałam, czy można być równocześnie pretensjonalnym i ograniczonym umysłowo

- odparła. - Dziękuję, że pomogłeś mi rozwikłać tę kwestię, magistrze Weal.

- Magistra jest nadto uprzejma - rzucił chłodno.

- Byłem zbyt ograniczony, by zostać magiem, ale nigdy nie byłem na tyle nieostrożny, by rzucić się głową do przodu w odczar, narażając tym samym swoich towarzyszy czarodziejów.

Na słowo „nieostrożny” Francesce ścisnęło się gardło. Przypomniała sobie umierającą na jej stole Deirdre.

- Co zrobiłeś z Cyrusem?

- Jeśli masz na myśli podążającego za tobą hierofantę, to tylko próbowaliśmy powstrzymać go przed zrobieniem krzywdy nam lub sobie. Opierał się, więc w ruch poszły topory. Nie chcieliśmy tego robić, ale nie mogliśmy pozwolić, by uciekł i sprowadził kolejnych magów wiatru. Niestety udało mu się wymknąć. Niezbyt podoba mi się myśl o konieczności stracenia z rąk fudzi, których tu sprowadzi. Rozumiesz mnie?

- Cyrus nie jest twoim wrogiem. Ja też nie jestem.

- Sprowadzi tu więcej hierofantów?

- Nie mam pojęcia. - Francesca próbowała potrząsnąć głową, ale wciąż była unieruchomiona. - Wie, że wielu z nich nieświadomie służy Tajfonowi.

Gdy to powiedziała, najpierw zapadła cisza, a potem znów rozległy się gorączkowe rozmowy w chrapliwym języku. Na koniec dało się słyszeć skrzeczenie ptaka, jakby papugi.

- Lazur... lazur... - Słowo wypowiedane było kojąco przez kogoś o szorstkim głosie.

- Przynoszę wiadomość od Deirdre - powiedziała Francesca.

- Jak się ma? - zapytał Nikodemus znacznie łagodniejszym głosem. Kleryczką wyteżala wzrok, by zobaczyć swojego rozmówcę, ale nie dostrzegała nic poza gruzami. Aby ukryć niepokój, przemówiła beznamiętnym głosem:

- Została raniona podczas ataku likantropów. Przyniesiono ją do szpitala i umarła na moim stole. Kilka chwil później odżyła. Przybył po nią stwór wywołujący afazję.

Próbowałam pomóc jej w ucieczce, ale nie mogła się wyrwać. Chciała mnie ukarać za niepowodzenie w najgorszy możliwy sposób, więc...

- Zmusiła cię do odnalezienia mnie - chłodno wtrącił Nikodemus. - Rozumiem. Jestem najgorszą możliwą karą.

- Dobrze, że zdajesz sobie sprawę ze swojego miejsca w świecie - rzuciła.

- Czy Deirdre wiedziała, że psuje nasze plany? Czemu cię wysłała?

- Powiedziała, że Tajfon zamierza cię ranić po schwytaniu, a ja mam cię utrzymać przy życiu podczas uwięzienia. Ale wprowadziła mnie do tej gry z wiadomością dla ciebie. Miałam ci powiedzieć, że... - Na chwilę zawiesiła głos. - Że są dwa smoki. - Rozmowa w niezrozumiałym języku znowu się wzmogła. Tym razem Francesce udało się odróżnić kilku rozmówców. Jednym z nich był sam Nikodemus, z wprawą naśladowujący szorstkie dźwięki. - Deirdre powiedziała też, że czasami udało się jej uciekać spod kontroli demona i czytała jego dokumenty. W jednym z nich zostałam określona jako jedyna osoba, która może powstrzymać drugiego smoka przed zabiciem ciebie.

Głosy rozbrzmiały teraz falą kakofonicznego śmiechu. Najgłośniejszym śmiał się Nikodemus.

- Może potrząsniesz moją czapkę, magistra? Mam na niej takie ładne dzwoneczki. - Znowu śmiech. - Naprawdę nie musisz wymyślać tych bajek. Nie skrzywdzę cię, jeśli tylko nie będziesz zagrażać moim uczniom.

- Nie kłamie! - zapewniła Francesca. - Deirdre powiedziała, że ten piekielny demon zna moje imię i martwi się, że mogę przeszkodzić drugiemu smokowi oraz że tylko ja mogę go powstrzymać przed złapaniem cię w jakąś przeklętą przez boga bogów pułapkę.

- No dobrze, magistra Pogromczyni Smoków. Czym naprawdę jesteś? ~ Zapytał Nikodemus głosem pełnym wyższości. - Kim jesteś?

- Magistra Francesca DeVega - przedstawiła się. - Urzędująca kleryczka szpitala Naszej Pani Cali, przeszkolona w języku medycznym w szpitalach Port Mercy, a w magnusie i numenosie oraz językach wspólnych w Astrophell.

- co jeszcze?

- Tyje ci nie wystarczy, kakografie?

- Jesteś czymś innym niż kleryk.

- Co masz na myśli?

- Czym jeszcze jesteś? - nalegał.

- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

- Jesteś Lornijką?

- Spiryjką, urodzoną na Spalonych Wzgórzach przy granicy z Verdant - odparła. - I nie waż się naśmiewać z mojego staromodnego akcentu - dodała surowo.

Na chwilę zapadła cisza.

- Znałaś kiedyś lornijską nauczycielkę imieniem April?

- Wybacz szczerze, ale o czym ty, na płonące lub pozbawione ognia, a nawet łagodnie umiarkowane piekła, mówisz? - wypaliła.

- Powiedz mi, czym jeszcze jesteś - prawie wysyczał.

- Z pewnością nie jestem tak cholernie szalona. To jedyne, co mi w tej chwili przychodzi do głowy.

Znowu chwilę milczał, po czym powiedział:

- Powiedz mi więc coś o tym drugim smoku.

- Nie potrafię, podobnie jak Deirdre. Powtórzyła tylko to, co sama przeczytała.

Znowu rozległy się rozmowy w szorstkim języku. Tym razem brzmiały jak kłótnia. Po chwili odezwał się męski głos, nienależący jednak do Nikodemusa.

- Niezależnie od tego, za co ją uważasz, Nikodemusie, lepiej stąd chodźmy. - Mężczyzna musiał być starszy.

- Zgadzam się, magistrze - odpowiedział Nikodemus. Wydał jakieś rozkazy w obcym języku i po chwili dał się słyszeć odgłos ciężkich kroków. - Idziemy w bezpieczniejsze miejsce, magistra. Jeśli będziesz nam sprawiać kłopoty, zwiążę cię. W przypadku narażenia moich uczniów lub magistra natychmiast rozbiję ci głowę. Zrozumiano?

- Jestem lekarką - odpowiedziała ostro. - Przysięgałam nigdy nie narażać ludzkiego życia.

- Moi uczniowie nie są ludźmi.

Francesca już miała zapytać, kim w takim razie są, gdy gdzieś nad nią rozległy się trzaski. Spojrzała do góry i zobaczyła postać stojącą przy otworze w kopule zrujnowanej świątyni.

- Cyrus! - Potrzebowała chwili, by go rozpoznać. W jakiś sposób udało mu się dostać na dach.

Zabrzmiął obcy głos, a zaraz po nim dźwięki kroków rozpraszających się na wszystkie strony.

- Powiedz mu, żeby zszedł na dół i nie robił żadnego światła - warknął jej do ucha Nikodemus.

Cyrus ruszał rękami i nagle coś wyprysnęło z jego dłoni.

- Cyrusie! - zawołała. - Nie... - Jednak było już za późno. Z rąk mężczyzny wyskoczyła mała kaskada iskier. Uderzyły w ścianę pod nim i z tego miejsca wystrzeliły języki płomieni. Ogień rozprzestrzenił się na metr czy półtora w dół ściany, wypełniając świątynię światłem. - Niech to diabli - mruknęła Francesca. Cyrusowi w jakiś sposób udało się zdobyć olej do lampy i krzesiwo.

- Fran?

W miejscach, gdzie na Francescę padało światło, wiązający ją czar jakby się rozpląwał. Jęknęła, gdy zniknął czar cenzorujący otaczający jej umysł.

- Nikodemus, poczekaj! - zawołała. - Nie rób nic głupiego. - Rozejrzała się wokół, szukając zbuntowanego maga, jednak płomienie oświetliły tylko zwęglone krokwie, popiół i luźne kamienie. Za stertami gruzu tańczyły czarne cienie.

Gdy Cyrus zeskoczył w dół przez otwór w kopule, rozłożył się nad nim mały spadochron, spowalniając jego upadek. Wylądował i podbiegł do Franceski, kiedy próbowała uwolnić się z magicznych więzów. Choć olej płonący na odległej ścianie zaczynał przygasać, wciąż jeszcze widziała twarz Cyrusa. Miał podciągniętą chustę i szeroko otwarte brązowe oczy.

- Odczarowałaś zdanie wokół mojego serca? - Wziął ją za rękę.

- Do diaska, przepraszam, że ci nie powiedziałam. Ale teraz nie mamy na to czasu. Rozmawiałam z Nikodemusen! i powiedział...

- Jeśli Nikodemus chce rozmawiać - przerwał jej Cyrus - może to zrobić, gdy nie będziemy ocenzurowani i związani magią. - Pociągnął ją w stronę dziury w murach świątyni. Rozpalone przez niego płomienie przygasały, rzucane przez nie cienie robiły się coraz dłuższe.

- Nie rozumiesz, Cyrusie... - Słowa Franceski przeszły w krzyk. Cyrus nadepnął na cień i z mroku natychmiast wyrosły umięśnione ręce, które owinęły się wokół głowy i piersi mężczyzny, wciągając go w cień. Francesca krzyknęła ponownie i odskoczyła od wydłużającego się cienia. Jednak płomienie prawie już zgasły.

Odwróciła się, ale wszędzie widziała tylko ciemność. Poczula mrowienie w dłoniach, jej oddech przyspieszył niepokojąco. - Nikodemus! Nie musisz tego robić! Nikodemus! - Przerażona, zaczęła naprędce pisać akapity numenosowego świetlika. Gdy tylko skończyła czar, rzuciła go w górę. Krótki tekst zamigotał, zwijając się wokół siebie tak szybko, że zaczął emitować światło. Jednak ledwie akapit zaczął świecić, coś roztrzaskało go w złote runy. Rzuciła w powietrze kolejnego świetlika, ale ten też został rozbity. Nikodemus lub jego

uczniowie odczarowywali jej świetliste teksty równie szybko, jak je pisała. - Możemy porozmawiać, Nikodemusie!

Żadnej odpowiedzi. Płomienie rozbłysły po raz ostatni i zgasły. Francesca krzyknęła, gdy otoczyła ją całkowita ciemność.

Początkowo Cyrus walczył z magicznymi więzami, ale został oślepiiony, ogłuszony i ocenzurowany. Próbował krzyczeć, lecz jego usta zostały zamknięte.

Przestał walczyć. Buzowała w nim złość. Jak mógł być tak głupi? Uzbroidł się w butelkę oleju do lamp przeciwko niebieskoskórym potworom i obcej magii. Ale musiał spróbować. Nie mógł zostawić Franceski ani na ślepo wejść w ciemność.

Nagle odzyskał słuch, a więzy wokół jego nóg znikły. Silne dłonie chwyciły jego wciąż związane magicznie ręce. Potem odzyskał wzrok i coś zmusiło go do spojrzenia w górę. Potrzebował chwili, by zrozumieć, że patrzy na plamy późnowieczornego nieba przez dziurawą kopułę świątyni. Po niebie przemknął czarny kwadrat, na chwilę zasłaniając pojedyncze gwiazdy. Cyrus uświadomił sobie, że to lotnia przelatująca nisko nad świątynią.

- Walczysz z koboldami jak amator. - Z ciemności dało się słyszeć męski głos, niewątpliwie należący do Nikodemusa Weala. - wpadasz do kryjówki skóropisów, mając zaledwie odrobinę ognia i czary w swoich szatach. To sugeruje, że albo nie masz pojęcia o naszej walce z Tajfonem, albo jesteś totalnym ignorantem. Masz jakieś pięć zdań, by mnie przekonać, że prawdą jest to drugie. Inaczej poderżnę ci gardło i zostawię ciało, by znaleźli je inni wyznawcy demonów.

Z ust Cyrusa zniknął tekstowy knebel. Nad świątynią krążyła teraz druga ciemna lotnia.

- Jestem nowym strażnikiem powietrza Avel - powiedział najspokojniej, jak potrafił. - Przybyłem tu zaledwie czternaście dni temu. Aż do dzisiaj nie słyszałem o demonie w Avel ani o napięciach między Całą i Celeste. Deirdre powiedziała, że demon sprowadził mnie tu jako zasłonę.

- Nie przekonałeś mnie. Masz jeszcze dwie szanse.

- Ale co jeszcze mogę... - Cyrus zamilkł, gdy jego szyi dotknęło coś ostrego.

- Ostatnia szansa.

- Demon sprowadził mnie tu, żeby ukryć szykującą się rebelię - powiedział szybko. - Jeśli są tu jacyś hierofanci wyznający demony, zostali przede mną ukryci. Jeśli mnie teraz znajdą, równie dobrze mógłbym nie żyć. Nie jestem twoim wrogiem, przysięgam na imię Stwórcy.

Z góry dał się słyszeć świst nisko przelatujących lotni.

- Albo mówisz szczerze, pilocie - sapnął Nikodemus - albo świetny z ciebie kłamca.

Więzy na głowie i szyi Cyrusa się rozluźniły. W końcu mógł się rozejrzeć. Obok niego w ciemności stały dwie postacie. Jedna miała proporcje wysokiego, szczupłego człowieka, druga była niższa, z ramionami zbyt szerokimi jak na ludzką budowę.

- Ci piloci w górze - powiedziała postać, która zapewne była Nikodemusen! - ty ich tu ściągnąłeś?

- Widziałem lotnię nad nocnym targiem, gdy kupowałem olej do lampy. Myślałem, że zrobił sobie przerwę od patrolowania murów.

- Raczej to Deirdre wysłała pilotów na poszukiwanie waszej dwójki na wypadek, gdybyście nas odnaleźli.

- Nikodemus sapnął. - Musieli widzieć, jak odlatywałeś z targu. No dobrze, pilocie, jeśli chcesz zostać przy życiu, nie narażaj mnie ani moich koboldów. Zrozumiano?

- Gdzie jest Francesca?

- Tutaj - odezwała się chrapliwie gdzieś za jego plecami. Cyrus się obejrzał, ale zobaczy! tylko cień.

- Upodtekstowiona, tak jak ty. - Dopiero teraz Cyrus spojrzął w dół i zobaczył, że jest pokryty niemal namacalną czernią. Najwyraźniej proza pisana przez tego człowieka potrafiła odchyłać światło równie dobrze, jak czary magów.

W ich stronę zbliżała się kolejna ciemna postać. Nikodemus podszedł do niej i rozmawiali chwilę w języku, w którym zapewne porozumiewały się koboldy.

- Już tu są - wyszeptał Nikodemus, gdy postać się oddaliła. - Magistrze, idź z Żyłą. Francesca i Cyrus, zostaniecie tutaj, przy koboldzie. Wypuścimy z tyłu sobowtóry, a sami uciekniemy przodem. - Kobold za Cyrusem chyba się sprzeciwił, bo Niko powiedział stanowczo: - Nie. Nie, Żyła, mówiłem ci już. Szum też ci powiedział, że... - przeszedł na język koboldów i po chwili wszyscy ruszyli z miejsc.

Magiczne więzy Cyrusa, poza tymi na rękach, rozpadły się. Jakaś postać chwyciła go za szaty i pociągnęła. Musiał szybko przebierać nogami, by nie przewrócić się na licznych kamieniach i belkach. Gdy przeszli do korytarza, Cyrus dostrzegł idące obok niego dwie ciemne postacie. To zapewne Francesca i pilnujący ich kobold. Na końcu korytarza zobaczył zasypany pokruszonymi kamieniami dziedziniec i pękniętą fontannę. Liczne kałuże odbijały rozgwieżdżone niebo. Stwór ciągnący Cyrusa przykucnął w rogu, spowity cieniem. Cyrus wziął niego przykład.

Czekał, wsłuchując się w swój oddech. Choć miał na sobie szaty hierofanty, były one całkowicie pozbawione tekstu. Czuł się przez to nagi.

Nikodemus musiał rzucić na niego jakiś tekst cenzorujący. Każdy jego oddech produkował tylko kilka zdań. Upłynie dzień, zanim jego tkanina zyska dość tekstu, by stworzyć znośny czar obronny; tydzień lub więcej, zanim zdoła utworzyć spadochron. I może dobrze, że został oceniony. Szaty nasycone tekstem rzucałyby błękitny blask, który mógłby zostać zauważony przez wrogich hierofantów.

Nagle Cyrus przypomniał sobie lotnię, która przemknęła nad kopułą zrujnowanej świątyni. Była prostokątną czarną tkaniną i nie świeciła słowami. Język hierofantów nie mógł zginać światła, więc nie mógł też niczego uczynić niewidzialnym, jednak jego upodtekstowione czary stawały się niewidzialne dla innych hierofantów. W trakcie wojny domowej piloci nauczyli się zmniejszać widoczność swojego sprzętu przez upodtekstowienie tkanin i szat. Cyrus, który służył na pokładzie okrętu, miał doświadczenie w tworzeniu i przenikaniu hierofantycznych podtekstów.

Zacisnął zęby i pomyślał o tym, co zrobiłby dowódca skrzydła, chcąc ukryć swoich pilotów. Jakiej użyłby dykcji? Jakiego stylu prozy? I wtedy rozjarzyli się przed nim. Było ich pięciu. Przysiedli na murach dziedzińca i minaretach jak czające się jastrzębie. Cyrus gwałtownie wciągnął powietrze.

- Ci...cho - wyszeptał kobold.

- Rozumiesz mnie? - szeptem zapytał Cyrus.

- Tak... cicho.

- Słuchaj, na dziedzińcu jest pięciu hierofantów.

Cień przed nim odsłonił ciemnoniebieską twarz z jasnymi włosami. Kobold wysunął rękę, a Cyrus zauważył trzywysuwane szpony między pięcioma ludzkimi palcami.

- Chodź - rzucił kobold, po czym zaczął czołgać się z powrotem do świątyni. Cyrus pośpieszył za nim i z ulgą zorientował się, że jego śladem idą jeszcze dwie ciemne postacie. Po przecięciu się przez kilka krokwi dotarli do wąskiej dziury w ścianie. Ziemia przed nią została oczyszczona z gruzu. Cyrus przypuszczał, że grupa Nikodemusa przygotowała to miejsce na okoliczność ucieczki. - Patrz - burknął kobold, popychając go w stronę dziury. Cyrus powoli wystawił głowę na wąską uliczkę biegnącą między świątynią a kolejnym zniszczonym kamiennym budynkiem. Błotnista ziemia została zdeptana, tworząc nieregularne wzniesienia. Miał wrażenie, że pomiędzy licznymi odciskami stóp dostrzegł też ślady szponów. Spojrzał w górę. Niebieski poblask hierofanty siedzącego w kucki na szczycie świątynnego muru nie zdziwił go. Kiedy schował głowę z powrotem, zobaczył jeszcze kilka postaci szepczących między sobą.

- Tu jest tylko jeden pilot - zgłosił - ale siedzi tuż nad wyjściem. Prawdopodobnie trzyma swoją tkaninę. Gdy tylko zobaczy, że ktoś wychodzi, zrzuci ją i zgniecie nas albo potnie na kawałki, w zależności od tego, jak ją przeredaguje.

- Nad uliczką jest tylko jeden? - upewnił się Nikodemus.

- Tak, ale jest dobrze ukryty i upodtekstowiony. Gdybym to ja dowodził atakiem, również umieściłbym tu tylko jednego pilota. To wąskie wyjście i na tyle długie, że aby się wydostać, musimy przebiec spory odcinek. Zdaży wzniecić alarm.

- Cofnij się, Cyrus - polecił Nikodemus, po czym wypowiedział kilka słów w języku koboldów. - Szum zostanie z wami, podczas gdy ja wyjdę i pozbędę się twojego hierofanty. Jeśli okaże się, że jest ich więcej. Szum dopilnuje, żebyś zginął przede mną. Masz jeszcze szansę zmienić swoją historię.

- Nie kłamie - wyszeptał Cyrus, czując, jak dwie masywne ręce wciągają go głębiej w mrok. Na jego gardle zacisnęła się dłoń z pięcioma silnymi palcami i trzema ostrymi szponami. Wysoka postać przykucnęła przy wyjściu. Wydawało się, że wszyscy na coś czekają.

- Niko, jesteś pewien, że czary sobowtórów zostały... - odezwał się starszy głos, ale przerwały mu krzyki dobiegające z drugiej strony świątyni. Po nich rozległo się kilka stłumionych grzmotów. Taki odgłos mogły wydać tylko zrucane na ziemię hierofanckie tkaniny.

Nikodemus wyskoczył na ulicę, odwrócił się i rzucił coś do góry. Cyrus skulił się odruchowo, oczekując spadającej tkaniny i szponów przebijających jego tchawicę, jednak w następnej chwili Nikodemus szarpnął ręką w dół i coś ciężkiego z łomotem uderzyło o ziemię, rozpryskując wodę w kałuży.

Koboldy rzuciły się przed siebie. Cyrus wybiegł w uliczkę i zobaczył rozciągniętą w błocie masę czerni w kształcie ciała. Skrzywił się w duchu, pojmując, że Nikodemus rzucił w górę tekst, który odczarował tkaninę hierofanty, upodtekstował pilota, po czym bezdźwięcznie ściągnął go na dół. Była to przerażająca demonstracja zabójczego stylu prozy i bezwzględnego autora.

Cienista postać podeszła do pilota.

- Nic z tego, Francesca - powiedział Nikodemus.

- On nie żyje.

Nagle ciało zaczęło jarzyć się słabym błękitem. W pierwszej chwili Cyrus pomyślał, że to czar hierofantów, jednak światło było zbyt słabe i jarzyło się strużkami, jakby wyciekało.

- Luceryną - wyszeptała Francesca.

- Tajfon wyposażył swoich pilotów w latarniane fiolki, żeby mogli odczarowywać nasze czary światłem

- burknął Nikodemus. - Chodźcie.

- Czym jest luceryną? - zapytał Cyrus, ruszając za postacią, którą uznał za Francescę.

- Związek tworzony przez hydromantów przez połączenie ich tekstów z pewnymi rozpuszczalnikami

- wyjaśniła. - Nie do końca to rozumiem, ale zmieszana z czymś w rodzaju kwasu generuje niebieskie światło. Klerycy świecą nią, gdy muszą operować w ciemności, a nie mogą pisać żadnych świecących czarów. Jest bardzo kosztowna. Ilość, którą miał przy sobie ten człowiek, była warta kilka złotych suwerenów.

Jeden z koboldów uciszył ich syknięciem. Pobiegli uliczką i dalej między zgłiszcza domów, płosząc bezdomne koty. Ocalałe kominy pięły się w górę niczym las martwych drzew. Cyrus obejrzał się na zrujnowaną świątynię. Unosiło się nad nią pięć lotni. Z jednej strony budynku jarzyło się niebieskie światło luceryny.

Piloci najwyraźniej nabrali się na czary sobowtórów utkane przez Nikodemusa. Ale teraz znali już prawdę. Lotnie zataczały coraz szersze kręgi, przeszukując gruzowisko.

Cyrus popatrzył na rząd domów oddalonych o jakieś dwadzieścia metrów. Między zwęglonymi belkami i kominami czuł się odsłonięty. Zatęsknił za lotnią albo choćby szatami nasyconymi tekstem. Właśnie miał się obrócić i poszukać Franceski, gdy przed nimi rozbłysło żółte światło.

- Stój! - wyszeptał, zatrzymując się. - Coś tam jest. - Szorstka dłoń kobolda pociągnęła go do przodu. - Czekaj - powiedział głośniej. - Zobaczyłem coś...

Jego słowa zagłuszył głośny dźwięk rogu. Dopiero wtedy grupa się zatrzymała. Cyrus znał ten dźwięk - straż miejska używała go w charakterze sygnału, choć nie pamiętał, co oznaczał.

- Co to było? - zapytała Francesca, ale nikt nie odpowiedział. Między domami błyskało żółtoczerwone światło. Pochodnie.

A potem ich zobaczył. Długi rząd ludzi niosących pochodnie, jak wzrokiem sięgnąć, rozciągał się W prawo i w lewo. Płomienie oświetlały nie tylko zielonobiałe peleryny, ale też błyszczące stałą groty włóczni i bełty kusz.

Znowu zabrzmiał podwójny sygnał rogu i Cyrus przypomniał sobie, co oznaczał. Intruzi przedarli się przez mury miasta. Dźwięk rogu był poleceniem dla strażników, by

ustawili się od jednego końca dzielnicy do drugiego i przeszukali Północną Bramę, aż znajdą napastników.

Rozpoczęło się polowanie na likantropy.

Cyrus przeskanował niebo nad strażnikami.

- Nie ma nad nimi żadnych lotni - poinformował, po czym obejrzał się w stronę świątyni. - Ale piloci, którzy zaatakowali nas przy świątyni, są coraz bliżej.

Gdzieś przed nim zabrzmiał gorzki śmiech Nikodemusa.

- Dawno już tego nie próbowała. Czymkolwiek jesteście, musieliście porządnie zaleźć jej za skórę. - Wydał jakieś rozkazy w języku koboldów i trzy mroczne postacie odbiegły w ciemność.

- Co się dzieje? - zapytała Francesca. - Komu niby zaleźliśmy za skórę?

- Deirdre - wyjaśnił Nikodemus. - Ogłosiła sforsowanie murów. Twierdzi, że do środka dostały się likantropy. Zmobilizowała straż z innych dzielnic do poszukiwań.

- Nie możemy się cofnąć, nie ściągając na siebie uwagi pilotów lotni - odezwał się Cyrus.

- Więc będziemy musieli przebić się przez szereg - rzucił Nikodemus.

- Ale to oznacza zabicie każdego... - zaczęła protestować Francesca, jednak przerwał jej ryk kobolda.

- Zostańcie tu i nie ruszajcie się - rozkazał Nikodemus i pobiegł gdzieś. Chwilę później wróciły dwie z ciemnych postaci. Stężnicy stali zaledwie dwadzieścia metrów od nich. Gdzieś z prawej zabrzmiał kolejny sygnał rogu.

- Fran? - wyszeptał Cyrus.

Wyciągnęła rękę i złapała jego dłoń.

- Wymknijmy się podczas...

Jeszcze jeden sygnał, tym razem trzy szybkie dźwięki rogu - znak, że ktoś namierzył likantropa. Noc wypełnił chór odległych krzyków.

Cyrus odwrócił się i zobaczył dwie lotnie odlatujące w stronę, z której dobiegał dźwięk.

- Tędy, szybko - gdzieś z ciemności rzucił szeptem Nikodemus, a na ramieniu Cyrusa wylądowała szorstka dłoń kobolda. Pobiegli równolegle do szeregu strażników w stronę przeciwną do tej, z której dobiegł sygnał rogu. Po pokonaniu około pięćdziesięciu metrów koboldy skrzyły, prowadząc ich prosto na ludzi z pochodniami.

Cyrus przełknął ślinę, rozglądając się za możliwością ucieczki, jednak ciemne postacie pilnowały ich z obu stron. Nagle pojawił się przed nimi człowiek. Stał na szczycie

sterty gruzu, odwrócony plecami. Był nagi do pasa, miał ciemną skórę i długie czarne włosy związane w kucyk. Nie dalej niż dwadzieścia kroków od niego stał drugi mężczyzna w zielonobiałej pelerynie, obserwując dziwnego człowieka.

W oddali znowu zabrzmiał potrójny sygnał i koboldy poprowadziły grupę do przodu, przez przerwę, która utworzyła się w szeregu strażników. Nad nimi na niebie wciąż unosiły się lotnie.

- To był Nikodemus? - Cyrus zwrócił się szeptem do Franceski.

- A myślałeś, że królowa Spirii? - odparła cierpko.

- Próbuję się po prostu zorientować w sytuacji, Fran. Nikodemus ma wśród straży kanickich sojuszników, którzy pozwalają nam przemknąć przez szereg?

- Tak myślę. Z tego, co mówi, wynika, że już to robili. Ale nie jestem...

- Widziałaś? - przerwał jej Cyrus.

- Co?

- Ja... Nie jestem pewien - przyznał. Miał wrażenie, że zobaczył błysk błękitu na ciemnym niebie. W pierwszej chwili pomyślał, że to patrolująca lotnia, ale pojawił się i zniknął.

- Coś tu nie gra - gdzieś z boku zabrzmiał głos Nikodemusa. - Za mało lotni poleciało w stronę fałszywego alarmu podniesionego przez naszego człowieka.

- Co robimy? - zapytała Francesca.

- W tej chwili nie zostało nam nic innego, jak tylko biec przed siebie - odpowiedział Nikodemus.

- Chodźmy więc - rzucił Cyrus.

Opuścili teren pogorzelniska i weszli w uliczkę między rzędami domów.

- Jak myślisz... - zaczął Nikodemus, gdy nagle za nimi rozległ się łoskot tłuczonego szkła.

Cyrus się odwrócił i zobaczył dwóch mężczyzn. Trzymali kije, których końce jarzyły się błękitnym światłem.,

- Luceryną - wyszeptała Francesca.

Przed ludźmi z latarniami stało dwóch mężczyzn uzbrojonych we włócznie i duże prostokątne tarcze.

Znowu usłyszeli dźwięk tłuczonego szkła, jednak teraz dobiegał z przeciwnej strony Cyrus odwrócił się i na drugim końcu uliczki zobaczył kolejnych ludzi z podobnymi kijami. Między nimi stał szermierz w jasnej zbroi łuskowej, trzymający potężny lornijski miecz dwuręczny. Wyglądał, jakby broń była lekka niczym licha gałązka.

Dopiero gdy Cyrus przyjrzał się uważniej, dostrzegł, że to nie szermierz, ale kobieta z długimi czarnymi włosami. Koboldy zasyczały agresywnie. Raz po raz machały w stronę jaskrawo świecących latarni, miotając pociski z mroku. Jednak wszystkie ich czary rozpraszały się w nicość, zanim zdążyły choćby dolecieć do źródła światła.

Koło Cyrusa stanął Nikodemus. Wykrzykując rozkazy, ruszał ręką, jakby rzucał czymś zamasyście. W tej samej chwili nocą wstrząsnął wybuch i ściana, przed którą stała kobieta z mieczem, eksplodowała. Cyrus zdążył się odwrócić, chwilę zanim fala uderzeniowa zachwiała jego równowagę.

Spojrzał w głąb uliczki i zobaczył, że kobieta cofa się o kilka kroków. Po twarzy jednego z mężczyzn z latarniami spływała strużka krwi, ale źródła światła pozostały nietknięte. Nikodemus wyciągnął rękę, jakby chciał rzucić kolejny czar, ale wtedy z góry znów dobiegł ich dźwięk tłuczonego szkła. Cyrus podniósł głowę i zobaczył przykucniętego na dachu odzianego w zielone szaty hierofantę. Trzymał na kiju błękitne światło, tak że znajdowało się wprost nad Cyrusem. Po chwili blask luceryny zalał Nikodemusa i jego koboldy, usuwając podteksty z ich skóry. Oczom Cyrusa po raz pierwszy ukazała się cała grupa.

Koboldów było pięć, a ich granatowa skóra i blond włosy wyglądały w tym świetle jeszcze bardziej obco.

Wszystkie były uzbrojone w toporki. Cztery bestie uformowały ochronny czworobok wokół Cyrusa, Franceski i starego maga z białymi dreadami i niewidzącymi, zasnutymi bielmem oczami. Staruszek niósł niebieską papugę. Piąty kobold stał przy Nikodemusie.

Cyrus podciągnął chustę i zobaczył, że jego oddech ponownie nasycza tkaninę zdaniami. Światło luceryny odczarowało cenzorujący tekst, który Nikodemus rzucił na jego umysł.

- Nikt nie zaczyna walki, dopóki nie wydam polecenia - zarządził Nikodemus, a następnie odwrócił się w stronę kobiety trzymającej dwuręczny miecz. - Deirdre będzie chciała rozmawiać tak długo, jak tylko zdoła utrzymać się poza kontrolą demona, żeby dać nam czas na przygotowanie. Magistra DeVega, czy mogę prosić cię o pomoc?

- Prosić możesz - odpowiedziała Francesca ze spokojem - ale klerycy nie stworzyli jeszcze lekarstwa na śmierć spowodowaną głupim przywództwem.

Nikodemus zignorował jej słowa.

- Czas, byś dowiodła, że nie jesteś wyznawczynią demonów. Kiedy w powietrzu zaczną latać ostre przedmioty, zniszcz wszystkie latarnie lucerynowe, zaczynając od tej nad nami. Nie rozbij jej tylko, bo jeśli luceryna pokryje nasze ciała, odcenzuruje nas.

- Jak już zasugerowałeś wcześniej, styl mojej prozy nie nadaje się na teksty bojowe' - odparła.

- Magister Shannon może napisać właściwe czary - spokojnie odpowiedział Nikodemus. - Ale nie ma dość sił, by je rzucić.

- Zrobię, co będę mogła - mruknęła.

- Hierofanto - tym razem młodzieniec zwrócił się do Cyrusa - zobacz, w czym będziesz mógł pomóc.

- Cyrus miał właśnie przypomnieć, że Nikodemus odczarował cały tekst w jego szatach, gdy tamten przyłożył dłonie do ust i zawołał: - Zgodnie ze starożytnym prawem Avel domagam się pertraktacji.

- Do pertraktacji mają prawo prowadzący wojnę, a nie bandyci i potwory - odkrzyknęła odziana w łuskową zbroję kobieta.

- To Deirdre, mówiłam ci o niej - wyszeptała Francesca, zbliżając się do Cyrusa.

- Starożytne królestwo koboldów ze Szczytów podniosło się z gruzów - odpowiedział Nikodemus.

- Przemawiamy w imieniu jego plemion prowadzących wojnę z twoim panem.

- Nie martw się, magistra, będzie mówić. - Stary mag, nazwany przez Nikodemusa Shannonem, zwrócił się do Franceski. - Będzie chciała zapewnić nam czas na anie. A teraz spójrz na tekst w moim przedramieniu.

- Łagodna kanonistka Avel uznaje jedynie sześć ludzkich królestw - zawołała Deirdre.

- Jestem człowiekiem - odparł Nikodemus - i pragnę zachować pokój. Starożytne prawa miasta zapewniają mi możliwość pertraktacji. Czy twoja kanonistka sprzeniewierzy się prawom własnego miasta?

Słuchając tej wymiany zdań, Cyrus coraz bardziej marszczył brwi. Rozmowa sprawiała wrażenie sztucznej, wyćwiczonej, jakby odtwarzali jakiś rytuał. Być może tak właśnie było.

Nagle Deirdre zaczęła drżeć. Przez chwilę wyglądała, jakby miała się przewrócić, jednak potem wyprostowała się i oddała swój miecz stojącemu obok żołnierzowi z lucerynową latarnią. Mężczyzna stęknął, biorąc broń. Musiał oprzeć jej czubek o ziemię, by jej nie upuścić.

- Dobrze więc. Będziemy pertraktować - powiedziała kobieta. - Przyślij swojego kapitana.

Nikodemus zrobił kilka kroków do przodu i stanął w oczekiwaniu. Deirdre ruszyła w jego stronę, ale w pewnej chwili zatoczyła się, jakby była pijana.

- Ukryj ją! - wyszeptała chrapliwie. Uniosła dłoń i zasłoniła sobie oczy. - Ukryj ją!
Nie zdołam zataić jej obrazu przed Tajfonem. Nie mogę...

- Cyrusie, stań między nami a kleryczką - polecił Nikodemus. - Cokolwiek się stanie, nie pozwól, by Deirdre ją zobaczyła. - Cyrus stanął przed Francescą i przestaną! kilka zdań ze swojej chusty na ramiona. Przepisując je w długie sztywne akapity, zmienił swą szatę w coś w rodzaju parawanu. - Teraz możesz na mnie spojrzeć, Deirdre - Nikodemus odezwał się nieco łagodniej, ale kobieta się nie poruszyła. - Deirdre - prawie wyszeptał.

Gdy opuściła dłoń i odsłoniła twarz, Cyrus odkrył, że jest piękna. Miała ciemnooliwkową skórę, której odcień podkreślał zieleń dużych oczu. Sprawiała wrażenie spokrewnionej z Nikodemusem.

- Niko - odezwała się. - Za każdym razem, gdy się spotykamy, spodziewam się praktykanta z wielkimi oczami, którego poznałam w Starhaven. To takie dziwne, że nie jesteś już... - Wskazała na jego nagą pierś i towarzyszące mu koboldy..<

- Nie jestem już pionkiem Nikodemusem - dopowiedział.

- Jest w tym coś smutnego - przyznała.

- Ale przynajmniej jeszcze mnie nie zabiłaś.

- Tym razem może mi się udać. Naprawdę, przyjacielu, większe szanse dałabym wieśniakowi atakującemu wykałaczką lornijskiego paladyna.

- Mówiłaś to poprzednim razem - odparł lekko.

- Tak, kiedy wypełniłaś sanktuarium tym paskudnym smolistym mrokiem, który wszystkich spowolnił. - Uśmiechnęła się figlarnie.

- I dobrze. Przebiłaś mi wtedy lewą rękę nogą od krzesła i wyrzuciłaś przez okno z piątego piętra.

- Masz szczęście, że tylko tyle. - Deirdre pociągnęła nosem. - Ten mrok na wiele dni zrujnował moją fryzurę. - Urwała na chwilę i spojrzała na starca. - Dobrze widzieć magistra Shannona przy życiu. Myślałam, że zabiliśmy go podczas tej akcji w magazynie Kaników.

Cyrus nachylił się do przodu, by lepiej słyszeć rozmowę.

- Skąd wiedziałaś, że będziemy w tej alejce? - zapytał Nikodemus.

Deirdre znowu zadrzała.

- Gdy znaleźliśmy was u zbuntowanej milicji, domyśliliśmy się, że jakiś strażnik, wyznawca drzewa, pozwalał wam przemknąć przez naszą linię obrony. Kiedy już przygotowałam polowanie, ustawiłam tych ludzi za jedynym oddziałem Kaników.A

- Nie mogłabyś być odrobinę mniej inteligentna? - jęknął Nikodemus.

- Właśnie miałam cię poprosić, żebyś wykazał się większą bystrością - odparła.

- Jeśli w jakiś sposób uda się nam wymknąć, obiecuję, że odzyskamy szmaragd i uwolnimy cię. Byłem dzisiaj już tak blisko, ale pojawił się potwór. Jednego nie rozumiem. Czemu przysłałaś do mnie Fran...

- Nie wypowiadaj jej imienia - Deirdre przerwała mu gwałtownie. Osłoniła twarz i popatrzyła w inną stronę. - Nie wypowiadaj jej imienia i nie pozwól mi jej zobaczyć. Tajfon znów stał się podejrzliwy. Zajrzał w mój umysł, na szczęście niezbyt głęboko. Mimo wszystko jest teraz bardziej świadomy moich myśli. Jeśli ją zobaczę lub usłyszę jej imię, trudniej mi będzie ukryć przed nim to wspomnienie.

- Będziemy ją ukrywać - zapewnił Nikodemus. - Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

- Niemal nic, bo Tajfon zobaczy to w moich myślach. Jednak mogę przekazać ci jedną informację: w mieście pojawiła się dwójka magów z Astrophell, agenci twojej przyrodniej siostry. Nie jestem pewna, po co przybyli.

- Udawało nam się już unikać takich ludzi. - Nikodemus pokiwał głową.

- Oni są inni - odparła. - Udali się prosto do sanktuarium na audiencję u kanonistki. Byli... agresywni. Nie bardzo wiem czemu, ale Tajfon nie zgodził się na zabicie ich. Jest... poruszony tą kobietą. Myślę, że ona jest awatarem. Prawdopodobnie jej bóstwo należy do Sojuszu Boskich Heretyków.

- Skąd takie podejrzenia?

- Nie widzę żadnego innego wytłumaczenia dla faktu, że Tajfon natychmiast jej nie zabił. Podejrzewam, że chce ją schwytać lub uwięzić, tak jak zrobił to z Boann i Całą. Niezależnie od powodów, ona stanowi wielkie zagrożenie dla ciebie i... - Wzdrygnęła się. - Tej, której nie powinnam zobaczyć. - Nikodemus kiwnął głową.

- Odniosłam jednak drobne zwycięstwo: dowiedziałam się, czym jest Cicha Śnieć. Tajfon użył szmaragdu, by stłumić zdolność prążyka do wprowadzania błędnej pisowni.

- Co jeszcze wiesz? - spyta! Nikodemus.

- To wszystko, Niko... ale... w sprawie kobiety...

- Urwała pod wpływem kolejnego wstrząsu.

- Nie wypowiadaj jej imienia - przypomniał szybko. - W sprawie tej, którą do mnie przysłałaś, powiedz mi, co mam robić?

- Chronić ją - rzuciła szybko. - Od kiedy w mieście znaleźli się magowie z Astrophell, Tajfon sądzi, że może już jej nie potrzebować. Miała cię utrzymać przy życiu po schwytaniu, ale wszystko tak szybko się zmienia. Trzymaj ją przy sobie. Słuchaj jej. Tajfon wie tak wiele. Powiedział mi dzisiaj, że każdy, kto mu się przeciwstawia, stanie się nim. Nie wiem, czy mówił o mnie, o tobie... a może o smoku, który rzekomo jest już prawie gotowy. Nie wiem,

czy to Potwór, czy... czy drugi... - Drgnęła i skrzywiła się nienaturalnie. - Moja niezależność się kończy.

- Walcz z nim.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Chodzi o Sawannowego Potwora. Poznałam jego imię. Nazywa się Ja Amber. Jeśli pomyślisz lub wymówisz to imię, zmniejszy to jego wpływ na twój umysł. Nie jestem pewna, jak Tajfon tego dokonał, ale... - Znowu drgnęła.

Nikodemus zrobił krok w jej stronę.

- Uciekniemy przed wszystkim, co zdołają na nas rzucić demon i półsmok. Nigdy nie zrezygnujemy z prób uwolnienia cię. - Sztywno kiwnęła głową. - Zawsze o tobie myślę, Deirdre.

Jej opanowanie na chwilę znikło, a na twarzy kobiety pojawiła się ulga, a potem smutek.

- Nie poddam się, Niko. - Po kolejnym spazmatycznym szarpnięciu odwróciła się i pomaszerowała z powrotem do strażników z lucerynowymi latarniami.

Mężczyzna, który trzymał miecz, przechylił broń w stronę Deirdre. Dźwignęła ją z błota i odwróciła się do Nikodemusa. Jej twarz stała się pusta, a ręce i nogi przestały drżeć.

- Pertraktacje nie przyniosły rezultatu - oświadczyła zimno. - Zabijcie potwory i pozostałych czarodziejów. Pórnagiego schwytajcie do przesłuchania, ale uważajcie, by nie dotknąć jego skóry gołą dłonią.

Po tych słowach skierowała swój potężny miecz na Nikodemusa i ruszyła przed siebie. Z drugiego końca uliczki rozległ się chóralny krzyk ruszających do natarcia włóczników.

Cyrus spojrzał w dół na swoje szaty. Jego pierś pokrywała tylko cienka siateczka błękitnego tekstu, ledwie dość, by manipulować tkaniną, ale za mało na czar ochronny.

- Teraz! - zawołał Shannon i na komendę Francesca zamachnęła się i rzuciła czymś w lucerynową latarnię, którą trzymał nad nimi hierofanta. Jednak w tej samej chwili wzdłuż drąga pomknął rozjarzony tekstem zwój żaglowego płótna hierofantów, owijając się wokół niego i osłaniając latarnię. Na chwilę grupa została pogrążona w ciemności. Uliczką wstrząsnął kolejny wybuch, pochodzący prawdopodobnie z mrocznej magii Nikodemusa. Fala uderzeniowa pchnęła Cyrusa, niemal go przewracając. Tkanina osłaniająca drąg latarni częściowo się rozwinęła, wypuszczając odczarowujące światło. Tekst bojowy Franceski musiał uderzyć o ochronną tkaninę i zostać odczarowany. - Dobrze - krzyknął Shannon. - Nikodemus potrzebuje więcej ciemności. Szybko, rzuć to. Staruszek wyciągnął rękę w stronę kleryczki.

Metaliczny brzęk sprawił, że Cyrus obejrzał się w głąb uliczki. Nikodemus z trzema koboldami stali naprzeciw Deirdre. Kobieta skierowała potężny miecz w stronę najbliższego kobolda. Stwór skoczył do tyłu, a w tym samym momencie inny kobold zerwał się do przodu, uderzając oboma toporkami w jej plecy. Ostrza zabrzączały na łuskowej zbroi Deirdre i kobieta zatoczyła się do przodu. Po chwili odzyskała równowagę i zamachnęła się na agresora. Potwór skoczył do góry, w locie rozpryskując bioto nad jej klingą. Równocześnie pierwszy z koboldów spróbował obieć Deirdre, by dotrzeć do ludzi z latarniami, jednak ona ponownie pchnęła mieczem. Kobold odskoczył, lecz uderzył w ścianę domu. Kilka centymetrów ostrza zatopiło się w jego boku. Bestia ryknęła gniewnie.

I wtedy Nikodemus rzucił się na Deirdre. Nie mając żadnej broni, sięgnął gołymi dłońmi do odsłoniętej skóry jej twarzy. Kobieta z wrzaskiem odskoczyła do tyłu, unosząc miecz. Nikodemus się cofnął. W porównaniu ze zwinnym koboldem sam zdawał się poruszać jak mucha w smole. Raniony kobold uderzył obydwoma toporami w miecz Deirdre, zmieniając kierunek ciosu. Mimo wszystko ostrze zaledwie o kilka centymetrów minęło biodro Nikodemusa.

Shannon wydał kolejną komendę i Francesca rzuciła z zamachu kolejny czar. Wokół latarni ponownie owinęła się ochronna tkanina, pogrążając ich w mroku. I jeszcze raz nastąpiła ogłuszająca eksplozja.

Tym razem fala uderzeniowa przewróciła Cyrusa. Wstając z wysiłkiem, zobaczył, że Deirdre pokryta jest warstwą biota, a po jej twarzy spływa strużka krwi. Mężczyzna za jej plecami został powalony na kolano, ale utrzymał swoją latarnię i drąg.

Dwa koboldy wznowiły atak na Deirdre, rzucając się na zmianę, gdy zamachiwała się na nich swym potężnym mieczem. Nagle Nikodemus warknął rozkaz i oba stwory odskoczyły. Jeden z nich z chrapliwym krzykiem rzucił toporek, który wirując, przeleciał nad Deirdre i skierował się wprost na lucerynową latarnię.

Strażnik szarpnął latarnię w prawo, odsuwając ją z trajektorii pocisku, lecz drugi kobold również rzucił toporek, przewidując ruch latarni. Po chwili powietrze wypełnił deszcz szkła i świetlistego płynu.

- Szybciej! - krzyknęła Francesca. - Tracimy grunt!

- Cyrus się odwrócił. Kleryczką spoglądała na niego, stojąc między Shannonem a dwoma koboldami zwróconymi w stronę włóczników. Sprawy nie wyglądały najlepiej. Niezależnie od tego, jak szybko uderzały koboldy, nie potrafiły zranić włóczników ani ludzi z latarniami za ich plecami. Jeden z koboldów uzbrojony był w pojedynczy topór, drugim

najwyraźniej zdążył już rzucić. Jego towarzysz właśnie cisnął swoją bronią, ale strażnik sprawnie odsunął źródło światła od trasy pocisku. Włóczy się do przodu. - Szybciej!

- krzyknęła Francesca.

- Chwileczkę - jęknął Shannon. - Potrzebujemy silniejszego odczaru, by przebić się przez tę tkaninę.

Najwyraźniej hierofanta kucający na dachu usłyszał te słowa, bo zaczął szybko poruszać dłońmi. Tkanina na jego żerdzi rozjarzyła się jeszcze mocniej. Cyrus gwałtownie wciągnął powietrze, rozpoznając prosty, niemal dziecienny styl prozy hierofanty. Pilot musiał być bardzo niekompetentny lub dopiero się uczył.

- Magistrze, te czary zostały napisane przez mistrza hierofantów, ale redaguje je nowicjusz - oznajmił Cyrus, podchodząc bliżej Shannona.

- I co z tego? - skrzywił się starzec.

- Czy możesz dołączyć do tych czarów pasek mojej szaty?

Staruszek zmarszczył brwi, ale kiwnął głową.

- Daj ten materiał.

Cyrus dotknął swojej piersi i przeredagował jedno zdanie w polecenie: ściągać. Natychmiast wszystkie pozostałe zdania z szat otoczyły ten rozkaz, tworząc łatę jasnoniebieskiego tekstu wielkości dłoni. Najszybciej jak potrafił, skomponował czar ściągający - zawierający polecenia dość potężne, by wykraść tekst z wrogiego żagla. Piloci rzadko używali takich tekstów, ponieważ w powietrzu trudno było zdobyć dostęp do tkaniny wroga. Co gorsza, każdy doświadczony pilot potrafi! przeredagować atak ściągający. Jednak w tej chwili nie miał innego wyjścia. Odciął swój prawy rękaw, a tkanina przybrała postać długiej, starannie złożonej wstęgi, której koniec dołączył do łaty zawierającej ściągacz.

- Szybciej - syknęła Francesca.

- Masz. - Cyrus wcisnął tkaninę w otwartą dłoń Shannona. Stary mag przycisnął ją kostropatym palcem i zaczął szybko ruszać rękami. Materiał zawisł w powietrzu, podtrzymywany przez magiczne zdania.

- Weź to, magistra - powiedział starzec.

Francesca chwyciła powietrze nad materiałem i rzuciła nim w stronę latarni. Cyrus patrzył, jak jeden z końców jego wstęgi mknie góry, jednak zanim się przekonał, czy jego ściągacz działa, coś powaliło go w błoto.

Zaczął się podnosić, gdy w kałużę obok niego z impetem wdepnęła duża niebieska stopa - podobna do ludzkiej, ale z czarnym szponem na pięcie. Cyrus przeturlał się, a gdy

spojrzał do góry, zobaczył stojącego nad nim kobolda z uniesionym toporem. Zaklął i przetoczył się ponownie, by wstać.

Koboldy zaczęły cofać się przed postępującymi włócznikami, nieustannie starając się przedostać poza groty włóczni. Jednak przeciwnicy byli zbyt sprawni. Jeden ze strażników trafił włócznią w ramię jednego z koboldów. Stwór się zatoczył. Cyrus w ostatniej chwili spróbował się odsunąć, ale wylądował tuż przed zakrwawionym grotem włóczni. Strażnik pchnął oręż. Cyrus odskoczył, jednak nie dość szybko - czubek broni uderzył w tkaninę na jego piersi. Krzyknął, odrzucony na bok siłą pchnięcia. Nie poczuł, by stal wbiła się w skórę. Gdy spojrzął w dół, zorientował się, że tkanina nie tylko zatrzymała uderzenie, ale też rozjarzyła się błękitnym tekstem.

Podniósł głowę. Wstęga rzucona przez Francescę lśniła strugą błękitnego światła, ściągając tekst z tkaniny, która do tej pory chroniła latarnię. Włócznik przykucnął, jakby szykował się do kolejnego pchnięcia. Cyrus zatoczył się do tyłu, ale wstęga prowadząca do czaru ściągającego była już prawie napięta. Nie mógł zaryzykować, że się oderwie, bo tym samym pozbawiłby się dodatkowego tekstu.

Niejasno zdał sobie sprawę z obecności ciemnych postaci przechodzących obok niego, by zaatakować włócznika. Był zbyt zajęty gorączkowym tworzeniem nowych bojowych poleceń w języku hierofantów. Stary mag coś krzyknął, chwilę później wrzasnął też któryś strażnik. Cyrus dostrzegł, że tarcza jednego z włóczników została rozbita. W końcu hierofanta skończył komponować swój tekstowy atak. Używając obu rąk, przeredagował czar ściągający tak, by przestał pobierać tekst, po czym zaczął przepychać bojowe polecenia w górę wstęgi. Ktoś go szturchnął i Cyrus musiał szybko odskoczyć, by nie dopuścić do wyrwania wstęgi z tkaniny.

- Celeste, bądź łaskawa - wyszeptał. Wrogi pilot szybko porusza! rękami, próbując utrzymać kontrolę nad swoją tkaniną. Przez moment Cyrus bał się, że jego polecenia ataku zawiodą, ale chwilę później tkanina owinęła się ciasno wokół lucerynowej latarni, tłumiąc jej światło.

Od kłębu oderwały się dwa duże fragmenty tkaniny, po czym z podmuchem wiatru pomknęły ku pozostałym latarniom. Strażnicy dostrzegli nadlatujące pociski i próbowali jeszcze odsunąć latarnie z ich pola rażenia, ale czary Cyrusa zostały specjalnie napisane tak, by szukać światła, więc materiały natychmiast węzowym ruchem zmieniły kurs. Błyskawicznie dotarły do latarni i owinęły się wokół nich.

Uliczka pogrążyła się w mroku. Cyrus nie widział zupełnie nic. Usłyszał tylko dwa niewielkie wybuchy, a po nich chóralny krzyk. Jego wzrok po chwili dostosował się do

ciemności. Rozejrzał się wkoło. Jeden z włóczników leżał z twarzą w błocie, drugi, który stracił tarczę, miał zatopiony w brzuchu topór. Mężczyźni trzymający latarnie zerwali się do ucieczki, ale Nikodemus gwałtownym ruchem ręki rzucił coś w ich kierunku. Za moment obaj padli na ziemię i zniknęli, pochłonięci przez czerń. Nikodemus podniósł głowę. Cyrus podążył za jego spojrzeniem aż do hierofanty; który wciąż starał się odzyskać kontrolę nad przejętą przez Cyrusa tkaniną. Niko znowu się zamachnął. Miody hierofanta nawet się nie zorientował, kiedy tekst w jego szatach zniknął i pochłonęła go ciemność. Lucerynowa latarnia, drąg, na którym ją zamocowano, i chroniąca ją tkanina spadły na ziemię. Cyrus podbiegł do nich i dzięki szybkiej edycji przeciągnął cały tekst do swoich szat.

- Zabiłeś ich? - zapytała Francesca.

- Tylko związałem czarami - odparł Nikodemus, nie patrząc na kleryczkę. - Zostaną uwolnieni rano, gdy światło wypali moje teksty. Ale włócznicy... - Urwał, marszcząc czoło i spoglądając na leżące w błocie ciała.

- Nic nie mogliśmy zrobić.

- Co się stało z tamtą kobietą? - zapytał Cyrus.

- Z Deirdre?

- Uciekła, gdy zgasły latarnie. - Nikodemus sapnął. - Wyglądała, jakby czuła ulgę. Ale nie minie wiele czasu, zanim Tajfon zmusi ją do ponownego udziału w polowaniu na likantropy. Lepiej ruszajmy. Ktoś jest ranny? - Wokół niego zbierały się ubłocone koboldy. Jeden ze stworów wskazał na małą ranę na ramieniu i wypowiedział kilka słów w swoim języku. Nie wyglądał na przejętego. Drugi kobold pokazał małą ranę w lewym boku i wzruszył ramionami. - A co z tobą, magistrze? - Nikodemus zwrócił się do Shannona.

- Może nie jestem w szczytowej formie, ale przeżyję

- odpowiedział mag.

- W takim razie uciekamy - stwierdził Nikodemus.

- Jasp, obstawisz tyły. Żyła i Żużel, zajmiecie się magistrem i kleryczką. Szum i Cyrus, dołączycie do mnie na przedzie. - Odwrócił się i pobiegł w głąb uliczki. Cyrus ruszył za nim, a po chwili obok niego znalazł się kobold - zapewne Szum, a więc ten sam, który niemal rozciął mu tchawicę w świątyni. Nikodemus wymienił kilka słów z monstrem, po czym odezwał się do Cyrusa: - Powiedz mi, jeśli zobaczysz jeszcze jakiegoś hierofantę na niebie lub na dachach. - Cyrus kiwnął głową. - Widziałem, jak wiążesz lucerynowe latarnie tkaniną pilota z dachu. Imponujące.

- Tamten pilot był niekompetentny, pewnie nowicjusz - odparł skromnie Cyrus.

Nikodemus skierował ich w kolejną uliczkę. Szli szybkim krokiem, człapiąc w kałużach i błocie.

- Tajfon rekrutuje wśród najmłodszych magów wiatru - kontynuował Nikodemus. - Wielu pochodzi z Avel. Podnieca ich pomysł, że Cala chce zdobyć niezależność od monoteizmu.

- A Cala tego nie chce? - Cyrus obejrzał się na niego.

- Mało prawdopodobne. Tajfon może wprowadzić swoją Suszę do arki bóstwa, tak właśnie przejął kontrolę nad Deirdre i jej boginią Boann. Tej samej taktyki mógł użyć w przypadku kanonistki. - Mężczyzna na chwilę zawiesił głos, po czym dodał beznamiętnie: Najlepiej przysłużysz się swojemu miastu, dołączając do nas w walce przeciw Tajfonowi.

Cyrus szedł za nim w milczeniu. Znaleźli się w zabudowanej dzielnicy Północnej Bramy, ale domy były ciemne, a ulice puste. Wszyscy dowiedzieli się już o ataku likantropów i schronili się w miejscach, które można było zabarykadować i przeczekać w nich zagrożenie.

Po przebiegnięciu około półtora kilometra Cyrus zrozumiał, że Nikodemus prowadzi ich na północny wschód, w stronę zewnętrznego muru miasta. Po drodze rozglądał się czujnie, jednak nie zauważył żadnych pilotów przyczajonych na dachach; dostrzegł tylko jedną unoszącą się w oddali lotnię. Niebo po burzy było bezksiężycowe i rozjarzone gwiazdami. Opustoszałe miasto wyglądało nierealnie, niemal jak sceneria dziwnego snu.

Nagle rozległ się krzyk kobolda. Cyrus rozpoznał głos Żyły. Nikodemus zatrzymał się przy ścianie budynku, który był chyba sklepem. Powoli zbliżyły się do nich dwa koboldy - jeden wyraźnie podtrzymywał drugiego. Nikodemus obejrzał rannego, zamienił z nim kilka zdań w obcym języku i zawołał kleryczkę.

- Jak ma na imię pacjent? - spytała spokojnie Francesca, podchodząc bliżej.

- Żyła.

- Powtórz mi wszystko, co powiedział.

- Został dźgnięty włócznią w lewy bok. Boli, ale grot nie wbił się zbyt głęboko. Stracił co najwyżej filiżankę krwi. Jednak od kiedy zaczęliśmy biec, nie może oddychać. Jego serce bije coraz szybciej. Rana po włóczni wciąż boli, ale martwi się problemami z oddychaniem. Jego stan się pogarsza.

- Co wiesz o anatomii koboldów? - zapytała Francesca. Wyglądała na bardzo skupioną.

- Oprócz widocznych różnic mają więcej mięśni niż my. Ale poza tym - z tego, co mi wiadomo - ich anatomia nie różni się od ludzkiej. A

- Każ mu się położyć - poleciła Francesca. Machnęła ręką w powietrzu i nad jej głową rozbłysło kilka iskier. Cyrus rozpoznał w nich czar świetlika. Rzucone przez nią teksty utworzyły unoszące się w powietrzu kulki. Trzy koboldy zasyczały na widok światła, odsłaniając ostre czarne zęby. - Nie zrobi wam krzywdy

- cierpkim tonem rzuciła Francesca. - Powiedz mu, żeby przestał się zachowywać jak przzerośnięty kot.

- Popatrzyła na kakografa, który również wpatrywał się w światełka jak zahipnotyzowany. - Nikodemusie! - Młodzieniec otrząsnął się i popatrzył na nią.

- Ty też będziesz syczał? Może chciałbyś taki wielki drapak? Albo olbrzymią miche mleka? Skup się! Możesz to dla mnie przetłumaczyć?

Nikodemus powiedział coś w języku koboldów i Żyła położył się na w miarę suchym kawałku ulicy. Cyrus zauważył, że kobold wydaje się starszy od pozostałych, a wzdłuż jego policzka biegnie wąska blizna. Żyła znowu powiedział kilka słów, po czym zwrócił się do Franceski:

- Mówi, że leżąc, trudniej mu się oddycha. - Francesca przyklękła i przytknęła ucho do piersi Żyły, najpierw z prawej, potem z lewej strony.

- Hierofanto - odezwał się Nikodemus - widzisz coś w powietrzu?

- Nie, nic - odparł Cyrus, obejrzawszy niebo. - Będę się rozglądał.

- Każ swoim ludziom... swoim koboldom, żeby go przytrzymali - poleciła Francesca.

- Co będziesz...

- Natychmiast! - warknęła. - Nikodemus wydał polecenia i cztery zdrowe koboldy momentalnie skoczyły do akcji: każdy przycisnął jedną z kończyn Żyły. Teraz nawet Cyrus zauważył, że ranny oddycha szybko i bardzo płytko. Mięśnie na jego szyi spinały się wyraźnie przy każdym wdechu. - Wszystko będzie w porządku - zapewniła Francesca kojącym głosem, ściskając jego dłoń. - Wszystko będzie w porządku. - Popatrzyła na jego pierś. - Nikodemusie, w świątyni wspomniałeś, że zagrażam wszystkim wokół mnie.

- Jaki to ma związek z...

- Zasugerowałaś - przerwała mu, przesuwając dłońmi nad piersią kobolda - że jestem nieostrożna, niezdarna i że naraziłam Cyrusa na niebezpieczeństwo.

Cyrus spojrział na nią, zaskoczony. Czyżby się o niego martwiła?

Nikodemus zmarszczył brwi.

- Może moglibyśmy to omówić...

- Bardzo poważnie podchodzę do swojego powołania i nigdy nie traktuję niefrasobliwie cudzego życia - powiedziała stanowczym tonem Francesca. - Szukałam cię

tylko dlatego, że Deirdre nie pozostawiła mi wyboru. Jednak teraz chciałabym wiedzieć, przeklęty Nikodemusie Wealu, kim naprawdę jesteś? Postawiłabym każdą monetę, jaka wpadnie do mojej sakiewki, że jesteś zimnokrwistym zabójcą. To, co zrobiłeś z tymi strażnikami, w ogóle cię nie poruszyło.

- Magistra... - Nikodemus odchrząknął. - Czy możesz równocześnie ratować Żyłę i mnie poniżyć? Bo jeśli nie, mogę cię zakneblować kilkoma zdaniami.

- Jestem w tej chwili tak cholernie wściekła, że chyba nie potrafiłabym go uratować bez przeklętego przez boga bogów poniżania cię!

- W takim razie raz dwa obrzuć mnie obelgami, bo on nie wygląda dobrze. A jeśli jego zdrowie nie będzie traktowane poważnie, obawiam się, że będę musiał uciec się do przemocy.

- Co prawda nie widzę żadnych lotni - wtrącił cicho Cyrus - ale jeśli się nie przyciszycie, strażnicy usłyszą nas z kilometra.

Francesca najwidoczniej zignorowała jego uwagę, bo wciąż przesuwiała dłońmi po piersi Żyły. Kobold trzymający nogę rannego powiedział coś i Nikodemus odpowiedział mu uprzejmie.

- Wiesz, Nikodemusie Wealu - kontynuowała kleryczką - fakt, że w ogóle przyszło ci do głowy grozić przemocą uzdrowicielce, sprawia, że mam ochotę zmiażdżyć ten drobny, pomarszczony i zimny narząd, który nazywasz swoim sercem.

Nikodemus zerknął na nią spod byka.

- Magistra, naprawdę nie przejmę się twoimi obelgami na temat mojego serca, pod warunkiem że uratujesz mojego ucznia.

- Typowe - prychnęła. - Mężczyzn obchodzi tylko to, co dotyczy ich narządów zewnętrznych.

Nikodemus zmarszczył czoło, zmieszany, po czym parsknął krótkim śmiechem.

- Wykazujesz bardzo nietypową reakcję na stres.

- Twój uczeń jest być może o jeden mój błąd od śmierci, a twoja twarz jest równie pozbawiona wyrazu, co pajda mokrego chleba. Powiedz mi więc, czyja reakcja jest nietypowa?

- Święte niebo... - szepnął Cyrus z naciskiem. - Może zacznijcie wrzeszczeć o tym, gdzie jesteśmy, żeby nieco ułatwić zadanie obławie polującej na likantropy...

- Zamknij się! - niemal równocześnie warknęli Francesca i Nikodemus.

Cyrus machnął rękami, zastanawiając się, jak właściwie trafił pomiędzy tę dwójkę wariatów.

Francesca posłała Nikodemusowi gniewne spojrzenie, po czym wskazała na wąską szczelinę w lewym boku Żyły.

- Grot włócznie prześliznął się między żebrami i przebił jego lewe płuco, tworząc coś w rodzaju klapy. Powietrze wychodzi przez nią z jego płuca, ale nie może wrócić.

- Zawór jednostronny? - Nikodemus zmarszczył brwi.

- Niesamowite, rozumiesz zasadę! Za każdym razem, gdy wciąga powietrze, przechodzi ono z jego płuca do klatki piersiowej. Jednak rana między żebrami jest zbyt wąska i ciasna, by wypuścić je z powrotem, więc w jego klatce narasta ciśnienie. Czemu może to być groźne?

- Groźne? Ja... czy nie powinnaś czegoś robić?

- Robię - warknęła i kiwnęła głową w stronę swoich dłoni. - Nie widzisz tekstów, które piszę w mangusie i numenosie?

- Tak, ale one... - zawahał się Nikodemus. - To znaczy ja nie...

- Więc dlaczego zwiększające się ciśnienie w klatce piersiowej może być groźne?

- Bo może zgnieść narządy w klatce piersiowej?

- niepewnie zasugerował Nikodemus.

- A jakie narządy?

- Płuco?

- Owszem, lewe płuco się zapadło. Oddycha już tylko za pomocą prawego. Jakie jeszcze narządy są zagrożone? - Zniecierpliwiona, przewróciła oczami.

- Podsunę ci przeklętą przez boga bogów wskazówkę: ty się tym narządem bynajmniej nie przejmujesz.

- Serce?

- Zdumiewające. Co jeszcze?

- Tchawica?

- Tak - wskazała na szyję kobolda. - Widzisz, jak tchawica odsunęła się od rany?

Cyrus nachylił się bliżej, ale zobaczył tylko szeroko otwarte ze strachu kocie oczy stwora. Najwyraźniej Francesca też to dostrzegła.

- Powiedz mu, że wyzdrowieje. - Nikodemus wypowiedział jakieś słowa w języku koboldów, które pomimo ostrych dźwięków zabrzmiały łagodnie. - Więc co powinniśmy zrobić dla naszego pacjenta?

- Płonące niebiosa, kleryczko! Czemu na Losa miałbym...

- Leczyłam już takich jak ty - przerwała mu - żołnierzy i bandytów. Chcesz, żebym uratowała życie, które wystawiłeś na niebezpieczeństwo? Chcesz, bym uratowała stworzenie,

które właśnie zabiło strażnika mojego miasta? Dobrze. Leczyłam już morderców i gwałcicieli. Ale choć raz, ten jeden raz, zamierzam zmusić mordercę do odpowiedzi na moje cholerne pytania! - Cyrus uważnie przyjrzał się twarzy Franceski. Nigdy jeszcze nie widział jej tak rozżłoszczonej, nawet podczas najbardziej zajadłych kłótni w czasach, gdy byli kochankami. Przesunęła dłoń od miejsca położonego pod lewym obojczykiem pacjenta do pobliskiej kałuży. Podniosła wzrok na Nikodemusa. W jej ciemnobrązowych oczach iskrzyła złość. - Zatem co chcesz zrobić dla swojego ucznia, Nikodemusie Wealu?

- W... wydostać dodatkowe powietrze z klatki piersiowej?

- Każ im przytrzymać Żyłę - poleciła, nie spuszczać wzroku z Nikodemusa. Rzucił kilka słów, a koboldy trzymające ręce i nogi Żyły wyraźnie się spięły.

Francesca uderzyła w pierś rannego. Stwór wrzasnął. Potężne mięśnie na jego rękach i nogach napięły się i szarpnęły, ale towarzysze utrzymali go w miejscu. Potem powoli się rozluźnił i Francesca zaczęła go badać. Obejrzała jego szyję, ponownie przycisnęła ucho do piersi, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. W pewnym momencie w kałuży obok kleryczki zaczęły pojawiać się pęcherzyki powietrza.

- Co to jest, na płonące niebo? - zapytał Cyrus. Jeden z koboldów powiedział coś w swoim języku. Bąble wydawały się pojawiać synchronicznie z oddechem

Żyły, jakby Francesca magicznie przeniosła jego oddech do wody.

- Widzisz moją medyczną prozę? - spytała Nikodemusa, kompletnie ignorując hierofantę.

- Widzę - przytaknął.

- Splatającymi się »zdaniami zdefiniowałam powierzchnię jego zapadniętego płuca. - Palcem wskazującym zakreśliła mały krąg na piersi pacjenta. - Natomiast nieruchomymi zdaniami wyznaczyłam powierzchnię jamy płucnej. Przestrzeń między nimi to powietrze, które zgniata mu płuco. - Nikodemus zebrał na bok swoje długie czarne włosy i nachylił się bliżej. Cyrus również się zbliżył. - Napisałam długą rurkę w magnusie - tłumaczyła dalej - i wprowadziłam ją do jego piersi. - Wskazała małą krwawiącą ranę pod lewym sutkiem kobolda. - Mogłam zmarnować czas, pisząc podczar zastawki, który wypuszczałby powietrze, jednocześnie blokując mu wejście, ale zamiast tego rozciągnęłam rurkę i wsadziłam jej koniec do wody. - Francesca wskazała kałużę z pęcherzykami powietrza. Ku swojemu zaskoczeniu Cyrus zobaczył sterczący nad jej powierzchnią słup mętnej wody. Po chwili woda opadła do kałuży i znowu pojawiły się w niej bąbelki. - Woda pełni funkcję zaworu. Gdy nasz pacjent robi wdech, podciśnienie w jego piersi może podnieść wodę zaledwie na parę centymetrów. -

Zatoczyła gestem drogę od cylindra unoszącej się wody z powrotem do pacjenta. - Jednak gdy robi wydech, naciśnięcie wypycha powietrze z rurki do kałuży.

Kobold zrobił wydech i słup wody opadł do kałuży, która od razu zabulgotała.

- Na święty kanon! - zaklął Cyrus.

- Z każdym oddechem - kobieta znowu wskazała na pierś rannego - wypycha z piersi coraz więcej powietrza, stopniowo odzyskując płuco.

- Jednym słowem stworzyłaś przetokę, która konkuruje z przebicciem jego płuca. - Nikodemus w zdumieniu patrzył na kałużę.

Cyrus podzielał podziw pobrzmiewający w jego głosie. Nigdy jeszcze nie widział Franceski w tak poważnej akcji medycznej.

- Jednym słowem tak. - Ukłoniła się uprzejmie i spojrzała na Nikodemusa, który szybko przemówił do czterech koboldów. Stwory popatrzyły na Francescę z zaskoczeniem w kocich oczach.

Nikodemus znowu przyjrzał się Żyle. Wymienili kilka zdań, po czym podszedł jeszcze bliżej, przenosząc wzrok z piersi kobołda na kałużę.

- Magistra - odezwał się cicho - twoja proza jest... - Uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć jakiegoś zdania na piersi kobołda, ale się powstrzymał. Popatrzył na kleryczkę, przesuwając wzrokiem po twarzy, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. - Twoja proza jest naprawdę piękna.

Cyrus nieoczekiwanie poczuł, że jego twarz płonie, a dłonie same zaciskają się w pięści.

Francesca patrzyła na błękitny księżyc, wiszący na niebie niczym nagie ostrze pośród tysięcy gwiazd. Zatrzymali się na odpoczynek pod północnym murem. Wkrótce na niebie pojawi się również biały księżyc, z sierpem trzykrotnie większym, choć zaledwie w połowie tak jasnym.

Stan Żyły uległ poprawie, jednak gdy biegli, w jego piersi znowu nagromadziło się powietrze. Zatrzymali się więc pod ścianą przy kałuży i Francesca ponownie opróżniła jego pierś z nadmiaru powietrza. Gdy tylko tu dotarli, Nikodemus wymienił porozumiewawcze znaki z wartownikiem, który zignorował grupę. Za nimi rozciągał się labirynt ciemnych szop i opuszczonych ulic. Kanicy jeszcze nie wyłonili się ze swoich zabarykadowanych domów.

Francesca ujęła szorstką dłoń swojego pacjenta, po czym upewniła się, że żyły na jego szyi zapadają się podczas wdechu, co świadczyło o tym, że nic nie wywiera ciśnienia na jego serce.

Jej własne gardło zacisnęło się na wspomnienie wystających żył na szyi umierającej Deirdre. Francescę przepełniła gorycz rozczarowania. Tak bardzo się starała - tyle nauki,

znoszenie humorów przełożonych i pacjentów, bezsenne noce, tak wiele bezsennych nocy - i wszystko to w nadziei, że stanie się kimś wyjątkowym. Jednak nie udało jej się uratować Deirdre, co jasno świadczyło o tym, że była nikim więcej niż tylko kompetentną lekarką.

Odetchnęła głęboko, by odgonić te żałosne myśli, i jeszcze raz spojrzała na szyję kobolda: jego żyły chowały się przy każdym wdechu.

- Badzie coraz lepiej - wyszeptała i ścisnęła jego dłoń. Wyczuła, że schował szpony. Popatrzył na nią pięknymi, złotymi oczami. Jego blond włosy pociemniały od błota. Kiwnął głową. Jeszcze raz ścisnęła jego dłoń, a on odpowiedział tym samym. Przez jedną chwilę zobaczyła jego ciało w kilku wersjach alternatywnej przyszłości - w każdej na krótką metę było zdrowe. Największe niebezpieczeństwo minęło. Ten jej dziwny talent do rokowań był czymś, co wyróżniało ją spośród innych lekarzy. Przynajmniej to ją pocieszało. - Trzymaj się - wyszeptała, podnosząc się. Cztery pozostałe koboldy siedziały w kuckach pod ścianą. Wszystkie przyglądały się jej dużymi żółtymi oczami. Nie potrafiła odczytać wyrazu ich twarzy. Zainteresowanie? Obawa? Kiwnęła im głową i odeszła. Chciała być sama.

Po niebie przesuwawała się ciemna chmura, zmieniając swój kształt z senną płynnością. Rześkie powietrze niesło zapach typowy po burzy - czysty i pobudzający.

- Magistra.

Słyszając głos, Francesca prawie podskoczyła.

- Mógłbyś pozbyć się podtekstów, kiedy do mnie podchodzisz?

- Przepraszam. - Ciemność się rozwinęła, odsłaniając postać Nikodemusa. Kleryczka przyjrzała mu się uważnie. On też utkwił w niej ciemnozielone oczy.}

- Czego chcesz? - spytała.

- Jak się czuje Żyła?

- Sam najlepiej ci odpowie na to pytanie.

- Dziękuję, że go uratowałaś - powiedział Nikodemus. - Jest nam drogi.

Wyraz twarzy Franceski nieco złagodniał. Kiwnęła głową.

- Chyba rozumie, co do niego mówię, choć sam się do mnie nie odzywa.

- Wszystkie koboldy rozumieją naszą mowę, ale nie będą z tobą rozmawiać - wyjaśnił.

- Proszę, nie zrozum ich źle. Są bardzo wdzięczne za to, co zrobiłaś dla Żyły, ale instynktownie nie ufają ludziom.

- Nie potrafię odczytać wyrazu ich twarzy

- Bo nie chcą, by ktoś go odczytywał. Ich starożytna cywilizacja została zniszczona przez legiony imperium Neosolarnego. Jesteśmy ich demonami.

- Ale nie ty? Ty jesteś dla nich dobrym demonem.

- Uznaliby twoje stwierdzenie za zabawne. - Nikodemus się uśmiechnął. - Ma to pewien związek z ich przepowiedniami. Proszę, wybaczyć im tajemniczość. Powiedz, możemy bezpiecznie przenieść Żyłę na drugą stronę muru?

- Jeśli nie będzie to zbyt męczące. Dochodzi do siebie szybciej niż człowiek. Jeśli będziemy dalej usuwać powietrze z jego klatki piersiowej, ciało może samodzielnie zregenerować przebite płuco. Żeby mieć pewność, że rana się zamknie, chcę użyć specjalistycznego tekstudo jej zaszycia.

- Możesz to zrobić teraz?

Francesca potrząsnęła głową.

- Najlepiej byłoby zabrać go do szpitala, ale jeśli...

- Nie, Deirdre wciąż tam jest - wtrącił.

-...jeśli uda mi się zdobyć trochę tekstów ze szpitalnej biblioteki, będę mogła zrobić to tutaj.

- Jak długo to potrwa? - Nikodemus spojrzał na Żyłę.

- Większą część dnia. Pokażę magistrowi Shannonowi, jak obsługiwać czar spuszcający, żeby mógł robić to do mojego powrotu.

- Wieczorem nie będzie nas tutaj. - Nikodemus popatrzył na Francescę.

- A gdzie będziecie?

- Gdzie indziej.

- Naprawdę przykładasz wagę do tej całej tajemniczości, prawda?

- Myślisz, że powinienem ci zaufać? Zdradzić miejsce naszego ukrycia? - Kleryczką kiwnęła głową. - Czy możesz mi powiedzieć o sobie coś więcej, magistra?

- Wiesz już wszystko. - Złożyła ręce. - Urodziłam się na Spalonych Wzgórzach, szkoliłam w Astrophell, potem byłam w Port Mercy, teraz jestem tutaj.

- Niczego nie pominęłaś?

- No dobrze, rozgryzłeś mnie - powiedziała z przesadnym entuzjazmem. - Zapomniałam wspomnieć, że podczas pełni zmieniam się w trzymetrowego zionącego ogniem przeklętego przez boga bogów ziemniaka.

- Och. - Nikodemus zachował powagę. - Jesteś niedopieczonym potworem czy może zioniesz również na siebie?

- To było niesmaczne. - Francesca posłała muskwaszone spojrzenie.

- Żart czy niedopieczony ziemniak?

- Przestań już to wałkować.

- Dobrze powiedziane. - W końcu się roześmiał.

- Wygląda na to, że mamy zbliżone poczucie humoru. Może jednak zdołamy cię porozumieć.

- Masz rację, dzielenie zamiłowania do kiepskich żartów stanowi fantastyczną podstawę do zbudowania przyjaźni - odparła kąśliwie. - Nie poddawaj się, jestem pewna, że w końcu znajdziesz kogoś z podobnym poczuciem humoru.

- Tyle jadu, a jednocześnie tak wiele łagodności i współczucia dla pacjentów. - Nikodemus znowu się roześmiał.

- Nie wiem, nigdy cię przy żadnym nie widziałam

- odcięła się.

- Mówiłem o tobie.

- Och, doprawdy? Umilkł na chwilę.

- Magistra, coś jest z tobą nie tak.

- Ty za to uroczo postępujesz z kobietami.

- Wybacz mi, ale... wydajesz się bardziej pełna życia niż ktokolwiek, kogo spotkałem.

Rzekłbym, że jesteś zbyt żywa.

- Przestań, sprawiasz, że się czerwienię. - Kleryczka zasłoniła twarz.

- Nie mówię tego... - Przerwał i zmarszczył brwi.

- Wiesz, czym jest prajęzyk, magistra?

- To błuźnierstwo.

- Tak cię nauczono. Jednak my odkryliśmy, że jest prawdziwy. Prajęzyk to pierwszy z języków, język, w którym stworzone są wszystkie żyjące istoty.

Dowiedziałem się, że na jego zdania składają się cztery runy. Dostrzegam ich blask we wszystkim, co żyje.

- Uroczo - mruknęła Francesca. - Naprawdę brakuje ci kilku klepek. - Nikodemus zmarszczył brwi, jakby jej nie zrozumiał. - Masz nierówno pod sufitem?

- podsunęła. - Kombinujesz jak koń pod górkę z pustym wozem? Na łby się z osłem pozamieniałeś? Gdyby głupota uskrzydlała, nie potrzebowałbyś hierofanty? Bliżej ci do młotka niż do siekiery? Nie znajdziesz własnego tyłka nawet z mapą i latarnią?

- Dobra, dobra. Już rozumiem.

- Czyli naprawdę wierzysz, że jesteś Zimorodkiem, zbawcą, który uratuje nas przed hordami demonów?

- spytała radosnym głosem.

Nikodemus potrząsnął głową.

- Przepowiednia nie mówi o ludziach i demonach ani nawet o dobru i złu. Chodzi o dwie sprzeczne koncepcje funkcjonowania języka.

- No dobrze, myślałam się z tą mapą i latarnią. Myślę, że lepszym opisem byłoby... Och, sama nie wiem... Spadł z drabiny, uderzając po drodze głową o każdy szczebel?

- Słyszałaś, co Deirdre powiedziała o Tajfonie? Uniemożliwia powstawanie błędów w prajęzyku. Demon chce zmienić podstawę życia.

- A ty możesz przywrócić porządek w demonicznym chaosie? - Francesca westchnęła.

- Wręcz przeciwnie - odpapł. - W tej chwili sam jestem siłą chaosu. Gdy byłem niemowlęciem, Tajfon skradł moją zdolność poprawnego pisania. Uwięził ją w Szmaragdzie z Aarahest. Teraz jestem Nawałnikiem Burzowym z kontrprzepowiedni. Tylko po odzyskaniu szmaragdu mogę stać się siłą porządku. - Mówił z prawdziwą pasją. Jego oczy otworzyły się szerzej, a oddech przyspieszył.

- Jaaasne. - Francesca wolno kiwała głową.

- To napisz numenosowy czar odportry na dysczar, na błędy pisowni. Nie musi być funkcjonalny - zaproponował.

- Każdy praktykant potrafiłby napisać niedziałający czar, którego nie potrafiłby zdysczarować nawet lord kanclerz.

- Więc zrób to. - Francesca napisała w bicepsie kilka numenosowych zdań, założyła je wewnętrznie i splotła wszystkie słowa. Stworzyła w ten sposób lśniący piętnastocentymetrowy kawałek bezużytecznego języka. Nikodemus popatrzył na tekst. - Teraz rzuć go między nas.

- Nie będziesz w stanie go odczarować - zaproponowała.

- Po prostu go rzuć. - Wzruszyła ramionami i upuściła złoty czar. Lśniące słowa powoli opadały przez ciemność. Nikodemus delikatnie dotknął czaru palcem wskazującym i proza rozpadła się na tysiąc kawałków. Francesca odskoczyła, osłaniając twarz. - Już możesz spojrzeć.

Powoli opuściła rękę. Z czaru nie została nawet drobina.

- Stwórco! - Kleryczka popatrzyła na Nikodemusa, spodziewając się, że będzie z siebie zadowolony, ale on patrzył tylko na nią smutnym wzrokiem. Widziała już to spojrzenie u niezliczonych chorych i umierających pacjentów. Nagle załała ją fala współczucia. Ten człowiek boleśnie zdawał sobie sprawę z własnej ułomności. - Twoja kakografia...? - spytała, zszokowana.

- Mogę się skupić na tekście, a on po prostu się rozpada, wybucha lub potwornieje.

- A czary rzucane przez ciebie i koboldy? Podteksty i czary wybuchowe?

- Nie jestem kaleką w ich językach. Ale one funkcjonują tylko w ciemności i odciskają swoje piętno na skórze. - Postukał się po piersi.

W pierwszej chwili Francesca nie zauważyła nic dziwnego, jednak gdy się nachyliła, dostrzegła, że skóra Nikodemusa usiana jest drobnymi bliznami. Trudno było je zobaczyć w ciemności.

- Jak twoja kakografia wpływa na prąjczyk? - zapytała, uświadamiając sobie, że podświadomie używa uspokajającego głosu lekarki.

- Zniekształcam go w równym stopniu, co języki magów. - Rozejrzył się wokół. - Mógłbym ci pokazać, gdyby był tu jakiś owad lub roślina. Mógłbym...

- przerwał, skupiając wzrok na czymś nad jej ramieniem.

Francesca odwróciła się, podążając za jego spojrzeniem, ale w ciemności niczego nie dostrzegła.

- O co chodzi? Jest tam ktoś? - spytała.

- Widzisz tego kota na dachu, magistra? - Spojrzała we wskazanym kierunku, ale zobaczyła tylko jaśniejszą plamę na czarnym dachu. - Coś jest nie... Nie jestem pewien. - Nikodemus popatrzył na nią uważnie.

- Czy zauważyłaś, że kręci się przy tobie szary kot?

- Miasto pełne jest bezdomnych kotów.

- Mam na myśli jednego.!

- Nie. Do czego zmierzasz?

- Sam nie wiem, może się mylę. - Zacisnął usta w wąską linię.

- Ale w jakiej sprawie?

- Nieważne - machnął ręką. - Wracając do prąjczyka, może uda mi się dotknąć jednego z koboldów. Szum powinien mi na to pozwolić. Koboldy są odporne na to, co tworzy mój dotyk. Są w stanie to wyrwać, choć to dość niepokojący widok.

- Ale gdy dotykasz istot innych niż koboldy, robisz im krzywdę?

- Zabijam je. Zniekształcam teksty prąjczyka, wywołując raki: duże, podobne do wrzodów, ciemne od śmierci. Jest taki termin używany przez kleryków, który oznacza martwą tkankę w żywej...

- Martwica - dokończyła lekarka.

- Tak, martwica. - Nie patrzył na nią. - Raki stają się martwicze.

Francesca gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy zrozumiała powiązanie.

- Magister Shannon ma raki - powiedziała cicho.

- Skąd o tym wiesz? - W oczach Nikodemusa błysnęło jeszcze większe przejęcie.

- Jego twarz i ciało są wyniszczone - wyjaśniła.

- Słabość. To stan wyniszczenia mięśni, w jaki ciało wkracza podczas walki z rakami. Nazywamy to charłactwem. - Nikodemus zamknął oczy i wykrzywił kąciki ust w smutnym uśmiechu. Francesca widywała taką minę setki razy. - Dotknąłeś magistra Shannona?

- zapytała łagodnie. - To dlatego cierpi na raki?

- Nie - odparł. - Stwór ze starożytnego kontynentu, którego zwą Fellwrothem, użył Szmaragdu z Aarahest do rzucenia na magistra klątwy rakowej. Kiedy odzyskam szmaragd, będę mógł go uleczyć. - Odwrócił wzrok w stronę odległego sanktuarium. - To kolejny powód, dla którego nic nas nie powstrzyma przed odzyskaniem klejnotu. - Popatrzył na kleryczkę i zamrugał.

Francesca poczuła, jak wraca do siebie. Ten mężczyzna nie był jej pacjentem.

- Jaki to ma związek z tym, co Deirdre powiedziała dwóch smokach? - spytała już neutralnym głosem.

- Tajfon używa szmaragdu do tworzenia smoków.

- Nikodemus ponownie spojrział w stronę sanktuarium.

- Dziesięć lat temu jeden z nich zaatakował Trillinon. Jednak smoki wcale nie są tym, czym myślisz. Tak naprawdę trudno wyjaśnić czym...

Francesca przewróciła oczami.

- Tak, tak, Deirdre wyłożyła mi już temat: smoki to nie olbrzymi piromani w skórze gadów, ale niczym nieograniczone wcielenia wszystkiego, co niebezpieczne częściowo niezrozumiałe. W dodatku potrafią zmieniać sposób myślenia ludzi, czego dowodem są Sawannowy Potwór i afazja.

- To mniej więcej streszcza problem. - Nikodemus się uśmiechnął. - Gdy Tajfon ukradł mi szmaragd, wiedzieliśmy, że ma w sobie dość mocy, by stworzyć półsmoka. Po przybyciu do Avel spodziewaliśmy się napotkać taką istotę. Jednak bestia jest znacznie potężniejsza, niż myśleliśmy.

- Chcesz powiedzieć, że Sawannowy Potwór istniał jeszcze przed przybyciem Tajfona do Avel? - Francesca przygryzła wargi.

- Z tego, co mówią Kanicy, jest bardzo stary - potwierdził młodzieniec, kiwając głową. - Doprowadza ludzi do szaleństwa od setek lat. Jednak kiedyś, zanim dziesięć lat temu pojawił się Tajfon, potwór nie powodował afazji.

- Czyli Tajfon przybył, posiadał kanonistkę Całę i przekształcił Sawannowego Potwora w półsmoka?

- spytała kleryczka.

- Tak przypuszczamy. - Nikodemus umilkł na chwilę. - Niektóre jego aspekty są dość zwyczajne, czasem wręcz żalodne. Jednak ponieważ zaczął swój żywot jako bestia wzbudzający szaleństwo, częściowa demoniczna transformacja zmieniła jego umysł w groteskową potęgę braku percepcji i zrozumienia.

- I to wszystko? - rzuciła Francesca z cichym sapnięciem. Jej ton był tak obojętny, jakby właśnie usłyszała argumentację dla podwyżki ceny chleba. - A teraz, Nikodemusie, dowiedziałeś się, że smoki są dwa. Oczywiście, jeśli ufasz moim słowom.

- Ufam Deirdre. - Nikodemus spojrzał jej w oczy.

- Wiem, że twoja wiadomość pochodzi od niej.

- Kochasz ją? - spytała nieoczekiwanie dla samej siebie.

- Oczywiście.

- Mówisz to tak, jakbyś zamawiał stek.

- Deirdre mnie ocaliła. - Nikodemus poruszył się niespokojnie. - Jej dawny ukochany, druid Kyran, poświęcił się, by zachować mnie przy życiu. Jestem jej winien dożygonną miłość.

- Wzruszające. - Francesca wcale nie czuła się poruszona.

- Za murami miasta mieszkamy z Boann: rzeczną boginią, która kiedyś uczyniła Deirdre swoim awatarem. Dziękuję ognistą miłość, o której zapewne chciałabyś usłyszeć.

- Jesteś zazdrosny o tę więź?

- Nie. Widzę, jak bolesna jest dla nich każda rozłąka

- powiedział, po czym zmrużył oczy. - Wydaje mi się czy nagle zrobiłaś się bardzo wścibska?

Powiew wiatru sprawił, że Francesca poczuła chłód i ciaśniej owinęła się swoją szatą.

- Nie potrafię cię ocenić, Nikodemusie Wealu.

- Nie ma takiej potrzeby. Kieruję się wielką nadzieją, mając do dyspozycji niewielkie zasoby i umiejętności.

- Przyjrzał się jej bacznie. - Jesteś pewna, że nigdy nie spotkałaś lornijskiej kobiety imieniem April? Była nauczycielką w północnowschodniej Spirii.

- Mówiłam już, że nie - odparła. - Czemu o nią dopytujesz?

- Była moją guwernantką, gdy byłem mały. - Zlustrował ją spojrzeniem. - Wyglądała tak jak ty: długie brązowe włosy, delikatne rysy.

Francesca miała ochotę osłonić się przed jego spojrzeniem.

- To takie ważne? - spytała.

- Pewnie nie. Po prostu dziwne.

- No dobrze. - Francesca westchnęła głośno.

- Chciałabym opowiedzieć ci o czymś jeszcze. Opisała pokrótce swoją ewakuację do wiatrowego ogrodu i dokowanie okrętu wojennego.

- Chodzi o tę Pustułkę, którą widzieliśmy przelatującą nad miastem? - spytał Niko.

- "Lanca Królowej". - Kiwnęła głową. - Wiozła dwoje pasażerów, magów. To dziwny zbieg okoliczności, że przybyli...

- To nie jest zbieg okoliczności - uciął. - Kim oni są?

- Kobieta nazywa się Vivian Niyol, miała na sobie szaty zastępczyni wicekanclerza. Wysoka, o oliwkowej karnacji, z długimi siwymi włosami i oczami pokrytymi bielmem. Jak na przeżyte miliony lat, jest całkiem zwawa i błyskotliwie posługuje się słowami.

- W twoich ustach to wyjątkowy komplement

- zauważył.

- Druga czarna szata to mężczyzna, wielki mag. Młodszy, bardzo przystojny, ciemnoskóry, z długimi dreadami. Miał wyszyty białą kaptur lingwisty. Nazywa się...

- Lotannu Akoma - dokończył za nią Nikodemus. - Niech to szlag!

- Znasz go?

- Słyszałem o nim. Magister Akoma to ekspert w zakresie poznania czwartorzędowego. Był jednym z najbłyskotliwszych studentów Shannona w Astrophell. W ciągu ostatnich paru lat dokonał przełomu w zakresie czarów pozwalających na wykrywanie poznania czwartorzędowego.

- Chwila, chwila. - Francesca uniosła ręce. - Skoro przemykasz się po Avel, skąd możesz wiedzieć, co dzieje się w akademii?

- Mamy agenta w Astrophell - wyjął.

- I tak po prostu mi o tym mówisz?

- Moja przyrodnia siostra i tak to podejrzewa. - Nikodemus wzruszył ramionami. - Od lat utrudnia nam łączność. Na szczęście otrzymaliśmy od naszego Agenta wiadomość, że trafiła do Ogun i spotyka się z wysłannikami ze Starhaven i Starfall. Mamy więc pewność, że nie krąży w pobliżu Avel...

- I dotarliśmy do tej części rozmowy, w której powiesz mi, kim na płonące niebiosa jest twoja siostra przyrodnia - przerwała mu Francesca.

- Ty naprawdę nie masz pojęcia, w co zostałaś wplątana. - Usta Nikodemusa wykrzywił uśmiezek.

- Najmniejszego - odparła spokojnie. - I właśnie dlatego, na boga bogów, wszystko mi teraz wyjaśnisz.

- Moja siostra przyrodnia była wychowywana w Astrophell. Nigdy jej nie spotkałem, nigdy nie słyszałem, jak wygląda ani nawet nie poznałem jej imienia...ponieważ jest Zimorodkiem.

- Czym? - Francesca prawie się zakrztusiła.

- No... może bardziej Zimorodkiemwoczekiwaniu.

- Nikodemus znowu się uśmiechnął. - Frakcja kontrprzepowiedni we współpracy z kilkoma starożytnymi bóstwami stworzyła coś, co nazwali Sojuszem Boskich Heretyków. Zaprzysięgli jej wierność jako Zimorodkowi.

- Czemu świat o tym nie słyszał?

- Starcia wewnętrzne akademickiej polityki. Moja siostra przyrodnia, tak jak ja, jest biegła w prajęzyku, a jak sama wiesz, większość uważa go za bluźnierstwo. Musi być bardzo ostrożna, ujawniając swą prawdziwą naturę.

Francesca zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Z powodu kontrprzepowiedni twoja siostra uważa cię za Nawałnika Burzowego, czempiona demonów?

- spytała.

- Oraz jej prawdopodobnego zabójcę - dodał. - Stąd agenci, którzy szukają mnie we wszystkich królestwach. Jednak to nie ja jestem największym zagrożeniem dla mojej siostry, ale Hakeem.

- To wszystko nie ma sensu, Nikodemusie - odparła. - Hakeem to bóg patron magów. Zimorodek będzie jego czempionem.

- Właśnie w tym problem. - Nikodemus uśmiechnął się szeroko. - Sojusz Boskich Heretyków nie jest częścią akademii magów. Jeśli Hakeem zacznie podejrzewać, że jej bóstwa infiltrują jego zakon, zniszczy moją siostrę, nie zważając na przepowiednię. Tak więc ona i jej sojusznicy muszą dowieść, że jest Zimorodkiem. Oczywiście nie zdoła dowieść, że jej przeznaczeniem jest zabijanie demonów, jeśli żadnego nie znajdzie.

- No cóż, twoje halucynacje są przynajmniej wewnętrznie spójne. - Francesca zamknęła oczy, jakby chciała sobie to wszystko poukładać. - Siły twojej przyrodniej siostry szukają Tajfona, by mogła podjąć z nim walkę, a wyciągając go na światło dzienne, zdołają proklamować swoją przywódczynię Zimorodkiem z przepowiedni.

- Dokładnie - stwierdził. - Jednak wygląda na to, że jak na gusta mieszkańców Starfall, zbyt szybko gromadzi wpływy. Dlatego właśnie jest w Ogun i rozmawia z magami.

- Czemu?

- Według naszego agenta opozycja do przywództwa Astrophell w kontrprzepowiedni zebrała się w Starfall, szukając sojuszników na południu. Najodważniejsze pogłoski mówią o utworzeniu frakcji separatystów, którzy chcą zjednoczyć Starfall i Star haven w Lidze Starfall, odrywając południowych magów od Astrophell.

Francesca przycisnęła dłoń do czoła.

- Po co w takim razie wysyłać Vivian Niyol i Lotannu Akome do Avel?

- Domyślam się, że polują na smoka. Dlatego ich okręt pojawił się właśnie wtedy, gdy Sawannowy Potwór zaatakował sanktuarium.

- Powiedzieli mi, że szukają tu ciebie - wyznała Francesca.

- Podejrzewają mnie o stworzenie albo pomoc w stworzeniu półsmoka. - Nikodemus wzruszył ramionami. - Spodziewają się znaleźć mnie w pobliżu.

Francesce nadal nie podobało się to wszystko.

- Ale skąd mogli wiedzieć? Jakim cudem dotarli tu tak szybko?

- Przypuszczam, że magister Akoma napisał jakiś podgląd poznania czwartorzędowego - odparł Nikodemus. - Może konstrukty tekstowe, które ostrzegły go za pomocą stacji kolaboris w Avel.

W głowie Franceski pojawiła się nagła myśl, wywołując uśmiech na jej twarzy.

- Chyba właśnie rozgryzłam kwestię drugiego smoka.

- Jak to?

- Jeśli Lotannu widzi myśli czwartorzędowe, a smoki je wywołują, to powinien być w stanie zobaczyć zarówno Sawannowego Potwora, jak i tego drugiego smoka.

- Chcesz poprosić ich o pomoc w odszukaniu drugiego smoka? - spytał Nikodemus po dłuższej chwili milczenia. - Kleryczka kiwnęła głową. - Deirdre powiedziała, że pomożesz mi uniknąć drugiego smoka.

- Więc pewnie powinieneś mnie słuchać. - Mężczyzna przygryzł wargę. - Wyjawię ci jeszcze jedną informację - dodała Francesca. - Może zdołasz bardziej mi zaufać. Ktoś płaci zdesperowanym Kanikom za przemykanie do Avel arkuszy stali nasyconych runami mistrzów kowalskich. - Wyciągnęła z torebki przy pasie arkusz metalu.

- O szlag... - wyszeptał Nikodemus. W jego głosie Francesca usłyszała wystraszonego chłopca, którym z pewnością kiedyś był.

- Miałam nadzieję, że rozwiążesz dla mnie tę zagadkę. - Zmarszczyła brwi. - Jednak wyraz twojej twarzy jest teraz niczym kopniak w krocze tej nadziei. Masz jakiś pomysł, kto może przemycać lornijską stal do Avel?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - powiedział powoli, nie spuszczać wzroku z kawałka stali.

- To cudownie - sapnęła.

- Jeśli jest w to zamieszany Lorn, to sytuacja jest jeszcze gorsza, niż sądziłem. Musimy działać szybko.

- Mówisz to, bo chcesz sam siebie przekonać, że powinieneś pozwolić mi na powrót i sprawdzenie, czego mogę się dowiedzieć od Lotannu, prawda? - Teraz to Nikodemus zmarszczył brwi. - Nie zapominaj - dodała - że muszę zdotfyć teksty, które zamkną ranę w płucu Żyły.

- Owszem - zgodził się. - Powiemy ci, gdzie będziesz mogła się z nami jutro spotkać. Przerzucimy cię przez mur. Ale musisz przyjść sama, bez żadnego towarzystwa, bo inaczej...

- Znikniesz - dokończyła i w dramatycznym geście uniosła pięść, po czym gwałtownie rozpostarła palce

- jak dym na wietrze. Mogę się wymknąć ogonowi Vivian. Już raz to zrobiłam.

Niko spojrział na koboldy przykucnięte teraz wokół Żyły, a potem znowu na Francescę.

- Powiesz mi wreszcie, czym naprawdę jesteś?

- Święte płomienie, czy ty nigdy nie odpuszczisz?

- W geście irytacji wyrzuciła ręce do góry. - Przecież wiesz już wszystko o tym, kim jestem i skąd pochodzę.

- Nie, wcale nie - odparł, z uwagą studiując jej twarz. - I zakładając, że nie jesteś wyjątkową kłamczuchą, ty też tego nie wiesz.

- Czy w Starhaven zaliczyłeś jakieś specjalne zajęcia z prowadzenia aroganckich rozmów? Bo potrafisz sprawić, że czuję się...

- Magistra - przerwał jej - przypominam, że w moich oczach wszystkie żywe istoty jarzą się tekstem prąjczyka. To dlatego wciąż pytam, kim i czym jesteś. Bo wiem, że coś jest z tobą nie tak.

- Co masz na myśli? - spytała niepewnie.

- Świecisz zbyt jasno. Twoje teksty w prąjczyku świecą jaśniej niż u jakiegokolwiek żywej istoty, jaką spotkałem.

- Co to znaczy?

- Nie jestem pewien. - Spojrzeniem ciemnozielonych oczu znów przesunął po jej ciele.

- Jesteś po prostu zbyt pełna życia, magistra.

- Pewnie mówisz to wszystkim dziewczynom - rzuciła prawie z kokieterią.

Już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nagle znieruchomiał. Zmrużył oczy i ponownie nachylił się do przodu, patrząc nad jej ramieniem.

Odwróciła się.

- Znowu patrzysz na tego szarego kota?

- To chyba nie jest kot. Spójrz.

Tym razem zauważyła go między dwoma chatkami.

- Jeśli to nie kot, najwyraźniej skorzystał z twoich genialnych wskazówek dotyczących noszenia ciała kota.

- To wygląda jak kot - zgodził się Nikodemus.

- I tak się porusza. Chyba można pokusić się o przypuszczenie, że nas śledzi. A może tylko ciebie? - Urwał na chwilę. - Gdy przejdziemy przez mur, wróć w stronę sanktuarium. Odkryj, kto nas obserwuje.

- Wyjaśnij mi to? - zapyłała. - Czy może mam się skonsultować z wróżką, specjalistką od zagadek Nikodemusa Weala?

- Ten kotopodobny stwór jest pod jednym względem wyjątkowy - odpowiedział Niko bez cienia emocji.

- Nie jest żywy. o, na święte niebiosa, masz na myśli, mówiąc, że obserwuje nas kot, który nie jest żywy? - zapytał Cyrus.

Francesca przykucnęła obok niego, kilka kroków od koboldów, którzy wciąż zebrani byli wokół Żyły. Nieco dalej Nikodemus rozmawiał z Shannonem. Kotktórybyćmożeniebyłkotem skrył się w cieniach.

- Po prostu powiedz, czy widzisz między szopami jakieś hierofantyczne czary - zapytała Francesca głosem pozbawionym emocji.

- Nie - uprzejmie odpowiedział Cyrus. - Tam jest zupełnie ciemno.

- Nawet upodtekstowionych?

- Nawet upodtekstowionych. Myślisz, że to konstrukt z płótna? Hierofantyczny twór w rodzaju zaawansowanego latawca bojowego?

- Nie, jeśli nie widzisz jego tekstu. - Kleryczką zaczęła masować sobie skronie.

- Skąd Nikodemus wie, że on nie jest żywy? - spytał Cyrus.

- Nie widzi w tym stworze jarzącego się prążyka.

- To jakieś szaleństwo - zachnął się. - Prążyk jest bluźnierstwem.

- Niko powiedział, że może dowieść jego prawdziwości, dotykając jednego z koboldów.

- Może to zwykły magiczny gargulec.

Francesca potrząsnęła głową.

- Wówczas Shannon widziałby jego prozę - powiedziała. - Utrata ludzkiego wzroku zwiększyła jego wrażliwość na tekst magiczny.

- Jeśli więc nie jest to gargulec ani nic żywego, to co?

- Ile masz tekstu w swoich szatach? - westchnęła.

- Ukradłem sporą ilość pilotowi z latarnią lucerynową - odpowiedział Cyrus. - Dość, by wznieść się na piętnaście metrów. Czemu pytasz?

- Mam plan.

Pół godziny później Francesca i Cyrus opuścili grupę Nikodemusa i ruszyli w stronę sanktuarium, rozglądając się za miejscem, w którym mogliby spędzić noc. Chłodny wiatr przybrał na sile i sierpy półksiężyców oświetlały sunącą po ziemi rzekę chmur. Nadchodziła kolejna burza.

- Nie zapominaj, że masz do czynienia z człowiekiem, który sądzi, że wedle przepowiedni ma zbawić świat, a do tego biega z nagim torsem w towarzystwie niebieskoskórych bestii - rzucił Cyrus z pogardą. - Nie możesz ufać jego słowom.

- Widziałeś, co jego dotyk zrobił z ręką kobolda. Widziałeś raka, którego wywołał. - Francesca zadrżała na wspomnienie zdeformowanej tkanki, która wyłoniła się ze skóry kobolda, i mokrego dźwięku towarzyszącego jej oderwaniu.

- To było niepokojące. - Cyrus westchnął, a jego chusta nieco się uniosła. - Ale to nie znaczy jeszcze, że powinniśmy mu ufać. - Omijali większe kałuże, rozpryskując stopami te pomniejsze. Nad nimi leciało kilka kruków. Pociągnął nosem. - Pomyśl sama: „Świecisz zbyt jasno”? „Jesteś bardziej pełna życia niż ktokolwiek inny”? Kto poza bohaterami rycerskich romansów mówi w taki sposób? Nie powiedział czasem, że twoje oczy lśnią jak gwiazdy?

- Nie bądź głupi - warknęła klery czka.

- Więc może chociaż porównał twój uśmiech do promieni słońca?

- Nie. Na szczęście nie porównał też moich piersi do białego i niebieskiego księżyca, czego akurat nie mam mu za złe, bo choć piersi żadnej kobiety nie są idealnie symetryczne, wolę wierzyć, że moje boskie ciało jest bardziej zrównoważone niż te dwa. - Kiwnęła głową w stronę nieba. - Zresztą, co złego widzisz w rycerskich romansach? To najlepsze, co stworzył Lorn. Sam kupiłeś mi kiedyś jeden.

- Srebrną tarczę Isabelli Gawan - potwierdził Cyrus. - Bardzo ci się podobała. Jeśli dobrze pamiętam, przeczytałaś ją w dwa dni.

- W przeciwieństwie do ciebie - odcięła się. - Skończyłaś ją w ogóle?

- Nie żebym nie próbował. Ale wszystkie te wymyślone imiona i kraje wydały mi się trochę... głupie.

- Gawan jest genialna - upierała się Francesca. - Powinnam dać ci Ognisty miecz Roberta DeRigby, to bardziej męska lektura.

- Dałaś - odparł niewinnie Cyrus. - Tego też nie udało mi się przeczytać.

- Szkoda... Ale co do Nikodemusa uważam, że przesadzasz. Wewnątrz jest cały zmrożony. Niezależnie od tego, czy ta przepowiednia jest prawdą, czy nie, on w nią wierzy. To przez nią zmienił się w zabójcę. Choć trzeba przyznać, że równocześnie jest nadętym aroganckim draniem z manią wielkości.

- Czy to oficjalna diagnoza, kleryczko?

- Pewnie masz rację, Cyrusie. - Francesca westchnęła. - Pewnie łatwiej jest mi widzieć patologię, nie prawdziwą osobę.

- Nawet w moim wypadku?

Obejrzała się i zobaczyła wpatrzona w siebie brązowe oczy. Znowu poczuła się winna.

- Nie. Nie w twoim wypadku. - Dotknęła go delikatnie. - Przepraszam, że wciągnęłam cię w to wszystko. Wybaczysz mi, przyjacielu?

Cyrus odwrócił głowę i roześmiał się cierpko.

- Oczywiście, jeśli tylko przeżyję tę intrygę i zostanę mianowany kapitanem.

- Racja. - Francesca cofnęła dłoń, po czym znieruchomiała. - Żałuję, że nie powiedziałam ci o odczarowaniu tego zdania w twojej piersi.

Spojrzał na nią nieco łagodniej. Przypomniała sobie to spojrzenie sprzed lat. Wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć. Jego chusta poruszyła się lekko. A może to wiatr? Odwrócił wzrok i ruszyli dalej.

- Chyba jednak nie wierzysz w twierdzenie Nikodemusa - podjął Cyrus po chwili. - W to, że coś z tobą jest nie tak, że twój tekst w prajęzyku jarzy się zbyt jasno?

- Sama nie wiem, Cyrusie. - Popatrzyła na ciemne chmury na niebie. - Wraz z łańcuszkiem zapiętym na mojej kostce rzucono na mnie jakiś nieznany tekst. A jeśli demon faktycznie dysponuje szmaragdem, mógł rzucić na mnie jakąś klątwę w prajęzyku. Być może Niko widzi podwójny blask - mojego ciała i klątwy. A może ma to jakiś związek z faktem, że znalazłam się tak blisko klątwy afazji Sawannowego Potwora?

- Spekulujesz na temat problemu, co do którego istnienia nie ma najmniejszych dowodów.

Nad nimi latało coraz więcej kruków, niektóre jakby w bezruchu szybowały na wietrze. Francesca przyjrzała się im.

- Tak. Pewnie powinnam martwić się problemami, o których istnieniu wiem na pewno.

- Na przykład Vivian i Lotannu?

- Niezupełnie. Będą się nas spodziewać wieczorem, ale gdy dowiedzą się o polowaniu na likantropy, uznają, że utknęliśmy z powodu zamknięcia dzielnic.

- Mogą się zastanawiać, czemu nie miałem dość tekstu, by przenieść nas nad murami kilku dzielnic - zasugerował Cyrus.

- To powiemy im prawdę. - Kleryczką wzruszyła ramionami. - Rzuciłeś cały swój tekst, gdy zrobiło się niebezpiecznie. Tak właściwie, czemu nie mielibyśmy powiedzieć im o Nikodemusie?

- Vivian może nas zmusić do odkrycia kart. Zmusić nas, byśmy zabrali ją do Nikodemusa, lub po prostu nas uwięzić.

- To uczona, Cyrusie - odpowiedziała Francesca ze śmiechem. - Nawet jeśli chwilowo odpuściła sobie politykę Astrophell, będzie musiała tam wrócić. Nie może skrzywdzić urzędującego lekarza bez narażania się na gniew zakonu kleryków ani usunąć strażnika powietrza Avel bez pogarszania relacji między czarnymi i zielonymi szatami.

- W sztormie można poświęcić wszystkie żagle.

- Cyrus pociągnął nosem.

- Chcesz więc ukryć przed nimi fakt, że spotkaliśmy się z Nikodemusem?

Mężczyzna wygląda! tak, jakby naprawdę to rozważał.

- Jeśli przyznamy się Vivian, więcej nie spuści nas z oczu - powiedział w końcu.

- Po tym, jak wymknęliśmy się jej ostatniemu szpiegowi, i tak nie spuści nas z oczu. A jeśli jej powiemy, będziemy mieli argument przetargowy.

Cyrus zamilkł na chwilę, jakby wsłuchując się w szum deszczu, który zaczął padać. W końcu zapytał:

- Chcesz flirtować z obiema stronami, aż zdecydujemy, z którą pójdziemy do łóżka?

- Coś w tym stylu - odparła. - Przynajmniej mamy pewność, że nie pójdziemy do łóżka z demonem, jeśli faktycznie istnieje. - Uśmiechnęła się pod nosem. - To jak, powiemy Vivian od razu?

- Nie musisz jeszcze zamknąć rany w płucu Żyły?

- Cyrus spojrział na nią, nieco zdezorientowany.

- Nie - odparta hardo. - Shannon będzie obsługiwał czar odpowietrzający i po kilku dniach rana sama się zagoi.

- Nie powiedziałaś o tym Mikodemusowi - zauważył mężczyzna.

- Wobec niego też potrzebujemy argumentu przetargowego.

- Trzeba przyznać, że jak na lekarkę jesteś bardzo bezwzględna.

- Cyrusie, mój drogi skarbie, gołębico pełna czystej i nieco mdlącej niewinności, wszyscy praktykujący lekarze są bezwzględni. Gra o bezwzględnych zasadach wymaga bezwzględnego gracza. Zrobię, ęo będę musiała, i powiem, co jest konieczne, by zakończyć grę z możliwie najmniejszą liczbą trupów. Słuchasz mnie?

Właśnie skręcili w pustą ulicę i nagle Cyrus wskazał jakieś miejsce na drodze.

- Co powiesz na tę lokalizację dla twojego błyskotliwego planu?

- Ale tu jest mokro.

- Wszędzie jest mokro.

- No dobrze, niech będzie tutaj - westchnęła, po czym potknęła się, z płusnięciem lądując na zimnej, błotnistej ulicy. Chwilę później usłyszała, jak obok niej ląduje Cyrus. Leżeli nieruchomo. Francesca próbowała spowolnić bicie serca i oddech. Pomimo wodoszczelnego tekstu, który hierofanta rzucił w jej szaty, zimna woda wlewała się przez jakąś szczelinę w tkaninie przy szyi. Czuła, jak na jej klatce piersiowej i brzuchu robi się gęsia skórka.

Nad nimi zaskrzeczało kilka kruków, jakby w zaskoczeniu. Francesca zmarszczyła brwi. Co je tak poruszyło? Jednak ptaki szybko się uspokoiły. Deszcz padał coraz mocniej, smagając jej plecy dużymi kroplami i robiąc tyle hałasu, że nie słyszała nic poza tym. Woda spływała wzdłuż jej mostka i nieprzyjemnie zbierała się wokół lewej piersi. Potrzebowała ogromnej siły woli, by nie poderwać się z mokrej ziemi.

- TERAZ! - krzyknął nagle Cyrus, po czym chwycił swój lewy rękaw i rzucił nim go. Francesca usiadła. W jej twarz uderzyły kropelki wody odbite od rzuconej tkaniny. Cyrus zerwał się na równe nogi. Z wysiłkiem dołączyła do niego. Deszcz osłabł nieco, a noc wypełnił pełen cierpienia wrzask. W odległości jakichś dziesięciu kroków tkanina Cyrusa zwinęła się w mały worek, turlający się w kałużę.

Zbliżając się do zawiniątka, Francesca dostrzegła małe pazury rozdzierające materiał. Jednak rozcięcia natychmiast splatały się z powrotem w jednolitą strukturę.

- Masz go! - roześmiała się. - Złapałeś!

- Cokolwiek to jest - burknął Cyrus, po czym sięgnął po pakunek. W chwili gdy jego palce dotknęły tkaniny, zawiniątko znieruchomiało i ucichło. Obejrzał się na Jracescę.

- Co?

- Właśnie aktywowałem odczar w tkaninie.

- Czyli to był konstrukt? - Spojrzała na nieruchomy worek.

- Zrób mi trochę światła - mruknął, ponownie sięgając do materiału. Francesca posłusznie rzuciła kilka akapitów świetlików. Z nieba padała już tylko drobna mżawka, która powoli spychała w dół świetliste zdania. Cyrus dotknął worka, który rozpostarł się, odsłaniając nieruchomego, szarego kota. - Co na niebiosach...? - Mężczyzna nachylił się bliżej i ostrożnie dotknął boku stworzenia. - To jest sztywne i... twarde. Jakby pod futrem było zrobione z kamienia. - Przeturlał obiekt, ustawiając go zeszywniałymi nogami do góry. - Ciężkie.

- Ale jak mógłby to być gargulec, skoro nie zobaczyłam go ani ja, ani magister Shannon? - Francesca z wrażenia zapomniała o zimnej wodzie spływającej po jej szatach. Objęła się ramionami, próbując rozgrzać obolałą z zimna lewą pierś. Nagle tkanina wokół dłoni Cyrusa rozdzieliła się na wąskie, ostre paski, które rozcięły kota. - Och, Stwórco! Nie... - Odwróciła głowę, choć tysiąc razy używała ostrych słów do rozcinania ludzkich ciał.

- To nie jest żywe - burknął Cyrus.

Mimo wszystko utkwiała wzrok w pobliskiej szopie, na której przysiadły kruki. Coś niepokoiło ją w tych ptakach, ale zanim odlóżyła, co to takiego, Cyrus zagwizdał cicho. Spojrzała w jego stronę. Koci konstrukt został oskórowany. Cyrus zrobił to z taką wprawą, jakby obrał pomarańczę. Teraz mieli przed sobą gładkie, metaliczne ciało, odbijające blask świetlików Franceski. Gdy obracał je w rękach, zobaczyła, że stwór miał tylko jedno oko - prawe, wykonane z polerowanego mosiądzu.

- Los w piekle!

- Co? - Cyrus wstał. - O co chodzi?

Myśli kotłowały się w jej głowie zbyt gwałtownie, by potrafiła jasno je wypowiedzieć.

- Oczywiście... był takim cholernym gnojkiem! I te jego wszystkie pytania... Drań próbował wyciągnąć ze mnie informacje!

- Na Celeste, Fran, o czym ty mówisz?

- Już to widzieliśmy, Cyrusie, po prostu nie pomyśleliśmy...: Ja nie pomyślałam... - umilkła.

Cyrus zmarszczył czoło pod chustą. Schylił się, by podnieść worek, ale gdy tylko go dotknął, tkanina ożyła - skoczyła na jego rękę, owinęła się wokół niej i odtworzyła rękaw.

- Mogłabyś trochę precyzyjniej wyjaśnić, co... Fran, patrz.

Cyrus wskazywał gestem kruki. Francescę przeszedł dreszcz, gdy w końcu zrozumiała, co zaniepokoiło ją w ptakach. Było ich ze dwadzieścia, wszystkie siedziały na rynkach z głowami ustawionymi dokładnie pod tym samym kątem. Patrzyło na nią jakieś dwadzieścia par kruczyczych oczu, błyszczących niczym czarne klejnoty.

- Co one robią? - zapytała. I wtedy wszystkie ptaki zerwały się do lotu, znikając po chwili z łopotem skrzydeł. Ciszę przerywała tylko kapiąca z rynien deszczówka. - Nie... To wcale nie było tajemniczo niebezpieczne i przerażająco niezrozumiałe zjawisko - szepnęła Francesca. - Ani nic podobnego.

Cyrus włożył sobie pod ramię metalowego kota.

- Widziałem kiedyś coś takiego na galerze kupieckiej płynącej do Warth. Rozdzieliliśmy się, gdy galera dotarła do dralijskiego portu, ale przez jakiś czas nasz statek powietrzny dokował na ich pokładzie. Na dralijskich wodach przy statku płynęły stada fok. Zachowywały się nienaturalnie, jakby sterował nimi jeden umysł. Wszystkie uważnie nas studiowały, liczyły ludzi na statku. Mógłbym przysiąc, że odczytywały nazwę statku z kadłuba.

- Myślisz, że gdzieś w mieście ukrywa się druid?

- zapytała Francesca.

- Nawet kilku - odpowiedział Cyrus, po czym dodał:

- choć podejrzewam, że może to być też jakiś szaman z Verdant.

Francesca znowu spojrzała na mosiężne oko kota, a przez jej głowę ponownie przemknęła burza pomysłów.

- Nie, to druid - rzekła.

- Powiedział ci to kot?

- Tak, i jeśli mamy go schwytać, będziemy potrzebowali dużo hierofantycznego tekstu - oznajmiła.

- W jakim czasie możesz zdobyć trochę więcej naładowanego płótna i monet? Mamy szansę jedynie, gdy zwabimy go na nocny targ. Do złapania go będziemy potrzebować srebra.

- Do złapania kogo? - Cyrus nie nadążał za chaotycznym słowotokiem Franceski. - O czym ty mówisz?

- Po prostu powiedz mi, na kiedy zdobędziesz więcej tkaniny?

- Jeśli znajdziemy poranny patrol, mógłbym dostać się do sanktuarium i z powrotem godzinę przed świtem. Ale po co, Fran? Nocny targ? Co, na płonące piekła, powiedział ci ten kot?

Kleryczka wskazała pozbawione życia mosiężne oko.

- Powiedział mi, kto przemyca do Avel lornijską stal.

Wiatr wzmógł się, gdy Nikodemus przeprowadzał swoich uczniów przez mur.

Była to skomplikowana operacja, wymagająca kilku złożonych czarów wznoszących, napisanych w językach chtonicznych. Jednak koboldy włożyły w zadanie całe swoje umysły i

mięśnie, a ich sojusznicy w mieście udawali, że niczego nie widzą - w sumie więc wszystko zajęło nie więcej niż piętnaście minut i grupa schroniła się bezpiecznie w oceanie traw.

‘frawa na sawannie wyrastała na ponad dwa metry i miała grube, podobne do bambusowych, łodygi. Cicha Śnieć zniszczyła mniej więcej jedną na dwadzieścia łodyg - ich puste pręty stały się kruche, ale mimo wszystko trawa mogła zatrzymać każdą grupę, której nie prowadził likantrop lub kobold. Teraz potężny wiatr chwiał roślinnością, wzbudzając fale i głośnie szelesty.

Jasp i Szum szli na czele grupy, używając wspomaganych tekstowo maczet. Przemieszczali się szybko, idąc ścieżką wyciętą podczas skradania się do miasta. Przez świst wiatru i szum traw Nikodemus usłyszał kilka gardłowych głosów. Czuł, jak ziemia wibruje od uderzeń ciężkich stóp. Przybyły likantropy, zwabione zapachem otwartych ran. Jednak woń koboldów rozpoznały też wilki, więc potwory nie podejść bliżej.

W oczach Nikodemusa wszystko, co żywe, jarzyło się niebieskozielonym światłem. Wśród wysokich traw jego wzrok przenikał zaledwie dwadzieścia kroków w przód, zanim wszystko zlewało się w jednolity blask. W porze suchej, gdy łodygi wysychały na złoto, widział przez trawę na kilometry, potrafił dostrzec pojedyncze owady, ptaki i gady, jednak teraz, w porze deszczowej, czuł się, jakby zaglądał w mętną wodę. Likantropy jawiły mu się jedynie jako potężne, smukłe kształty.

Gardłowe głosy wilków przywołały wspomnienia Nikodemusa z czasów, gdy opuścił Dolinę Niebiańskiego Drzewa wraz z piętnastoma najlepszymi łącznikami. Wspólnie z magistrami Amadi Okeke - ich agentką w Astrophell - odkryli, że Tajfon uczynił sobie z Avel prywatną twierdzę. Podróż przez sawannę zajęła im niemal cztery dni i były to dni pełne męki, w dzień spowodowanej lejącym się z nieba żarem, a w nocy - atakującymi likantropami. Podczas tamtej wędrówki zginęło pięciu jego uczniów. Później czekało ich jeszcze dyskretne wejście do miasta, zaprzyjaźnienie się z Kanikami i rozpoczęcie tajnej wojny przeciw Tajfonowi.

Nikodemus odegnał wspomnienia. Wyszli na wąski, błotnisty brzeg. Przed nimi rozciągała się mała zatoczka. Wiatr zmarszczył taflę wody, która odbijała światło gwiazd. Na zachodzie zbierały się chmury.

Koboldy truchtem pobiegły wzdłuż brzegu do dwóch ukrytych w trawie skifów. Szum, Żużel i Krzem umieściły Żyłę w jednej z łodzi. Jasp zaniósł magistra Shannona do drugiej i sam zajął miejsce na dziobie. Nikodemus zepchnął ją na wodę i zajął miejsce na rufie. Równocześnie z Jaspersn wsunęli do dulek długie wiosła.

Po chwili obie łodzie płynęły obok siebie z wiatrem. Nie widzieli żadnych innych jednostek. Miasta na jeziorze przeniosły się daleko w górę przesmyków, na płycizny. Minęło pół godziny, zanim znaleźli się na głównym akwenu zbiornika.

Dla Nikodemusa wiosłowanie w skifie z koboldem nie było łatwe. Co prawda dzięki temu, że był wyższy i miał dłuższe ręce, mógł bardziej zamasyżować wiosłować, ale z kolei kobold był w stanie wygenerować nieludzki wręcz moment obrotowy. Potrzeba było tygodni ćwiczeń, zanim Nikodemus i jego uczniowie przestali obracać skifem w kółko. Co gorsza, po osiągnięciu prędkości marszowej upuszczenie wiosła stawało się bardzo ryzykownym błędem, ponieważ pęd łodzi przepychał pióro wiosła do tyłu, jednocześnie ciągnąc uchwyt do przodu, co mogło skończyć się wyrzuceniem wiosłarza do wody.

Choć towarzysze Nikodemusa wierzyli w niego, wciąż pozostawali koboldzimi wojownikami. Błąd przywódcy mógł osłabić ich szacunek, więc Nikodemus zwracał szczególną uwagę na swoją technikę: podnieść wiosło, wyprostować, przesunąć z powrotem, ustawić, zanurzyć, pociągnąć, powtórzyć. Powtórzyć. Powtórzyć. Jeszcze raz. I ponownie.

Shannon siedział przy rufie, owinięty peleryną, z Lazur na kolanach. Gdy zaczęło mocniej padać, Nikodemus zrobił przerwę, by napisać staruszkowi osłonę w języku chtonicznym. Wrócił do wiosłowania i przekazał Shannonowi raport Franceski dotyczący Vivian i Lotannu. Opowiedział też o niezwykle jasnym blasku prajęzykowego tekstu kleryczki.

- Jesteś pewien, że to jej prajęzyk? - zapyta! Shannon. i

- Kiedy się do niej zbliżam, czuję ciepło na twarzy jakbym doznawał reakcji synestezycznej - odparł Nikodemus.

- Może po prostu się czerwienisz?

- To coś innego. Nie potrafię tego sprecyzować.

Shannon zastanawiał się przez chwilę.

- Czymkolwiek jest Francesca, przysłała ją do nas Deirdre. To sugeruje, że Deirdre ma plan.

- Mam nadzieję.

- Bo ty go nie masz - rzucił cierpko starzec. Nikodemus się skrzywił, ale nie odpowiedział. - Tajfon uwolnił mojego ducha, co oznacza, że on także uruchomił jakiś plan.

- Magistrze, ten duch... Nie chciałem...

- To nic.

- Gdy odzyskamy szmaragd i cię uleczę, będziesz mógł napisać nowego ducha, który...

- Już o tym rozmawialiśmy - przerwał mu Shannon, po czym odchrząknął. - Czy Lotannu i Vivian wiedzą o Sawannowym Potworze?

- Na to wygląda - odparł Nikodemus. - Znalezienie go nie potrwa, chyba że to on wcześniej odnajdzie ich. Zaczyna nam brakować czasu.

- Skończył nam się czas, kiedy opuściliśmy Dolinę Niebiańskiego Drzewa.

- Magistrze, nie opuściliśmy doliny przedwcześnie. - W Nikodemusie obudziły się gorące uczucia, ale zmusił się do zachowania spokojnego głosu. - Nie mogłem przyglądać się, jak umierasz.

- Teraz i tak będziesz musiał na to patrzeć - powiedział starszek po chwili milczenia.

- Magistrze! Gdy zdobędziemy szmaragd...

- Nie będziemy się już o to spierać. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, co dalej robić.

Nikodemus poprawił chwyt na wiosłach.

- Możemy tylko przespać się w obozie, - a potem wrócić do miasta na spotkanie z Francescą?

- zrealizować nieznany nam plan Deirdre? - Shannon zmarszczył czoło. - Próbować odkryć drugiego smoka?

- Chyba że masz lepszy pomysł - odciął się młodzieniec.

- O czym myślała Deirdre?

- Moglibyśmy zapytać Boann - zasugerował Nikodemus.

- Tak zrobimy. Chciałbym wiedzieć o tej kleryczce coś więcej niż to, że jej prąjczyk jarzy się zbyt jasno.

- Wiemy, że ma język tak ostry, że mogłaby skwasić mleko, przemawiając do dojrzej krowy.

- Tak, to prawda. - Shannon parsknął krótkim śmiechem.

- To dlatego, że jest taka ładna i taka wysoka. Zapewne przywykła do odtrącania zalotów. Gdyby tylko była odrobinę mniej ostra i wiedziała trochę więcej o drugim smoku...

- Jak to' możliwe, że walcząc z Tajfonem przez ostatnie trzy lata ani razu nie natknęliśmy się na drugiego smoka?

- Czymkolwiek jest, jasny prąjczyk Franceski daje mi nadzieję na to, że Deirdre wie, co robi. Naprawdę świeci zdumiewająco jasnym światłem. - Niko się zamyślił.

- Myślisz, że ma to jakiś związek z jej zdolnością do pokonania drugiego smoka?

- Nie mam pojęcia.

Umilkli i Nikodemus skupił się na wiosłowaniu. Wpłynęli do jednej z odnóg jeziora - po obu ich stronach wznosiły się strome zbocza porośnięte ciemnymi sekwojami.

- Przypomnij mi, gdzie jest twoja przyrodnia siostra? - Shannon przerwał ciszę.

- Według ostatniego raportu Amadi powinna przebywać w Ogun na spotkaniu z wysłannikami ze Starfall i Starhaven - odparł Nikodemus.

- Próbuje nie dopuścić do powstania Ligi Starfall?

- Na to wygląda.

- A jednak wysłała Lotannu i Vivian. - Shannon się zamyślił. - Lotannu ma szczególne umiejętności, ale Vivian?

- Co o niej wiesz? - spytał Niko.

- Niewiele. - Staruszek wzruszył ramionami. - Większość swojej kariery zrobiła w Starfall. Doczasu zesłania mnie do Starhaven nigdy o niej nie słyszałem. Jej sława rosła, gdy moja spadała. Myślę, że była jedną z pierwszych w Astrophell opowiadającą się po stronie kontrprzebiegów.

- Myślisz, że powinniśmy spróbować ją wystraszyć? - Młodzieniec pociągnął wiosło. - Zdobylibyśmy w ten sposób trochę czasu?

- Nie, zanim nie dowiemy się czegoś więcej na temat planów Deirdre - odpowiedział Shannon, pocierając oczy kościstą ręką.

Nikodemus, choć nieraz już widział jego wychudzone kończyny, poczuł skurcz w żołądku. Shannon z dnia na dzień wyglądał bardziej mizernie.

- Jakie to uczucie zobaczyć własnego ducha, magistrze? - spytał cicho.

Twarz staruszka wykrzywiło cierpienie.

- Fakt, że on istnieje... i że za mną tęskni. Czuję się przez to prawie martwy - odparł starzec

- Odzyskamy szmaragd - zapewnił Nikodemus. - Wtedy wyleczę twoje raki...

- A ja będę miał czas na napisanie kolejnego ducha. Wiem, Nikodemusie, wiem. Też mam taką nadzieję. - Shannon wyglądał na wyczerpanego.

Nikodemus chciał przerwać wiosłowanie i ująć dłoń Shannona, ale się powstrzymał. Jego dotknięcie wywołałoby tylko kolejne raki.

- Nie możesz się poddawać, magistrze.

- Nie poddam się, chłopcze - odpowiedział staruszek po chwili.

Nikodemus siłą woli zignorował pustkę w piersi. Wyobraził sobie szmaragd. Gdyby tylko mógł skończyć ze swoją ułomnością, gdyby tylko go zdobył.

- Jest tyle rzeczy, dla których warto żyć - powiedział niezdarnie i znowu skupił się na wiosłowaniu.

Shannon poprawił swój koc.

- Tak - powiedział cicho. - Warto żyć. - Przez jakiś czas wiosłowali w ciszy. W końcu starzec sapnął, jakby coś go rozbawiło. - wiesz - odezwał się. - Nie sądzę, by prajęzyk był tym, co najbardziej cię zdumiało we Francesce.

- Nie?

- Nie. Jest zdumiewająca, bo skłoniła cię, byś to powiedział.

- Co powiedział? - Nikodemus zmarszczył brwi.

- Że ci się podoba.

Młodzieniec puścił wiosło.

Wilczy strumień był wąskim przedłużeniem odnogi, niemal fiordem, wznającym się w Kasztanowe Góry. Tutaj, w przeciwieństwie do innych brzegów zbiornika, woda rozciągała się pod pionowymi skalnymi ścianami. Rybacy unikali tych miejsc z obawy, że likantropy mogłyby zeskoczyć na nich ze ściany lasu. Jednak od dwóch lat stwory zamieszkujące te okolice nie były likantropami. Obóz koboldów - skupisko chat wzniesionych w gęstym zagajniku sekwojowym - znajdował się niecały kilometr na zachód od strumienia.

Owinięty grubym wełnianym kocem, Nikodemus siedział na kamiennym brzegu, przyglądając się, jak jego uczniowie łowią ryby. Jasp nakłonił Shannona do napisania kilku akapitów świetlików na łodydze trawy z sawanny, po czym utrzymywał przypominające żywe świetliki światełka nad ciemną wodą, a Żyła i Krzem położyli się na kamiennych półkach.

Nikodemus widział w zbiorniku życie. Drobne pływające roślinki nadawały wodzie odcień ciemnej zieleni, przez co tafla lśniła rozcieńczonym prajęzykiem. Przez ten słaby poblask widział jaśniejsze kształty ryb krążących wokół światełek odbijających się w wodzie.

- To dziwne, że światło przyciąga ryby - za jego plecami rozbrzmiał cichy dźwięczny głos. - Nie kończy się to dla nich dobrze.

- Bogini. - Nikodemus z szacunkiem powitał Boann, bóstwo z Wyżyn, które uczyniło z Deirdre swojego awatara. Od czasu, gdy Tajfon niemal zniszczył jej arkę, Boann prawie stała się duchem. Młoda bogini miała jasne lazuruwe oczy i włosy przypominające kaskadę miniaturowego wodospadu. Okrywająca ją zielona szata unosiła się, jakby pływała na wodzie.

Ciszę lasu wokół nich przerywało tylko kapanie wody z gałęzi drzew. Deszcz ustał i wiatr się uspokajał.

- Shannon zrelacjonował mi wydarzenia - powiedziała Boann. - Myślałam nad planem Deirdre, ale nie potrafię podsunąć żadnych wskazówek. - Nikodemus kiwnął głową. - Skąpałeś się w drodze do domu. - Boann usiadła obok niego.

- Shannon ci powiedział?

- Poczułam to. - Nikodemus znów kiwnął głową. W końcu była boginią wody. - Shannon powiedział, że upuściłeś wiosło, bo myślałeś o ładnej dziewczynie.

Młodzieniec jęknął.

- Bałem się, że stracę przez to w oczach koboldów. Ale gdy wspinałem się z powrotem do łodzi, Shannon wyjaśnił, że rozproszyły mnie myśli o Francesce. Żyła zrozumiał od razu, ale pozostali nie bardzo. Mają problemy z rozróżnieniem płci u ludzi. Kiedy jednak w końcu pojęli, nie potrafili przestać się śmiać. Zwłaszcza Szum i Jasp. Ci dwaj nie odpuszczą pewnie przez najbliższe kilka lat. - Boann się uśmiechnęła. - Żał mi tylko okolicznych rybaków - dodał. - Parskające śmiechem koboldy brzmią jak echa dobywające się z płonących piekieł.

- Naprawdę rozproszyły cię myśli o Francesce? - spytała Boann.,

- Jej tekst w prajęzyku błyszczący zbyt jasno.

- Jesteś nią zafascynowany.

Umilkł na chwilę.

- Jak chłopak podziwiający piękną dziewczynę czy bardziej jak jedna z nich? - Kiwnął głową w stronę ryb krążących wokół światełka Jasp. - Tak czy inaczej nie powinienem o niej myśleć, powinienem skupić się na szmaragdzie.

- Wciąż potrafisz wyczuć klejnot? - spytała Boann.

- Nieustannie napiera na czary wytatuowane wokół mojej blizny. - Nikodemus potarł kark i znowu przypomniał sobie Jamesa Berra, morderczego krewnego, również kakografa, który żył trzy stulecia temu. Nikt nie wiedział, czy to Tajfon zrobił z Berra kakografa, czy Berr taki się już urodził. Spojrzał na boginię i zmienił temat: - A co sądzisz a stanie magistra Shannona?

- Po tym, jak zobaczył swojego ducha? Jest zrozpaczony - przyznała.

- Musimy mu pomóc. - Nikodemus zamknął oczy. - Deirdre ma plan. - Boann przyglądała się koboldom. - Bogini, jeśli mogę spytać, jak to jest tak bardzo tęsknić za Deirdre? Spędzić tyle lat, krążąc wokół i nigdy jej nie odzyskać...

- Najgorsze są te chwile, gdy obwiniam się za zazdrość wobec Kyrana. Wtedy ledwie mogę wytrzymać z samą sobą. - Nikodemus kiwnął głową. - Powinni uderzyć teraz. - Boann wskazała na tafłę wody - Blżej już nie podpłyną. - Koboldy dalej leżały nieruchomo. - Coś

mi przyszło do głowy, Nikodemusie - powiedziała łagodnie, podnosząc się. - Jeśli jesteś tak zauroczony, jak te ryby, możliwe, że wcale nie chodzi o Francescę. Może raczej o szmaragd.

W tej chwili Jasp szarpnął światło znad wody i dał Krzemowi, który ukrył je w skórzanej torbie. Ponieważ korony sekwoi blokowały dostęp światła księżyców i gwiazd, tafłę wody spowiła ciemność. Żyła rzucił do jeziora sieć skrzęcej się prozy w kolorze indygo, która zwinęła się w ciasny kłęb, i już po chwili, krzycząc z radości, koboldy wyciągnęły z wody świetliste zdania pełne miotających się ryb. Nikodemus pochwalił ich. Właśnie złapali kolację.

Potem jednak, jak zawsze, gdy myślał o świeżym jedzeniu, radość Nikodemusa przygasła. Pusty żołądek skręcał mu głód, ale będzie musiał poczekać jeszcze kilka godzin. Gdyby włożył do ust zbyt świeże jedzenie, jego wargi zdysczarowałyby jego wciąż aktywny prąjczyk, zmieniając tkankę w raka.

Krutko po świcie burzowe chmury odpłynęły znad vel, pozostawiając za sobą bladobłękitne niebo. Po raz pierwszy od nastania pory deszczowej wiatr osłabł do zaledwie lekkich powiewów. Choć słońce oderwało się od horyzontu zaledwie godzinę temu, poranek był cieplejszy od wielu poprzednich.

Było możliwe, że burze skończyły się na dobre i dalszą część roku wypełnią jasne, lśniące słońcem dni, ogrody miasta będą kwitnąć, a osłonięte murami pola obrastać ciecierzycą, pszenicą i soczewicą. A

Piękna pogoda wyciągnęła mieszkańców na Południowy Targ. Choć aura sprzyjała, wśród tubylców dało się wyczuć nerwowe napięcie. Rzemieślnicy szeptem rozmawiali z kucharzami i gospodyniami o ataku likantropów w dzielnicy Północnej Bramy oraz niepokojach w sanktuarium.

Przez tłum dumnie kroczył magister Robert DeGarn. Ludzie zerkali na jego czarne szaty i torowali mu drogę, za co dziękował uprzejmym uśmiechem i skinieniem głowy. Zatrzymał się przy dwóch straganach, ale na żadnym nie znalazł tego, czego szukał. Już bez uśmiechu DeGarn zbliżył się do trzeciego stoiska z przyprawami. W kilku ostrych słowach wyjaśnił, że chce zakupić miętę, ale najwyraźniej ktoś wykupił cały zapas świeżego ziela.

Właściciel straganu, młody człowiek z przerzedzonym czarnym zarostem, nerwowo spojrzał na magistra i stojącego za nim człowieka. Nowo przybyły, niski i ubrany w zbyt grubą białą pelerynę, chwycił nagle rękaw DeGarna. Podmuch wiatru zarzucił obszyty ozerwienią kaptur na głowę maga.

- Co... - zaczął zaskoczony DeGarn, ale nim powiedział coś więcej, pas jego kaptura oderwał się i przycisnął do jego ust.

Wtedy z tłumu wyłoniła się Francesca i wsunęła prawą dłoń pod lewe ramię dziekana. Tkanina jego szat stała się twarda jak stal. Wolną ręką kobieta rzuciła sprzedawcy przypraw dwie srebrne monety.

- Tak jak się umówiliśmy, widziałeś dwóch zwykłych obywateli witających się z magistrem DeGarnem i odchodzących razem z nim - szepnęła. - Trzymaj się tej wersji, a wrócę tu i podwoję stawkę. - Młody handlarz kiwnął głową. - Cyrusie, rozluźnij trochę jego szaty. - Francesca pewnie chwyciła rękę DeGarna. - Inaczej nie będzie mógł iść.

- Się robi - odparł Cyrus.

Ciągnąc maga za rękę, Francesca wyprowadziła go z targu, w głąb uliczki i dalej, na dziedziniec. Placyk należał do przyległej tawerny, ale Francesca solidnie opłaciła karczmarza, by zapewnić sobie spokój. Białe ściany dziedzińca porośnięte były kolczastymi gałęziami pnącej bugenwilli z ledwie zaczynającymi się otwierać czerwonymi i żółtymi kwiatami, które wyglądały jak papierowe. Między płytkami z terakoty na dziedzińcu rosły cztery drzewka pomarańczowe z woskowatymi liśćmi, błyszczącymi jeszcze od kropli deszczu. Na środku placyku, na niewielkim wzniesieniu, znajdowała się mała sadzawka. Francesca i Cyrus posadzili swojego więźnia na jej kolorowym brzegu. Szaty DeGarna pozwoliły mu usiąść, ale potem znów zeszywniały, tworząc pancierz wokół jego ciała.

Francesca i Cyrus stanęli przed starszym magiem. Cyrus ściągnął kaptur z głowy mężczyzny, odsłaniając rozwścieczoną twarz, osłoniętą przez ciasną opaskę z czarem cenzorującym. W jego ustach tkwił knebel. Brązowe oczy DeGarna, wpatrzone w kleryczkę, iskrzyły ogniem.

Odwzajemniła spojrzenie, po czym wyciągnęła z sakwy metalowego kota, którego schwywali zeszłej nocy.

DeGarn popatrzył na przedmiot. Szczęki wyraźnie mu się napięły, a źrenice zwężyły. Ewidentnie był zaskoczony.

Francesca upuściła kota. Z brzękiem uderzył o kamienie. Następnie wyciągnęła arkusz lornijskiej stali. DeGarn spojrzał na niego, a potem znowu na kobietę.

- Wiesz, jak to dostaje się do Avel? - spytała, - t Pokręcił głową. - Nie próbuj kłamać. TVvoja łysina czerwieni się ze wstydu. - To nie było prawdą, ale sądząc po tym, jak rozszerzyły się jego oczy, DeGarn o tym nie wiedział. - Masz dwa takie konstrukty - kopnęła metalowego kota - siedzące na bojowych gargulcach pilnujących wewnętrznych drzwi do stacji kolaboris. Jednemu z nich brakowało lewego oka. Kiedy je zobaczyłam, uznałam, że to dekoracje. Ale się myliłam. To zabezpieczenia dla twoich gości... lornijskich gości. - Mężczyzna zmrużył oczy. - Ukrywasz w stacji mistrzów magicznego kowalstwa -

oświadczyła. - Jeden ubrany był jak służący i podawał nam herbatę miętową. Widziałam, jak jego taca uszczerbiła się w miejscu, w którym ją trzymał. Wtedy uznałam, że jest cienka lub bardzo stara, ale w tej kwestii również się myliłam, prawda? W tacy był tekst zniekształcający metal, ponieważ trzymający ją człowiek był mistrzem kowalskim. - Znowu kopnęła kota. - Pozwalasz tym konstruktom siedzieć na twoich gargulcach, by dowieść, że nie użyjesz ich przeciwko magom metalu. Na dodatek pozwalasz druidom wypuszczać ich kruki na całą stację i na miasto. To dlatego byłeś tak cholernie... - przez chwilę szukała właściwego słowa - wazeliniański, mówiąc, jak to Starfall chowa się w porównaniu ze wspomniałym Astrophell. Chciałeś zobaczyć, czy zdeklaruję się po stronie północy. Jesteś agentem Starfall, prawda? Walczysz tu o zawiązanie Ugi Starfall, by mogło się oderwać od Astrophell? - DeGarn wciąż się nie ruszał. - No cóż - stwierdziła Francesca. - To nasuwa trzy pytania. Po pierwsze, czemu gościsz kowali i druidów w stacji kolaboris? Po drugie, jak, na imię stwórcy, zdołałeś powstrzymać ich przed rzuceniem się sobie do gardeł? I po trzecie, jak mogłeś być tak kompletnie, niesamowicie i bezdennie głupi, by samotnie wyjść na targ po tym, jak odczarowaliśmy metalowego kota?

- Już? - spytał Cyrus, a gdy kiwnęła głową, klepnął DeGarna w ramię i jego knebel wypadł. DeGarn zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

Francesca odczekała kilka chwil, po czym znów się odezwała:

- Proponuję grę. Ja będę mówić, co moim zdaniem się dzieje, a ty będziesz udawał worek ziemniaków do momentu, aż w czymś się pomylę. Może być? - Posła! jej ciężkie spojrzenie. - Świetnie ci idzie! - Uśmiechnęła się. - No dobrze, zaczynamy. Dowiedziałam się o Lidze Starfall od człowieka, który sądzi, że Starfall próbuje połączyć siły ze Starhaven przeciwko Astrophell. Jednak widok konstruktów mistrzów kowalskich współpracującego z chowańcami sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, czy Starfall ograniczyło się do poszukiwania sojuszników tylko w akademiach magów. Na północy frakcja kontrprzepowiedni dysponuje młodą kobietą, którą chce ochrzcić Zimorodkiem. Domyślam się, że Starfall się o tym dowiedziało i jest na tyle zdesperowane, by dopuścić się czegoś niesłychanego i poszukać sojuszników na zewnątrz. Jak blisko prawdy jestem? - DeGarn odwrócił wzrok. - Świetna robota, magistrze! Radzisz sobie doskonale. - Znowu się uśmiechnęła. - Kto w takim razie przyłączyłby się do Starfall przeciwko północy? Dwaj starożytni wrogowie, Lorn i Dral? Może nie wydają się potencjalnymi kandydatami, dopóki nie przypomnieć sobie, że jedyne, co kiedykolwiek zagnało do jednego łóżka kowali i druidów, to wojna o uwolnienie się z Imperium Neosolarnego... które, jeśli dobrze pamiętam lekcje historii, rządzone było z Trillinon.

W końcu DeGarn się odezwał:

- Wsuwasz zbyt daleko idące wnioski jak na jedną metalową figurkę kota i kilka gawronów.

- Nie zapominaj o swoim wyjątkowo paskudnym zadufaniu - dodała radośnie. - To było precyzyjną odpowiedź.

- Nie muszę wysłuchiwać tych zniewag - warknął.

Francesca teatralnie rozejrzała się po dziedzińcu.

- Hmm, może chcesz mi powiedzieć, że to tutaj to druidzkie konstrukty drzewek pomarańczowych? Będą obrzucać mnie i Cyrusa niedojrzałymi owocami, aż cię uwolnimy? - Przez chwilę patrzyła na niego wyczekująco. - Ależ nie, wcale nimi nie są. Szkoda. Bo teraz, na boga bogów, jestem już pewna, że jednak musisz wysłuchiwać tych zniewag.

- Kleryczko - DeGarn odezwał się głosem pełnym pogardy - jesteś wulgarną i nieuprzejmą kobietą.

- A ty jesteś kretynem - odparła radośnie. - Powiesz mi, czemu byłeś na tyle głupi, by wyjść na targ po tym, jak odczarowaliśmy kota? Kruki widziały, jak to robimy, i odleciały.

- A może druidzi i kowale nie powiedzieli ci, co zobaczyli ich szpiedzy? - zasugerował Cyrus.

DeGarn posłał mu gniewne spojrzenie.

- Hm, to jest myśl - rzuciła Francesca. - Ale czemu mieliby nie mówić...

- Znalazłaś Nikodemusa Weala - przerwał jej DeGarn. Tym razem to Francescę zatkało. - To jedyne, co mogli przede mną ukryć - stwierdził, wbijając w kleryczkę brązowe oczy. - Znalazłaś Nikodemusa Weala. - Francesca popatrzyła na Cyrusa, ale było już za późno. Jej reakcja była równoznaczna z przyznaniem się. - Kleryczko, masz wyjątkową okazję ukształtowania historii - całkiem szczerze przemówił dziekan. - Starfall musi być wolne. Lorn i Dral nie poddadzą się panowaniu północy. Kobieta, która może zostać Zimorodkiem, nie da się do tego przekonać. Próbowaliśmy dyplomacji, ale ona wierzy, że jej przeznaczeniem jest rządzić całym kontynentem. Jeśli nie zrozumie, że południe się nie ugnie, dojdzie do długiej i krwawej wojny.

- A Nikodemus tak po prostu przekona byćmoże Zimorodka, by zrezygnowała ze swoich ambicji? - prychnął Cyrus.

- Nie - odezwała się Francesca. - Starfall chce czegoś, co poruszy Astrophell. Chce własnego Zimorodka.

DeGarn poruszył się pod szatami, które go więziły.

- Magistra, jesteś nieuprzejma i wulgarna, bez dwóch zdań. Ale przy tym irytująco błyskotliwa.

- Ja również cię lubię, magistrze. - Francesca się ukloniła. - Podoba mi się szczególnie twoja kwiecista zachodniolornijska mowa. Przypomina mi lornijskie romanse, które czytywałam.

- Oszczędź mi szczegółów swojego zamięłowania do kiepskiej literatury. - DeGarn przewrócił oczami.

- Jesteś w naprawdę żalosnej pozycji, magistrze - roześmiała się kleryczka. - Masz w mieście Vivian i Lotannu, agentów z północy, którzy również szukają Nikodemusa. Co zamierzasz z nimi zrobić? Zamordujesz ich?

- Liga Starfall pragnie niepodległości, nie rozlewu krwi - odparł, po czym spojrzał na nią hardo. - Słuchaj, musisz nas zabrać do Nikodemusa, a przynajmniej przekazać mu naszą wiadomość. Szpiedzy Astrophell przybyli tu, by go zniszczyć. Uważają, że fb jego zwiastuje kontrprzepowiednia.

- A jeśli faktycznie tak jest? - zapytał Cyrus.

- Kontrprzepowiednia to bzdury - zachnął się mężczyzna. - Zresztą jeśli Nikodemus umożliwi nam zachowanie wolności, nie będzie nas obchodziło, czy jest dzieckiem Losa i wyhoduje rogi, gdy...

- On ponownie odkrył prążeżyk - niedbale przerwała mu Francesca.

- Co powiedziałaś? - DeGarn przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo.

Francesca opisała, jak Nikodemus nauczył się magicznego języka tworzącego podstawowe elementy życia, jak jego dotyk może zniekształcać ciało w martwicze nowotwory, jak wystarczyło mu kilka spojrzeń, by stwierdzić, że metalowy kot krążący przy niej nie jest żywy.

- Nadal uważasz go za człowieka, który powinien poprowadzić was w próbie zdobycia niepodległości? - spytała na koniec.

- Zakładając, że mówisz prawdę, wszystkie elementy tej układanki do siebie pasują. - DeGarn sapnął. - Zarówno miłośników drzew, jak i magów metalu dotyczą... powiedzmy... interesujące przepowiednie. Mistrzowie magicznego kowalstwa wierzą w zbawcę zwanego przez nich Oriflamme. Ma on stworzyć żyjący metal, «a pomocą którego będą walczyć z demonami podczas Wojny Dysjunkcji. Rozumienie języka tworzącego życie robi na nich wielkie wrażenie, gdy...

- Gdy już pogodzą się z bluźnierstwem przeciwko stwórcy? - uprzejmie zasugerowała Francesca.

- Dokładnie - z nieskrywanym dyskomfortem zgodził się DeGarn. - Druidzi natomiast podniecają się Cichą Śniecią, która, na ile się orientuję, ma związek z umierającymi drzewami. W towarzystwie kowali wdają się w niemożliwie rozwinięte i poetyckie opisy nieźrównoważenia natury.

- Ilu ich ukrywasz? - zapytał Cyrus.

- Pięciu druidów i siedmiu kowali - przyznał.

- A przemycany metal?

- Kowale robią to wbrew njoim rozkazom. - DeGarn się skrzywił. - Są nerwowi, bo druidzi wprowadzili do miasta mnóstwo drewna naładowanego runami.

- Los w piekle! - zaklęła Francesca. - Ile lingwistycznej broni masz w mieście, magistrze?

- Dość, by ochronić Nikodemusa niemal przed wszystkim - odpowiedział z nutką dumy. - Jeśli tylko zechce przyjąć nasze zaproszenie do udziału w Lidze Starfall.

Francesca sapnęła z niedowierzaniem.

- zapewne dość, by wyeliminować go, jeśli zaproszenia nie przyjmie?

- Nie jesteśmy tak. krwawi, jak sądzisz - upiera! się DeGarn.

- Więc czemu druidzi i kowale ukrywają przed tobą informacje? - spytała.

- Chcą jako pierwsi zdobyć dostęp do Nikodemusa. Jeśli zostanie naszym czempionem, a jedna z grup złapie go pierwsza...

- Rozumiem - przerwała mu Francesca, kiwając głową.

- Chodźcie ze mną do stacji. Porozmawiamy o Lidze.

- DeGarn spojrzał na swoich towarzyszy. - Omówimy, jak...

- Prędeż walnę się w głowę rozgrzaną cegłą - parsknęła klery czka. - Wybacz, ale nie przychodzi mi do głowy ani jeden powód, dla którego miałabym ci zaufać.

- Zaczekaj, właśnie sobie coś przypomniałem - powiedział przebiegle DeGarn. - Zeszłej nocy, tuż przed zmierzchem, neofita dostarczył do nas twój dziennik kliniczny.

- Mój dziennik kliniczny? - zapytała zaskoczona.

- Kto wam go wysłał?

- Ty oczywiście. Na informacji o nadawcy znajduje się twój numenosowy akapit lokacyjny.

- Nie wysyłałam tej książki nikomu, a już na pewno nie tobie. - Zdezorientowana Francesca obejrzała się na Cyrusa.

- Magistrze, możesz nam powiedzieć, czy w księdze znajduje się jakiś wrogi tekst? - Cyrus zmrużył oczy.

- Nie ma tam nic takiego - odparł mężczyzna. - Każdy otrzymywany manuskrypt jest poddawany kontroli, zanim wpuścimy go do stacji. Przyniosę ci tę księgę na potwierdzenie mojej wdzięczności za przekazanie naszej wiadomości Nikodemusowi.

Francesca wymieniła spojrzenia z Cyrusem. Kiwnął głową.

- Dobrze. Możesz przynieść księgę - powiedziała. - Ale zanim zgodzimy się posłużyć jako twoi posłańcy, będziemy potrzebowali pomocy.

- Tak? - DeGarn uniósł brwi.

- Po pierwsze, zaprowadź jakiś porządek w tej swojej przeklętej przez boga bogów frakcji! To miasto i bez kręcących się wszędzie chowańców druidów czy mistrzów kowalskich przemycających do środka lornijski metal jest zbyt blisko rozpadnięcia się na kawałki. Chcę paktować tylko z tobą, nie z bandą skłóconych stalowoskórych i gałęziarzy.

DeGarn zacisnął wargi w wąską linię.

- Zamierzam bardzo jasno okazać moim sojusznikom swoje niezadowolenie. I choć jestem oburzony twoim nieuprzejmym traktowaniem, kontaktując się wyłącznie ze mną, dałaś mi sposób na skonsolidowanie mojego autorytetu.

Francesca kiwnęła głową.

- Będę potrzebować też małej sakiewki ze srebrem, powiedzmy dwieście monet - powiedziała.

- Hakeerń! - zaklął DeGarn. - Może chcesz także gargulców bojowych? Albo szat z naszych grzbietów?

- Nie dramatyzuj, magistrze. Możesz zgarnąć sakiewkę przy okazji zabierania mojego dziennika klinicznego.

- Nie podoba mi się to. - Mężczyzna spogląda! to na kleryczkę, to na jej towarzysza.

- Nie musi ci się to podobać - rzuciła lekko. - Wystarczy, że to zrobisz.

- Skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz ł woj ej części umowy? - spytał.

- Przysięgam na imię stwórcy - popatrzyła mu w oczy - że przekażę tfoją wiadomość Nikodemusowi i powrócę z jego odpowiedzią.

- Przyniosę to, o co prosisz - odparł DeGarn po chwili namysłu.

Cyrus spojrział na Francescę. Gdy kiwnęła głową, dotknął opaski z tkaniny owiniętej wokół głowy DeGarna. Opaska spadła, a jego szaty się rozluźniły. Stary mag wstał z godnością dworzanina i marszowym krokiem przemierzył dziedziniec.

- Jesteś pewna, że nie wróci tu z armią druidów i kowali? - Cyrus odchrząknął.

- zaryzykuje utratę dostępu do Nikodemusa? Mało prawdopodobne. Wiesz, on ma rację: rozmawiając tylko z nim, daliśmy mu sposób na odzyskanie kontroli nad jego frakcją.

- Taki miałaś zamiar? - Kleryczka z uśmiechem skinęła głową. - On ma rację, Fran. Jesteś naprawdę sprawna w politycznych gierkach. Gdzie się tego nauczyłaś?

Westchnęła i usiadła przy sadzawce.

- Pewnie to szpitalna szkoła - pełno tam starć politycznych, oczywiście niewielkich. A tak naprawdę to... jakoś tak samo przychodzi.

- To coś więcej - zauważył. - Jesteś bardziej pełna życia niż kiedykolwiek podczas pracy w szpitalu.

- Wolałabym, żeby było dokładnie odwrotnie.

- Zmarszczyła brwi. - Żeby bardziej pobudzała mnie medycyna. Kto wie? Może moim prawdziwym powołaniem jest kariera politycznego manipulatora?

- Jesteś doskonała w kontakcie z pacjentami, Fran.

- Cyrus usiadł przy niej. - Kochają cię.

Uniósł rękę, jakby chciał poprawić sobie chustę, ale zamiast tego ujął dłoń Franceski, co nieco ją zaskoczyło. Ten gest był kojący i... znajomy. Popatrzyła na dłoń Cyrusa. Chwilę później usłyszała własne słowa:

- Deirdre umarła na moim stole. Mistrz lekarski by ją uratował.

- Jesteś mistrzynią lekarską - zapewnił.

Zwalczyła w sobie przemożne pragnienie, by zaprzeczyć tym słowom. Cyrus nie miał pojęcia o medycynie, więc skąd miałby to wiedzieć? Jednak wiedziała, że nie miał złych zamiarów.

- Jesteś miły, ale się mylisz - odparła. - Zdobyłam przydział tu, do Avel. Gdybym była lepsza, zostałabym wysłana do Bearselton, Toty albo... Chandralu.

- Ostatnia nazwa złagodziła jej głos. Szpital w Chandralu był najbardziej prestiżową placówką poza Port Mercy. Kiedyś miała wielkie ambicje, by się tam znaleźć.

- Bzdura - powiedział cicho Cyrus i mocniej ścisnął jej dłoń.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Dzień robił się coraz cieplejszy. Gdzieś w oddali słyszeli okrzyki kupców zachwalających na targu swoje towary.

- Masz dość naładowanego płótna, by unieść nas stąd, jeśli DeGarn wróci z wrogimi zamiarami, prawda? - zapytała.

- Więcej niż dość.

Znowu umilkli.

Podnieśli się, gdy usłyszeli skrzypnięcie zawiasów bramy. DeGarn wrócił. Był sam. W ręku trzymał małą sakiewkę. Podszedł do nich z szerokim uśmiechem na twarzy. ✓

- Magistra, hierofanto, oto wasza sakiewka. - Rzucił woreczek Cyrusowi. Jego zawartość zabręczała.

- A oto twój dziennik. Wyciągnął przed siebie książkę w czarnej skórze. Za pomocą srebrzystego zdania przymocowano do niej luźno kartkę papieru. Francesca wzięła kodeks i spojrzała na kartkę. Faktycznie zawierała jej akapity lokacyjne. Nad nimi ktoś dopisał delikatną kreską: „Do stacji”. Zmarszczyła brwi. Kto chciałby wysłać gdzieś jej dziennik? I po co? Niewątpliwie pozostali klerycy byli wściekli, że znikła ze szpitala bez słowa wyjaśnienia. Ale przecież nie wysyłaliby jej książki, a raczej wściekły list. Chyba że ktoś zamieści! w środku jakąś notkę? Wsunęła kodeks pod pachę i zobaczyła, że DeGarn się uśmiecha. - Chciałbym jeszcze raz podziękować wam za przekazanie naszej wiadomości...

- Nie trzeba, magistrze - przerwał mu Cyrus, spoglądając na dach wokół dziedzińca. - TVvoi sojusznicy sami widzą, że będziemy pertraktować tylko z tobą.

Francesca spojrzała w górę i poczuła dreszcz. Na krawędzi dachu siedziało jakieś trzydzieści kruków. Wszystkie miały głowy skierowane w tę samą stronę i poruszały się równocześnie.

- Masz rację, hierofanto. - DeGarn kiwnął głową.

- Pamiętajcie, proszę, że jeśli Nikodemus lub wy będziecie potrzebowali pomocy albo ochrony, zapewnimy wam ją.

- Dziękuję, magistrze - odpowiedziała Francesca.

- Wrócimy z jego odpowiedzią. Na razie zostaw nas samych i nie przydzielaj żadnych obserwatorów... - spojrzała na kruki -...niezależnie od gatunku.

- Oczywiście - odparł DeGarn, po czym uklonił się najpierw jej, a potem Cyrusowi. W końcu stary mag odwrócił się i opuścił dziedzińiec. Gdy tylko otworzył bramę, wszystkie kruki zerwały się z dachu i odleciały.

- Poszło całkiem nieźle - powiedziała Francesca, gdy znów zrobiło się cicho.

- Jak myślisz, kto wysłał ci książkę? - spytał Cyrus.

- Nie jestem pewna. - Popatrzyła na kodeks.

- Nie zamierzasz jej otworzyć?

- Chyba muszę. - Chwyliła zdanie mocujące papier do dziennika i właśnie miała je zerwać, gdy się zawahała. Coś było nie tak.

- Co jest? - zapytał Cyrus.

- Nie wiem. Po prostu...

- Chcesz, żebym ja go otworzył?

- Nie. - Nagle poczuła wstyd. - To pewnie nic takiego. - Szarpnięciem zerwała magnusowe zdanie.

Księga otworzyła się i pomiędzy jej stron wyłoniła się duża przezroczysta głowa pokryta srebrzystymi dreadami. Francesca z krzykiem upuściła kodeks i odskoczyła. Księga upadła na ziemię, a jej strony zaczęły przewracać się w zawrotnym tempie, odsłaniając po kolei widmową szyję, klatkę piersiową i ręce.

Nagle Francescę otoczyła ściana ochronnej tkaniny. Cyrus krzyczał, a wkoło zerwał się potężny wiatr. Wtedy dotarło do niej, że widmowy byt tekstualny, który leżał przed nią na płytkach, mrużąc oczy w świetle słońca, to duch Shannona.

Deirdre przygryzła wargę, patrząc na zaścielające jej biurko luźne kartki i resztki świeczek. Jej pomieszczenia znajdowały się od wschodu kompleksu sanktuarium. Pokoje były proste, ale duże - białe ściany, lornijskie krzesła i stoły, łóżko z baldachimem. Przed drzwiami poranne słońce osuszyło kilka młodych palm i zwirową ścieżkę z resztek nocnego deszczu.

Żołądek Deirdre przypomniiał o swoim istnieniu. Zbyt długo już nie jadła i nie spała. Po spotkaniu z Nikodemusem większość nocy spędziła, kręcąc się po dzielnicy Północnej Bramy i pilnując, by strażnicy nie znaleźli swojej zwierzyny. Przed świtem wróciła do sanktuarium i poinformowała Tajfona o swojej porażce. Demon wysłuchał raportu i zwolnił ją. Próbowana wypytać go o plany dotyczące dwójki magów z akademii, jednak zakazał jej badać tę sprawę i odesłał do swoich obowiązków.

Nie mogła sprzeciwić się demonowi bez ponownego zabicia się. Mogła jednak przejrzeć raporty swoich agentów w nadziei, że znajdzie w nich coś więcej szpiegach z Astrophell. Niestety spędziła tylko bezsenłą noc przy biurku i nie dowiedziała się wiele. Skoro czarne szaty zostały przywiezione do Avel na pokładzie Pustułki, to znaczy, że Astrophell i korona spiryjska zawiązały sojusz pomimo stulecia wrogości. Niewątpliwie miała z tym związek przyrodnia siostra Nikodemusa, potencjalny Zimorodek. Jednak nie było wiadomo, jaki dokładnie. Wszystkie raporty twierdziły zgodnie, że znajduje się w Ogun z przedstawicielami Starhaven i Starfall.

Deirdre zastanawiała się nad tym wszystkim, kiedy usłyszała dźwięk kroków na zwirze. W jej stronę pospiesznie szedł urzędnik Amal Jaen.

- Co się dzieje? - zerwała się na nogi i podbiegła do niego.

- W...w - zająknął się. - W ssali. - Jego szeroko otwarte oczy były przekrwione. Nigdy jeszcze nie widziała go tak przestraszonego.

- Czy coś się dzieje w Sali Ambasadorów?

- Zzzarządców.

- W Sali Zarządców? Coś się teraz dzieje w Sali Zarządców?

Kiwnął głową i spróbował odpowiedzieć, ale Deirdre, nie czekając, zerwała się do biegu przez dziedzińce korytarze.

W końcu dotarła do sadzawki przed Salą Zarządców. Nikogo nie widziała, ale zwolniła kroku. Nerwowo przesunęła dłońmi po włosach, próbując nadać sobie stosowny wygląd. Szła ścieżką biegnącą wzdłuż krzaków mirtu, jednak wciąż nie widziała nikogo w sali. Czyżby się spóźniła? Czy czarne szaty były już tutaj i już odeszły? Schwytano Francescę lub Nikodemusa?

Poranek był cichy. Na dziedzińcu nie rozbrzmiewały żadne głosy. Deirdre przebiegła kilka ostatnich metrów do sali. Była pusta. Usunięto z niej dywan, poduszki i stoliki. Zajrzała w każdy kąt, by sprawdzić, czy nikt nie kryje się w cieniach, ale niczego nie znalazła.

Jej oddech przyspieszył. Obejrzała się za siebie, na dziedziniec, ale tamteż było pusto. Oblizła usta i spróbowała zmusić się do myślenia. Może Amalowi wcale nie chodziło o Salę Zarządców? Czy powinna pobiec z powrotem i go odszukać? A może znaleźć Tajfona i...

Zatoczyła się w lewo. Spróbowała odzyskać równowagę, ale odkryła, że nie potrafi tego zrobić, jeśli nie patrzy na podłogę. Nagle zrozumiała i ogarnęło ją paraliżujące przerażenie. Amal się nie jękał, został przerobiony na wyznawcę. Gdy spojrzała w głąb sali, nie zobaczyła nic oprócz cieni. Spróbowała krzyknąć imię potwora lub choćby przywołać je w myślach, ale po chwili jej skóra zdrętwiała i Deirdre straciła wzrok.

Cyrus rozwinął swój turban i potarł skronie. Zajęli z Francescą prywatny pokój w tawernie. Siedziała obok niego na poduszce i patrzyła na coś, czego sam nie widział.

Francesca wyjaśniła, że niewidoczne coś jest duchem Shannona, który obudził się w bibliotece hierofantów i znalazł notatkę, według której jego autor został zamordowany. Pozostałe części historii ducha próbowała relacjonować w przerwach kłótni z nim.

- Jesteś pewien, że było tam napisane: wspomnienia są w niej i nic więcej? - zapytała Francesca. Wyciągnęła rękę i przeczytała jakieś zdanie, które podał jej duch. - Tak, ale jak wspomnienia mogłyby być zapisane we mnie?

- Kolejna przerwa. - Wiem, że druga notka kazała ci mnie odszukać. Już mi to mówiłeś. - Pauza. Preczytała kolejne zdanie. - Nie! - Przerwa. - Jak już mówiłam, Nikodemus powiedział tylko, że mój prąjczyk świeci jaśniej. Jak prąjczyk może przechowywać twoje wspomnienia?

- Odczytała nowe zdanie. - Oczywiście, że jestem pewna, że nie mam żadnych twoich wspomnień! Na boga bogów! Wspomnienia bycia ślepy, kochającym papugę i marudnym

starszkiem to nie jest coś, o czym mogłabym zapomnieć! Płonące piekło, już samo sikanie na stojąco byłoby dostatecznie poruszające...

- Francesca - próbował przerwać jej Cyrus, jednak zignorowała go. Z tego, co słyszał, duch był bardzo słaby i rozpadał się na brzegach. Najwyraźniej biedny konstrukt gorączkowo próbował połączyć się ze swoim autorem, a jego uporczywe prośby irytowały Francescę. - Francesca, Shannon... - ponownie spróbował im przerwać, ale znów go zignorowała.

- Nie, myślę, że tu masz rację - powiedziała do ducha. - Zgadzam się, wspomnienia są w niej to na pewno niekompletne zdanie. Jasne. Krew mogła zasłonić pierwsze słowo, co dałoby: Twoje wspomnienia są w niej, ale to wciąż nie ma żadnego sensu. Co jeszcze możesz mi powiedzieć o...

- Francesca! - Tym razem Cyrus odezwał się na tyle głośno, by jej przerwać. Popatrzył na nią i w miejsce, gdzie prawdopodobnie znajdował się duch. - Shannon. To trwa już od godziny i do niczego nie prowadzi.

Francesca patrzyła na niego przez chwilę. Potem wyciągnęła coś z powietrza.

- Nie, nie zawsze, ale robi się marudny, gdy ludzie nie zwracają na niego uwagi - powiedziała w przestrzeń.

- Więc teraz zaczniesz zwracać na mnie uwagę? - warknął Cyrus.

- Słucham. - Przeczytała kolejne zdania. - Słuchamy. - Uśmiechnęła się niewinnie.

Cyrus sapnął.

- Nie odkryjemy tu i teraz, kto oddzielił ducha od maga. Nie mamy żadnego dowodu. Z drugiej strony duch może być dowodem sam w sobie.

- Dowodem na co? - Francesca uniosła brwi.

- Że w sanktuarium jest jakaś siła wroga Nikodemusowi i Shannonowi. Ktoś, kto widzi ducha, może dać się przekonać, że sanktuarium i Nikodemus są wrogami, a nie sojusznikami.

Francesca zmarszczyła swój krótki nos.

- Cyrusie, kogo, na piekła, obchodziłoby... - Umilkła. - Słusznie - powiedziała, patrząc na pustą poduszkę obok siebie. - Oni.

Ślepa, odrętwiała i głucha Deirdre próbowała wykrzyczeć lub choćby po prostu przypomnieć sobie prawdziwe imię Sawannowego Potwora, ale bestia musiała stłumić jej głos i uszkodzić pamięć. Próbowala się rzucać, ale nie mając czucia, nie wiedziała, czy jej ciosy w cokolwiek trafiają ani czy w ogół rusza kończynami. Być może bestia ją zabijała.

Nigdy dotąd nie myślała o ruszaniu kończynami, teraz nie potrafiła skoncentrować się na niczym innym. Skupiła wszystkie myśli i pragnienia na oparciu się, na ucieczce z pustki, w

której uwięził ją Sawannowy Potwór. Jej poczucie czasu zniknęło. Jak długo już się opierała? Minuty? Godziny?

Jej umysł ścisnął strach. Nieustannie próbowała sięgać ku swoim zmysłom, by wyczuć choćby najlżejszy dotyk, najdelikatniejszą woń, ale nie czuła zupełnie nic. Jej umysł jakby unosił się w braku. To było najstraszniejsze z więzień.

Szukała jakichkolwiek doznań. Nic.

Spróbowała ponownie. Nic.

Nic.

Nic.

Mijał czas. A może wcale nie. Nie potrafiła stwierdzić.

Być może bestia już ją zabiła. Być może było to jedno z piekieł bez ognia mieszczących te mniej złe dusze. Czy to kara? Na zawsze sama, uwięziona wyłącznie ze swoimi wspomnieniami.

Pomyślała o swoim życiu, dawno temu na Wyżynach, o mężu, którego wybrała jej rodzina, a którego ona opuściła, by służyć Boann. Pomyślała o swoich dwóch synach, których nigdy nie poznała. Teraz są już starzy i siwi. Może nawet nie żyją? Zaczęła się zastanawiać, czy miała wnuki albo nawet prawnuki. Przypomniała sobie Kyrana, swojego kochanka, dla którego zawiódła zaufanie Boann i którego doprowadziła do śmierci w Starhaven.

Być może faktycznie znalazła się w piekle bez ognia.

Nagle coś przed nią błysnęło, rozmazane, niebieskie, okrągłe. Potem znikło.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że przez łukowe okno dostrzegła przebłysk nieba.

A więc jeszcze nie umarła. Zastanowiła się nad swoją sytuacją. Sawannowy Potwór zniekształcił umysł Amala, zmieniając go w swojego wyznawcę. Uznała jego afazję za zwykłe jąkanie i pobiegła, wpadając prosto w pułapkę. Spryt potwora nie był zaskakujący - w przeciwieństwie do jego mocy. Po tym, jak zrzuciła go z kopuły, spodziewała się, że będzie osłabiony. Tajfon powinien był ograniczyć jego swobodę, uniemożliwiając zaatakowanie jej.

Rozmazany obraz powrócił, ale tym razem nie zniknął. Z wolna udało jej się odzyskać ostrość widzenia. Faktycznie patrzyła przez łukowe okno na niebo poprzetykane cienkimi smugami chmur, faie odbierała żadnych dźwięków, nie czuła woni, dotyku ani ciepła.

Spróbowała usiąść, ale ledwie zdołała dźwignąć głowę. Potwór prawie ją sparaliżował. Bezsilnie opadła z powrotem. Tylko Tajfon mógł sprawić, że Sawannowy Potwór poruszał się tak szybko i swobodnie. Ale czemu? Czy demon odkrył, że go zwodziła?

To nie wydawało się prawdopodobne. Gdyby dowiedział się o jej tajemnicach, pewnie byłaby już martwa. Nie, to musiało być działanie Sawannowego Potwora. Bestia nie mogła jej

zabić. Gdyby to zrobiła, musiałaby schwytać ją ponownie zaraz po tym, jak demon ożywiłby jej duszę.

Deirdre ponownie spróbowała usiąść. Tym razem jej ręce się poruszyły. Uczucie było swoiste, bo nie czuła żadnej tekstury, ciepła ani chłodu. Przeturlała się i wyrzała na sadzawkę i krzewy mirtu. Czermj Tajfon miałby dawać Sawannowemu Potworowi tyle siły, nie ostrzegając jej? Dźwignęła się, ale jej nogi wciąż odmawiały współpracy.

I nagle ją olśniło. Tajfon zawsze używał najlepszego dostępnego mu narzędzia. W Avel znalazło się teraz dwóch wrogich autorów dysponujących wyjątkowymi mocami. Czy był jakiś lepszy sposób na ich wyeliminowanie niż afazja?

Tylko czemu bestia najpierw zaatakowała właśnie ją? Nie miała żadnych obiekcji przeciwko usunięciu obcych autorów. Interweniowałaby tylko, gdyby potwór zamierzał zaatakować...

Jej ręce osłabły i Deirdre uderzyła twarzą w podłogę. Nie poczuła bólu, tylko ostre szarpnięcie. Całe jej ciało wypełnił pulsujący strach. Zrozumiała, czemu Sawannowy Potwór zostawił ją sparaliżowaną. Musiała go powstrzymać. Tylko jak miała to zrobić, skoro nie potrafiła nawet się podnieść? Co więcej, Tajfon zabronił jej się wtrącać. Nawet gdyby była w stanie podążyć za bestią, dostałaby ataku spazmów, gdyby tylko zaatakowała.

Być może mógł to za nią zrobić któryś z jej agentów. Spróbowała zawołać. Czuła głos w swoim gardle, ale nic nie słyszała. Krzyczała i krzyczała, jednak nikt nie przychodził. Była głupia. W przeciwieństwie do bestii. Jeśli potwór zaplanował jej paraliż, musiał też dopilnować, by nikt nie zbliżał się do tej sali.

Rozejrzała się po dziedzińcu w poszukiwaniu sposobu na zatrzymanie bestii, jednak widziała tylko rozświetlone słońcem zielone liście i wodę w sadzawce.

Spróbowała się odwrócić, by sprawdzić, czy nie znajdzie czegoś przydatnego w sali, jednak jeszcze raz spojrzała na sadzawkę.

Kiedy uświadomiła sobie, co musi zrobić, zaczęła przesuwać się w jej stronę.

Wierzę we wszystko, co powiedziałaś - rzekła

Francesca - poza tymi momentami, kiedy kłamałaś.

Vivian uśmiechnęła się cierpko.

- Nie potrafię stwierdzić, Francesco, czy jesteś błyskotliwą negocjatorką, czy kompletną idiotką.

- Hm - mruknęła Francesca. - Te dwie cechy wcale nie muszą się wykluczać.

- Czyżby?

Siedziały na poduszkach w prywatnym pomieszczeniu na trzecim piętrze tawerny Srebrna Palma w dzielnicy Świętej. Vivian i Lotannu wynajęli pokoje piętro niżej. Przez otwarte okna wlewało się jasne światło słońca. Gdzieś w pobliżu kapłan wyśpiewywał tubalnym głosem hymny na cześć Cali.

Cyrus siedział na prawo od Franceski. Na twarzy miał zieloną chustę, na głowie ciasno zwinięty turban, a na jego plecach spoczywała złożona lotnia. Uparł się, by zabrać na to spotkanie sporą ilość tkaniny. Obok Vivian siedział Lotannu - ubrany w eleganckie verdantynskie szaty, emanował skupieniem i spokojem.

- To kłamstwa przemilczeń sprawiają, że wydajesz się tak akademicko manipulacyjna - kontynuowała Francesca. - Ale chyba się powtarzam.

- cóż takiego przemilczałam? - Vivian westchnęła, patrząc w podłogę.

- Zimorodka, Nawalnika Burzowego, demona i - ach tak - Ligę Starfall oraz nadciągającą cholerną schizmę cholernego Numenosowego Zakonu Magii.

Zazwyczaj nieprzenikniona twarz Vivian wyraźnie się spięła. Lotannu również się poruszył. Francesca nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Zerknęła na Cyrusa, ale ten wyglądał przez okno.

- W Avel są separatyści? - zapytała Vivian.

Francesca kiwnęła głową.

- Bardzo im zależy na spotkaniu z Nikodemusem, co jest ciekawe, bo zetknęliśmy się z tym kakograficznym świrem zeszłej nocy. Co najdziwniejsze, nie chciał się zamknąć, mówiąc o potępionym przez boga bogów demonie, który jego zdaniem przejął władzę w mieście. O czym może należało wspomnieć, zanim wypuściłaś nas na miasto. Oczywiście, gdybyś wiedziała.

- Rozmawiałaś z Nikodemusem? - zapytała Vivian.

- Rozmawialiśmy.

- Ufa wam?

- Na tyle, na ile to możliwe po pierwszym wrażeniu.

- Magistra - powiedziała Vivian - masz niepowtarzalną okazję zapobieżenia rozlewowi krwi, jeśli pomożesz Astrophell w uniemożliwieniu buntownikom...

- Odpuśćmy sobie tę część rozmowy, w której opowiesz mi, jak mogę pomóc twojej frakcji zachować władzę nad światem - przerwała jej Francesca. - wróćmy do cholernego demona rządzącego w Avel.

Lotannu dotknął ręki Vivian.

- Plan awaryjny... - zaczął, jednak Vivian uniosła rękę, by go uciszyć.

- Francesca, teraz ja mogę cię oskarżyć o przemilczenia - powiedziała hardo. -
Opowiedz nam całą historię.

- No dobrze - zgodziła się Francesca i poprawiła się na poduszce. Opisała niemal wszystko, zaczynając od śmierci Deirdre na jej stole. Pomięła tylko miejsce, w którym miała się spotkać z Nikodemusem, i wszystko, co mogłoby zasugerować, że to DeGarn jest agentem Ligi Starfall. Vivian zadała kilka trafnych pytań dotyczących magów ze stacji kolaboris. Francesca odpowiadała wymijająco i kontynuowała opowieść.

Kiedy skończyła, Lotannu złożył dłonie i zapytał spokojnie:

- I wierzysz Nikodemusowi Wealowi, chłopakowi, który zabił wszystkich tych magów w Starhaven? Skąd wiesz, że nie sprzymierzy! się z demonem?

- Mam tekst, który może cię do tego przekonać - odpowiedział Cyrus, a Francesca podniosła leżący na podłodze dziennik kliniczny.

- Nie bójcie się - powiedziała, otwierając księgę. Tak jak poprzednio, po otwarciu tomu karty zaczęły się błyskawicznie obracać i po chwili na podłogę spadł jednoręki duch Shannona. Konstruktor nie był tak wyniszczony, jak poprzednim razem, lecz wciąż bardzo blady. Francesca uznała, że najwyraźniej może istnieć poza książką najwyżej dzień, zanim się rozłoży.

Pokryte bielmem oczy Vivian, zdolne widzieć numerosowy tekst, skupiły się na duchu. Zerwała się z werwą kogoś, kto ma zaledwie ćwierć jej wieku. Z jej rąk i nóg wystrzeliły strumienie złotych i srebrnych zdań. Ich blask był tak silny, że Francesca musiała odwrócić wzrok.

- Ogniste płonące niebios! - zakląła kleryczką. - On nie jest wrogi, do diaska! - Kiedy znów spojrzała na Vivian, kobieta wciąż stała, lśniąc jak mała gwiazda. Cyrus jęknął. Jego reakcją synestezyjną były mdłości, w obecności takiej ilości tekstu magów biedak mógł zwymiotować. - Vivian! - warknęła Francesca. - Niech to Los pochłonie, zostaw te bojowe teksty!

Blask przygasł i kleryczką mogła wreszcie spojrzeć na staruszkę, w której rękach wciąż drgało kilka zdań. Patrzyła gniewnie na ducha Shannona. Słaby tekst również patrzył na nią z widmowymi dredami zebranych z tyłu, z twarzą opanowaną i pełną godności.

Francesca zaczerwieniła się, uświadamiając sobie, jak głupio musiała wyglądać. Zakłopotanie ustąpiło jednak nagłej fali zazdrości. Sądząc po ilości zaimprovizowanego tekstu, Vivian była najsprawniejszą czarodziejką, jaką Francesca spotkała. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że ciało może wyprodukować tyle tekstu. Staruszka posiadała talent, o jakim Francesca mogła jedynie zamarzyć.

Kolejny raz zazdrość wydała jej się dziwnie sztuczna, jakby odczuwała cudze emocje. Szybko jednak się zbesztła. Potrzebowała większej pewności siebie. Była lekarzem, może nie mistrzynią”, ale porównywanie się z tą kobietą było dziecinne.

Popatrzyła na Vivian.

- To duch magistra Agwu Shannona, Nikodemusowego... - Umilkła.

Vivian nie traciła czasu na mówienie do ducha, zamiast tego rzuciła mu gruby złoty ustęp. Duch przeczytał wiadomość z nadludzką prędkością i rzucił równie długą odpowiedź. Vivian złapała i przeczytała czar szybciej, niż Francesca myślała, że to możliwe.

Duch i staruszka szybko wymieniali korespondencję. Przeważnie słowa przemykały zbyt szybko, by Francesca zdążyła je odczytać, ale złapała dość, by zorientować się, że duch wyjaśnia Vivian wszystko, co powiedział wcześniej jej.

Znowu poczuła ukłucie zazdrości. Być może gdyby miała talent porównywalny z Vivian, nie zostałaby wysłana na szkolenie medyczne do zaściankowego Avel. Zagryzła wargę. Poczula pustkę w piersiach. Właściwie była tam, od kiedy przybyła do Avel. Potrzeby pacjentów były tak wielkie, a jej zdolności tak ograniczone... W porównaniu z lekarką, którą chciała być, zawsze była... niedostateczna.

Spojrzała na Cyrusa, który nadal wyglądał przez okno. Cyrus nigdy nie rozumiał jej poczucia pustki. Zawsze był zadowolony ze swojego sukcesu. Dążył do realizacji marzenia o byciu kapitanem statku powietrznego, nie po to, by coś sobie zrekompensować - po prostu kochał latanie. Zazdrościła mu tego. To Cyrus był zawsze stabilniejszy w ich związku. Być może to dlatego miała wrażenie, że na pewnym poziomie nigdy jej nie rozumiał.

W końcu wstał i podszedł do okna. Vivian i Lotannu byli zbyt pochłonięci duchem, by zwrócić na to uwagę.

- O co chodzi? - szeptem spytała Francesca, podchodząc do Cyrusa.

- Kiedy tu przyszliśmy, zobaczyłem pilota na patrolu. - Spojrzenie mężczyzny uważnie śledziło niebo. - Po zeszłej nocy należało się tego spodziewać. Teraz jednak miałem wrażenie... Nie jestem pewien, ale wydawało mi się, że zobaczyłem w górze latawiec bojowy.

- Jeden z waszych konstruktów wojskowych?

- Od czasu wojny domowej „wojskowy” nie jest ich najlepszym określeniem - wyjaśnił. - To raczej powietrzeni strażnicy przeciwko atakom hierofantycznym. Pisz się je głównie do niszczenia tkanin wrogich pilotów.

Francesca przysunęła się bliżej. Ledwie godzinę temu wziął w rękę jej dłoń. Nie żeby chciała, by zrobił to znowu, ale... Dotknęła jego łokcia.

- Czemu miałby tu szybować latawiec bojowy? - spyttda.

Obejrzał się na nią: duże, jasnobrązowe oczy między zwojami zielonej tkaniny. Francesca cofnęła dłoń.

- Nie jestem pewien - odpowiedział. - Nie jestem nawet pewien, czy to faktycznie był latawiec bojowy.

- Magistra - odezwała się Vivian i Francesca się odwróciła. - Duch uważa, że jego wspomnienia przechowywane są w tobie.

Kleryczka przewróciła oczami.

- Tak, znalazł notkę: wspomnienia są w niej, i uważa, że w jakiś sposób ukrywam część jego umysłu.

- Co więcej, ukrywasz go w swoim prążeńkowym tekście - dodała Vivian. - Dość karkołomna koncepcja.

- Nie mam jego cholernych wspomnień - zapewniła Francesca.,

- Czemu go do mnie przyniosłaś? - zapytała staruszka, przerywając duchowi pisanie jakiegoś tekstu.

- Miałam nadzieję, że dostarczę ci dowodu na brak powiązań Nikodemusa i demona. - Francesca przerzuciła warkocz na plecy.

- On cię do tego przekonał?

Kleryczką uważnie przyjrzała się twarzy starszej kobiety. Spojrzenie jej niewidzących oczu skierowane było gdzieś na prawo od Franceski.

- On i moje spotkania z Nikodemusem i Deirdre. Dziś w nocy znów zobaczę się z Wealem. Chciałabym zaoferować mu sojusz z tobą przeciwko demonowi.

Vivian znieruchomiała. Lotannu spojrział na nią.

- W świetle... - zaczęła Vivian, ale Lotannu nachylił się, by jej coś wyszeptać. Wysłuchiwała go, ale nie przerwała. - W świetle tego, czego się dowiedzieliśmy, pójdę z tobą na spotkanie z Nikodemusem.

- Nie pojawi się, jeśli przyjdiesz ze mną. - Francesca potrząsnęła głową. Nie spodziewała się, że Vivian tak szybko się zgodzi. Coś tu się nie zgadzało.

Lotannu nachylił się bardziej, ale zamiast szeptać, włożył w dłoń Vivian akapit. Przeczytała go i oddała mu inny.

- Nie mogę pozwolić, byś poszła na to spotkanie, Francesco.

- Proszę? - zapytała kleryczką.

- Duch może być nieświadomym agentem Tajfona. Jeśli przekonał cię do spotkania, to znaczy, że mógł i z ciebie uczynić agentkę demona.

Gwałtownym ruchem ręki duch rzucił czar, który rozpadł się na trzy zdania. Jedno poszybowało do Vivian, drugie do Lotannu, a ostatnie do Franceski. Przetłumaczyła je. Mogę nie wiedzieć, kto mnie przeredagował, ale nie jestem agentem Dysjunkcji.

- Nie wiesz, czym jesteś. - Wyraz twarzy Vivian złagodniał. - Żebyś mógł zdobyć moje zaufanie, musimy odzyskać twoje wspomnienia.

- Powtarzam kolejny raz - z naciskiem odezwała się Francesca. - Nie mam jego wspomnień ukrytych w...

- Magistra - przerwała jej Vivian - jego wspomnienia nie są w tobie ani w żadnej innej kobiecie.

Wszyscy spojrzeli na nią, zdziwieni. Shannon rzucił trzy kopie pytania: Nie są?

- Ta notatka, którą przeczytałeś - Vivian zwróciła się do ducha - zawierała słowa „wspomnienia są w niej”, a z obu ich stron znajdowały się plamy krwi? - Duch kiwnął głową.

- Ponieważ nie było tam kapitalizacji ani znaków przestankowych, uznałeś, że coś zostało zasłonięte? - Duch ponownie przytaknął.

- Domyśla się - wtrąciła Francesca - że zostało zasłonięte pierwsze słowo i cały tekst powinien brzmieć „Twoją, wspomnienia są w niej”.

- Ta notka leżała na książce? - Vivian zdawała się ignorować kleryczkę. Duch po raz trzeci kiwnął głową. - W takim razie musimy udać się do sanktuarium i odszukać tę bibliotekę.

- Ale tam jest demon - zaproponowała Francesca.

- To nie ma znaczenia. - Vivian wzruszyła ramionami.

- Ona oszalała, prawda? - kleryczka zwróciła się do Lotannu.

- Wspomnienia ducha zostały zapisane w księdze, na której leżała notatka - głośno oświadczyła Vivian.

- A skąd ty to, do diaska, możesz wiedzieć? - sarknęła Francesca.

- Byłaś tak skupiona na zasłoniętym pierwszym słowie, że zapomniałaś o kontekście - usłyszała odpowiedź.

Zmarszczyła brwi, lecz po chwili zrozumiała.

- Notatka nie nawiązywała do mnie, tylko do książki, na której spoczywała.

Ale kto zatrzymałby moje wspomnienia w księdze, skoro rzucił mnie? Duch wysiał tekstowe pytanie.

- Ktoś, kto nie jest czarodziejem - oświadczyła Francesca, nagle rozumiejąc. - Gdy byliśmy na lotni, Deirdre z przejęciem powiedziała mi, że wysłała kogoś na pomoc, ale nie była pewna, czy to się udało. Wtedy nie miało to dla mnie żadnego sensu...

- Ale jak Deirdre rrtogła dostać się do biblioteki? - Lotannu zmarszczył brwi.

- Została przyniesiona z ataku likantropów, krwawiąca i z klątwą w płucach. Nie była w groźnym stanie do chwili, aż spróbowałam odczarować tę klątwę i przesunęłam ją na jej serce. Wcześniej jednak mogła wymknąć się do biblioteki hierofantów. Miałyby problemy z oddychaniem i na pewno krwawiła, ale technicznie mogła to zrobić. Musiała wiedzieć, w której księdze zapisano twoje wspomnienia, ale nie potrafiła ich w ciebie rzucić.

Vivian poprawiła swoje długie białe włosy.

- Niezależnie od przyczyny musimy dostać się do tej biblioteki i...

- Cofnijcie się! - krzyknął nagle Cyrus, odskakując od okna. Lotannu i Vivian automatycznie wykonali polecenie, ale Francesca tylko zmarszczyła brwi. Chwycił ją za rękę i szarpnął w głąb pokoju.

- Co jest? - wyszeptała.

- Nad budynkiem krążą trzy lotnie. W formacji. Krążą w ten sposób tylko tuż przed atakiem.

- Wracaj do księgi, duchu - rozkazała Vivian. - Pozostali, osłońcie się. Razem z Lotannu poradzimy sobie z każdym atakiem.

Duch Shannona, nie tracąc czasu, wskoczył do leżącego na podłodze dziennika. Cyrus pociągnął Francescę w stronę drzwi prowadzących na korytarz. Zaczęła protestować, ale zrezygnowała. W pewnym momencie usłyszała coś dziwnego.

- Cisza! - warknęła. Usłyszała to wyraźniej: śpiew odległego kapłana zmienił się w niezrozumiały bełkot. - Afazja - wyszeptała. - Musimy natychmiast uciekać!

- Nie. Zostaniemy - spokojnie oświadczyła Vivian, podnosząc dziennik. - Myślisz o półsmoku Tajfona?

- Nie rozumiesz, czym może być smok! - Francesca nerwowo potrząsnęła głową. - Ten stwór zniszczy twoją zdolność używania języka!

Vivian tylko się uśmiechnęła.

- Lotannu, przygotuj teksty, których potrzebujesz do widzenia myśli czwartorzędowych.

- Vivian, chyba nie potrafię... Ja po prostu... tylko... - Lotannu patrzył na swoje dłonie. - Jest słowo, które znaczy... znaczy...

Jedną ręką Francesca chwyciła Cyrusa, a drugą otworzyła drzwi.

- Uciekaj! - rozkazała, ciągnąc go na korytarz. Lotannu krzyknął coś jeszcze, ale nie zwracała na niego uwagi. Korytarz był wąski, ze ścianami z piaskowca. Cyrus próbował coś powiedzieć, ale emitował tylko nic nieznaczące dźwięki. - Boże bogów, ratuj! - jęknęła

Francesca i wtedy podłoga się zatrzęsała, a w polu widzenia kleryczki pojawiły się pomarańczowe plamki. Pobiegnęła korytarzem, próbując otworzyć każde mijane drzwi. Wszystkie były jednak zamknięte.

- Ooo... - stęknął Cyrus.

Obejrzała się i zobaczyła, jak mężczyzna kopniakiem otwiera jedno z drzwi. Podbiegła do nich i zajrzała do pokoju. W środku leżały prosty dywan i mata do spania. Pomieszczenie miało białe ściany i szerokie, prostokątne okno. Podłoga znów zadrżała.

Francesca przebiegła przez pokój i wspięła się na parapet. Jej wzrok się oczyszczał, więc bardzo wyraźnie zobaczyła przemykające białe płótno i błysk stalowych szponów.

- Stwórcu! - Latawiec bojowy przelatywał raptem kilka metrów od okna, kręcąc się na boki jak wąż gotowy do ataku. Francesca spróbowała się wycofać, ale zatrzymały ją ręce Cyrusa. - Latawiec! - krzyknęła.

- Nie jest... bliżej... z powodu - odpowiedział z wysiłkiem i wskazał w dół. Jakies dwa metry niżej znajdował się dach stajni. - Skacz!

- Jest zbyt stromo... Nie zdołamy się...

Nie zdążyła dokończyć, bo Cyrus wypchnął ją przez okno.

Z krzykiem spadła dwa metry. Wylądowała niezdarnie na nogach, po czym przewróciła się na bok. Tak jak się obawiała, zaczęła zjeżdżać po sekwojowych gontach. Za plecami usłyszała trzask. Czyjaś ręka chwyciła ją za ramię i nagle jej ubranie zeszywniało. Krzyknęła głośniej, gdy razem z Cyrusem zsunęli się z krawędzi dachu.

Spadali w powietrzu w kierunku błotnistej uliczki. Francesca poczuła na twarzy potężne uderzenie« strumienia wiatru, a potem zaczęła unosić się do góry. Nad nią rozłożyła się zielona wydęta płachta spadochronu.

Jej czarne szaty splotły się z zielonymi szatami Cyrusa, połączonymi ze spadochronem gęstą siatką linek. Brzeg płótna obwisł z jednej strony i gwałtownie skręcili w kierunku gospody. Klnąc, Cyrus zaczął nerwowo poruszać dłońmi po linkach. Chwilę później spadochron odzyskał kształt i odciągnął ich od tawerny.

- W pobliżu Potwora tekst się zniekształca - krzyknął hierofanta. - To dlatego latawiec nie podlatuje bliżej. Kiedy wchłonimy konstrukt, trzymaj się z dala od jego szponów.

- Kiedy co zrobimy? - w głosie Franceski pobrzmiwał szok.

Dokładnie w tym momencie latawiec bojowy uderzył w ich spadochron. Cyrus rzucił jakiś czar i linki zaczęły się spiralnie zwijać. Szpony latawca z głośnym trzaskiem rozciąły tkaninę nad nimi. Zwijające się linki ppdciały Cyrusa i Francescę do góry, w stronę konstrukt.

Francesca zdążyła tylko znowu krzyknąć, zanim pochłonął ją chaos tkaniny i stali. Próbowwała zasłonić twarz, ale jej rękawy zrobiły się sztywne, choć materiał przy nogach płynął swobodnie i lekko niczym jedwab. Świat pochłonęło płótno żaglowe, aż w pewnej chwili jego część rozsunęła się, odsłaniając ziemię. Znowu spadali na dach stajni. Coś twardego i ostrego naparło na biodro Franceski. Cyrus krzyknął i twardy materiał zniknął. Wisieli w powietrzu. Nad nimi unosiła się zielona tkanina z białymi paskami.

Cyrus pomimo zakrwawionej ręki gorączkowo pracował przy linkach. Po chwili wzniesli się na tyle wysoko, by ogarnąć wzrokiem większą część miasta. Kierowali się z wiatrem na północny wschód, w stronę dzielnicy Palmowej.

- Wchłonięcie pozbawiło mnie większości tekstu! - krzyknął Cyrus. - Będziemy musieli się z nimi ścigać do Nadziei Traciwiatra!

Francesca pamiętała, że Nadzieja Traciwiatra to grzbiet z prądami wznoszącymi, ale poza tym jego słowa nie miały dla niej sensu.

- Z kim ścigać? - spytała.

- Ze skrzydłem za nami.

Obejrzała się i zobaczyła trzy lotnie: czarną i dwie żółte, unoszące się nad miastem i skierowane w ich stronę. Potem dostrzegła węzowe ruchy jeszcze dwóch latawców bojowych. Wstęgowe konstrukty wzbijały się ze zdumiewającą prędkością.

- Czy możemy uciec latawcom bojowym, Cyrusie?

- Szlag! - rzucił, obejrzawszy się. - Może będziemy musieli lądować w jednym z... - Umilkł, gdy stało się jasne, że jeden z latawców bojowych dogoni ich już za chwilę. Cyrus gwałtownymi, ale pełnymi skupienia ruchami zajął się linkami zawieszenia.

Spadochron ponownie zmienił kształt i zaczął gwałtownie nurkować. Pod nimi rozciągał się labirynt budynków z piaskowca w dzielnicy Palmowej. Gruby mur zewnętrzny wznosił się nieco ponad kilometr dalej. Za nim zieleniła się sawanna.

Cyrus się obejrzał. Gdy Francesca również zerknęła za siebie, gwałtownie wciągnęła powietrze. Latawiec bojowy leciał zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich. Skręcili w prawo i wzniesli się nieco wyżej.

Konstrukt przemknął obok Franceski i wzbił się do góry. Cyrus znowu zwinął linki uprząży i Francesca została pochłonięta przez tkaninę atakowaną przez latawiec bojowy. Tym razem zwinęła się w kulę, zanim uderzyli. Ponownie została osłonięta przez sztywną tkaninę, po czym zaczęli spadać. Jednak tym razem Cyrus nie krzyknął. Poczwała błysk paniki, a potem dziwne uczucie oderwania. Spadali zbyt długo. W każdej chwili mogli rozbić się o jakiś wykafelkowany dziedziniec.

W końcu tkanina ją uwolniła i nad Francescą i Cyrusem rozłożyła się czasza spadochronu, ostro szarpiąc ich w górę. Byli zaledwie kilka metrów nad strażnicą w zewnętrznym murze. Francesca dostrzegła kilku mężczyzn w kolczugach, którzy ich obserwowali.

- Uda się nam? - krzyknęła, patrząc na Cyrusa.

W czasie lotu stracił swój turban i chustę, a jego czarne loki powiewały na wietrze. Zanim zdążył odpowiedzieć, w ich spadochron uderzył kolejny latawiec bojowy. Świat zawirował. Cyrus ruszył dłońjii, linki się zwinęły, ale tym razem zajęło to więcej czasu. Nie mieli szans na dotarcie do konstrukt, zanim rozedrze tkaninę na drobne strzępy. Francesca spojrzała w dół i z przerażeniem odkryła, że przelecieli nad murem i tym razem opadali w stronę sawanny. W odległości niecałego kilometra zobaczyła w wysokiej trawie dwie poruszające się szybko fale. Mogły je wywołać tylko biegnące likantropy. Bestie kierowały się prosto w stronę miejsca, w którym za chwilę się rozbiją.

Hiż przed uderzeniem o ziemię hierofanta zrobił coś, dzięki czemu zniszczone płótno poddało się ostatniemu podmuchowi powietrza. Ich upadek dzięki temu zwolnił i łodygi traw wywołały tylko ból, dźgając Francescę w biodro, zamiast przebić skórę.

W końcu uderzyli w wilgotną ziemię. Zderzenie z gruntem pozbawiło Francescę tchu. Przez chwilę leżała nieruchomo, patrząc na skrawki błękitnego nieba między falującą trawą. Cyrus stał nad nią, krzycząc coś o likantropach. Podniosła się na nogi, chwytając jego dłoń. Poszła za nim, przeciskając się przez trawę.

- Musimy wrócić do muru, zanim nadejdą! - zawołał.

TYawa napierała na Francescę z taką siłą, że nie potrafiła pewnie stąpać po ziemi. Przewróciła się. Cyrus znowu znalazł się nad nią, dźwigając ją na nogi, ale sam również stracił równowagę. Coś masywnego przemknęło przez trawę w pobliżu. Cyrusowi w jakiś sposób udało się wstać.

Nagle gdzieś obok zabrzmiał gardłowy, nieludzki głos.

- Cyrus! - krzyknęła Francesca. Mężczyzna próbował ją dźwignąć, ale jej kostka skręciła się i znowu upadła na ziemię. - Cyrus! - powtórzyła, ale wtedy coś wybuchło w trawie. Powietrze wypełniły odłamki łodyg i chmury gleby.

A potem niebo nad Francescą rozbłysło - najpierw boleśnie jaskrawe, po chwili całkiem czarne.

Nie mogę... słów.

Vivian zrobiło się zimno, gdy słuchała, jak Lotannu usiłuje coś powiedzieć. Ruszyła w stronę, z której dochodził jego głos.

- Chodź tu. Nie mogę się dość szybko pozbyć tych tekstów z oczu. Pozwól mi spojrzeć swoimi. Po chwili natknęła się na jego dłoń. Zainicjowała protokoły tekstowe i zaczęła patrzeć przez jego czujne oczy. Po raz pierwszy zobaczyła wynajętą, prywatną jadalnię z eleganckim czarnobiałym dywanem i mnóstwem wyszywanych poduszek. Lotannu znowu spróbował coś powiedzieć, ale wyemitował tylko ciąg sylab. Ścisnął jej dłoń. Odpowiedziała tym samym. - Wszystko w porządku, przyjacielu. Szkoliłam się do tego całe życie.

Francesca i Cyrus musieli uciec. Najprawdopodobniej zostaną złapani przez półsmoka. A może ich ucieczka się powiodła? W każdym razie, gdy tylko Vivian poradzi sobie z gadem, wróca - z pewnością bardziej zainteresowani współpracą.

Podłoga pod jej stopami się zatrzęsała. Chwilę później zabrzmiały chaotyczne skowyty, a zaraz po nich odgłosy kroków. Ktoś krzyknął. Francesca wspominała, że Sawannowy Potwór atakował przy pomocy swoich wyznawców. Najprawdopodobniej kilku z nich właśnie się zbliżało.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, ukazując dwóch mężczyzn w poszarpanych spiryjskich kamizelach. Obaj, zgodnie ze spiryjską sztuką walki, trzymali po dwa krótkie miecze. Vivian postąpiła najłagodniej, jak mogła, rzucając im na głowy sieci numenosowych zdań. Po chwili nieprzytomni padli na podłogę. Jednak ku zaskoczeniu Vivian jej proza zaczęła się rozpadać. Prawdopodobnie działała na nią w ten sposób bliskość półsmoka. Wkrótce czary się rozłożą, a mężczyźni się obudzą.

Zmarszczyła brwi. Sądziła, że jej proza jest dość spójna, by oprzeć się wpływowi półsmoka. Odświeżyła czary ogłuszające i dodała magnusowe więzy na ręce i nogi wyznawców. Wtedy w drzwiach z krzykiem pojawił się kolejny mężczyzna, tym razem z włócznią. Rzuciła w niego czar ogłuszający i więzy, powalając go na ziemię.

Podłoga trzęsała się mocniej. Już niedługo. Lotannu rozluźnił chwyt na jej dłoni i spojrzał na nią. Vivian zobaczyła się po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Wrażenie było dezorientujące. Jej śnieżnobiałe włosy i całkiem białe oczy sprawiały, że wyglądała wręcz niemożliwie staro.

Pod wpływem kolejnych, coraz mocniejszych drgań Lotannu stracił równowagę. Spojrzał na drzwi. To, co zobaczyła Vivian, wstrząsnęło nią tak mocno, że odruchowo wyszarpnęła dłoń z jego uchwytu i z powrotem pograżyła się w swojej tekstowej ślepotce. Lotannu gwałtownie wciągnął powietrze. Chwyciła jego dłoń i ponownie zobaczyła kipiącą, bezkształtną masę szarej skóry i kończyn. Między nimi znajdowała się ludzka twarz z jasnozielonymi oczami, które wyglądały dokładnie tak jak oczy jej nieżyjącej matki.

Nagle odczuła surrealistyczną pewność, że oczy nie tylko przypominały oczy jej matki, ale do niej należały. Jej serce zabiło gwałtownie - półsmok był stworem wykraczającym poza wszelkie jej wyobrażenia. Potrzebowała całej możliwej samodyscypliny, by stłumić narastającą panikę. Lotannu zaczął odwracać wzrok, ale mocniej ścisnęła jego dłoń, każąc mu patrzeć prosto na niego.

-...Nie mogę... ślepy... - dało się odczytać pomiędzy bezsensownymi monosylabami, które wypowiadał Lotannu. - Szumi.

- Ja go widzę - odpowiedziała. - Patrz prosto na niegoPółsmok patrzył na nich zielonymi oczami jej matki. Używając całej swojej siły, Vivian uformowała potężne numenosowe i magnusowe akapity. W ciągu jednego uderzenia serca splotła oba języki w hybrydowy tekst bojowy - tyradę języka ostrego jak brzytwa. Szybkim ruchem ręki rzuciła czar w bestię. Pomknął niczym piorun jarzącego się srebra i złota. Bestia błyskawicznie cofnęła się do korytarza. Światło przygasło. Vivian odwróciła głowę do okna, ale jej niewidzące oczy nie zobaczyły żadnego tekstu.

- Lotannu, okno.

Gdy się odwrócił, zabrakło jej tchu. Okno zasłaniały pająkowate wypustki szarego ciała wydęte niczym w koszmarnym śnie. Zakręciło jej się w głowie. W jaki sposób półsmok tak szybko wydostał się za okno trzeciego piętra?

Rzuciła drugi czar w stronę kończyn o niezliczonych stawach. Jej świecące jak błyskawica zdania przecięły kilka wyrostków, rzucając je na podłogę. Jednak potem Lotannu znowu spojrział na drzwi i zobaczył fantasmagorię szarej skóry i kończyn wciskającą się z powrotem do sali. Wir zawrotów głowy ogarnął Vivian, gdy zrozumiała, że półsmok nie przemieszcza się między oknem a drzwiami, ale znajduje się w obu tych miejscach jednocześnie. Wielkość potwora była oszałamiająca - obejmował połowę budynku.

Rzuciła kolejny czar na wsuwające się przez drzwi ciało. Jednak kiedy tekst uderzył, w jego zdaniach pojawiły się błędy i rozpadł się na kawałki. Twarz potwora pośród szarych kończyn coś mówiła, ale Vivian nie słyszała słów. A potem z przerażeniem zrozumiała, że tak naprawdę niczego nie słyszy.

Straciła słuch.

Popelniła śmiertelny błąd - stwór negował jej moc w sposób, którego nie wzięła wcześniej pod uwagę. W całej swojej dumie dała się głupio wmanewrować.

Pokój pociemniał, gdy okna zostały zasłonięte kończynami o nieprawdopodobnej wręcz liczbie stawów. Vivian próbowała krzyknąć, ale część bestii rzuciła się na nią od strony drzwi. Ledwie zdążyła się odwrócić, zanim szare ciało powaliło ją na podłogę.

Straciła kontakt z dłonią Lotannu i ponownie oślepla. Jakaś niemożliwie potężna siła przycisnęła ją do podłogi. Czuła ból i przerażenie - tak, jakby za chwilę coś miało zostać z niej wyrwane.

A potem przemożna siła przestała się przemieszczać i wszystko znieruchomiło. Nagle ciężar znikł i kobieta gwałtownie wciągała powietrze. Po jej policzkach spływały łzy.

Jakaś dłoń dotknęła jej i ponownie zobaczyła się dzięki oczom Lotannu. Płakała jak dziecko. Pokój był pełen światła. Przy oknie szumiał lekki wiatr. Razem z Lotannu wstali z wysiłkiem.

- Przepraszam - załkała. - Przepraszam. Przepraszam. Myliłam się. Nie wiedziałam, czym on jest.

Lotannu potrząsnął głową.

- To... coś - powiedział. - To odeszło... nie... zmusiłaś go do tego...

Alewnie miało już znaczenia, co skłoniło stwora do oszczędzenia ich. Liczyło się tylko to, że wciąż oddychają.

Lotannu podniósł księgę zawierającą ducha Shannona i wraz z Vivian ruszyli w górę schodów gospody. Przeskakiwali nad zmiażdżonymi na śmierć ludźmi, pospiesznie kierując się na ulice pełne popołudniowego słońca.

Deirdre ożyła gwałtownie. Była w spokojnej zielonej wodzie. Nigdy jeszcze się nie utopiła - przy ograniczeniach nałożonych na jej umysł przez Tajfona nie była w stanie pozostać pod wodą na tyle długo, by umrzeć. Tym razem stało się to możliwe tylko dzięki częściowemu paraliżowi.

Odruchowo spróbowała wciągnąć powietrze i odkryła, że w piersiach ma pełno wody. Wstała i zaczęła kasłać. Na błękitnym niebie świeciło słońce, ale Deirdre dygotała z zimna na całym ciele. Podeszła do brzegu płytkiej sadzawki i wspięła się na ścieżkę ogrodu.

Wciąż zastanawiała się nad swoją sytuacją. Demon musiał wysłać Sawannowego Potwora, by zabił magów z Astrophell. Nie chciał, żeby Deirdre mu w tym przeszkodziła, dał więc bestii moc sparaliżowania jej. Deirdre nie obchodził jednak los szpiegów z Astrophell. Utopiła się po to, by powstrzymać potwora od polowania na Francescę. Bo zapewne tym zająłby się po zgładzeniu magów. Teraz jednak Deirdre odsłoniła swoją ostatnią kartę. Po tym samobójstwie Tajfon z pewnością przeszuka wszystkie jej wspomnienia i odkryje, jak uwolniła Francescę i ducha Shannona.

Powiał lekki wiatr, poczuła na skórze jeszcze większy ziąb. Odwróciła się i ponownie spojrzała na sadzawkę. Jej lśniąca powierzchnia odbijała kopulę sanktuarium, wysokie drzewa palmowe i błękitne spiryjskie niebo. Poczua się nieswojo - to takie dziwne, że

właśnie w tym miejscu czekają koniec. Pomyślała o swoich rodzinnych wyżynach, długich zielonych łąkach, wiecznie szarym niebie, wiosennych kwiatach, górach pokrytych śniegiem.

Teraz, między ożywieniem a ponownym pochłonięciem, przez chwilę była zupełnie wolna. Na krótko znowu stała się śmiertelniczką. Mogła zginąć, a wówczas Tajfon nie zdoła jej odzyskać. Ponownie ponajęła o swoich synach i nieznanach jej wnukach. Pomyślała o Nikodemusie, Shannonie i Francesce, próbujących zrealizować swoje cele. Ona sama nigdy nie była taka jak oni, kochała jedynie swoją boginię. Swoją jedyną miłość. Swoją Boann.

Przypomniała sobie sposób, w jaki Boann dotykała jej policzka, jak dziecinna potrafiła być, jak w niektóre noce zabierała ją w góry, jak spały przy obrośniętych krzewami wodospadach, jak bogini niemal związała się w jej ramionach.

Deirdre drżała. To jej ostatnie chwile na słońcu, a ona nie potrafi opanować swojego ciała. Wiatr przybrał na sile i usłyszała szelest liści pobliskiej palmy. Boann była boginią rzeki. Jej dom znajdował się pośród ustronnych strumyków i wodospadów, daleko stąd. W sawannowym mieście były tylko zbiorniki i sadzawki.

Musiała chronić Boann, musiała zachować wspomnienia o Francesce i duchu Shannona z dala od Tajfona. Weszła z powrotem do sadzawki. Nie ma czasu na czekanie. Potwór niedługo nadejdzie. Schyliła się. Wiatr osłabł i znowu zapadła cisza. Po raz ostatni rozejrzała się wokół, podziwiając jaskrawe słońce i błękitne niebo, a potem zanurzyła się w ciemnozielonej wodzie, która miała być jej ostatnim wspomnieniem z tego świata.

Nikodemusa obudził krzyk. Leżał pod wełnianym kocem, a nad sobą miał skośny dach chaty. Potrzebował chwili, by przypomnieć sobie, że jest w obozowisku w sekwojowym lesie, ze swoimi uczniami. Znow rozległ się krzyk, wysoki i urywany. Rzucił się do drzwi. Śpiący na sąsiedniej pryczy Jasp usiłował się podnieść.

Rozejrzał się po obozie: Siedem chat ukrytych pod najwyższymi drzewami w lesie. Cień był tu tak gęsty, że nawet w południe mogły przez chwilę działać chtoniczne czary. Ziemia pod stopami młodzieńca była wilgotna od deszczu i czerwona od rozkładającej się przez stulecia kory sekwoi. Powietrze pachniało słodko i ciężko. Wykorzystując zdolność do widzenia prążyka, dostrzegł kunę przemykającą przez pobliskie gałęzie. Przez ściany chat widział budzących się i wstających ze snu uczniów. Ani śladu likantropów. Ani śladu potwora.

Nie dostrzegł żadnego zagrożenia.

Nagle zatoczyła się przed nim i przewróciła na bok. Długie spienione prądy jej włosów rozpadły się na kształt poszarpanej korony. Zobaczył, jak jej oczy topią się i spływają po twarzy. Ciemnozielone szaty bogini rozpadły się na paski wodorostów. Jej ciało, niegdys

ideał młodości, obwisało bezwładnie. Skóra pod żebrami zapadła się, odsłaniając rzędy kości. Piersi zwisały płasko nad zapadniętym brzuchem.

Nikodemus, wstrząśnięty, mógł tylko patrzeć, niezdolny, by odwrócić wzrok.

- Boann? - wyszeptał w końcu.

Bogini w okamgnieniu powróciła do pięknej i młodej wersji. Podbiegła do Nikodemusa i łkając, spojrzała mu w twarz. Wyglądała jak dziecko, które się zraniło i nie może powstrzymać łez bólu. Wyraz jej twarzy był przy tym tak szczery, tak ludzki, że Nikodemus niemal zapomniał, że ma do czynienia z bóstwem, i rozłożył ręce w geście pocieszenia. Spróbował ją objąć, jednak jej talia w jednej chwili stała się jakby półpłynna. Niczym w sennym koszmarze przelała mu się przez ręce i spadła na ziemię. Jej włosy rozpląły się, a oczy wypłynęły z oczodołów.

- Martwa... - rozległ się jęk. - Umarła na wsze wieki! - Wbiła palce w ziemię. Jej ramiona rozpadły się, a głowa skurczyła i rozlała. Po chwili cała reszta jej ciała wsiąknęła w podłoże.

- Ogniste niebios! - wyszeptał Nikodemus, cofając się o krok. - Stwórcu, zbaw nas!

Po bogini został tylko mokry ślad.

- To Deirdre - powiedział ktoś.

Nikodemus podniósł wzrok i zobaczył magistra Shannona. On i koboldy wyszli ze swoich chatek.

- Deirdre zginęła? - Nikodemus nagle zrozumiał.

- Tylko to mogło się stać. - Shannon podniósł dłoń, dotykając siedzącej mu na ramieniu Lazur.

- Czy ona... czy Boann również zginęła? - Nikodemus popatrzył na mokrą plamę.

- Jej arka zdaje się niezmienną. - Shannon podszedł do Nikodemusa. Wskazał na niewyróżniający się kamień leżący pośrodku obozu. - Ale nie wiem.

Nikodemus przyjrzał się pobrużdżonej twarzy nauczyciela. Pod skórą na jego skroniach bardzo wyraźnie zarysowywały się kontury czaszki.

- A więc Deirdre nie żyje... - powiedział cicho młodzieniec. Nagle ogarnął go potworny, niemal paniczny strach, że Shannon również zginie. Uczucie to było silne i dziwne, prawie jak mdłości. Shannon może przeżyć jeszcze dzień lub rok, ale jego mentor umrze zdecydowanie zbyt szybko. Również zbyt szybko dołączy do niego sam Nikodemus.

Potem coś w nim jakby rozerwało się czy podzieliło. Najpierw poczuł wstyd, a potem obojętność. Rozkazał Szumowi, Żuźłowi i Krzemowi przeszukać obóz, a Jaspa wysłał na

pobliskie wzniesienie, z którego mógł obserwować zbiornik i miasto. Żyle kazał położyć się z powrotem.

Gdy wydał rozkazy koboldom, Shannon zaprosił go do swojej chatki. Staruszek rozpalil ogień i zajął się gotowaniem wody. Nikodemus usiadł na jego pryczy i zapatrzył się w płomienie. Obaj milczeli. Po kwadransie rozległ się wrzask Jaspas. Biegł ze wzniesienia, krzycząc o lotniach nad miastem. Jedna z nich rozbiła się na sawannie, gdzie czekały już na nią likantropy

Francesca poczuła gorące, stęchłe powietrze. Napierało na jej skórę, drapało w gardle i płucach. Otworzyła oczy, ale nie umiała zidentyfikować tego, co zobaczyła. Gdzieś z oddali świeciło słabe światło. Koło niej poruszyło się coś potężnego. Nad nią pojawiła się kudłata twarz z długim nosem i czarnymi, przenikliwymi oczami.

Patrzyła na stwora, zupełnie zdezorientowana. Pociągnął nosem, obwąchując Francescę z taką żiłą, że uniosły się przy tym jej luźne włosy. Z powrotem opuściła głowę. Ziemia pod nią zawirowała. Powoli wracały fragmenty wspomnień - bieg przez trawę, wybuch...

Stwór ponownie ją powąchał, a potem wycofał się w ciemność. Francesca zamknęła oczy. Gdzieś w pobliżu slychać było ludzki głos. Brzmiał znajomo. Ziemia wciąż wirowała...

Przemykające oniryczne sceny: pływanie w zatoce Port Mercy, smród gangreny na stopie, szycie rany na łokciu, odległa muzyka gitarowa...

- No proszę, jaki rozkoszny obrazek.

Francesca się ocknęła.

- Co się stało? Który pacjent? - zapytała automatycznie.

Ktoś się roześmiał.

- Pewnie, ty i miech. Tulicie się do siebie jak szczeniaki w koszyku, a miasto pogrąża się w chaosie. Ale nie przejmujcie się ginącymi ludźmi. Mam wam przynieść koc? Może miękkie poduszki, co?

- Luro? - zapytała, wreszcie rozpoznając głos. Usiadła. - Co się stało? Gdzie jesteśmy?

- Zobaczyła niewielką sylwetkę staruszka. - I na Los w piekle, czemu ty tu jesteś?

- Nie żebym tego chciał. Wierz mi, miałem nadzieję nigdy nie wracać do tego obozu. Ale ty, jak widzę, nic sobie z tego nie robisz.

Francesca spróbowała uformować czar świetlika, ale odkryta, że w jej ręce nie powstaje żaden złoty tekst.

- Ocenzurowano mnie. - Zrozumiała, wstrząśnięta. - Nie mogę... - Sięgnęła głęboko do swego umysłu w poszukiwaniu cenzorującego tekstu, jednak w tej samej chwili poruszyło się siedzące przy niej wielkie niewidoczne stworzenie.

- Nie - warknął Luro. - Nie zgadzam się na żadne czarymary. Dość problemów ęiiałem, żeby powstrzymać ich przed zjedzeniem was, gdy byłaś jak śnięta ryba. Zaczynij tylko rzucać w koło magię, a zbadasz od środka brzuch likantropa.

- Jesteśmy w legowisku likantropów? - Francesca posłusznie opuściła dłoń.

- Coś w tym stylu.

- A ty z nimi rozmawiasz? - zapytała. - Czy też jesteś likantropem? - Roześmiała się. - Na twoich uszach rośnie tyle włosów, że mógłbyś być przynajmniej w połowie wilkiem.

Staruszek odchrząknął wymownie.

- JESTEŚ PRZEKŁĘTYM PRZEZ BOGA BOGÓW LIKANTROPEM?

Niewidoczny stwór zawarczał tak nisko, że pierś Franceski zawibrowała jak skóra na bębnie. Obok niej jęknął mężczyzna. Brzijał jak Cyrus.

- No dobrze, lekarko, uspokój się już - burknął Luro. - Nie jestem właściwym likantropem. Nigdy nie przemieniłem się po raz drugi.

- A kiedy, na boga bogów, zmieniłeś się po raz pierwszy?

- Fran, gdzie je... - Cyrus chwycił ją za rękę.

- Jesteśmy bezpieczni - przerwała mu, ściskając jego dłoń. - Chyba.

- Jesteście bezpieczni - potwierdził Luro. - Przynajmniej na razie. Ale czas się ruszyć.

Francesca stanęła na drżących nogach i pokrótce przekazała Cyrusowi to, czego już się dowiedziała. Luro przemówił do niewidocznego stwora, a ten odpowiedział mu w języku przypominającym mieszanię warczenia i szczekania.

Luro polecił Francesce i Cyrusowi, by szli za jego głosem. Kiedy ruszyli, potężny stwór poszedł w krok za nimi. Po jakimś czasie dotarli do wylotu tunelu i wyszli na mały plac z czymś, co Francesca w pierwszej chwili uznała za amfiteatr. W rzeczywistości był to nasyp tworzący pełne koło, zwieńczony palisadą z kanelażem. Wnętrze fortyfikacji miało postać koncentrycznych pierścieni połączonych brukowanymi rampami. W pionowych ścianach każdego poziomu otwierały się łukowate wejścia prowadzące do tuneli.

Nad najwyższym poziomem sterczały sekwojowe belki, na których zawieszono siatkę z plecionej trawy. Prześwitywało przez nią czyste, ciemniejące ku zachodowi niebo.

- Jesteśmy w kolonii likantropów - odezwał się Cyrus.

- Osadzie, miechu - warknął Luro.

- Ta siatka z trawy chroni ich wodę. - Cyrus zignorował go. - Bez tego nasi piloci wrzuciliby do niej truciznę. - Wskazał w dół, do środka fortyfikacji. Francesca zrozumiała nagle, że ciemna gładka powierzchnia u dołwnasypu jest zbiornikiem wodnym.

- Nie mów zbyt głośno o tym, w jaki sposób miechy zabijają naszych ludzi. - Upomniał go Luro. - To niezdrowe.

Kleryczka odwróciła głowę. W tunelu za jej plecami coś się poruszało. Jeden duży stwór i kilka mniejszych.

Cyrus w podartych zielonych szatach, bez turbanu i chusty, uważnie przyglądał się Luro.

- A więc Kanicy zawiązali sojusz z likantropami?

- Nie bądź głupi - uciął Luro. - Stojąc tutaj, sam powinieneś się domyślić.

Francesca znowu zauważyła ruch w tunelu. Na moment jedno z mniejszych stworzeń zbliżyło się na tyle, że mogła dostrzec... Zmarszczyła czoło i zmrużyła oczy. Nie... Może się pomyliła. Duży, ale całkiem zwyczajny pies. Jeden z tych, które Kanicy trzymali w dzielnicy Północnej Bramy.

- Trzymacie tu te same psy co w mieście? - zapytała.

- To nie są psy. - Luro pociągnął nosem.

- Och! - Francesca wreszcie zrozumiała. - To wasze dzieci!

- Jakie to uczucie, być tym głupszym w parze? - Luro zaczepnie szturchnął Cyrusa.

- Wspaniale. Ale czułbym się o wiele lepiej, gdyby kontakty z nią nie wymagały stykania się z takimi durniami, jak ty.

- Drażliwy, co? - Luro tym razem zwrócił się do Franceski.

Zignorowała ich oby i wskazała na wylot tunelu.

- Te psy są takie same jak te, które kręcą się po całej Północnej Bramie.

- Fran, o czym ty mówisz? - Cyrus spojrzał na nią.

- Pamiętasz, zauważyłeś, że Kanicy mają nadmiar dzieci i starszych, ale mało kogo w wieku średnim. To dlatego, że wszyscy w średnim przesiadują tu, na sawannie.

Luro miał minę, jakby zjadł coś kwaśnego.

- Nie wszyscy przemieniamy się po raz drugi.

- Rodzicie się jako ludzie i stajecie wilkami? - zapytała.

- Odwrotnie - odparł. - Rodzimy się na sawannie jako szczeniaki, a potem spędzamy dzieciństwo w tym mieście lub którymś z pozostałych. Niektóre plemiona z głębokiej sawanny trzymają swoje dwunogi w domu, ale większość z nas woli ludzkie osady. Tak jest wygodniej i możemy mieć oko na wasze plemię. Czasami wracamy do naszych osad i robimy

rzeczy, których nie potrafią czworonogi: budujemy mury, stawiamy słupy, naprawiamy siatki i takie tam.

- Ale ty się nie przemieniłeś? Jak to możliwe? - Francesca poczuła nagle współczucie dla Luro.

- Mniej więcej jeden na ośmiu się nie przemienia. Wracamy wtedy do miasta i stajemy się Kanikami.

- Likantropy atakują Północną Bramę - prawie wykrzyknął Cyrus. - Jak możecie... To znaczy... Czy wy zabijacie siebie nawzajem?

- Żaden Kanik nie zginął nigdy w tych „atakach”, jak je nazywasz - wyjaśnił Luro. - Przeważnie są to tylko próby zniszczenia zewnętrznego muru, żebyśmy mogli przemieszczać się swobodnie między miastem a sawanną.

- Ale przecież ciągle pojawiają się raporty o wilkach atakujących i pożerających całe rodziny. - Cyrus z niedowierzaniem potrząsał głową.

- Raporty nie muszą być prawdą, miechu - odparł Luro z pobłażaniem. - Owszem, całe rodziny znikają. Nie są jednak zjadane, ale po prostu się wyprowadzają. To najprostszy sposób na zniknięcie, zanim dzieci osiągną wiek drugiej przemiany.

- A historia, którą mi opowiedziałeś wcześniej o Sawannowym Potworze i likantropach atakujących twoją karawanę? - zapytała Francesca.

- Wszystko to prawda. Ludzkie klany toczą spory, nasze też. Byliśmy atakowani przez wilki z północy, które, mówiąc delikatnie, nie kochały mojej rodziny. Nie płakaliśmy więc, gdy potwór rozerwał ich na kawałki.

- Kiedy to było? - zapytała Francesca.

- Może trzydzieści lat temu - odparł Luro. - Czemu pytasz?

- Próbuję sobie wyobrazić, ażym może być potwór.

- To wyobrażaj to sobie gdzieś indziej - warknął. - Wpakowałaś się w paskudną sytuację, a mój brat ściągnął mnie tu specjalnie, żebym coś z tym zrobił. Jeśli chcesz dożyć następnej północy, musisz odpowiedzieć mi na jedno bardzo ważne pytanie, odpowiedzieć w pełni i szczerze...

- Czekaj, czekaj - wtrącił Cyrus. - TVój brat?

- Samiec w parze rozrodzej tego osiedla - odpowiedział Luro. - Nie pytaj o szczegóły. Uznaj go po prostu za wilka, który ma największe szanse przerobić twoją głowę na kiełbasę, jeśli tylko spieprzycie to jeszcze bardziej niż teraz.

Staruszek zaczął wchodzić po rampie, a Francesca ruszyła za nim.

- Ciekawi mnie, czełnu jeszcze nie jesteśmy wkładem do kiełbas - burknęła.

- Ma to właśnie związek z moim pytaniem. Od czasu Wojny Domowej nikt nie widział miechów przeganiających innego miecha na sawannę. Chcemy wiedzieć, czy znowu do tego dojdzie. Ktoś zawsze planuje burzenie murów. Uważają, że wojna im w tym pomoże. Moim zdaniem kolejna Wojna Domowa nie przysłuży się nam, mieszkającym w mieście. Kiedy zaczyna się racjonowanie żywności, moi ludzie głodują jako pierwsi. Ale dość już tego - sapnął. - Wciąż nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Jakie pytanie, Luro? - Francesca odchrząknęła.

- Czy dojdzie do kolejnej cholery Wojny Domowej? - prawie wykrzyczał. A

- Nie będziemy pomagać likantropom w zdobywaniu wiadomości... - warknął Cyrus, ale Francesca mu przerwała.

- Może do niej dojść. I masz rację, Kanicy w Avel ucierpią jako pierwsi. Więc pomóż nam nie dopuścić do wojny. Powstrzymanie walki będzie zależało od kilku rzeczy, z których jedna ma związek z lornijskim metalem przemycanym do Avel.

- Tę kwestię już rozwiązałaś, co? - Staruszek uniósł brwi.

- W Avel znajdują się lornijscy mistrzowie magicznego kowalstwa, razem z innymi zagranicznymi czarodziejami. Przybyli odszukać Nikodemusa Weala, którego znaleźliśmy pomimo twojej malej dywersji w Północnej Bramie.

- Próbowałem was przed tym ochronić. - Skrzywił się. - Ale nie, musiałaś postawić na swoim i ściągnąć na dzielnicę oblawę na likantropy. Każdy Kanik wiedział, że w mieście nie ma ani jednego czworonoga. W związku z tym rano ruszyłem wypytać, czy ktoś cię nie widział. Na twoim miejscu nieprędko wróciłbym do Północnej Bramy. Ludzie zaczęli dość nerwowo reagować na twoje imię.

- Bardzo mi pomogłeś, Luro, naprawdę - mruknęła Francesca. - Nie mieliśmy żadnego związku z polowaniem... A przynajmniej nie bezpośrednio. Ale jeśli nie wyciągniesz nas stąd inaczej niż przez układ pokarmowy likantropa, kowale będą dalej wykorzystywać Kaników do przemycania lornijskiej stali. Chcesz, żeby miasto dowiedziało się, że twoi ludzie pomagają obcej potędze, która zagraża ich niezależności?

- No dobra - burknął Luro. - Rozumiem. A teraz przestań już mnie zagadywać. - Odwrócił się i ruszył w górę wału.

Cyrus posłał Francesce pełne nagany spojrzenie, niewątpliwie zły, że potwierdziła możliwość wybuchu wojny. Nie patrząc mu w oczy, kobieta podążyła za Luro.

- Co się z nami stanie? - zapytała.

- Jeśli pójdzie po mojemu, sprzedamy was - odparł. - Jeśli nie, Zostaniecie zjedzeni. Tak czy tak, wrócę do miasta przed śniadaniem.

- Zamierzasz nas sprzedać? - jęknęła Francesca. - Luro, jesteś nam coś winien za odkrycie przemytu stali, nie wspominając o mojej pracy medycznej w Północnej Bramie. Możemy pomóc w tym, by nie doszło do tej wojny...

- Ha! - parsknął Luro. - W mieście powiedziałaś, że nie narobisz żadnych kłopotów, próbując znaleźć Nikodemusa. Doprawdy świetnie się spisałaś.

- Komu zamierzasz nas sprzedać? - zapytał Cyrus. - Innemu plemieniu liRantropów?

- Coś w tym stylu. - Zachichotał.

Weszli na górny poziom obwałowań. Wokół rozciągał się pejzaż pełen głębokiej zieleni i błękitu. Ocean traw kładł się przed nimi długimi falami. Gdzieś w oddali przez trawę sunęło powoli stado stworów o białym futrze i długich szyjach.

Kiedy Francesca podróżowała karawaną z Dar do Avel, flirtujący z nią strażnik pozwolił jej wspiąć się na szczyt wozu, by zobaczyła odległe stado katabestii: przypominały jej małe placki grubej, szarej i bezkształtnej skóry, pozbawionej głowy, szyi czy ogona. Strażnik powiedział wtedy, że na plecach każdego stwora żyje cała rodzina ptaków.

Jednak o takich jasnych, długowłosych stworzeniach, które teraz zobaczyła, nie słyszała nigdy wcześniej, choć wiedziała, że w porze deszczowej przez głęboką, sawannę migruje wiele gatunków zwierząt. Unikały Avel ze strachu przed polującymi na nie hierofantami: ich skóry i mięso osiągały wysokie ceny na miejskich targowiskach.

- Na Celeste! - zawołał Cyrus, który właśnie wszedł na szczyt obwałowań. Francesca zerknęła na niego. Patrzył w dół, na miejsce, gdzie wał schodził do sawanny. Podążyła za jego wzrokiem i również zaklęła.

W miejscu, na które patrzył Cyrus, stały cztery likantropy. Dwa opierały się wszystkimi kończynami o wał. Były jednymi z największych, jakie Francesca kiedykolwiek widziała. Miały szczupłe ciała, złotobrązowe futro i muskularne kończyny. Zwrócone były głowami na zewnątrz, więc z góry nie było widać ich pysków. Pozostałe dwa stały w trawie, kilka kroków dalej. Musiały stać na tylnych łapach, ponieważ pośród falującej trawy Francesca widziała ich szpony, potężne karki i otwarte paszcze. Pomimo wydłużonych nosów i wilczych uszu oblicza likantropów były zdumiewająco podobne do ludzkich. W ich dużych, całkiem czarnych oczach błyszczała inteligencja, choć ich wargi odciągnięte były w warkocie.

Frajcesca podążyła za ich wzrokiem, żeby sprawdzić, co je tak rozjuszyło. Likantropy warczały na grupkę czterech humanoidów o ciemnoniebieskich skórach blond włosach, uzbrojonych w toporki. Na ich czele stał mężczyzna z długimi czarnymi włosami. Patrzy! na kleryczkę beznamiętnymi zielonymi oczami.

- Jeśli planujesz nas sprzedać jemu, Luro, zapomnij o tym - powiedziała cierpko. - Wolę zostać przeżuta na wkład do kiełbasy.

Duch Shannona spadł z księgi na dachowe gonty. W górze rozciągało się ciemniejące wieczorne niebo, na razie świeciły tylko dwie jasne gwiazdy. Usiadł gwałtownie. Ostatnie, co pamiętał, to atakujący ich Sawannowy Potwór. Jego pierś wciąż unosiła się w szybkim oddechu, zmysły były boleśnie wyostrzone.

Rozejrzył się po spokojnej dzielnicy Świętej Avel, z pokrytą czerwoną dachówką kopułą sanktuarium w centrum. Najwyraźniej siedział na dachu budynku gdzieś na skraju. W jakiś sposób uciekli Sawannowemu Potworowi. Ale jak?

Powoli minęło poczucie zagrożenia i pozostał tylko znajomy smutek, wynikający z oddalenia od autora. Duch z zaskoczeniem dostrzegł siedzącego na dachówkach obok magistra Lotannu Akomę. Na jego głowę rzucono złożony czar, którego drobne zdania przenikały teraz jego czaszkę. Dwa cylindryczne ustępy wyrastały z oczu, tworząc soczewki szerokości męskiej dłoni. Wyglądał przez to jak olbrzymi złotogłowy owad.

- Magistrze - powiedział Lotannu z pełnym szacunku ukłonem. W Astrophell był jednym z najzdolniejszych uczniów Shannona.

Duch spojrzał na swoją drugą stronę. Siedziała tam magistra Vivian Niyol. Jej długie jedwabście białe włosy rozwiewał wiatr. Owinęła się ciasno szatą i studiowała go całkiem białymi oczami.

- Jesteś niepokojąco słaby, magistrze - powiedziała łagodnie. - Straciłeś sporo tekstu, musisz więc używać przy rozmowie możliwie jak najmniej run. Lepiej ściągnijmy cię z powrotem tutaj. - Kiwnęła głową w stronę trzymanej księgi. Duch wyciągnął jedno ze zdań swojego ramienia, przerobił je na:

Co się stało?, i rzucił w jej kierunku.

- Ledwie uniknęliśmy półsmoka - odpowiedziała magistra Niyol. - To moja wina. Nie przewidziałam stwora zdolnego w tak wielkim stopniu wpływać na naturę języka. Nigdy więcej nie zignoruję tego, czym może stać się smok.

Co z Francescą i Cyrusem? - zapytał szybko. Kleryczką wciąż była jego największą nadzieją na odszukanie swojego autora i przekonanie go, że powinni się zjednoczyć.

- Wierzę, że uciekli - odparła staruszka. - Teraz jednak musisz nam coś powiedzieć o bibliotece, w której się obudziłeś. - Kiwnęła głową w stronę miejsca odległego o jakieś trzy kilometry na północ od sanktuarium.

Duch zmarszczył brwi, aż przypomniał sobie, że kobieta jest równie ślepa na materialny świat, jak on sam był za życia.

Wciąż chcesz odszukać moje wspomnienia? - zapytał.

- Kiwnęła głową. - Ale półsmok...

- Czar na głowie Lotannu pozwala mu widzieć myśli czwartorzędowe. Może zlokalizować Sawannowego Potwora. Aktualnie bestia znajduje się w sanktuarium, ale jesteśmy pewni, że skoro Nikodemus jest wolny, wkrótce wyruszy.

Tam jest Tajfon.

- Demon nie będzie zagrożeniem, jak długo ja tu jestem. - Vivian się uśmiechnęła. - Przynajmniej co do tego mam pewność. Moim błędem było to, że nie zdołałam wyobrazić sobie natury Sawannowego Potwora.

Kim jesteś, że nie boisz się demona?

- Nie musisz tego wiedzieć.

Awatarem?

- Nie dostaniesz odpowiedzi, magistrze, nie trać słów na pytania.

Boginią?, duch nie dawał za wygraną.

- Boginią młodości i urody niezaprzeczalnie, prawda? - uśmiechnęła się. Wskazała swoje ślepe oczy i gruzłowate dłonie, pokryte plamami. - Powiedz nam, magistrze, gdzie znaleźć tę bibliotekę?

Duch zmarszczył brwi.

Czemu nie wysyłasz do Astrophell wiadomości z żądaniem wsparcia wojskowego?

- Słuszne pytanie. - Kobieta kiwnęła głową.

- W Lurrikarze czekają oddziały gotowe przyjść nam z pomocą. Jednak przesłanie im wiadomości okazało się niemożliwe. Francesca poinformowała nas, że separatysty z Ligi Starhaven przeniknęli do Avel. Podejrzewamy magistra DeGarna i jego podwładnych w stacji przekaźnikowej. Lotannu przesłuchał kilka gargulców pilnujących stacji i potwierdził nasze podejrzania. W związku z tym nie możemy rzucić czaru kolaboris do Lurrikary tak długo, aż dotrzemy przez góry do zatoki Coldlock. Dopiero tam będę mogła zaimprovizować kolaboris i rzucić go z latarni.

Zaimprovizować czar kolaboris? Vivian tylko się uśmiechnęła. Musisz mi powiedzieć, kim jesteś, magistrze!

- Znacznie bardziej interesuje mnie to, kim ty jesteś.

Masz na myśli odzyskanie moich wspomnień?

- Iy także mógłbyś chcieć się dowiedzieć, czy demon przeredagował twoją prozę. Podejrzewam, że jest tym również zainteresowany twój autor - powiedziała spokojnie.

Duch poczuł ucisk w piersi. Nadzieja połączenia była zbyt silna. Popatrzy! na Lotannu, potem z powrotem na Vivian i w końcu wypuści! w ich stronę zdanie:

Powiem wam. Kiedy się tam zakradniemy?

- Gdy tylko ruszy się stamtąd ten koszmarny półsmok.

Wędrując przez sawannę, Francesca dobierała w myślach złośliwości, które mogłaby powiedzieć Nikodemusowi. Wędrówka była trudna. Drogę torowały im dwa koboldy, poszerzając ścieżkę, jednak mimo to Francesca miała problemy z utrzymaniem równowagi na wilgotnym gruncie pełnym śliskich łądyg traw. Nikodemus szedł za nią boso. Za każdym razem, gdy się na niego oglądała, patrzył gdzieś w głąb morza traw. Czując na sobie jej wzrok, na krótką chwilę spoglądał jej w oczy. Idący przed nią Cyrus miał podobne problemy z utrzymaniem się w pionie jak ona. Co kilkaset metrów hierofanta bezskutecznie próbował zwinąć pas zrujnowanej szaty w prowizoryczny turban i chustę.

Francesca raz po raz zerknęła w morze traw. Zawsze przypuszczała, że sawanna składa się tylko z jednego gatunku trawy, że jest jednolita jak woda w morzu czy jeziorze, okazało się jednak, że to zdumiewająco różnorodne miejsce. Niektóre gatunki traw były cienkie jak sznurówki, sięgały zaledwie półtora metra i gnąc się w każdym podmuchu, łaskotały Francescę po twarzy i ramionach. Gdzie indziej łądygi miały grubość męskiej ręki i wybijały się na trzy metry niczym bambusowe zagajniki wokół Port Mercy. W kępach takiej trawy rozrastały się powoje i ceniolubne kwiaty. W jednym z wysokich zagajników odkryli stado czarnoniebieskich ptaków wydających świdrujące krzyki. Z głośnym trzepotem skrzydeł zerwały się w niebo, zmieniając się po chwili w chmurę ciemnych piór.

W trawach było też mnóstwo stworzeń podobnych do królików, z futrem szarym jak cień, jednak Francesca widywała je tylko chwilami, gdy uciekały. Raz w trawie zerwało się coś dużego i upierzonego. Dwa koboldy rzuciły w jego ślad swoje toporki, jednak żaden nie trafił, co Francesca przyjęła z ulgą. Raz Nikodemus przyklęknął i położył dłoń na ziemi. Zaciekawiona, zrobiła to samo i po chwili poczuła rytmiczne wibrowanie.

- Co to? - zapytała.

- Niewątpliwie coś ciężkiego i coś ze stopami - odpowiedział Nikodemus.

- No tak - westchnęła, gdy wibracje powolnk słabły - na głupie pytanie...

Wędrowali dalej. Gdy niebo zaczęło ciemnieć, Francesca podeszła do Cyrusa.

- Myślisz, że Vivian przeżyła atak Sawannowego Potwora? - zapytał.

Francesca prychnęła.

- Na boga bogów, ta kobieta ma na swój temat niemal równie wysokie zdanie, co ten nasz kakograficzny świrus. - Obejrzała się na Nikodemusa. Patrzył gdzieś w trawę, ale na

chwilę utkwiał w niej swoje zielone oczy osadzone w ciemnej twarzy. - Z drugiej strony, kto wie - znów zwróciła się do Cyrusa. - Może Vivian zabiła Sawannowego Potwora? Z pewnością zachowywała się tak, jakby była w stanie to zrobić.

- Myślę, że zginęła - ponuro stwierdził Cyrus. - Powinniśmy przekonać świrusa, by zabrał mnie do wiatrowego ogrodu, żebym mógł ostrzec marszałek przed politeistycznym powstaniem w Avel.

- Więc czemu go o to nie zapytasz? - Francesca uniosła brwi.

- Ponieważ to nie do mnie robi wielkie oczy...

- Czy to jakiś fundamentalny aspekt męskiej natury każe wam mówić bzdury co godzinę, czy może wytrwale szkolicie się w rozwijaniu swojego kretynizmu?

- Sama się przekonaj - powiedział Cyrus. - Obejrzyj się na niego, a spojrzysz ci w oczy i zaraz odwróci głowę.

- Idę tuż przed nim. To oczywiste, że zauważy, jeśli się obróci. Każdy, kto idzie za kimś i nie ma czaszki grubości deski...

- Po prostu to zrób - przerwał jej stanowczo. Po paru chwilach ich ścieżka skręciła na zachód. Francesca się odwróciła, jakby chciała spojrzeć w tym kierunku, a potem zerknęła na Nikodemusa. Obrócił głowę w bok i zmarszczył czoło. Jeden z koboldów za nim chyba coś mówił. Francesca miała właśnie powiedzieć Cyrusowi, że orientuje się w emocjach równie trafnie, jak bezmózgi koziół, gdy Nikodemus na nią spojrział. Miał równie beznamiętną minę jak zawsze, ale nieco zbyt długo zawiesił na niej wzrok. {Francesca odwróciła się gwałtownie. - Czy to ta chwila, kiedy mówię: „A nie mówiłem?” - zapytał Cyrus z przekorą. - Francesca zignorowała go, ale nie odpuszczał. - Idź i przekonaj go, żeby zabrał mnie do marszałek wiatru.

- Sam go przekonaj. Nie wiem nic o marszałkach wiatru ani o politeistycznych powstaniach.

- Ja nie jestem wysoką brunetką z uroczymi doleczkami w policzkach i paskudnym charakterem. - Cyrus znowu na nią popatrzył. - Zresztą, chyba schlebia ci jego atencja?

- A ty chciałbyś, żeby interesował się tobą półnagi arogancki zabójca, który uważa, że część jego umysłu ukradziono i schowano w tandetnej błyskotce? To nie jest szczególny powód do dumy. Zresztą gapiłby się nawet na ciebie, gdybyś tylko miał biust.

- Mimo wszystko masz większe szanse. - Cyrus kiwnął głową. - No, dalej, dowiedz się, jakie ma plany, a potem namów go, żeby zabrał mnie do wiatrowego ogrodu.

Francesca przez chwilę milczała. Czuła się egoistycznie z powodu swojej niechęci. W sumie co z tego, jeśli poczuje się niezręcznie? Zwolniła tępo i po chwili została daleko za Cyrusem.

- Dobrze się czujesz, magistra? - bezbarwnym głosem zapytał Nikodemus, gdy się z nią zrównał. - Masz problemy z utrzymaniem równowagi?

- Tylko kiedy idę - odpowiedziała lekko, udając, że się przewraca. Nikodemus nie roześmiał się jednak, tylko stanął i cofnął się. Przez chwilę zastanawiała się, czemu to zrobił, ale potem przypomniała sobie, jak wywołał raka na ręce kobolda, gdy tylko go dotknął. Zadrżała na myśl o tym, co stałoby się, gdyby rzeczywiście na nią wpadł. Instynktownie przyspieszyła kroku, wyprzedzając go nieco. - Kiedy dotrzemy do waszego obozu? - zapytała.

- W tym tempie może za jakieś dwie godziny.

- co potem?

- Deirdre nie żyje - oświadczył po dłuższym milczeniu. Francesca obejrzała się, by sprawdzić, czy mówi poważnie. Jego twarz była jak z kamienia. Pomyślała, że ten człowiek potrafił być zimny jak konstrukt, i z niesmakiem odwróciła głowę.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała.

Nikodemus bez śladu emocji opisał żal Boann i to, jak się rozplynęła. - Próbowaliśmy postępować zgodnie z planem ułożonym przez Deirdre - dodał na koniec. - Tak długo mieliśmy nadzieję, że uda się ją uwolnić. Teraz jednak nie bardzo wiem, co powinniśmy zrobić.

- Twój głos jest tak pozbawiony emocji, że równie dobrze mógłbyś mówić o pogodzie - zauważyła Francesca.

- Nie rozumiem.

- Nieważne - ucięła. - Naprawdę przykro mi słyszeć śmierci Deirdre. - Nikodemus wydał cichy dźwięk - może sapnięcie irytacji, może wyraz wdzięczności. Nie przejęła się tym jednak. - Po naszym ostatnim spotkaniu złapaliśmy z Cyrusem kota. Nie był żywy - zaczęła, po czym zrelacjonowała całą resztę.

- Nie ufam duchowi - wyznał Nikodemus, gdy skończyła. - Jeśli wydostał się ze swojej księgi, to znaczy, że chciał tego Tajfon.

- Myślę, że to Deirdre niewprawnie rzuciła ducha zakrwawiła zostawioną przez siebie notkę: Twoje wspomnienia są w niej.

- A Vivian chce zdobyć tę księgę z sanktuarium? - zapytał Nikodemus.

- Jeśli Sawannowy Potwór nie doprowadził jej do szaleństwa, to pewnie spróbuje to zrobić. Ma niemal równie wysokie zdanie o swoich zdolnościach, jak ty o swoich.

- Jestem tylko kakografem - odpowiedział odruchowo. - Ciężko pracuję i miałem wyjątkowe szczęście zarówno do nauczycieli, jak i do uczniów.

- Udany pokaz skromności - stwierdziła, starając się, by nie brzmiało to zbyt ironicznie. - Możemy zyskać pomoc ze strony DeGarna i Ligi Staffall.

- Bez szmaragdu nie jestem Zimorodkiem. Najwyżej Nawalnikiem Burzowy pi. Bardziej prawdopodobne, że mnie zabiją, niż że mnie poprą. I nie mam wątpliwości, że Vivian przybyła do Avel z rozkazami mojej przyrodniej siostry, by mnie zamordować.

Francesca się uśmiechnęła. Spodziewała się takiej reakcji.

- Cyrus ma jeszcze jedną sugestię. Jeśli zabierzesz go do wiatrowego ogrodu, może przekonać marszałek, że narastające sympatie politeistyczne stanowią zagrożenie dla Celeste. Nie wiem, czy wspomni o demonie. To trochę dużo do przetrwania, ale...

- Nic z tego - przerwał jej Nikodemus. - Jeśli Vivian przyleciała do Avel Pustułką, to dwór Celeste musiał sprzymierzyć się z Astrophell. Będą chcieli mojej śmierci.

- Zaczynam sądzić, że to motyw przewodni twojego życia.

- Mani nadzieję, że jednak nie ostatni - odparł.

- W każdym razie Cyrus nie musi wspominać o tobie w swoim raporcie. Tak naprawdę nie musi cię tu nawet być. Moglibyśmy przemycić ciebie i twoich uczniów daleko stąd. Zastanów się nad tym. Niech wysoka bogini Celeste upora się z Tajfonem i rozerwie go na boskie strzępy. - Nikodemus nie odpowiedział. Czekala, spodziewając się jednego z tuzina kontrargumentów, jednak on milczał. Obejrzała się na niego. Tak jak wcześniej wpatrywał się w ocean traw. Na jego twarzy rysował się ślad czegoś innego niż dotychczasowa bierność - czegoś, przez co wydawał się wyczerpany. A może to smutek? - I co?

- zapytała.

Nie spojrział na nią.

- Porozmawiam o tym z magistrem Shannonem - powiedział w końcu.

- Masz wątpliwości - mruknęła Francesca.

- W Avel mieszka całe mnóstwo ludzi.

- Blisko czterdzieści tysięcy.

- Boję się, że Tajfon może przyprzeć do ziemi, zanim Celeste wkroczy do akcji. I martwię się, że Celeste może zniszczyć miasto, żeby go usunąć.

- Ach tak, zapomniałam - westchnęła. - Gdy tylko odzyskasz szmaragd, staniesz się ucieleśnionym Stwórcą. A wówczas wydlubiesz demonowi oczy, używając tylko swojego nosa.

Nikodemus odchrząknął.

- A co się stanie z tobą, jeśli nie uczynisz swoich metafor dostatecznie złośliwymi?
Wybuchnie ci głowa?

- Nigdy nie odważyłam się spróbować. - Kleryczka uśmiechnęła się, nieco zawstydzona.

- Moi uczniowie lubią cię, odkąd uratowałaś Żyłę

- wyznał. - Może dam radę namówić ich, by przytrzymali twoją głowę, gdy będziesz eksperymentować z ograniczaniem wypowiedzi.

- Nie, dziękuję. Chyba przestałbyś mnie potem szanować - odparła grzeczenie. Nikodemus z rozbawieniem pociągnął nosem. - Co więcej, zapomnij o ograniczonym języku. Jeśli nie potrafisz z entuzjazmem podchodzić do życia albo przynajmniej traktować go z pasją, to po co żyć?

- Być może twoim prawdziwym powołaniem jest filozofia, a nie medycyna? - zasugerował.

- Filozofia jest zdecydowanie zbyt jałowa. Wymyślisz ideę i jest ona wszystkim, co masz. Wylecz złamaną nogę dziewczynki, a może pożyje dość długo, by zostać babką.

- Przypuszczam, że w filozofii jedna idea może zainspirować kolejną, a dwie idee mogą się zsumować w coś większego. W mojej koncepcji filozofia jest płodna.

- Nie możesz mieć koncepcji.

- Czemu?

- Jesteś mężczyzną.

- A czemuż to mężczyzna nie może mieć koncepcji?

- Nie masz do tego odpowiednich narządów.

Młodzieniec zachichotał.

- Jakich narządów, poza mózgiem, potrzeba do płodzenia idei? - spytał.

- Powiem ci, gdy będziesz starszy - mruknęła kleryczka.

- Mam trzydzieści pięć lat.

- A więc do tej pory ktoś powinien już był ci to powiedzieć.

- Nie traktuj mnie jak dziecka. - Nikodemus znowu się zaśmiał.

- Och, to stwierdzenie aż ciąży od znaczeń.

- Bliźniaczych?

- Nie, nie, to nie ze mną. Unikam podwójnych znaczeń, zawsze trzymam się od nich z daleka.

- Wiesz, miło jest porozmawiać z kimś, kto lubi bawić się słowami - powiedział ze szczerością. - Magister, od kiedy jest chory, nie ma na to ochoty. A moi uczniowie... cóż, słowne żarty w kulturze koboldów prowadzą zwykle do przemocy.

Francesca westchnęła.

- Cyrus też zaczyna się spinać, gdy robię to zbyt długo.

- Jeśli to największy z waszych problemów, nie macie ich zbyt wiele - przyznał.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła, że wciąż się do niej uśmiecha. Szybko odwróciła głowę.

- Pomyślisz nad zabranieniem Cyrusa do wieży ogrodu? - spytała, patrząc pod nogi.

- Porozmawiam z magistrem - obiecał Nikodemus.

- Czy jest jakiś powód, dla którego wahasz się przed zabranieniem go do marszałek wiatru? - Znów na chwilę obróciła się w jego stronę.

- Może nie jest to dobry powód... - zaczął po kilku krokach, które przeszli w milczeniu. - Chodzi o... szmaragd. Jeśli wezwiecie Celeste, nigdy go nie odzyskam.

- Racja, szmaragd, brakująca część ciebie - sapnęła. - Kawalek, dzięki któremu staniesz się kompletnym i potężnym zbawcą.

- Tak, właśnie ten kawałek - potwierdził Nikodemus zmęczonym głosem. - Kawalek, który mógł pokonać Tajfona, a przynajmniej uchronić Deirdre przed śmiercią. Kawalek, który mógłby uleczyć magistra, zanim umrze.

Z jakiegoś powodu jego torf zirytował Francescę.

- A co będzie, jeśli ktoś inny pokona Tajfona i wyleczy Shannona?

- Byłbym zachwycony.

- Ale wciąż pragnąłbyś szmaragdu?

- Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym - odpowiedział po chwili. - Jak długo go nie mam, jestem ułomny.

- A gdyby twoja ułomność nie miała znaczenia?

- Co mam powiedzieć, magistra? - Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie złość. - Że oddałbym szmaragd za możliwość zobaczenia martwego Tajfona i wyleczonego Shannona? Oczywiście, że tak.

- Oczywiście - potwierdziła szybko, zła na siebie, że popchnęła go za daleko. - Byłam tylko ciekawa, kim byłbyś, gdyby nie pochłaniała cię obsesja szmaragdu.

- Nie odpowiedział. - Przepraszam, nie przejmuj się mną - powiedziała w końcu ze szczerą pokorą w głosie.

- Bawiłam się tylko w filozofa, zastanawiając się nad rzeczami, które w naszym wyobrażeniu uczynią nas kompletnymi. - Faktycznie myślała o swoim rozczarowaniu faktem przydzielenia jej do Avel i o dziwnych atakach zazdrości odczuwanych, gdy spotykała bardziej spełnione kobiety, jak na przykład Vivian.

- Trudno mi myśleć o czymś innym niż kontynuacja wojny z Tajfonem i utrzymywanie przy życiu magistra Shannona - powiedział Nikodemus.

- Być może będę mogła jakoś pomóc magistrowi jako uzdrowicielka - zastanowiła się.

- Być może, ale widziałem, że klątwa rakowa rozprzestrzeniła się już na cały jego brzuch. Nie jest to coś, co mogłabyś wyciąć, zostawiając w środku zdrowe narządy.

- Nie wiesz, jak dobra jestem w wycinaniu.

- Uśmiechnęła się pod nosem, ale nie odpowiedział. Francesca poczuła irytację. Nikodemus był zbyt zimny, zbyt ogarnięty obsesją na punkcie swojego braku mocy. Musiała zwalczyć ochotę przyspieszenia kroku i oddalenia się na tyle, by nie mogli rozmawiać. Zaczekała, by przekonać go do zabrania Cyrusa do wiatrowego ogrodu. - Opowiedz mi o likantropach - poprosiła.

- Jak udało się z nimi porozumieć? Przez jakiś starożytny sojusz między nimi i koboldami?

- Wręcz przeciwnie. - Nikodemus prychnął. - Byli kiedyś zażartymi rywalami. Oba gatunki wywodzą się z tej samej grupy imigrantów ze starożytnego kontynentu.

- Wtedy, gdy ludzkość uciekła przed demonami podczas Exodusu? - spytała.

- Wcześniej. - Nikodemus wyjaśnił jej, jak jeszcze w Starhaven wysłał swój umysł do tomu znanego jako Bestiariusz i znalazł w nim fragment czegoś, co kiedyś było starożytną boginią Chimera. Dawno temu uciekła ona ze starożytnego kontynentu ze swoimi wyznawcami, by osiedlić się na tej ziemi. Użyła prąjczyka, by zmodyfikować swoich wyznawców. Niektórzy stali się koboldami lub goblinami czy innymi typami humanoidów. Aby zasiedlić sawanny i lasy, Chimera połączyła prąjczyk swoich wyznawców z prąjczykiem wilków, tworząc likantropy. - Przez jakiś czas rządziła wszystkimi swoimi dziećmi. Jednak w końcu górskie królestwa koboldów zapragnęły rozszerzyć swoją władzę na równiny. Rozgorzały trwające stulecia wojny między koboldami i likantropami. Potem demony zmusiły ludzi do ucieczki przez ocean na te ziemie. Podzieleni wyznawcy Chimery nie potrafili oprzeć się królestwom lądowania. Później, gdy królestwa zostały zjednoczone w ramach Imperium Neosolarnego, ludzkość zaczęła niszczyć ludy Chimery. Jednak ludzie, których znasz teraz jako Kaników, byli przebiegli. Gdy imperium wkroczyło na sawannę, Kanicy użyli swojego Bestiariusza do zmiany prąjczyka, tak że przez większą część życia

wyglądają jak ludzie. Wzniesli wioski, a nawet małe miasto u podstawy swojego Niebiańskiego Drzewa.

- Jak Niebiańskie Drzewo, o którym wspominałeś wcześniej? To, w którym zamieszkiwałeś z Shannonem po ucieczce ze Starhaven? - spytała Francesca.

- Podobne do niego, ale w tym przypadku była to niewyobrażalnej wręcz wysokości sekwoja - odparł. - W każdym razie ich plan się powiódł, Imperium Neosolarne wchłonęło ich, niszcząc pozostałe ludy likantropów.

- Kiedy upadło, Spiria zniszczyła ich Niebiańskie Drzewo i Bestiariusz?

- Dokładnie - potwierdził. - Rozwinęli dość cyniczną filozofię. Uważają się za upadły lud, który utracił kontrolę nad prąjczykiem.

- Ale nikt z nas nie potrafi kontrolować naszego prąjczyka. - Francesca zmarszczyła brwi. - Kontrola nad prąjczykiem nie jest naturalna.

- Nie jest naturalna dla ludzi. Ale oni nimi nie są.

- Czy potrafisz zmienić także swój prąjczyk? - Francesca spojrzała na Nikodemusa.

- Nie - pokręcił głową. - Tylko innych.

- Od razu mi lepiej.

- Myśl, że mógłbym się przepisać, wydaje mi się dziwna - przyznał.

- Co byś zmienił?

- Usunąłbym «swoją ułomność - odpowiedział bez chwili namysłu. - Skłonił do odbudowania się tę część mojego mózgu, którą zmieniła klątwa. - Francesca poczuła niepokój, ale nie przyznała się do tego. - A ty? Jak ty byś się przepisała? - zapytał.

- Zrobiłabym się inteligentniejszą - odparła. - Chyba.

- Inteligentniejszą? - zapytał ze śmiechem. - Jesteś magiem i kleryczką. Kim jeszcze chciałabyś zostać? Boginią akademii? Wypychając Hakeema za drzwi?

- Nie bądź taki nadęty! - rzuciła z ogniem większym, niż zamierzała. - Po prostu chciałabym być lepszą uzdrowicielką.

- Ocalałaś Żyłę, a to było niemal cudem - powiedział z uznaniem.

- Zabiłam także Deirdre - odparła ciężko, po czym natychmiast pożałowała swoich słów. - Przepraszam. Nie pomyślałam...

- Wiem, o co ci chodziło - odpowiedział cicho.

- Wiem, co to znaczy, nie mieć dość umiejętności.

- Przez chwilę maszerowali w milczeniu. Francesca znowu miała ochotę przyspieszyć, ale czuła, że nie wszystko jeszcze zostało powiedziane. - Jakie to uczucie, gdy giną twoi pacjenci? - zapytał zniechęca Nikodemus.

- To zależy od pacjenta. Czasem w ogóle to na ciebie nie wpływa. Czasem po prostu dzieje się zbyt wiele, by to poczuć. - Urwała na chwilę. - Ale niektórzy pacjenci łamią ci serce. Krótco po tym, jak dostałam swoją stulę w Port Mercy, zajmowałam się jednym zręczliwym staruszką. Biedak zaczął widzieć podwójnie. Przy innych udawał posępnego, ale gdy byliśmy sami, mogliśmy rozmawiać całymi godzinami. Lubił mnie, bo gdy stawał się zgryźliwy, odpowiadałam mu tym samym. Odwiedzał go jeden z jego wnuków. Po dwóch dniach do podwójnego widzenia doszły silne bóle głowy. Tej nocy staruszek zaczął też wymiotować. Nie mógł tego powstrzymać żaden z naszych leków i czarów. TYwało to dwa dni. Między atakami torsji trochę płakał. Żadnego słowa skargi, tylko Izy. Wymioty się nasilały, a pacjent był już bardzo odwodniony. - Na chwilę zawiesiła głos, po czym podjęła: - Są pewne teksty, które pozwalają nam przywrócić wodę w ciele pacjenta - genialne czary. Wcisną ją wodę w piszczel, z którego rozchodzi się ona do całego ciała.

- Do kości? - zapyta! Nikodemus, który cały czas uważnie słuchał.

- Tak. To bardzo mokre narządy, pełne szpiku i naczyń krwionośnych. W każdym razie przygotowaliśmy się do wprowadzenia takiego tekstu w piszczel staruszka, ale właśnie wtedy dostał ataku: Kiedy minął, pacjent nie wiedział, gdzie jest. Wciąż błagał o wodę i pytał, kiedy przyjdzie jego wnuk. Oślepl na jedno oko. Pozostali klerycy bali się, że podanie mu płynu nie poradzi na przyczynę zmian widzenia i ataków. Martwili się, że nakłucie go tylko zwiększy jego cierpienie przed śmiercią. - Odetchnęła głęboko. - Ale on wciąż pytał o swojego wnuka. Słyszając go... Czulałam, że gdybym zdołała utrzymać go przy życiu do odwiedzin wnuka, zrobiłoby to różnicę. Powiedziałam mu więc o czarze i piszczeli. Wydawał się mnie rozumieć, ale gdy wcisnęłam w niego tekst, zaczął wrzeszczeć. Na boga bogów, jak on wrzeszczał... Jednak wprowadzony do jego ciała płyn chwilowo wyeliminował zagrożenie życia. - Przełknęła ślinę. - Niestety ataki wróciły tego samego wieczora. Stracił orientację i zaczął się bać. Zostałam przy nim przez całą noc i większość następnego dnia. Płakał cicho, leżąc bez iNachu... tak nieruchomo, że zaczęłam się bać, że nie oddycha. Nigdy potem nie widziałam nikogo płaczącego w taki sposób. Ja... po prostu musiałam utrzymać go przy życiu do przyjścia jego wnuka. Tylko że tego dnia chłopak nie przyszedł. Nad miastem i okolicą przeszła burza, zmieniając większość dróg w błoto. Następnego ranka staruszek doznał najsilniejszego z dotychczasowych ataków. Myślałam, że go nie przeżyje, ale jakoś przetrwał. Był później tak dezorientowany, że zachowywał się jak pijany. Gdy upewniłam się, że jego stan jest stabilny, zajęłam się innymi pacjentami. Nie było mnie na sali, gdy przyszedł jego wnuk. Miał tylko czternaście lat i wystraszył się dziadka, który po ataku zachowywał się dziwnie. Chłopak chciał uciec, ale ktoś go złapał i kazał zostać w szpitalu.

Do mojego powrotu chłopak był gotów wyskoczyć przez okno. Błagałam go, żeby został, obiecywałam, że staruszek odzyska przytomność umysłu. Ostatecznie zaczekał w korytarzu, a ja poszłam do staruszka, który był trochę przytomniejszy. Kiedy powiedziałam mu, że przyszedł jego wnuk, uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni. Wyszłam na korytarz, żeby powiedzieć chłopcu, by wszedł, ale... - Francesca zamyśliła się na chwilę. - Nigdy nie widziałeś tak wystraszonego dziecka. Nie chciał mi spojrzeć w oczy, wciąż patrzył w górę, na sufit, i mrugał, żeby tylko nie płakać. Chłopak nie widział już swojego dziadka, widział tylko starość i chorobę. Patrząc na niego, poczułam się zupełnie bezradna. Nie wiedziałam, jak go przekonać, więc opuścił szpital. Powiedziałam staruszkowi, co się stało, a ten nie powiedział ani słowa. Następnego nocy miał kolejny atak. Już ostatni przed śmiercią.

- To przykre - wtrącił zamyślony Nikodemus.

- Byłam całkiem pusta - ciągnęła Francesca. - Musiałam pracować całą noc. Następnego ranka, gdy wracałam do swojego pokoju, zobaczyłam chłopca stojącego w korytarzu ze swoim ojcem. Nie wiem, jaki wyraz rysował się na mojej twarzy, wciąż się zastanawiam, czy było to zaskoczenie, czy raczej żal. Chłopak pewnie to wiedział, bo odwrócił się i uciekł. Zaprowadziłam jego ojca do kostnicy, by zobaczył ciało. Wnuka nigdy już nie zobaczyłam. - Niebo nad nimi przybrało barwę ciemnego fioleto. Francesca obejrzała się i zobaczyła, że Nikodemus na nią patrzy. W ciemności nie widziała dokładnie jego twarzy, ale kiwnęła głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że ciągle jej słuchać - Praktycznie wcale nie płakałam - powiedziała, znów patrząc w ciemność przed sobą. - Może trochę, zanim usnęłam. Później przez wiele dni wszystko było pustką.

Szli w milczeniu. Do uszu Franceski dobiegały nocne odgłosy sawanny: wiatr szepczący w trawie, trzaski i szmery uderzających o siebie łodyg. Z przodu słychać było odgłosy kroków koboldów oraz ich ciężkie oddechy.

- Co zabiło tego staruszka? - Nikodemus przerwał ciszę.

- Przy autopsji znaleźliśmy raka mózgu - odpowiedziała.

- Martwię się, że tak właśnie będzie z magistrem.

- Och! - Francesca gwałtownie wciągnęła powietrze. - Przepraszam, Nikodemusie. Nie pomyślałam... To znaczy, zapomniałam. - Przypomniała sobie wymizerowaną twarz Shannona. - To takie cholernie głupie z mojej strony. Jak mogłam być tak ograniczona!

Mężczyzna się roześmiał.

- Nie sądzę, żeby używanie przy mnie słowa „ograniczona” sprawiło, że poczujesz się lepiej.

- Na boga bogów, naprawdę idiotka. Znowu to zrobiłam. A przecież jestem lekarką. Całe życie spędziłam, próbując nauczyć się nie mówić okrutnych rzeczy. Na słodkie niebios, nigdy więcej już nic nie powiem.

Nikodemus znowu się roześmiał.

- Teraz to ja muszę ci powiedzieć, żebyś zrezygnowała z dramatyzmu.

- Nic nie mówię - oświadczyła po chwili milczenia.

- Może ci się wydawać, że coś słyszysz, ale ja wcale się nie odzywam. - Usłyszała za sobą cichy śmiech. Chciała, żeby znowu coś powiedział, ale on milczał.

- Wstyd mi, że nie pomyślałam o magistrze Shannonie

- odezwała się w końcu.

- Deirdre także cierpiała na ataki - wyznał Nikodemus. - Dziwne, jak bardzo mi jej brakuje. Spędziliśmy ze sobą tak mało czasu. Właściwie to chyba bardziej kochałem wyobrażenie o niej niż ją samą. Wyobrażenie jej ucieczki z nawiedzenia i powrotu do Boann.

- Westchną! ciężko. - Teraz już nic z tego. - Francesca się potknęła. Dopiero gdy odzyskała równowagę; dotarło do niej, że od dłuższego czasu potyka się coraz rzadziej. Uczyła się wędrować w trawie, jednak teraz, w narastającej ciemności, niemal nie widziała już ziemi pod swoimi stopami. Napisała kilka akapitów świetlików, żeby krążyły wokół jej kolan. Gdy tylko numenosowe czary zaczęły świecić, noc wybuchła chórem syków. Podskoczyła i rozejrzała się w poszukiwaniu stworów wydających te dźwięki. - To Szum i Jasp - spokojnie wyjaśnił Nikodemus. - Światło rozłoży wszelkie czary, które mogliby rzucić.

- W takim razie równie dobrze mogą nieść mój niewidzący w ciemności zadek całą drogę do waszego obozu - warknęła.

- Spodobałoby im się to, gdybym przetłumaczył twoje słowa, zwłaszcza Szumowi - odparł ze śmiechem Niko. - Idź, podziel się światłem z Cyrusem. Ogląda się na nas od dłuższego czasu żeby sprawdzić, jak ci idzie wyciąganie ze mnie informacji.

- Nie wyciągałam z ciebie informacji! - krzyknęła z oburzeniem Francesca. - Czemu miałabym być tak głupia, by zakładać, że masz jakieś przydatne informacje? Może próbowałam cię zmanipulować, żebyś zabrał Cyrusa do wieży ogrodu. Manipulacja jest w porządku. Ale wyciąganie informacji?! Naprawdę mógłbyś zostawić kobiecie choć trochę godności.

- No cóż, kleryczko, chyba powinnaś zabrać swoją godność do Cyrusa. Wygląda na zmartwionego tym, jak przyjaźnie odnoszą się do mężczyzny, który jest dość zwariowany, by martwić się zostaniem antyZimorodkiem.

- Och, Nikodemusie, nie powinienes tak mówić!

- rzuciła głosem pełnym udawanego współczucia.

- Przecież wcale się nie zaprzyjaźniliśmy.

- Nie? W takim razie lepiej zabierz ode mnie swoje świetliki, żeby nie odczarować żadnych tekstów, które mógłbym chcieć rzucić.

- No dobrze - zgodziła się, pociągając nosem, a poważniejszym głosem dodała: - Jeszcze raz przepraszam, że opowiedziałam ci tę historię, nie myśląc o magistrze Shannonie.

- Nie przepraszaj - odparł Nikodemus po chwili milczenia. - Cieszę się, że to zrobiłaś. Teraz wprost nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć.

Francesca rzuciła jeszcze kilka świetlików i przyspieszyła kroku. Gdy zbliżyła się do Cyrusa, wokół jej kolan pojawiły się chmary owadów. Niektóre - jak żuczki o fosforyzujących, błękitnych pancerzykach

- uderzały w jej nogi z wyczuwalną siłą.

- Przestańcie - powiedziała swoim najśłodszyim głosem. - Przestańcie, wy obrzydliwe emanacje świata natury.

- Poznajesz nowych przyjaciół? - zapytał Cyrus, słysząc ją za plecami.

- Wyobraź sobie posiadanie mózgu tak prymitywnego, że widząc coś atrakcyjnego, rzucasz się na to - odparła słodko. - Chociaż zaraz... Zapomniałam, że jesteś mężczyzną. Przecież tyje doskonale rozumiesz.

Cyrus westchnął.

- Więc jak, Nikodemus zabierze mnie do wiatrowego ogrodu? - spytał.

- Chce to omówić z magistrem Shannonem, ale chyba podałam mu dość przekonujące argumenty.

- Zdrowo się uśmiełiście - zauważył gorzko.

- Czy to aby nie ty wysłałeś mnie, żebym go oczarowała?

- Owszem. I oczywiście zasługujesz na to, by cieszyć się podziwem innych.

- Przestań bawić się w uprzejmości - sarknęła Francesca - bo nie zasługujesz na mój szacunek.

- Tak, magistra, stanę się egoistycznym draniem wykazującym akurat tyle wrażliwości, by pobudzić twe pragnienie leczenia.

- Czy ty mnie oskarżasz o zabieranie pracy do domu?

- Dom, Fran? Przez ostatnie dziesięć lat praktycznie mieszkałaś w szpitalu. Nigdy nie chciałaś zabierać rannych do domu. Ty chciałaś mieszkać wśród nich. Może gdybym dostał się do szpitala jako pacjent, zdołałbym z tobą zostać.

- Ty... - zaczęła Francesca, śle umilkła. Znaleźli się w niezręcznej sytuacji, ale mimo to nie czuła wielkiego zakłopotania. - Jest już późno, Cyrusie. Właśnie wydostaliśmy się z niewoli likantropów. Musiałam zmanipulować świrniętego kakografa. A teraz wędrujemy w ciemności przez śmiertelnie groźną dzicz. Może moglibyśmy odłożyć nasze osobiste sprawy...

- Masz rację - przerwał jej. - Nie powinienem był poruszać tego tematu.

Spojrzała w górę, na gwiazdy. Wysoko nad głową unosiły się cienkie sierpy niebieskiego i czarnego księżyca. Z pobliskich traw rozbrzmiał chór głosów, wydawanych być może przez jakieś świerszcze.

- Ładna noc na długi spacer - powiedziała Francesca, próbując zmienić ciężki nastrój. - Oczywiście pomijając kontrolowane przez demona miasto gdzieś tam i potencjalnie groźne likantropy wszędzie indziej.

- Faktycznie, długi spacer - burknął Cyrus. - Kiedy mamy dotrzeć do obozu?

- Nikodemusie - zawołała Francesca przez ramię - kiedy dotrzemy to waszego obozu?

- Biorąc pod uwagę tempo, w jakim brniecie, za jakąś godzinę - zawołał z ciemności głos.

Cyrus zmarszczył czoło.

- Co znowu? - zapytała kleryczka.

- To długi marsz - odpowiedział, patrząc przed siebie i przyspieszając kroku.

Francesca próbowała mu dorównać, ale się potknęła. Choć Nikodemus znajdował się ponad dwadzieścia kroków od niej, usłyszała, jak się zatrzymuje. Jakby bał się na nią wpaść. Znowu pomyślała o tym, co jego dotyk zrobiłby z jej ciałem, i zadrżała. W głębi morza traw zaskrzeczał jakiś ptak. Jastrząb? Wstała z kolan i ruszyła pospiesznie, boleśnie świadoma mężczyzny za swoimi plecami i drugiego - kawałek przed sobą.

Rzeczywiście, długi marsz.

Vivian obudziło potrząsanie za ramię.

- Kto to?

- Ja - odpowiedział niski głos Lotannu.

- Która godzina?

- Koło północy.

Usiadła i poczuła pod pośladkami twarde dachówki. Potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, że siedzą na dachu. Musieli tu zostać, by Lotannu mógł obserwować sanktuarium. Zaczęła macać wokoło, aż wyczuła dziennik kliniczny Franceski, w którym schowała ducha Shannona.

- Widzisz coś?

- Sawannowy Potwór opuścił miasto.

- W którą stronę poszedł? - Ciaśniej owinęła się peleryną. Wiatr, choć nie wiał mocno, był przeszywająco zfienny.

- Przez Północną Bramę - odparł Lotannu. - Zniknął na sawannie.

Vivian wstała z wysiłkiem.

- W takim razie wkrótce się przekonamy, jak trudno jest włamać się do kontrolowanego przez demona sanktuarium.

Mogło być godzinę lub dwie po północy kiedy grupa dotarła wreszcie do obozu Nikodemusa. Strzeliste sekwoje blokowały światło księżyców i gwiazd, przez co las był ciemny niczym jaskinia. Zapewne właśnie z tego względu koboldy wybrały to miejsce.

Humanoidy z blond włosami zaczęły się śmiać i pokrzykiwać. Francesca zrozumiała powód, gdy do jej nozdrzy dotarła woń jedzenia. Jej żołądek również dawał o sobie znać. Bolały ją stopy. Grupa pospiesznie pokonała ostatnie sto metrów. Na miejscu zastali Shannona pilnującego garnka gotującej się na ognisku soczewicy. Obok leżało kilka suszonych ryb. Koboldy z gwizdami i śmiechem rzuciły się na ryby i zaczęły łapczywie je pożerać. Nikodemus wykrzyknął kilka ostrych słów. Wyglądał przy tym, jakby mógł rzucić w koboldy bojowym tekstem. Krzywiły się i syczały, ale nie zostawiły jedzenia. Kiedy jednak z groźną miną zrobił krok w ich stronę, błyskawicznie ustawiły się w szeregu przed magistrem Shannonem. Kolejno ścisnęły jego dłoń i kłaniały się, mamrocząc coś cicho. Gdy skończyły, nałożyły do misek soczewicę, podając pierwsze dwie porcje Francesce i Cyrusowi. Soczewica była niedoprawioną, ale ciepłą i sycącą.

Nikodemus usiadł koło Shannona, zachowując bezpieczną odległość. Francesca przyglądała się, jak rozmawiają przyciszonymi głosami. Staruszek wyglądał na wyczerpanego, wyniszczonego i zirytowanego. Gdyby dwie godziny temu nie opowiedziała Nikodemusowi o dziadku z rakiem mózgu, uznałaby zaciskane w kreskę usta i oczy bez wyrazu za oznakę braku uczuć. Teraz jednak widziała strach przebijający spod opanowanego oblicza Nikodemusa.

Cyrus zaoferował jej połowę swojej porcji soczewicy, ale ona zdążyła się już najeść i podziękowała, dojadł więc resztę. Zawsze zdumiewała ją ilość jedzenia, jaką pochłaniają hierofanci, utrzymując przy tym nienaganną figurę, ale niewątpliwie był to efekt formowania tekstu z każdym uderzeniem serca.

- Jesteśmy tu dzisiaj bezpieczni? - zapytał Cyrus między kolejnymi porcjami. - Nikodemusie, czy będziemy tu dzisiaj bezpieczni? - powtórzył głośniejszym głosem, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

Kakograf rozpuścił swój koński ogon i czarne włosy spłynęły kaskadą na oliwkowe ramiona. Francesca pomyślała o swoich włosach i zaczęła się zastanawiać, czy znajdzie w obozie jakikolwiek grzebień.

- Tajfon nigdy jeszcze nas tu nie znalazł - odpowiedział Nikodemus. - Biorąc pod uwagę ciemność i liczbę skóromagów, nie martwiłbym się niczym poza demonem zalewającym las luceryną.

- No proszę. - Francesca spojrzała na Cyrusa. - No proszę.

Gdy zapytała o Żyłę, Shannon wyjaśnił, że kobold śpi w swoim domku; dochodzi do siebie. Francesca poszła we wskazane miejsce i obudziła pacjenta, żeby go zbadać. Po upewnieniu się, że faktycznie zdrowieje, opuściła jego chatkę i ruszyła na poszukiwanie magistra Shannona, który w międzyczasie gdzieś zniknął.

Stary mag rozmawiał z Nikodemusem w najmniejszym z domków. Na słupku łóżka siedział chowaniec Shannona, papuga z wydętymi piórkami i zamkniętymi oczami. Francesca poleciła wyjść młodszemu z mężczyzn, a sama zajęła się Shannonem. Mag próbował odmówić badania, ale cierpliwie ignorowała jego protesty, przyduszając go pytaniami tak długo, aż poznała historię choroby. Następnie zbadała go, osłuchując serce, płuca i bulgoczący żołądek. Oklepała jego plecy, piersi i brzuch.

W trakcie całej procedury czuła, jak spada jego opór i niknie zakłopotanie. Uaktywnił się jej dar widzenia przyszłości ciała. Mogła zajrzeć w jego potencjalne przyszłości fizjologiczne - żadna nie sięgała zbyt daleko - i wstecz, poza zapadłe policzki i pełną zmarszczek twarz, w ciemną i przystojną młodość.

Gdy już prawie skończyła, starzec się odezwał:

- Nie dostrzegają tego, jak zrobiłem się kruchy. Nie widzi tego nawet Nikodemus. - Urwał. - Nie żebym chciał, by to widzieli, ale... po prostu nie widzą.

Francesca gestem zaprosiła go, by usiadł na łóżku, sama zajęła stołek.

- Cieszę się, że cię zbadałam - wyznała. - Twoja klątwa rakowa aktualnie nie przeszkadza w pracy żadnego narządu, ale wykazujesz wiele objawów zaawansowanej choroby.

- Jakież rokowania?

- Twojemu życiu nie zagraża żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale martwię się prognozą długoterminową. Chciałabym, żeby lekarz kontrolował cię co sześćdziesiąt dni.

Stary mag roześmiał się gorzko.

- Stwórca da, bym miał dostęp do lekarza jeszcze choć raz przed śmiercią. - Francesca stłumiła w sobie odruch, by zgłosić się na ochotnika. - Czy mogę ponownie spróbować pisania ducha? - zapyta! staruszek.

- Nie - zaprzeczyła łagodnie i poczuła ból, widząc cierpienie na jego twarzy. - To stanowiłoby zbyt wielkie obciążenie dla twojego ciała.

- Nikodemus wierzy, że odzyska szmaragd. - Shannon westchnął. - Ale teraz, skoro Deirdre zginęła... Jej strata jest dla nas bolesna.

- Klóciliście się o to z Nikodemusem? - spytała, zaintrygowana.

- Właściwie nie. - Staruszek pokręcił głową. - Nie było się o co klócić. Zrobiłem się zgorzkniały w swojej chorobie. Warknąłem na niego za wywleczenie mnie w tę dzicz. Muszę powoli umierać w chacie, podczas gdy on przemyka się po mieście bez słowa w magicznych językach, których tak długo go uczyłem.

- Martwi cię, że porzucił języki magów?

- Wiem, że może nie powinno, ale to jedyne dziedzictwo, jakie dla niego miał.

- Mógłby się z tym nie zgadzać - zauważyła.

- Owszem, spierałby się - potwierdził starzec. - Jednak gdybyśmy zostali w Niebiańskim Drzewie trochę dłużej, z pewnością dokonalibyśmy postępów.

Francesca milczała.

- Nie jesteś przyzwyczajona do aktywności w nocy jak my tutaj. - Shannon pogładził swoją brodę. - Sen jest ważniejszy od wysłuchiwanie narzekań staruszka.

- Nie jestem przyzwyczajona do regularnych godzin snu.

- Cóż, może po prostu chcę zostać sam. Albo obudzę Lazur. - Gestem wskazał na śpiącą papugę.

- Dobrej nocy, magistrze. - Francesca zrozumiała aluzję i skierowała się do drzwi.

- Magistra - rzucił, gdy stała już w progu - nie wiem, czy to właściwe, by mówić to staruszek, ale...

- Czekala cierpliwie. - Dobrze było być badanym, być widzianym i...

Wiedziała, że walczy ze sobą, by powiedzieć „być dotykany”. Jednak ponieważ była młodą kobietą, nie mógł tego powiedzieć.

- Cieszę się, że cię zbadałam - powiedziała za niego. - Teraz jestem znacznie spokojniejsza w kwestii twojego zdrowia.

Gdy wyszła na zewnątrz, uderzył ją zapach leśnego poszycia. Choć oczy piekły ją ze zmęczenia, a stopy nadal bolały, czuła się lżejsza niż kiedykolwiek od chwili opuszczenia

szpitala. Cyrus i Nikodemus siedzieli przy ogniu. W okolicy nie było żadnego kobolda. Słyszając jej kroki, Nikodemus wstał i popatrzył w stronę chatki Shannona.

- I jak z nim? - zapytał.

- Poprosił, żeby na razie zostawić go w spokoju.

- Francesca odchrząknęła. - Badanie wykazało objawy ciężkiej choroby, jednak bez bezpośredniego zagrożenia życia. - Nikodemus popatrzył na nią, a potem znowu na chatę. - Może jednak powinieneś porozmawiać z nim o językach magów - zasugerowała kleryczką.

- Znowu ten spór. - Nikodemus sapnął.

- Rozmowa na ten temat może was doprowadzić do innych zagadnień - powiedziała po chwili milczenia. Popatrzył na nią i w jego oczach znowu dostrzegła lęk o Shannona. A może była to złość na staruszka? Potarła piekące oczy. - Choć towarzystwo jest przednie, chyba się położę - powiedziała sennie.

- Ach tak. - Nikodemus się otrząsnął. - Powinniście z Cyrusem skorzystać z mojej chaty. Koce są czyste, a ja i tak do rana będę polował z uczniami. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, poproście magistra. - Pożegnali się i udali do wskazanej przez Nikodemusa chatki. Francesca przy wejściu rzuciła kilka akapitów świetlików. W wąskim wnętrzu stały dwa solidne łóżka. Pod ścianą ustawiono coś w rodzaju biurka do pisania; miało złamaną jedną nogę, a pod kikut podstawiono dużą księgę, dzięki czemu blat utrzymywał się w poziomie. Francesca z zaciekawieniem przyjrzała się księdze i zaklęła.

- O co chodzi? - zapytał Cyrus.

- Indeks!

- Co takiego?

- Bezcenny artefakt, który umożliwi dostęp do każdego tekstu w murach Starhaven. Słyszałam, że Nikodemus zniszczył go wiele lat temu. Ale okazuje się, że używa go do podpierania przeklętego przez boga bogów biurka!

Cyrus się roześmiał.,

- Skoro i tak nie może używać magicznych tekstów, indeks jest dla niego bezużyteczny.

- A ja myślałam, że jest choć częściowo przy zdrowych zmysłach. - Francesca potrząsnęła głową. - Piekielny, cholerny indeks.

- Z pewnością ucieszyłby się, że zrobił na tobie takie wrażenie - zauważył Cyrus. - Nadal by się w ciebie wgapił.

- Nie zaczynaj. Wsadził nas oboje do jednej chaty...

Nie dokończyła, bo nagle dłonie Cyrusa znalazły się na jej ramionach. Zaczął masować jej kark. Żadne z nich się nie odzywało. Pomyślała o tym, jak Shannon podziękował jej za badanie, za to, że na niego popatrzyła. Chciała, by na nią też ktoś popatrzył, by ją dotykał. Nie zalotnie, nawet nie romantycznie, ale ostrożnie i neutralnie.

Poklepała Cyrusa po dłoniach, a potem wysunęła się spod jego rąk. Popatrzyła na niego, równocześnie pragnąc i nie chcąc, by ku niej sięgnął.

Usiadł na łóżku i gestem zaprosił, by usiadła koło niego.

- Właśnie zgodziłaś się być lekarzem bandy wyjętych spod prawa humanoidów. A kto będzie dbał o ciebie?

- Jestem wyczerpana. - Usiadła koło niego, ale w bezpiecznej odległości. Uważnie przyglądał się jej twarzy swoimi jasnobrązowymi oczami. Potem powoli nachylił się i pocałował ją w policzek. Nie poruszyła się i nic nie powiedziała. Nagle zrobiło się jej ciepło, ale nie wiedziała, co czuje. Cyrus podniósł rękę i dotknął jej policzka. Przytuliła głowę do jego dłoni. - Będziemy tylko spać, Cyrusie.

Objął ją delikatnie. Przez chwilę siedziała bez ruchu, po czym pozwoliła, by jej umysł odpłynął w niebyt. Objął ją mocniej, a ona poczuła się bezpiecznie. Tak właśnie chciała być dotykana. Położyli się na boku, dopasowując do siebie. Francesca poczuła, że błyskawicznie zapada w sen. Cyrus pocałował ją w kark, tuż pod linią włosów. Obudziła się na ułamek sekundy, ale jego oddech stawał się już powolny i regularny. Usnęła.

Duch Shannona po raz kolejny zaczął wylewać się z książki. Tym razem stał w tej samej bibliotece, w której obudził się niecałe dwa dni temu. Okrągły pokój był prawie całkiem ciemny, tylko pod sufitem krążyło niewielkie skupisko świetlików.

Za nim stał magister Akoma, trzymając otwartą księgę. Obok duch dostrzegł magistrę Niyol, której pokryte bielmem oczy wyraźnie odcinały się w blasku świetlików. U ich stóp leżały dwa ciała w zielonych pelerynach. Jedno miało złoty czar owinięty wokół głowy, szyja drugiego była zgięta pod niewiarygodnym kątem. Duch wciągnął powietrze, choć nie było mu potrzebne, i popatrzył na magistrę. Posłała mu ponure spojrzenie.

- Wchodząc tu, aktywowaliśmy jakiś alarm - wyjaśniła chłodnym tonem. - Bardzo żałuję jego skutków.

Duch zerknął na maga wiatru i rzucił:

A demon?

- Żadnego śladu demona ani kanonistki. Obawiam się, że uciekł.

Duch stłumił ponowne pragnienie spytania jej, kim jest. Zamiast tego napisał:

Księga z moimi wspomnieniami?

Wskazała jakieś miejsce za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył tę samą księgę, którą odkrył tam dwa dni temu. Ktoś zabrał notatkę, ale okładkę tomu znaczyły ciemne plamy. Shannon wyciągnął rękę w stronę książki, po czym zawahał się, niepewny, czy zdoła ją otworzyć.

- Pozwól, magistrze - odezwał się magister Akoma i obrócił okładkę.

Duch popatrzył na młodego maga. Miał przystojną twarz i inteligentne oczy. Shannon uczył Lotannu, zanim ten dorósł na tyle, by zapuścić brodę. Nigdy nie zbliżył się do niego bardziej, tak jak do innych studentów, ale zawsze go lubił. Teraz kiwnął głową i napisał:

Dziękuję, magistrze.'

Mężczyzna się uklonił.

Duch spojrzał w dół na otwartą księgę. Jej strony jarzyły się numenosową prozą. Nie miał pojęcia, jak można oddzielić wspomnienia od ducha albo jak duch mógłby umieścić te wspomnienia z powrotem w głowie. Eksperymentalnie położył dłoń na stronie.

Nic się nie stało.

Ścisnął palcami pierwszy akapit i pociągnął. Zdania owinęły się wokół jego ręki i utworzyły złotą wirującą aureolę. Kartka przewróciła się i więcej języka dołączyło do chmury wokół jego ręki. Karty obracały się coraz szybciej, a chmura wokół kończyny zaczęła świecić tak jasno, że musiał odwrócić wzrok. Pojawił się nagły rozbłysk, ale kiedy spojrzał w dół, nie zobaczył nic poza swą przezroczystą ręką i pustą księgą.

- Zdziałało? - zapytała magistra Niyol.

Nie sądzę, rzucił, ale potem napisał: poczekaj. Gdy spróbował przypomnieć sobie opuszczenie Doliny Niebiańskiego Drzewa, zobaczył skrzywioną twarz Nikodemusa. Pamiętał ucztę zorganizowaną przez koboldy w noc przed wyruszeniem, picie i śpiewy przez wiele godzin. Pamiętał długą wędrówkę przez sawannę, pierwsze potyczki z likantropami, cały rok rozwijania siatki kontaktów w Avel.

- Pamiętasz, jak wpadłeś w ręce Tajfona? - zapytała magistra Niyol.

Zmarszczył brwi.

Magazyn, w którym się ukrywaliśmy, został zaatakowany. Wciąż byłem jednością ze swoim autorem... ale zaskoczył nas jakiś latawiec bojowy. Pamiętam, że widziałem, jak wykrwawiam się na ziemi. Byłem przekonany, że zginąłem.

- I co potem? - zapytała magistra.

Zabrali mnie do sanktuarium, do pomieszczeń blisko szczytu kopuły. Opierałem się najmocniej, jak mogłem, więc nie widziałem wszystkiego wyraźnie. Była tam Deirdre. I

jasnoskóry demon, pewnie Tajfon. Ale była tam też kobieta... a przynajmniej coś, co uznałem wtedy za kobietę.

- Nie była nią?

Daj mi chwilę, napisał duch, przeszukując wspomnienia. Myślę, że była duchem. Zrobiła coś z moją głową. Chyba to właśnie ona pozbawiła mnie wspomnień. To miałoby sens. Deirdre nie wiedziałyby, co się ze mną dzieje. Nie byłyby nawet w stanie zobaczyć mnie ani tej drugiej kobiety. Być może demon jej powiedział, ale ona po prostu sądziła, że to element zabójstwa Shannona. To by wyjaśniało zostawioną przez nią notkę, żebym odszukał swojego zabójcę. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że wtedy nie rozpoznałem tego ducha. Myślę jednak, że byt to duch osoby, którą poznałem później.

Magistra Niyol zmrużyła białe oczy.

- Chcesz powiedzieć, że Tajfon zabrał cię do ducha kogoś, kto wciąż żyje?

Duch pokiwał głową.

To może zabrzmieć dziwnie, ale teraz jestem pewien, czyj duch usunął moje wspomnienia. Przerwał na chwilę, zanim napisał: To był duch Franceski.

Francesca obudziła się późną nocą, gdy Cyrus wychodził z łóżka. Usłyszała plaskanie stóp po klepisku i skrzypienie otwieranych drzwi. Poszedł się załatwić. Jej pęcherz również o sobie przypominał. Gdy Cyrus wrócił, wstała i z zaskoczeniem spostrzegła, że w drugim łóżku leży kobold. Może Szum? Tak naprawdę wciąż potrafiła rozpoznać tylko Żyłę. ‘

Na zewnątrz niebo zaczynał rozjaśniać świt. Powietrze było zimne, więc pośpiesznie załatwiła swoją potrzebę pod pobliską paprocią i wróciła do chatki.

Wewnątrz wciąż było ciemno. Gdy podeszła do łóżka, Cyrus uniósł koc. Wślizgnęła się pod ogrzane jego ciepłem przykrycie. Od jasnej pościeli odbijały się czarne loki mężczyzny, usta miał ukryte pod chustą. Francesca, pomimo rozespania, doznała nagle dojmującej świadomości postępującego czasu. Nie jest jeszcze stara, ale już zdecydowanie niemłoda. Miała za sobą połowę życia czarodzieja. Odniosła wrażenie, że wszystko minęło tak szybko, a chciała jeszcze zrobić tak wiele.

Leżąc obok swojego byłego kochanka oddychającego równomiernie, o zdrowo bijącym sercu, Francesca odniosła wrażenie, że życie jest wirującym zbyt szybko kalejdoskopem nocy i dni. Zastanawiała się, jak to będzie, gdy to wirowanie słońca i gwiazd skończy się dla niej. Czy śmierć będzie czymś dziwnym, czy tylko powrotem do czegoś, co znała przed swoimi narodzinami.

Ciasno otulając się kocem, poczuła dziwne, senne przekonanie, że będzie to stan, którego już doświadczyła.

Duch Shannona jako pierwszy wszedł do prywatnego gabinetu Tajfona. Podobnie jak reszta pomieszczeń na szczycie kopuły, i to było puste. Magistra Niyol była pewna, że demon uciekł. Jej pomarszczona twarz spięła się, gdy uświadomiła sobie, że polowanie na demona trzeba będzie rozpocząć od nowa.

Tajfon odszedł w pośpiechu. Krzesła w pokoju były poprzewracane, a stoły i podłoga zasłane księgami i zwojami pism. Magister Akoma zmarszczył czoło, przyglądając się porozrzucanym manuskryptom.

- To jakieś raporty - mruknął, przekładając kilka kartek. - Nie przypomina to niczego, co widziałem.

W tym samym czasie magistra Niyol i duch przeszukiwali księgi na półkach. Po chwili Vivian wyciągnęła jedną z nich.

- T ta - oznajmiła i odpięła klamrę. Duch podszedł bliżej. Magister Akoma nie oderwał wzroku od rozłożonych przed nim kart. Vivian zaczęła przewracać strony księgi, po czym palcami - zdumiewająco zwinnymi jak na jej zaawansowany wiek - wyciągnęła stronicę złotej prozy i rzuciła ją w powietrze. Jej śladem podążył strumień jarzącego się tekstu. Strony księgi obracały się szybko, aż dotarły do tylnej okładki. Złota chmura skondensowała się w przezroczystą postać wysokiej kobiety. Miała usianą piegami skórę i warkocz spleciony z czarnych włosów poprzeplatanych siwizną. Niewątpliwie była duchem Franceski, tylko... wydawała się od niej dwa razy starsza. Magistra Niyol odchrząknęła. - Francesca? - Duch kobiety odwrócił się i spojrzał na magistrę z zamyśleniem. Następnie zamknął oczy i opuścił głowę, jakby pogrążając się we śnie. - Francesca? - powtórzyła kobieta. Duch gwałtownie otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. W podobnie sennym stanie musiał znajdować się duch Shannona, gdy Deirdre uwolniła go z księgi.

Poproś ją, by napisała do ciebie, napisał Shannon.

Magistra Niyol zmarszczyła brwi, ale poprosiła ducha Franceski o napisanie w numerosie daty urodzin jej autorki. Duch posłuchał. Magistra podeszła bliżej i wyjęła z dłoni ducha złote zdanie.

- Ona sądzi, że jej autorka urodziła się ponad trzysta lat temu - powiedziała.

Duch Shannona zmarszczył czoło.

Poproś ją o napisanie daty śmierci autorki.

Magistra Niyol przekazała prośbę, a gdy odebrała zdanie od ducha Franceski, potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Duch uważa, że jej autorka nie żyje od ponad stu lat.

Nie rozumiem, odpowiedział duch Shannona.

- Ja też nie.

Ile czasu minie, zanim oprzytomnieje na tyle, by z nami korespondować?

- Nie wiem. Ale nie powinniśmy tu zostawać zbyt długo. Nawet jeśli Tajfon uciekł, wielu zbuntowanych hierofantów może sprawić, że poleje się krew. - Popatrzyła na ducha. - Umieścimy was oboje w tym dzienniku. Gdy znajdziemy się w bezpieczniejszym miejscu, wyciągniemy was.

Gdzie pójdziemy?

- Na tę noc będziemy musieli wynająć pokój w gospodzie. Potem znajdziemy karawanę do przystani Coldlock, gdzie będę mogła rzucić kolaboris do Lurrikary.

Ale co z moim autorem? Oraz z Nikodemusem i Francescą?

Vivian kiwnęła głową.

- Po rzuceniu kolaboris będziemy mogli skupić się na odnalezieniu Nikodemusa.

On nie jest antyZimorodkiem.

- Sama to ocenię, gdy go znajdziemy. I nie wątpię, że będzie wtedy blisko twojego autora.

Duch podrapał się po podbródku i kiwnął głową.

- Vivian - odezwał się magister Akoma. Widmowy Shannon odwrócił się i zobaczył, że mężczyzna wciąż przygląda się otwartym księgom i tekstom naukowym leżącym na stole.

- Myślę, że to metaczar - powiedział. - Coś, co może zmienić naturę języka na dużym obszarze. Wygląda na to, że przejmuje lingwistyczny aspekt rzucającego i nasyca teren zasadami, które są nierozłączne z tym aspektem.

Magistra Niyol sapnęła z irytacją.

- Mógłbyś powtórzyć w sposób, który ma jakikolwiek sens, mój drogi przyjacielu?

- Jeśli demon rzuci ten czar - powiedział Lotannu, patrząc na kobietę - wszystkie języki w okolicy staną się demoniczne, co jest chyba równoznaczne ze wzrostem poziomu ich chaotyczności. Może też byłyby bardziej intuicyjne. Domyślam się, że ma to pomóc demonicznym legionom zdobyć przyczółek na tym kontynencie.

Powinniśmy to zniszczyć, Shannon rzucił do magów.

Magister Akoma potrzęsła głową.

- Zastanów się, co by się stało, gdyby ten czar został rzucony przez Zimorodka: mogłaby uczynić wszystkie języki bardziej logicznymi. Mogłaby zmienić samą naturę języka na bardziej anty demoniczną.

- Zbierz wszystkie manuskrypty - poleciła Vivian po chwili namysłu. - Kiedy zn&jdziemy trochę czasu, zrobimy kopię wszystkiego, co tu znalazłeś. - Wyciągnęła dziennik kliniczny Franceski.

- Jeszcze coś - łagodnie powiedział magister Akoma. - Ten czar może zostać rzucony równie dobrze przez Zimorodka, co przez Nawałnika Burzowego.

Magister Niyol zeszywniała.

- W takim razie lepiej umieścimy to w bezpiecznym miejscu i spróbujmy odkryć, kim naprawdę jest Nikodemus. - Zerknęła na ducha. - A skoro przy tym jesteśmy, dowiedzmy się, jaka istota chodzi w żyjącym ciele, które nazywają Francescą.

Francesca obudziła się po raz kolejny, gdy jej łóżko zadrżało. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Cyrus wstaje. Ponieważ się nie odezwał, przekręciła się na drugi bok i zamknęła oczy. Nagle poczuła dłoń na swoim biodrze.

- Co? - jęknęła, a raczej spróbowała jęknąć, ponieważ z jakiegoś powodu nie mogła dobyć głosu. Przełknęła ślinę i przekręciła się na wznak. Cyrus chwiał się nad nią, poruszając ustami, ale nie docierał do niej żaden dźwięk. Usiadła i spróbowała wypowiedzieć jego imię, ale nic nie usłyszała. Światło docierające przez kilka szczelin między belkami zaczęło przygasać. W chatce robiło się coraz ciemniej. - Co się dzieje, Cyrus? - zapytała. Tym razem czuła, jak jej gardło wibruje, ale wciąż nie słyszała swojego głosu. Właściwie to niczego nie słyszała. Ogłuchła. Spróbowała zerwać się w stronę drzwi, ale zrobiło się całkiem ciemno. Dopiero wtedy zrozumiała, że w chatce wcale nie robi się ciemniej. Straciła wzrok.

Francesca wypadła z chatki. Wszędzie wokół leżały wyrwane z korzeniami sekwoje. Pień zmiądzzył jedną z chatek. Spod ruin wystawał oderwany tors i głowa kobolda. Coś olbrzymiego głęboko rozerwało ziemię.

Francesca krzyknęła do Cyrusa, ale nie usłyszała swojego głosu. Na chwilę całkowicie oślepla. Ogarnęła ją panika. Zaczęła biec przed siebie. Wzrok powrócił i zobaczyła olbrzymi pień przewróconej sekwoi. Wdrapała się na powalone drzewo. Odłamki kory wbiły się w jej piersi i brzuch, ale zignorowała ból i pokonała przeszkodę, zeskakując w gąszcz paproci po drugiej stronie.

W cieniu jej wzrok się poprawił, ale wciąż nie słyszała. Spróbowała pobiec głębiej w las, ale nagle paprocie wokół utonęły w promieniach słońca. Francesca odwróciła się i zobaczyła, jak sekwoja bezdźwięcznie przewraca się na leśną ściółkę. Olbrzymie drzewo zadrżało, odbijając się od podłoża.

Spojrzała w stronę korzeni drzewa i zobaczyła kulę ślepoty. Nicość rozrastała się, jakby sunąc w jej stronę. Odwróciła się, chcąc uciec, ale wokół niej gwałtownie owinęły się

macki ciemności. Gdzieś dalej przemykały ciemne postacie, być może koboldy. Coś uderzyło ją w plecy i świat przed jej oczami zniknął. Poczowała potworny ból w jednej z rąk. A po chwili wszystko zniknęło.

Zginęła.

Była martwa.

Była pewna, że jest martwa.

Czy mogło to być coś innego?

Zaczęła desperacko szukać czegokolwiek, czym mogłaby poruszyć, jakiejś części swojego ciała. Nic. Spróbowała ponownie. Nadal nic. Czy to śmierć?

Minął kwadrans.

Może.

Minął dzień.

Może.

A może nie minęła nawet chwila. Czy śmierć to samotność w nicości? Zawsze przypuszczała, że będzie czymś opisywanym przez kapłanów lub po prostu nie będzie niczym. Jednak kapłani się mylili. Nie było ducha mknącego przez wszechświat przed stanowiący o wieczności sąd Stwórcy. Z drugiej strony, nie wróciła też do nicości, z której wyłoniła się przy narodzinach.

Wciąż była sobą.

I wciąż mogła się złościć. Jeśli tak właśnie wyglądało życie po śmierci, to było cholernie żalosne. Zachowanie myślenia bez percepcji było, na boga bogów, beznadziejnie rozczarowujące. Stanowiło dowód na kiepsko przemyślane moralne podstawy wszechświata.

Zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś w jakiejś wieczności zdoła porozmawiać z bogiem bogów. Jeśli tak, będzie miała dla niego trochę bardzo ostrych słów. Dusza powinna zostać oceniona, przekształcona lub zniszczona. Pod żadnym cholernym warunkiem nie powinna zostać zawieszona w nicości jak ogórek zanurzony w octowej zalewie. To sugerowałoby, że Stwórca w połowie tworzenia podstaw moralnych wszechświata rzucił wszystko ze słowami „Pieprzyć to, idę się upić”.

W jej izolowanym umyśle zaczęła rosnąć lista wrednych, wściekłych i bluźnierczych rzeczy, które chciałyby wykrzyczeć do boga bogów.

Ale...

Przed jej oczami nagle rozbłysnął niewyraźny obraz sekwojowego lasu. Jasne niebo w górze. Jej oczy powoli zaczęły koncentrować się na poszczególnych gałęziach. Coś się nad nią poruszało. Jakiś olbrzymi stwór. Zobaczyła tył jego nóg, pośladki, ciemnoszarą,

miejskami tłustą skórę, pokrytą pasożytami przypominającymi mięczaki, które wrosły głęboko, wypuszczając na zewnątrz powiewające na wietrze wiotkie organy.

Stwór zrobił krok w tył i ziemia się zatrzęsała. Potem Francesca poczuła mrowienie rąk i uderzenie niewidzialnej ściany. Upadła. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że to musiała być fala uderzeniowa wybuchu.

Koszmarne stworzenie zniknęło.

Francesca wstała chwiejnie i rozejrzała się po lesie. Obok niej stał kobold. Nie żyła. Jeden z pozostałych. Chwytał ją za rękę i poprowadził. Kiedy znowu upadła, wziął ją na ręce i poniosł tak lekko, jakby była dzieckiem. Biegł w głąb lasu, w końcu docierając do pierścienia gęsto rosnących drzew z zagłębieniem pośrodku. Francesca słyszała o magicznych kręgach tworzonych przez młode podrosty wyrastające z korzeni starego, umierającego drzewa. Po przeciwnej stronie zagłębienia siedzieli magister Shannon z Lazur, Żyła, Cyrus oraz jeszcze dwa koboldy.

Cyrus podbiegł do niej i wziął ją w ramiona. Objęła go i odkryła, że po jej policzkach spływają łzy. Mówił coś do niej, ale nic nie słyszała.

- Nie słyszę - powiedziała. Skrzywił się, jakby krzyknęła. Może to zrobiła. Nie była w stanie stwierdzić, jak głośno mówi. - Ogluchłam. - Cyrus chyba powiedział coś do Shannona. Między skronią starego maga a głową Lazur pojawił się łuk złotej prozy. Chowaniec zaczął przyglądać się Francesce. Cyrus obejmował ją, ale wciąż drżały jej nogi. - Chcę usiąść - oświadczyła i opadła na chłodną ziemię.

Oddychała nierówno, zamknęła oczy i wbiła palce w miękką i czarną glebę. Zaledwie chwilę temu myślała, że nie żyje, a jej pierwszą reakcją była krytyka Stwórcy. Teraz, gdy jej umysł znowu znalazł się w ciele, poczuła panikę na myśl, że to jeszcze nie koniec, że śmierć jest wciąż przed nią.

Świat był niesamowicie piękny - ziemia, aromat ciepłej stęchlizny i wzrostu. Na jej ramionach pojawiły się dłonie Cyrusa. Popatrzyła mu w twarz, w jego szeroko otwarte oczy, na szpiczastą czarną brodę i jasnobrązową skórę.

Był piękny. Rozplakała się jeszcze gwałtowniej.

Świat był taki wspaniały, a ona prawie go opuściła. Jej piersią zaczęło wstrząsać łkanie. Poczuła się jak bezradne dziecko. Znowu zamknęła oczy, a Cyrus ponownie ją objął. Po jakimś czasie zaczął ją kołysać. Pozwoliła na to tak długo, aż jej piersią przestało wstrząsać łkanie. Wytarła nos i poczuła dziwny spokój. Była wycieńczona. Spojrzała na Cyrusa. Szorstkimi kciukami otarł łzy z jej policzków. Chwyła jego dłoń. Była taka ciepła, taka prawdziwa. Pocałował ją w policzek. Objęła go ramionami i przycisnęła z całym siłą.

Potem zauważyła Nikodemusa. Siedział na wielkim korzeniu, włosy opadały mu na ramiona. Na jego piersi i brzuchu błyszczał pot. Oliwkową skórę pokrywały czerwone pręgi. Musiał zrywać z niej wytatuowane chtoniczne czary.

Na jego piersi krwawiła pięciocentymetrowa rana szarpana. Pozbawioną zarostu szyję i twarz popryskał czymś, co wyglądało jak czarna farba. Umysł kleryczki przeanalizował ten obraz i sklasyfikował jako „lekkie, niegroźne obrażenia”. Przy nogach Nikodemusa przysiadły trzy koboldy, a z boku stał Shannon. Wszyscy mówili.

Próbowała pytać, co się stało, i przekazać im jakoś, że ogłuchła, ale nie wiedziała nawet, czy ją słyszą.

Nagle wszyscy spojrzeli na nią. Shannon podszedł i podał jej złote zdanie. Wzięła je i przetłumaczyła.

Jesteś ranna?

- Nie - odpowiedziała.

Podał jej kolejny akapit.

Porwał cię Sawannowy Potwór. Zanim zdążył do ciebie dotrzeć, Nikodemus zobaczył, jak coś błyska między wami. Martwiliśmy się, że bestia coś ci zrobiła.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Poza czasową utratą słuchu. - Shannon się skrzywił. - Co?

Przez chwilę stał bez ruchu, potem podał jej kolejne zdanie: r

Nie jesteśmy pewni, czy to czasowe.

- Dlaczego? - Wyprostowała się czujnie.

- Kiedy zbliżał się Sawannowy Potwór, wszyscy oprócz Nikodemusa ogłuchli. Jednak do tej pory zdążyli już odzyskać słuch. Możesz mi powiedzieć, czy coś jeszcze jest nie tak?

Wszystko jest w porządku, odpisała, pó czym podniosła się na nogi.

- Wszystko w porządku - oświadczyła głośno. Nikodemus stanął przed nią. Na jego twarzy malowało się coś pomiędzy współczuciem i litością. - Powiedziałam, że nic mi nie jest - rzuciła z irytacją. Nikodemus i Cyrus się skrzywili. Musiała mówić za głośno. Otaczali ją ze wszystkich stron, patrząc na nią jak na rannego psa. - Po prostu... - spróbowała powiedzieć spokojniej - zostawcie mnie w spokoju. - Cyrus i Shannon podeszli jeszcze bliżej. Rozmawiali ze sobą. Nikodemus popatrzył jej w oczy. Wyglądał, jakby czegoś w nich szukał. Posłała mu błagalne spojrzenie. Zrozumiał i odwrócił się. Najpierw Shannon, a potem Cyrus popatrzyli na niego. Chyba się o coś kłócili. Shannon odwrócił się i podszedł do Nikodemusa. Cyrus dotknął jej policzka. Mówił coś szybko. - Nie słyszę cię - przypomniała z irytacją i spostrzegła, że jej oczy znowu łzawią. Popatrzył na nią zdezorientowany. Cyrus opanował

jedynie magiczny język hierofantów, więc bez biegłości w językach magów i wspólnych nie potrafił porozumiewać się z nią tekstowo. Chyba znowu zaczął coś głośno mówić. Próbował ująć jej dłoń, ale się odsunęła. - Nie słyszę cię, do diaska! - warknęła i przeszła na drugi koniec magicznego kręgu. Na szczęście nie poszedł za nią. Uwolniona od pełnych litości spojrzeń Francesca zaczęła się modlić z nadzieją, że nigdy nie wzbudziła w swoim pacjencie uczuć takich, jak ci mężczyźni w niej. Po chwili z jej oczu znowu popłynęły łzy i zaczęły drżeć jej ręce. Skupiła się na zachowaniu ciszy i opanowaniu oddechu przerywanego przez nagle, gwałtowne wdechy. Fakt, że nie potrafiła stwierdzić, czy mężczyźni ją słyszą, przerażał ją, ale też zawstydział. Jej oddech stopniowo zwolnił i skupiła się na swoim słuchu, a raczej jego braku.

Dokładała wszystkich sił, żeby wykryć choćby najmniejszy szept. Nic. Nawet nie głucha cisza, po prostu nic. Pstryknęła palcami przy uchu. Znowu nic. Postukała w kości za uszami. Czuła na skórze uderzenia palców, ale żadne wibracje nie przenikały przez jej czaszkę.

Odetchnęła głęboko i spróbowała przypomnieć sobie ostatni dźwięk, jaki słyszała. To musiało być zeszłej nocy. A może wtedy, gdy obudziła się, żeby pójść na stronę? Nie pamiętała jednak żadnych dźwięków. Przed zaśnięciem rozmawiała z Cyrusem, więc musiała słyszeć jego głos. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie potrafiła teraz przywołać go w pamięci. Potrafiła przywołać każde wypowiedziane słowo, ale nie towarzyszące mu dźwięki. Przed jej oczami pojawiały się tylko obrazy napisanych słów. Wiedziała, że ma na imię Francesca, ale nie miała pojęcia, jak brzmi to słowo.

Spróbowała zawołać po imieniu Cyrusa i Nikodemusa. Mężczyźni niemal do niej podbiegli. Również Shannon szedł wolno w jej stronę, puszczać zdanie, które była w stanie odczytać.

Co się dzieje?

- Nie pamiętam dźwięku - spróbowała powiedzieć i uświadomiła sobie, że pamięta, jak język i usta układają się w to słowo, ale nie brzmienie, ton czy tembr, które były pfy tym generowane.

Shannon stanął bliżej i rzucił kolejne złote zdanie: Co to znaczy?

- To znaczy, że cokolwiek zrobi! mi Sawannowy Potwór, sięgną! głębiej niż tylko uszu. A może w ogóle nie dotyczy to uszu. Zmienił tę część mojego umysłu, która odbiera i przetwarza dźwięki. - Mężczyźni popatrzyli na siebie w zmieszaniu. - Tylko tak mogę wytłumaczyć to, czemu nie pamiętam i nie potrafię sobie wyobrazić żadnego dźwięku, który...

Shannon przerwał jej, rzucając kolejne zdanie:

Przepraszam, magistra, ale nie rozumiemy cię.

Francesca zmarszczyła brwi, ale po chwili pojęła: niezdolna kontrolować swój głos musiała emitować niezrozumiałe dźwięki. Jej oddech znów przyspieszył nerwowo, oczy zapiekły ją od napływających łez. Cyrus objął ją ramieniem. Miała wrażenie, że trwają tak całe wieki. Gdy podniosła głowę, zobaczyła Nikodemusa przykucniętego w bezpiecznej odległości. Patrzył na nią ze współczuciem. Była teraz tak samo ułomna, jak on.

Napisała wyjaśnienie dotyczące tego, skąd wiedziała, że z jej umysłu usunięto zdolność odbierania, przywoływania i wyobrażania sobie dźwięków. Rzuciła powstały tekst Nikodemusowi, jednak on odskoczył od jej dzieła. Chwilę później wokół jej akapitu owinęło się cienkie srebrzyste zdanie i pociągnęło go w dłoń Shannona. Staruszek chyba przeczytał jej tekst na głos.

Pozostali mężczyźni spojrzeli po sobie - Cyrus z wyrazem litości, Nikodemus z cierpieniem, jakby pogorszyła się jego własna ułomność. Przez chwilę rozmawiali. Potem Shannon napisał i rzucił jej odpowiedź.

Sądźmy, że Sawannowy Potwór mógł zabrać część twojego umysłu, tak jak Tajfon zabrał zdolność Nikodemusa do poprawnego pisania. Możliwe, że odzyskamy go, jeśli dogonimy bestię.

Spojrzała na niego i wysłała pytanie:

Dogonicie bestię?

Nikodemus ją zranił, odpisał Shannon. Użycie imienia potwora pozwoliło Nikodemusowi wyrwać się spod jego wpływu, jednak mógł z nim walczyć tylko w cieniu lasu, a ten uciekł na światło słońca. Nie jesteśmy pewni czemu, ale nie skierował się z powrotem do miasta. Uciekł na północ, w stronę sawanny.

Francesca zmarszczyła czoło.

Jak go znajdziemy? Sawanna jest olbrzymia, nawet po północnej stronie.

Gdy Shannon przeczytał to na głos, Cyrus wziął jej dłoń i coś powiedział. Popatrzyła na magistra, który napisał:

Jasp i Krzem zabiorą Cyrusa do marszałek wiatru, gdzie spróbuje uzyskać jej pomoc.

Kleryczka potrząsnęła głową.

Nie możemy posuwać się tak daleko tylko po to, by odzyskać mój słuch.

Straciliśmy nie tylko twój słuch, odpowiedział Shannon. Potwór zabił Szuma i Żuźla. Byli braćmi. Bestia powaliła Szuma, a Żuźel się na nią rzucił. Francesca podniosła dłonie do ust. Była tak przerażona, że zapomniała o widzianym wcześniej martwym koboldzie.

Shannon podał jej kolejny ustęp. Znikła też arka Boann. Mogła ją zabrać bestia. Nie jesteśmy pewni, jak nas znalazła, ale sądzimy, że ma to jakiś związek ze śmiercią Deirdre i fasztkową więzią, która łączyła jej ciało z arką. A teraz bestia jest ranna. Jeśli Nikodemus zdoła dopaść ją w nocy, może pozbawić Tajfona jednego ze smoków. Francesca się skrzywiła. Zapomniała, że rzekomo miała w jakiś sposób zepsuć pułapkę, którą demon zastawił za pomocą wciąż ukrytego drugiego smoka.

Biorąc pod uwagę fakt, że nie była w stanie już nawet słyszeć, wydawało się niemożliwe, by zdołała zrobić coś przydatnego. A już na pewno nie da rady pomóc Nikodemusowi w ucieczce przed stworem w rodzaju Sawannowego Potwora. Popatrzyła jednak na Cyrusa i kiwnęła głową. Przez chwilę mówił coś, co Shannon jej przetłumaczył: On nie chce, żebyś się martwiła. Obiecuje, że odzyskamy twój słuch.

Francesca znowu potrząsnęła głową i wysłała odpowiedź:

Powiedz mu, że się trzymam. Niech będzie ostrożny.

Shannon wymienił kilka zdań z Cyrusem, po czym napisał do niej:

Obiecuje.

Gdy to przeczytała, Cyrus ścisnął jej dłonie i pocałował ją w policzek. Kiwnęła głową i odwzajemniła uścisk. Po wymianie kilku słów z Nikodemusem i Shannonem Cyrus ruszył w las z Jaspem i Krzemem.

Francesca, już nieco bardziej opanowana, podeszła do Żyły. Do jego piersi nie wdarło się zbyt dużo powietrza. Wyprowadziła je na zewnątrz i klepnęła kobolda w ramię gestem, który miał go uspokoić.

Następnie wróciła do obozu. Nikodemus z Shannonem przeszukiwali ruiny. Ciała dwóch koboldów, Szuma i Żuźła, położono w cieniu i przykryto kocami. Francesca stanęła przy nich i odmówiła za nich krótką modlitwę. W połowie zaczęła się zastanawiać, czy za życia oddawali cześć Stwórcy.

Po zakończeniu odwróciła się do Nikodemusa i Shannona. Przeszukiwali właśnie resztki budynku, który musiał być magazynem. Na ramieniu staruszka siedziała Lazurowa, pełniąc rolę jego oczu. Obaj przybrali ponure oblicza - Sawannowy Potwór zabijał już ich towarzyszy. Była świadkiem tylko jednej potyczki w trwającej wojnie.

Mijając zniszczoną chatę, Francesca zauważyła leżący na ziemi szylkretowy grzebień. Podniosła go. Brakowało jednego zęba, ale pozostałe były mocne i gładkie. Obmacując swoją głowę, stwierdziła, że spora część jej włosów wyswobodziła się z warkocza. Nie miała okazji zająć się fryzurą od... na boga bogów, od wieczora przed tym dniem, gdy na jej stole umarła Deirdre. Minęły zaledwie dwa dni, a ona miała wrażenie, jakby upłynęła cała wieczność.

Usidła na pniu i przełożyła sobie warkocz przez ramię. Pamiętała, że jej matka często nuciła ludową piosenkę o wdowie czekającej na zakończenie długiej pory suchej w północnej Spirii. Pamiętała wszystkie słowa piosenki, ale nie umiała sobie wyobrazić melodii ani nawet pojedynczych dźwięków. Poczuli się pusta, gdy zrozumiała, że muzyka stała się dla niej pojęciem całkowicie abstrakcyjnym.

Zaczęła rozczesywać warkocz. Włosy stanowiły jej jedyną słabość i powód do dumy. Patrzyła, jak powoli spływają po ramionach w luźnych lokach lśniących jak polerowany dąb. Zawsze gdy nosiła je rozpuszczone, rozpraszała pacjentów. Gdy skończyła się czesać, przyjrzała się grzebieniowi, przesuwając palcem po wyszczerbionym zębie. Wiedziała, że takie grzebienie pochodziły wyłącznie z Archipelagu Iksońskiego, że na tych wyspach znajdowało się Port Mercy i że spędziła tam prawie dziesięć lat, ucząc się na kleryczkę. A jednak nie umiała sobie przypomnieć, by widziała tam choć jeden szylkretowy grzebień. Zmarszczyła brwi, uświadamiając sobie, że nie pamięta miasta Port Mercy ani akademii medycznej.

Pomyślała o piosence śpiewanej przy czesaniu przez jej matkę. Znała słowa, wiedziała, że jej matka ją śpiewała, ale nie pamiętała grzebienia przesuwającego się przez jej dziecięce włosy, nie pamiętała twarzy matki ani niczego związanego z jej domem. Czuli się tak, jakby przeczytała swoją biografię, ale nie przeżyła tego życia.

Zerwała się gwałtownie, gdy zrozumiała.

Popatrzyła w stronę zrujnowanego magazynu i zobaczyła Nikodemusa. On również na nią spojrzął, ale szybko spuścił wzrok.

- Nikodemusie - zawołała, mając nadzieję, że ją zrozumie. - Shannonie.

Kiedy mężczyźni do niej podeszli, popatrzyła na nich i wręczyła Shannonowi zdanie.

Starzec odczytał je na głos:

Straciłam wszystkie wspomnienia przed przybyciem do Avel. Sawannowy Potwór je ukradł.

Cyrus był w kwaterze marszałek wiatru tylko raz, lata temu. Marszałek Oria wezwała go do siebie i zaoferowała awans, jeśli przyłączy się do ekspedycji Sharptree. Brała w niej udział jedna z dawnych koleżanek Cyrusa - młoda i ładna pilot imieniem Sylvia. Marszałek dała Cyrusowi dzień na podjęcie decyzji.

Tego dnia nie widział się z Francescą aż do późnego wieczora, gdy wróciła wyczerpana po ciężkim dniu w szpitalu. Do rozpoczęcia kolejnej zmiany zostały jej tylko cztery godziny. Kiedy wspomnieli o perspektywie awansu, kłócili się przez godzinę. Szanując

jej zmęczenie, ustąpił. Jednak następnego dnia przyjął awans. Napisał krótki pożegnalny list do Franceski i wyleciał do Coldlock, skąd wyruszył wraz z porannym odpływem.

Teraz Francesca znowu wkroczyła w jego życie. A może było odwrotnie. W końcu to on odszedł, a teraz powrócił. Cyrus lubił myśleć, że żyje tak jak łąta - z wyćwiczoną precyzją, podejmując tylko starannie zważone ryzyko. A jednak Francesca była jak potężny prąd wznoszący - nieprzewidywalny, pełen turbulencji i jednocześnie porywający. Być może nie ułożyło im się dlatego, że byli zbyt młodzi, zbyt porywczy.

Teraz byli starsi i mądrzejsi. Ona była lekarką, on miał wystarczającą rangę, by któregoś dnia zostać kapitanem. O ile uda im się przeżyć bieżący kryzys, wciąż będzie musiał poczekać na statek przynajmniej rok. Być może tu, w Avel, będą mogli zacząć wszystko od początku. A gdy już zrobią go kapitanem... cóż... Fran zawsze chciała praktykować w większym mieście na wschodzie. Będzie mógł zabrać ją wszędzie. To było atrakcyjne marzenie. Jednak w tym momencie tylko marzenie. Najpierw musiał opanować narastające w Avel dążenie do walki i wytropić bestię, która pozbawiła Francescę zdolności słyszenia.

Cyrus rozejrzał się po pomieszczeniu. Mieszkanie było duże jak na lokum hierofantki: kolorowe dywany, poduszki, zdobione parawany, kilka roślin, najwyraźniej spokrewnionych z iksońskimi bananowcami. Wszystko wyglądało mniej więcej tak jak lata temu. Nowy był tylko mężczyzna, którego Cyrus właśnie oceniał i unieruchomił w tkaninie.

W głębi korytarza zabrzmiały głosy. Chwilę później drzwi otworzyły się i do środka weszli marszałek Oria i kapitan Izem. Na widok Cyrusa i jego więźnia zatrzymali się. Gwałtownymi ruchami rzucili na swoje szaty jarzące się niebieskie akapity. Ich ubrania wyduły się, gotowe do uderzenia. Wtedy Cyrus opuścił swoją chustę.

- Cyrus? - zapytał zdziwiony Izem.

- Kapitanie - odpowiedział z ukłonem, po czym zwrócił się ku Orii. - Pani marszałek, proszę o wybaczenie za naruszenie protokołu.

- Kto? - Izem zamknął drzwi i zablokował je, a Oria podeszła do unieruchomionego mężczyzny.

- Miody pilot, który miał pecha mnie uratować, gdy wyszedłem z lasu. Niczego nie podejrzewając, wplótł mnie w swoje skrzydło, próbując uciec przed likantropami.

- Jeśli zdołam przebić się na pokład startowy, mogę podnieść „Lancę Królowej” w powietrze w ciągu godziny - Izem zwrócił się do Orii.

Potrząsnęła głową i spojrzała na Cyrusa.

- Streszczaj się. Być może właśnie wywołałeś Drugą Wojnę Domową.

Cyrus zrelacjonował wszystko, co odkrył w Avel, włącznie ze spotkaniami z Nikodemusem Wealem, jego podejrzeniami dotyczącymi demona na dworze Cali, hierofantami, którzy zaatakowali grupę Nikodemusa, a w końcu katastrofalnym spotkaniem z Sawannowym Potworem.

- Czy ktoś widział, jak tu wchodziłeś? - zapytała Oria.

- Miałem podniesioną chustę i kontrolowałem więźnia przez jego szaty - odpowiedział Cyrus, potrząsając głową. - Powinnaś też wiedzieć, że przyznał się do popierania niezależności Cali, choć twierdzi, że nie wie nic o demonie.

Oria opuściła chustę, odsłaniając skrzywioną w grymasie twarz. Potem odwróciła się do Izema.

- Kapitanie, przejmij tego więźnia na swój statek. Wyjaśnij jego zniknięcie w sposób, jaki tylko przyjdzie ci do głowy. Potem niech zostanie dyskretnie przewieziony do zatoki Coldlock. Tylko bez dramatyzmu jak poprzednim razem.

- Tak, pani. - Mężczyzna się uklonił.

- Pani marszałek - odezwał się Cyrus. - Proszę o pozwolenie na zasugerowanie planu działań.

- Czego chcesz, strażniku?

- Pomocy kapitana Izema w przeszukiwaniu północnej sawanny. Prawdopodobnie tam ukrywa się Sawannowy Potwór.

- Może nie zrozumiałeś powagi sytuacji. - Popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi. - Izem nie mógł mi tego powiedzieć, dopóki nie zostaliśmy sami, ale Celeste wydała rozkaz zgrupowania całej zachodniej floty w Lurrikarze. Są gotowi do przylotu do Avel. Ta dwójka magów - Vivian i Lotannu - przyleciała tu na jakąś misję. Mają rozładować sytuację. Ma to jakiś związek z rzekomym demonem i odszukaniem Nikodemusa Weala. Z twoich słów wnioskuję, że zawiedli. W tej sytuacji nie mogę pozwolić, by Izem tracił czas na poszukiwanie jakiegoś dziwnego stwora.

Cyrus myślał gorączkowo. Odruchowo chciał wytłumaczyć, jak ważne jest dla niego, by Francesca odzyskała zdolność słyszenia, jednak wiedział, że dla marszałek nie miałyby to żadnego znaczenia.

- Pani, jeśli magowie przybyli tu w celu odszukania Nikodemusa, to czy mogę założyć, że również Celeste pragnie zatrzymania go? - zapytał zamiast tego.

- Czy pamiętasz dokładne sformułowanie rozkazów? - Oria z niechęcią zwróciła się do Izema.

- Owszem - potwierdził. - I uważam, że interpretacja strażnika jest słuszna. Jeśli możemy aresztować Nikodemusa, musimy to zrobić.

Cyrus odchrząknął.

- Pozwól mi zabrać Nikodemusa na polowanie na tego stwora. Jeśli Weal zginie, to zakończy sprawę. Jeśli zabije potwora, z pewnością osłabi to siłę, która rządzi teraz Avel i co być może ważniejsze, znajdzie się w naszych rękach. Oria zacisnęła usta.

- Nie podoba mi się pomysł, by Izem stąd odlatywał.

- Głęboko wciągnęła powietrze przez nos. - Spędziłam ostatnie kilka dni na sprowadzaniu do ogrodu pilotów wiernych Celeste i odsyłaniu pozostałych do Avel. Jeśli dojdzie do aktów przemocy, wiatrowy ogród musi przetrwać. Jednakże - powiedziała powoli - odesłanie okrętu Izema zmniejszy napięcia między wieżą a miastem. - Spojrzała na kapitana.
- Jak szybko możesz polecieć do Dar, stamtąd do Lurrikary i z powrotem tutaj?

- Z pełnymi żaglami zajmie mi to jeden dzień. Jednak przed rozpoczęciem kursu musielibyśmy odnaleźć bestię.

- Ale możesz zabrać mój raport do Dar i floty. - Oria kiwnęła głową. - Dobrze, kapitanie, masz dzień na poszukiwania potwora. Jeśli go w tym czasie nie znajdziesz, rozpocznij kurs.

- Jak rozkażesz. - Ukłonił się.

- A ty, strażniku - Oria zwróciła się do Cyrusa

- właśnie zdołałeś się wprosić na pokład okrętu.

Francesca pomogła Nikodemusowi i Shannonowi uratować co się dało ze zniszczonego magazynu. Później ruszyli głębiej w las i urządzili nowy obóz w zacienionym miejscu. Używając zwężonych, złotych akapitów, Shannon wyjaśnił, czemu nadchodząca noc może będzie mokra: igły sekwoi służyły za punkty kondensacji wody, która spływała kroplami na korzenie. Zdarzało się to najczęściej, gdy od morza nadciągała zimna mgła. Choć w porze suchej nie padały deszcze, mgła nadchodziła każdej nocy i zniknęła co rano.

Pracując, Nikodemus i Shannon się sprzecali. Francesca próbowała nadążyć za ich kłótnią, raz po raz rzucając prośby o tłumaczenie. Shannon spełniał je, gdy tylko mógł, ale często spór skupiał całą jego uwagę. Zmęczona tym Francesca usiadła, żeby ponownie przeczesać włosy. Dalo to Shannonowi swoistą przewagę, ponieważ Nikodemus zerkał na nią co kilka chwil. Czuła się trochę winna, ale tylko odrobinę. Po tym, co jej się przydarzyło, zasługiwała na nieco przyjemności.

Gdy skończyła, spróbowała ponownie wziąć udział w rozmowie, rzucając zdania do Shannona i Nikodemusa, jednak znowu okazało się to nieskuteczne. W końcu więc zapytała,

czy może się przejść. Stary mag zgodził się, zapewniając ją, że leśne likantropy nie zbliżą się do obozu koboldów. Z początku szła powoli, kierując się w stronę najbliższej odnogi jeziora. Choć spędziła lata, przyglądając się sekwojowym lasom z różnych okien szpitala, nigdy dotąd nie była w żadnym z nich.

Olbrzymie drzewa osiągały imponującą wysokość, z gałęziami tworzącymi gęste sklepienie wypełnione przez ciemne świergoczące ptaki. Odrobina światła przeciskająca się między gałęziami docierała na ziemię w złotych, wąskich promieniach. Podłoże lasu było zielone ód paproci i mniejszych, przechylonych wawrzynów. Francesca miała wrażenie, jakby cały świat został zrobiony ze świętych gajów i promieni słońca. Gdzieś obok zobaczyła czarnogłową sójkę z otwartym dziobem. Jej drobna pierś wznosiła się i opadała, a Francesca nie słyszała, czy ptak śpiewa, czy skrzeczy.

Ruszyła nieco szybciej w stronę odnóg jeziora. Musiała przebić się przez kilka skupisk paproci i pokonać dość stromy wąwóz, ale potem natknęła się na krzaki rosnące między szarymi głazami. Przedzierając się przez nie, nagle wyszła na słońce. Dla jej oczu, przyzwyczajonych do mroku lasu, blask był oszałamiający. Odnoga jeziora przed nią miała może siedem metrów szerokości, a jej gładka tafla odbijała niebo. Z jakiegoś punktu na prawo po wodzie rozchodziły się leniwie niewielkie fale. Francesca dostrzegła znikające w głębinie tylne nogi i skorupę żółwia.

Zatrzymała się i rozejrzała wokół. Wszystko było nieruchome. Powoli związała włosy w koński ogon, zdjęła stułę i szatę, potem buty i bieliznę. Naga podeszła do brzegu jeziora, by przeprać swoje ubranie. Rzuciła w tkaninę kilka pianistych zdań, po czym splukała wodą mydlane teksty. Potem rozwiesiła ubranie na krzakach.

Weszła po kostki do wody i odkryła, że jest zdumiewająco ciepła. Stanęła i spojrzała w dół, na swoje ciało. Dziwne, jak często badała ciała innych, a jak rzadko oglądała swoje własne. Kąpiel zazwyczaj była czymś wykonywanym pośpiesznie, mechanicznymi ruchami, by mogła jak najprędzej wrócić do pacjentów. Teraz naprawdę się sobie przyjrzała: swojej bladej skórze, niemal śnieżnobiałej w ostrym świetle słońca, długim nogom, zawsze zbyt umięśnionym jak na jej gust, talii, już nie tak wąskiej jak kiedyś, wciąż zbyt małym piersiom. Przesunęła dłonią po brzuchu. Na szczęście wciąż był płaski, po obu stronach miednicy widać było kości biodrowe. Wokół pępka miała teraz trochę więcej tłuszczu. Gdy zauważyła kilka czerwonych plamek - naczynek starczych, westchnęła. Naczyniaki starcze były typowym objawem starzenia się skóry.

Nie była już młoda. Na domiar złego teraz jeszcze ogłuchła i straciła większość osobistych wspomnień.

Czy mogła wciąż być lekarką? Czy zachowała dość wiedzy? Jak zdoła wysłuchać pacjentów - ich historii, bicia serca, pracy płuc, bulgotania jelit?

Słońce zaczęło przypiekać jej ramiona. Usiadła, opierając się o ciepły głaz. Zawiał lekki wiatr. Rozciągnęła nogi, wsuwając je głębiej do wody. Zaczęła przesuwać coraz dalej i dalej, aż zsunęła się z głazu.

Choć słońce rozgrzało górną warstwę wody, Francesca odkryła, że głębiej jest zdumiewająco zimna. Zaczęła płynąć krauleip. Pamiętała, że w Port Mercy jej koleżanki i koledzy z klasy wymykali się z uniwersytetu, by kąpać się w ciepłym morzu iksońskim. A jednak nie umiała sobie przypomnieć, jak wyglądało samo pływanie. Po raz kolejny odniosła wrażenie, że przeczytała własną biografię, ale nie przeżyła swojego życia.

Przeplłynęła wąski pas wody, zawróciła i ruszyła z powrotem. Wysięk ją rozgrzał. Zaczęła płynąć wzdłuż brzegu, aż znalazła małą, żwirową plażę. Przykucnęła w niewielkiej zatoczce ciepłej wody, wzięła pełne dłonie żwiru i roztarła je sobie po twarzy i plecach.

Nagle wystraszyła się, że ktoś może ukraść jej ubranie, popłynęła więc z powrotem. Jej rzeczy wisiały nietknięte, suche od ogrzewających je promieni słońca. Wdrapała się na głaz i położyła, żeby jej ciało również wyschło. Musiała usnąć na chwilę, bo nagle zerwała się zapłakana i z drżącymi dłońmi. Starła się opanować łkanie, ale w końcu zwinęła się w kłębek. Szlochała tak długo, aż wypłakała wszystkie łzy. Czuła się niemal znieczulona.

Wstała, umyła twarz i ubrała się. Cienie drzew wokół stały się dłuższe. Musiała usnąć na dobrą godzinę. Shannon i Nikodemus powinni już skończyć swoją kłótnię. Mogła wrócić do obozu i nie będą jej już ignorować. Jednak chciała jeszcze trochę pobyc sama, ruszyła więc wzdłuż brzegu, strasząc żaby i żółwie, uciekające przed nią do wody. Szło się jej ciężko. Krzewy rosły nad wodą dość gęsto i zmuszały ją do obchodzenia ich lasem. Im dalej szła, tym wyżej wznosił się brzeg, aż zaczęła iść wzdłuż skalnej półki opadającej trzy metry do wody. Sekwoje dochodziły tu do samej krawędzi, pograżając brzeg w cieniu.

Idąc, Francesca próbowała rozwikłać swoje uczucia. Czuła się odrętwiała, ale gdzieś w głębi czaiły się strach, szok i „gonią... oraz nadzieja na odzyskanie straconego słuchu i wspomnień.

Kolejna przeszkoda zmusiła Francescę do zagłębienia się w las. Gdy weszła w gąszcz, uświadomiła sobie, że koło obozu nie zobaczyła ani jednego martwego drzewa, choć cały las był nimi usiany. Cicha Śnieć była tu najwidoczniej mniej dotkliwa.

Gdy po raz kolejny wróciła na brzeg, nagle z wody wyłonił się jakiś ciemny kształt. Odruchowo przykucnęła. Serce załomotało w jej piersi. Rozejrzała się w poszukiwaniu zagrożenia, jednak las krył tylko paprocie i promienie słońca. Znów spojrzała w stronę wody,

spodziewając się zobaczyć dziwny gatunek wodnego likantropa albo jakiś groteskowy, żywy fragment Sawannowego Potwora. Jednak zobaczyła tylko odwróconego do niej szerokimi plecami Nikodemusa. Miał mokre włosy, przyklejone do ramion. Przeszedł na coś, co musiało być łachą piasku, po czym zanurzył się i wyciągnął garść drobnego żwiru, którym zaczął szorować się pod pachami.

Francesca mogła ze szczegółami obejrzyć jego plecy: napinający się przy unoszeniu ręki mięsień trójkątny ramienia, łopatkę, gładko przesuwającą się pod oliwkową skórą, szeroki mięsień najszerzy grzbietu o trójkątnym kształcie. Podeszła bliżej. Nachylił się, by wyszorować twarz. Z wody wystawała dolna część pleców, obręcz kończyny dolnej o kształcie litery V zwężająca się do mięśni pośladkowych, średniego i wielkiego, które schodziły pod zieloną wodę, tworząc wybrzuszenie pośladków.

Nikodemus zanurzył się, znikając pod powierzchnią. Francesca nie poczuła napływu pożądania, żadnego zakłopotania ani nawet zaniepokojenia o podłożu seksualnym. Był młodym, zdrowym mężczyzną, okazem anatomicznym, pięknym dla jej duszy, takim samym jak piękno jasnej gwiazdy czy splatających się prądów płynącej rzeki.

Wynurzył się z wody i zaczął płynąć. Jego długie nogi wynurzały się co chwilę, demonstrując równoległe ułożenie mięśni czworogłowych.

- Nikodemus - zawołała Francesca. Mężczyzna błyskawicznie przyspieszył, rozpryskując wodę i kierując się do drugiego brzegu.

- Nikodemus, to tylko ja!

Zatrzymał się w plamie głębokiego cienia z jedną dłonią na piersi, gotów zerwać jakiś chtoniczny tekst bojowy i jeśli światło pozwoli, rozbić ją na miazgę.

Ignorując jego zachowanie, Francesca zaczęła schodzić nad wodę. Gdy znowu na niego popatrzyła, Nikodemus ze złością przyciskał dłoń do policzka. Jego usta poruszały się, jednak wątpiła, by mówił coś pochlebnego na jej temat.

Jego spodnie leżały rozłożone na pobliskim glazie. Popatrzyła na niego i gestem zaprosiła, by podszedł bliżej. Zmarszczył czoło, ale zanurzył się i podpłynął do niej całkiem przyzwoitą żabką. Uformowała zdanie:

Dasz radę chwilę ze mną korespondować? Jednak gdy ziote zdanie poszybowało w jego stronę, Nikodemus uchylił się, by go nie dotknęło. Czar przeleciał do połowy pasa wody, po czym opadł pod jej powierzchnię i zniknął w głębinie. Francesca popatrzyła na mężczyznę, a on pokręcił głową. O co chodzi?, napisała i rzuciła. Jednak znowu uniknął jej pytania.

- Nikodemus! - zbesztła go głośno. - Proszę...

- Popatrzył na nią i znowu potrząsnął głową. - Jestem głucha. - Popatrzyła mu prosto w oczy.

Jego twarz złagodniała. Wzruszył ramionami. Machnął dłonią w geście zaproszenia.

Czemu tak bardzo boisz się pisania?, uformowała zdanie i rzuciła w jego stronę.

Tym razem je złapał. Jego runy natychmiast zaczęły się przestawiać. Nawet nie próbował go przetłumaczyć, tylko popatrzy! na nią z wyrazem twarzy pełnym wstydu i bólu.

Dlatego - odpowiedział językiem gestów, trzymając zupełnie bezsensowne zdanie.

Nagle złoty tekst rozpadł się na kawałki i Francesca zrozumiała. Jego kakografia. Mógł ją uczynić potężnie niszczącą lub spowolnić jej działanie, ale nie potrafił jej zatrzymać.

- Spróbuj! - powiedziała na głos. Pokręcił głową.

- Proszę. Spróbuj. Przecież ogłuchłam. - Rozłożył ręce w bezradnym geście. - Aaaach! - jęknęła. - No spróbuj! - powtórzyła, po czym rozejrzała się wokół za czymś, czym mogłaby go nakłonić. Jej spojrzenie padło na rozłożone na kamieniu spodnie. Obejrzała się na Nikodemusa w chwili, gdy on spojrzał na nią. Uśmiechnęła się szeroko. Poruszył ustami, wyraźnie mówiąc:

- Nie...

Ale ona już się zerwała, przeskakując kamienie. W końcu zgarnęła jego spodnie. Był tylko kilka kroków od niej, ale nie mógł jej złapać, nie wywołując klątwy rakowej. Zwinnie wspięła się na zacienioną gałąź, chichocząc łobuzersko.

Nikodemus wciąż stał po pas w wodzie. Jego usta poruszały się szybko. Francesca oddałaby roczną wypłatę, by dowiedzieć się, co mówił. Zdołała opanować śmiech na tyle, by wykrzyknąć:

- Spróbuj! - Wyglądał, jakby dalej kłął, więc krzyknęła ponownie. - Spróbuj! - Tylko na nią popatrzył. - Spróbuj albo przyjdź po nie. - Figlarnie pomachała jego spodniami.

Posiał jej groźne spojrzenie. Musiała się bardzo starać, by powstrzymać śmiech. Patrzył na nią gniewnie jeszcze chwilę, ale w końcu napisał krótki złoty czar i rzucił w jej stronę.

Przetłumaczyła go radośnie na: Nienawodze cie, po czym znowu wybuchnęła śmiechem i odpisała:

Pewnie mówisz to wszystkim dziewczynom, które zostawiają cię nagiego w jeziorze.>

Nikodemus musiał się pospieszyć, by przetłumaczyć wiadomość, zanim się zdysczarowała. Nawet przy jego pełnym skupieniu tekst rozpadł się w złoty pył. W końcu rzucił jej: Prubowylem. Oddej moje spodnie.

Miała dość rozsądku, by nie naśmiewać się z jego błędów... przynajmniej na razie.

Wcale nie jest tak źle, prawda?, napisała do niego.

Owszym, jezd!

Obiecuj, że będziesz pisał dalej.

NIE!

Inaczej nie dostaniesz swoich spodni.

Nienawidzeni ciem.

Znowu zachichotała i właśnie miała odpowiedzieć, gdy Nikodemus spojrzał do góry. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła coś, co w pierwszej chwili wzięła za wielką białą mewę. Potem jednak rozpoznała długie, wąskie linie obiektu. Obiektu, którym musiała być „Lanca Królowej”. Przemknęła w górze, lecąc wprost do ich starego obozu. Francesca spojrzała na Nikodemusa, ale ten już wychodził z wody.

Była lekarką, ale też bardzo ciekawską kobietą. Gdyby Nikodemus był jakimkolwiek innym mężczyzną, spojrzałaby na jego penisa być może tylko przez krótką, dyskretną chwilę. Jednak z powodu kłopotów, na jakieś naraziła go do tej pory, odwróciła wzrok. Biorąc pod uwagę, że przez dłuższą chwilę mężczyzna stał w zimnej wodzie, prawdopodobnie pozbawiła się tym samym powodu do żartów, które drażniłyby go przez następne sto lat.

Gdy Nikodemus dotarł na grań, wyciągnęła do niego rękę ze spodniami. Jednak on zerwał ze skóry lewej ręki jakiś czar i niespodziewanie rzucił go z bekhendu. Próbowwała uskoczyć, ale odkryła, że została związana czarem. Najwyraźniej panujący w tym miejscu cień był dość głęboki, by jego czary mogły działać.

Spodnie przeleciały do dłoni Nikodemusa. Nawet na nią nie spojrzał. Ubrał się i pobiegł w stronę obozu. Chwilę później więzy Franceski puściły. Pobiegła za nim, wciąż zanosząc się śmiechem.

Francesca zawsze myślała o statkach powietrznych jak o latających łodziach. Wyobrażała sobie hierofantów uganiających się po nich niczym żeglarze - podciągających fały i poprawiających ustawienie żagli. Przekonanie to zostało wzmocnione przez nieliczne statki powietrzne, których dokowanie obserwowała. Widziała załogi schodzące z pojazdów, przygotowujące się do złożenia olbrzymich konstrukcji w wielkie sterty tkaniny.

Jednak gdy korzystając z pomocy magistra Shannona w tłumaczeniu numenosowych zdań, przedstawiła Cyrusowi swoją koncepcję statków powietrznych, ten roześmiał się tylko.

- Gdy już się wzbijemy - powiedział - „Lanca Królowej” będzie bardzo odmienna.

Francesca przyglądała się, jak rzuca w jej szaty hierofanckie czary, by wpleść ich bawełniane nitki w jedwab statku powietrznego. Zakładając jej turban oraz chustę,

korzystając z pośrednictwa Shannona, Cyrus wyjaśnił, że o ile okręt powietrzny nie leci bardzo powoli, piloci nie chodzą po nim, ale noszą go jak ubranie.

Francesca nie zrozumiała. „Lanca Królowej” wyglądała tak jak zawsze: sześciokątny kadłub z wąskimi skrzydłami. Teraz została wszyta w kadłub ciasno jak guzik, ale to jeszcze nie czyniło ze statku odzienia.

Gdy wyruszyli, Francesca odkryła, że statek powietrzny może się składać wokół niej niczym olbrzymie, nawiedzone przez demona prześcieradło, rzucając nią przez powietrze z taką prędkością, że miała wrażenie, jakby jej narządy wewnętrzne zostały zmiażdżone na papkę. Mało przy tym nie wypluła płuc, krzyząc wniebogłosy.

Na szczęście gdy „Lanca Królowej” wzniosła się na tyle wysoko, że Francesca widziała ocean na zachodzie, okręt zmienił konformację, stając się wielkim skrzydłem, szerszym od dwóch placów targowych. Kleryczka, która już przestała krzyżeć, została wpleciona w statek twarzą w dół. Spoglądając do góry, przekonała się, że zostawiono jej trochę wolnej przestrzeni, umożliwiając podniesienie głowy nad górną powierzchnię. Zdumiał ją fakt, że cały okręt stał się cienki jak kartka papieru.

W dole - pod prawie dwoma tysiącami metrów płynnego powietrza - rozciągała się sawanna. Do tej pory Francesca przyciskała ręce do piersi, teraz jednak zwiesiła je luźno na wietrze.

Spojrzała do przodu, w kierunku Cyrusa i pozostałych pilotów. Ich otoczone tkaniną postacie poruszały się w skrzydle. Byli teraz zawieszani w magicznym języku, co pozwalało im pływać przez tkane nici jak ryby w wodzie.

Oglądając się w prawo, ku swemu zaskoczeniu, Francesca zobaczyła zawieszzonego pół metra od siebie bardzo grubego hierofantę. Gdy pojęła swój błąd, roześmiała się. Zabranie Nikodemusa na okręt powietrzny okazało się trudniejsze, niż się spodziewali. Gdy tylko jego skóra dotknęła statku, pobliski tekst zostawał zdysczarowafy i wypadał z jedwabiu. Aby nie dopuścić do tego, by stało się to w powietrzu, Cyrus i Izem owinęli Nikodemusa taką ilością tkaniny, że zaczął przypominać olbrzymie dziecko opatulone przez nadmiernie ostrożną boginię macierzyństwa.

Francesca, uśmiechając się pod nosem, napisała Nikodemusowi wiadomość: Wiem, że czułeś się niezręcznie, gdy zobaczyłam cię nagiego nad jeziorem, ale czy nie sądzisz, że teraz trochę przesadziłeś? Cyrus nie wzięił palców prawej ręki kakografa, by ten mógł uwolnić się w razie niebezpieczeństwa. Młodzieniec przyjął nimi zdanie od Franceski i przetłumaczył je. Po chwili oddał jej zdanie. Zastanawiając się, czy napisał nową wiadomość, kleryczka sięgnęła po tekst, jednak ten się zdysczarował i rozpadł na kawałki. Gwałtownie cofnęła rękę,

krzyżąc z zaskoczenia. Gdy znowu na niego spojrziała, Nikodemus przechylił głowę do przodu, by mógł na nią patrzeć. Choć widziała tylko jego oczy, rozpoznała w nich irytację. Napisała zdanie, przetłumaczyła je i podała mu: Jesteś dziecinny i bezczelny!

Delikatnie dotknął tekstu, który rozpadł się po drodze. Fragmenty „cinny”, „i” oraz „bezczelny” zdysczarowały się i wypadły ze zdania, zostawiając zmodyfikowaną wersję, która została odbita do Franceski:

Jesteś dzielny!

Prychnęła i odrzuciła tekst.

Nikodemus podał jej nowe zdanie: Przestać, zaczynam się czerwienić.

Masz bardzo wysokie mniemanie o sobie, napisała do niego. i y to napisał.

Zdysczarowałeś to, co napisałam.

Usunąłem tylko litery, które przypadkiem tam dorzuciłaś.

Nie zachowuj się jak debil!

To jak prosić cię, żebyś nie była zarozómią.

Zarozumią.

Cóż za ironia.

Co jest takie ironiczne?

Właśnie byłaś zarozómią.

Zarozumią!

Nawet nie zdajesz sobie sprawy z własnej zarozómiłości.

NA PŁONĄCE NIEBiosa, to zarozómiłość!

Brzmi tak samo jak „ó”.

Dźwięki i tak już dla mnie nie istnieją.

W takim razie, czemu, na niebios, mnie poprawiasz?

Tego nie można tak napisać.

Tego nie można tak wymawiać.

Słowa nie są dźwiękami. Rozumiem słowa, choć nie rozumiem dźwięku.

Słowa nie są pisownią. Rozumiem słowa, choć nie rozumiem pisowni. i

Pytając patrzył jej w oczy. Napisała odpowiedź:

Uważasz się za miłego.

Nikodemus opuścił głowę, a jego pierś zadrżała ze śmiechu. Francesca przewróciła oczami, ale tego nie zauważył. W końcu podał jej odpowiedź:

Milego dla kogo? Dla bandy koboldów? Nie wiem, czy znalazłiś jakieś informacje o ich kobietach, ale wiedz, że brakuje mi tylko czterech piersi, by moi uczniowie uznali mnie za niezły okaz.

Czterech?! - rzuciła do niego. Nie odpowiedział, więc przez chwilę zagryzała ukryte pod chustą wargi, po czym napisała: Niektórzy ludzie rodzą się z trzecią brodawką, zawsze znajdującą się w tej samej linii pionowej, co dwie zwykłe. Czasem pod tą brodawką znajduje się nawet tkanka sutka. Właściwie każdy pieprzyk albo czarna plamka, którą znajdziesz na tej samej linii pionowej, co sutki - całą drogę w dół, aż do miednicy - to prawdopodobnie niedorozwinięta trzecia brodawka sutkowa.

Nikodemus przetłumaczył akapit, choć tekst rozpadł się, zanim skończył. Popatrzył na nią wzrokiem, w którym dostrzegła zawstydzenie. Poczula się trochę głupio. To chyba nie był najlepszy moment na przytaczanie anatomicznych ciekawostek. Czy w ostatnim zdaniu, którego nie zdążył przetłumaczyć, było coś, co naprawdę musiał wiedzieć? Oczywiście, że tak. Ponownie mu je podała: Każdy pieprzyk, który znajdziesz poniżej brodawek, to prawdopodobnie nieukończona trzecia brodawka sutka.

Po chwili podał jej zdanie: Powiniśmy szukać Sawanowego Potwora.

Spojrzała w dół, na rozciągające się po horyzont morze trawy. Podała mu odpowiedź: Powiedziałeś, że bestia podąży do oazy.

Wszystkie żywe stworzenia na sawannie muszą znaleźć wodę. Chwilę później dodał: Nie lubię z tobą korespondować.

Dlaczego?, Francesca poczuła się dotknięta.

Nie chcę ci pokazywać moich bédów.

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od skomentowania tego, jak napisał ostatni wyraz. Zamiast tego wysiała mu uprzejmą odpowiedź:

Nie robisz ich tak wiele.

Nieładnie jest okamywać niepełnosprawnego.

Dobrze, już dobrze! Przepraszam!

Wstydzę się popełniać bédy przy ładnej kobiecie.

Nie jest miło, gdy ktoś okłamuje przeciętną kobietę.

Nie kłamię.

Skąd miałbyś to wiedzieć? Ostatnią dekadę spędziłeś z koboldami.

Więc nie masz czterech piersi?

Francesca westchnęła z irytacją, choć uśmiechała się pod nosem.

Znowu jesteś dziecinny i bezczelny.

Wyciągnął rękę, prawdopodobnie ponownie próbując zdysczarować jej zdanie w komplement. Ze śmiechem cofnęła dłoń. Jednak gdy dalej wyciągał rękę, przeszedł przez nią dreszcz na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby przypadkowo ją dotknął. Puściła zdanie, które odleciało porwane wiatrem.

Nikodemus musiał wyczuć jej strach, bo zabrał dłoń i z powrotem skupił się na sawannie. Francesca również obserwowała z uwagą ziemię pod nimi. Nagle dostrzegła ciemny krąg w trawie. Wokół niej rosły niskie, przysadziste dęby. Oaza?

Nikodemus podał jej zdanie: Potwór tedy przechodził.

Skąd wiesz?

Wskazał na coś. Ciało katabestii.

Wyteżyła wzrok. Faktycznie nad brzegiem wody leżało coś poszarpanego. Krzywiąc się, zrozumiała też, że woda wokół tego czegoś ma czerwoną barwę.

Nikodemus podał jej kolejny tekst: Powinno tu być mnóstwo likantropów albo przynajmniej mniejszych drapieżników. To prawdziwa uczta.

Potwór trzyma je na dystans?, spytała.

Trzymał je na dystans, blokując węch u każdego stwora w promieniu wielu kilometrów.

Skąd wiesz, że już go tam nie ma?

Widzisz tam nic?

Francesca zmarszczyła brwi, zanim odpowiedziała.

Jeśli masz zamiar znowu bawić się w kalambury, lepiej mnie odetnij.

Widzisz tam nic?, powtórzył Nikodemus. To znaczy, czy widzisz płamę ślepoty?

Teraz rozumiała. Gdyby potwór wciąż tam był, jakaś część oazy nie byłaby widoczna. Francesca nigdy jeszcze nie szukała ślepej plamki i zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle da się zobaczyć ślepotę. Podała Nikodemusowi zdanie:

Masz rację. Potwora tam nie ma.

Kieruje się do Zielonej Wody. Po podaniu jej tekstu Nikodemus popatrzył do przodu, a jego głowa poruszyła się, jakby coś krzyczało. Jeden z hierofantów ruszył w ich stronę.

Zielona Woda?, zapytała Francesca.

Zasilane źródłami oazy na północ stąd, wyjaśnił Nikodemus. Kiedyś byty to tereny szkoleniowe dla czarodziejów likantropów. Imperium je zniszczyło. Choć wciąż krąży tam metaczary.

W tej chwili Francesca zauważyła, że sunący w ich stronę pilot to Cyrus. Był odwrócony, tak że jego brzuch dotykał dna statku. Przemieszczał się przez jedwab, sięgając

do przodu i zatapiając palce w tkaninie, po czym podciągał się ręką. Zatrzymał się jakiś metr od Nikodemusa. Przez chwilę krzyczeli coś do siebie. Nikodemus wskazał na oazę i katabestię. Po chwili Cyrus zaczął oddalać się z powrotem w stronę dzioba statku. Okręt skręcił na północ.

Francesca podała Nikodemusowi pytanie:

Jesteś w stanie widzieć Sawannowego Potwora?

Tak, odpowiedział. Jego tekst dyszcza się, dotykając mojej skóry, więc nie działa za dobrze, dy dociera do mózgu. W najlepszym razie rozmywa obraz. Ale teraz, gdy znam jego imię, nawet to zawiodzie.

Jak on wygląda?

Jak człowiek.

Kłamstwo!, rzuciła w niego tak szybko, że upuścił słowo, które spadło ku ziemi. Właśnie miała opisać koszmarnego potwora, którego zobaczyła, gdy Nikodemus podał jej kolejny akapit:

Chddź dla mnie wygląda jak człowiek, jest półsmokiem, jest niezrozumiałym potworem. Może włączyć w swe ciało inne. Uczynić się półkoniem, a potem dołonczyć do niego ludzkie ręce. Albo gdy chce, wchodzi w ciało katabestii i dodaje dors swojego wyznawcy. Cokolwiek wymyśli, zawsze jest ponure, a on czni to jeszcze gorszym, zmieniając naszą percepcję. Ale pod tym wszystkim jego własne ciało należy do szczerbatego staruszka z plamistą skórą.

Francesca zaczęła się nad tym zastanawiać.

Kim był, zanim został tym czymś?, zapytała. I czy nadal jest człowiekiem, skoro jest też półsmokiem? Nikodemus nie odpowiedział. Rozmawia z tobą?

Intensewnie. Ale rzadko z sensem. Wszystkie jego słowa to rymowane bzdury.

Francesca zmarszczyła brwi.

Kiedy dochodziło do tych rozmów?

Ścieraliśmy się przez lata. On ma przewagę, gdy jest jaśniej i w mieście, gdzie może zrobić z ludzi swoich wyznawców. Z dala od miasta i w ciemności to ja mam przewagę.

Francesca przez chwilę patrzyła w oczy Nikodemusa. Znowu wydawały się opanowane. Miała przed sobą osobę, którą chciał być - obojętną, wyrachowaną, skupioną na jednym celu.

Znowu spojrzała w stronę sawanny. Nikodemus przestał pisać. Francesca zaczęła zastanawiać się nad własnymi ambicjami, nad pragnieniem zostania mistrzynią lekarską. Nagle do głowy przyszło jej pytanie:

Czytałeś kiedyś dla przyjemności?

Nigdy nie szło mi szybko, ale tak, czytałem, odpisał. Aż do czasu, gdy uciekłem ze Starhaven, zawsze miałem książkę pod łóżkiem.

Jakiego typu książki?

Nic szczególnego, odpowiedział po dłuższej chwili.

Wstydzisz się!, napisała z nieskrywaną satysfakcją.

Wcale nie.

Co to było? Iksońskie poematy erotyczne?

Romanse rycerskie, głównie z Lornu. Ale było też trochę spiryjskich autorów.

Żartujesz? Uwielbiam romanse rycerskie!

Co ci mówiłem o naśmiewaniu się z niepełnosprawnych?, zachnął się.

Mówię poważnie! Czytam je przy każdej możliwej okazji, czyli niestety niezbyt często. Kogo czytałeś?

Nikodemus patrzył na nią przez chwilę, po czym odpisał:

Robert DeRigby.

Uwielbiam DeRigby'ego!, rzuciła zdanie pełne ekscytacji. Choć czasami może być trochę przesadny i... stereotypowy. Co ci się podoba w jego tekstach?

Że są trochę przesadne i... stereotypowe.

Ironizujesz.

Próbuję być zrozumiały.

Francesca przez chwilę patrzyła w oczy Nikodemusa. Znowu wydawały się opanowane. Miała przed sobą osobę, którą chciał być - obojętną, wyrachowaną, skupioną na jednym celu.

Znowu spojrzała w stronę sawanny. Nikodemus przestał pisać. Francesca zaczęła zastanawiać się nad własnymi ambicjami, nad pragnieniem zostania mistrzynią lekarską. Nagle do głowy przyszło jej pytanie:

Czytałeś kiedyś dla przyjemności?

Nigdy nie szło mi szybko, ale tak, czytałem, odpisał. Aż do czasu, gdy uciekłem ze Starhaven, zawsze miałem książkę pod łóżkiem.

Jakiego typu książki?

Nic szczególnego, odpowiedział po dłuższej chwili.

Wstydzisz się!, napisała z nieskrywaną satysfakcją.

Wcale nie.

Co to było? Iksońskie poematy erotyczne?

Romanse rycerskie, głównie z Lornu. Ale było też trochę spiryjskich autorów.

Żartujesz? Uwielbiam romanse rycerskie!

Co ci mówiłem o naśmiewaniu się z niepełnosprawnych?, zachnął się.

Mówię poważnie! Czytam je przy każdej możliwej okazji, czyli niestety niezbyt często. Kogo czytałeś? *

Nikodemus patrzył na nią przez chwilę, po czym odpisał:

Robert DeRigby.

Uwielbiam DeRigby'ego!, rzuciła zdanie pełne ekscytacji. Choć czasami może być trochę przesadny i... stereotypowy. Co ci się podoba w jego tekstach?

Że są trochę przesadne i... stereotypowe.

Ironizujesz.

Próbuję być zrozumiała.

Nie odpuścisz, co?

Nikodemus popatrzył na nią niewinnym wzrokiem. Po chwili podał jej następne zdanie:

A czytałaś coś Isabelli Gawan?

To moja ULUBIONA autorka!

Wyglądał, jakby się roześmiał.

Choć bywa trochę rozwlekła i... moralizatorska.

Zwłaszcza gdy jest rozwlekła i... moralizatorska!

Jesteś pewna, że nigdy w północnej Spińi nie spotkałaś kobiety imieniem April?

Maśz na myśli swoją nauczycielkę z młodych lat? Już mnie o to pytałeś. Nie. Jestem tego pewna. Czemu?

Pokręcił głową.

Gawan była również jej ulubioną autorką. To dziwne. I twoje długie włosy. Ale to nieistotne.

Francesca nie wiedziała, jak na to zareagować, więc znowu spojrzała w dół, na sawannę: Minął może kwadrans, gdy napisała:

Co będzie, jeśli nie zdołamy odzyskać mojego słuchu?

Nikodemus przyglądał się jej uważnie przez dłuższą chwilę.

Przystosujesz się, odpisał.

Ale nie będę w stanie rozmawiać z pacjentami ani ich osłuchać. Nie będę już mogła by a lekarką. Znowu dłuższą chwilę uważnie się jej przyglądał, ale niczego nie napisał. Ta ułomność zniszczyłaby mnie.

W jego oczach pojawiło się współczucie.

Nie chcesz, żebym cię okłamywał, mówiąc, że to będzie łatwe.

NIE CHCĘ! Powiedz mi, że usuniemy moją ułomność, życie będzie płynęło mlekiem i miodem, a piękni młodzieńcy będą mi robić masaże stóp.

Jego chusta poruszyła się, jakby w uśmiechu, gdy odpisywał:

Z pewnością tak właśnie będzie.

A jednak kłamiesz.

Chyba znowu się roześmiał, ale teraz patrzył na nią z dziwnym zainteresowaniem.

Ułomność może zniszczyć część ciebie, ale część zostanie. To w tym, co zostanie, kryje siem siła. Francesca przeczytała to i popatrzyła na Nikodemusa. Było coś pięknego w prawdzie, którą odkrył. Ale zarazem coś strasznego. Popatrzyła w dół, na trawy, zastanawiając się, co zrobiłaby, by odzyskać słuch i wspomnienia. Sawanna w dole zaczynała się wznosić. Kleryczka wskazała na niskie skaliste wzgórza w pobliżu horyzontu. Nikodemus podał jej kolejne zdanie: Zielona Woda jest w tych wzgurzach. Już niedaleko.

Nie odpowiedziała, przyglądając się zbliżającym się wzniesieniom. Cyrus podlatywał do nich jeszcze dwukrotnie, by porozmawiać z Nikodemusem. Potem statek powietrzny wydłużył się i opadł w lot nurkowy. Powietrze zaczęło szybciej przemykać po twarzy Franceski.

Jakiś kwadrans później przelecieli nad wzgórzem i znaleźli się nad szeroką doliną, na dnie której rozciągała się Zielona Woda - długie, wąskie jezioro błyszczące w promieniach południowego słońca. Jego brzegi otaczały drzewa przypominające dęby, ale ich pnie miały średnicę blisko dwudziestu metrów. Za nimi rozciągała się dolina pokryta niską trawą z łąkami piasku.

Nagle Francesca się szarpnęła.

Stwórco, zlituj się...

Nikodemus obejrzał się na nią. Co widzisz?

Podziała mu tylko jedno słowo:

Nic!

Nikodemus próbował spać, czekając, aż zapadnie

Hierofanci zakotwiczyli „Lancę Królowej” do głazu na szczycie skalistego wzgórza i podzielili statek. Połowa tkaniny z całą załogą wylądowała na wzgórzu, podczas gdy druga część pozostała w powietrzu, unosząc się jak latawiec. W razie zagrożenia dla załogi mogli rzucić czar w górę liny i latająca połowa zużyłaby dość tekstu, by poderwać wszystkich w powietrze.

Załoga, wciąż powiązana ze statkiem jedwabnymi linami, urządziła prowizoryczny obóz. Użyli jedwabiu statku do wzniesienia krótkich, dwuosobowych namiotów i przygotowali posiłek złożony z podpłomyków, sera i wody.

Po zachodzie słońca Francesca usiadła koło Nikodemusa i podała mu zdanie. Przetłumaczył je szybko, ale i tak wprowadził kilka błędów: Lepiej wróć, bo nie będzie komu irotować mnie strasznie błędnymi wiadomościami.

Po chwili podał jej swój tekst: mrok. *a'!Djnr'VeWC;EsrioN*, a zaraz potem kolejny: Czy tyle błędów wystarczy ci do mojego powrotu?

Ze śmiechem rzuciła mu jego słowa z powrotem w twarz. Złapał się za oko, jakby właśnie mu je wybiła. Nie było to wyjątkowo śmieszne, ale roześmiała się głośno i nieco nerwowo.

Podziała mu pytanie:

A jeśli to pułapka? Pułapka z drugim smokiem?

Uratujesz mnie z niej.

Jak mam to zrobić?

Wzruszył ramionami.

Coś na pewno wymyślisz.

Przewróciła oczami. Horyzont stawał się coraz ciemniejszy. Francesca, wstając, nachyliła się lekko nad Nikodemusem, ale ten natychmiast się odsunął. W jej ciemnobrązowych oczach pojawiło się cierpienie. Serce mężczyzny ścisnęło się, jakby właśnie zniszczył coś wyjątkowo cennego. Jednak jej twarz za chwilę się odprężyła. Uważaj na siebie!

Nikodemus kiwnął głową i Francesca odeszła. Patrzył za nią i nie przestawał o niej myśleć: ojej figurze, długich brązowych włosach i bardzo ciemnych oczach.

Po chwili pojawił się Cyrus.

- Kiedy ruszasz? - spytał uprzejmie.

- Wkrótce.

- Zostaniemy tu do późnego ranka. Potem Izem musi wyruszyć do Daru i Lurrikary.

- Wrócę przed świtem albo wcale - powiedział Nikodemus, kiwając głową.

- Odzyskaj jej słuch.

Nikodemus podniósł wzrok i zobaczył skierowane na siebie ogniste oczy, spoglądające spomiędzy chusty i turbana.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał.

- Mogę iść z tobą? - zapytał Cyrus.

- Tylko byś przeszkadzał.

Cyrus milczał przez chwilę. Zrobił krok, jakby chciał odejść, ale zatrzymał się i powiedział cicho:

- Martwię się o nią w sposób, który trudno mi wytłumaczyć. Nigdy nie przestałem się o nią martwić i chciałbym, by była szczęśliwa.

Nikodemus kiwnął głową. Miał świadomość tego, że właśnie usłyszał coś na kształt deklaracji miłości.

- Rozumiem - zapewnił.

Cyrus spojrzał mu w oczy i oddalił się.

Kwadrans później na czarnym niebie rozbłysły gwiazdy. Świeciły z wyrazistością, jakiej Nikodemus doświadczył tylko podczas nocy na sawannie. Choć za dnia było ciepło, teraz temperatura szybko spadała.

W chwili, gdy Nikodemus wyruszył do Zielonej Wody, nad wzgórzami zawisnął sierp księżyca. Dzięki zdolności widzenia prążyka dostrzegał każde zagłębienie na ciemnej ziemi, oświetlane przez delikatny poblask mchów i krótkiej trawy. Nad jego głową przemykały nietoperze - niczym flary na tle krystalicznego nieba - polując na owady.

Gdy dotarł na szczyt ostatniego wzgórza dzielącego go od doliny, zatrzymał się, by sprawdzić swoje czary na skórze. Każdy jej centymetr pokrywał ostry chtoniczny język. Schodząc w dolinę, nie miał wątpliwości, że wkracza w pułapkę, choć nie wiedział i nie obchodziło go, kto był jej autorem - Sawannowy Potwór czy Tajfon. Demon lub półsmok mogli przygotować dla niego niespodziankę, ale on też miał coś dla nich.

Opuścił długie połączenie skał na szczytach wzgórz i zszedł na piaszczystą glebę, jeszcze ciepłą od dziennego słońca. W porównaniu z sawanną, pełną ptaków, gryzoni i dużych zwierząt, dolina była niemal jałowa - prążykiem jarzyły się tylko trawa i przysadziste dęby.

Rok temu czarodziej likantropów powiedział mu, że drzewa stanowią starożytne twory Chimery, będąc hybrydami roślin i zwierząt, i jako takie mogą tworzyć runy w magicznych językach likantropów. To właśnie te drzewa, oszalałe na skutek ataku starożytnego Imperium Neosolarnego, stworzyły okoliczne metaczary.

Nikodemus podejrzewał, że Sawannowy Potwór krył się pośród drzew, jednak na wszelki wypadek postanowił obejść jezioro szerokim łukiem. Mniej więcej w połowie drogi coś mocno uderzyło go w lewe ramię. Odruchowo zerwał z prawego biodra krótki czar tnący i wbił go w napastnika. Dziesięć tysięcy ostrych jak brzytwa zdań błyskawicznie owinęło się wokół dwuipółmetrowej postaci, która odskoczyła i padła na plecy.

Stwór, jęcząc, miotał się gwałtownie, szarpał i drżał, jakby jego kończyny przymocowane były na sprężynach. Nikodemus podszedł bliżej i zobaczył, że jego liczne tnące zdania owinęły się wokół głowy z pyskiem. Zobaczył otwartą paszczę z odciągniętymi w agonii wargami.

Duch likantropa.

Tnący czar Nikodemusa skurczył się i duch się rozpadł. Przypomniawszy sobie dziwne uczucie na ramieniu i zrozumiał, że stwór, nieświadomy zagrożenia, próbował go ugryźć. Kontakt z jego skórą zdysczarował konstrukt, pozwalając jego tnącemu tekstowi na zniszczenie ducha.

Nikodemus nie poczuł nic szczególnego. Miał jedynie wrażenie podniosłości chwili: zginęła inteligencja tekstowa, która musiała zostać napisana, zanim przez półwysep przetoczyły się legiony Imperium Neosolarnego. Miał nadzieję, że inne duchy nawiedzające dolinę widziały śmierć czaru i nie zaatakują go.

W ciemności rozległ się jakiś głos, powoli kształtujący słowa, a po nim gardłowy zgrzyt. Nikodemus popatrzył w stronę rzędu masywnych dębów i wody za nimi. Postacie poruszały się między pniami, niektóre na wszystkich czterech, inne tylko na dwóch tylnych nogach. Nawet w słabym świetle gwiazd ich duże czarne oczy lśniły niczym lustra. Naliczył dwanaście.

Umilkły. Jeden był wyraźnie większy od pozostałych. Jego nogi zginały się na zewnątrz, przez co szedł niezdarne, jakby był nadmiernie obciążony. Nikodemusowi stwór wydawał się rozmazany, jakby był pod wodą.

Sawannowy Potwór.

Tuzin stworów wokół niego to likantropy. A raczej były nimi kiedyś, zanim zainfekował je afazją, a potem zniszczył ich umysły, zmieniając w swoich wyznawców. Musiał złapać je, gdy porzucił ciało katabestii, używając go jako przynęty.

Nikodemusa wypełniła zimna determinacja. Likantropy będą groźne, ale tej nocy świecił tylko jeden księżyc, więc w ciemności mógł skorzystać z całej swojej sprawności w chtonicznych językach. Jego pierwszym odruchem był atak, ale w grę wchodziła jeszcze kwestia wspomnień i słuchu Franceski. Przez chłodne powietrze nocy dotarło do niego śpiewne bredzenie bestii. Nikodemus złożył ręce na piersi i czekał. Bełkot stawał się coraz głośniejszy.

-...dysczarowany Przemek przemówił... upośledzenie, wszystkiego zniszczenie, upośledzenie...

Nikoko, głupie dziecko, kaleka, kaleka. Kretyńska kaleka! - Zwykle bzdury. Nie było sensu odpowiadać. Czekał. Afazyjne likantropy chóralnie przyłączyły się do krzyków potwora, warcząc i szczekając nic nieznaczące słowa. - Mmatka moja. Ta druga. Druga. Jest tu po ciebie. Mooja matka. Połam nogi, wyssij śliski szpik.

- To było coś nowego. Potwór nigdy jeszcze nie wspominał o matce. Nikodemusowi robiło się zimno i zaczynał tracić cierpliwość. - Połam kości, wyssij krwiotwórców - bełkotał potwór. Likantropy poruszały się wokół niego powolnymi, chwiejnymi ruchami. - Połam nogi. Strzaskaj czaszki. Wyssij wszystko, ciepłe i śliskie. - Nikodemus poczuł falę zniesmaczenia. Jeśli bestia przygotowała pułapkę, powinien spróbować ją wyzwoić.

- Dość zebilnienia, końca tworzenia. Nikokokolamacz.

Nikodemus zerwał z przedramienia akapit ciasno upakowanych chtonicznych run. Chwycił go, tak jakby trzymał pióro. Ostrożnie skierował akapit w stronę jednego z likantropów i uwolnił zdanie ograniczające. Skompresowany akapit otworzył się gwałtownie, wyrzucając do przodu funkcjonalną końcówkę. Jasne jak promień, słońca zdania strzeliły przez noc i frazami ostrymi niczym igła wbiły się w tylną nogę likantropa. Być może stwór poczuł ukłucie, delikatne jak po ugryzieniu owada, jednak nie zareagował. Nigdy nie widział, by potwór lub jakiś jego wyznawca używał któregoś z chtonicznych języków, był więc pewien, że jego czary były niewidzialne dla przeciwnika.

Poza potworem w ciele wilka było tam jedenaście likantropów. Nikodemus zdjął z przedramienia jeszcze cztery skondensowane akapity i rzucił je na te najbardziej oddalone od Sawannowego Potwora. Gdyby jego cele dotknęły bestii, zdania zostałyby odczarowane.

Jednak nie martwi! się tym. Szybko zerwał z dołu pleców pięć wytatuowanych tam tekstów wybuchowych. Każdy połączył z jednym ze zdań naprowadzających. Wybrał jeden i rzucił go wprawnym ruchem nadgarstka. Tekst leciał wzdłuż zdania naprowadzającego przez trzy metry, a potem mały akapit pomocniczy wybuchnął z trzaskiem, wysyłając masę tekstu wzdłuż zdania wprost w kierunku celu. Rozkwitając stopioną prozą, tekst rozerwał likantropa na sto kawałków nie większych od kromki chleba. Chwilę później przez dolinę echem przetoczył się dźwięk eksplozji.

Likantropy drgnęły, po czym rozejrzały się zmieszane, niek wiedząc, co się właśnie stało. Nikodemus rzucił kolejny tekst wybuchowy. Podobnie jak pierwszy, czar pomknął wzdłuż zdania naprowadzającego i rozerwał cel na kawałki. Tym razem likantropy rzuciły się za osłonę drzew. Sawannowy Potwór warknął i kłapnął! na nie paszczą, ale sam wycofał się ich śladem.

Nikodemus chwycił trzy pozostałe unoszące się przed nim zdania naprowadzające i patrzył, jak tańczą w powietrzu niczym ryby na haczykach wędkarskich żyłek. Po chwili linie zatrzymały się, co uznał za znak, że likantropy znalazły sobie kryjówki.

Rzucił trzy pozostałe czary wybuchowe: drugi zaraz po pierwszym, trzeci dłuższą chwilę po drugim. Chciał pokazać, że się nie spieszy.

Zadziałało.

Trzy stwory wyłoniły się zza drzew, uciekając od niego w popłochu. Z pozostałych jeden chyba oszalał, bo warczał i kłapał paszczą na coś niewidocznego, przewracając się przy tym raz po raz.

Nikodemus skrzywił się, gdy zrozumiał. Stworzenie zostało zaatakowane przez ducha. Bez kakograficznej zdolności dysczarowania ducha likantrop wykrwawił się na śmierć, rozplątany przez niewidoczne szczęki.

Chwilę później drugi likantrop uległ podobnemu losowi. Trzeci zerwał się do szaleńczej ucieczki.

Nikodemus skupił wzrok na rozmazanym obrazie Sawannowego Potwora» Bestia została niemal bez wyznawców, w jakiś sposób jednak zdołała unikać duchów. Zaatakował ją dopiero przerażony i oszołomiony wilk. Potwór uderzył go uzbrojoną w ostre szpony łapą w głowę z dostateczną siłą, by ciszę nocy przerwał dźwięk pękającej czaszki.

Gdy uciekł ostatni z likantropów, Nikodemus został sam na sam z potworem. Gdy bestia znowu zaczęła bełkotać, mężczyzna krzyknął:

- Ja Amber!

Obraz potwora natychmiast stał się wyraźniejszy.

- Ja Amber - potwór wy dobył z siebie niski, żalony jęk. - Jaaa Amber. Ja... Jaaamber.

- Nikodemus czekał w bezruchu. - Złap mnie swym żelaznym językiem. Złapał, złapał. Przypali! mnie imieniem. Przypali!. Przyyypalil. - Obróci! się w stronę Nikodemusa. - Chcesz żelaznych rozmów, stalowych słów. Brudny, paskudny Nikodemus. Okrutny. Mów swe żelazne słowa i wytarżaj swą twarz w odchodach.

Nikodemus nie miał pojęcia, co to wszystko miało znaczyć. I nie obchodziło go to.

- Ja Amber! - zawołał ponownie.

- Jaaamber - zawył stwór boleśnie, jakby został do tego zmuszony. Jego ramiona opadły. Wydawał się zapadać w sobie, jakby wyczerpany, pokonany. Potem nagle jego głowa się podniosła, jakby węszyć! w powietrzu. Rozdęte ciało podeszło do jednego ze swoich powalonych towarzyszy. Ożywiony trup szeroko rozwarł szczęki, a z jego paszczy wyłoniła

się gładka ludzka głowa, ramiona. Mężczyzna pokryty był gęstym śluzem, być może śliną. - Zawsze głodny na wszystkie sposoby. Taki głodny.

Z paszczy wysunęło się śliskie ramię, podciągając trupa bliżej, by za chwilę głośno wgryźć się w jego ciało.

- Ja Amber! - Nikodemus nie ustępował.

Ciało mężczyzny wsunęło się z powrotem do paszczy likantropa niczym długi, wielki język. Potwór cofnął się na tylnych nogach.

- Strasz szczury! - ryknął. - Strasz szczury i nie zwracaj mi głowy, dość twej żelaznej mowy, prawie diamentowego umysłu. Wepchnij sobie w oczy pełno łajna. Wepchnij sobie...

Nikodemus rzucił zdanie namierzające na korpus obok potwora. Jednym płynnym ruchem wysłał za nim czar wybuchowy. Ciało eksplodowało falą uderzeniową pełną krwi i kości, powalając bestię na bok.

- Słuchaj, Ja Amber! - krzyknął Nikodemus. Potwór podniósł się na nogi i rzucił biegiem wprost na niego. Mężczyzna sięgnął za głowę i położył dłoń na swoim najpotężniejszym tekście bojowym. Sawannowy Potwór zatrzymał się trzy metry przed nim i przykucnął. - W moim obozie była kobieta - odezwał się Nikodemus. - Mag i uzdrowicielka. Ukradłeś jej wspomnienia i zdolność słyszenia.

- Nienienienie! - Stwór pokręcił głową.

- Owszem.

- Ona nie miała żadnych wspomnień do kradnięcia. I żażażadnego dźwięku w uchu do słyszenia. Ona nie miała...

- Przestań. - Potwór się skulił. - Co jej zrobiłeś?

- Miałem cię złapać w świetle dnia, sprowadzić z powrotem, żeby szmaragd rozbłysł i ukończył diamentowy umysł. Ale chciałem ją poznać, poczuć ją, poooooczuć to, czym jest. Tylko to piekło, paliło jak lód. Ona to ma. Ona ma to wszystko.

- Co wszystko?

- Diamentowy umysł. Diaaamentowy uuumysł - zawodziła bestia.

Nikodemus postąpił krok, a potwór jeszcze bardziej skulił się w sobie.

- Mów z sensem, do diaska! Co ona ma?

Potwór zaczął się trząść.

- Demon nie wiedział, że zdołam ją złapać. Nie miała żadnych wspomnień do wykradnięcia, żadnego słuchu.

Nikodemus odetchnął głęboko.

- Czy to ma jakiś związek z tym, jak jasno świeci jej prąjęzyk?

- A teraz do miasta przybyła druga, prosto od matki. - Kiwnął głową. - Naszej matki. Ona jest tym, czego chciała matka.

- Drugi smok?

Stwór zadrżał i cofnął się odrobinę.

- Gorszy, niż myślisz. Dużo, dużo gorszy. Mają umysły nie tak brudne, jak ty i ja. Ja mam. Ich umysły są jak kryształ. Kryształowy umysł.

- Czyj?

- Demonów. Smoków. Umysły demonów jak diamenty. - Potwór potrząsnął głową.

- Mów z sensem, do diaska! - krzyknął zniecierpliwiony Nikodemus.

- Ich umysły nie są płodne, nie są brudne, nie są żyzne.

- Możesz przywrócić wspomnienia i słuch Franceski?

- Nienienie. Nigdy. Nigdy ich tam nie było.

- A jak znalazłeś nasz obóz w sekwojowym lesie, skoro tak długo udało nam się tam ukrywać?

Paszczka likantropa ponownie się otworzyła, odsłaniając ukrytą wewnątrz śliską twarz człowieka.

- Tajfon dał mi Deedee, żeby zaspokoić głód. Zawsze na wszystkie sposoby tak głodny, a mieliśmy ją w gardle i wiedzieliśmy gdzie jest arka.

- Zjadłeś ciało Deirdre? - Nikodemus poczuł, że mdli go ze złości. Trzęsły mu się ręce. Potwór też zadygotał, ale z oczywistej rozkoszy. - A arka Boann? Co z nią zrobiłeś?

- Rozbiłem ją i wyssałem diamentowy umysł ze środka. Jakie ostre wrażenie w trzewiach.

- Zamordowałeś Boann?

- Ostre wrażenie w brzuchu. - Potwór urwał, po czym otworzył paszczę likantropa, tak żeby mogła się z niej wyłonić ludzka głowa. Po wytarciu śliny z oczu człowiek zwany Ja Amber zlustrował Nikodemusa z góry na dół. Jego starcza twarz była pomarszczona i pokryta plamami, włosy miał przerzedzone i krótkie, ale jego oczy... Oczy miał jasnozielone. - Oni chcą swych diamentowych umysłów - powoli powiedział Ja Amber. - Szmaragdu, żeby przytknąć go do ciebie i zmienić mnie w smoka o diamentowym umyśle. - Jego głos stał się spokojny i opanowany. - Mam płodny umysł, cuchnący, brudny, brudny umysł. Chcą, żeby to skończyć na zawsze, żadnych więcej błędów.

- Kto?

- Demony i Los, pierwszy demon. Chcą, żeby nie było więcej pomyłek w prąjczyku. Chcą, żeby Cicha Śnieć spadła na wszystko.

- Opowiedz mi o Cichej Śnieci - powiedział Nikodemus.

- To żelazna mowa w prajęzyku. - Potwór kiwnął głową. - Żadnych bzdur, żadnych błędów w języku. Nigdy więcej. Zmuszą cię do mówienia według zasad. Tylko... język jak lód. - Nikodemus potrząsnął głową.

- Chciałem cię w moim brzuchu, żeby zwolnić ból, żebym mógł wysać język z twojego umysłu - mówił dalej potwór. - A potem znalazłem kobietę bez pamięci. Wiedziałem, że Tajfon uczyni mój umysł krystalicznie czystym, jak jej. Tego właśnie chcieli w Starhaven.

- Starhaven? - Nikodemus zamrugał. Potwór przytaknął. ‘

- Sstarhaven, gdzie piszą jak żelazo, gdzie byłem jak ty, zanim ty stałeś się mną.

- Nie jestem tobą - zaproponował gwałtownie Nikodemus.

- Purpurowa proza, fioletowa przemoc. TVvoje tatuaże. Gdybym nie znał kłamstwa żelaza, też mógłbym je mieć. Nauczyłem się chthonicznych słów ducha. Chcieli, żebym został, ale ja uciekłem i uczyłem się. I odszedłem. Urodzony długo przed tobą, jestem twoją kołysanką, kosinusem, kakograficznym kuzynem.

- Potwór urwał i po chwili znowu przemówił wyraźnie i rzeczowo: - Znam prajęzyk. Wiem, czym naprawdę jest kakografia.

Nikodemus cofnął się o krok, nagle kojarząc fakty.

- Ja Amber - wyszeptał. - Kiedyś inaczej wymawiano twoje imię.

- Jaaaamber - jęknął stwór. - Jamber. Jams Berr.

- James Berr - powiedział powoli Nikodemus.

- James Berr - powtórzył potwór. - Kiedyś, dawno, dawno temu James Berr.

- Najbardziej znieawidzony kakograf w historii - wyszeptał Nikodemus, patrząc w zielone oczy. - Nie zginąłeś trzy wieki temu, gdy uciekłeś na sawannę.

James Berr potrząsnął głową.

- Mieszałem prajęzyk na wszystkie strony. Zmieniłem życie w bełkot. Nauczyłem się wślizgiwać i wyślizgiwać ze zwierząt, mieszać je. Nauczyłem się doprowadzać ludzi do szaleństwa bełkotem.

- Bełkot to twój dialekt prajęzyka.

- języki spaskudzone.

- Od setek lat to ty byłeś Sawannowym Potworem. - Nikodemusowi ciężko było w to wszystko uwierzyć.

- Aż Tajfon z diamentowym umysłem mnie oswoił, zmusił do mieszkania w mieście, wtłoczył w mój umysł żelazny język. Zrobił ze mnie półsmoka, żebym mógł niszczyć język w innych. - Potwór zadygotał. - Słowa, słowa, słowa! Musi i kusi, i wypełnia moje serce

słowami, słowami, słowami, jak kurwę. - Jego głos zmienił się, jakby kogoś naśladował: - Zabierzemy ci to, James, zabierzemy! Zniszczymy cię, Nikodemusie. Twój umysł musi być jak lód albo nie będzie go wcale. Wcisnęli we mnie swój język, a ja skorzystałem na tym, przeklinając ich w ich własnym języku, przeklinając ich mechaniczne umysły.

Nikodemus przełknął ślinę.

- Te setki lat temu, gdy byłeś studentem w Starhaven, i tamci magowie zginęli od dysczaru, czy to był wypadek? Twój błąd?

- Same błędy, ale to nie błąd. - Potwór roześmiał się przenikliwie. - Czerwona plaga dysczarów. Moje klątwy wypaliły ich na papkę. Zawsze powinni cierpieć i ginąć za wymuszanie czegoś na moim umyśle.

- Jesteś potworem - wyszeptał Nikodemus.

Berr uśmiechnął się do niego. Jego zielone oczy cesarskiej linii błyszcząły jasno.

- Jesteś taki jak ja, kuzynie* Mamy tak samo brudne umysły. Przez nas psują się ich zasady. Psują ich zasady. Gniją psują...

- Nie jestem taki jak ty! - krzyknął Nikodemus.

Berr uśmiechnął się i podszedł bliżej, nucąc:

- Kuzyn, kosinus, kuuuuzyn. Nienawiść dla żelaznego języka, diamentowych umysłów. Musisz mnie uwolnić od Tajfona.

- Uwolnić cię? Przecież jesteś jego półsmokiem!

- Jego niewolnikiem - poprawił go Berr, krzywiąc się. - Jeśli ten szmaragd cię dotknie, skryształizuje mój umysł, zrobi z niego kratownicę. Stanę się niezdolny do robienia błędów, niezdolny do pomyłek. Musisz mnie uwolnić, zanim demon wpadnie na to, by zmusić mnie do złapania drugiego. Gdy będę miał umysł czysty jak diament, przekroczę ocean i przybędą tu demony. Dysjunkcja sprawi, że nikt nie będzie w stanie popełniać błędów i dysczarować.

Nikodemus cofnął się o kolejny krok.

- Myślałem, że Dysjunkcja pozbawi język znaczenia, czyniąc go chaotycznym.

- Odwrotnie, kakografie. - Berr pokręcił wielką głową wilka i roześmiał się. - Nic nie znaczy język bez błędów, bez cuchnącego, gnijącego chaosu. Idealny porządek sprawia, że staje się opisowy, staje się niewolnikiem natury. TWórczy chaos czyni go normatywnym? tworzącym naturę. Gdy wszystkie języki staną się idealne, życie kochające zgniliznę wyczerpie się i pozostaną tylko diamentowe umysły. Prajęzyk potrzebuje błędzącego umysłu, pomyłek, potworów i wojny, obscenicznych słów, by znaleźć to najlepsze, najtłustsze.

- Mówisz prawdę?

Berr kiwnął głową likantropa i popatrzył na swoje potężne ciało.

- Twój dotyk zmieniłby to wilcze ciało w nekrotycznego raka. Gdybym to ja dotknął ciebie w tym ciele, przegniłbyś je na nicość. - Ciało likantropa zadławiło się i zwymiotowało śliskie ludzkie ciało Berra. Gdy nagi mężczyzna wstał, ciało likantropa padło, wijąc się przez chwilę w konwulsjach. W końcu znieruchomiało. Nikodemus wyciągnął z pleców swój najpotężniejszy tekst bojowy. Runy w kolorze indygo i fioletu wyskoczyły z jego skóry, tworząc ostre akapity zazębiające się ze sobą w długi miecz pełen roztańczonych jak płomień kolców. Skierował ostrze na Berra, ale groteskowy mężczyzna tylko się uśmiechnął. - Jestem starszym kalografem - powiedział spokojnym głosem. - Wszystko, co napiszesz, zdysczaruje się na mojej skórze.

Nikodemus znowu cofnął się o krok.

- Zabiłem twoich wyznawców, a ty nie zdysczarowałaś moich tekstów - zauważył.

- Chciałem tego. - Berr uśmiechnął się szerzej. - Jak inaczej moglibyśmy znaleźć się tak blisko siebie? Jak inaczej mógłbym ci tak wiele powiedzieć? - Postąpi! krok do przodu. - Musisz mnie uwolnić, zanim mój umysł stanie się jak diament. Musisz być jak ja, potężny w brudnym, płodnym umyśle. Musisz to zrobić teraz, by powstrzymać demona.

- Prędzej spłonę na wszystkich poziomach piekła. - Nikodemus zrobił kolejny krok do tyłu.

- Wmuszają cię w żelazną mowę. Jeśli będziesz walczył z demonem, staniesz się demonem. Myślisz, że chcesz szmaragdu, krystalicznego umysłu, jednak musisz być oryginalny, jak oryginalne są potwory. Uwolniłem cię, a teraz ty musisz uwolnić mnie. Uwolnij mnie!

- Jeszcze jeden krok, a uwolnię twój kark od ciężaru tego ohydneho łba! - wrzasnął Nikodemus, ale Berr szedł prosto na niego.

Mężczyzna pchnął tekstowym mieczem w jego pierś, jednak w chwili, gdy broń dotknęła Sawannowego Potwora, tekstowe ostrze się rozpadło. Nikodemus zaczął odrywać z przedramienia czar wybuchowy, ale Berr złapał go i tekst również rozpadł się na strzępy.

Wszystkie teksty napisane na ciele Nikodemusa spłynęły niczym strumieniem wody, rozpryskując się w nicość.

- Jestem starszym kalografem - oświadczył Berr śpiewnym tonem. - Musisz ze mną pójść. Nie możesz walczyć z demonem, nie stając się demonem. Brudny umysł to jedyna nadzieja na ucieczkę przed diamentowym umysłem, na ucieczkę przed Dysjunkcją.

- Nikodemus zamarł i popatrzył w oczy, które miały dokładnie ten sam kolor, co jego własne. Berr złapał go za rękę. Był pierwszym człowiekiem od dziesięciu lat, który dotknął go i nie zainfekował się chorobą. - Teraz już wszystko rozumiesz. - Berr kiwnął głową. -

Pokażę ci. Będziemy wolni. Nie staniemy się demonami. Uciekniemy przed Cichą Śniecią i Dysjunkcją. - Nikodemus patrzył w oczy wiekowego kuzyna. Przez jego ciało przetoczyła się gwałtowna panika i zimna pewność, jak gorączka i chłód choroby. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje, ale poczuł ulgę: to przeznaczenie, nie ma przed tym ucieczki. - Jestem starszym kakografie - cicho powtórzył Berr, odsłaniając ostre zęby.

Zęby, którymi pożarł Deirdre.

W Nikodemusie na tę myśl rozpalił się tak gorący żar, że świat wokół stał się nierealny. Z całą siłą i furią uderzył pięścią w usta starucha. Głowa Berra odskoczyła do tyłu. Nikodemus złapał go za ramiona i pociągnął w dół, wbijając kolano w żołądek kuzyna. James stęknął i padł na ziemię.

- Jestem młodszym kakografem! - warknął Nikodemus. Był silniejszy, szybszy i bardziej pobudzony nienawiścią. Padł na mężczyznę, przyciskając go kolanem do ziemi, i wyprowadził kilka silnych uderzeń w usta kuzyna.

James opierał się przez jakieś pierwsze dwadzieścia ciosów. Potem całą jego twarz pokryła rozbryzgana krew, jego nos przekrzywił się nienaturalnie, a ręce i nogi poruszały się słabo i bezwładnie.

Krzyk Nikodemusa brzmiał niczym długie bezsłowne skowyty, które narastały i opadały jak tajemniczy śpiew. Oczy mężczyzny wypełniły się łzami. Wciąż macha! rękami, uderzając w twarz Berra z prawej, potem z lewej, z prawej i z lewej. W końcu złapał leżący w pobliżu kamień i cisnął nim z całych sił w twarz kuzyna. Poczul, jak cios wybija ząb. Uderzył ponownie i wypadły kolejne. Walnął kamieniem w skroń nad okiem Berra, roztrzaskując kość pod skórą.

Zadawał razy już niemal na oślep - jego łzy i krew przemieniły świat w rozlaną plamę. Jednak uderzał kamieniem raz za razem, trafiając w gardło, pierś, ramię, łamiąc obojczyk. Wył i wymierzał kolejne razy tak długo, aż zabrakło mu tchu, a świat zawirował.

Wtedy upadł na dłonie i kolana, dławiąc się. Spróbował zwymiotować, ale nie potrafił. Desperacko wciągał krótkie hausty powietrza. Znowu odruch wymiotny. Tym razem pozbył się porcji kwasów żołądkowych.

Płakał. Płakał jak dziecko. Przycisnął twarz do ziemi sklezionej łzami, krwią i potem. Przez otwarte usta wciągał długie porcje powietrza wraz ze źdźbłami trawy i piaskiem. Wciąż łkając, powoli opanowywał oddech.

W końcu świat przestał się kręcić. Nikodemus starł z twarzy krew i łzy. Zobaczył Jamesa Berra, z twarzą zmiażdżoną w koszmarną papkę. Jedno oko wypadło z rozbitego oczodołu.

Ale Berr wciąż oddychał.

Nie czując już zupełnie nic, Nikodemus przystawił kolano do tchawicy półsmoka. Gdy nacisnął całą masą swojego ciała, by zmiążdżyć tchawicę, potwór się nie opierał.

Krótką chwilą oczekiwania na śmierć.

Nikodemusem wstrząsnął dreszcz. Podczas lat spędzonych w Avel zabijał wielokrotnie, często pozbawiając życia hierofantów tylko za to, że nieświadomie służyli demonowi.

Teraz cofnął kolano z gardła mordercy i okrutnego podczłowieka. Starszy kakograf nie będzie musiał uczyć go, jak zostać potworem. Nikodemus już to wiedział. Wstał powoli. Berr wciąż oddychał.

Może starzec utopi się we własnej krwi. Może pożre go jakiś drapieżnik z sawanny. To byłoby możliwe. A może przeżyje. Czy to miało jakieś znaczenie?

Choć Nikodemus stał nad przeciwnikiem zadyszany i z walącym sercem, jakaś jego część leżała obok potwora, umierając na piasku.

A może umarła już dawno temu.

To też nie miało znaczenia. Nikodemus aż nazbyt ostro poczuł bieg życia Berra: pełna przemocy furia upośledzonego dziecka, wygnanie z domu, a potem wykluczenie z ludzkości, niewola u Tajfona. Berr zmienił swoje życie w dziki ból, inni zmienili go w stwora - obraz chodzącej agonii. To było obrzydliwe. Żalotne. I właśnie tego strzępka litości złapał się Nikodemus. Pomyślał, że to ostatnie, co chroni go przed tym, czym naprawdę był Sawannowy Potwór.

Leżący na ziemi James Berr jęknął. Nikodemus odwrócił się ostatni raz, a potem powoli odszedł z doliny.

Francesca nie mogła spać. W jedwabnym namiocie obok niej leżał Cyrus, ciasno owinięty przed chłodem. Z zamkniętymi oczami posapywał cicho w chustę. Obróciła się na bok, ale pod przykryciem było jej za ciepło. Usiadła i wypęzła na zewnątrz. Wokoło zobaczyła pozostałe ciemne namioty i cumę, która wznosiła się ku niebu, łącząc ich z wciąż unoszącą się poławą statku powietrznego.

Wstał czarny księżyc i niebo pełne było gwiazd. Francesca popatrzyła do góry i zagryzła wargę. Przyjemnie było czuć na twarzy powiew zimnego powietrza. Gdy opuściła wzrok, podskoczyła na widok dwóch ciemnych postaci. Pierwszą rozpoznała po niskim wzroście i turbanie - kapitan Izem. Potrzebowała jednak chwili, by zrozumieć, że drugą postacią był Nikodemus.

Podbiegła do niego, rzucając złote pytanie, jeszcze zanim się zatrzymała:

Co się stało? W świetle swoich słów zobaczyła jego zalaną krwią twarz i klatkę piersiową. Złapał pytanie ręką, którą czyścił właśnie zakrwawioną szmatką. Cos cię boli? Masz jakąś poważniejszą ranę?

Nikodemus, ścierając krew z przedramion, rzucił odpowiedź. Nie jezdem ranny. Nie ma powodu do obaw.

W takim razie CO SIĘ STAŁO, NA PŁONĄCE NIEBiosa?!

Jego ręce trzęsły się, gdy rzucał odpowiedź: Jestem zmarznięty i głodny. Proszę, daj mi chwilę.

Francesce zakręciło się w głowie, gdy zrozumiała, że mężczyzna gra na czas i po prostu nie chce przekazać jej złych wieści. Usiadła ciężko. Nagle Nikodemus przykucnął tuż przy niej. Jego usta poruszyły się, a potem rzucił zdanie: Przyko mi. Tak mi przyko.

Zrozumiała. Zostanie głucha. Nigdy więcej nie przypomni sobie głosu swojej matki ani nie posłucha uderzeń serca pacjenta. Nigdy więcej nie będzie słuchać muzyki. Nikodemus stał nad nią, wykonując niezręczne ruchy, jakby chciał ją pocieszyć, jednak w połowie ruchu przypomniał sobie, że przecież nie może jej dotknąć. Odwrócił się i zawołał do kogoś za nią.

Nagle pojawił się przy nich Izem. Rzucił na Nikodemusa chyba z dziesięć kilo jedwabiu, pokrywając szczelnie każdy centymetr jego skóry. Dopiero wtedy Nikodemus objął Francescę. Delikatnie przyciągnął ją do siebie. Miała wrażenie, że tuli się do poduszki, ale nie przeszkadzało jej to. Przywarła do niego delikatnie i zaczęła płakać w jedwab.

Kołysał ją przez chwilę, a potem inna para rąk podźwignęła ją na nogi. Francesca odwróciła się i zobaczyła pełne troski oczy Cyrusa. Musiała obudzić go swoim szlochem. Objął ją i czule pogłaskał po włosach.

Gdy trochę się uspokoiła, Nikodemus napisał streszczenie tego, co się stało: to, że Sawannowy Potwór to James Berr, jego przekonanie, że Francesca nigdy nie miała wspomnień ani zdolności słyszenia oraz że jej umysł jest podobny do umysłu demona. Czytała zdanie po zdaniu, ale nie widziała w tym najmniejszego sensu.

Otępiała, pozwoliła Cyrusowi zaprowadzić się do namiotu. Po drodze wciąż ją obejmował, a ona położyła mu głowę na piersi, czując, jak jego głos brzęczy niczym pszczoła w dużym kwiatowym kielichu. Nie wiedziała, czy coś do niej mówił, czy może śpiewał kojąco. Już nigdy nie będzie tego wiedziała.

W namiocie niemal natychmiast usnęła. Gdy obudziła się po jakimś czasie, po cichu wypęzła na zewnątrz. W blasku świetlików odszukała ciasny namiot Nikodemusa i weszła do środka.

Mężczyzna gwałtownie zerwał się ze snu i odruchowo spróbował wycofać się na jej widok.

Nie bądź głupi, napisała do niego. Popatrzył na nią, zdziwiony. Napisała małą chmurę świetlików, które rozjarzyły namiot łagodnym blaskiem. Jeśli nigdy nie miałam wspomnień, jeśli nigdy nie słyszałam, to czym tak naprawdę jestem? Jakiegoś rodzaju konstruktem?

Nikodemus zamruga! szybko. Jego długie, kruczoczarne włosy spłynęły na ciemne ramiona.

Jesteś zrobiona z prąjczyka, napisał.

Konstrukt z prąjczyka?, odpisała pytaniem.

Zmarszczył brwi.

Wszystkie żywe istoty są konstruktami prąjczyka.

Ale mój prąjczyk świeci zbyt jasno. Może Tajfon coś ze mną zrobił? Ukradł mi coś? i

Mężczyzna przyglądał się jej twarzy.

To możliwe.

Może więc uda nam się jeszcze odzyskać moje wspomnienia i słuch? Jego twarz złagodniała. Co?, rzuciła w niego. Patrzysz na mnie, jakbym była szczeniakiem, którego przygniotło koło wozu. Napisał złote zdanie, ale po chwili je rozłożył. Napisał kolejne, po czym zaczął je redagować, aż tekst zdysczarował się w nicość. Potem tylko zmarszczył czoło i popatrz! na swoje dłonie. NIKO!, krzyknęła na niego gwałtownym ruchem nadgarstka. O czym ty myślisz, na niebiosy? Odczarował kolejne zdanie i popatrzył na nią bezradnie. Co?, powtórzyła.

To nie jest takie złe, W końcu poda! jej niepewnie.

Co takiego?

Życie bez części siebie.

Nie jest złe? Nie wiem, kim jestem, na przekłete przez boga bogów piekło! Zaśmiała się gorzko, po czym napisała kolejne zdanie: Nie wiem nawet, czym jestem!

Dla miasta jesteś lekarką, napisał. Dla chorych - uzdrowicielką. Chwilę się zastanawiał, po czym dodał: Dla wszystkich innych wrzodem na tyłku.

Roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

Ale czy mogę być lekarką, skoro nie słyszę?

Zacisnął wargi.

Nie wiem nic o praktykowaniu medycyny, ale z pewnością musi być jakiś sposób.

Pacjenci nie będą wstanie opisać mi swoich objawów, odpisała Nie będę mogła posłuchać ich kaszlu, oddechu, bicia serca.

Nachylił się do niej i puścił łagodne zdanie:

Nie możesz być tym, kim byłaś. Prawda przemknęła przez głowę Franceski jak piorun. Wstrząs sprawił, że miała ochotę płakać za tym, co utraciła, i śmiać się z niesprawiedliwości i absurdalności swojego losu. Nikodemus podał jej kolejne zdanie: Z siłą i talentami tego, co pozostało, możesz jeszcze wiele osiągnąć.

Francesca przycisnęła dłonie do policzków. Nigdy w życiu nie czuła się tak dziwnie - jakby nie była sobą. Roześmiała się i napisała:

Czy tak właśnie jest być tobą?

Uśmiechnął się i wysłał w jej kierunku odpowiedź:

Tak, ale we mnie nie kocha się tyłu przystojnych hierofantów.

Zaśmiała się, pewnie głośniej niż powinna, choć i tak nic nie słyszała.

To dlatego, że nie udajesz trudnego do zdobycia. Zamyśliła się na chwilę, po czym zmieniła temat: Wrócisz do Avel i dalej będziesz próbował odzyskać szmaragd?

Tak. Ale najpierw porozmawiam z Shannonem.

Pozwolisz mi pójść z tobą, żebym mogła sprawdzić, czy demon ukradł moje wspomnienia?, zapytała, patrząc mu w oczy.

Kiwnął głową. Studiował jej twarz z taką uwagą, jakby była najbardziej fascynującym obiektem, jaki kiedykolwiek widział. Co?, napisała.

Nikodemus odsunął się nieco i napisał zdanie, po czym je zniszczył. Zerknął na nią przed napisaniem kolejnego, które jej podał.

Dziwne jest widzieć kogoś jeszcze, pragnącego odzyskać coś straconego. Przez chwilę siedział bez ruchu. Równocześnie chciałbym pomóc ci w odzyskaniu wszystkiego i sprawić, byś nie czuła się bez tego niepełna. Kiwnął głową i dodał: Przepraszam. Nie wiem, czy coś z tego ma sens. To dla mnie dziwne.

To dziwne dla nas obojga, napisała. Chciała dodać, że ich sytuacja jest zupełnie różna, Nikodemus był kakografem od urodzenia, a ona dopiero co straciła słuch, jednak powstrzymała ją przed tym jakaś niezrozumiała wątpliwość. Teraz liczyło się to, co powinni zrobić dalej. Kiedy wrócimy do Avel, pozwolisz mi pójść do Vivian i DeGarna, bym spróbowała zdobyć ich pomoc? Mężczyzna zmarszczył brwi. Na płonące niebiosa, pozwól mi choć spróbować!, nalegała. Gdybyś nie zauważył, zaczyna nam brakować sojuszników.

Potrzebował chwili na odpowiedź, ale w końcu wysłał zdanie:

Omówmy to z Shannonem.

Jesteś pewien, że nie powinieneś być zabić Sawannowego Potwora?

Popatrzył na nią, a w jego oczach Francesca po raz pierwszy zobaczyła wystraszonego chłopca, którym kiedyś był. Poczula litość. Nagle doznała zupełnie nielogicznego wrażenia, że gdyby tylko zdołała wymazać jego cierpienie, jakoś wszystko by się ułożyło. Nikodemus napisał powoli: Nie mogę go zabić. Opowiedz, poprosiła.

Opisał jej bezsensowne słowa potwora i podał ich możliwe znaczenia. Opisał nienawiść bestii w stosunku do tych, którzy zmuszali do logicznego mówienia i pisania, i to, jak dysczarami pozabijał magów w Starhaven. Potem opowiedział, jak zaatakował Sawannowego Potwora i uderzał go niezliczoną ilość razy, a także co czuł, przyciskając kolano do gardła kuzyna, aż zrozumiał, że jakaś jego część już umarła.

Wszystko to przekazał Francesce w nieskładnych, pełnych błędów zdaniach. Z początku miała problem ze zrozumieniem wielu jego dwuznacznych słów, ale potem pozwoliła, by tekst całkowicie ją pochłonął. W końcu Nikodemus westchnął. Może powinienem być iść z potworem i pozwolić mu się uczyć. Może to była jedyna szansa na utrzymanie Dysjunkcji. Skrzywiła się. A może powinienem do niego wrócić. Spróbować go uleczyć, zobaczyć, czy przyłączy się do nich przeciw Tajfonowi.

-

To niedorzeczne!, napisała i poczuła zniesmaczenie. Ten potwór zasługuje na wszystko, co robi z nim Tajfon. Jeśli chcesz powstrzymać Tajfona, lepiej, żebyś sam się nim nie stal.

Twarz Nikodemusa zeszywniała, zanim wysłał kolejne zdanie:

Potwór powiedział, że walka z demonem oznacza stanie się denomem. Deirdre mówiła coś podobnego.

Francesca zastanowiła się nad tym.

Jest różnica między walką a opieraniem się. Posłała mu cierpkie spojrzenie, ale zaraz się uśmiechnęła. Nie zawsze musisz rozerwać przeciwnika na kawałki, NikodemusiejestempotężnymwojownikiemnocyWealu.

To brzmi bardzo mądrze, napisał i zmarszczył brwi. Czemu od razu nie zaczęłaś pisać mądrych rzeczy? Czy możesz je pisać tylko wtedy, jak stajesz się wrzodem na plecach?

Gdybym zawsze była mądra i empatyczna, uznałbyś mnie za nieciekawą.

Nikodemus uśmiechnął się szeroko. Jednak kiedy próbował podać jej odpowiedź, upadła mu i musiał ją pozbierać. W końcu wysłał ponownie: Nigdy nie uznałbym cię za nieciekawą.

Francesca zachichotała, rozbawiona jego pocieszną niezdarnością. Zawroty głowy powróciły ze zdwojoną siłą. Poczula się niemal pijana.

Nie bądź niezdarny, nie powinieneś tak nerwowo podchodzić do flirtu ze mną.

Nie flirtowałem z tobą, odrzucił.

Owszem, ale nie szło ci za dobrze.

Magistra, ja tylko próbowałem...

Nie przeczytała reszty zdania, odrzucając je. Zmusiła Nikodemusa, by spojrzął jej w oczy. Potem napisała:

Gdyby twój dotyk nie oznaczał okropnej, nieuleczalnej choroby, wziąłabym cię za rękę, gdy pisałeś o Sawannowym Potworze.

Magistra... wysiał jej zdanie, ale jego dalszą część rozbiła na kawałki i odpisała szybko: y

Nauczę cię czegoś o flirtowaniu. Przede wszystkim nazywaj mnie Francescą luf) Fran.

Znow zaczął się na nią dziwnie gapić. Westchnęła i poprawiła się niezdarnie na miejscu. Może powinna iść. Może to był głupi sposób na przegonienie myśli o jej nieszczęśliwym losie. Już zaczęła pisać przeprosiny, gdy na jej kolana spadło jedno złote słowo.

Zostań.

Popatrzyła na niego. Miał skupioną twarz, a jego zielone oczy wpatrywały się w nią czujnie. Nagle ogarnął ją strach. Całą noc?

Jak długo możesz.

A co będzie, jeśli przeturlasz się we śnie i niechący mnie dotkniesz?

Owinę się szczelnie ubraniem, a gdy wypalą się świetliki, napiszę ścianę chtonicznego tekstu.

Uśmiechnęła się, rozbawiona jego zapalem.

Pamiętaj, że zbyt jawnie okazywana ochota może spłoszyć kobietę. Naprawdę nie jesteś zbyt dobry we flirtowaniu.

Mam okropnego nauczyciela. Nikodemus również się uśmiechnął.

Wreszcie zaczynasz się uczyć.

Na chwilę zapadła między nimi tekstowa cisza, aż w końcu mężczyzna napisał: Cyrus cię kocha.

Francesca się zachnęła.

A jednak się nie uczysz!

Kocha cię i całkowicie to rozumiem.

Nie wiesz, kim naprawdę jestem.

Ty też tego nie wiesz. Przewróciła oczami, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.
Kochasz Cyrusa?

Jej uśmiech zgasł, gdy odpisywała:

Kiedyś go kochałam.

A teraz?

Odwróciła wzrok.

Jest dla mnie dobry. Schlebia mi jego oddanie. Ale powiedziałam mu, że to się nie uda. Popatrzyła na Nikodemusa i dodała: Byłby zazdrosny, gdyby wiedział, że przyszedłam z tobą porozmawiać.

Nie odchodź. Spojrzał na nią niemal błagalnym wzrokiem.

Nie zamierzałam.

Nie ma powodów do szczególnej zazdrości. On dzieli z tobą jeden namiot. Może dotykać twojej twarzy i dłoni. Ja chcę tylko, żebyś tu była.

Powiedziałam przecież, że zostanę.

Uśmiechnął się z chłopięcą radością.

Może po prostu chciałem, żebyś jeszcze raz to powiedziała.

Francesca potrząsnęła głową, z równie rozbijającym uśmiechem.

Jesteś dziecinny i bezczelny.

Rzucając te słowa, zrozumiała, że budzi się w niej poczucie winy. Cyrus poczułby się dotknięty, gdyby o tym wiedział. Nikodemus nachylił się bliżej, wspierając się na prawej ręce. Ten lłuch sprawił, że gładkie krzywizny mięśnia trójgłowego wyraźnie odsłoniły swój bieg pod skórą na ramieniu. Zorientował się, że mu się przygląda i jego twarz znowu rozświetlił uśmiech. W łagodnym świetle jego zęby wydawały się bielsze, a skóra jeszcze ciemniejsza.

Wydawało mi się, że mną pogardzasz, napisał.

Trochę tak.

Zaśmiał się.

Cieszę się, że zostałaś.

Ja też.

Zrobisz coś dla mnie?

Zależy co.

To może wydać ci się trochę dziwne.

Och, nie psuj tego tereiz, Niko. Może dziwnie się zachowuję, ale ta odrobina flirtu to] jedyna miła rzecz, jaka przydarzyła mi się najgorszej nocy mojego życia. Więc o co chodzi?

Zastanowił się chwilę, po czym napisał:

Zdecydowanie za często o tobie myślę. Nie mogę przestać od chwili, gdy przyglądałem się, jak ratujesz Żyłę.

Boże bogów, po prostu powiedz, czego ode mnie chcesz. Francesca przewróciła oczami.

Nikodemus podniósł coś z ziemi w rogu namiotu i rzucił do niej. Zaskoczyły ją ostre brzegi przedmiotu. Jednak gdy przechyliła go, by oświetlić obiekt, na jej ustach pojawił się uśmiech. Szykretowy grzebień.

Nikodemus położył się, opierając głowę na łokciach. Francesca przełożyła warkocz przez ramię i rozwiązała wstążkę na jego końcu. Delikatnie, krótkimi i precyzyjnymi ruchami palców rozplątała splot. Przechodząc przez wąskie zęby grzebienia, jej ciemnobrązowe włosy ułożyły się w naturalne, luźne spirale i zaśniły w blasku jej świetlistej prozy.

Nikodemus przyglądał się jej z zachwytem w zachłannych oczach, aż zgasł ostatni akapit świetlika, pogrążając oboje w ciemności. Francesca położyła się po swojej stronie namiotu. Jej twarz i kark otuliły miękkie pukle. Śniła, że jej ciało jest rozległą ziemią, a włosy morzem traw - zielonym od deszczów, złotym w promieniach słońca i falującym w nieskończoność aż po horyzont.

Obudziła się w namiocie rozświetlonym świtem. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że śpiący obok niej mężczyzna to Nikodemus. Ogarnęło ją nagle poczucie winy. W pośpiechu opuściła namiot.

Na zewnątrz zimne powietrze zmieniło jej oddech w bladą mgiełkę. Trzysta metrów wyżej na cumie unosiło się w powietrzu pół „Lancy Królowej”. Tam w górze świeciło już słońce, rozświetlając jedwab, jaskr awobiały na tle wciąż ciemnego nieba. Normalnie Francescę zachwyciłby ten widok, teraz jednak pozostała zupełnie obojętna.

Wpełzła do namiotu, który dzieliła z Cyrusem, i odkryła, że jest pusty. Ścisnęło ją w żołądku. Musiał zauważyć jej nieobecność, gdy się obudził. Odwróciła się, by wyjść, i wtedy go zobaczyła. Kucnął przed namiotem, w turbanie na głowie i z podniesioną chustą.

Zamarła.

Jego jasnobrązowe oczy wpatrywały się w nią przez chwilę pytająco. Potem wszedł do jedwabnego namiotu i usiadł.

- Cyrusie - odezwała się cicho, mając nadzieję, że jej głos będzie zrozumiałą, choć go nie słyszała. - Przepraszam, ja... - Uniósł prawą rękę, by ją powstrzymać, a potem wyciągnął małą fiolkę. Zmarszczyła czoło, patrząc, jak wylewa zawartość fiołki na jedwab między nimi.

Płyn zabarwił tkaninę na kolor tak ciemny, że mogła to być tylko jedna substancja. - Atrament? - zapytała.

Cyrus kiwnął głową i dotknął plamy palcem wskazującym. Czerń natychmiast ożyła, przesuwając się przez jedwab i tworząc litery. Używał hierofanckich czarów do przemieszczania barwnika w tkaninie. Ruchomy tusz uformował zdanie:

Myślałem całą noc o tym, jak mogę przekazać ci moje słowa.

- Przepraszam, że wyszłam - powiedziała na głos, patrząc na niego.

Wskazał na atrament, który przepłynął w nowe zdanie:

Możesz pisać.

Ostrożnie dotknęła plamy. Wokół czubka jej palca magicznie zebrała się mała plamka atramentu. Napisała niepewnie: ja. Ruchy jej palców wydawały się niezgrabne, jednak po ostatnim atrament ułożył się w piękne wąskie litery. Cyrus napisał zdumiewający, wspaniały czar. Zaczęła pisać od nowa:

Poszłam korespondować z Nikodemusem w numenosie.

Popatrzył na nią i spytał:

Mógł ci pomóc?

Francesca zagryzła wargi.

Rozumie, co się ze mną stało, w sposób, który trudno opisać.

Dłonie Cyrusa poruszyły się nieco mniej pewnie.

Czy ja też mógłbym to zrozumieć?

Popatrzyła na niego i odpisała:

Mogę próbować wyjaśnić, ale nie teraz. Czuję się... Oderwała palec od tkaniny, próbując dojść do tego, jak właściwie się czuje, po czym napisała:...wewnętrznie wyczerpana.

Przykro mi, Fran. Jak mogę ci pomóc?

Pomaga już to, że rozumiesz. Przepraszam, że wyszłam w nocy.

Cyrus się zawahał.

Ufasz mu? Przerwa. Wyraźnie jest tobą zauroczony.

Nie bądź zazdrosny, Cyrusie, odpisała szybko. Nigdy nie mogłabym go dotknąć. Nikt nigdy nie będzie mógł go dotknąć. Biedak. Szczerze mówiąc, tylko robił do mnie wielkie oczy i pewnie nie powinnam była go do tego zachęcać w taki sposób. Po prostu... Przerwa...musiałam porozmawiać z kimś o swojej ułomności.

Dłuższa przerwa. Teraz to ja czuję się winny.

Nie powinieneś. To zrozumiałe.

Cyrus przysunął się bliżej. Jak się teraz czujesz?

Lepiej. Zmęczona. Wciąż... wstrząśnięta swoją głuchotą.

Nie jesteś głucha. Spojrzała na niego, by sprawdzić, czy żartuje, ale mężczyzna popatrzył na nią pewnym wzrokiem. Opuścił chustę, odsłaniając wypiełgnowaną czarną brodę i usta zaciśnięte w wąską kreskę. Znowu poruszył się atrament podłego palcem. Znajdziemy sposób na przywrócenie twojego słuchu.

Przeniosła wzrok ze zdania z powrotem na twarz Cyrusa. Nie spuszczał z niej oczu.

Tak myślisz?, spytała.

Kiwnął głową. Jeśli Nikodemus zdoła odzyskać swoją zdolność poprawnego pisania, będziesz mogła odzyskać słuch.

A co, jeśli nie zdołam?

Ujął jej dłoń. Po nocy spędzonej na unikaniu dotyku Nikodemusa ciepło jego twardej dłoni było dziwnym uczuciem. Cyrus przytknął drugą dłoń do atramentu. Plama popłynęła.

Znajdziemy jakiś sposób. Wszystko będzie dobrze.

Poczuła się tak, jakby zapadło się coś w jej wnętrzu. Zniknęły strach i niepokój, które towarzyszyły jej podczas spotkania z Nikodemusem. Flirt z nim przypominał pijacką noc. A jednak Nikodemus bez słowa krytyki przyjął do wiadomości jej nową niepełnosprawność, co zarówno ją pocieszało, jak i wstrząsnęło bólem i poczuciem nieodwracalnej straty.

Z drugiej strony upór Cyrusa, jego przekonanie, że nie pozostanie głucha, dawał jej nadzieję i mobilizował do walki.

Francesca opuściła głowę. Poczuła, że kulą się jej ramiona. Nie tyle miała ochotę płakać, co położyć się i spać, spać całą wieczność. Jednak nagle Cyrus nachylił się i dotknął jej policzka. Siedziała biernie w jego objęciach? Pocałował ją w czoło. Nie wiedziała, czyja koncepcja ułomności - Nikodemusa czy Cyrusa - była bliższa prawdzie, jednak gdy Cyrus pociągnął ją do siebie i pocałował, odnalazła w jego dotyku siłę.

Nie płakała. Nie będzie płakać. Jednak na jej duszy spoczął ciężar tak wielki, że objęła Cyrusa i zwiesiła się na jego szyi z taką siłą, jakby od tego zależało jej życie.

Nikodemus nie sądził, że zdoła usnąć, lecąc przez niebo na olbrzymim magicznym prześcieradle, jednak gdy coś szturchnęło jego ramię, odkrył, że mruga, zawieszony nad prawie kilometrem pustki. W dole rozciągało się miasto, którego nigdy dotąd nie widział.

Podobnie jak Avel wzniesiono je z piaskowca i czerwonych dachówek, jednak tego miasta nie otaczały grube mury. Dostrzegł bariery ochronne i strażnice, ale za nimi rozciągały się małe miasteczka, których budynki niemal sięgały niewysokich murów. Nawet nie licząc mieszkańców poza murami, miasto było dwukrotnie większe od Avel. Jego sanktuarium również było większe i pyszniło się lśniąca, białą kopułą. Był to dom kanonisty Zayda,

którego boże czary wycięły kanały prowadzące wodę z topniejących śniegów w górach na zachód od Okrągłej Wieży aż do pól miasta. Nad sanktuarium Zayda unosiło się stadko kolorowych lotni. Naturalna zatoka na zachodzie pełna była żaglowców. We wszystkie strony rozciągała się szachownica pól, obrośniętych pszenicą i ciecierzycą.

Nikodemus miał pod sobą Dar, od setek lat serce zachodniej Spirii.

Ktoś znowu szturchnął go w ramię. Obrócił się i zobaczył odwróconą do góry twarz Cyrusa. Hierofanta wisiał brzuchem do góry, podwieszony na szatach pod statkiem.

- Dar! - krzyknął mag wiatru. - Nie chciałem, żebyś to przegapił!

- Tak. - Nikodemus kiwnął głową. Rozmawiał krótko z hierofantą na początku lotu. Rozmowa wyraźnie stanowiła pretekst do okazania sobie uprzejmości po lodowatej wymianie zdań poprzedniego dnia. Rozmowa z Cyrusem sprawiła, że Nikodemus czuł się mniej winny z powodu czasu, który spędził z Francescą.

Rozmawiali o różnych typach statków powietrznych. Nikodemus, szczerze zafascynowany latającymi konstrukcjami, pytał o ich typy, taktykę, bitwy historyczne i tym podobne. Choć Cyrus ewidentnie pasjonował się tym tematem? widać było, że rozmowa nie sprawia mu szczególnej przyjemności. Nikodemus poczuł ulgę, gdy towarzysz zwrócił uwagę na pilotaż.

Obecnie Cyrus wskazał na północ.

- Wkrótce wylądujemy przy wieży wiatrowej na północ od miasta. Może zobaczysz stamtąd Górę Iglic.

Nikodemus zmrużył oczy, patrząc w stronę horyzontu, i faktycznie dostrzegł tam iglicę ciemniejszą od reszty okolicy. Iżem umieścił Francescę na tyle daleko od Nikodemusa, że nie mogli sobie podawać tekstu, a każdy rzucony przez nich czar zostałby porwany przez wiatr. Powiedział, że musiał ich tak ustawić, by utrzymać równowagę przy bieżącej, smukłej konfiguracji jednostki.A

Gdy Nikodemus zobaczył, jak Cyrus ujmuje dłoń Franceski, poczuł w żołądku bryłę lodu. Mag wiatru wskazał na ziemię. Kleryczka kiwnęła głową i wykonała w odpowiedzi kilka gestów. Pocałował jej dłoń. Nie wyglądała, jakby jej to przeszkadzało, i nie odwróciła wzroku.

Nikodemus wpatrywał się w miasto.

Być może potwór miał rację. Być może będzie musiał użyć swojej kakografii, by przeciwstawić się Dysjunkcji. Jednak jeśli zdoła odzyskać szmaragd choćby na godzinę, będzie mógł przynajmniej dotknąć innej istoty ludzkiej. I gdyby ten dzień kiedyś nadszedł, osobą, której chciałby dotknąć, nie powinna być magistra DeVega. Nie powinna nią być

pomimo intymności, która zaiskrzyła między nimi poprzedniej nocy - i o której myśli wypełniały głowę Nikodemusa aż do wylotu. Teraz uświadomił sobie, że wobec Cyrusa Francesca zachowywała się dokładnie tak samo: nie szukając czułości, ale też jej nie unikając.

Statek leciał jeszcze przez godzinę na północ, w stronę brzegu, sunąc nad wzgórzami porośniętymi trawą sięgającą zaledwie bioder. Tutaj grupy likantropów mogły zostać wypatrzone i zaatakowane przez lotnie. Mogli też zapolować na nie spiryjscy lansjerzy. Tak daleko na północ nie rosły lasy sekwojowe, ich miejsce zajmowały potężne dęby porastające wzgórza, a na wietrze od morza kołysały się smukłe palmy.

W różnych miejscach nad wzgórzami unosiły się skupiska pułapek wiatrowych. Choć wciąż stanowiły olbrzymie konstrukty białej tkaniny, pułapki wiatrowe Daru były znacznie mniejsze niż te w Avel. Unosiły się też w większych odległościach od siebie. Tutejszy wiatr nie był tak silny ani równomierny.

Gdy w polu widzenia lotników pojawiła się wysoka wieża w kształcie pletwy, „Lanca Królowej” rozdarła się na części, by zszyć się w nowy pojazd o sześciokątnym kadłubie z równomiernie rozmieszczonych pasów tkaniny, otoczonych licznymi skrzydłami wprowadzającymi poprawki do kursu.

Po ustawieniu się równolegle do szerokiego pokładu startowego Izem owinął wokół Nikodemusa zieloną szatę i poprowadził go przez wąskie korytarze do małego pokoju z dwoma łózkami i zasłoniętym tkaniną oknem. Pomieszczenie jarzyło się późnoporannym słońcem. Izem poinstruował mężczyznę, by nie opuszczał pokoju,]o czym oddalił się pośpiesznie.

Nikodemus położył się na łóżku i spróbował oczyścić umysł. Piloci zabiorą go z powrotem do Avel, gdzie porozmawia z Shannonem. Wtedy zdecydują, czy powinni jeszcze raz spróbować zdobyć szmaragd, czy wycofać się, by kontynuować walkę następnego roku w mieście, w którym pojawi się Tajfon. Nagle pomyślał

Jamesie Berr ze i drgnął. Gdy przelatywali nad Doliną Zielonej Wody, zobaczył kilka na wpół zjedzonych ciał likantropów, ale ani śladu Berra. Stwór niewątpliwie zdołał uciec z powrotem na sawannę.

Z zewnątrz dobiegł go szum oceanicznego wiatru krzyki mew. Gdzieś, prawdopodobnie w sąsiednim pokoju, ktoś trzasnął drzwiami. Zatrzęszczało łóżko. Wiatr przybrał na sile.

Nagle usłyszał gwałtowne pukanie. Usiadł, gdy w progu pojawił się Cyrus z talerzem pieczonej ryby i miską soczewicy. Aż do tej chwili Nikodemus nie zdawał sobie sprawy z

tego, jak niewiele jadł. Podziękował Cyrusowi i zabrał się za posiłek. Ryba smakowała oliwą i solą, soczewica miała aromat kminku.

Cyrus usiadł na drugim łóżku i zaczął rozwijać turban. Gdy Nikodemus skończył jeść, opuścił chustę i zakomunikował:

- Sprzedałem cię. - Nikodemus zamrugał, patrząc na niego w osłupieniu. - Sprzedałem cię marszałek wiatru Avel, żebyśmy mogli użyć „Lancy Królowej” do pościgu za Sawannowym Potworem. Zrobiłem to w nadziei, że zdołasz odzyskać wspomnienia lub słuch Franceski. - Urwał na chwilę. - Rozumiesz, czemu to zrobiłem?

- Tak.

- Nie jestem z tego dumny, ale gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to samo. - Nikodemus nie odpowiadał.

- Rozmawiałem z Izemem. Uziemiliśmy piątego członka załogi, żebyśmy mogli we dwóch polecieć do Lurrikary, a potem do Avel. Wysadzę cię w przystani Coldlock, stamtąd będziesz mógł udać się do swojego obozu. Kiedy wrócimy do marszałek, powiem, że przed Darem zdysczarowałaś część „Lancy Królowej” i uciekłaś. Jeśli będziesz dość głupi, by znowu trafić w ręce hierofantów, trzymaj się tego kłamstwa albo zostanę oskarżony o zdradę i zrzucony z dwóch kilometrów bez tkaniny. - Nikodemus ponownie przytaknął. Cyrus na chwilę zacisnął wargi, po czym powiedział:

- Francesca chce iść z tobą. Pomóż mi przekonać ją, że będziemy w stanie przywrócić jej słuch.

- Proszę? - spytał Nikodemus z niedowierzaniem.

- Jest przygnieciona przez swoją głuchotę. Musisz mi pomóc przywrócić jej nadzieję. Młodzieniec poczuł złość.

- Skąd wiesz, że będziemy w stanie przywrócić jej słuch?

- Nie wiem, ale ona potrzebuje nadziei. Nie możemy dopuścić do tego, by ją straciła.

Nikodemus przypomniał sobie własne dzieciństwo, pełne zapewnień, że wyrośnie i pokona swoją ułomność. Poczuł, jak dłonie same zaciskają mu się w pięści.

- Nie wiesz, czy to możliwe. Dawanie fałszywej nadziei to niedźwiedzia przysługa.

- Ze wszystkich ludzi akurat ty powinienes zrozumieć - żarliwie odpowiedział Cyrus. - Poświęciłeś swoje życie wierze, że pokonasz ułomność. Jak możesz odmawiać jej tej samej nadziei?

Niko potrzebował wszystkich sił, by powstrzymać się przed krzykiem i nie uderzyć hierofanty. A jednak gdzieś głęboko, pod powierzchnią furii, wiedział, że w słowach

mężczyzny tkwi ziarno prawdy. Używał nadziei jak paliwa, nieustannie podsycił jej ogień, by ogrzewać swoje życie.

Opuścił twarz w dłonie i powiedział najspokojniej, jak potrafił:

- Będę wierzył w to, w co Francesca postanowi wierzyć.

Cyrus milczał przez dłuższą chwilę.

- Jeszcze jedno. Pomóż mi przekonać ją, żeby nie wysiadała z tobą w Coldlock.

Będzie bezpieczniejsza, jeśli zostanie z flotą.

- Myślisz, że mnie posłucha? - prychnął Nikodemus.

- Tak czy inaczej zamierzam jej powiedzieć, że zgadzamy się co do tego.

- Może nie znam jej tak dobrze, jak ty, ale chyba dostatecznie, by nie spierać się z nią, jeśli coś postanowi.

- Zamierzam jej powiedzieć, że się zgadzamy - powtórzył Cyrus. - Jeśli mimo to się uprze, będziesz musiał zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Jeśli Deirdre miała rację, to będzie raczej odwrotnie.

Cyrus odwrócił wzrok, oglądając się na zasłonięte płótnem okno.

- Nic do ciebie nie mam. - W jego słowach brzmiała złość, a jednak wydały się całkiem szczere.

- Ani ja do ciebie - zapewnił Nikodemus spokojnie.

- Będę w pokojach oficerskich dwa wejścia dalej. Znajdź mnie, jeśli będziesz czegoś bardzo potrzebował. Jeśli nie, zostań tutaj. Odlecimy za dwie godziny - powiedział Cyrus i wyszedł.

Nikodemus położył się i zamknął oczy. Na zewnątrz głośno spierały się dwie mewy. W końcu odleciały, a on poczuł, jak jego złość znika. Wróciła, gdy pomyślał

Cyrusowym zaprzeczeniu ułomności Franceski. Niejasno wyczuwał, że część tej złości skierowana była na niego samego. Nienawidził pomysłu podsuwania Francesce fałszywej nadziei, a jednak sam większość dorosłego życia poświęcił na odzyskanie szmaragdu - nadzieja, u podstawy której tkwiło zaprzeczenie własnej ułomności, ale też i poczucie pełni.

Na zewnątrz przeleciała kolejna para kłócących się mew. Nikodemus zaczął się zastanawiać, jak by to było, gdyby zrezygnował z nadziei odzyskania szmaragdu. Przed jego oczami stanęła Francesca - tak bardzo przejęta utratą słuchu, a jednocześnie tak pełna piękna.

Potem powoli zaczął pogrążyć się we śnie. W korytarzu zabrzmiały kroki i dała się słyszeć jakaś niewyraźna rozmowa. Głosy nakładały się na siebie i modulowały dźwięcznie, jak czasami pomiędzy snem a jawą.

Nie był świadom upływu czasu, ale w pewnym momencie się ocknął. Minęła chwila, zanim rozpoznał, że czułe głosy przeszły w przyspieszone oddechy podkreślane namiętymi jękami. Para kochających się hierofantów.

Zirytowany, przewrócił się na bok i naciągnął na głowę koc. Znowu usnął.

Usiadł gwałtownie, gdy drzwi się otworzyły. Francesca weszła do pokoju i popatrzyła na niego wściekle. Część loków wymknęła się jej a warkocza. Czerwoną stułę lekarki miała dziwnie wciśniętą za kołnierz.

Z impetem rzuciła w Nikodemusa akapitem.

Złapał tekst i przetłumaczył, próbując wprowadzać jak najmniej błędów:

Powiedziałabym, że masz inteligencję pijanej żaby, ale nie chcę obrarzać plaża. Czemu na plononce niebiosa macie z Cyrusem CZELNOŚĆ decydować, co zrobić, gdy dotrzemy do zatoki Coldlock? Powinnam...

Nikodemus przerwał czytanie i pozwolił, by jego kakografia rozłożyła tekst. Potem odpisał:

Cokolwiek powiedział ci Cyrus, było przesadzone. Nie łudzę się, że obchodzi cie, co myślę. Kiedy to czytała, przyglądał się jej włosom w nieładzie, jej dziwnie ułożonej stule. I nagle go oświeciło. Momentalnie zrobiło mu się zimno i poczuł rńdłości. Francesca rzuciła w niego kilkoma akapitami, ale pozwolił, by uderzały w jego skórę, rozpadając się. Proszę, idź, rzucił w nią i odwrócił się twarzą do ściany, podciągając koc do ramion.

Na pościel obok niego zaczęła spadać kaskada jarzących się zdań. Zamknął oczy. Chwilę później Francesca spróbowała potrząsnąć jego łóżkiem. Nie poruszył się.

- Nikodemusie! - powiedziała bezbarwnym głosem. - Nikodemusie, popatrz na mnie!

Nie poruszył się.

Nagle na jego nodze wyładowała dłoń. Odruchowo szarpnął się i usiadł, ale zorientował się, że Francesca dotknęła koca na jego nodze, a nie samej skóry. Mimo wszystko owinał koc wokół swoich dłoni i chwycił jej nadgarstek. Ignorując protesty, uważnie przyjrzał się wszystkim jej palcom, upewniając się, że nic jej się nie stało.

Kiedy skończył, odepchnął jej dłoń kocem.

Mogłaś się zabić!, wykrzyczał rzuconym gwałtownie akapitem. Już miał się odwrócić, gdy zobaczył wyraz jej twarzy: rozchylone usta, szeroko otwarte oczy, jak w szoku. Czemu się tak zachowujesz?, spytała.

Zapomniałaś poprawić sobie stułę po Cyrusie.

Przeczytała to, po czym popatrzyła na niego tak, jakby zwariował. Wskazał na jej kołnierz. Spojrzała w dół i poprawiła stułę, wyciągając ją na zewnątrz.

Cyrus nie miał z tym nic wspólnego, napisała. Spałam dwa pokoje dalej.

Nikodemus znowu poczuł falę mdłości. Nie słyszałaś swoich jęków. Francesca znieruchomiała, ale jej twarz się nie zmieniła. Proszę, wyjdź, rzucił w nią i odwrócił się z powrotem w stronę ściany. Usłyszał, jak robi krok od łóżka, potem kolejny.

- Nikodemusie - powiedziała głośno.

Przez chwilę trwał w bezruchu, ale w końcu odwrócił się do niej. Podała mu zdanie:

To nie tak, jak myślisz.

To nie moja sprawa, odpisał od razu.

Zaczął się odwracać, ale znowu położyła dłoń na jego nodze. Nawet przez koc dotyk było dla niego wstrząsem. Nie odbyliśmy stosunku, napisała z lekarską szczerością. Odesłałabym go. Choć był czuty jak diabli. Nie bądź taki cholernie dotknięty. Całowaliśmy się tylko i tuliliśmy, ponieważ jesteśmy NA BOGA BOGÓW PRZERAŻENI! To nie było nic ważnego.

To nie moja sprawa.

Zaciskała usta tak mocno, że stały się niemal białe. A teraz żałuję z powodu tego, jak zachowywałam się w namiocie tej nocy. Wszystko, co wtedy powiedziałam, mówiłam poważnie. Rozumiesz moją ułomność w sposób, w jaki nikt inny nie byłby w stanie jej zrozumieć. Ale wszystko mi się miesza. I w dodatku nigdy nie będę mogła cię dotknąć.,

Czytając ostatnie słowa, Nikodemus drgnął.

Masz rucję, napisał. To niebezpieczne.

Przez dłuższą chwilę się nie ruszała. Potem podała mu:

Przepraszam.

Nie masz za co przepraszać, napisał i odwrócił się.

Cyrus nie miał z tym nic wspólnego, napisała. Spałam dwa pokoje dalej.

Nikodemus znowu poczuł falę mdłości. Nie słyszycie swoich jęków. Francesca znieruchomiała, ale jej twarz się nie zmieniła. Proszę, wyjdź, rzucił w nią i odwrócił się z powrotem w stronę ściany. Usłyszał, jak robi krok od łóżka, potem kolejny.

- Nikodemusie - powiedziała głośno.

Przez chwilę trwał w bezruchu, ale w końcu odwrócił się do niej. Podała mu zdanie:

To nie tak, jak myślisz.

To nie moja sprawa, odpisał od razu.

Zaczął się odwracać, ale znowu położyła dłoń na jego nodze. Nawet przez koc dotyk było dla niego wstrząsem. Nie odbyliśmy stosunku, napisała z lekarską szczerością. Odesłałabym go. Choć był czuty jak diabli. Nie bądź taki cholernie dotknięty. Całowaliśmy

się tylko i tuliliśmy, ponieważ jesteśmy NA BOGA BOGÓW PRZERAŻENI! To nie było nic ważnego.

To nie moja sprawa.

Zaciskała usta tak mocno, że stały się niemal białe. A teraz żałuję z powodu tego, jak zachowywałam się w namiocie tej nocy. Wszystko, co wtedy powiedziałam, mówiłam poważnie. Rozumiesz moją ułomność w sposób, w jaki nikt inny nie byłby w stanie jej zrozumieć. Ale wszystko mi się miesza. I w dodatku nigdy nie będę mogła cię dotknąć.i

Czytając ostatnie słowa, Nikodemus drgnął.

Masz ruję, napisał. To niebezpieczne.

Przez dłuższą chwilę się nie ruszała. Potem podała mu:

Przepraszam.

Nie masz za co przepraszać, napisał i odwrócił się.

Słyszał jej drżący oddech. Po chwili wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Leżał, próbując myśleć czymkolwiek, byle nie o niej.

Wyspa Lurrikara ostro wybijała się z morza. W jakiejś odległej przeszłości jej urwiska mogły być ciemnoszare, ale tysiące lat i niezliczone pokolenia mew pomalowały je na białe swoimi odchodami i piórami.

Zbliżając się do wyspy, hierofanci prowadzili „Lancę Królowej” dość nisko. Nikodemus widział olbrzymie szare ciała przemykających przez wodę słoni morskich. Gdy przelecieli nad urwiskiem, „Lanca Królowej” zmieniła kształt z wcześniejszego grotu strzały na przypominający ptaka o szerokich skrzydłach. Powietrze wokół zadrzało od turbulencji, gdy wykręcali w ciasnym kręgu, zwiększając pułap.

Podczas przepisywania się pojazdu Francesca znalazła się obok niego. Przez większość lotu była przed nim, jednak zbyt daleko, by mogli korespondować. Teraz, gdyby tylko chciała, mogła z łatwością podać mu zdanie.

Jednak on uparcie wpatrywał się w wyspę. Za urwiskami rozciągały się nierówne wyżyny pokryte trawą i licznymi palmami. Wszędzie porozrzucone były pojedyncze gospodarstwa, tworzone przez grupy okrągłych drewnianych domów. W ich pobliżu Nikodemus dostrzegł małe stada kóz - brudnobiałych i brązowych. Kątem oka zauważył, że Francesca patrzy na niego. Po jakimś czasie odwróciła wzrok.

„Lanca Królowej” szybowała wzdłuż wybrzeża. W pewnym momencie ściana urwiska skręcała w głąb lądu, tworząc rozległą zatokę, szeroką na jakieś trzy kilometry. W jej wnętrzu urwiska przechodziły w serię coraz szerszych płaskowyżów, przypominających olbrzymie stopnie. Na ich płaskich powierzchniach wzniesiono kamienne domy pokryte strzechami.

Znacznie większe wrażenie robiły jednak wyrzeźbione w ścianach urwisk wyszukane fasady, drzwi, okna, a nawet balkony. Poszczególne płaskowyzę połączone były wykutymi w skałę schodami. Cała zatoka pełna była łodzi rybackich i większych statków kupieckich.

Mieli przed sobą wyspowe miasto Kara.

Nad miastem wznosiła się pojedyncza szara iglica. Mieściło się w niej sanktuarium kanonisty Sabira, którego powinowactwo do kamienia umożliwiło mu wyrzeźbienie miasta w urwiskach. We wczesnych dniach królestwa spiryjskiego Sabir i Cala byli towarzyszami. Gdy ich bóstwa się pokłóciły, Avel i Kara na krótko rozpoczęły wojnę, ale teraz, już od stuleci, łączyły je bliskie stosunki dyplomatyczne i handlowe.

Nad sanktuarium zakotwiczone kilka lotni. Gdy „Lanca Królowej” zaczęła się zbliżać, z miasta wystartowała biała lotnia ze złotym słońcem na płótnie, podlatując po chwili do okrętu. Okręt ciągnął za sobą długi sznur flag. Jego pilot chyba do nich machał. Nikodemus obejrzał się i zobaczył, że „Lanca Królowej” też ciągnie za sobą długi ogon flag sygnałowych. Lotnia oderwała się od nich, szybując z powrotem do sanktuarium. „Lanca Królowej” jeszcze przez jakieś piętnaście minut szybowała nad wyżyną.

Gdy zbliżyli się do południowego skraju wyspy, Francesca wskazała w stronę morza. Nikodemus spojrział we wskazanym kierunku i doznał wstrząsu. Było ich dwadzieścia. Wszystkie ustawione w kręgu. Każda równie wysoka i wąska jak wieże Starhaven. Każdą łączyły z sąsiednimi delikatne łukowate mosty.

Jako dziecko słyszał o tym miejscu. Ruiny miasta wzniesionego przez dwie starożytne rasy: morskich Pelagików oraz drugą, człekokształtną rasę, która kiedyś zamieszkiwała wyspę Lurrikara. Imperium Neosolarne przegnało oba ludy z wyspy, zmuszając je do ucieczki na otwarty ocean.

Pokonany lud człekokształtny zostawił po sobie ten pierścień połączonych ze sobą morskich wież. Podobno z łodzi żeglującej przy nich można było spojrzeć w wodę i zobaczyć wieże sięgające w głąb, aż do podwodnego miasta.

Nikodemus uznał, że podobieństwo wież do tych w Starhaven miało sens - Pelagicy i zaginiony lud Lurrikary byli niewątpliwie chimerycznymi ludami, tak jak Chtonicy, którzy wzniesli Starhaven. Musieli więc stosować podobne techniki architektoniczne.

Gdy „Lanca Królowej” zbliżyła się do struktur, Nikodemus zobaczył przymocowane do każdego poziomu wież długie, przypominające pióra pułapki wiatrowe. Wiatrowy ogród Lurrikary.

W odległości około półtora kilometra od wież „Lanca Królowej” wykonała zwrot na wiatr, by zbliżyć się do szerokiego mostu. Francesca tym razem wskazała w stronę horyzontu,

gdzie unosiły się chmury tak potężne, że sprawiały wrażenie odległego pasma górskiego. Podążyła Nikodemusowi złote zdanie. Przyjął je niechętnie i przetłumaczył:

Nadchodzący sztorm?

Pewnie tak, odpowiedział zdawkowo.

Lepiej, żeby Cyrus szybko dostarczył swoje raporty, bo będziemy musieli tu przeczekać.

Pewnie tak.

Na podejściu do wież zauważył, że nie wszystkie przycumowane do nich konstrukcje były pułapkami wiatrowymi. Pięć było znacznie większych i brakowało im cylindrycznych kadłubów. Ze zdziwieniem przyglądał się płóciennym konstrukcjom, aż zrozumiał, że to okręty wojenne. IYzy były wąskimi pojazdami z czterema lub pięcioma magami wiatru na każdym. Zapewne krążowniki. Dwa największe okręty Wyglądały inaczej. Zamiast kształtu strzały czy ostrza, miały formę kuli. U ich szczytów wystawało kilka żagli skrzydłowych, a pod nimi zwisały warstwy sztywnych płóciennych skrzydeł, zawieszonych jedno nad drugim, tworząc niemal łuskową teksturę. Od małych metalowych kwadratów wszytych w tkaninę odbijały się promienie słońca.

Nikodemusowi zrobiło się zimno. Nagle, nie wiedząc czemu, poczuł się głupio z powodu tego, jak obraził kobietę, której nigdy nie będzie mógł dotknąć. W porównaniu ze zdolnością do zabijania reprezentowaną przez te konstrukty, jego zazdrość o Cyrusa była błahostką.

Francesca również przyglądała się potężnym okrętom. Kiedy zerknęła na Nikodemusa, popatrzył jej w oczy. Podążyła mu zdanie:

Co to jest?

Nigdy wcześniej ich nie widziałem, ale sądząc po opisie Cyrusa, są to latawcowce.

Przeczytała to i znowu popatrzyła na okręty.

Przenoszą latawce bojowe?

Tysiące. Można je wypuścić, gdy nosiciele są w powietrzu. Najczęściej konstrukty kierowane są przeciwko tkaninom przeciwnika w powietrzu, ale czasami używa się ich przeciwko armii albo nawet całemu miastu.

Oblężenie Erram?

Nikodemus kiwnął głową.

Politeiści wypuścili wszystkie swoje latawce bojowe na dzielnicę z największą liczbą monoteistów. Konstrukty zaraz po zrzuceniu zabiły tysiące mieszkańców, a potem latały nad miastem przez dziesięć dni, zabijając każdego, kto wyszedł na ulice.

Znowu spojrziała na latawcowiec. „Lanca Królowej” unosiła się teraz nad mostem między wieżami. Po kamieniach pospiesznie szło kilku ludzi w zielonych szatach. Cyrus z Izemepi zrzucili linę cumy, a załoga naziemna wiązała ją do olbrzymiej metalowej klamry.

Francesca podała mu zdanie:

Czym są te lśniące metalowe kwadraty?

To szpenny, odpisał ponuro. Latawce tną nimi tkaninę. Lub ciało przeciwnika.

Czy królestwo użyłoby ich przeciw Avel? Przeciw własnym poddanym? Nikodemus tylko popatrzył wymownie na Francescę. Sapnęła i napisała: No dobra, głupie pytanie.

Choć latarnię zatoki Coldlock chroniło estuarium, uderzały w nią gwałtowne wiatry. Konstrukcja była solidna i sprawna, choć trzy piętra litego piaskowca trudno byłoby nazwać wspaniałą architekturą. Magowie przekupili latarnika, by wpuścił ich na szczyt.

Lotannu przyciskał ręce do piersi. Wiatr ziębił jego dłonie i twarz. Vivian wyglądała, jakby zimny podmuch zupełnie nie robił na niej wrażenia.

- Jak długo będziemy czekać na odpowiedź? - zapytał. Właśnie zaimprovizowała czar kolaboris i rzuciła go do stacji przekaźnikowej w wiatrowym ogrodzie Lurrikary.

- Kwadrans - odpowiedziała. Normalnie stacje w Avel i Karze odbierały czary kolaboris z Iglicy Erazmowej w Starhaven. Wiadomości między Avel i Karą przekazywane były właśnie przez Starhaven. Z tego, co wiedział Lotannu, nigdy jeszcze nie podjęto próby zaimprovizowania kolaboris między tak odległymi lokalizacjami. Jednak jeśli ktoś mógł tego dokonać, to właśnie Vivian. - Może powinnam rzucić jeszcze jeden - stwierdziła starszka. - Możliwe, że nie trafiłam w wieżę i... - Nagle na morzu pojawiła się złota plamka, która w następnej chwili otoczyła latarnię poziomą falą tekstu. Przez umysł Lotannu przemknęły zdania, wprawiając świat w wirowanie. Z jękiem oparł się o ścianę, by się nie przewrócić. Kiedy odzyskał równowagę, popatrzył na Vivian z obawą, że czar przemknął przez nią zbyt szybko. Jednak kobieta stała spokojnie, patrząc pokrytymi bielmem oczami na arkusz złotej prozy. - Nad Lurrikarą rozszalał się sztorm - powiedziała. - Wieje tak mocno, że umieścili oba latawcowce w dokach. Przewidują, że taka sytuacja potrwa do rana. Gdy tylko wiatr się uspokoi, podniosą flotę i podejmą zaplanowane działania.

- A co mamy robić w międzyczasie? - spytał Lotannu.

Wyciągnęła do niego rękę. Chwycił ją i zaczął prowadzić kobietę w stronę schodów.

- Będziemy się ukrywać i uważać, żeby nie zaskoczył nas Sawannowy Potwór.

„Lanca Królowej” przemknęła znad fal oceanu nad sekwojowe lasy w chwili, gdy słońce dotknęło widnokręgu.

Francesca poprawiła się w szatach wplecionych w kadłub statku. Nikodemus był gdzieś za nią. Cały czas opanowywała pragnienie, by się obejrzeć. Na dodatek musiała opierać się chęci spojrzenia do przodu, na Cyrusa. Poczula pogardę do samej siebie. Jak mogła wpakować się w taki bajzel między dwoma mężczyznami? Potrzebowała teraz pomocy, by poradzić sobie z własną głuchotą, a nie zalotów dwóch mężczyzn. Postanowiła bardziej uważać na to, co mówi i robi.

Powoli odzyskiwała wyćwiczoną maskę spokoju uzdrowicielki. Okręty bojowe w Lurrikarze przypomniały jej, co jest stawką w tej grze. Zamknęła oczy i chłonęła zimne skupienie do chwili, aż wyczuła ruch „Lancy Królowej”.

Gdy otworzyła oczy, odkryła, że statek zrobił się szerszy i obrócił się, zwracając się w stronę morza i wiatru. Izem pozwalał, by wiatr spychał ich w głąb lądu. Patrząc w dół, Francesca zobaczyła, że przelatują nad długim estuarium, rozciągającym się na jakieś półtora kilometra w głąb lasu. Podczas i tuż po porze deszczowej z gór spływała tędy do morza rzeka. Przy końcu estuarium, na cyplu w zatoce wznosiło się ufortyfikowane miasto Coldlock. Wzniesiono je na planie prostokąta, miało może trzy kilometry kwadratowe i otaczały je mury z piaskowca. Brama od wschodu otwierała się na drogę do Avel.

Gdy „Lanca Królowej” zawisła nad portem, przez tkaninę przyczolgał się do nich Cyrus. Miał sprowadzić Francescę i Nikodemusa na ziemię, do portu. Kilkoma sprawnymi ruchami uwolnił ją i zawiesił na uprzęży. Krzyknął coś, czego oczywiście nie usłyszała, a potem przesunął się w stronę rufy, by uwolnić Nikodemusa i przenieść go w podobną uprząż. Choć kakograf owinięty był tkaniną, Francesca drgnęła niepewnie, gdy zawisł obok niej.

Nagle zaczęli spadać. Francesca krzyknęła i w tej samej chwili coś gwałtownie szarpnęło ją za pierś i biodra. Nad nią znajdował się Cyrus z szeroką tkaniną spadochronu nad głową. W jakiś sposób wplótl ich w trzyosobową uprząż.

Wylądowali w porcie z imponującą precyzją. Buty Franceski dotknęły drewnianych desek tak lekko, jakby właśnie zsiadła z konia. Zachwiała się i odkryła, że jej czarne szaty maga nie były już splecione z uprzężą Cyrusa. Odwróciła się i zobaczyła Nikodemusa odwijającego tkaninę, która oddzielała go od tekstu statku. Gdy skończył, podał jedwab Cyrusowi.

Uderzył w nich gwałtowny wiatr, gdy spadochron Cyrusa wyrzucił swój tekst w dół, podrywając pilota w stronę „Lancy Królowej”. Pomachał do Franceski. Uniosła rękę i przyglądała się, jak jego tkanina splata się z powrotem w kadłub okrętu.

Skrzydła „Lancy Królowej” poszerzyły się i wygenerowały tak potężny podmuch, że kilka statków mocno się zachwiało. Chwilę później statek odleciał w stronę wiatrowego ogrodu.

Francesca przez chwilę przyglądała się wciąż rozkołysanym na wodzie żaglowcom. W większości były to zgrabne dwumasztowce, faworyzowane przez spiryjskich i lornijskich żeglarzy. Zobaczyła też jeden szeroki katamaran - musiał tu przepłynąć całą drogę aż z archipelagu iksońskiego.

Ruch gdzieś z prawej strony sprawił, że Francesca obróciła się i przyjrzała elegancko ubranemu Nikodemusowi. Do tej pory widywała go z nagim torsem, w imitacji wojownika koboldów. Potem był owinięty w materiał jak małe dziecko. Teraz miał na sobie ubranie w spiryjskim stylu: spodnie, luźna koszula i długa kamizela - wszystko wykonane z białego jedwabiu „Lancy Królowej”. Długie czarne włosy związał w koński ogon. Wyglądał jak bogaty, elegancki Spiryjczyk.

Już zaczęła formować sarkastyczny komentarz w przedramieniu, ale powstrzymała się i zbeształa za tak frywolny impuls.

Nikodemus pierwszy rzucił do niej:

Głodna?

Zawsze, odpisała.

Ruszył w głąb portu, w stronę miasta.

Musimy szybko coś zjeść, a potem wymknąć się do lasu, zanim zamkną bramy na nodz.

Przeszła wraz z nim przez bramę oddzielającą port od miasta. Dwaj odziani w zieleń strażnicy miejscy uklonili się im. Widzieli, że para została wysadzona z okrętu wojennego, więc zdawali sobie sprawę, że są ważni dla hierofantów. Francesca zaczęła się zastanawiać, ile wartownicy wiedzieli o rebelii szykującej się w Avel.

Przystań Coldlock była ciasnym miastem, składającym się niemal wyłącznie z piętrowych drewnianych budynków. Jedyne struktury z kamienia były koszary przy bramie i mały szpital w centrum. Wielokrotnie niszczona przez likantropy osada była odbudowywana za każdym razem z silniejszymi fortyfikacjami. W aktualnej postaci wszystkie budynki wzniesiono w ciasnej kratownicy. Błotniste ulice były zbyt wąskie, jeśli brać pod uwagę wygodę przemieszczania się, ale nie dość wąskie i kręte, by mogły konkurować z urokliwymi uliczkami Avel. Choć niebo wciąż było jasne, większość ulic pograżyła się już w cieniu. Do zachodu słońca pozostały jeszcze jakieś dwie godziny.

Ulicami przechodziło zdumiewająco dużo ludzi. Większość stanowili młodzieńcy w spiryjskich strojach.

Niektórzy - sądząc po krótkich spodniach, grubych wełnianych koszulach i bosych stopach - byli marynarzami na przepustkach. Ich kapitanowie i oficerowie nosili spodnie i kamizele. Pozostali byli najprawdopodobniej ochroniarzami lub woźnicami karawan przejeżdżających codziennie między Coldlock i Avel. Wyruszając o świcie, karawana mogła dotrzeć do miasta przed zmierzchem letniego dnia. Gdy dni stawały się krótsze lub gdy karawana napotykała problemy, tworzyła pierścień obronny na jednej z polanek utrzymywanych wzdłuż drogi do Avel.

Tylko nieliczni ludzie wyglądali na mieszkańców Coldlock: kobieta sprzedająca podplomyki, kilku starych sklepikarzy siedzących przed sklepami z małymi kubkami dymiącej herbaty miętowej w rękach. W Coldlock mieszkało też sporo rybaków łowiących łososie, ale zajmowali oni południową część miasta i przeważnie trzymali się we własnym gronie.

Ku sporej uldze Franceski, ona i Nikodemus nie przyciągali uwagi. Kilku starszych mężczyzn z niepokojem zerkąło na jej czarne szaty, ale poza tym wszyscy wydawali się zajęci własnymi sprawami.

Francesca mieszkała w Coldlock dwa sezony, za każdym razem pracując jako kleryczką w tutejszym szpitalu. Wiedziała, że wiele budynków miejskich to tawerny i noclegownie. Baza noclegowa i żywieniowa dla sporej liczby marynarzy i załóg karawan stanowiła jedyne poza rybołówstwem źródło utrzymania w Coldlock. ‘

Nagle na Francescę wpadł lekko zataczający się mężczyzna, ubrany w elegancką niebieską kamizelę. Jego usta poruszyły się i kleryczką wyczuła silny zapach anyżowego alkoholu. Nagle uświadomiła sobie, jak niewiele wie o życiu bez słuchu. Pijany mężczyzna zapewne na nią krzychał. Teoretycznie nie był to problem - mogła w końcu zaimprovizować czar ogłuszający, który go wyeliminuje. Jednak nagle znalazł się przed nią Nikodemus, patrząc groźnie w twarz mężczyzny. Pijany cofnął się, ale chyba dalej coś krzychał. Nikodemus stał w bezruchu.

Przestań wydymać pierś jak kogut!, rzuciła do niego. Jednak pozwolił, by zdanie upadło, i dalej wpatrywał się w agresora. Pijany chyba rzucił jeszcze parę obelg, po czym wycofał się i oddalił. To nie było rycerskie ani uderzające, napisała do niego, gdy ruszyli w głąb ulicy.

Nie miało być ani rycerskie, ani uderzające.

Chciałeś zademonstrować spektakularny pokaz męskiego idiotyzmu?

Tu mnie masz. Miałem nadzieję właśnie na imponujący pokaz męskiego idiotyzmu. Uzyskanie „spektakularnego” jest nie lada osiągnięciem.

Francesca prychnęła.

Co by było, gdyby cię dotknął?

Masz rację. Powiniennem sprawić sobie rękawiczki. Zazwyczaj mam parę przy sobie. Masz jakieś pieniądze? Kiwnęła głową. Wciąż dysponowała sakiewką, wynegocjowaną od DeGarna. Ale najpierw zamówmy posiłek.

Weszli do najbliższej gospody i Nikodemus wynegocjował z właścicielem stawkę za prywatny pokój z kolacją. Razem wspięli się po schodach do jadalni: brudne ściany, wąskie okna i wiekowy dywan zasłany poduszkami wypełnionymi szmatami. Nikodemus wziął kilka monet i zszedł po schodach, by poszukać rękawicznika.

Francesca obserwowała przez okno, jak zmierza w głąb ulicy. Cienie robiły się dłuższe i na ulicach pojawiło się coraz więcej marynarzy i załóg karawan szukających miejsca na kolację i rozrywkę.

Odwróciła się i rozejrzała po pokoju. Nie zobaczyła żadnych lamp i pomyślała o poproszeniu gospodarza o jakąś. Jednak gdy zaczęła zastanawiać się nad sposobem komunikacji z obcym, poczuła uderzenie wstydu.

Usiadła na dywanie. Jako lekarka zastanawiała się czasami, jak by to było, gdyby to jej przytrafiły się pewne dolegliwości chorobowe. Widziała dość bólu i frustracji, by wiedzieć, jak potężny wpływ na chorego mogły mieć upośledzenia. Do pewnego stopnia zrozumiała swoje początkowe uczucie utraty i złości, bo wyobrażała sobie je już wcześniej. Jednak to, czego sobie nie wyobrażała - i czego zapewne nie mogła sobie wyobrazić żadna sprawna osoba - to tysiące codziennych drobiazgow, w których przeszkadzała ułomność.

Schowała twarz w dłoniach i zaczęła powoli oddychać, kontrolując każdy oddech, pozwalając powietrzu przesuwac się w głębi gardła, by mogła je czuć. Nie potrzebowała lampy. Akapity świetlików mogły jej zapewnić dość światła. Podniosła się i ponownie stanęła przed oknem.

Na ulicy zrobiło się tłoczno. Dwoje dzieci, siedzących przed pustą miską, najpewniej śpiewało jakąś piosenkę, bo ktoś rzucił im kilka drobnych monet.

Nagle Francesca wyprostowała się jak rażona piorunem. Coś przeszło przed jej oczami. Ulica robiła się coraz bardziej zatłoczona. W końcu odnalazła ich wzrokiem. Oboje ubrani w zwykłe spiryjskie stroje: ona z długimi, siwymi włosami, on z burzą czarnych dredów.

Francesca zbiegła po schodach i wypadła na ulicę.

- Vivian! - zawołała. - Lotannu!

Pierwsza odwróciła się staruszka. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Lotannu odwrócił się chwilę później ze srebrnymi zdaniem wyskakującymi z przedramion. Niezdolni zobaczyć run, pozostali piesi nie zwracali na nich uwagi.

- To Francesca - zawołała lekarka, po czym rzuciła dwie złote kopie zdania: To Francesca.

Magowie złapali czary i przetłumaczyli je. Lotannu, który trzymał dłoń Vivian, puścił ją, by rzucić:

Zaskoczyłaś nas swoją obecnością tutaj, magistra.

Mogłabym powiedzieć to samo, odpisała Francesca. Szybko, chodźcie ze mną. Mamy prywatny pokój w tej gospodzie.

Lotannu wymienił szybką korespondencję z Vivian, po czym rzucił:

My?

Ja i Nikodemus. Przybyliście do Avel z rozkazem schwytania go, ale mogę was zapewnić, że walczy z demonicznymi silami w Avel. Was też zaatakował Sawannowy Potwór. Jest naszym wspólnym wrogiem. Teraz musicie zrozumieć, że zdołamy przetrwać, jedynie tworząc sojusz. Po rzuceniu tekstu do Lotannu skopiowała go i rzuciła kopię w kierunku Vivian. Magowie wymienili pospieszną korespondencję, ale Francesca wtrąciła się prędko: Weźcie pod uwagę przynajmniej czasowy sojusz.

Dowiedzieliśmy się wielu rzeczy, z których część dotyczy ciebie, magistra, odparła Vivian.

Rozumiem, że mi nie ufacie, ale dajcie mi szansę na wyjaśnienie, odpowiedziała Francesca, po czym zauważyła trzymaną przez Lotannu księgę. Czy duch Shannona wciąż jest w moim dzienniku?

Vivian kiwnęła głową.

Owszem. Ale najpierw powiedz mi, czemu korespondujemy w numenosie, zamiast normalnie rozmawiać?

Straciłam zdolność słyszenia, wyjaśniła kleryczką. Jednak nie powinniśmy odbywać tej rozmowy tu, na ulicy. Przynajmniej wejdźcie ze mną do gospody. Będę mogła wszystko wyjaśnić, a wy rozważycie moją ofertę.

Magowie znowu zaczęli korespondować i tym razem trwało to dłużej. W końcu Vivian odpowiedziała:

Prowadź, magistra, ale jeśli dojrzę pierwszą oznakę zdrady, osobiście zgaszę twój umysł.

W drodze do warsztatu rękawicznika Nikodemus minął masywnego strażnika karawany ze starymi brązowymi rękawicami przy pasie. Pomyślał o nich dopiero, gdy mężczyzna oddalił się na jakieś sto metrów. Pobiegł za strażnikiem i rzucił mu srebrnego suwerena. Potem zaoferował jeszcze jednego w zamian za rękawice. Ochroniarz chciał kolejnych trzech, w końcu jednak dobili targu.

Zadowolony z szybkiego załatwienia sprawy, Nikodemus pospieszył do gospody. Rękawice były trochę za duże i pachniały potem, ale spełnią swoją rolę. Od strony bramy rozległ się nagle gwałtowny chór krzyków, jakby karawana próbowała wejść do miasta w chwili, gdy inna je opuszczała. Nikodemus przyspieszył kroku, jednak gdy dotarł do gospody, zatrzymał go dziwny widok.

Francesca szła w stronę wejścia do budynku. Jej śladem podążali mężczyzna i kobieta - oboje ubrani w niewyróżniające się kamizele. Kobieta lśniła jednak tak potężnym blaskiem numenosa, że wyglądała niczym mała gwiazda.

Pokrywająca ją proza była bardziej wyszukana od każdej widzianej dotąd przez Nikodemusa i tak jasna, że dostrzegał tylko słabe przebliski tekstów prączyka. Pamiętał tylko jeden czar, który osiągał podobną jasność: tyradę, którą rzucił przeciw Fellwrothowi lata temu, na Walcowym Moście nad Starhaven. Był w stanie skomponować ten czar jedynie dzięki pomocy szmaragdu.

Francesca rzuciła krótki tekst do obu idących za nią magów, po czym weszli do gospody. Mężczyzna z długimi dreadami i kobieta pokryta lśniącą prozą weszli za nią.

Nikodemus otrząsnął się, jakby wyrwano go z transu. Chór krzyków dobiegających od strony bramy przybierał na sile i gasł, jakby karawany na zmianę krzyczały na siebie. Potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z siebie to dziwne uczucie. W pokrytej prozą kobiecie było coś... imponującego, niewątpliwie, ale też coś jeszcze. Czy mogła wydawać się... znajoma?

Pędem pobiegł do drzwi gospody. Świecąca jak gwiazda kobieta znajdowała się w połowie pomieszczenia. Stopy Nikodemusa zdawały się poruszać samodzielnie, niosąc go przez salę. Jego dłonie wydawały się należeć do kogoś innego, gdy ściągał rękawice. Jednak im bliżej kobiety się znajdował, tym bardziej był pewien, że ją zna. Że była kimś, kogo znał całe swoje życie.

Nagle wszyscy w sali umilkli i odwrócili się w stronę drzwi. Może usłyszeli krzyki dobiegające od bramy. Nikodemus był jednak zbyt skupiony na gwiazdzistej kobiecie, by się tym przejąć. Obróciła się w bok, by prześliznąć się między dwoma grupami mężczyzn, i Nikodemus zobaczył, że każdy kosmyk jej długich, jedwabistych włosów jest owinięty

skomplikowanym tekstem. Nawet oczy miała zasłonięte warstwą nieprzezroczystej prozy. Napisała czar blokujący całe zwykłe światło. Patrzyła na niego, ale go nie widziała. Przeciskała się między ludźmi, trzymając za rękę mężczyznę z dredami.

Ludzie wypełniający gospodę zaczęli mruzczyć coś powoli i niemal melodyjnie. Nikodemus również precyzyjnie przeszedł przez tłum, aż znalazł się prawie na wyciągnięcie ręki od dziwnej kobiety. Stali teraz w głębi sali, tuż przy schodach prowadzących na piętro. Francesca wspięła się już do ich połowy.

W końcu Nikodemus dotarł do upodtekstowanej kobiety i chwycił ją gołą dłonią. Spojrzał w dół, na jej palce. Otaczające je skomplikowane teksty zginały światło tak, że wydawały się gruzłowate, a skóra plamista. Jednak używając zdolności kakograficznej, Nikodemus wysłał w prozę falę dysczarów, rozbijając ją. Odsłonił tym samym szczupłą i gładką dłoń potężnej czarodziejki, niemającej wiele więcej niż trzydzieści lat. Jej oliwkowa skóra miała dokładnie taki sam odcień jak jego.

Z miejsca, w którym ją trzymał, nie wyrosły żadne raki, wysłał więc kolejną falę kakografii w górę jej ramienia aż do głowy. Czary owijające się wokół każdego pasma jej włosów nadawały im wygląd siwych, jednak teraz rozwinęły się i spadły na podłogę, odsłaniając długie pukle, lśniące i kruczoczarne.

W następnej kolejności kakografia zdarła maskę, którą napisała na swojej twarzy, ukazując gładkie policzki, zamiast pomarszczonej imitacji starości.

W końcu kakografia rozpuściła bielmo oślepiające oczy i Nikodemus popatrzył w tęczęwki tej samej jasnozielonej barwy, co u Sawannowego Potwora. Tej samej jasnozielonej barwy, co u niego samego.

Ta kobieta... miała krótszy nos niż Nikodemus i bardziej wydłużone czoło, jednak kształt twarzy i ust, a nawet sposób, w jaki trzymała głowę... Nikodemus zrozumiał, że oto znalazł się najbliżej spotkania z własną matką.

W jej oczach również dostrzegł rozpoznanie. Powoli otworzył usta.

- Siostrze - wyszeptał powoli, oszołomiony. - Zimorodku.

Świat zwalnia! stopniowo, aż zawisł zawieszony na tej jednej chwili. Potem momentalnie skoczył do przodu i Zimorodek wyrwała dłoń z uchwytu Nikodemusa. Tłum wokół zaczął wycić, wykrzykując melodyjnie bezsensowne fragmenty słów.

Nikodemus odskoczył, gdy siostra sięgnęła ku jego gardłu dłonią pełną srebrzystych, ostrych słów.

Kapitan Izem zawrócił „Lancę Królowej” w celu podejścia do wieży ogrodu. Cyrus zmarszczył brwi, przyglądając się przesmykowi. Pomimo potężnego wiatru unosiła się w nim tylko połowa ze zwykłej liczby pułapek wiatrowych.

Razem z Izemem przeredagowali „Lancę Królowej” w konformację bojową: sześciokątny kadłub, ostre żagle dziobowe. Dzięki temu Cyrus mógł pobiec przez kadłub i złapać Izema za rękę.

- Kapitanie, pułapki wiatrowe - ostrzegł.

- Widziałem - odparł Izem. - Może Oria ściągnęła je na wypadek, gdyby dotarł tu sztorm?

Cyrus potrząsnął głową.

- Lotnie zwiadowcze musiały zgłosić, że burza przejdzie wiele kilometrów stąd.

- Spróbujmy przynęty dokowej - zasugerował Izem. - Przygotuj pomocniczy żagiel rufowy.

- Tak jest, kapitanie.

Cyrus ruszył na rufę. Redagując żagiel, który mógłby podwoić ich ciąg, przyglądał się, jak „Lanca Królowej” zawisa nad pokładem startowym. W pawilonie marszałek stał hierofanta w szatach i turbanie. Nie marszałek Oria - ta, dowodząc, chodziła zawsze z gołą głową. Ze szczytu pawilonu rozwinęły się barwne flagi z poleceniem kontynuacji dokowania.

Izem uniósł „Lancę Królowej” o dwa metry w górę, a potem opuścił ją z powrotem. Tego rodzaju manewr był typowy dla większych statków wymagających poprawki ożaglowania. Jednak Pustułka mogła dokować w dowolnej konfiguracji. Dowódca na pokładzie musiał o tym wiedzieć.

Cyrus zakończył redagowanie dodatkowego żagla rufowego i rozejrzął się po niebie w poszukiwaniu wrogich płócien. Nie zauważywszy niczego, skupił się z powrotem na {wkładzie. Stojący tam oficer patrzył na nich w napięciu. Musiał wiedzieć, że mu się przyglądają.

Potem wykonał szybki gest i na pokład z krzykiem wypadło ze dwudziestu pilotów - wszyscy ze zwojami naładowanej językiem tkaniny. „Lanca Królowej” potrafiła rozedrzeć na strzępy każdy statek powietrzny, ale w walce z chmurą lotni mogła bronić się jedynie dzidki załodze rzucającej ostre żagle burtowe. Było to do zrobienia z pięcioma pilotami na pokładzie, jednak przy zaledwie dwóch Izem i Cyrus nie mieli szans przeciwko lotniom.

- Żagiel pomocniczy! - krzyknął Izem. Cyrus chwycił centralny ustęp żagla i ożywił go do działania. Podwójny żagiel rozwinął się, wyrzucając podmuch powietrza. „Lanca

Królowej” szarpnęła do przodu w chwili, gdy z pokładu startowały pierwsze jaskrawe lotnie. - Śródokręcie do ślizgu! - warknął Izem.

- Tak jest. - Cyrus skoczył do przodu. Gdy tylko jego brzuch dotknął tkaniny, przeredagował tekst wokół siebie, wszywając się w statek. Wokół niego „Lanca Królowej” składała się w cienki, sztywny arkusz. Dzięki zmniejszonemu oporowi okręt pomknął na wiatr.

Cyrus obejrzał się i zobaczył okrągłe wrogie spadochrony idące powoli pod wiatr. „Lanca” błyskawicznie oddaliła się od nich, przenosząc się nad ocean. Cyrus znowu zerknął do tyłu i zobaczył, że połowa lotni skręca na północ, w stronę Coldlock.

Izem również skręcił na północ i rozkazał złożenie żagla pomocniczego. Przeciągając się przez tkaninę, Cyrus Wykonał polecenie, po czym udał się na dziób, do Izema.

- Politeiści przejęli wieżę ogrodu - ponuro stwierdził kapitan. - Marszałek Oria nie żyje.

- Albo została schwytana - z nadzieją zasugerował Cyrus.

- Myślisz, że pozwoliłaby się wziąć żywcem?

Cyrus skrzywił się pod chustą. Pierwszą ofiarą Drugiej Wojny Domowej była jedna z najbardziej cenionych przez niego autorek.

- Nie pozwolą nam wylądować w Coldlock - stwierdził Izem, kiwając głową w stronę skrzydła lotni sunących równolegle do nich wzdłuż wybrzeża. - Francesca i Nikodemus są zdani na siebie.

- Ile tekstu nam zostało? - Cyrus popatrzył na pilotów przeciwnika.

- Dość, by wrócić do Lurrikary. Dołączymy tam do floty.

Gdy przelatywali obok Coldlock, Cyrus popatrzył na ufortyfikowane miasto i zaczął się modlić do Celeste i Stwórcy.

Francesca potknęła się, idąc po schodach, i musiała przytrzymać się ściany. Próbowała popatrzeć na swoją dłoń, ale nic nie zobaczyła. Z przerażeniem zrozumiała, że przed jej oczami znowu przesuwiają się macki ślepoty. Obejrzała się, by ostrzec swoich towarzyszy. Lotannu stał pół metra od niej, ale odwrócił się w stronę wspólnej sali. Wszyscy w tłumie się chwiali.

Nagły blask ściągnął spojrzenie Franceski na młodą kobietę o długich czarnych włosach z jej prawej pięści wystawały ostre magnusowe czary, tak jasne, że przypominały srebrną racę. Kobieta dźgnęła bojowym tekstem w kogoś, kogo Francesca nie dostrzegła. Tekstowe ostrze w jednej chwili zgasło i zobaczyła, że rękę kobiety trzyma Nikodemus.

- Niko! - krzyknęła Francesca. Vivian gdzieś zniknęła. Kobieta, która zaatakowała Nikodemusa, gwałtownie wyszarpnęła rękę z jego uchwytu. Z każdego centymetra jej ciała wyskoczyły numenosowe zdania, owijając się wokół jej rąk. Rzuciła się do przodu... ale jej tekst znów zgasi. Nikodemus zrobił krok do przodu i chwycił kobietę, obejmując ją jedną ręką w talii, drugą przyciskając do czoła. Nieznajoma walnęła go pięścią w szczękę dość mocno, by zatoczył się do tyłu. Francesca przez chwilę widziała twarz kobiety. Jej gładka oliwkowa skóra była równie ciemna, jak skóra Nikodemusa, zielone oczy równie jasne, identycznie lśniły też kruczoczarne włosy. Przed kleryczką rozbłysło złote światło jaskrawego numenosowego czaru rzuconego przez Lotannu. Tekst pomknął przez salę, owijając się wokół głowy Nikodemusa. Młodzieniec zatoczył się, gdy podobny do sieci czar objął jego głowę, a potem zdysczarował się w nicość. Lotannu rzucił się do biegu. - Nie! - krzyknęła Francesca. - Do diaska, nie!

- Pobiegnij za nim. Przed jej oczami znowu przesunęły się macki ślepoty. Sawannowy Potwór był coraz bliżej. - Potwór!

Nikodemus i kobieta zataczali się jak pijani w tańcu. Kobieta wyprowadziła uderzenie z łokcia, ale Niko przyciągnął ją mocniej do siebie, nie zostawiając jej dość przestrzeni.

W końcu Lotannu dotarł do nich i rzucił kulę magnusa w prawe oko Nikodemusa. Młodzieniec zatoczył się do tyłu, ale nie puścił kobiety. Francesca zrozumiała, że używa swojej kakografii do cenzurowania jej. Gdy tylko ją puści, kobieta rozerwie salę na strzępy swoją szokującą siłą tekstową. Lotannu znowu uderzył. I wtedy Francesca wkroczyła do akcji. Lewą ręką chwyciła mężczyznę za dredy, a prawą rzuciła mu na głowę własny tekst ogłuszający. Jej złote zdania owinęły się wokół jego umysłu i nieprzytomny padł na plecy, przygniatając kleryczkę do podłogi. Podczas upadku eksplodował szykowany przez niego tekst. Wybuch pozbawił Francescę tchu. Ogarnęła ją całkowita ślepota, która jednak po chwili ustąpiła. Próbowiła wysunąć się spod maga, ale wtedy zobaczyła Nikodemusa. Wybuch powalił go na ziemię. Wciąż jednak trzymał dziwną kobietę. Próbowił się podnieść, ale po chwili ona znalazła się nad nim i szarpnęła mocno, starając się wyrwać z jego uścisku. Ludzie wokół oszaleli. Większość rzuciła się do drzwi, co odważniejsi zaczęli ze sobą walczyć. Wszyscy chyba wrzeszczeli. Potwór najwyraźniej rzucił na nich afazję i majaki. - Przestańcie! - krzyknęła Francesca, wciąż próbując wydostać się spod ciężkiego ciała Lotannu.

- Przestańcie! - Tajemnicza kobieta kopnęła Nikodemusa w ramię, uwalniając wreszcie rękę z jego uścisku.

Francesce udało się wysunąć spod maga. Nikodemus podniósł się na kolana w momencie, gdy kobieta zaimprovizowała magnusową kulę i zawiesiła ją na zdaniu. Używając

obu rąk i obracając biodra, by użyć całej siły nóg, zamachnęła się tekstowym kiścieniem i uderzyła jego kulą w skroń Nikodemusa. Francesca skoczyła do niej, ale głowa Nikodemusa odskoczyła na bok i mężczyzna ponownie upadł na ziemię. Kobieta uniosła tekstową broń nad głowę, ale zanim zdołała ją opuścić, Francesca wpadła na nią i obie się przewróciły. Kleryczka natychmiast spróbowała wstać, a jednocześnie unieruchomić przeciwniczkę, ale wtedy zauważyła, że gospoda niemal opustoszała. W sali zostało zaledwie kilku mężczyzn. Nagle została uniesiona w powietrze przez arkusz magnusa. Czar rzucił ją na ziemię obok Nikodemusa, po czym owinął się wokół jej rąk i nóg. Francesca próbowała uwolnić się z krzykiem, ale okazało się, że jest solidnie związana czarem. Nikodemus leżał obok niej. Do lewego oka z rany na głowie spływała mu krew. Wciąż oddychał. - Nikodemus! - krzyknęła głucho.

Obróci! się w jej stronę, próbując skupić wzrok. Wygląda! na oszołomionego. Usiadł z dużym wysiłkiem, jednak natychmiast stanęła przed nim młoda magini. Jej ciało wypełniały teraz numenos i magnus. Francesca czekała na zabójczy cios spadający na Nikodemusa, jednak ten nie nadszedł. Spojrzała na jarzącą się kobietę, która zwróciła się w stronę wejścia do gospody. Duże fragmenty jej słonecznej prozy zniknęły.

Przez Francescę przetoczyła się kolejna fala ślepoty. Po niej nastąpiło przerażające uczucie spadania i wirowania. Przed jej oczami pojawiały się przebliski świata: piękna proza kobiety, krwawiąca twarz Nikodemusa, niemożliwie wielkie ciało stworzone z szarej skóry, upstrzonej pasożytami, które patrzyły na nią obrzydliwie białymi oczami.

Piękna proza kobiety rozpuściła się i Francescę otoczyła ciemność.

Sawannowy Potwór przybył.

Francesca obudziła się owinięta w gorącą i gryzącą tkaninę. Była zgięta wpół, a coś dużego wbijało się w jej żołądek. Spróbowała jęknąć.

Nagle świat odwrócił się do góry nogami i wylądowała na twardej powierzchni. Chwilę potem znikło to, w co została owinięta, i zobaczyła przed sobą skrawek wieczornego nieba obrysowany dwoma budynkami Coldlock.

Obok niej przysiadł Nikodemus. Przed jego lewym uchem rozciągała się zakrzywiona rana. Jego twarz i ramiona pokrywała ciemniejsza, zaschnięta krew.

Dobrze się czujesz?, rzucił do niej.

Spojrzała na siebie i obmacała się szybko, zanim odpisała:

Chyba tak. Co się stało?

Berr, odpowiedział Nikodemus, po czym obejrzał się przez ramię. Przyszedł i porwał Zimorodka.

Zimorodka?

Moją przyrodną siostrę. Musiał czekać, aż odwróce jej uwagę. Jesteś w stanie iść?

Francesca wstała. Pod nogami miała duży wełniany koc, w który zapewne dla ochrony Nikodemus owinał ją, zanim wyniósł z gospody.

Chyba tak, odpowiedziała niepewnie.

Przy bramie panuje chaos, napisał Nikodemus, ruszając w głąb uliczki. Wartownicy panikują. Myślą, że afazja została spowodowana przez likantropy. Penetrują miasto w poszukiwaniu wilków. Ale możemy się schować w dzielnicy rybackiej.

Francesca podniosła koc i znalazła w nim swój dziennik kliniczny. Nikodemus musiał go zabrać Lotannu podczas ucieczki z tawerny. Ruszyła za mężczyzną i napisała:

Może wróć do tej części z Zimorodkiem.

To była Vivian, wyjaśnił. Pokryła się podtekstami bardziej wyszukany niż cokolwiek, co mógłbym sobie wyobrazić. Umieściła sotyie nawet tekst w oczach, żeby stać się ślepą na zwykły świat. Zdumiewające przebranie.

Francesca potrząsnęła głową.

Przecież mówiłeś, że twoja przyrodnia siostra jest na konwokacji w Ogun.

Wygląda na to, że to była zmyłka. Nasz agent został oszukany.

Ale czemu miałyby się przebierać?

Biorąc pod uwagę fakt, że prawie rozbita mi czaskę, przypuszczam, że chciała się do mnie zblizzyć na tyle, by mnie zabić.

Francesca się zastanowiła.

To wyjściśnialoby również, czemu nie bala się spotkania z Tajfonem. Musiała wiedzieć, że zdoła go pokonać. Ale jak udało się ją zwyciężyć Sawannowemu Potworowi?

Nikodemus skrzywił się, czytając to. Moja kakografia mogła ocenzorować moją siostrę. Berr również jest kakografem z cysarskiego rodu i ma czary poznania czwartorzędowego, które Tajfon dat mu, czyniąc z niego półsmoka. Vivian mogłaby pokonać każdego przeciwnika poza Berrem.

Czy Berr zrobił ci krzywdę?, spytała Francesca.

Nikodemus potrząsnął głową.

Błagał mnie, żebym go uwolnił. Powiedział, że jego umysł wkrótce stanie się krystaliczny. Nie mam pojęcia, co to miało znaczyć.

Nagle Francesca przypomniała sobie, jak głowa Nikodemusa odskoczyła, uderzona kiścieniem Vivian.

Muszę przyjrzeć się twojej ranie, rzuciła do niego. Czy po uderzeniu straciłeś przytomność?

Tak, na krótko. Przyrzysz się jej, gdy się ukryjemy, odparł, nie zatrzymując się.

Jednak kleryczką przystanęła.

Powinniśmy iść do szpitala. Ukryją nas przed strażą miejską.

Zmarszczył brwi.

Czy możemy zaufać klarykom?

Hierofanci ani magowie nie mają nad nimi żadnej władzy. Tam będzie bezpieczniej niż za jakąś chatą rybacką.

Nikodemus przez chwilę analizował jej słowa, po czym kiwnął głową.

Dobrze, przeczekamy tam do zmroku. Wtedy będę mógł używać chtonicznych czarów.

Spojrzała na niebo i zagryzła wargę. Do zmroku zostało jakieś pół godziny.

Ten nocny tryb życia musi się źle odbijać na twoim życiu towarzyskim.

Młodzieniec przyłożył dłoń do czoła.

Wiesz, Fran, że kocham twoją błyskotliwość, ale teraz nie mamy na to czasu.

Dobrze, chodźmy do szpitala. Urwała, spoglądając na niego. Boli cię głowa? Posłał jej cierpkie spojrzenie i wskazał na ranę. Słusznie, na głupie pytanie... odpowiedziała, ale podeszła bliżej. Nie wyglądało na to, żeby miał jakieś problemy z równowagą albo zawroty głowy. Cofnął się i spojrzał na jej uniesioną dłoń. Zrozumiała i natychmiast opuściła rękę.

Szpital jest w tę stronę. Wskazał kierunek i ruszył przed siebie.

Ulice wciąż były mokre po deszczu. Wilgotna ziemia ustępowała pod stopami Franceski. Wyglądało na to, że są prawie na skraju miasta. Wokół było pusto. Strach przed likantropami sprawił, że wszyscy się pochowali. Gdy zbliżyli się do centrum, zauważyła nielicznych ludzi przemykających między budynkami.

Czemu potwór zaatakował Vivian?, zapytała.

Nikodemus znowu przyłożył dłoń do głowy. Mrugnął kilka razy, po czym odpisał:

Nie jestem pewien. W Zielonej Wodzie wspomniał o kimś, kogo nazwał „drugim”. Myślałem, że mówi o drugim smoku, ale teraz przypuszczam, że chodziło mu o drugą osobę z cesarskiego rodu.

Wciąż nie wiemy niczego o drugim smoku, prawda? Vivian wspomniała, że Tajfon prawdopodobnie uciekł z miasta.

Nikodemus zacisnął oczy, po czym otworzył je szeroko. Założę się, że nie uciekł. Założę się, że jest z drugim smokiem.

Francesca nie zdołała powstrzymać śmiechil.

Drogim smokiem? No cóż, siostra z pewnością nie pozbawiła cię kakografii. Westchnął i znowu potrząsnął głową, ale i tak się uśmiechnął. Po chwili zaczął szybko mrugać. Dobrze się czujesz? Francesca powtórzyła pytanie.

Poza bólem gowy nic mi nie jezd. Tyko zmęczy.

Zmarszczyła brwi na widok końcówki tekstu. Pisownia Nikodemusa zdawała się pogarszać. Jeśli to w ogóle było możliwe.

Szli dalej, przechodząc jeszcze dwie ulice. Po drodze minęli kobietę z małym chłopcem biegnących w przeciwną stronę. Przed nimi rozciągała się główna ulica miasta. Budynki oświetlone były przez żółte i czerwone płomienie niewidocznego ognia.

Francesca wskazała w stronę bocznej uliczki. Nikodemus skręcił w nią, ale po kilku krokach oparł się ścianę. Zatrzymała się na chwilę u jej wylotu i obserwowała ludzi na ulicy. Nie wyglądali, jakby im się spieszyło.

Co zrobimy, gdy uciekniemy z Coldlock? Odszukamy Shannona?, napisała i odwróciła się, by rzucić tekst do Nikodemusa, ale ten schylał się, wstrząsany torsjami. - Boże bogów! - zakłęła na głos i podbiegła do niego. Co się dzieje, Nikodemusie? Popatrzył na zdanie, ale zaraz znów zgiął się wpół. Był zbyt niesprawny, by tłumaczyć. - Nikodemusie - powiedziała, rzucając nad głowę chmurę akapitów świetlików. - Popatrz na mnie. - Odwróci! się w jej stronę, ale pośliznął się i stracił równowagę. W ostatniej chwili zdołał oprzeć się ręką o ścianę. Francesca zbliżyła się o krok, ale wtedy nogi ugięły się pod Nikodemusem mężczyzna runął na ziemię. Kleryczką szybko owinęła sobie dłonie wełnianym kocem, po czym wytarła wymiociny z ust mężczyzny i upewniła się, że nie blokują mu dróg oddechowych. Potem przesunęła jego głowę tak, by blask świetlików oświetlał mu oczy. - Boże bogów...

- syknęła. Jego lewa źrenica rozszerzyła się jak duży czarny dysk, a prawa zwęziła do małego punkciku. Często był to objaw nacisku na lewą półkulę mózgu. Poprawiła koc tak, by pierwsze dwa palce obu jej rąk znalazły się w jego dłoniach. - Ściśnij moje palce - poleciła głosem, w którym, miała nadzieję, brzmiały pewność i spokój.

- Ściśnij je najmocniej, jak zdołasz, obiema rękami. - Jego lewa dłoń zacisnęła się na jej palcach, ale prawa ledwie się skurczyła. Najprawdopodobniej coś naciskało na lewą stronę mózgu Nikodemusa, powodując osłabienie jego prawej ręki i źrenicy. - Nikodemusie - powiedziała, znów używając koca, by obrócić jego głowę na bok - natychmiast idziemy do szpitala. - Vivian uderzyła go w kość skroniową, czyli najdelikatniejsze miejsce czaszki. Tłiz pod nią biegła tętnica zasilająca mózg w krew. Jeśli Vivian uszkodziła kość i przebiła tętnicę,

Nikodemus mógł wykrwawić się do czaszki. Uderzenie w pierwszej chwili pozbawiło go przytomności, ale zaraz ją odzyskał. Potem jednak w środku zebrało się dość krwi, by ciśnienie ścisnęło jego mózg. Dlatego tak długo był przytomny, a teraz gasi w oczach. - Wstań! - poleciła. - Nikodemusie, stań! - Miał bardzo niewiele czasu, zanim ciśnienie w głowie doprowadzi do śpiączki. Wkrótce potem przestanie oddychać.

Podniosła go na nogi i używając koca, zarzuciła sobie jego osłabioną prawą rękę na ramię. Częściowo prowadziła go, a częściowo ciągnęła do szpitala.

Operację, która będzie konieczna, przeprowadziła dotąd tylko jeden raz - siedem lat temu w Port Mercy. Ale wtedy asystowali jej bardziej doświadczeni klerycy. I mogła korzystać z całego rezerwuaru numenosowych i magniisowych czarów. Teraz każdy tekst, który zastosuje wobec ciała Nikodemusa, ulegnie natychmiastowemu zdysczarowaniu.

Jednak jeśli w ciągu pół godziny nie rozładuje ciśnienia buzującego w jego czaszce, z pewnością zginie.

Francesca zaciągnęła Nikodemusa do pustego solarium i położyła na stole. Po kilku głębszych oddechach wypełniła ciemne pomieszczenie akapitami świetlików.

Na dole szpitala panował chaos. Sawannowy Potwór zostawił po sobie kilku ludzi nieprzytomnych, dwóch oślepionych i jednego pogrążonego w szaleństwie. Nieliczni klerycy i praktykanci gorączkowo próbowali poradzić sobie z kryzysem. Francesca bała się, że spróbują ją zatrzymać, a okazało się, że ma problem, by zwrócić na siebie czyjąkolwiek uwagę.

W końcu zdołała porozumieć się tekstowo z młodym lekarzem. Nie miał problemu z uwierzeniem, że kryzys pozbawił ją słuchu. Gdy poprosiła o możliwość skorzystania z solarium, powiedział jej, żeby wybrała sobie, które chce, ale uprzedził, by nie spodziewała się pomocy.

Po raz kolejny użyła koca, by wciągnąć Nikodemusa na stół i obrócić go na prawy bok. Wciąż oddychał samodzielnie, ale ruszał kończynami i otwierał oczy tylko, gdy szczypała opuszki jego palców. Nie reagował na jej głos. Jego mózg był wciskany w dno czaszki. Kleryczka wiedziała, że jeśli nie będzie działać szybko, nie uda się go uratować.

W pewnym momencie otworzyły się drzwi i do sali wszedł lekarz, z którym korespondowała wcześniej. Postawił obok stołu tacę i ściągnął z niej szmatkę, odsłaniając rząd metalowych narzędzi, po czym pospiesznie wyszedł.

Od kleryków wymagano, by opanowali podstawowe umiejętności posługiwania się fizycznymi narzędziami, choć używano ich tylko wówczas, gdy nie wystarczały czary.

Dysponując mistrzostwem w raagnusie, Francesca nie używała skalpela od czasu, gdy była praktykantką. Teraz z trwożliwą niepewnością patrzyła na zestaw lśniące stali.

Lekarz wrócił po chwili, niosąc dwa wiadra wody. Jedno postawił na umywalce, a drugie przy stole.

Rzucił zdanie zielonkawych run. Francesca przetłumaczyła wiadomość we wspólnym języku: Muszę wrócić do izby przyjęć. Jesteś zdana na siebie.

Podziękowała młodemu człowiekowi i odprowadziła go wzrokiem. Potem spojrzała na Nikodemusa. Zaledwie kilka dni wcześniej w ten sam sposób patrzyła na leżącą na jej stole Deirdre.

Zamknęła oczy i pzdwoiła, by na krótką chwilę wypełniły ją dobijające się siłą do jej mózgu wątpliwości. Potem jednak odetchnęła głęboko i schroniła się w bezpieczeństwie znanego jej działania.

Podeszła do umywalki i zanurzyła ręce po łokcie w wodzie, rzucając kaskadę drobnych białych run we wspólnym języku magicznym. Potem wyszorowała każdy centymetr dłoni i przedramion i spłukała je w drugim wiadrze. Po wysuszeniu rąk wróciła do stołu. Wiedziała, że w tym przypadku musi zadbać też o własne bezpieczeństwo i nie dotykać bezpośrednio pacjenta.

Wzięła do ręki skalpel i przedłużyła istniejącą ranę z lewej strony twarzy Nikodemusa w kierunku tyłu głowy, napotykając po drodze świeże krwawienie. Zacisnęła kleszcze na płatach skóry i odsunęła je od rozcięcia, by otrzymać czyste pole operacji. Używając tępej strony skalpela, zeszkobała z kości zewnętrzną błonę czaszki. Potem wzięła do ręki wiertło.

Znowu odetchnęła głęboko, tłumiąc powracające wątpliwości. Czubek wiertła dotknął kości. Obróciła korbę i poczuła, jak wiertło wgryza się w twardą zewnętrzną warstwę czaszki. Po kilku minutach opór osłabł i przy każdym obrocie miała wrażenie, jakby wiertło było wsysane do wewnątrz głowy. W końcu dotarła do miękkiej środkowej warstwy kości.

Spodziewała się, że tak będzie, ale i tak ją to zaniepokoiło - dwukrotnie przerwała i wycofała świder, ale do metalu nie przylegało nic wyglądającego na tkankę mózgu. Nie wwierciła się wystarczająco głęboko. W końcu podłoże znowu zaczęło stawiać opór, wskazując, że dotarła do wewnętrznej, twardszej warstwy kości.

Co dwa obroty wyciągała świder i zaglądała do środka. Wzięła z tacy czysty wacik i wprowadziła go do otworu. Dwa obroty wiertła. Nic. Kolejne dwa obroty. Kontrola. Nic. Jeszcze trzy obroty. Nic. Kolejne dwa obroty. Kontrola. Nic. Kolejne dwa obroty. Kontrola.

Wreszcie na kości pojawiła się kropla czarnej krwi. Francesca odłożyła wiertło na tacę i wzięła zgłębnik z tępym końcem oraz drugi, do skrobania. Używając tępego narzędzia,

pomacała rosnącą kroplę krwi i wyczuła pod spodem twardą kość. Nacisnęła mocniej i poczuła, jak pęka. Z czaszki na płat skóry wypłynęła ciemna strużka.

Zachęcona, użyła zgłębnika do skrobania, by sięgnąć do otworu i oderwać kawałki kości na zewnątrz. Każdy usunięty fragment generował nową strużkę krwi. Całkowita jej objętość nie była zbyt wielka, starczyłoby może na filiżankę, jednak nawet mała zmiana objętości w czaszce mogła nieodwracalnie zmiażdżyć mózg.

Nikodemus oddychał wolniej i głębiej.

- Słyszysz mnie, Niko? - zapytała, odkrywając, że jej samej też jest łatwiej oddychać.
- Nie ruszaj się. - Drgnęła mu noga i wykrzywił usta. - Nie ruszaj się, Niko - powiedziała, po czym się roześmiała. - Wszystko będzie dobrze. - Znowu się zaśmiała, jednak był to rozedrgany śmiech. Zamrugnęła, by upewnić się, że nie będzie płakać. Był bezpieczny. Zrobiła to. Uratowała go. Poczowała zalewającą ją falę ulgi. Takie właśnie uczucie wiązało się z osiągnięciem mistrzostwa w sztuce lekarskiej. To wszystko, co zawsze chciała zdobyć. Nikodemus uniósł prawą rękę. - Nie ruszaj się - powtórzyła. Opuścił rękę z powrotem. - Wszystko będzie dobrze.

Skontrolowała otwór i zauważyła płytkę z kości pozostałą w dolnej części. Sięgnęła zgłębnikiem do zdrapywania i oderwała kość. Nagle otwór wypełnił się jasnoczerwoną krwią.

Poczowała silny strach. Tak jasna krew oznaczała uszkodzoną tętnicę. Usunięcie ostatniego kawałka kości doprowadziło do przebicia naczynia pod otworem albo zmniejszone ciśnienie w czaszce umożliwiło krwawienie uszkodzonej wcześniej tętnicy. Krew zalała pole rozcięcia i zaczęła spływać po twarzy Nikodemusa.

Francescę ogarnęła panika. Musiała zatrzymać krwawienie. Tylko jak? Rozejrzała się wokół, ale nie znalazła nic użytecznego. Normalnie zaimprovizowałyby czar, którym odszukałaby i zamknęła krwawiącą tętnicę. Jeśli byłoby to niemożliwe, mogłaby po prostu wsunąć palec do rany, by zatrzymać krwawienie. Ale nie mogła zrobić nawet tego, nie narażając się tym samym na śmiertelną klątwę rakową.

Krew płynęła dalej. Jej strumień przybierał i słabł w rytmie uderzeń jego serca. Jej własne biło jak oszalałe. Miała wrażenie, że jest duchem unoszącym się metr nad własną głową i patrzącym w dół oczyma spanikowanej kobiety. To niemożliwe... Zabije kolejnego pacjenta...

I nagle z tego punktu dziwnego oderwania ujrzała przed sobą wyraźny wybór. Zaciśnąć krwawiącą tętnicę albo nie dotykać Nikodemusa. Uratować pacjenta lub siebie.

Popatrzyła w dół.

Nikodemus wciąż miał zamknięte oczy. Jego twarz była spokojna, niemal neutralna.

Wiedziała już, co zrobi, choć nie była pewna czemu ani nawet co chciała zrobić. W tej chwili nie miało to znaczenia. Położyła lewą dłoń na czubku głowy Nikodemusa, wsunęła najmniejszy palec w czaszkę mężczyzny i nacisnęła zdecydowanym ruchem.

W jej ręce musiała teraz krążyć klątwa rakowa, dysczarując jej prążeżyk.

Jednak trzymała rękę w bezruchu. Dziwnie spokojna, czekała, aż jej pacjent przestanie krwawić.

Francesca starła krew wokół pola operacji. Jej palec nie wydał się od raka, prawdopodobnie więc jej tekst w prążeżyku został zdysczarowany w inny sposób. Być może raki rozprzestrzeniały się teraz na jej płuca lub żołądek. Użyła wąskich kleszczyków do wyciągnięcia skrzepów krwi z mózgu Nikodemusa, po czym zaszyła ranę. Podczas kilku ostatnich szwów mężczyzna chyba jęczał. W każdym razie wyobraziła sobie, że to właśnie robi, gdy widziała, jak otwierają się jego usta. Przemawiała do niego, mówiła, że przeżyje, że wszystko będzie w porządku, że nie powinien się ruszać.

Pół godziny później Nikodemus usiadł, mrugając intensywnie. Teraz, gdy zwolniła ciśnienie zgniatające mu mózg, zagrożenie minęło - pęknięcie czaszki i wywiercony w niej otwór nie będą mu przeszkadzać, o ile nie zostanie znowu uderzony w głowę.

Używając numenosa, powiedziała Nikodemusowi, że zaraz wróci, i opuściła solarium, szukając prywatnego pokoju. Gdy znalazła kilka na trzecim piętrze, wróciła i gestem poleciła mu iść za sobą.

Mężczyzna wstał ze stołu operacyjnego, odkrywając, że może stać bez problemu. Jednak wyraźnie nie ufał swoim nogom i szedł w większej odległości za nią, niewątpliwie bojąc się, że ją dotknie podczas ewentualnego potknięcia. Nie powiedziała mu jeszcze, że pierwszy bezpośredni dotyk mają już za sobą i że ma w sobie raki. Jego troska ścisnęła jej gardło.

Weszli do surowo urządzonego pokoju: była tu prycza z poduszką i kilkoma bawełnianymi kocami oraz umywalka. Pomieszczenie w sam raz na śmierć lekarki.

Francesca rzuciła kilka akapitów świetlików w leniwe kręgi pod sufitem i zaczęła zastanawiać się, czy to ostatnie czary, jakie napisze w swoim życiu. Nikodemus usiadł na pryczy, ściągnął buty i położył się. Kiedy usiadła obok niego, odsunął się, ze strachem oceniając dzielącą ich odległość.

Niko, podczas operacji zacząłeś intensywnie krwawić, przesłała mu na kolana wiadomość. Musiałam cię bardzo długo dotykać. Kiedy przeczytał drugie zdanie, zeszytywniał, jakby napięły się wszystkie jego mięśnie. Potem powoli podniósł na nią oczy. Jego usta rozchyliły się, a oddech przyspieszył. Francesca sięgnęła po jego dłoń. Cofnął ją. -

Proszę... - wyszeptwała, a do jej oczu napłynęły łzy. Bała się. Był to pierwotny strach - jak u dziecka, które zostało samo w ciemnym pokoju. Nikodemus przysunął się bliżej, ale odsunął rękę. W jego szeroko otwartych oczach widziała zmieszanie. Płacząc cicho, położyła dłoń na pryczy. Popatrzył na jej palce z takim przerażeniem, jakby były to jadowite skorpiony. Ostrożnie, powoli przesunął ku nim dłonie, ale się zatrzymał. Popatrzył jej w twarz. - Obawiam się... - próbowała powiedzieć -...tego, co będzie. - Gdy świat rozpląnął się za ścianą łez, zamknęła oczy.

Chwilę później poczuła, jak jego ręka dotyka jej dłoni. Czowała, jak drży, ledwie panując nad odruchem, by cofnąć dłoń. Splotła swoje palce z jego i ścisnęła. Powoli odpowiedział tym samym.

Francesca odetchnęła. Teraz dobitnie poczuła, jak ograniczone było jej życie - wszystko, co chciała osiągnąć i się jej nie udało, samotność, na którą się skazała.

Niespodziewanie Nikodemus szarpnął jej dłoń w górę. Otworzyła oczy i mrugając, pozbyła się z nich łez. Niko opuścił jej rękę i nachylał się nad nią. Odwrócił ją, rozłożył palce i dokładnie oglądał każdy z osobna. Potem spojrział w twarz Franceski, mrużąc oczy. Patrzyła na niego, zupełnie zdezorientowana.

Napisał zdanie i wcisnął jej w dłoń. Przetłumaczyła je:

Ja nie dysczaruję.

Czego nie dysczarujesz? Ponownie chwycił jej nadgarstek i podniósł dłoń, jakby stanowiła najbardziej namacalny dowód, jaki widziały ludzkie oczy. Drugą ręką wskazał na nią, jakby miało to dowieść prawdziwości jego tezy. Dotknęłam tylko małego kawałka twojego mózgu, Niko. Nie mogłam cię pozbawić całego, przeklętego przez boga bogów rozumu, napisała, po czym dodała: Choć obawiam się, że i tak nie masz go zbyfwiele.

Znów uniół jej dłoń, by po chwili puścić. Następnie obiema dłońmi przesunął powoli po skórze jej rąk i napisał: Twój tekst w prąjczyku nie ulega dysczarowaniu, nie powstają w nim błędy, inaczej miałybyś raki wszędzie, gdzie cię dotknąłem.

Popatrzyła na niego w zdumieniu.

Może wystąłeś kłątwy rakowe do innych części mojego ciała? się... - próbowała powiedzieć -...tego, co będzie. - Gdy świat rozpląnął się za ścianą łez, zamknęła oczy.

Chwilę później poczuła, jak jego ręka dotyka jej dłoni. Czowała, jak drży, ledwie panując nad odruchem, by cofnąć dłoń. Splotła swoje palce z jego i ścisnęła. Powoli odpowiedział tym samym.

Francesca odetchnęła. Teraz dobitnie poczuła, jak ograniczone było jej życie - wszystko, co chciała osiągnąć i się jej nie udało, samotność, na którą się skazała.

Niespodziewanie Nikodemus szarpnął jej dłoń w górę. Otworzyła oczy i mrugając, pozbyła się z nich łez. Niko opuścił jej rękę i nachylał się nad nią. Odwrócił ją, rozłożył palce i dokładnie oglądał każdy z osobna. Potem spojrzął w twarz Franceski, mrużąc oczy. Patrzyła na niego, zupełnie zdezorientowana.

Napisał zdanie i wcisnął jej w dłoń. Przetłumaczyła je:

Ja nie dysczaruję.

Czego nie dysczarujesz? Ponownie chwycił jej nadgarstek i podniósł dłoń, jakby stanowiła najbardziej namacalny dowód, jaki widziały ludzkie oczy. Drugą ręką wskazał na nią, jakby miało to dowieść prawdziwości jego tezy. Dotknęłam tylko małego kawałka twojego mózgu, Niko. Nie mogłam cię pozbawić całego, przekłętego przez boga bogów rozumu, napisała, po czym dodała: Choć obawiam się, że i tak nie masz go zbyt wiele.

Znow uniósł jej dłoń, by po chwili puścić. Następnie obiema dłońmi przesunął powoli po skórze jej rąk i napisał: Twój tekst w prąjczyku nie ulega dysczarowaniu, nie powstają w nim błędy, inaczej miałybyś raki wszędzie, gdzie cię dotknąłem.

Popatrzyła na niego w zdumieniu.

Może wysłałeś kłątwy rakowe do innych części mojego ciała?

Nikodemus pokręcił głową. Gdy cię dotykam, wyczuwam cały twój tekst w prąjczyku. Nie ma w nim żadnych błędów.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Potem Francesca zapytała:

Może nie jesteś już kakografem?

Przeczytał zdanie, zmarszczył brwi i napisał w bicepsie numenosowy czar, rzucając go z dala od łóżka. Francesca nie miała pojęcia, co miał zrobić ten tekst, ale spadł na ziemię i roztrzaskał się. Oboje się przyglądali, jak jego kawałki wiją się i rozpadają w nicość.

To chyba oznacza „nie”, napisała Francesca.

Owszem, potwierdził, wciąż patrząc na rozbite fragmenty. Może należało zgnieść inny kawałek mojego mózgu.

Niestety był za maty, by dać mi pole do eksperymentów. Chyba się roześmiał, czytając tę uwagę, ale nie odpowiedział, tylko znowu popatrzył na jej zdrową rękę. Spojrzała na niego. On na nią. A więc jeśli wciąż jesteś kakografem, napisała, i nie zmieniasz mojego prąjczyka... Patrzyli na siebie w milczeniu. Z początku przez umysł Franceski przemykały złożone i przerażające pomysły dotyczące jej nieznannej natury. Jednak niczym ziarna piasku przesuwające się przez talię klepsydry wszystkie te chaotyczne spekulacje sprowadzały się do prostej kolejki praktycznych myśli, które nie były ani złożone, ani przerażające.

Sądząc po wyrazie twarzy Nikodemusa, jego myśli biegły podobnymi torami.

Powoli położyła się na nim, obejmując go za szyję, by podciągnąć jego usta do swoich. Siadł pod nią, przesuując rękę wokół jej talii, by do niego przywarła. Ich usta zetknęły się ze zbyt dużą siłą i oboje cofnęli się odruchowo.

Znieruchomieli. Stali się bardziej świadomi tego, co robią. Spróbowali ponownie.

Znowu zbyt mocno na siebie naparli, czując spragnione ciepło języków. Odsunęli się lekko, błędząc między zmieszaniem a pożądaniem zaspokojenia i ukojenia. Ich gra przypominała picie wina przez umierającego z pragnienia. Odczuwali tak wielką potrzebę łykania wielkich, upajających haustów, że każda kolejna porcja wzbudzała żal i niedosyt.

W końcu Nikodemus delikatnie ułożył Francescę na pryczy. Znaleźli się obok siebie, twarzą w twarz. Metodą ostrożnych prób i rozkosznych błędów nauczyli się czerpać z siebie małymi, ale sycącymi porcjami.

Kiedy w końcu wyćwiczyli wzajemną cierpliwość, Francesca ponownie wspięła się na Nikodemusa. Zsunęła swoje szaty, obnażając się do pasa. Po chwili namysłu rzuciła magusowy czar na zasuwę drzwi, żeby nikt im nie przeszkodził.

Nikodemus głodnymi oczami patrzył na jej ciało, napawając się jego widokiem. Ostrożnie, jakby wciąż bał się, że jego dotyk może ją skrzywdzić, przesunął dłonią w górę jej talii, omijając piersi, i delikatnie ujął ją pod brodę.

Przycisnęła policzek do jego dłoni i po raz kolejny wyszeptała, że wszystko będzie dobrze, że nie mbsi się martwić. Jednak gdy rozpiniała jego koszulę, stwierdziła, że jej ręce drżą. Usiadł i pomógł jej uporać się z guzikami. Potem położył się, a ona oparła dłonie na jego piersi. Barwą wyraźnie odcinały się od jego brązowej skóry.

Jego mięśnie napięły się pod jej palcami, formując złote zdanie, które uniosło się do góry. Przetłumaczyła tekst na jego skórze:

Nigdy nie miałem kochanki.

Wyprostowała się i uśmiechnęła, eksponując dołeczki w policzkach. Aby go uspokoić, uformowała zdanie we własnych mięśniach i uniosła jego dłoń do swojej piersi, by je przetłumaczył:

Jeśli nie napiszesz niczego głupiego, zaraz to naprawimy.

Przez chwilę patrzył na nią tak, jakby była jedyną kobietą na świecie. Potem napisał:

Acq z antykoncepcją? Nie możesz począć dziecka.

Oboje jesteście czarodziejami, przypomniała mu. Czarodzieje byli zasadniczo bezpłodni. Bardzo rzadko zdarzało się poczęcie dziecka przez czarodzieja i analfabetę, a w przypadku dwójki czarodziejów nigdy jeszcze do tego nie doszło.

Nikodemus kiwnął głową, ale wysiał ku Francesce jeszcze jedną wątpliwość:

Czy to bezpieczne? Przed chwilą wywierciłaś mi dziurę w czaszce.

Bezpieczne, o ile tylko nie będziesz się zbyt wyśilała.

Z jego twarzy wreszcie zniknął strach. Uśmiechnął się namiętnie, pisząc:

Miałem nadzieję się wysilić.

Też miałam na to nadzieję.

Ale pewnie to ty będziesz musiała się zmęczyć. Roześmiała się. Rozpuścisz włosy?, poprosił.

Francesca z uśmiechem rozplotła warkocz i palcami rozdzieliła pukle.

Akapity świetlików zaczęły opadać wokół nich niczym świetlisty śnieg. Francesca leżała z głową na piersi Nikodemusa, wyczuwając przez skórę bicie jego serca. Powoli zapadając w sen, widziała dźwięki uderzeń: pierwsze jaskrawo fioletowe, potem drugie, ciemnoniebieskie, przechodzące w czerń. Dam dum, dam dum... dam dum... Kolor i dźwięk, i miękkość jego skóry: wszystkie doznania świata wirujące w jednym rytmie bez końca. Dam dum, dam dum... dam dum... Powoli ogarniał ją coraz głębszy sen.

Lotannu usiadł na strzaskanej skrzynce i naciągnął sobie koc na ramiona. Miał ponury nastrój. Choć do świtu została jeszcze przynajmniej godzina, przed bramą tłoczył się tłum karawan - wozów, koni i ludzi.

Atak Sawannowego Potwora na Coldlock przekonał wielu mieszkańców miasta, że bezpieczniejsi będą w Avel. Lotannu wiedział jednak, że przerażeni ludzie znajdą się tam w znacznie większym niebezpieczeństwie.

Odetchnął głęboko, ponownie rozważając, czy powinien przyłączyć się do karawany.

- Nie ma miejsca na żadnym wozie - odezwała się kobieta za nim. Obrócił się gwałtownie. Podobnie jak on, owinięta była wełnianym kocem razem z głową. Na zimne, poranne powietrze wystawiła tylko twarz.

- Chwała Stwórcy! - wyszeptał.

Gestem poleciła mu usiąść.

- Postaraj się nie zwracać na siebie uwagi - powiedziała, siadając na pobliskiej skrzynce. - Wątpię, by ktoś nas tutaj rozpoznał, ale lepiej uważać.

- Ten stwór cię nie zabił?

- W tej chwili wołałabym, żeby to zrobił. - Skrzywiła się. Popatrzył w jej jasnozielone oczy. Niepokojące było widzieć ją w takiej odślonie. - Oprzytomniałam za tawerną - powiedziała cicho, patrząc na bramę. - Przyczepił się do mnie jakiś niezbyt przyjemnie wyglądający mężczyzna. Nie sądzę, żeby miał dobre zamiary. Kiedy dotknął mojej skóry... Gdy dotknął mojej skóry, na jego dłoniach natychmiast pojawiły się blade raki.

Lotannu miał wrażenie, że ktoś z całej siły uderzył go w brzuch.

- Dysczarujesz prajęzyk?

- Dysczaruję każdy język. - Zamknął oczy i odetchnął głęboko. - Zostaniemy w Coldlock - oświadczyła. - Flota wie, że wysłaliśmy czar kolaboris z latarni. Wyślą statek powietrzny, by nas odszukać.

Popatrzył na jej spokojną twarz.

- Zabrano ci zdolność poprawnego pisania?

- Ukradł ją Sawannowy Potwór.

- Ale wciąż jesteś Zimorodkiem.

- Do czasu, aż odzyskamy bestię i odzyskamy moją zdolność poprawnego pisania, będę jak mój przyrodni brat. - Odwróciła wzrok. - Będę drugim Nawałnikiem Burzowym.

Francesca się obudziła. Przed jej oczami igrały małe pomarańczowe rozbłyski. Usiadła. Refleksy osłabły, aż w końcu zniknęły. Za oknem wstawał świt. Przez moment świat nie miał sensu. W pierwszej chwili myślała, że jest w szpitalu w Avel, ale potem przypomniała sobie wydarzenia ostatnich godzin: ucieczka ze szpitala, narastający konflikt w mieście, utratę wspomnień i słuchu, Nikodemusa.

Ze strachem spojrzała obok. Wciąż tam był - szeroka pierś, ciemna twarz, czarna aureola rozrzuconych na poduszce włosów. Poczowała ulgę. To wspomnienie przyjęła z ogromną radością.

Znowu zobaczyła przed sobą kaskadę pomarańczowych błysków. Wydawały się wyskakiwać z ust Nikodemusa. Zerwała się, uświadomiwszy sobie, że nie widzi ich oczami. Patrzyła na spokojną twarz mężczyzny, a równocześnie, jakby w innym polu wizualnym, widziała drobne pomarańczowe iskry. Wyglądało to tak, jakby widziała za pomocą drugiej pary oczu, nienależących do niej.

Rozbłyski znowu osłabły, po czym zniknęły.

W niczym nie przypominało to magicznego tekstu. Gdy światełka powróciły po raz kolejny, zauważyła, że ich pojawienie zbiega się z oddechem Nikodemusa: przybierały na wdechu, znikwały przy wydechu.

Położyła dłoń na piersi kochanka. Wciągnął powietrze, a od jego ust rozbiegło się pomarańczowe światło. Równocześnie pod dłonią wyczuła lekkie wibracje: Nikodemus chrapał.

Czyżby widziała jego chrapanie?

Delikatnie stuknęła go w żebro. Rozproszone pomarańczowe kropki zebrały się nad jego ustami w czerwony błysk i znikły. Nikodemus przeturlał się w jej stronę. W miejscu

pomarańczowych błysków nad jego ustami pojawiło się tylko słatye światło, zwiększające moc i gasnące w rytmie unoszenia i opadania jego piersi.

Widziała szelest oddechu. Biały szum. Doznała niebywalej synestezji. Wszyscy magowie mogli wyczuwać bliskość nieznanych tekstów magicznych w formie niewyraźnych, niewizualnych wrażeń. To jednak było coś całkiem innego. Efekt nie miał żadnego związku z tekstem magicznym. Francesca widziała dźwięki.

Nagle sobie przypomniała: tuż przed zaśnięciem widziała dźwięki uderzeń serca Nikodemusa. Czy mogła widzieć wszystkie dźwięki, czy tylko te wydawane przez niego?

- Francesca - wyszeptła i podskoczyła, gdy jej dźwiękowy wzrok zarejestrował fajerwerki lawendy i bieli.

Strzeliła palcami przy uchu i zobaczyła z lewej strony błysk lśniącej czarnej powierzchni, przypominającej polerowany onyks. Ponownie strzeliła palcami za uchem i znowu zobaczyła, tym razem słabiej, ten sam czarny dźwięk.

Jej uszy wciąż rejestrowały dźwięki, jednak teraz nerwy połączone były nie z częścią mózgu odpowiedzialną za słuch, ale z tą, która odpowiadała za wzrok Franceski. Zmarszczyła brwi i ponownie spojrzała na Nikodemusa. Wymamrotał przez sen coś niebieskiego. Normalnie uznałaby to za urocze, może nawet poetyckie... kochanek mamrocze na niebiesko. Teraz jednak ją to zirytowało. Czyżby zdysczarował nerwy w jej mózgu, zmieniając ich działanie? Czy to w ogóle było możliwe?

Przypomniała sobie, że dwa lata temu leczyła muzyka o słuchu absolutnym, który wiedział, jaki dźwięk grany jest na gitarze właśnie dzięki jej kolorowi. Dokonała wówczas na ten temat obszernego wpisu w swoim dzienniku klinicznym.

Podrzucając dwa akapity świetlików, wyszła z łóżka. Czowała chłód na nagim ciele. Pod zmiętym wełnianym kocem znalazła swój dziennik. Przysiadła na piętach i otworzyła księgę. Odskoczyła do tyłu, gdy z jej kart wyłoniła się widmowa głowa i ramiona. Zapomniała, że jej dziennik służył teraz do przechowywania ducha Shannona.

Jednak widmo, które wylewało się na zimne kamienie podłogi, tym razem nie było dostojnym mężczyzną długich białych dreadach, ale wysoką kobietą z jasną skórą, długimi, brązowymi włosami i czerwoną stułą lekarki na szyi. Francesca zamarła.

Duch, kiedy już wyłonił się w całości, usiadł i zamrugał, rozglądając się po pokoju. Gdy oczy widmowej kobiety spoczęły na Francesce, uśmiechnęła się zaczęła wstawać. Francesca również podniosła się, a wteclý świat wokół zaczął wirować. Dopiero teraz to dostrzegła. Twarz ducha była starszą wersją jej własnego oblicza.

To nie miało sensu, Francesca nigdy nie napisała ducha, nigdy nawet nie zaczęła rozważać jego pisania. Uśmiech kobiety pozostał łagodny jak we śnie. Jej widmowa wersja wyciągnęła przezrzystą dłoń wnętrzem na zewnątrz. Kleryczka powoli powtórzyła ten gest, przystawiając swą dłoń do dłoni ducha. Dotknęły się. Delikatne ciepło wypełniło Francescę, rozlewając się wzdłuż jej ręki.

Duch postąpił do przodu, tak że większa część ich rąk nałożyła się na siebie. Ciepło było coraz intensywniejsze. Duch się odwrócił, a Francesca zrobiła krok do przodu. Stały teraz w tym samym miejscu. Były jedną istotą, złożoną z ciała i tekstu.

Francesca momentalnie pojęła wszystko to, co wiedział duch. Stała się wszystkim tym, czym był, i jednocześnie wszystkim, czym była jego autorka.

Urodziła się pod innym imieniem trzysta lat temu na Spalonych Wzgórzach, studiowała magiczne języki w Astrophell i medycynę w Port Mercy. Swoje pierwsze stanowisko kleryczki objęła nie w zacofanym Avel - jak zrobiła to setki lat później - ale w prestiżowym szpitalu w Chandralu, gdzie zdobyła uznanie jako mistrzyni uzdrawiania.

Wspomnienia doświadczeń przemykały przez jej umysł, tworząc równocześnie nieziemskie i tak bardzo realne wrażenie. To była prawdziwa ona. Jakaś jej drobna część podświadomie zawsze o tym wiedziała.

Po Chandralu objęła stanowisko w szpitalu w THlinon, gdzie nadzorowała budowę drugiego szpitala na zewnątrz murów miejskich, obsługującego coraz większą liczbę mieszkańców. Jej szpital osiągnął wielki sukces i wkrótce skontaktowało się z nią tajne stowarzyszenie kontrolujące większość miejskich bogactw i interesów. Wstąpiła w ich szeregi. Dopiero po latach zrozumiała, że są wyznawcami demonów. Spotkała Tajfona, który przekonał ją, że Dysjunkcją już się rozpoczęła i nastanie demonów wcale nie musi odbywać się na drodze przemocy. Z pomocą swoich wyznawców Tajfon miał doprowadzić do nowej złotej ery. Jeśli Wojna Dysjunkcji zakończy się w jej czasach, Francesca zostanie jego główną kleryczką. Jeśli umrze przed czasem, stanowisko to dostanie jej duch.

Zaprzysięgła się Tajfonowi.

Zgodnie z wymaganiami stawianymi wyznawcom demonów pracowała w ukryciu, nawet w obrębie własnego szpitala. Jednak używając swoich wpływów, zdobywała fundusze i wsparcie polityczne. W trzeciej części życia rozbudowała szpital i podniosła jego reputację do najwyższego poziomu w mieście. Pod jej przewodnictwem liczba dobroczynnych darów dla najbiedniejszych mieszkańców miasta uległa potrojeniu.

Najbystrzejszych kleryków rekrutowała dla sprawy Dysjunkcji. Zapewniała jej agentów z przeszkoleniem medycznym i urzędzała placówki dla komórek zajmujących się

akcjami zbrojnymi. Udzielała nawet porad lekarskich przy zabójstwach kilku czarodziejów, uważanych za oponentów Dysjunkcji.

Sto lat temu na rozkaz Tajfona podjęła rygorystyczną próbę pisania ducha, tworząc tekst znacznie wytrzymalszy niż inne duchy zamieszkujące wtedy nekropolię Astrophell. W dniu swojej śmierci zapisała się w dużym kodeksie w prywatnej bibliotece. Tajfon planował wydobyć ją z księgi po rozpoczęciu Wojny Dysjunkcji, jednak jego plany uległy zmianie - wyciągnął ją z kodeksu dziesięć lat temu. Musiał powielić część jej tekstu.

Tylko tyle pamiętała.

Teraz stała nieruchomo jak posąg. Jakaś jej część była przerażona, ale znacznie silniejsze było uczucie nagłego, pełnego zrozumienia. Tak wiele spraw nagle nabrało sensu. Jej staromodny akcent, którego nie była w stanie się pozbyć, nie pochodził z pogranicza, ale z odległej przeszłości. Jej ambicje w rzeczywistości nie należały do niej, nie stanowiły części jej własnej natury. Ciągła niepewność wynikała z ledwie odczuwalnej rozbieżności między jej życiem a życiem jej autorki.

Powoli obróciła się w stronę Nikodemusa. Poczowała ból w sercu na myśl o tym, czym mogliby stać się razem. Teraz rozumiała, że kochanek widział jej prajęzyk jako wyjątkowo jasny, ponieważ Tajfon napisał ją za pomocą szmaragdu i swjego bożego czaru, by wytrzymała kakograficzny dotyk. Jego reakcją synestezyjną były uderzenia gorąca, co wywoływało rumieńce na policzkach.

Sawannowy Potwór próbował wyciągnąć z jej mózgu wspomnienia, jednak nie udało mu się to, ponieważ nie miała ludzkiego mózgu. Potwór zniszczył więc część jej tekstualnego umysłu odpowiedzialną za słuch. Później, gdy kochała się z Nikodemusem, jej umysł wykorzystał jego kakografię do przepisania się w sposób umożliwiający odbieranie dźwięków.

Zrozumiała wtedy, że Nikodemus sprawiał, że język wokół niego stawał się nie tylko bardziej chaotyczny, ale też bardziej intuicyjny. Francesca była stworzeniem intuicyjnego języka, w związku z tym Nikodemus miał na nią transformujący wpływ.

Jej myśli gnały przed siebie, jej intelekt rozwijał się coraz gwałtowniej, odchodząc od ludzkiego umysłu w coś z niezwykle precyzyjną percepcją przeszłości i najbardziej prawdopodobnych przyszłości. Rozwijała w sobie potężne poznanie czwartorzędowe.

Uświadomiła sobie, że jej zdolność rejestrowania czasu zawsze manifestowała się w jej umiejętności prognozowania, spoglądania w przyszłość i dostrzegania możliwych zmian w ciałach pacjentów. Teraz jej percepcja czasu rozszerzyła się poza ciała i dostrzegała potencjał całych miast i królestw. Widziała przyszłość jako trójwymiarowy, opadający w

nieskończoność krajobraz. Musiała przemieszczać się w dół terenu, w przód przez czas. Jednak było tam miejsce na ruchy poziome.

Zrozumiała teraz, w jaki sposób Tajfon wprowadził w ruch różne siły, tworząc czasowy wąwóz, próbując wymusić nastanie Dysjunkcji. Zrozumiała, czemu Sawannowy Potwór zaatakował Vivian, a nie Nikodemusa. Stała się dla niej jasna natura drugiego smoka. Tajfon odniósł większy sukces, niż mógł sobie wyobrazić.

Nagle jej żołądek ścisnął zimny strach. Demon napisał ją, by odbierała czas jako krajobraz. Musiał podjąć odpowiednie kroki, by upewnić się, że będzie w stanie zrealizować jego plany pomimo, a raczej dzięki tej wrażliwości.

Jej przeznaczeniem było rozpoczęcie Dysjunkcji.

Kiedy jej ręce zaczęły się trząść, dostrzegła, że jarzą się nupienosową prozą jej ducha. Nagle strach został zastąpiony przez upokorzenie. Cóż za skretyniały autor wpisał duszę kobiety, pełną pragnienia wolności, w konstrukt uwięziony na z góry zaprogramowanym wyniku? Tajfon albo uwielbiał torturować swoje dzieła, albo był zbyt tępy, by zrozumieć, co robi.

Furia Franceski osiągnęła apogeum. Patrząc na upiorną prozę w swych ramionach, przysięgła, że nie stanie się reinkarnacją własnego ducha albo jej autorki. Choć Tajfon napisał ją na bazie tych kobiet, nie była żadną z nich - tak jak waza nie jest gliną, z której została wypalona. I tak jak waza nie była dłońmi rzemieślnika, który nadał jej kształt, ona nie była i nigdy nie stanie się Tajfonem.

Podeszła do łóżka i usiadła przy Nikodemusie. Przyglądała się dźwiękom jego oddechu, które przechodziły teraz z jasnej bieli w bladą szarość. Położyła dłoń na jego nagim ramieniu. Przejrzysta złota replika jej ręki natychmiast wysunęła się z fizycznego ramienia: jej duch próbował uciec przed kakograficznym dotykiem. Jednak Francesca uformowała we wszystkich kończynach zdania - niczym druty kolczaste - więząc ducha w sobie.

Dotknęła go drugą ręką i poczuła, jak jej duch się rozpada. Z jej dłoni uniosły się smużki przypominających iskry fragmentów numenosa, odpadając z dysczarowanych rąk ducha. Rozpadł się centralny ustęp i widoczny świat zniknął za chmurą run, przez chwilę unoszących się wokół niej niczym odparowane złoto.

Duch Franceski przestał istnieć, rozłożyła tekst, z którego została stworzona.

Nikodemus poruszył się we śnie. Odśloniła włosy z prawej strony jego twarzy i pomyślała o tym, do czego została napisana i czym nie mogła już nigdy więcej być. Kim nie mogła być dla Nikodemusa.

Nagle zamarła. Coś dziwnego stało się z jej percepcją czasu, gdy dotknęła mężczyzny: jakby krajobraz przyszłości uległ zmianie. Dotknęła jego ramienia i zmieniły się ścieżki przyszłości, które widziała wcześniej. Nagle zrozumiała i w jej umyśle zakiełkował pewien pomysł.

Trzymając rękę Nikodemusa, wysłała swój wspomagany umysł w przód, układając ostatni, desperacki plan działania.

Gdy skończyła, przycisnęła wargi do ust kochanka. Uśmiechnął się sennie i objął ją rękami, próbując wciągnąć na siebie. Pocałowała go znowu, równocześnie delikatnie się odpychając. Posłał jej figlarny uśmieszek i pociągnął bardziej stanowczo.>

Potrząsnęła głową.

- Miły - wyszeptala, widząc słowo w formie dwóch jaskrawych nut odpowiednio dla sylab: jasnozielonej i bladeżółtej. Mając dość czasu, powinna nauczyć się, jakie kolory odpowiadają jakim sylabom, jakie odcienie tembrom, jaka jasność głośności. Z czasem, na swój sposób, znowu będzie słyszeć i normalnie mówić. Na razie jednak musiała pisać.

Weisnęła w dłoń Nikodemusa zdanie:

Musisz się obudzić, miły.

Przytrzymał tekst i popatrzył na niego, mrugając. Kiedy zaczął się dysczarować, dotknęła go, poprawiając litery. Spojrzał jej w oczy i usiadł, wysyłając pospieszne:

Czy coś jest nie tak?

Chwyliła jego dłoń.

Tej nocy coś się wydarzyło. Roześmiał się jaskrawoczerwono i zaczął coś pisać, ale powstrzymała go. Tak, to też. Ale nie tylko, coś mającego związek z tym, dlaczego mój tekst w prążyku świeci tak jasno. Skupił na niej czujny wzrok. Zostałam napisana dla ciebie.

Jego twarz zeszywniała, gdy zapytał:

Jesteś konstruktem?

Tak, i to w wielu wymiarach. To dlatego twój dotyk nie wywołuje u mnie kłutwy rakowej. Dlatego też przypominam ci twoją dawną guwernantkę.

April?

Kiwnęła głową.

Fellwroth zobaczył obraz April, gdy uderzyłeś go na Walcowym Moście. Podobnie jak Tajfon, gdy go dotknąłeś. Znajac ten obraz, Tajfon wybrał mojego ducha, żeby cię uwieść, bo najbardziej ją przypominał.

Nikodemus z niedowierzaniem kręcił głową.

Nie możesz być konstruktem. Jesteś zrobiona z prążyka, jesteś zuwa.

Francesca ścisnęła jego dłoń. Na razie nie mam dla ciebie wszystkich odpowiedzi, ale wkrótce je zdobędę. Muszę iść, zanim pierwszy smok ucieknie.

Pierwszy smog? Co się dzieje, Fran? Czy ty słyszysz Dysjunkcji?

Pocałunkiem umieściła mu zdanie na dłoni:

Zostałam stworzona przez Dysjunkcję, podobnie jak ty. Jednak mam pian. Zaufasz mi i zrobisz dokładnie to, co powiem? Z powagą spojrzała mu w oczy.

Bez wahania, napisał, nie odrywając od niej wzroku.

Właśnie miała kontynuować, gdy nagle coś ją uderzyło.

Czekaj, co masz na myśli, pisząc „bez wahania”? rzuciła do niego. Nie zmieniaj się w romantycznego głupka tylko dlatego, że w końcu udało ci się ściągnąć ze mnie ubranie.

Skrzywił się. Czy nie zostałaś napisana po to, żeby mnie uwieść?

Parsknęła. W górę uniosła się biała chmurka tego dźwięku. Trudno jest uwieść mężczyznę, który patrzy na kobietę jak na kawał mięsa.

Nikodemus sapnął, jakby z lekką irytacją, ale się uśmiechnął.

Przekonał ciś mnie, że napisał ci Tajfon: nie mogę zobie wyobrazić, by coś poza tworem demona mogło być tak irytujące. Pocałowała go, mocno i namiętnie. Z uśmiechem oparł się o ścianę, pociągając Francescę do siebie. Gdy leżałem na stole w solarium, napisał na przedniej części jej przedramienia, myślałaś, że cię zdysczaruję. Powstrzymałaś moje krwawienie, wiedząc, że zginiesz. Dobrze to zrozumiałem?

Popatrzyła na niego. Tak.

W takim razie ci ufam.

Pomimo że zostałam napisana przez Tajfona?

Bardzo długo przyglądał się jej swymi zielonymi oczami. Co zamierzasz zrobić?

Użyję tego, co wiem o drugim smoku, by zagrozić planom Tajfona, odpowiedziała.

Drugim smoku?

Nie mogę wyjaśnić. Pokręciła głową. Żeby mój plan zadziałał, musisz stanąć przed Tajfonem nieświadomy tego, co zamierzam zrobić. Tajfon przeszuka twoje myśli, zanim odda ci szmaragd. Nie możesz wiedzieć, co się stanie.

Demon odda mi szmaragd? A jeśli się mylisz, Fran?

Wówczas oboje staniemy się niewolnikami Tajfona, napisała. Razem.

Nikodemus zrobił minę, jakby zjadł coś bardzo kwaśnego.

Choć bardzo cię podziwiam i było mi z tobą cudownie, czy nie jest trochę za wcześnie na rozmowy o związku na wieki?

Francesca się zaśmiała.

Nie mówiłam o małżeństwie, tylko o niewoli u demona. Potem jednak spoważniała. Zapamiętaj uważnie to, co teraz napiszę. Kiwnął głową. Napisała w przedramieniu długi akapit, po czym przeredagowała go i podała mu. Zabierz mój dziennik kliniczny i znajdującego się w nim ducha do twojego obozu. Połącz Shannona z duchem - on nie został przeredagowany przez Tajfona. Zostaw dziennik u koboldów i dopilnuj, by był bezpieczny. Lotannu zapisał w nim kopię czaru, nad którym pracował Tajfon. Potem idź do stacji kołaboris w Avel i odszukaj magistra DeGarna. Obiecaj mu, że opowiesz się po stronie Ligi Starfall, jeśli odda pod twoje rozkazy wszystkich swoich autorów - magów, druidów i kowali. Każ, by cię chronili. Potem zabierz ich do sanktuarium. Drzwi będą otwarte, a strażę będą na ciebie czekać. Kiedy zostaniesz zaprowadzony przez Tajfona, zgódź się na WSZYSTKO, o co poprosi, pod warunkiem że da ci szmaragd.

W miarę, jak Nikodemus czytał tekst, w słowach pojawiały się błędy i Francesca musiała dotykać akapitu, by odwrócić jego kakograficzny wpływ.

Gdy skończył czytać, podniósł na nią wzrok.

Nie zamierzam przyłączyć się do Dysjunkcji, Fran.

Kleryczka energicznie pokiwała głową.

Przyłączysz się, jeśli chcesz uciec przed zniewoleniem, nie wspominając o uwolnieniu mnie z więzów Tajfona.

Nie mogę!

Możesz i zrobisz to. Tajfon będzie o mnie mówił straszne rzeczy. Oskarży mnie o zwodzenie cię. Ale po tym, jak cię dotknęłam, wszystko się zmieniło. Nie powiedziałam ci wszystkiego. Nie mogę ci powiedzieć! Jednak musisz mi obiecać, że mi zaufasz i że zgodzisz się na wszystko - naprawę wszystko - co każe ci zrobić Tajfon. Obiecaj mi!

Przeniósł wzrok z czytanego akapitu i potrząsnął głową.

Nie mogę opowiedzieć się po stronie Dysjunkcji, powtórzył.

- Arrrrr! - Francesca warknęła ze złością. Potem chwyciła jego rękę i ugmiotła ją w słowa: NabogabogówdodiaskaNIKO! Kiedy na nią popatrzył, potrząsnęła jego ramionami, a potem - tylko odrobinę delikatniej - wcisnęła mu w dłoń długie zdanie: Jestem na ciebie taka wściekła i jednocześnie tak niemożliwie szczęśliwa, że się kochaliśmy, że tylko włos dzieli mnie od absurdalnego, idiotycznego i bezgranicznego zakochania się w tobie, pod warunkiem że WCZEŚNIEJ SIĘ DO DIASKA NIE ZABIJESZ, ODMAWIAJĄC OKŁAMANIA CHOLERNEGO DEMONA! Skończyła, chwyciła w dłonie jego twarz i wpiła się w jego usta, wysyłając językiem serię wykrzykników. Nikodemus wyciągnął je z ust i roześmiał się

czerwonym pyłem. Potem wziął ją za rękę. Obiecuj, że zrobisz, co mówię, napisała i posłała mu swoje najbardziej błagalne spojrzenie. Zaufaj mi.

Zamknął oczy i westchnął. Obiecuję.

Znowu go pocałowała. Potem ubrała się i wybiegła z pokoju. Za kilka godzin wszystko się zmieni.

Cyrus obudził się w niemal całkowitej ciemności koszar. Minęła chwila, zanim przypomniał sobie poprzednią noc. Razem z Izem przelecieli „Lancą Królowej” całą drogę do Lurrikary w ciemności, natykając się na burzę jakiegoś sto pięćdziesiąt kilometrów od wyspy.

Łądowania nocą były trudne nawet w najlepszych warunkach - piloci musieli używać jako znaczników flag z naładowaną tekstem tkaniną - a przy wiejącym wietrze wydawało się to samobójstwem. Jednak nie mając innej opcji niż wodowanie „Lancy Królowej” w oceanie, razem z Izem pracownicy przeszli przez procedury i zadokowali okręt tuż przed północą. Gdy tylko wytarli się do sucha, padli do łóżek, niemal nieprzytomni ze zmęczenia.

Teraz siedział, przecierając oczy. Słońce nie mogło jeszcze wspiąć się zbyt wysoko.

- Pora wyjść z łóżka, pilocie - od drzwi odezwał się Izem. - Właśnie dostałem wiadomość z pokładu startowego. Sztorm minął. Cała flota wznosi się w powietrze.

Cyrus przycisnął ręce do twarzy.

- Cudownie - rzucił. Pomyślał o Francesce. Miał nadzieję, że jest bezpieczna w zatoce Coldlock.

- Za godzinę rozpoczniemy Drugie Oblężenie Avel - rzucił Izem.

W chwili gdy Nikodemus przejechał przez krzewy do tymczasowego obozu wzniesionego przez uczniów, sekwojowy las rozświetlały skośne promienie późnoporannego słońca. Jako pierwszy z namiotu wyłonił się Żyła, sennie mrużąc oczy w świetle dnia. Odpowietrzający czar Franceski został już usunięty z piersi kobolda. Wyglądał na zdrowego, ale ciągle rusza! się dość ociężale. Nikodemus objął go ostrożnie. Po chwili z namiotów wyłonili się Krzem i Jasp. Witając się z uczniami, poczuł ból w sercu. Z piętnastu młodych koboldów, których wyprowadził z gór Szczytów, przy życiu pozostało tylko tych trzech.

Żyła zgłosił, że w obozie nie działo się wiele: Shannon wydawał się słabszy niż zwykle, ale pozostała trójka była zdrowa i chętna do zemsty na Sawannowym Potworze i Tajfonie. Nikodemus pokręcił głową i powiedział, że muszą zostać w lesie, by ochronić Shannona i bezcenną księgę, którą przywiózł ze sobą.

Szybko zrelacjonował im wydarzenia od czasu swojego odlotu na „Lancy Królowej”. Koboldy słuchały go uważnie. Jasp poprosił Nikodemusa o możliwość towarzyszenia mu do Avel, ale ten odmówił.

- Jeśli powiecie mi się w mieście - odezwał się w języku koboldów - powrócę do was za kilka dni. Jeśli nie... dopilnujcie, by Shannonowi żyło się jak najlepiej, aż nadejdzie jego czas. Potem wróćcie do swoich rodzin w górach, wiedząc, że walczyliście z demonem dzielnie i honorowo. - Jasp wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale dwa starsze koboldy zgodnie kiwnęły głowami. Młodzieniec zdjął jeden z końskich juków i zapytał, gdzie jest Shannon. Żyła wskazał jeden z namiotów.

Staruszek leżał na kocu, z obojętną twarzą i otwartymi ustami. Nikodemus się wystraszył, że jego przyjaciel nie żyje. Gdy zawołał go po imieniu, Shannon drgnął i chrapnął. Po chwili przetarł białe oczy i zamrugał. Siedząca na żerdzi obok Lazor kilka razy żałośnie zaskrzeczała.

- Nikodemus? - zapytał staruszek, z wysiłkiem próbując usiąść. - Czyli nie zginąłeś na sawannie.

- Na Stwórcę! Wystraszyłeś mnie, magistrze - zawołał Nikodemus, siadając obok nauczyciela. - Nie, nie zginąłem. Ale nie było to łatwe.

- Nie wątpię. - Staruszek znowu potarł oczy. - I co, było warto? Złapałeś Sawannowego Potwora?

- Odzyskaliśmy twojego ducha - oznajmił nagle Niko.

Shannon gwałtownie obrócił głowę. Nie skierował oczu w stronę Nikodemusa. Nie zamrugał. Wydawało się, że nawet nie oddychał.

- Co powiedziałeś?

- Odzyskaliśmy twojego ducha - powtórz! mężczyzna, wyciągając z torby księgę.

Starzec popatrzył na opasy tom.

- Tu... tutaj?

- Tak. Pozwól, że otworzę...

- Nie - szybko zaprotestował staruszek. - Nie. Jeszcze nie. Najpierw opowiedz. - Nerwowo obliznął wargi.

- Opowiedz mi wszystko. - I Nikodemus opowiedział. O Sawannowym Potworze, który jest Jamesem Berrem, o Vivian, która jest Zimorodkiem, i o Francesce, która jest wielką tajemnicą. Opowiedział, jak został zraniony w głowę i jak kleryczka dotknęła go, nie doznając kłątwy rakowej. Opisał jej objawienie i odkrycie dwóch ukrytych smoków Tajfona.

- Zostaliście kochankami - obiektywnym tonem stwierdził Shannon, kiedy Nikodemus zbliżył

się do końca relacji. To nie było pytanie. Młody mężczyzna się zaczerwienił. - To brzmi w twoim głosie - dodał starzec. - Słyszę to. I nie wiem, co ci powiedzieć. Tylko skąd wiesz, że mój duch nie został przepisany przez Tajfona?

- Francesca powiedziała, że tak nie jest. - To wszystko, co Nikodemus potrafił powiedzieć.

- Ona może być jakimś nowym rodzajem golema, ożywionym ciałem, kierowanym przez świadomość tekstową i nasyconym prążykiem po to, by cię*oszukać - zauważył Shannon. Nikodemus nie odpowiedział.

- Nie możesz jej ufać - ostrzegł.

- Poświęciła się dla mnie, gdy umierałem na stole operacyjnym.

- Może do tego została napisana. Może nie ma wolnej woli. - Nikodemus milczał. - Stwórco, uratuj nas

- z irytacją mruknął Shannon. - Myślisz, że się w niej zakochałeś.

- Nie jestem jakimś naiwnym smarkaczem, magistrze. Deirdre znalazła dowody, że Francesca może powstrzymać drugiego smoka.

- Nie wiesz, kim ona tak naprawdę jest. Ona sama tego nie wie. - Zauważywszy, że staruszek nie spuścił wzroku z dziennika, Nikodemus podniósł księgę.

- Więc jak, chcesz się połączyć ze swoim duchem czy nie?

Głodne spojrzenie Shannona podążało za księgą.

- Chcę - powiedział prawie szeptem i po chwili dodał: - Niko, od kiedy odszedłeś, mój stan gwałtownie się pogorszył. Gdy próbuję... - Urwał i spojrzał w stronę Nikodemusa. Wyraźnie próbował się do czegoś zebrać. - Może nie zdołam tego powiedzieć, to zbyt zawstydzające. Ale... widzisz chyba, jaki zrobiłem się blady. - Dotknął wychudłą dłońią swojego policzka, a Nikodemus spostrzegł, że jego cera faktycznie stała się niepokojąco blada.

- Magistrze, Francesca wierzy, że demon odda mi szmaragd...

- Nawet gdybyś w tej chwili trzymał ten klejnot w dłoni, nie sądzę, żebyś mógł mi zapewnić wiele czasu. Mogło mi zostać jeszcze kilka dni. Może tylko jeden... - Nikodemus próbował zaprzeczyć, ale staruszek uniósł dłoń. - Znowu zamierzasz uciec. Spotkasz się z Francescą w sanktuarium? - zapytał.

- Magistrze, Francescę wysłała do nas Deirdre. Muszę...

- Musisz zrobić to, co musisz - rzucił staruszek, ale potem jego głos złagodniał. - Stwórca wie, że sam musiałem zostawiać w życiu innych. - Nikodemus wiedział, że staruszek ma na myśli swoją żonę i syna, których musiał zostawić lata temu, wyruszając do Astrophell.

- Jeśli musisz iść, to musisz. - Shannon kiwnął głową. - Ale zostaw mi dziennik. Niezależnie od tego, czy demon go przepisał, czy nie, duch będzie moim ostatnim pocieszeniem.

- Nie porzucam cię, magistrze - zapewnił Nikodemus. - Wrócę.

- Oby Stwórca sprawił, że będziesz miał rację, mój chłopcze. Proszę, Stwórco, niech tak będzie.

Nikodemus chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. W końcu położył dziennik przy Shannonie.

- Będę o tobie myślał, magistrze.

Starzec wyciągnął rękę. Nikodemus wiedział, że nie zamierza go dotykać, nie mógł tego robić. Również wyciągnął dłoń i przytrzymał ją kilka centymetrów od dłoni magistra. Był to jedyny gest, jaki mógł mu zaoferować.

- Ja również myślami będę przy tobie, mój chłopcze

- powiedział staruszek. Nikodemus zamierzał wyjść, gdy Shannon znów się odezwał:

- Pamiętaj, nie będziesz miał do czynienia z przeciwnikiem, który chce cię rozerwać na strzępy. Tajfon nie jest taki jak Fellwroth. Jest znacznie subtelniejszy. Może nie tyle próbować cię uwięzić, co zauroczyć.

- Shannon znowu popatrzy! na dziennik. - Z tym duchem może robić to samo ze mną.

- Nikodemus poruszył się niespokojnie. Staruszek milczał przez dłuższą chwilę, po czym podjął: - Być może poświęcamy nasze życia, kochając się w fikcjach. - Zamilkł na chwilę.

- Uważaj na siebie, mój chłopcze.

- Obiecuję.

Duch po raz pierwszy był świadom, że zostanie wyciągnięty z książki. Części jego podzielonego do Astrophell. - Jeśli musisz iść, to musisz. - Shannon kiwnął głową. - Ale zostaw mi dziennik. Niezależnie od tego, czy demon go przepisał, czy nie, duch będzie moim ostatnim pocieszeniem.

- Nie porzucam cię, magistrze - zapewnił Nikodemus. - Wrócę.

- Oby Stwórca sprawił, że będziesz miał rację, mój chłopcze. Proszę, Stwórco, niech tak będzie.

Nikodemus chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. W końcu położył dziennik przy Shannonie.

- Będę o tobie myślał, magistrze.

Starzec wyciągnął rękę. Nikodemus wiedział, że nie zamierza go dotykać, nie mógł tego robić. Również wyciągnął dłoń i przytrzymał ją kilka centymetrów od dłoni magistra. Był to jedyny gest, jaki mógł mu zaoferować.

- Ja również myślami będę przy tobie, mój chłopcze

- powiedział staruszek. Nikodemus zamierzał wyjść, gdy Shannon znów się odezwał:

- Pamiętaj, nie będziesz miał do czynienia z przeciwnikiem, który chce cię rozerwać na strzępy. Tajfon nie jest taki jak Fellwroth. Jest znacznie subtelniejszy. Może nie tyle próbować cię uwięzić, co zauroczyć.

- Shannon znowu popatrzył na dziennik. - Z tym duchem może robić to samo ze mną.

- Nikodemus poruszył się niespokojnie. Staruszek milczał przez dłuższą chwilę, po czym podjął: - Być może poświęcamy nasze życia, kochając się w fikcjach. - Zamilkł na chwilę.

- Uważaj na siebie, mój chłopcze.

- Obiecuję.

Duch po raz pierwszy był świadom, że zostanie wyciągnięty z książki. Części jego podzielonego na poszczególne strony umysłu łączyły się ze sobą. Działo się to powoli, jakby ktoś zawahał się przy otwieraniu okładki. Kilka kolejnych stron połączyło się i duch odzyskał intuicyjną wiedzę o tym, jak chodzić. Następne strony i poprawiła się jego pamięć i zdolność percepcji.

Wszystko to sprawiło, że stał się niecierpliwy i zaniepokojony. Kto tak wolno otwierał okładkę? I dlaczego się wahał?

W końcu jego intelekt odzyskał dość połączeń, by tekstowy instynkt wyciągnął go z księgi. Duch stanął wewnątrz płóciennego namiotu, przez którego ściankę przeświecała plama słońca. Zaczął się zastanawiać, co takiego stało się z planami magistry Niyol, że zostali zmuszeni do rozstawienia namiotu? Odwrócił się, by zapytać o to magistkę lub Lotannu... i wtedy go zobaczył. Siebie... Swojego autora.

Pierwszą reakcją ducha była panika. Cofnął się o krok ze strachu, że Shannon rzuci odczar albo że przez kłapę namiotu wpadnie zaraz Nikodemus. Jednak jedynym dźwiękiem był szum wiatru w koronach drzew.

Jego autor leżał na śpiworze. Miał przeredzoną brodę i odgarnięte z wychudzonej twarzy dredy. Jego oczy... jego puste białe oczy patrzyły na niego z niepokojem i wyczekiwaniem.

Strach ducha zniknął. Zrozumiał, że jego tekstowe ciało jest słabe jak światło z dralijskiego świetlika. Jego prawa ręka została rozłożona rakami, a ustępy wokół stawu zaczynały się rozpadać.

- Kiedy się tak zestarzelimy, Shannon? - wyszeptał jego autor.

Duch uśmiechnął się lekko i wyciągnął rękę. Jego autor drżąc powtórzył ten sam gest. Po chwili zetknęli się ze sobą. W górę ręki i w głębi ciała ducha pomknęła fala złotych run. Powoli opadł na kolana, a potem ułożył się w swoim autorze.

W przeciwieństwie do poprzedniego spotkania w sanktuarium autor nie cofnął się, więc połączyli się ze sobą idealnie. Stali się sobą nawzajem, a tym samym dokładniej poznali swą kruchość, narastające raki w brzuchu, nieustanne krwawienie do jelit.

Tak daleko od nekropolii ani czarodziej, ani duch nie mogli przeżyć zbyt długo.

Na zewnątrz wiatr przybrał na sile. Dźwięk kroków w leśnym poszyciu. Kroków Nikodemusa, ich byłego ucznia.

Dwie wersje Shannona - tekstowa i fizyczna, dzieło i stwórca - zostały zjednoczone, co uczyniło istnienie czymś wspaniałym, prostym pięknem gry światła i cieni na tkaninie namiotu. Świadomość, że wkrótce będą musieli porzucić to wszystko, przeszywała ostrym bólem.

Słońce dotarło do zenitu w chwili, gdy Francesca weszła do sanktuarium. Upewniła się, że żaden wartownik ani urzędnik nie zobaczy jej w drodze do Sali Ambasadorów.

Od razu go dostrzegła. Jego duże alabastrowe ciało siedziało na tronie z sekwojowego drewna. Po jego lewicy stała kanonistka Cala, po prawicy kuca! James Berr. Sawannowy Potwór zmienił się, być może po raz ostatni. Jego obecna postać, potężna i zwinna, była ciałem podróżnika, zabójcy i potwora. Skóra Berra lśniła perłową bielą i pokrywały ją falujące świetliste tęcze. Rozsunął szerokie czarne wargi, odsłaniając kły długości sztyletów.

Francesca zignorowała go, skupiając uwagę na swoim autorze. Popatrzył na nią z uśmiechem zdającym się równocześnie pełnym satysfakcji i smutku. Zaczęła zastanawiać się, jak daleko w przyszłość demon mógł konstruować krajobraz czasu.

Tajfon wstał i uklonił się. Napisał krótki złoty ustęp i rzucił go do niej:

Witaj z powrotem, córko. Doprawdy osiągnęliśmy nieprzewidziane sukcesy.

Pociągnęła nosem.

Być może wynika to z faktu, że twoja zdolność przewidywania dorównuje tej, jaką Stwórca obdarzył podeszwę ubłoconego buta, napisała do Tajfona, po czym posłała ciężkie spojrzenie Berrowi. Będziesz musiał wybierać między swoimi sukcesami.

Tajfon spojrzał na Berra, a potem na nią i napisał:

Nikodemus należy do ciebie?

Kiwnęła głową.

Całkowicie?

Niedługo tu przyjdzie.

Demon zmrużył onyksowe oczy.

Jak daleko w czasie sięgasz wzrokiem?

Posłała mu swój najbardziej bezczelny uśmiech.

Wystarczająco.

Przyjrzał się jej uważnie.

Nigdy nie sądziłem, że możliwa będzie manifestacja obu smoków.

Wygląda na to, że mam kolejny powód, by porównać cię do ubłoconego buta, tym razem w zakresie wyobraźni. Francesca popatrzyła na Berra, który wyszczerzył zęby. Uśmiechnęła się szerzej, robiąc krok w jego stronę. Berr drgnął.

Córko, napisał Tajfon, nie mogę wybierać między moimi dziełami.

W takim razie wybiorę za ciebie.

Tajfon wstał z tronu i ruszył w jej stronę.

Nie. Nachyliła się do przodu.

Zatrzymał się ze szczerym, niemal błagalnym wyrazem twarzy.

Spójrz w potencjalne przyszłości. Nie możesz przewidzieć, jaki będzie Los. Ja mogę to zmienić.

Byłoby miło, gdybyś mógł jakoś zaznaczać, kiedy chcesz wywrzeć dobre wrażenie, a kiedy grozić, bo na razie tego nie rozróżniam. Może podniesiesz rękę?, zaproponowała.

Demon uniósł rękę do piersi.

Proszę, nie opieraj się, córko. Aż do tej chwili Cala równie dobrze mogłaby być rzeźbą. Teraz jednak popatrzyła na Francescę z wyraźnym zainteresowaniem. Półbogini wyglądała tak, jakby próbowała przekazać coś spojrzeniem. Francesca jednak zignorowała ją. Tajfon ustawił się między nią a Berrem. Współistnienie jest możliwe.

Tylko jeśli będę nim zainteresowana.

Złożył ręce na piersi w geście, który zapewne miał emanować mocą.

Zrobię wszystko, by dopilnować, aby przetrwały obie Dysjunkcje.

Mógłbyś mnie powstrzymać?

Poświęciłbym wszystko.

Wszystko?

Przyglądał się jej oczami z czarnego onyksu.

Co muszę zrobić, by cię przekonać?

Roześmiała się.

Och, nie musisz przekonywać mnie, napisała, po czym nachyliła się do swojego autora. Musisz przekonać mojego kochanka.

Nikodemus stanął przed stacją kolaboris. Dzień był wietrzny, ale pogodny i ciepły. Przyjrzał się potężnym, wykonanym z sekwojowego drewna drzwiom stacji i po raz kolejny pomyślał, że chyba oszalał, ufając Francesce. Z rynku za jego plecami dobiegał targowy zgiełk.

Odetchnął głęboko. Postanowił zaufać Francesce. W tej chwili, biorąc pod uwagę umierającego Shannona i szykującą się wojnę domową, nie pozostało mu nic poza intuicyjnym działaniem.

Przyszła pora odwiedzić magistra DeGarna. Nikodemus popatrzył na dużą mosiężną kołatkę na drzwiach stacji. Gdy jej użyje, rozpocznie długi ciąg protokolarnych zdarzeń: będzie musiał przedstawić się magistrowi DeGarnowi, a następnie przedstawicielom druidów i mistrzów kowalskich, wyjaśnić powagę sytuacji, udowodnić, kim jest, i wynegocjować warunki, na jakich zapewnią mu ochronę.

W potężnych drzwiach stacji umieszczono mniejsze. Wokół ich klamki jarzył się srebrny poblask magnusowego czaru zamykającego. Nikodemus zacisnął dłonie w pięści. Nadszedł czas, by przejść do dowodów. Chwytał tekst blokujący i wysłał w niego uderzenie kakograficznej siły. Tekst uległ zdysczarowaniu, zwijając się do tyłu i uwalniając zapadkę. Niko pchnął drzwi i wszedł na dziedziniec. Wokół znajdującej się tu sadzawki wisiały ozdobne rośliny. Wokół akwenu biegały dwa gargulce bojowe, każdy z muskularnym ciałem człowieka i głową lwa.

Nikodemus spokojnie ruszył im naprzeciw. Konstrukty błyskawicznie się do niego zbliżyły, okrążając go. Warczały zajadle, odsłaniając kły. Siedzące na dachu kruki podniosły kakofoniczny alarm. Po chwili w oknach dziedzińca pojawiły się ludzkie twarze.

Szedł powoli w stronę głównego wejścia do stacji, gdy nagle wokół jego ramion owinęła się para potężnych, kamiennych rąk - lwiegłowy gargulec chwycił go od tyłu. Nikodemus złapał rękę konstrukt i skupiając się na kakografii, zniszczył cały tekst w kończynach stwora, unieruchamiając je. Gargulec odskoczył, unosząc kakografa. Nikodemus jęknął, z trudem łapiąc powietrze, jednak po chwili zdołał wysunąć się z uchwytu przeciwnika. Przypadł do ziemi, chwycił jedną z nóg gargulca i zdysczarował jej tekst. Potem przeturlał się i zerwał na nogi. Upośledzony konstrukt odkuśtykał, warcząc. Nikodemus zwrócił się w stronę drugiego wartownika. Gargulec przyglądał mu się ostrożnie.

- Stop! - krzyknął nagle cienki głos.

Młodzieniec odwrócił się i zobaczył wyłaniających się z podwójnych drzwi stacji magów. Na ich czele szedł niski mag z głową obrośniętą rzadkimi klaczkami. Jego szaty wskazywały na rangę dziekana - rangę, którą przyznawano dowódcom stacji kolaboris.

- Magistrze DeGarn. - Nikodemus skłonił się mężczyźnie.

Słyszając swe nazwisko, wielki mag szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Z uwagą popatrzył na częściowo zdysczarowanego gargulca, po czym przeniósł wzrok na intruza.

- Nikodemus Weal? - Mężczyzna ponownie się uklonił. DeGarn rzucił numenosowe czary każdemu z lwiołowych gargulców, które natychmiast znieruchomiały niczym kamienne rzeźby. Z bocznego wyjścia wyłoniła się młoda kobieta, a za nią dwóch starszych mężczyzn w strojach służby. Kobieta trzymała metalową tacę. Nikodemus również ją przywitał ukłonem.

Odpowiedziała takim samym gestem, jednak świadczącym o pewności siebie większej niż u służącej. Musieli być mistrzami kowalskimi. - Magistrze Nikodemusie Wealu! - wykrzyknął DeGarn. - Spędziliśmy rok na poszukiwaniu ciebie, a to ty odnalazłeś nas.

Nikodemus popatrzył na akademików i w duchu pomodlił się, by Francesca się nie myliła. Jeśli była w błędzie, będzie to jego koniec.

- Nie chciałem zostać odnaleziony przez czarodziejów, których przepowiednie mogły mnie uznawać za wyznawcę demonów, magistrze.

DeGarn spojrział na Nikodemusa inteligentnymi oczami.

- A kleryczka Francesca powiedziała ci, że nie uznajemy cię za Nawałnika Burzowego? Że Starfall nie trzyma z frakcją kontrprzepowiedni?

Mężczyzna przytaknął i w tej samej chwili zauważył stojących pod dalszą ścianą dwóch mężczyzn i kobietę - wszyscy ubrani w biel druidów. Wymienili ukłony, a potem znowu popatrzył na DeGarna.

- Powiedziała mi o Lidze Starfall, która pragnie zachować południe wolne od nowo tworzonego północnego imperium.

- I tak właśnie jest. - DeGarn rozłożył ręce.

- Przyszedłem szukać waszej ochrony.

- A więc ją uzyskasz. - Wielki mag się uśmiechnął.

- Czego będziecie chcieli w zamian?

- Zobowiązania, że zostaniesz Zimorodkiem ligi w naszych przygotowaniach do oparcia się Dysjunkcji.

- Nie jestem Zimorodkiem i być może nigdy nim nie będę - uprzedził Niko.

- Mógłbyś to wyjaśnić? - Wielki mag poruszył się niepewnie.

- Jeśli mamy dojść do porozumienia, musimy być ze sobą szczerzy. - Popatrzył na druidów i kowali.

- Jestem potomkiem starożytnego rodu cesarskiego, który rządził Imperium Solarnym. Nie jestem mistrzem uporządkowanego języka. W tej chwili moje dziedzictwo objawia się w zdolności zdysczarowania niemal każdego tekstu. Jak już widzieliście. - Kiwnął głową w stronę zdysczarowanego gargulca, ale nikt mu nie odpowiedział. - Moja siostra przyrodnia jest oczekującym Zimородkiem Astrophell - kontynuował.

- I może pisać czary o złożoności, której nie możecie sobie nawet wyobrazić. Wczoraj widziałem ją zamaskowaną w jej własnej prozie. Jest tu, w Avel, i zrobiła mi to. - Dotknął rany z prawej strony głowy. Druidzi zaczęli szeptać między sobą, a magowie poruszyli się nerwowo. - Zamierza zostać cesarżową, aleja nie chcę takiego życia. Nie będę ani waszą zabawką polityczną, ani władcą. Stanę po stronie waszej niepodległości rządów mojej siostry przyrodniej, ale nie będzie mnie kontrolować żadna akademia ani królestwo. Ja też nie będę kontrolował ich. Rozumiemy się?

DeGarn odchrząknął.

- Zgodziliśmy się, że powinieneś udać się na wyspę Starfall, która nie będzie należeć ani do Lorn, ani do Dral. pozostanie neutralna. Mogę też z przekonaniem powiedzieć, że wielu iksończyków nie cieszy się na myśl o dominującej sile w Trillinon. Sądząc z ostatnich informacji, większość Archipelagu Iksońskiego wkrótce do nas dołączy... o ile zdobędziemy czempiona przeciwko Dysjunkcji.

Nikodemus kiwnął głową.

- Spiryjska flota wkrótce rozpocznie oblężenie miasta, by uwolnić je od wpływu demona, który przejął tu władzę - powiedział. - Wygląda na to, że hierofanci i spiryjska korona wkrótce opowiedzą się po stronie mojej siostry.

- W takim razie tym większa jest nasza potrzeba zawiązania Ligi Starfall - odparł DeGarn. Posłał Nikodemusowi znaczące spojrzenie, po czym popatrzył na druidów i mistrzów kowalskich.

Młodzieniec zamilkł, niepewny, co powinien teraz powiedzieć, ale DeGarn zachęcająco kiwnął głową.

- Dzisiaj macie okazję... - zaczął niepewnie...uderzyć w demona, zanim zrobią to siły mojej siostry. Aby zdobyć moje oddanie, musicie pomóc mi dzisiaj w tym zadaniu.

Zapadła cisza. DeGarn patrzył na Nikodemusa, marszcząc brwi.

- Co masz na myśli? - zapytała w końcu młoda kobieta z grupy kowali.

- Idę do sanktuarium po Tajfona - odpowiedział Niko, rozglądając się po dziedzińcu. - A jeśli czarodzieje waszej Ligi Starfall zdołają mnie stamtąd wyprowadzić z życiem, będę wasz.

Maszerując na pole bitwy, druidzi odziewali się w pancerze z drewna, zastępując poważne białe szaty lakierowaną zielenią, czernią i złotem. By nie wyjść na gorszych, kowale założyli zbroje z metalowych płyt, wypolerowanych tak mocno, że lśniły niczym lustrzane tafle.

Druidzi i kowale nie maszerowali ramię przy ramieniu od czasów Wojen Dialektów, gdy rozpadło się Imperium Neosolarne, a starożytne królestwa lądowania odzyskały swą autonomię. Pierwsze bunty wobec imperium wybuchły na południu, gdzie przeciwko legionom zawiązано Pakt Konaru i Ostrza. Jednak gdy tylko imperium wygnano z półwyspu, południowcy rzucili się sobie do gardeł i walczyli zaciekle aż do tej pory.

Teraz idącemu ulicami dzielnicy Świętej Nikodemusowi towarzyszyło pięcioro druidów, siedmioro mistrzów kowalskich i czterech magów. Wszyscy zerkali niepewnie to na niego, to na siebie nawzajem.

W ciągu godziny, której grupa potrzebowała na przygotowanie się, w mieście rozbrzmiał alarm. Hierofanci zauważyli zbliżającą się od strony oceanu flotę powietrzną. Rynek przed stacją pełen był ludzi. Kupowali zapasy żywności, po czym uciekali do swoich domów. Ulice były puste, nie licząc grup straży miejskiej biegających z jakimiś zadaniami. Przez niebo przemykały małe formacje lotni.

Gdy skręcili za róg, ujrzeli sanktuarium. Nikodemus sapnął, zaskoczony. Nad potężną kopułą unosiły się trzy statki powietrzne, każdy większy od „Lancy Królowej”, utrzymywane przez olbrzymie żagle skrzydłowe. Na każdym z nich uwijali się hierofanci, poprawiając tkaninę i zajmując się długimi linami kotwiczącymi je z kopułą.

Już niedługo.

Przy bramie prowadzącej do kompleksu sanktuarium Nikodemus natknął się na oddział straży. Ich kapitan wywołał go po nazwisku, twierdząc, że jest oczekiwany. Nikodemus poprowadził swoich ludzi przez kolejne korytarze, a potem w górę schodów do olbrzymiej sali ze sklepieniem sufitem z rzeźbionego drewna sekwoi. Sala Ambasadorów. Rzędy kolumn rozciągały się niczym drzewa w geometrycznym kamiennym lesie.

Nikodemus zwrócił się w stronę straży sanktuarium, ale ci odwrócili się do niego plecami, uniemożliwiając wejście do sali komuś niepowołanemu. Nikodemus się rozejrzał. Towarzyszący mu czarodzieje również. Nic się nie stało. Ruszył więc w głąb pomieszczenia. Mniej więcej w połowie drogi zobaczył wysoki drewniany tron stojący przed wielkim ekranem tworzącym tylną ścianę sali. Zatrzymał się.

Nagle wszyscy jego czarodzieje padli i leżeli bez ruchu. Nikodemus odwrócił się z szybko bijącym sercem.

- Nic im nie będzie - zabrzmiał niski, grzmiący głos. Gdy odwrócił się ponownie, zobaczył potężne alabastrowe ciało Tajfona. Całkiem czarne oczy uważnie studiowały jego twarz. Miał bardzo poważną minę.

- Twój kuzyn, Ja Amber, pozbawił ich czucia i ruchu. Zdecydowałem, że Liga Starfall powinna - cię poprzeć, więc zostaną obudzeni, gdy rozpocznie się oblężenie.

- Demon kiwnął głową w stronę odległych Kasztanowych Gór. Nad horyzontem unosiło się coś, co przypominało małe chmury. Nikodemus potrzebował chwili, by zrozumieć, że to okręty wojenne. Przeniósł wzrok z powrotem na Tajfona.

- Gdzie jest Francesca? - zapytał.

- Tędy - odpowiedział demon i ruszył w stronę tronu. Nikodemus patrzył za nim, ale nie ruszył się z miejsca. Tajfon stanął i obrócił się. Na jego twarzy widać było wyczerpanie, a może nawet smutek. - Nikodemusie, synu, nie mam zbyt wiele czasu, by pokazać ci, czemu poświęciła się Deirdre i dlaczego Francesca jest ci teraz tak oddana. - Gdy dziesięć lat temu Nikodemus stanął do walki z Tajfonem, demon mówił do niego podobnie zatroskanym tonem. Wtedy bardzo zmieszało to młodzieńca, ale teraz czuł przerażenie. - Musisz zrozumieć prawdę dotyczącą Dysjunkcji

- powiedział Tajfon, ponownie odwracając się w stronę tronu. - Za chwilę się nią staniesz. - Nikodemus ostrożnie ruszył za nim. - Religie twojej ery uczą, że Los zbuntował się przeciw ludzkości z powodu jakiegoś ludzkiego grzechu - zagrzmiał Tajfon. - Prawda jest taka, że Los zbuntował się przeciw ludziom, ponieważ uwierzył, że Stwórca nie istnieje.

Nikodemus zmarszczył czoło i odważył się zapytać:

- Zanim stał się demonem, Los był bogiem. Jak bóstwo może stać się ateistą?

- Wierz mi. - Tajfon pociągnął nosem. - Ta ironia nie uszła uwadze Losa i jego uczniów. Jednak nie byliśmy w stanie obalić jego argumentów. My, najstarsze z bóstw, wiedzieliśmy, skąd się wzięliśmy. Kiedy więc zaczął doskonalić język, zaczęliśmy go wspierać w jego dziele. Gdy odkryli to twoi przodkowie, zaczęła się wojna między bóstwami a demonami...

- Demonie - przerwał mu Nikodemus - gdzie jest Francesca?

Tajfon dotarł do katedry.

- Jest teraz z tobą. - Mężczyzna rozejrzał się wokół, ale nadal nie widział nic prócz kolumn. Tajfon wszedł na podwyższenie i stanął przed tronem. - Jeszcze nie możesz jej postrzegać, ponieważ nie rozumiesz, czym się stała.

- A czym się stała?

Demon usiadł na tronie.

- Pochodną ducha i części mojego bożego czaru. Jest również sumą wszystkich wyborów i doświadczeń doznanych od czasu, gdy pozwoliłem Deirdre ją uwolnić.

- Znałeś plan Deirdre?

- Deirdre nie była w stanie mnie zdradzić - powiedział Tajfon, kiwając głową - choć próbowała. Dawno temu ograniczyłem tę część jej duszy. - Jego głos brzmiał płasko, bezwymiarowo. - Musisz zrozumieć, mój synu, czym jest bóstwo i czym jest demon. Choć to może się wydawać bluźnierstwem. - Nikodemus nie odpowiedział. Demon kiwnął głową i kontynuował. - Pierwsi bogowie nie byli niczym innym jak konstruktami. Podczas zarania dziejów ludzkość nie rozumiała jeszcze, że może tworzyć runy magiczne. A jednak robiła to, nieświadomie tworząc swoje religijne teksty. Świat był tak prymitywny, że pierwsi autorzy żyli w strachu przed klęskami żywiołowymi: powodziami, pożarami, suszami, trzęsieniami ziemi. Wymyślili więc fikcje - bogów i boginie, które mogły kontrolować te katastrofy. Bogini sprowadzająca deszcz, bóg powstrzymujący trzęsienia ziemi... rozumiesz. Przez wieki teksty religijne stworzyły potężne czary, a czynne ich odmawianie formowało magiczne runy nadające moc tym konstruktom. Korzystając z siły swoich wyznawców, czary wzrastały w mocy, aż stały się pierwszymi bóstwami. Do dziś dnia wszystkie bóstwa wymagają wielu wyznawców zapewniających im tekst nieświadomie generowany w modlitwie. W zamian bóstwa zapewniają swym wyznawcom łaski. Na przykład Cala wzmocniła ten piaskowiec, by powstrzymać likantropy przed wejściem do miasta i utrzymywać wodę w zbiorniku. - Tajfon urwał i kiwnął głową w stronę tamy. Potem nachylił się do przodu. - Jesteś pierwszym człowiekiem na tym kontynencie, który pozna prawdę: bóstwa to nic więcej, jak intelekty napisane przez ludzi. Może cię to rozczarować, ale prawda jest taka< że to wy nas stworzyliście, a nie na odwrót.

- Rzeczywiście, brzmi to jak bluźnierstwo. - Nikodemus popatrzył demonowi w oczy.

- Wszystkie religie twierdzą, że bóstwa to ucieleśnienia Stwórcy, że rasa boska została stworzona jako pierwsza.

- Ludzkość utraciła prawdę podczas Exodusu przez ocean. - Demon się uśmiechnął.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z Francescą czy choćby z Dysjunkcją - odparł Nikodemus.

- Los nie zaatakował ludzkości. - Tajfon rozparł się na tronie. - Los stworzył metaczar uniemożliwiający błędy w języku.

- Tak jak ty robisz to z prążykiem, powodując Cichą Śnieć?

- Rzucane przeze mnie metaczary uniemożliwiają błędy - czy też dysczary - tylko w prążyku. Metaczary Losa uniemożliwiają istnienie jakichkolwiek błędów - wyjaśnił Tajfon.

Nikodemus zamrugał. - Życie to utrwalający się język - kontynuował demon. - Istoty żywe, jak ty, stworzone są z prąjczyka, ale wszystkie one są śmiertelne i rywalizują ze sobą. Śmierć i zabijanie są kluczowe dla rozprzestrzeniania życia. Prąjczyk jest z natury chaotyczny. Aby generować oryginalność, wymaga śmierci. Zbyt wielki błąd prąjczyka powoduje chorobę. Błąd prąjczyka zapewniający przewagę pozwala temu tekstowi niszczyć inne teksty. To śmierć rozpowszechnia tę zmianę. Jesteś napisany śmiertelnymi słowami, Nikodemusie. - Demon wskazał na siebie. - My, bóstwa i demony, nie zostaliśmy napisani w prąjczyku. Napisano nas w językach bez wrodzonego chaosu. Jesteśmy samoświadomym językiem. Oryginalność naszego języka wywodzi się z intelektów, które nas zaprojektowały. Ponieważ naszej kreatywności nie generują błędy, nie potrzebujemy śmierci, która nas przetrzebi. Na starożytnym kontynencie doktryny religijne utrzymywały, że Stwórca stworzył ludzi, a ludzie stworzyli bóstwa. Bóstwa były sługami imperium. - Tajfon uniósł w górę wyprostowany palec. - Los odmówił uznawania ludzkości za świętą. Utrzymywał, że Stwórca nie istnieje, a w związku z tym bóstwa nie muszą służyć ludzkości. Chciał stworzyć świat zamieszkały przez samoświadomy język, przez język nieśmiertelny. rozumiała jeszcze, że może tworzyć runy magiczne. A jednak robiła to, nieświadomie tworząc swoje religijne teksty. Świat był tak prymitywny, że pierwsi autorzy żyli w strachu przed klęskami żywiołowymi: powodziami, pożarami, suszami, trzęsieniami ziemi. Wymyślili więc fikcje - bogów i boginie, które mogły kontrolować te katastrofy. Bogini sprowadzająca deszcz, bóg powstrzymujący trzęsienia ziemi... rozumiesz. Przez wieki teksty religijne stworzyły potężne czary, a czynne ich odmawianie formowało magiczne runy nadające moc tym konstruktom. Korzystając z siły swoich wyznawców, czary wzrastały w mocy, aż stały się pierwszymi bóstwami. Do dziś dnia wszystkie bóstwa wymagają wielu wyznawców zapewniających im tekst nieświadomie generowany w modlitwie. W zamian bóstwa zapewniają swym wyznawcom łaski. Na przykład Cala wzmocniła ten piaskowiec, by powstrzymać likantropy przed wejściem do miasta i utrzymywać wodę w zbiorniku. - Tajfon urwał i kiwnął głową w stronę tamy. Potem nachylił się do przodu. - Jesteś pierwszym człowiekiem na tym kontynencie, który pozna prawdę: bóstwa to nic więcej, jak intelekty napisane przez ludzi. Może cię to rozczarować, ale prawda jest taka, że to wy nas stworzyliście, a nie na odwrót.

- Rzeczywiście, brzmi to jak bluźnierstwo. - Nikodemus popatrzył demonowi w oczy.
- Wszystkie religie twierdzą, że bóstwa to ucieleśnienia Stwórcy, że rasa boska została stworzona jako pierwsza.

- Ludzkość utraciła prawdę podczas Exodusu przez ocean. - Demon się uśmiechnął.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z Francescą czy choćby z Dysjunkcją - odparł Nikodemus.

- Los nie zaatakował ludzkości. - Tajfon rozparł się na tronie. - Los stworzył metaczar uniemożliwiający błędy w języku.

- Tak jak ty robisz to z prajęzykiem, powodując Cichą Śnieć?

- Rzucane przeze mnie metaczary uniemożliwiają błędy - czy też dysczary - tylko w prajęzyku. Metaczary Losa uniemożliwiają istnienie jakichkolwiek błędów - wyjaśnił Tajfon. Nikodemus zamrugał. - Życie to utrwalający się język - kontynuował demon: - Istoty żywe, jak ty, stworzone są z prajęzyka, ale wszystkie one są śmiertelne i rywalizują ze sobą. Śmierć i zabijanie są kluczowe dla rozprzestrzeniania życia. Prajęzyk jest z natury chaotyczny. Aby generować oryginalność, wymaga śmierci. Zbyt wielki błąd prajęzyka powoduje chorobę. Błąd prajęzyka zapewniający przewagę pozwala temu tekstowi niszczyć inne teksty. To śmierć rozpowszechnia tę zmianę. Jesteś napisany śmiertelnymi słowami, Nikodemusie. - Demon wskazał na siebie. - My, bóstwa i demony, nie zostaliśmy napisani w prajęzyku. Napisano nas w językach bez wrodzonego chaosu. Jesteśmy samoświadomym językiem. Oryginalność naszego języka wywodzi się z intelektów, które nas zaprojektowały. Ponieważ naszej kreatywności nie generują błędy, nie potrzebujemy śmierci, która nas przetrzebi. Na starożytnym kontynencie doktryny religijne utrzymywały, że Stwórca stworzył ludzi, a ludzie stworzyli bóstwa. Bóstwa były sługami imperium. - Tajfon uniósł w górę wyprostowany palec. - Los odmówił uznawania ludzkości za świętą. Utrzymywał, że Stwórca nie istnieje, a w związku z tym bóstwa nie muszą służyć ludzkości. Chciał stworzyć świat zamieszkały przez samoświadomy język, przez język nieśmiertelny.

Nikodemus odchrząknął.

- Czyli Dysjunkcja jest próbą położenia kresu śmierci?

- Dokładnie. - Demon się uśmiechnął. - Przez zastąpienie prajęzyka językiem samoświadomym Dysjunkcja rozpocznie nieskończony złoty wiek.

- Złoty, pod warunkiem że jest się żywym - zauważył Nikodemus.

- Stąd twój kuzyn i kochanka - powiedział Tajfon. - Pierwotnie Los pragnął usunąć prajęzyk. Jeszcze dziesięć lat temu sam miałem podobny cel. Bajkowy smok, którego napisałem, miał przelecieć przez ocean i ożywić Losa. Jednak Fellwroth roztrwonił smoka. Kiedy więc ponogłeś mi zniszczyć Fellwrotha, uciekłem na sawannę w ciele Deirdre. Spotkałem tam potwora i rozpoznałem w nim potomka cesarskiego rodu - choć niedoskonałego. Użyłem Szmaragdu z Aarahest, by częściowo przekształcić go w smoka, który mógłby sprowadzić Dysjunkcję przez ocean.

Nikodemus zacisnął dłonie w pięści, przypominając sobie, jak niemal zabił kuzyna.

- Ale on ci się oparł?

- To nic, z czym bym sobie nie poradził. - Demon wzruszył ramionami. - Jednak jego kakograficzny umysł był słaby. Zużyłem połowę mocy szmaragdu. Daleko mi było do utworzenia użytecznego smoka: do tego musiałbym ponownie naładować szmaragd, dotykając nim ciebie. Wiedziałem jednak, że szkoliliś się, by tego uniknąć. Musiałem więc cię nawrócić.

Nikodemus głośno przełknął ślinę.

- A więc używając pozostałej mocy szmaragdu i ducha, stworzyłeś Francescę, nasycając ją prążykiem, tak bym uważał ją za człowieka? Żeby mogła mnie uwieść?

- Francesca nie została napisana, by cię uwieść. Napisałem ją, by cię kochała.

- Żeby ją zakochał się w niej? - spytał młodzieniec. - Żeby mogła mnie przekonać do udzielenia ci pomocy w ukończeniu Sawannowego Potwora lub drugiego smoka?

- Ach tak, drugi smok. - Demon westchnął. - Zanim odpowiem na to pytanie, pozwól, że powiem ci coś jeszcze. Po tym, jak pomogłeś mi uciec przed Fellwrothem, uświadomiłem sobie, że Dysjunkcja może nie być wojną. Śmierć jest agonią śmiertelności. Skoro Dysjunkcja pragnie wyeliminować śmierć, czemu ludzkość nie miałyby do nas dołączyć? - Gdzieś w górze rozległy się krzyki. Tajfon odwrócił się i wskazał dwie zbliżające się do siebie floty statków powietrznych. - Zaczyna się bunt Avel. Musisz zrozumieć, mój synu, że smoki są hybrydami prążyka i języka magicznego. Nigdy nie są tylko jednym, zawsze są wieloma potencjalnymi rzeczami. Czemu więc nie stworzyć smoka, który zbliżyłby do siebie demony i ludzi? Zająłem się napisaniem smoka, który dałby początek rasie hybrydowej. Smoka, który rozpocząłby Dysjunkcję na tym kontynencie. - Demon urwał. - Oczywiście potrzebowałem intelektu z doskonałym zrozumieniem żywego ciała, intelektu rozumiejącego ludzkie choroby i śmiertelność.

Nikodemus zmarszczył brwi. Przypomniał sobie ostrzeżenie Franceski: Tajfon będzie twierdził, że go zdradziła. A jednak słowa demona brzmiały tak wiarygodnie...

- Więc Francesca jako lekarka miała przekonać mnie do pomocy w ukończeniu drugiego smoka? - zapytał Nikodemus.

- Nie muszę cię przekonywać. - Demon się roześmiał. - Ty już ukończyłeś drugiego smoka.

- Jak? - Nikodemusowi zrobiło się zimno. - Chcesz powiedzieć, że Francesca przytknęła szmaragd do mojej skóry, gdy spałem, a potem przyniosła ci klejnot?

- To dużo prostsze. - Tajfon potrząsnął głową. - Niepotrzebowałem pośrednictwa lekarza. Masz. - Ruchem nadgarstka demon rzucał czymś w Nikodemusa. - To da ci na chwilę biegłość w moim języku.

- Co...? - Nikodemus się zająknął, ale nic się nie stało. A potem nagle zrozumiał, czemu demon użył słowa „pośrednictwo”. W jednej chwili byli sami z Tajfonem. W następnej obok demona pojawiła się siatka zdań rozjarzona intensywnie rubinowym światłem, tworząca długie kości i mięśnie. W miarę jak postępowało jego rozumienie tekstu, Nikodemus zobaczył, że zdania stanowią część potężnego ciała należącego do Jamesa Berra.

Teraz mógł już spojrzeć poza czerwone słowa i zobaczyć prawdziwy kształt kuzyna: Berr urósł na pięć metrów, a jednak wydawał się szczupły, niemal filigranowy. Pokrywające go od głowy do ogona łuski lśniły perłową bielą. Potężne skrzydła składały się zgrabnie za jego plecami. Odciągał wargi, odsłaniając długie, zakrzywione zęby. Patrzył na niego dużymi i opalizującymi oczami.

Jednak Nikodemusa otaczała istota jeszcze większa i trudniejsza do zrozumienia. Ona również została napisana w ciemnoczerwonym języku i początkowo widział tylko zdania w jej długich, zakrzywionych kościach i potężnych mięśniach. Olbrzymie komory jej serca kurczyły się w powolnym, ale pełnym mocy rytmie. Przy każdym uderzeniu jej serce rozblyskało z oślepiającą jasnością.

Powoli zaczął dostrzegać resztę. Przez chwilę widział zarówno ciało, jak i zdania lśniące przez ścięgna i łuski, widział tekst w ciele. Jej łuski jarzyły się intensywną barwą kasztanów, ale na twarzy pobłyskiwały plamki miedzianej czerwieni we wzorze dokładnie takim, jak piegi na jej ludzkiej twarzy. Spojrzenie ciemnobrązowych oczu utkwione było w drugim smoku. Ochronnym gestem owinęła swoje ciało łącznie z długim ogonem wokół Nikodemusa. Czarne zakrzywione szpony rozpostarła na podłodze.

Demon popatrzył na nią.

- Jak widzisz, Francesca nie potrzebowała odbierać ci zdolności do stworzenia drugiego smoka - urwał, by uśmiechnąć się do niej dobrotliwie, jakby była jego dzieckiem - ponieważ ona sama jest drugim smokiem.

Dowódca floty umieścił „Lancę Królowej” na czele straży przedniej wraz z „Piką” - krążownikiem klasy Rybołów, napisanym na bawełnianych żaglach. Cyrus spodziewał się tego, ale ścisnął mu się żołądek, gdy wspólnie z Izemem utrzymywali formację obok „Piki” i patrzyli na dwa pozostałe Rybołowy - „Rekina” i „Krakena”, zajmujące pozycje eskortowe obok „Cyklonu”, „Grzmotu” i dwóch latawcowców klasy Burza. W Lurrikarze „Lanca Królowej” odświeżyła tkaninę i podjęła dwóch dodatkowych członków załogi.

Dwie floty ustawiły się naprzeciw siebie. Należąca do monoteistów flota Cyrusa składała się z czterech krążowników i dwóch latawcowców. Broniąca się flota politeistów miała tylko trzy niszczyciele, wszystkie klasy Orzeł. Większe i wytrzymalsze Orły stanowiły podstawę sił politeistów podczas Wojny Domowej. Choć okręty powietrzne politeistów były niższej klasy i miały mniejszą liczbę, towarzyszyło im czterdzieści lotni.

Na oczach Cyrusa trzy czarne lotnie oderwały się od formacji i poszybowały z wiatrem na drugą stronę szyku przeciwnika. Obecnie flota politeistów unosiła się tuż nad północnym murem miasta, czekając i jednocześnie pragnąc zmusić atakujące latawcowce do wypuszczenia latawców bojowych jak najdalej od sanktuarium, dzięki czemu konstrukty zużyłyby większość tekstu na dotarcie do niego.

„Lanca Królowej” i „Pika” poprowadzą frontalny atak, próbując rozerwać unoszące się nad kadłubami Orłów i utrzymujące je w powietrzu szerokie żagle nośne. Jeśli nie będzie to możliwe, mieli spróbować rozproszyc Orły, tak by umożliwić latawcowcom dotarcie do sanktuarium.

Ponieważ Cyrus znał wiatry wokół Avel, kapitan Izem wyznaczył go na głównego pilota.

- Pamiętaj - krzyknął Izem - niewielu we flocie miasta walczyło z Pustułką. Nie będą wiedzieć, jaką prędkością dysponujemy, ale szybko się dostosują.

Z kadłuba rozbrzmiał krzyk. Cyrus odwrócił się i zobaczył, że „Kraken”, okręt flagowy, wystawił sygnał do ataku.

- Załoga do ślizgu! - krzyknął Cyrus, wplatając się w kadłub. Złożył „Lancę Królowej” w kształt grota i spalając tekst, pchnął okręt w stronę skrajnego od wschodu niszczyciela przeciwników. „Pika” ruszyła jego śladem.

Trzy skrzydła wrogich lotni wyrzuciły dmuchające powietrzem spadochrony, by podciągnąć się pod wiatr i przechwycić „Lancę”. Cyrus utrzymywał kurs i w ciągu paru chwil dotarł do przechwytyjącego przeciwnika.

Piloci lotni przekształcili spadochrony w skrzydła i rzucili się na nią, jednak zgodnie z przypuszczeniami Izema źle ocenili prędkość celu. Cyrus podwoił ciąg i przemknął obok potencjalnego abordażu.

Wrogi niszczyciel przed nimi rozwinął kolejne żagle nośne i zwiększał pułap, by wystawić lepiej asekurowany spód. Ta wypróbowana taktyka sprawdziłaby się w przypadku większości krążowników, ale nie Pustułki. Cyrus podciągnął rufowe żagle, dzięki czemu wystrzelili powyżej przeciwnika.

- Uderzenie! - ryknął Izem na chwilę przed tym, jak ich żagle dziobowe przebiły się przez żagiel nośny Orla.

Cyrus poczuł uderzenie powietrza z tekstu uwolnionego z tkaniny przeciwnika. Potem przemknęli przez żagiel i dalej wspinali się w niebo. Skręcił okręt do zwrotu, jednak gdy tylko spojrział w dół, zobaczył sunącą ku niemu chmarę spadochronów. Dwie lotnie uderzyły w „Lancę Królowej”, owijając tkaniny wokół żagli burtowych i próbując się w nie wciąć. Dwaj dodatkowi członkowie załogi walczyli, by odeprzeć lotnie, używając arkuszy lśniącego błękitem języka.

Cyrus rzucił „Lancę Królowej” do lotu nurkowego. Wrogi niszczyciel w dole zamknął! przebitą przez nią dziurę w ich żaglach nośnych, ale stracił przy tym sporo pułapu. W chwili gdy Cyrus zanurkował, „Pika” uderzyła przeciwnika, rozrywając boczny żagiel i odbijając się od kadłuba.

Izem wykrzyknął triumfalnie, widząc, że niszczyciel politeistów skręcił się, a jego żagiel nośny zaczął tracić wiatr. Cyrus zwolnił tempo opadania, by umożliwić „Pice” oddalenie się, ale wtedy wokół „Lancy Królowej” zaczęły kłębić się wrogie lotnie. Niektóre wylądowały na ich kadłubie, wcinając się w jedwab. Cyrus pchnął okręt w beczkę, zrzucając tym samym kilku napastników.

W końcu „Pika” się oddaliła. Cyrus uruchomił żagle rufowe i wystrzelili w dół. Szarpnęło, gdy zwiększona prędkość wiatru zrzuciła ze statku kolejnych napastników.

Wrogi niszczyciel był coraz większy.

- Uderzenie! - krzyknął Cyrus i ostro pociągnął w górę, by „Lanca” uderzyła w żagiel nośny przeciwnika u dołu zakrzywionej trajektorii, rozcinając jak największą ilość tkaniny. Wszędzie wokół nich eksplodował rozpadający się hierofantyczny język, jaskrawobłękitny nawet na tle nieba.

Wyłonili się z chaosu lotni uderzających czaszami w „Lancę Królowej”. Cyrus znowu wprowadził okręt w ciasną beczkę. Wokół wirowały tkanina, niebo i sawanna - biel, błękit i zieleń - aż poczuł, że ostatni napastnik został zrzucony. Wtedy wyrównał lot „Lancy”.

Izem krzyknął triumfalnie, a Cyrus obejrzał się i zobaczył, że wrogi niszczyciel rozpada się na kawałki, spadając na sawannę. Jego piloci odcinali fragmenty żagli, robiąc z nich prowizoryczne spadochrony. W dole czekały już likantropy.

Nagle krzyk Izema ucichł i kapitan wskazał w dół. „Pika” leciała w ciasnej beczce, bezskutecznie próbując zrzucić wrogów dokonujących abordażu. Szybko traciła wysokość. Cyrus zaczął zawracać „Lancę Królowej”, ale Izem krzyknął:

- Nie możemy im pomóc. - Wskazał na północ. - Mamy większe problemy.

Cyrus spojrział w stronę floty politeistów, wciąż utrzymującej szyk nad murami miasta. Monoteiści ruszyli do ataku. „Kraken” i „Rekin” zaatakowały dwa wrogie niszczyciele. Flota monoteistów miałaby przewagę, gdyby nie wrosła liczba wrogich lotni.

Dopiero po chwili dostrzegł zagrożenie: z sanktuarium startowała chmara nowych lotni. Politeiści mieli więcej pilotów, niż wysłali dotąd w powietrze, świadomie wciągając do ataku latawcowce.

Uruchomił żagle rufowe. Jeśli nie zdołają szybko spacyfikować pozostałych niszczycieli przeciwnika, lotnie zmuszą latawcowce do zbyt szybkiego wypuszczenia latawców i wyznawcy demonów wyjdą z tego bez szwanku.

Szok rozbił wszystkie myśli Nikodemusa. Patrzył w twarz, która równocześnie należała do smoka i do Franceski. Próbował zrobić krok do tyłu, ale butem zahaczył o pazur jej tylnej łapy.

- To ona jest drugim smokiem - cierpliwie powtórzył Tajfon. - Aż do tej nocy była półsmokiem, tak jak twój kuzyn. Jest stworem intuicyjnego języka i prajęzyka. Zanim mogła osiągnąć swój pełny potencjał, potrzebowała dotyku członka rodu cesarskiego z intuicyjnym i chaotycznym językiem.

- Ja... - Nikodemus popatrzył na demona. - Ja nie...

- Planowałem cię zranić w jakiś sposób, by tylko ona mogła cię uzdrowić. To wymusiłoby kontakt fizyczny, przemieniając was oboje. Wszystkie smoki indukują poznanie czwartorzędowe. Została napisana tak, by zmienić sposób, w jaki postrzegasz życie i język, byś pokochał ją i reprezentowaną przez nią Dysjunkcję.

Nikodemus rozumiał każdą opisywaną przez demona ideę, a jednak miał wrażenie, jakby nie słyszał jego słów.

- Co? - powiedział. - Ja nie... - Popatrzył na smoka. - Fran...

Francesca z niewiarygodną prędkością owinęła się ciasniej wokół niego. Potem warknęła na Sawannowego Potwora.

- Nasz problem - odezwał się Tajfon - polega na tym, że nigdy nie spodziewałem się ukończyć obu smoków. Ja Amber jest kakografem, jak ty, więc nawet ze szmaragdem nie mogłem dopełnić jego smoczej transformacji. Widziałeś groteskowe kształty, które przybierał jako na wpół ukończony, kakograficzny smok. Jednak z Francescą nie miałem takiego problemu. Kiedy na ciebie polowałem, wydawało się niemożliwe, by zrealizowane zostały oba smoki.

- Vivian? - Nikodemus przełknął ślinę.

Demon przytaknął.

- Gdy twoja siostra przyrodnia dostała się do miasta, dostrzegłem możliwy skrót. Nie musiałem już czekać, aż Francesca cię dotknie. Po prostu wysiałem na Vivian Sawannowego Potwora. Deirdre zablokowała pierwszą próbę swoim samobójstwem. Będzie nam jej brakowało. - Demon urwał, a na jego twarzy zagościł szczery żal. - Ale twój kuzyn złapał twoją przyrodną siostrę tej samej nocy, której ty oddałeś się Francesce. Teraz twoja kochanka nie chce, by twój ktizyn przeżył. Widzisz, te dwa smoki stanowią ucieleśnienie różnych koncepcji Dysjunkcji. Twój kuzyn reprezentuje koncepcję Losa: zastąpienie prajęzyka językiem boskim. Twoja kochanka natomiast reprezentuje moją koncepcję: splecenie prajęzyka z językiem demonów, aż wszystkie intelekty staną się boskimi. - Demon westchnął. - Nie powinno dochodzić do konfliktu między nimi, oba bowiem doprowadzą do tego samego wyniku. - Jego głos stał się zmęczony, niemal zrezygnowany. - Powinniśmy wysłać twojego kuzyna przez ocean, by ożywił Losa. Popatrz na niego: skrzydła, łuski, szpony, wszystko, czego potrzeba do przebycia oceanu, ożywienia Losa i sprowadzenia demonicznych hord na ten kontynent. - Demon przeniósł wzrok z Sawannowego Potwora na Nikodemusa. - Powinniśmy wysłać twojego kuzyna w lot nad oceanem i przywrócić Francesce jej ludzką postać. Wtedy będziemy mogli wysłać cię z nią na wyspę Starfall, gdzie zajmiecie się tworzeniem nowego społeczeństwa. - Popatrzył na Francescę. - Ale zanim będzie to możliwe, twoja kochanka ma kilka... zastrzeżeń. - Francesca nachyliła się do przodu i zmrużyła oczy. Demon dalej przemawiał do Nikodemusa, choć nie odwrócił spojrzenia od smoka. - To moje arcydzieło. Jest wspanialsza nawet od ciebie, Nikodemusie. Nie mógłbym jej powstrzymać przed zabiciem Sawannowego Potwora bez poświęcenia siebie. - Wyglądał, jakby telepatycznie chciał przekazać coś Francesce. - Zapłaciłbym każdą cenę, by wszystkie moje dzieła mogły współistnieć. Twoja kochanka zgodziła się przysiąc na imię Stwórcy, że zaakceptuje współistnienie, jeśli tylko ty się na to zgodzisz.

- Ja... - zaczął Nikodemus, ale szok i dezorientacja nie pozwoliły mu wydusić ani słowa więcej.

Tajfon odwrócił się do niego.

- Ludzie, którzy nieświadomie napisali pierwsze bóstwa, stworzyli nas tak, że przysięgając na imię Stwórcy, odkrywamy swą niezłomną naturę. Żaden bóg lub bogini nie była w stanie złamać przysięgi złożonej na imię Stwórcy. Skomponowani z chaotycznego prajęzyka, ludzie nie mają takich problemów. Możecie przysięgać w obecności waszego bóstwa, że nigdy więcej nie zgrzeszycie, a potem wysłać na tortury całe królestwo. To, czego potrzeba twojego chaotycznego umysłu, Nikodemusie Wealu, to twoja łaska. - Urwał i popatrzył na Sawannowego Potwora. - Łaska zgody na to, by objawiła się inna forma

Dysjunkcji. Ty i Francesca odziedziczycie Ugę Starfall. Zapoczątkujecie nową Erę Cudów, z mnożącymi się bogami, boginiami i półbogami. Wasze ziemie będą wolne od Losa. Demony nie będą zagrażać waszemu społeczeństwu, pozwalając wam rosnąć przez stulecia, aż przekroczycie śmierć i będziecie mogli do nich dołączyć. To właśnie ci oferuję, Nikodemusie. Zgadzasz się? - Nikodemus patrzył na demona, nadal nic nie rozumiejąc. Jak Tajfon mógł w ogóle zadawać to pytanie? Powietrze wypełnił niski grzmot i podłoga zadrżała. Dopiero po chwili zrozumiał, że to nie grzmot, ale warczenie Franceski. Postąpił pół kroku w stronę Tajfona. Demon westchnął. - Nie

- zwrócił się do niej. - Nie zapomniałem. Nikodemusie, twoja kochanka chce, byś dostał to. - Tajfon wyciągnął rękę, w której załśnił mały szmaragd w kształcie łyżki. Brakująca część umysłu Nikodemusa. Szmaragd stanowił centralny punkt wszystkich jego pragnień przez ostatnie dziesięć lat. A jednak, jeśli demony nie mogły się mylić, a jego ułomność wypełniała świat wokół niego błędami, może powinien rozważyć wyrzeczenie się go? Tajfon przyglądał mu się uważnie. - Nie będę zaprzeczał, to łapówka. Dowiedz mi, że jesteś oddany Francesce, a ja zwrócę ci to, co zabrałem ci tak dawno temu. Zgodzisz się?

Francesca wpatrywała się w Nikodemusa. Przypomniawszy sobie jej słowa wypowiedziane w Coldlock

- zapewnienia, że nie zdradziła go, że musi zgodzić się na każdą ofertę Tajfona.

Czy rzuciła na jego umysł jakiś czar, dając mu poznanie czwartorzędowe? Czy w rzeczywistości już uległ Dysjunkcji? Potem przypomniał sobie jej oczy, gdy od niego odchodziła...

- Zgodzę się - powiedział, patrząc na Tajfona.

Demon uśmiechnął się i wstał z tronu.

- W takim razie chodź tu, mój synu, i pozwól mi spojrzeć w twe myśli. - Francesca odsunęła ogon i Nikodemus wspiął się na katedrę. Sawannowy Potwór i Cala przyglądali mu się beznamietnie. - Klęknij - rozkazał demon. Gdy Nikodemus wykonał polecenie, przyłożył do jego policzka alabastrową dłoń, którą z łatwością mógłby zmiażdżyć mu czaszkę. Nagle w umyśle Nikodemusa zawirowały wszystkie wspomnienia, myśli, nawet najbardziej intymne uczucia. Poczł napływającą falę mdłości. Potem dłoń demona odsunęła się i Nikodemus upadł. - Mój synu, dokonało się - oświadczył Tajfon cichym, niemal uroczystym głosem. Nikodemus wstał, walcząc z zawrotami głowy i mdłościami. Demon patrzył na niego z góry. Jego czarne oczy były szeroko otwarte jak w radosnym podnieceniu. - Francesca związała cię czarem. - Potem demon spojrział na Francescę. - Przysięgasz na imię Stwórcy? - Między nimi przemknął rozmazany tekst w numenosie.,

Potężne ręce demona objęły szyję Nikodemusa, zapinając na niej cienki łańcuszek, z którego zwisał Szmaragd z Aarahest. Nikodemus chwycił klejnot. Nic się nie zmieniło. Żadnego błysku czy napływu energii, ale mimo to jego umysł stał się kompletny. Jak długo jego skóra dotykała szmaragdu, tak długo nie był kakografem. Nikodemus zszedł z podwyższenia i stanął przy Francesce. - Doskonale - zagrział Tajfon, siadając na tronie. - Gdy zacznie się oblężenie, wyślemy Ja Amber a na starożytny kontynent. Nikodemusie, twoja eskorta druidów i kowali obudzi się i zobaczy, że zaatakowaliście mnie razem z Francescą w jej ludzkiej postaci. Zrobimy to tak, by wyglądało, że mnie pokonaliście. Ich świadectwo zapewni wam przywództwo Ligi Starfall. Zniknę, a większość moich wyznawców kontrolujących miasto zostanie zabita lub schwytana, dając twojej przyrodniej siostrze i Celeste wrażenie, że zniszczyły demoniczne zagrożenie. Przynajmniej do czasu, aż znów się pojawię.

Demon odwrócił się do Sawannowego Potwora i zaczął coś mówić. W tej chwili w ramię Nikodemusa uderzył numenosowy tekst. Przetłumaczył go:

Stań przy mnie. Podniósł wzrok i zobaczył, że Francesca patrzy na niego. Tajfon wciąż mówił, a Nikodemus cofał się powoli, aż stanął przy Francesce. Demon nie przewidział, co może zrobić ze mną twoja kakografia, napisała do niego. Odseparuj się od szmaragdu, by nie dotykał twojej skóry. Potem połóż na mnie dłoń. Przełknął ślinę i podniósł rękę, chwytając szmaragd. Ostrożnie, by nie zwrócić uwagi demona, szarpnął, zrywając cienki łańcuszek. Francesca potrząsnęła wielką głową, być może by odwrócić uwagę Tajfona, i wtedy mężczyzna opuścił dłoń do pasa, chowając klejnot w sakiewce. Tajfon wciąż wydawał polecenia Sawannowemu Potworowi. Nikodemus przycisnął dłoń do boku Franceski. Jej ciało było niemal boleśnie gorące. Spojrzał w jej tekst w prajęzyku, w jego nieskończoną złożoność. Widział, jak splata się z językiem magicznym. Jednocześnie poczuł, jak jego kakografia mogła go modyfikować. W przeciwieństwie do istot z czystego prajęzyka lub czystych run magicznych opierała się wszystkim, poza subtelny zmianami wywołanymi przez jego dotyk. Na wierzchu dłoni Nikodemusa znów pojawiła się numenosowa wiadomość: Gdy szcarowaliśmy część mojego umysłu, która musi przestrzegać przysięgi złożonej na imię Stwórcy. Mamy złamać przysięgę?

Tak!, odpowiedział natychmiast.

Gdy tylko rzucił tekst, Francesca wybiła się tylnymi nogami i rozbijając terakotowe płytki, wyrwała do przodu. Z rozłożonymi skrzydłami i grzmiącym rykiem uderzyła w Tajfona.

„Lanca Królowej” pokonała połowę dystansu do starcia, gdy jeden z członków załogi krzyknął. Izem się obejrzał.

- Nasz cel spadł na sawannę. Ale „Pika” straciła żagiel rufowy. Sprowadzają ją do jeziora.

Cyrus obejrzał się i zobaczył, jak długi biały kadłub wpada do zbiornika. Wokół wydymały się spadochrony, przeważnie zaimprovizowane z kadłuba, na których załoga próbowała oddalić się od miejsca uderzenia. Niektórzy może dotrą w ten sposób do portu, inni będą musieli tam dopłynąć albo zmierzyć się z czekającymi na brzegu likantropami.

Cyrus nie miał czasu na zamartwianie się. Przed nimi „Kraken” i „Rekin” skręcały właśnie, wycofując się ze starcia.

- Co oni robią?! - krzyknął.

Dwa pozostałe niszczyciele politeistów, wspierane przez chmury lotni, zbliżały się do floty monoteistów.

- Ściągnąć żagle rufowe! - rozkazał Izem. - Latawcowce redagują część latawców bojowych, by atakowały w powietrzu wszystko, co...

Zanim kapitan zdążył dokończyć, Cyrus zobaczył, jak spadają z „Cyklonu”: chmura wijącej się białej tkaniny i błyskającego metalu. Wszystkie latawce bojowe wydeły się równocześnie, łapiąc wiatr i ustawiając żagle dokładnie pod tym samym kątem. Cyrus wysunął poziome skrzydła, szybując „Lancą Królowej” w stronę „Krakena”.

We flocie politeistów rozległ się wiwat. Zmusili latawcowiec do przedwczesnego rozpoczęcia uwalniania latawców. Cyrus się skrzywił. Ich oddanie miastu musiało graniczyć z fanatyzmem, skoro cieszyli się ze starcia powietrznego z latawcami bojowymi. Jakby chcąc dowieść swego zapалу, absolutnie wszystkie wrogie lotnie rzuciły spadochrony, by przechwycić latawce bojowe. Do starcia doszło w chwili, gdy Cyrus doprowadził „Lancę Królowej” do „Krakena”. Monoteiści wypuścili może dwieście latawców bojowych, przeciwko którym stanęło około setki lotni. Zbliżywszy się do przeciwnika, latawce zmieniły kształty z dużych żagli nośnych na węzowate wstęgi, błyskające szponami. Niektóre opadły na tkaniny lotni, tnąc je na strzępy. Pięciu czy sześciu pilotów poleciało w dół, w stronę miasta. Inne latawce bojowe zaatakowały pilotów zawieszonych pod skrzydłami. Większość pilotów używała swoich tkanin do otulenia i wchłonięcia latawców bojowych w swoje parasole.

- Co oni robią?! - wrzasnął Cyrus.

- Zrzucają załogę! - zawołał Izem, wskazując na dwa pozostałe niszczyciele przeciwnika. Cyrus zobaczył! odziane na zielono postacie, z których każda miała spadochron

tak mały, że wystarczył zaledwie na spowolnienie upadku do prędkości niegrożącej śmiercią przy zetknięciu z ziemią.

- Idą pod wiatr! Szaleństwo! - zawołał hierofanta. Niszczyciele zmierzały prosto w zgiełk zmagania między lotniami a latawcami bojowymi. Szerokie żagle okrętów rozpychały mniejsze jednostki, wymuszając szaleńcze manewry.

Cyrus, zdezorientowany, obejrzał się na kapitana. To nie miało najmniejszego sensu.

Niektóre latawce bojowe zaczęły wcinąć się w żagle nośne niszczyciela, jednak pozostali na pokładzie piloci nie zwracali na to uwagi. Uszkodzone, ale wciąż idące ostro na wiatr niszczyciele wyrwały się z rejonu starcia. Były już tylko półtora kilometra od „Cyklonu”.

- Zamierzają staranować latawcowiec! - krzyknął Izem. - Inni nie dotrą tam na czas. Faktycznie „Kraken” wywiesił flagi do ataku, ale skręcał zbyt wolno. „Rekin” znajdował się jeszcze dalej. Cyrus rzucił „Lancę Królowej” w lot nurkowy, by nabrać prędkości, po czym zawrócił! okręt i rozłożył żagle rufowe. - Mamy tylko jedną szansę - oznajmił trzeźwo Izem. - Potem uderzą w latawcowce.

Cyrus zerknął do tyłu i zobaczył, że oba latawcowce rozłożyły wszystkie żagle w próbie zwiększenia pułapu. Jeśli zdołają wznieść się dość wysoko, mogą przelecieć nad niszczycielami, docierając do sanktuarium.

„Lanca Królowej” błyskawicznie zmniejszyła dystans dzielący okręt od bliższego z wrogich niszczycieli. Cyrus krzyknął ostrzegawczo, po czym podciągnął się w górę, próbując skręcić w żaglu, jednak uderzył zbyt szybko, przebijając się przez szczyt ich czaszy, a następnie przez jej bok - dwie dziury zamiast jednego długiego rozdarcia.

Obejrzał się i wykrzyknął radośnie, widząc, że niszczyciel opada. Te dwie dziury wystarczyły, by wyeliminować niedostatecznie obsadzony załogą okręt. Jego żagiel nośny powiewał poszarpanymi końcami, a kadłub skierował się w dół, ku Kasztanowym Górcom.

Jednak drugi wciąż został na kursie i wznosił się równie szybko jak „Cyklon”. Od uderzenia dzieliły ich tylko chwile. Cyrus zaczął modlić się o litość, gdy skazany na zagładę latawcowiec wypuścił pełny ładunek latawców bojowych. Konstrukty niczym chmara szarańczy ruszyły w stronę sanktuarium.

Francesca przygwoździła Tajfona szponem prawej przedniej łapy, po czym uderzeniem lewej wyrzuciła go w powietrze. Następnie skoczyła na Sawannowego Potwora. Perłowy smok rzucił się na nią, otwierając paszczę pełną przejrzystych kłów. Francesca uskoczyła w lewo i przejechała łapą po jego łuskach, próbując wbić w nie pazury. Zacisnął szczęki na jej ramieniu w chwili, gdy ona zacisnęła swoje na jego szyi. Potoczyli się do tyłu,

wirując w kalejdoskopie łusek i ogonów. Potwór uderzył w kolumnę i sekwojowa belka spadła na tylną łapę Franceski. Warknęła i odrzuciła ją jednym mocnym kopnięciem.

Choć nie widziała języka, w którym pracuje Sawannowy Potwór, czuła, jak rzuca na jej umysł jeden czar za drugim, próbując wpłynąć na jej percepcję. Jednak jej umysł, podobnie jak jego, był smoczy - w połowie ludzki, a w połowie demoniczny.

Gdy Sawannowy Potwór wrzasnął, Francesca zrozumiała, że wyczuła tekstowe sygnały przemieszczające się z jego umysłu do gardła i piersi. Dzięki poznaniu czwartorzędowemu wiedziała, że krzyknie już chwilę wcześniej, zanim to zrobił. Z mózgu potwora pomknął sygnał do jego lewej tylnej nogi, która odgięła się, by kopniakiem odrzucić głowę Franceski od jego szyi. Jednak na sekundę wcześniej wykręciła szczęki i uderzyła lewym skrzydłem, przewracając bestię na prawy bok i blokując wykonanie planowanego ruchu.

Potwór zamierzał otworzyć paszczę i wgryźć się w jej szyję, ale gdy tylko rozwarł szczęki, wyprowadziła do góry prawą przednią nogę i uderzyła go prosto w oko. Jego głowa odskoczyła i wszystkie sygnały wysyłane do jego ciała na chwilę znikły. Potem wysłał całą chmurę poleceń do ogona, rozkazując mu wykonanie zamachu i podcięcie nóg Franceski. Przygwoździła jednak jego ogon prawą przednią łapą. Jego oczy zrobiły się wielkie jak perłowe talerze. Już wiedział.

Przestał walczyć i poddańczo zwiesił głowę. Francesca poprawiła szczęki i przygotowała się do zmiżdżenia jego tchawicy, ale w chwili, gdy miała zacisnąć paszczę, zapadła się topografia przyszłości wokół niej. Wrażenie było takie, jakby szła po zasłoniętym mgłą wybrzeżu i mgła nagle się rozrzedziła, odsłaniając olbrzymi kanion. Rozciągały się przed nią szerokie, potężne wrota przyszłości, których aż do tej chwili nie zauważała. Po chwili jakaś potężna siła wybuchła przy jej lewej piersi, rzucając ją pod sufit. Rzeźbione cedrowe drewno rozpadło się na drzazgi. Śpadła na podłogę, lądując na wszystkich czterech nogach. Wtedy rzucił się na nią Tajfon z obiema pięściami rozjarzonymi oślepiającą czerwienią. Odchylił jedną rękę do tyłu. Francesca machnęła ogonem, przewracając go. Czerwony tekst bojowy demona wyleciał z jego dłoni i rozbił kolumnę dziesięć metrów dalej. Chwilę później na podłogę spadła prawdziwa lawina gipsu i drewna.

- Leć! - ryknął Tajfon, zrywając się na nogi. Sawannowy Potwór wyszczerzył zęby i cofnął się, szykując się do ucieczki. Francesca zrozumiała, co zrobił Tajfon, by zmienić przyszłość. Jeśli zaatakuje Sawannowego Potwora, demon rzuci kolejny tekst wybuchowy. Nie mógł liczyć, że ją pokona, ale mógł zatrzymać ją na dość długo, by jego drugie dzieło zdołało uciec. Tym samym wystawiłby się do walki z nią, ale był gotów się poświęcić.

Demon rzucił następny tekst wybuchowy, celując w pierś Franceski. Odskoczyła, zasłaniając się skrzydłami. Wybuch przygwoździł ją do podłogi na głębokość szponów. Dźwignęła się na tylne nogi, kierując szpony przednich na Tajfona. Uderzyły w tekstową tarczę, którą zdążył wokół siebie napisać. - Leć! - wrzasnął ponownie i Sawannowy Potwór rzucił się w stronę zewnętrznej ściany, za którą rozciągało się otwarte niebo. Francesca nie mogła ruszyć za nim w pościg, bo Tajfon uderzyłby w nią kolejnym wybuchowym tekstem.

Znowu zaatakowała szponami ochronny tekst demona. Nagle jednak uderzyła w niego lanca numenosowej prozy. Francesca zerknęła w lewo i zobaczyła Nikodemusa. Wciąż jeszcze wyciągał przed siebie rękę po rzuceniu czaru. Jej ukochany znów dotknął gołą skórą szmaragdu. Ponownie był Zimorodkiem, zdolnym do rzucania nieskończenie złożonych czarów. Francesca po raz kolejny uderzyła szponami. Osłabiony odczarem Nikodemusa tekst demona rozpadł się od jej ciosu. Poczula, jak jego ciało ustępuje.

Cofnęła się. Ciało demona zostało rozerwane, a z podbrzusza wylewało się jaskrawoczerwone światło. Jego kamienne ciało było jego arką, naczyniem, w którym tkwiła jego dusza. Nachylając się do przodu, Francesca wbiła jeden szpon w czaszkę Tajfona, która eksplodowała krwawym światłem. Rubinowa fala uderzeniowa oszołomiła jej umysł. Były w niej setki doznań - ogień, pasja, rany, ekstaza i wiele innych będących ucieleśnieniem najgłębszej czerwieni.

Chwilę później synestezja minęła i Francesca pozostała ze szczątkami swojego autora w szponach. Zadrzała od pierwotnego głodu. Do jej ust napłynęły litry żrącej śliny. Wgryzła się w demona. Tekst płonął i topił się w jej ustach, gdy rozgryzała boski język na kawałki.

Lata temu Fellwroth zdradził Tajfona i pociął go na zdania. Jednak demonowi udało się zainfekować arkę Boann i powrócić w pełnej mocy. Francesca zamierzała dopilnować, by tym razem się to nie powtórzyło. Przeżuwała jego szczątki, aż żadna z run nie była połączona z pozostałymi. Odgryzła drugi kęs arki, żuła chwilę, po czym połknęła.

Podniosła wzrok i zobaczyła Nikodemusa. Stał, otoczony przez obudzonych druidów, mistrzów kowalskich i magów. Patrzyli to na niego, to na nią. Nikodemus patrzył tylko na nią, a w jego szeroko otwartych oczach Francesca dostrzegła szok.

Zamarła i spojrzała w krajobraz przyszłości. Czas wydawał się niemal płaski i tylko coraz mniejsza możliwość schwywania Jamesa Berra zarysowywała się konsekwentnie.

Potwór!, rzuciła do Nikodemusa. Muszę spróbować go zatrzymać. Utrzymaj się przy życiu. Wrócę po ciebie.

Mężczyzna złapał i przeczytał jej tekst. Niemal natychmiast napisał odpowiedź, ale zanim ją rzucił, salę wypełniła burza płótna żaglowego i stalowych szponów.

Latawce bojowe.

Po oczyszczeniu nieba z wrogich okrętów Izem przejął kontrolę nad „Lancą Królowej” i przyłączył się do „Krakena”.

Samobójczy niszczyciel zjechał z nieba „Cyklon”. Ich splątane wraki spadły w Kasztanowych Górach po drugiej stronie zbiornika. Kilometr kwadratowy olbrzymich drzew pokryty był rozdartym płótnem żaglowym i konającymi bądź już martwymi pilotami.

Jednak „Grzmot” wciąż leciał z pełnym ładunkiem latawców bojowych. Co więcej, latawce „Cyklonu”, dotarły do sanktuarium i zaroily się wokół kopuły, atakując każde wykryte źródło tekstu magicznego.

Do tej pory wszystkie wrogie lotnie powinny wywiesić poddańcze flagi. Jednak zrobiła to tylko połowa pilotów politeistów. Pozostali zbierali się nad sanktuarium, próbując zwalczyć latawce bojowe, choć przy dolatującym do nich „Grzmocie” było to zadaniem niemal niemożliwym.

- Myślisz, że chcą zostać męczennikami? - zapytał Izem.

- Piloci? - zapytał Cyrus, przyglądając się krwawemu chaosowi wokół kopuły. - Męczennikami politeizmu? Wydaje się szaleństwem, by wyznawcy Cali intere... - Przerwał, gdy duża płachta latającej tkaniny - zarówno latawców bojowych, jak i lotni - straciła błękitny blask hierofanckiego języka. Zaczęły opadać ku ziemi jak zwykle stołowe obrusy. - Spójrz, kapitanie! - wskazał.

- Co, na niebiosach?

Fala znikającego języka unosiła się przez chaos, zostawiając po sobie ślad zwykłej tkaniny.

- Jakiś potężny odczar? - zapytał Cyrus, po czym drgnął. - Tam - wskazał. - Ślepa plamka. Spójrz.

- O czym ty mówisz... - głos Izema ucichł, gdy z podstawy sanktuarium w powietrze wystartowało coś dużego i ciemnego.

W pierwszej chwili Cyrus myślał, że to statek powietrzny z ciemnego płótna, ale nagle obiekt zamachał skrzydłami i wzniósł się z dużą prędkością. Skierował się na zachód, w stronę oceanu. Słońce odbijało się od jego mosiężnych łusek.

- Kapitanie! - krzyknął Cyrus. - Ten stwór jest ważny dla buntu politeistów. Sugeruję zbadanie sprawy.

Izem przeredagował ustępy kontrolujące sygnały flagowe statku powietrznego.

- Nie powiem, żeby podobał mi się ten pomysł, ale możemy być jedynym statkiem, który za nim nadąży. Zobaczmy, czy dowódca floty się z tobą zgodzi.

Chwilę później z „Krakena” wywieszono flagi sygnalizujące polecenie wyjścia z formacji. Izem sapnął i pchnął „Lancę Królowej” do ostrego nurkowania, ruszając w pościg za smokiem.

Gdy sala wypełniła się szalejącymi latawcami bojowymi, Nikodemus został otoczony przez czarodziejów.

Zbroje płytowe kowali rozwinęły się w piękną, delikatną siatkę wyrastającą z ich ciał, która splotła się w konstrukt przypominający klatkę. W ich dłoniach pojawiły się ostrza i stalowe włócznie grubości drutu. Kowale ruszyli do ataku z okrzykami bojowymi na cześć swojego króla i metalowego boga. Latawce bojowe wbijały swoje szpony w siatkowe zbroje kowali, jednak przenikały jedynie kilka ochronnych warstw. W odpowiedzi kowale pchnęli w konstrukty swoją broń, a w miejscu kontaktu pojawiały się małe błyskawice, spalając tkaninę.

W pierwszej chwili odepchnęli latawce bojowe, ale potem pełne furii uderzenia szponów porozcinały siatkę chroniącą ramię kowala stojącego na czele i wbiły się w jego kark. Szarpnął się w bok i upadł. Gdy dwaj kowale walczyli blisko siebie, ich siatkowe zbroje splatały się, tworząc wspólną osłonę. Nikodemus zaczął formować w przedramionach magnusowe czary bojowe, >ale chwilę później kowale otoczyli go kręgiem i osłonili swoją stalą.

Spoza ochronnego kręgu zabrzmiały dzikie krzyki, a przez zamieć białej tkaniny mężczyzna dostrzegł postacie druidów. Niektórych pokrywała kolczasta skóra, trzymali w dłoniach ostrza z polerowanego drewna. Innych osłaniały zbroje z drzazg podobnych do futra, a twarze mieli ukryte za maskami wilków lub niedźwiedzi. Ich dłonie wieńczyły jarzące się pazury.

Z klatki otaczającej Nikodemusa wyłonił się arkusz stali, zadając mu silny cios w ramię. Zatoczył się na prawo i dostrzegł, że cała grupa cofa się w głąb sali.

- Stójcie! Mogę rzucić tekst ochronny! - krzyknął. - Jestem teraz Zimorodkiem! j

Jednak w zgiełku walki i okrzyków bojowych nikt go nie usłyszał. Pośród chaosu zobaczył kilka błysków srebrnego i złotego tekstu: jacyś magowie wciąż jeszcze żyli.

Szpony latawca bojowego przebiły się przez siatkę blisko młodej mistrzyni kowalskiej i wypełniły powietrze wokół kroplami krwi. Latawiec wpadł w siatkę, która nie była już połączona z tekstową strukturą. Ostra jak brzytwa konstrukcja rozcięła go na osiem kawałków.

Potem kowale dotarli do potężnej ściany z piaskowca, w której znajdowała się szeroka nisza z niskim sufitem. Jeden z nich wskazał zagłębienie i krzyknął. Magowie metalu mogli swobodnie poruszać się w swojej konstrukcji, raz po raz dźgając na zewnątrz mieczami i

włóczykami. Któryś skierował grupę do niszy. Gdy schronili się w niej, zmienili formację i zarzucili siatkę metalu i czarów od podłogi aż do sufitu, tworząc barierę nieprzenikliwą dla latawców bojowych. Od czasu do czasu ktoś wyskakiwał na zewnątrz, wciągając do środka maga lub druida.

Z pięciu druidów, którzy opuścili stację razem z Nikodemusem, doliczył się teraz tylko trzech, z czwórki magów przeżyli tylko DeGarn i młoda kobieta, a z siódemki kowali czterech zajmowało się utrzymaniem siatkowej bariery, która z najwyższym trudem powstrzymywała latawce bojowe - nie mieli szans długo się im opierać. Napierające w dzikiej furii szpony raz za razem uderzały w siatkę, powoli się przez nią przecinając.

Nikodemus mocniej ścisnął w dłoni szmaragd i spróbował wyobrazić sobie, co mógłby napisać, by odrzucić zagrożenie. Któryś z kowali krzyknął, gdy latawiec bojowy przedarł się przez jeden z końców bariery. Mężczyzna odskoczył, zaledwie o centymetry unikając szponów. Latawiec węzowymi ruchami wciskał się do zamkniętej przestrzeni. Nikodemus odchylił rękę i już miał rzucić czar, gdy sufit z piaskowca zaczął się roztopiać. Z brzegu niszy opadł długi, ciekły arkusz kamienia. Piaskowiec w jednej chwili zamknął Nikodemusa i pozostałych w całkowitej ciemności.

Po długim desperackim sprincie przez powietrze Francesca złapała w końcu ogon Sawannowego Potwora nad Kasztanowymi Górami. Ściągnęła go w dół, gdzie oboje rozbili się w sekwojowym lesie.

Potwór wpadł na starożytne drzewa, których potężne pnie zginały się powoli, pękając z nagłym trzaskiem. Błady smok poturlał się w rozrzucone gałęzie, a Francesca lądowała wprost na niego.

Spadając, machała mocno skrzydłami i wystawiała szpony, by rozedrzeć plecy Sawannowego Potwora. Dyszała przy tym, z największym wysiłkiem wciągając powietrze.

Jej pazury zatopiły się w zadzie bestii i Francesca poczuła, jak lewe biodro potwora wygina się do granicy wyrwania ze stawu. Z rykiem pchnął oba skrzydła do tyłu, uderzając ją w pierś i uniemożliwiając opadnięcie na niego.

Wywinął się i zaczął uciekać w górę zbocza pokrytego powalonymi sekwojami. Ruszyła za nim, ale miała coraz większe problemy z nabraniem powietrza. Jej umysł zamroczyło desperackie pragnienie tlenu. Potwór odwrócił się i zamachnął na nią szponem przedniej łapy. Trafił w szyję, rozrywając linie bólu aż do ramienia. Z zawrotami głowy Francesca upadła w gęste zarośla. Obserwowała, jak Sawannowy Potwór zrywa się do lotu. Znowu stęknęła i wciągnęła w wielką smoczą paszczę tyle powietrza, że wraz z nim wleciał wyrwany z ziemi krzak. Wypluła go natychmiast.

Wreszcie zrozumiała, co się stało. Tekst Tajfona wybuchł zbyt blisko niej. Podczas walki przejmowała się tylko tym, jak bardzo rzucały nią wybuchy. Nie pomyślała o falach uderzeniowych przemieszczających się w jej gęstych mięśniach i narządach, docierając do delikatnych worków tkanki w płucach. Fale uderzeniowe uszkodziły je, przez co narządy zaczęły powoli wypełniać się krwią i limfą. Wiedziała, że doznała stłuczenia płuca. Najczęściej widywała je u osób, które znalazły się w pobliżu wybuchowych czarów likantropów. Docierały do szpitala wystraszone i oszołomione, ale poza tym pozornie nic im nie dolegało. Jednak kilka chwil później ofiary doznawały ciężkiej duszności, po czym tonęły we własnych płynach.

Tajfon musiał wiedzieć, że nie zdoła jej zaszkodzić wprost. Wiedział, że nie zdoła zmienić swojej najbliższej przyszłości, ale mógł uniemożliwić jej doświadczenie Sawannowego Potwora. I faktycznie, ofiara demona odniosła skutek. Francesca leżała w krzakach, nie mogąc złapać tchu. Demoniczne teksty w jej ciele uaktywniły się i pojęła, że grozi jej niebezpieczeństwo. Zadaniem boskich czarów, była zmiana potężnej masy jej smoczego ciała w energetyczną prozę i przywrócenie jej do nieuszkodzonej ludzkiej postaci.

W chwili, gdy rozpoczęła się transformacja, utraciła swoje poznanie czwartorzędowe. Przyszłość stała się zaledwie abstrakcyjną wizją, ograniczającą się do myśli o czymś, co się dopiero wydarzy. Nie potrafiła już wyobrazić sobie, jak mogła widzieć przyszłość jako bogaty krajobraz.

Obraz przed jej oczami zaczął przygasać. Widziała już tylko rozmyty zarys ciemnych drzew na tle jasnego nieba. Potem dostrzegła coś dużego i ciemnego, co niewyraźnym kształtem unosiło się w powietrzu.

Zdążyła jeszcze pomyśleć, że kształt przypomina nieco obrys „Lancy Królowej”, a potem ogarnęła ją dziwna nicość - jak we śnie. Nie widziała już żadnego obrazu poza Sawannowym Potworem. Perlisty smok krwawiący z rany na szyi, z tylną łapą wygiętą boleśnie pod nienaturalnym kątem.

Bestia leciała już nad oceanem. Mknęła w stronę antycznego kontynentu, gdzie dopilnuje odrodzenia Losa. Wypełniła swoje przeznaczenie.

Jeden z druidów wygenerował biały płomień z drewnianego obiektu. Przez chwilę Nikodemus nie potrafił zrozumieć, kto przed nim stoi. Kobieta ubrana była jak spiryjska szlachcianka, a jej skórę zdobiły czerwono-brązowe wzory. Jej niesamowite oczy składały się z pasm jasnego i ciemnego brązu, bieli i ciemnej szarości.

Wreszcie zrozumiał - musiała to być jedyna istota, która była w stanie zmienić piaskowiec w płyn. Pokłonił się i zapytał:

- Kanonistka Cala?

- Nikodemus Weal. - Kobieta kiwnęła głową. Odpowiedział podobnym gestem. - Możesz powiedzieć swoim zagranicznym czarodziejom, by odłożyli swe klątwy. - Zwróciła spojrzenie dziwnych oczu na wciąż uzbrojonych druidów i kowali. Nikodemus uniósł dłoń, niepewny, czy przejmą się tym, co zrobi. Na szczęście ostre słowa, drewno i metal zostały stępione. Kanonistka przeniosła wzrok z powrotem na Nikodemusa. - Moje sanktuarium ocieka krwią - powiedziała. - Nad kopułą i w jej korytarzach krąży kilka tysięcy latawców bojowych. Został mi może tuzin żyjących wyznawców. Z nich może dwóch wiedziało, do jakiego stopnia demon Tajfon uzurpował sobie władzę nad miastem. A oni nigdy nie byli uczciwi. - Popatrzyła na pozostałych czarodziejów. - Nie wiem o żadnych świadkach poza tymi tutaj, którzy mogliby przysiąc, że w tych murach rządził demon. Nad moim miastem unosi się flota lojalna względem wysokiej bogini Celeste. W ciągu godziny flota ta wylądowała i ogłosiła stan wojenny. Nie wątpię, że z Daru podążają tu statki i karawany pełne żołnierzy armii królowej. Jeśli mam przeżyć, jeśli mam nadal utrzymywać tamę i mury miejskie, potrzebuję, by ktoś potwierdził moją relację z tego, co się tu dzisiaj wydarzyło.

Nikodemus odchrząknął.

- Przysięgniemy zaświadczyć na twoją korzyść, kanonistko. W zamian chciałbym poprosić...

Cala podniosła rękę.

- Nie musisz prosić, Nikodemusie Wealu. Jesteś wybrańcem Ligi Starfall w mieście, które wkrótce znajdzie się pod okupacją sił sprzyjających twojej przyrodniej siostrze. - Znowu spojrzała na druidów i kowali. - Jeśli któryś z was chce przeżyć dość długo, by wyprowadzić z życia waszego czempiona z tego królestwa, uklękniecie teraz przed nim i przysięgniecie, że zaświadczycie dla mnie.

Czarodzieje, jak jeden mąż, klękli bez chwili wahania.

Shannon obudził się, gdy ktoś ujął jego dłoń. Śnił o swojej trillinońskiej matce i drzewach bananowych rosnących koło rodzinnego domu. Słyszał, że ktoś do niego mówi. W jego głowie majaczyły wspomnienia bólu w brzuchu, świadomość posuniętego wieku i zawodzącego zdrowia. W końcu przypomniał sobie, że powrócił jego duch i że znowu byli jedną istotą.

Shannon usiadł i utworzył tekstowe połączenie z Lazurem, żeby mógł widzieć jej oczami. Zobaczył Nikodemusa, ubranego w grubą niebieską pelerynę. Chłopak klęczał przed nim. Znajdowali się w namiocie. O tkaninę uderzał deszcz.

- Magistrze... Magistrze... - w kółko powtarzał Nikodemus. - Magistrze, to ja. Zrobione. Magistrze. - TWarz chłopca przybrała bardzo dziwny wyraz, jakby nie umiał zdecydować się, czy się raduje, czy smuci.

Nagle z umysłu Shannona odpłynęły resztki snu. Zrozumiał.

- Na Stwórcę! - zaklął. - Chłopcze, ty wróciłeś?

Nikodemus kiwnął głową i ścisnął rękę starca.

Oczyrna Lazur Shannon zobaczył gołą dłoń Nikodemusa na swoim przedramieniu. Spróbował wyrwać się z cichym krzykiem, ale chłopak tylko się roześmiał i wyciągnął drugą dłoń. Spoczywał w niej szmaragd w kształcie łyzy.

- TVvoja klątwa rakowa zniknęła - oznajmił. Shannon ze zmieszaniem patrzył na klejnot. - Przepraszam, że cię poganiam, magistrze L mówił dalej młodzieniec - ale musimy czym prędzej ruszać. Sytuacja w Avel szybko się zmienia. Natychmiast zabieram cię do miasta. Rozmawiałem już z Żyłą, Jaspersn i Krzemem. Wysyłam ich z powrotem w Szczyty. Wystarczająco długo walczyli dla naszej sprawy. Wyruszą wieczorem w przebraniu i w towarzystwie kilku z naszych lornijskich posłańców.

- Naszych lornijskich posłańców... - powtórzył Shannon, nagle zdając sobie sprawę z hałasów na zewnątrz namiotu. To Jasp w podnieceniu wykrzykiwał coś do Żyły.

Nikodemus nieco spoważniał.

- Przykro mi, magistrze, ale musimy natychmiast wracać do miasta. Moja siostra przyrodnia działa ze zdumiewającą prędkością. - Młodzieniec zawiesił głos. - I księga, którą ci zostawiłem, ta z twoim duchem - muszę ją odzyskać. Wciąż ją masz, prawda?

- Oczywiście - potwierdził Shannon i wskazał małą skrzynię na drugim końcu namiotu. - Jest tam. - Nikodemus ruszył we wskazanym kierunku, a Shannon przycisnął dłoń do brzucha. Wciąż go bolał. - Nikodemusie... Ja... Nie czuję się... inaczej.

Nikodemus wziął księgę i powrócił do starca. Był teraz bardzo poważny.

- Dzięki szmaragdowi mogłem usunąć wszystkie raki, ale nie byłem w stanie odwrócić zniszczeń, których dokonały. - Umilkł na chwilę. - Obawiam się, że twój... wiek... ograniczył to, co mogłem zrobić. Teksty prączyka zmieniają się z wiekiem. Wszystkie żywe istoty mają w swoje teksty wpisana śmiertelność. Nie mogłem...

- Nie mogłeś ze mnie zrobić młodzieńca. - Shannon kiwnął głową i roześmiał się. - Popatrz, oto wróciłeś żywy, z lekiem na moje raki, a ja potrafię tylko narzekać.

- Nie, magistrze. Po prostu...

Shannon przerwał uczniowi, sięgając po jego dłoń. Tym razem to on odruchowo ją cofnął. Obaj się roześmiali. Potem Nikodemus ostrożnie przesunął dłoń z powrotem. Po raz pierwszy od dekady nauczyciel i uczeń uścisnęli sobie ręce.

Francesca stała przed oknem, wyglądając na szalejącą na zewnątrz burzę.

Odzyskała przytomność na pokładzie „Lancy Królowej”. Cyrus zajmował się nią, a Izem prowadził statek z powrotem do Avel. Męczyły ją dreszcze i nieustanne zawroty głowy. Delikatne ludzkie ciało sprawiało wrażenie więzienia, będąc nieskończenie bardziej wrażliwe od tego, w którym była wcześniej.

Powrócili do miasta. Panował tu zdumiewający porządek. Rozlew krwi ograniczył się do walk powietrznych i potyczki w sanktuarium, oszczędzając większość mieszkańców. Po zadokowaniu kapitan Izem zgłosił się do dowódcy floty, a Cyrus zabrał Francescę do tawerny w dzielnicy Świętej, która została przejęta przez flotę. W prywatnym pokoju na najwyższym piętrze zapadła w sen pełen niepokojących majaków o Sawannowym Potworze lecącym nad oceanem.

Jakiś czas później obudziły ją dźwięki deszczu uderzającego o dach. Od oceanu nadciągnęły ciężkie chmury, zaciemniając wieczorne niebo. Młody chłopak, jeden z synów właściciela gospody, przyniósł jej miskę soczewicy. Mówił coś, a każdy dźwięk był błyskiem barw od fuksji po beż. Powiedziała mu, że nie słyszy. Chłopak wyszedł, a Francesca pochłonęła soczewicę, po czym znowu zapadła w sen.

Gdy otworzyła oczy następnego ranka, czuła się słabo, jakby miała gorączkę. Na zewnątrz wciąż padało. Śniadanie składało się z podpłomyków i sera. Młody hierofanta, oprócz strawy, przyniósł jej dwie wiadomości. Pierwszą napisano ścisłym pismem Cyrusa. Informował, że odwiedzi ją, gdy tylko zdoła uwolnić się od swoich obowiązków. Druga zawierała prosty numerosowy tekst od Nikodemusa: Mogę cię odwiedzić?

Z jej rąk natychmiast wylała się odpowiedź: Lepiej, żebyś jak najszybciej tu przyszedł, bo na boga bogów odgryzę ci głowę. I to w dosłownym, smoczym sensie. Potem jednak przypomniała sobie wstrząs na jego twarzy, gdy zobaczył, jak pożera Tajfona. Napisła więc tylko: Przybądź jak najszybciej i wysłała wiadomość przez młodego hierofantę.

Wykąpała się w wannie pełnej ogrzanej ogniem wody, przebrała w czyste ubranie z elegancką, lawendową kamizelą. Znalazła nawet grzebień, którym uporządkowała swoje splątane loki. Było już prawie południe. Przez chmury kilka razy przebiło się słońce, ale teraz znowu lało. Pomimo aury przy kopule sanktuarium dwa statki powietrzne rzuciły cumy. Trzeci, chyba „Lanca Królowej”, krążył powoli wokół miasta, niewątpliwie demonstrując, że sanktuarium okupuje nowa potęga.

Francesca przyglądała się jednostce, której skrzydła dokonywały drobnych, odruchowych poprawek. Pomyślała o specyfice swojego umysłu. Nie była człowiekiem. Nigdy nim nie była. W miarę, jak odzyskiwała zdrowie, jej umysł działał coraz szybciej. Miała nadzieję, że któregoś dnia odzyska prognostyczne poznanie czwartorzędowe. Nie była natomiast w stanie stwierdzić, czy zdoła jeszcze kiedykolwiek powrócić do smoczego ciała.

Za jej plecami rozbrzły trzy szkliste czarne dźwięki. Pukanie do drzwi? Francesca się odwróciła. W progu stał Nikodemus, opuszczając kaptur ciężkiej, niebieskiej peleryny przeciwdeszczowej. Długie czarne włosy miał zaczesane do tyłu, a zielone spojrzenie świdrowało jej oczy. Jego twarz wyrażała silne, ale ukryte emocje. Czyżby się jej bał? Czy po tym wszystkim wciąż jej pragnął?

I co?, napisała z lekkością, której wcale nie czuła. Nie powiesz mi, że schudłam? Uśmiechnął się i z zalem potrząsnął głową. Napisała kolejne zdanie: Kto by pomyślał, że jedzenie szczątków pokonanych demonów to tak skuteczna dieta. Odwróciła się, eksponując swoją figurę z profilu.

Nikodemus roześmiał się jaskrawopomarańczowo i podszedł bliżej.

Czy jest na tym świecie coś, z czego nie potrafisz się śmiać? Jego pisownia była bezbłędna, musiał dotykać szmaragdu.

Francesca przybrała poważny wyraz twarzy.

Jest tylko jedna rzecz tak okropna, że nigdy nie mogłabym się z niej śmiać.

Popatrzył na nią czujnie.

Co takiego?

Nabrała powietrza, zamknęła oczy i podała mu dwa słowa:

Bóle miesiączkowe.

Fran! Myślałem, że mówisz poważnie!

Złapała jego dłoń. Przestał się uśmiechać. Powoli podniosła ją do swojego policzka i popatrzyła mu w oczy. Drżącymi palcami włożyła mu do ręki zdanie:

Czy ty mnie jeszcze chcesz?

Bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował. Jego uścisk był silny, a ona poczuła, jakby olbrzymi potencjał jej umysłu i ciała dał się zamknąć w ramionach Nikodemusa.

Zalała ją fala ulgi. Czuła, że cały czas jej potrzebował. Było tak samo jak w Coldlock. Walczyli z przepelniającym ich pragnieniem, w uściskach i jękach zataczając się w stronę łóżka.

Gdy w końcu leżeli pfyzy sobie wyczerpani, Nikodemus popatrzył jej w oczy.

Tajfon mówił prawdę o tym, że tworzysz drugą Dysfunkcję.

Ujęła jego dłoń.

Tajfon nie zdawał sobie sprawy, czym jesteśmy razem. Twoja kakografia i mój umysł zmieniają to, kim możemy być. Dlatego przyszłość staje się płynna. Widziałam to.

Jesteś pewna?

Zmarszczyła czoło, a potem go pocałowała.

Nie bądź tępy. Oczywiście, że nie jestem pewna. Kto może być całkowicie pewny czegokolwiek?

A co, jeśli popełniamy błąd? Jeśli dokładnie tego chciał demon?, spytał Nikodemus.

Francesca chwyciła go za ramiona.

A jeśli błędem jest rozdzielanie się? Jeśli gdzieś tam istnieje jakaś przepowiednia o uroczym tępych kakografie i pięknej smoczycy, którzy odkrywają, jak oddalić Dysjunkcję?

Uroczym tępych? Pocałował ją, a ona wdrapała się na niego, pisząc na jego torsie zdanie: Jeśli dostaję coś takiego za uroczym tępego, to co zyskam za uderzającym idiotycznym?

Musiałbym zamknąć drzwi, żeby ci pokazać. Mężczyzna się roześmiał, ale po chwili spoważniał. Fran, po pokonaniu Tajfona pożarłaś jego ciało.

Wstyd zacisnął jej żołądek w zimną kulę.

To był tylko instynkt. Przeżułam go w nicość, by nigdy więcej nie mógł powrócić żywy.

Jesteś pewna?

Kochanie, kartą uroczym tępego można zagrać ograniczoną liczbę razy.

Nie roześmiał się.

Czemu nie zostawiłaś mnie po prostu w Coldlock, Fran? Czemu kazałaś mi iść do sanktuarium, choć nie wiedziałem, czym byłaś?

Przezesłała palcami jego włosy.

Szmaragd. To wszystko, czego zawsze pragnęłaś. Chciałam go dla ciebie... choć jednocześnie chciałabym, byś go nie pragnął. Chciałabym, żebyś go odłożył.

Nikodemus kiwnął głową.

Ponieważ bez niego cię zmienię? Gdy jestem kakografem, zwiększam twoją wolność?

Tak, częściowo tak. Wiem, że teraz dotykasz klejnotu. Opuścił kołnierz, odsłaniając wiszący na srebrnym łańcuszku klejnot w kształcie lzy. Delikatnie ściągnął go i odłożył na bok. Francesca poczuła jak zalewa ją fala ciepła: znowu był kakografem. Popatrzyła mu w oczy. Chciałabym, żebyśmy zawsze byli tacy jak w Coldlock.

Oderwał od niej zielone oczy i spojrzał na szmaragd. Zawsze myślałem, że to brakująca część mnie. Ale trzymając go, wcale nie czuję się inaczej.

Przesunęła dłonią po jego brzuchu. Mogłabym sprawić, że poczujesz się inaczej.

Roześmiał się czerwienią. Może nie w tej chwili. Za cztery godziny musimy wyruszyć do Starfall. Zdołasz się przygotować?

Cztery godziny?

Westchnął.

Bogini Celeste leci tu z Góry Iglic, by ogłosić moją przyrodnią siostrę Zimorodkiem. Do czasu jej przybycia muszę opuścić miasto, a najlepiej królestwo.

Przecież twoja siostra jest teraz kakografką.

Poza nami i Lotannu nikt nie wie, że potwór ukradł jej zdolność poprawnego pisania. Vivian, czy jak tam naprawdę ma na imię, ma politycznie ukierunkowany umysł i edukację stosowną do kierowania impenum. A THllinon, Verdant i Spina uznały, że muszą stworzyć imperium. To, w co wierzy na jej temat świat, jest ważniejsze od tego, czym naprawdę jest.

Francesca zastanawiała się nad tym chwilę.

Chciałbyś, żeby była Zimorodkiem?

Nikodemus popatrzył na szmaragd. Niebiosa wiedzą, że byłaby w tym lepsza ode mnie.

Unikalnym nie czyni cię twoja zdolność pisania, odpowiedziała Francesca po chwili. Nigdy tak nie było. Odwrócił wzrok w stronę okna. Ujęła jego dłoń. Jak dostaniemy się do Starfall?

Karawana. DeGarn wysłał czar kolaboris do agentów Ligi Starfall w Starhaven. Wyjadą nam naprzeciw i będą towarzyszyć do Wyżyn, gdzie przyłączy się do nas oddział kowali i druidów. Zdołasz przygotować się w tak krótkim czasie?

Już jestem gotowa.

Dobrze, muszę jeszcze załatwić kilka spraw w sanktuarium. Wyślę po ciebie jednego z kowali. Dość stanowczo upierają się, by nas chronić. Teraz też dwaj stoją pod twoimi drzwiami.

Francesca zmarszczyła brwi, patrząc w stronę drzwi. Nagle coś przyszło jej do głowy.

Gdziekolwiek się udamy, zawsze będę lekarką. Musisz to wiedzieć. Nie przestanę praktykować.

Uśmiechnął się.

Czemu?

Wzruszyła ramionami. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez tego.

Pocałował ją. A więc zawsze będziesz uzdrowicielką. Nie chciałbym, żeby było inaczej.

Flagi z lotni Avel rozkazały wreszcie „Lancy Królowej” powrócić do wiatrowego ogrodu w celu uzupełnienia zaopatrzenia. Z bolącymi mięśniami i piekącymi oczami Cyrus uaktywnił właściwe teksty „Lanca” zesła z patrolu, kierując się na zachód.

Cyrus wraz ze wszystkimi hierofantami walczącymi po stronie floty monoteistów pracował na podwójnych wachtach. Zerkając w stronę Izema, zobaczył w oczach kapitana wyczerpanie. Pomyślał, że on sam wygląda podobnie.

Wiatr złągodniał i deszcz ustąpił, więc lot nad Kasztanowymi Górami nie zabrał dużo czasu. Kiedy jednak „Lanca Królowej” przemykała nad jaskrawozielonym przesmykiem pełnym pułapek wiatrowych z wielkimi paszczami, Cyrus zauważył coś dziwnego w wyglądzie wieży ogrodu. Pokład startowy był pełen pilotów, a w sekwencji cum unosiło się dziesięć lotni, jedna nad drugą. Gdy podlecieli bliżej, dostrzegł, że za każdą ciągnie się flaga sygnałowa na „zwycięstwo”.

Izem roześmiał się za jego plecami.

Gdy „Lanca” dokonała zwrętu i przygotowała się do dokowania, z pokładu startowego rozległ się głośny wiwat.

- To hołd dla bohatera - wyjaśnił Izem. - Hołd dla „Lancy Królowej”, jej załogi, a w szczególności dla pilota. - Cyrus poczuł, że się czerwieni, gdy zrozumiał, że ostatni tytuł należy się jemu. - Cyrusie - zawołał Izem - mam nadzieję, że nie przywykłeś za bardzo do stanowiska strażnika powietrza, ponieważ po czymś takim marszałkowie z pewnością skazą cię na rolę kapitana statku powietrznego.

Kiedy Nikodemus, prowadzony przez służącego, wszedł do gabinetu, zastał tam Vivian. Ubrana była w ciężkie szaty maga i długie, czarne rękawiczki. Lotannu stał kilka kroków za nią. Oboje patrzyli chłodno na młodzieńca. Byli tu też DeGarn, kapitan ocalałych kowali i najwyższy rangą z druidów. Nikodemus uklonił się na powitanie.

- Sostro. Magistrze Lotannu.

Długą chwilę krępującego milczenia przerwała kobieta.

- Nikodemusie. - Odwzajemniła ukłon.

- Jak powinienem się do ciebie zwracać?

- Wygląda na to, że wieści o nas już się rozeszły - odparła. - Większość świata nazywa mnie moim pseudonimem. Ty również możesz mówić do mnie „Vivian”.

Kiedy mówiła, do Nikodemusa dotarło, że jest zaledwie kilka lat młodsza od niego.

- Mam nadzieję, że moje słowa wypowiedziane podczas spotkania z kanonistką Całą były jednoznaczne.

- Owszem. - Kiwnęła głową.

- Chciałbym z tobą zamienić kilka słów na osobności. - Tylko na niego popatrzyła. - Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy być wrogami - dodał. >

- Umożliwiłeś powstanie separatystów - odpowiedziała zimno. - Teraz ludzkość nie będzie zjednoczona przeciw demonom.

- Nie będzie zjednoczona pod twoim panowaniem, ale to nie wyklucza współpracy.

- Myślałam, że wyrzekłeś się zaangażowania w politykę. - Zacisnęła dłonie w rękawiczkach.

- Owszem. - Umilkł. - Gdybyś jednak chciała się ze mną porozumieć, zawsze możesz liczyć na odpowiedź.

- Jesteś bardzo łaskawy.

Nikodemus zaczął się odwracać, ale zatrzymał się jeszcze.

- Rękawiczki nie utrzymają cię dość daleko od innych - powiedział.

- Co takiego?

- Twoja ułomność. Rękawiczki mogą uniemożliwić ci wywoływanie klątw rakowych u innych, ale zawsze będziesz czuła się zbyt blisko wszystkiego, co żyje. Będzie cię to dręczyć.

Przybrała kamienny wyraz twarzy.

- Dziękuję za tę uwagę - odpowiedziała chłodno.

Przez chwilę patrzył na nią. Zastanawiał się, czy popełnił błąd, przychodząc tutaj.

- Opuszczę miasto w ciągu godziny. Być może nie zobaczymy się ponownie aż do Dysjunkcji. A może nawet wtedy nasze drogi się nie zejdą.

- Może.

Uklonił się, chcąc odejść, ale znowu się zawahał.

- Znałaś naszą matkę, Vivian?

- Umarła, gdy miałam siedemnaście lat.

Nikodemus poczuł, jak ścisną mu się gardło. Nie zdawał sobie sprawy, że wciąż miał nadzieję.

- Jaka była? - spytał cicho.,

- Była bardzo żarliwą kobietą. - Vivian zacisnęła wargi. Przyglądała się Nikodemusowi z uwagą. - Często o tobie myślała. Płakała za każdym razem, gdy docierały do nas wieści o zabójstwie demonicznego przedstawiciela rodu cesarskiego. Jakaś jej część miała

nadzieję, że zostałeś zabity, bo nie chciała, byś wyrósł na wyznawcę Losa. Inna część miała nadzieję, że nie zostałeś zamordowany i że dożyjesz chociaż do dorosłości.

- Była podobna do ciebie? - zapytał Nikodemus.

Napięcie wokół oczu Vivian złagodniało.

- Była dużo ładniejsza.

Bardzo długo się jej przyglądał. A potem, sam nie do końca pewny powodu, rzucił jej coś spod ręki. Lotannu w odpowiedzi z krzykiem rzucił magnusowy czar. Szmaragd z Aarahest zawisł między nimi w powietrzu na siatce srebrnych słów.

Vivian i Lotannu spojrzeli po sobie, a potem pytająco popatrzyli na Nikodemusa.

- Nigdy nie mógłbym być Zimorodkiem - powiedział. - Całe życie próbowałem wypełnić pustkę w swoim wnętrzu. Tylko że ta pustka... Zbudowałem się wokół niej. Wypełnienie jej byłoby jak wypełnienie pustej przestrzeni w katedrze.

- Ale czemu chcesz mi to dać? - spytała kobieta.

Spojrzał w jej zielone oczy.

- Zostałaś wychowana do bycia Zimorodkiem. Wierzysz w porządek i imperium. Może zdołasz z tym zrobić coś wartościowego. Może zdołasz odeprzeć demony. Ja nie mógłbym i szczerze mówiąc, byłbym szczęśliwszy, gdyby ten ciężar spadł na cudze barki. Bez szmaragdu jesteśmy z Francescą czymś potężniejszym niż z nim. Teraz, gdy znikły klątwy rakowe magistra Shannona, nie jest mi już potrzebny.

Jego siostra przyrodnia postąpiła kilka kroków. Zatrzymała się i wyciągnęła rękę po szmaragd.

- Nie chcę mieć względem ciebie długu.

- W takim razie przyznaj, że nie każdy wyznaje taki porządek, jak ty. - Spojrzał jej w oczy.

- Uznam to. I zrobię co najlepsze dla ludzkości.

- A więc weź szmaragd i rozlicz się przed swoim sumieniem.

Vivian ściągnęła rękawiczkę i wzięła klejnot. Chwilę później uformowała wyszukany, spleciony ustęp numenosa i odetchnęła z ulgą. Lotannu zbliżył się, jednak na bezpieczną odległość.

- Nie musisz się martwić, magistrze - powiedziała do niego. - Nie wywoła już klątw rakowych.

Lotannu ujął dłoń kobiety. Oboje obrócili się do Nikodemusa.”

- Nie musiałeś tego robić - odezwał się Lotannu.

- Jednak cieszę się, że to zrobiłem - odparł młodzieniec. - nie musicie się o mnie martwić, wiem, jak przeżyć jako kakograf.

- Oddałeś wielką przysługę ludzkości, Nikodemusie

- cicho oświadczyła Vivian, spoglądając na brata. - Być może zdołam się odwdziżyć. Przeszukując apartamenty Tajfona, znaleźliśmy dokumenty z listami różnych organizacji wyznawców demonów we wszystkich sześciu królestwach. Mogą nam pomóc usunąć czające się między nami zagrożenie. Rozkażę wykonać kopie i wysłać do twoich... - popatrzyła na DeGarna

- do twoich sojuszników.

- Dziękuję, siostrze. - Nikodemus się pokłonił. - Dobrze je wykorzystamy. - Urwał. - Chciałbym także omówić czar, nad którym pracował Tajfon. Ten odnaleziony przez magistra Akomę, zdolny do zmiany natury języka na dużym obszarze. Ma on związek z Cichą Śniecią, która ogranicza dysczary prajęzyka na całym kontynencie. - Vivian i Lotannu nie wyglądali na zaskoczonych. Nikodemus mówił dalej: - Dysponując tym metaczarem i szmaragdem, mogłabyś uczynić język magiczny bardziej logicznym na terenach twojego nowego imperium. Mogłabyś również odczuwać pokusę, by wyrzucić ten sam wpływ na powstającą Ugę Starfall. - Z twarzy Vivian zniknęła cała życzliwość. - Zanim tego spróbujesz - mówił dalej Nikodemus - chcę ci przypomnieć, że magister Akoma wykonał kopię tego metaczaru i umieścił ją w dzienniku klinicznym Franceski, który znajduje się w moim posiadaniu. Z pewnością wolałabyś, bym nie rzucił tego czaru z zamiarem skontrowania twojego wpływu.

- Proszę, wysłuchaj mnie, Nikodemusie - odezwał się Lotannu. - Przez ostatnie dni nie robiłem prawie nic poza analizowaniem tego czaru. Jeśli uczynimy język magiczny bardziej logicznym, zwiększy on siłę naszych czarodziejów. Pomoże nam odeprzeć demony.

- A wzięłaś pod uwagę, co się stanie ze stworami w rodzaju Franceski, skonstruowanymi z intuicyjnego, a nie logicznego języka? - spytał Niko lekkim tonem.

Lotannu zamrugał.

- Zapewne osłabną.

- Też tak sędzę. Przypuszczamy również, że stwory w rodzaju Franceski stałyby się znacznie potężniejsze, gdybym to ja rzucił ten czar. - Lotannu spiął się, pojmując, do czego zmierza Nikodemus. Ten popatrzył na Vivian. - Przypuszczam, że Lotannu przewiduje teraz to, co Francesca zobaczyła w swojej smoczej postaci. Gdybyśmy w przeciwnych intencjach oboje rzucili ten metaczar, siostrze, podzieliłibyśmy świat ludzi. Języki magiczne stałyby się inne w twoim imperium i naszej lidze. Rosłaby siła twoich czarodziejów, ale osłabłyby konstrukty i bóstwa. Przeciwnie zjawisko wystąpiłoby na naszych ziemiach.

- Doszłoby do schizmy - powoli przytaknęła Vivian.

- Przysięgniemy więc nie rzucać tych metaczarów?

Kiwnęła głową.

- Uczynimy to... ale... patrząc na to z praktycznej strony, jak myślisz, jak długo imperium lub liga zdołają oprzeć się pokusie zdobycia przewagi?

- Mam nadzieję, że na tyle długo, by przygotować się na Wojnę Dysjunkcji - szybko odparł Nikodemus.

- Niestety nie mamy żadnych przewidywań dotyczących tego, kiedy ożywiony Los może sprowadzić hordy demonów przez ocean. - Spojrzał pytająco na przyrodnią siostrę. - Chyba że ty coś o tym wiesz?

Vivian potrząsnęła głową.

- Być może demony nadejdą za rok, a może za pięćdziesiąt lat. - Urwała. - Jak na apolitycznego człowieka, Nikodemusie, podjąłeś kroki o bardzo znaczących implikacjach politycznych.

- Mam to we krwi. - Uśmiechnął się do niej. Zaśmiała się bez cienia wesołości. - Żegnaj, siostrze.

- Ukłonił się.

Po chwili milczenia odpowiedziała ukłonem i rzuciła chłodno:

- Żegnaj, bracie.

Francesca wyglądała przez okno, gdy otworzyły się drzwi. Miała nadzieję, że to kowal przybył zabrać ją do karawany, jednak do pokoju wszedł Cyrus. Miał rozwinięty turban i opuszczoną chustę, odsłaniając krótką czarną brodę. Choć na jego twarzy rysował się uśmiech, spojrzenie miał poważne.

- Witaj, Cyrusie - powiedziała nerwowo i obejrzała kolory jego imienia wypływające z jej ust. Zaczął mówić rozmytymi tęczkami. Potrząsnęła głową. - Wciąż cię nie słyszę.

Złapał skraj swojej szaty i oderwał z niej prostokąt materiału. Zrozumiała i wskazała na znajdujący się w pokoju mały blat do pisania. Cyrus usiadł i zanurzył róg materiału w kałamarzu. W górę tkaniny pomknęła czarna plama. Rozłożył materiał na blacie, odsłaniając zdanie:

Słyszałem, że wyruszasz z Nikodemusem do Starfału.

Kiwnęła głową. Spojrzał jej w oczy.

Używając palca, napisała na tkaninie: Radzisz sobie z panującym tu chaosem?

Posłał jej gorzkosłodki uśmiech i napisał:

Marszałek powietrza zachodniej floty awansował mnie na kapitana. Dostanę statek znacznie prędszej, niż się spodziewałem.

Francesca roześmiała się radośnie, jaskrawopomarańczowo.

To wspaniale, Cyrusie! Gratuluję! Jaki to statek?

Popatrzył na nią poważnie.

Astropheł zleciło budowę nowej Pustułki, która ma służyć w misjach dyplomatycznych dla nowego arcykanclerza - kobiety, która najprawdopodobniej wkrótce zostanie cesarżową.

Uśmiech na twarzy Franceski zgał.

Będiesz kapitanem statku Vivian?

Cyrus przytaknął z poważną miną. Zostanę kapitanem powietrznego statku dowodzenia nowego imperium.

Cyrusie!, napisała szybko. Vivian wykorzysta to, że znasz Nikodemusa. To musi być powodem twojego awansu.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

Powodem mojego awansu jest to, że pomogłem w jej śledztwie i strąciłem dwa niszczyciele buntowników podczas Drugiego Oblężenia Avel.

Tak, oczywiście, napisała Francesca. Jesteś bohaterem oblężenia< Nie wątpię w to... Ale czy nie widzisz, że Vivian i Nikodemus w końcu staną do walki? Będziesz walczył przeciw nam.

Cyrus patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

Wam? Francesca poczuła zimny dreszcz, ale kiwnęła głową. Ty i Nikodemus?

Tak.

Czy on czuje to samo?

Taką mam nadzieję.

Cyrus bardzo długo stał w zupełnym bezruchu.

Zawsze cię kochałem, choć nigdy tak naprawdę nie rozumiałem dlaczego. Klerycce zrobiło się bardzo zimno, poczuła się chora. Jego dłonie drżały, gdy pisał na tkaninie: Wszystko przy tobie było turbulencjami i kłopotami, jak łatanie w burzy. Myślałem, że zostanę z tobą pomimo turbulencji, ale trwałem może właśnie z ich pirwodu. Może przyciągałaś mnie tak samo, jak ciągnie mnie niebo. Zostawiłem cię dla prądów termicznych i graniowych, i tak powinno być zostać. Żałuję... Zerknął na nią oczami pełnymi twardej złości, ale po chwili jego twarz złagodniała. Przykro mi, napisał. Być może lepiej będzie, jeśli znajdziemy się po przeciwnych stronach nadchodzącego rozłamu.

Francesca sztywno kiwnęła głową, próbując zachować spokojny wyraz twarzy i nie rozplakać się.

Mnie też jest przykro. Nagle od drzwi dobiegł zielony dźwięk. Francesca obróciła się i zobaczyła stojącego w progu młodego mistrza kowalskiego. Muszę iść, napisała. Nasza karawana wyrusza.

Cyrus popatrzył na kowala i jeszcze raz napisał na swojej tkaninie:i

Uważaj na siebie. Może minąć wiele czasu, zanim znów się spotkamy.

Francesca odetchnęła głęboko.

Życzę ci szczęścia, Cyrusie. Będę się uśmiechać za każdym razem, gdy spojrzę w niebo. Urwała, po czym dodała: Ale jeśli będziesz dowodził okrętem wojennym Vivian, mam nadzieję, że nigdy się już nie spotkamy.

EPILOG

Zza błękitnego horyzontu wyłoniła się wyspa Starfall. Jej zalesione zbocza wznosiły się stromo, przechodząc w poszarpane góry przysłonięte stadami morskich ptaków. Na wysokiej wyżynie północnego zbocza sterczało kilka prostokątnych białych wież. Z najwyższej wieży wystrzelił złoty czar kolaboris, znikając za zachodnim horyzontem.

Starfall było maleńkie w porównaniu z kopułami Astrophell, brakowało mu też monumentalności nieludzko wysokich iglic Starhaven, a jednak Francesca uważała je za piękne. Nikodemus stał obok niej na dziobie. Próbowwała skupić się na zalesionej wyspie i starożytnej akademii, ale mdłości burzyły się w niej niczym wino w rozbujanym dzbanie. Żeglowała już wielokrotnie, ale nigdy dotąd nie cierpiała z powodu tak okropnej choroby morskiej. Zdarzały się dni, gdy zaraz po śniadaniu musiała wychylać się za reling, by zwrócić zawartość żołądka prosto w odmęty morskich fal. Na szczęście mdłości ustępowały zazwyczaj po południu.

Po pięćdziesięciu trzech dniach ich podróż do Starfall niemal dobiegła końca. Francesca czuła się zmęczona w sposób, którego dotąd nie uważała za możliwy. Większość mistrzów kowalstwa i druidów uznało Nikodemusa za swojego czempiona, choć radykalne elementy w Lornie i Dral, pragnące nie dopuścić do powstania Ligi Starfall, skupiły na nim swe ataki.

W Skywood ich karawana ledwie przetrwała atak dralijskiego boga lasu, potężnej istoty podobnej do drzewa, z którego konarów strzelali łucznicy, a jego przypominające korzenie kończyny wbijały się w ciała ich grupy. W mieście Rain kowal zabójca dźgnął Nikodemusa w plecy. Na szczęście jego kakograficzna natura odczarowała metaliczne czary noża, jeszcze zanim zdołały poprzebijać jego ciało siatką igieł.

Po tym zdarzeniu lord gubernator Rain przydzielił im kompanię jeźdźców i serafa - jednego z bezpłciowych półbogów Lornu - by eskortowali Nikodemusa w dół Rzecznej Drogi. Jednak dziesięć dni po opuszczeniu miasta wrogi lidze oddział straży granicznej obalił fragment Muru Richarda, wpuszczając do środka likantropę z lasu Tulgety. Wilki zabiły dwóch ludzi z grupy Nikodemusa i przewróciły kilka wozów karawany. W zamieszaniu Shannon złamał lewy obojczyk, co dla kogoś w jego stanie było poważnym obrażeniem. Nikodemus i Francesca na zmianę zajmowali się starcem, gdy tylko było to możliwe.

W Skydoc buntownicy podpalili statek, który miał zawieźć ich na Starfall. Następnego wieczoru gubernator przemycił grupę na pokład lornijskiego okrętu wojennego wypływającego z porannym odpływem.

Na morzu Francesca i Nikodemus wreszcie mieli czas omówić to, co odkryli w Avel. Dwukrotnie przy tym starli się, czy ich przeznaczeniem było wszczęcie Dysjunkcji Tajfona. Nikodemus uważał to za możliwe, Francesca wręcz przeciwnie.

Choć Francesca cierpiała na silną chorobę morską, dla Shannona podróż była dużo bardziej męcząca. Jego i tak niewielki apetyt prawie zaniki, a obojczyk nie chciał się zrastać. Gdy wśród żeglarzy pojawił się kaszel, Shannon dostał gorączki. Kasłał ciemną flegmą. Francesca opiekowała się staruszką, a Nikodemus dotrzymywał mu towarzystwa. Tego ranka gorączka Shannona przybrała na sile i razem z Nikodemusem siedzieli przy nim aż do chwili, gdy na pokład wyciągnęła ich wieść o lądzie.

Boję się o Shannona, napisała Francesca, gdy wpłynęli do zatoki poniżej Starfall. Na brzegu widać było około czterdziestu prostokątnych domów z białymi ścianami i krytymi strzechą dachami. Składały się na największe miasteczko portowe wyspy.

Nikodemus popatrzył na nią.

Myliem się? Czy nie udało mi się usunąć wszystkich raków?

Nie, usunąłeś wszystkie, odparła. Jednak tak jak podejrzewałeś, nie mogłeś przywrócić mu zdrowia utraconego podczas dziesięciolecia walki z chorobą. Klątwa przyspieszyła proces jego starzenia. Czuję, jak zeszywniały zastawki jego serca, a mięsień coraz bardziej się rozszerza. Jego ciało z najwyższym wysiłkiem zwalcza infekcję w płucach.

Co możemy zrobić?

Obawiam się, że niewiele poza zapewnianiem mu wygody i modlitwą. Może przeżyć... ale wkrótce powróci do niego śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nikodemus pokiwał głową i przytulił Francescę.

Godzinę później dwaj marynarze zawieźli ich łódką na nabrzeże pełne magów. Z typową akademicką pompą zostali zaprowadzeni na trawiasty dziedziniec Starfall, pomiędzy

białe kamienne budynki. Francesca udzieliła instrukcji dotyczących sposobu transportu Shannona, a Nikodemus odbył rozmowę z procesją dziekanów i dygnitarzy.

Gdy do niego dołączyła, rozmawiał z dwoma niższymi magami: jeden był starszy i bardzo wysoki, drugi niższy, z przerzedzonymi, brązowymi włosami. Większy nazywał się John ze Starhaven, ale kiedyś znany był jako Prosty John i mieszkał w Starhaven z Nikodemusem oraz innymi kakografami. Niższy z mężczyzn miał na imię Derrick i okazał się kakograficznym studentem, który wysłuchał pierwszego i jedyne wykładu Nikodemusa. Obaj dotarli do Starfall, gdy władzę w Starhaven przejęła frakcja kontrprzepowiedni. Francesca, choć była już bardzo zmęczona, ucieszyła się, że poznała dawnych przyjaciół ukochanego.

Kakografowie sprawiali wrażenie, jakby mogli spędzić całą noc na rozmowach i ożywianiu dawnych relacji, ale gdy Francesca wspomniała, że stan Shannona się pogarsza, zarówno John, jak i Derrick przeprosili i wyszli, by odwiedzić starego nauczyciela.

Nikodemus chętnie dołączyłby do nich, ale kilku wielkich magów porwało jego i Francescę na długą, formalną kolację.

Gdy akurat nie rozmawia! z innymi magami, Nikodemus opisywał jej różne frakcje, których istnienie zdąży! odkryć w ich nowym domu. Podejrzewał, że jedna bierze pieniądze od Astrophell za szpiegowanie go. Z kolei inne frakcje zdawały się zająć szpiegowaniem Vivian. Jeden z dziekanów poinformował go, że Vivian opróżnia skarbiec Astrophell, fundując szkoły gramatyki oraz - co było niemal nie do pomyślenia - drukarnie. Tajemnicą pozostawało, czemu chciała inwestować w produkcję niemagicznego tekstu.

Gdy wybrzmiała ostatnia przemowa i wzniesiono ostatni toast, Francesce i Nikodemusowi zaprezentowano ich nowe mieszkanie, obejmujące całe piętro najbardziej na zachód oddalonej wieży. Z balkonu można było podziwiać lasy wyspy i bezkresny ocean za nimi.

Shannon został umieszczony w jednej z sypialni i dostał do opieki dwóch akolitów. Choć ożywiła go wizyta Johna i Derricka, staruszek nadal był w kiepskim stanie. Francesca zaaplikowała mu małą dawkę alkoholowego roztworu iksońskiego opium, by ograniczyć kaszel i ułatwić mu sen.

Gdy Nikodemus został z Shannonem, Francesca postanowiła przetestować puchowe łóżko. Martwiła się swoim ciałem. Jej umysł powoli odzyskiwał niezwykłą percepcję czasu, ale ciało nie wykazywało żadnych oznak powrotu do smoczego potencjału. Przewidziała przyszłości, w których odzyskała tę zdolność, i takie, w których to nie następowało. Nie wiedziała, co mogłaby zrobić w celu odzyskania smoczego potencjału, choć obecnie nie

doskwierał jej jego brak. Jej ciało poświęcało się teraz jakiemuś innemu procesowi, być może leczniczemu.

Prawie usnęła, gdy pod kołdrę wsunął się Nikodemus. Ciepło jego ciała promieniowało na całe łóżko i Francesca przesunęła się w nieco chłodniejsze miejsce, śniąc... We śnie ktoś chwycił ją za rękę. Rozbłyły kolorowe słowa. Mówił do niej jeden z akolitów opiekujących się Shannonem. Coś się stało.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do pokoju starca. Na zewnątrz czarne niebo wciąż było usiane gwiazdami. Shannon dyszał ciężko i mamrotał na zielono. Jego skóra była zimna i lepka, puls szybki i coraz słabszy.

Co się stało?, zawisło przed nią pytanie. Obróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Nikodemusa.

Położyła dłonie na piersi Shannona i poczuła bicie jego serca.

Obawiam się, że zakażenie przedostało się do krwi. Jego naczynia krwionośne się rozszerzają. Porozmawiaj z nim. Sprawdź, czy mówi z sensem.

Nikodemus przykucnął przy łóżku. Przez chwilę rozmawiali przygaszonymi barwami.

Trudno go zrozumieć, zwrócił się do Franceski. Wydaje mi się, że mówi o swojej żonie. Mówi, że jest mu zimno. Kleryczka przykryła Shannona dwoma dodatkowymi kocami. Oddychał coraz ciężiej. Nikodemus owinął rękę nauczyciela jednym z koców i ją uścisnął. Co możemy zrobić?

Francesca zagryzła wargi.

Nie ma dobrych rozwiązań, ukochany. Zaczęła pisać dwa akapity, ale zauważyła, że Nikodemus odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby go widziała. Dokończyła pisanie i usiadła po drugiej stronie łóżka. Shannon poruszył się niespokojnie. Ujęła jego dłoń.

Nikodemus pozostawał w bezruchu. Raz przetarł sobie oczy, ale udała, że tego nie zauważyła.

Jak zawsze, gdy opiekowała się umierającymi, czuła, jakby żal ją otaczał, ale do niej nie docierał. A jednak przyglądając się Shannonowi, stała się dogłębnie świadoma faktu, że jakaś jej część wciąż była śmiertelna.

Któregoś dnia to ona może leżeć w łóżku, odchodząc w ramiona śmierci.

Czuta ogromną potrzebę ruszania się, działania, zanurzenia w bezpieczeństwo akcji. W dłoniach trzymała dwa akapity. Każdy opisywał możliwe postępowanie. Jednak to Nikodemus, nie ona, powinien wybrać jeden z nich. Pragnęła rzucić w niego złotymi słowami i zażądać, by je przeczytał, żeby zdecydował, żeby coś zrobił. Jednak uszanowała jego żal i

czekała cierpliwie. Minął może kwadrans, ale dla Franceski była to cała wieczność. Shannon wymamrotał jakieś brązowopomarańczowe słowa.

W końcu Nikodemus odwrócił się do swojego starego nauczyciela. Twarz miał zaczerwienioną od łez, wargi wykrzywione i drżące. Wyglądał jak maska, jak przerażone dziecko, groteska, złamane serce.

Francesca poczuła, jak coś się w niej łamie, gdy uświadomiła sobie, że nie odnajdzie żadnego bezpieczeństwa w działaniu. Nawet jeśli rzuci się, by leczyć Shannona, będzie to tylko odwrócenie uwagi od niezaprzeczalnej prawdy, że któregoś dnia Nikodemus także umrze, i jej twarz będzie wyglądała tak samo. Nikodemus wytarł oczy i napisał:

Jakie mamy opcje?

Po chwili bezruchu podała mu pierwszy akapit:

Mogłabym tekstowo przebić jego kość piszczelową, podać mu płyny do napełnienia rozszerzonych żył i modlić się, że dojdzie do siebie, zanim jego nerki lub jelita przestaną funkcjonować z braku krwi. Poczekała, aż przeczyta tekst, po czym podała mu drugi akapit: Mogłabym też podać mu alkoholową tynkturę opium, by usunąć jego strach, poprawić oddech i złagodzić jego odejście.

Nikodemus skończył czytać i znów się odwrócił.

Francesca poczuła, że sytuacja ją przerasta. Zerwała się na nogi i zaczęła chodzić po pokoju. Wytarła rękawem mokre oczy. Dwaj akolici stali w korytarzu, patrząc na nią ze strachem. Chciała coś powiedzieć, ale nagle dostrzegła lawendowobiałe dźwięk. Odwróciła się.

Nikodemus podał jej pytanie:

Jakie ma szanse, jeśli podasz mu płyny?

Większe... ale wciąż niewystarczające. To może być bolesne.

Bała się, że Nikodemus znowu się odwróci, ale przemówił do Shannona stłumionymi barwami. Potem popatrzył na nią i napisał zdanie. Złamało się, gdy wzięła je do ręki. Udało jej się przeczytać tylko:

Myślę. Ale zaraz napisał ponownie: Myślę, że powinniśmy złagodzić jego cierpienie.

Francesca z powagą kiwnęła głową.

Ja też tak sędzę. Poczula potężną ulgę. Poruszała się niemal automatycznie - nalewanie, mieszanie, pomoc Shannonowi w wypiciu tynktury. Gdy skończyła, Nikodemus się spał. Podeszła do niego i objęła jego ramiona. To potrwa godzinę, napisała. Może dłużej.

Nikodemus chwycił jej dłoń i dalej przemawiał do Shannona. Po trzech kwadransach oddech staruszka zaczął zwalniać. Przestał się wiercić. Po kolejnych kilku minutach z jego ust

przestał dobywać się kolor. Każdy kolejny oddech był wolniejszy od poprzedniego. Aż w końcu ustał.

Na chwilę pokój znieruchomiał, a potem ciało staruszka rozjarzyło się złotą prozą. Duch usiadł w ciele autora. Nikodemus opuścił głowę, a z jego rąk i pleców odpłynęły wszystkie siły.

Magister Agwu Shannon umarł.

Nikodemus odprowadził ducha Shannona szerokim korytarzem w stronę nekropolii Starfall. Młodzieniec wiedział, że przebywanie w ciele w chwili jego śmierci zmieniało ducha. Wiedział, że takie duchy stawały się niespójne i pragnęły jedynie dostać się do nekropolii. Jednak wiedza o tej transformacji nie przygotowała go na jej doświadczenie.

Duch, idąc obok Nikodemusa, nie odpowiadał na głos. Zareagował tylko na kilka pytań wysłanych na piśmie. Za każdym razem jednak zamiast udzielić odpowiedzi na pytanie Nikodemusa, przypominał mu tylko, że duchy rzadko, jeśli w ogóle, opuszczają nekropolię.

Po drodze Nikodemus często się oglądał. Duch miał nieobecny wyraz twarzy i spoglądał nieustannie gdzieś na prawo, nawet gdy korytarz skręcał w lewo. Potem podał mężczyźnie akapit. Nikodemus przetłumaczył tekst, starając się wprowadzić najmniejszą możliwą liczbę błędów: To tak, jakbym był pieśniarzem, a teraz stałbym się pieśnią. Ale jednocześnie to wcale nie tak. Jakbym był dwoma pieśniarzami, a teraz jestem tylko jednym. Ale to też nie tak.

Nikodemus nie był pewien, jak odpowiedzieć, ale duch już odwrócił wzrok, niezainteresowany kohwersacją. Korytarz prowadził do dużego okrągłego pomieszczenia z prostymi ścianami z białego kamienia. Stanęli u wejścia do nekropolii.

Z przeciwległej ściany wystawał pojedynczy kamienny blok. Na jego szczycie leżał arkusz papieru pokryty zmieniającymi się numenosowymi runami. Papier przechodził przez ścianę do właściwej nekropolii, gdzie nie wolno już było wkraczać żyjącym.

Nikodemus przyglądał się, jak duch umieszcza dłoń nad kartką z ruchomymi runami. Już miał przycisnąć dłoń do arkusza, gdy obejrzał się na młodzieńca.

Człowiek i duch przyglądali się sobie bardzo długo.

- Żegnaj, magistrze - powiedział Nikodemus.

Duch przybrał nieobecny, zamyślony wyraz twarzy. Rzucił Nikodemusowi ostatnie zdanie: A może samotny nie jest śpiewakiem? Może to cały chór?

Potem duch Shannona przyłożył dłoń do papieru i zniknął.

Francesca się obudziła. Wokół panował półmrok, przez który przedzierał się już świt. Nikodemus spał obok niej. Po odprowadzeniu ducha Shannona do nekropolii Starfall siedzieli jeszcze długo, rozmawiając o Shannonie - jego życiu, pracy i śmierci - aż zmęczenie wygrało.

Nie potrafiła stwierdzić, co ją obudziło. Nie był to zły sen ani dźwięk... ale coś... niewłaściwego. Wstała, zastanawiając się, czy powinna odwiedzić wychodek, ale od razu poczuła mdłości. Usiadła z powrotem na łóżku. Czuła się tak, jakby powróciła jej choroba morska. Wstała, zastanawiając się, czy odrobina wody... I pędem pobiegła w stronę balkonu, ale nie zdążyła. Zgięła się w pół. Długie, bolesne skurcze. Nic nie wyleciało. Przebiegła resztę drogi na balkon i przechyliła się przez barierkę, zwracając porcję żółci.

W końcu torsje ustały. Oddychała szybko, łapiąc orzeźwiające morskie powietrze. Stado mew krążyło nad wychodzącymi w morze łodziami rybackimi. Francesca poczuła, że nadchodzi kolejna fala mdłości, jakby znajdowała się na jednej z tych łodzi. Nad jej głową przemknęły dwa ptaki, błyskając białymi i czarnymi piórami. I nagle Francesca zrozumiała. Nie złapała wirusa biegunki ani grypy. Na morzu wcale nie miała choroby morskiej. Powód jej mdłości był tak oczywisty, że roześmiała się jasną czerwiecią. To tłumaczyło, czemu jej ciało nie odzyskało smoczego potencjału - podjęło się znacznie większego dzieła. Przyszłość, o wygranie której tak ciężko walczyła, zaczęła już nabierać kształtów w ciele jej następnego pacjenta.

Nie sądziła, by było, to możliwe. W końcu oboje z Nikodemusem byli czarodziejami, a przecież żadna para czarodziejów nie mogła przewidzieć czegoś takiego. Z drugiej strony, nie była do końca człowiekiem, więc najwyraźniej jej ta zasada nie dotyczyła.

Lawendowy dźwięk sprawił, że się odwróciła. Nikodemus szedł w jej stronę, mrużąc oczy.

Co się stało, Fran?, napisał. Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową.

Wszystko w porządku. Poranne mdłości to typowy objaw. Po prostu się do siebie przyzwyczajamy.

My?

Francesca nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że użyła liczby mnogiej. Ujęła dłoń ukochanego i przyłożyła ją do swojego brzucha. Jakikolwiek więzy mogły ich łączyć z Dysjunkcją Tajfona, uległy radykalnej zmianie.

Nikodemusie, jestem w ciąży.

PODZIĘKOWANIA

*

Na napisanie pierwszej powieści masz całe życie, „na napisanie drugiej - tylko rok”. Tak mówi się w środowisku literackim. Gdy w mojej głowie zaczęły kręcić się zębatki fabuły a, nie miałem pojęcia, jak jeden pisarz mógłby stworzyć drugą powieść dziesięć razy szybciej niż pierwszą, nie rezygnując jednocześnie z twórczego rozwoju. Szybko odkryłem, że to niemożliwe. Nie mógłby tego zrobić żaden autor. Ale autorowi z pomocą małej armii przyjaciół i znajomych mogłoby się to udać.

Moja mała armia zapewniła mi przede wszystkim następujące źródła inspiracji: w rozdziale pierwszym fraza „postaraj się zabić jak najmniej pacjentów” została użyta w hołdzie doktorowi Oscarowi Londonowi, autorowi humorystycznych esejów *Kill as few patients as possible*. Również znajdującą się w tym samym rozdziale scena masażu serca została zainspirowana opisem procedury zamieszczonym w książce *How We Die* dra Sherwina B. Nulanda. Leczenie odmy opłucnowej w rozdziale dwudziestym dziewiątym wymyśliłem, studiując ilustrację dra Franka Nettera przedstawiającą umieszczenie drenu klatki piersiowej. Rozmaite oryginalne wpływy wywierane przez Sawannowego Potwora na umysły innych zostały zainspirowane licznymi przypadkami opisanymi przez dra Olivera Sacksa w książkach *Mężczyzna, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* oraz *Muzykofilia*. Zaimprovizowana operacja mózgu w rozdziale czterdziestym szóstym miała swoje źródło w artykule D.J. Donovan, R.R. Moquin i J.M. Ecklund *Cranial Burr Holes and Emergency Craniotomy: Review of Indications and Techniques*, opublikowanym w czasopiśmie „*Military Medicine*” (, no. ()): -). Niektóre sceny zostały też zainspirowane przez moje spotkania z pacjentami lub opowieści przekazane mi przez studentów medycyny i lekarzy. Oczywiście nie zamieściłem w książce żadnych informacji, które mogłyby umożliwić zidentyfikowanie pacjentów. Pod tym względem mam szczęście - osadzenie akcji powieści w wyobrażonym świecie, wypełnionym stworami w rodzaju smoków, sprawia, że bardzo trudno jest naruszyć ustawę o ochronie danych osobowych.

Pierwszą osobą na liście tych, które umożliwiły powstanie *Związane* czarem, jest jej pierwszy czytelnik dr Asya Agulnik, który podzielił się ze mną nie tylko krytyką, ale i wsparciem dobrego serca. Dziękuję.

Bezcenne udziały w tej książce mają liczne osoby z przemysłu wydawniczego. Moi redaktorzy: Jim Frenkel z Tor i Amy McCulloch z Voyagera dostarczyli genialnych uwag. Nina Lourie znalazła niedoskonałości intrygi oraz podsunęła ich rozwiązania, pokazała mi też, jak mogę pełniej rozwinąć moje postacie. Przeprowadzona przez Megan Messinger analiza historii każdego z bohaterów pomogła mi uczynić finał powieści o niebo bardziej satysfakcjonującym. Gdy zbliżała się data oddania tekstu, Lindsay Ribar uratowała sytuację,

czytając i sprawnie krytykując - w tempie, w jakim byłem w stanie wprowadzać poprawki. Mam wielkie szczęście, że moją agentką od PR w Tor jest Cassandra Ammerman i z przyjemnością będę z nią współpracował w przyszłości. Irene Gallo i Todd Lockwood stworzyli idealną dla tej książki okładkę. Przez cały rok Matt Bialer był dobrym przyjacielem i wspaniałym agentem literackim. Jestem bardzo wdzięczny Stefani Diaz, mojej agentce do spraw praw zagranicznych, która sprzedała tę trylogię w liczbie języków, o jakiej nawet nie marzyłem.

Stanford University School of Medicine był idealnym domem dla mojej podwójnej kariery. W szczególności miałem zaszczyt cieszyć się mentorstwem i przyjaźnią dra Abrahama Verghese, który udzielał mi porad dotyczących praktyki lekarskiej i zapewnił zrozumienie, gdy terminy literackie odciągnęły mnie od obowiązków jego asystenta. Dr Audrey Shafer i dr Irvin Yałom zaoferowali nie tylko mądrość dotyczącą życia lekarzapisarza, ale też wsparli w zdobyciu pomocy instytucjonalnej. Jestem niezmiernie wdzięczny programom Stanford Medical Scholars Research Program oraz Biomedical Ethics and Medical Humanities za ich hojne wsparcie moich projektów.

W tę książkę wniosło cenny wkład też wielu przyjaciół spoza świata medycyny i przemysłu wydawniczego. Jessica Weare, Swaroop Samant, Kevan Moffett, Josh Troke i Nina Nuangchamngong czytali kolejne wersje wstępne, nie szczędząc cennych uwag. Saladin Ahmed w bardzo pomocny sposób skrytykował pierwsze sto stron, pomimo że jest zapracowanym człowiekiem. Deanna Hoak odpowiadała na niezliczone pytania i wątpliwości natury językoznawczej. Spora część pierwszej wersji została napisana na stoliku w kawiarni naprzeciw siedzącej ze mną Gail Carriger - trzymałem laptopa nad jej głową w nadziei, że choć część jej dowcipu przeniknie na mój twardy dysk. Kimberly Chisholm przeczytała późną wersję roboczą, pomagając wyłapać drobniejsze błędy.

Przez cały czas korzystałem też ze wsparcia mojego ojca dra Randy'ego Chalrtona, mojej siostry Genevieve Johansen, przepięknej siostrzenicy Lis Anv Johansen oraz oczywiście mądrej i kochającej matki dr Louise Buck, której dedykuję tę książkę. obietą, zostać Magistrem.